

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Giovanni BOCCACCIO

Dekameron

Dzień pierwszy, drugi, trzeci, czwarty i piąty

Przełożył z włoskiego
EDWARD BOYE

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

O PRZEKŁADZIE

W uwagach, poprzedzających pierwsze wydanie jego przekładu, pisał Edward Boye:

„Tłumacz musiał się borykać z okresami cycerońskimi, zajmującymi połowę albo i więcej strony. Nieraz, gdy się zdawało, że się już szczęśliwie do kropki dociąga, nagle gdzieś z boku wyłaziło jeszcze jedno przekłete zdanie podrzędne, niszcząc za jednym zamachem całą koronkową robotę. Gdyby dać wierną kopię tych dłużyzn, polski przekład Dekameronu mógłby stanowić lekturę interesującą tylko dla filologów. Dlatego też zrezygnowałem od razu z niewolnictwa składniowego, rozczłonkując niemiłosiernie każdy z tych zawiłych i ciągnących się w nieskończoność okresów: jednakże skrótów nie przeprowadzałem żadnych, nawet tam, gdzie Boccaccio wpada w sztuczną retorykę i po moralizatorsku głądzi. Dekameron tyle razy już «przyprawiano», «skracano» i «oczyszczano», że nareszcie należy mu się raz przekład pełny. Język przekładu jest z lekka archaizowany, oczywiście odpowiednik trzeba było wybrać późniejszy, nastawiony raczej na wiek XVI – XVII...”

Stwierdzenia te nie pozbawione są przesady (zwłaszcza gdy idzie o charakterystykę stylu Boccaccia), a zapewnienie tłumacza, że skrótów nie przeprowadzał żadnych, zawiera prawdę tylko częściową. Nie pominął on istotnie żadnej z części składowych Boccacciuszowego dzieła, nie zlekceważył przedmowy, prologu, wstępów i zakończeń poszczególnych „dni”. Nie uniknął jednak opuszczenia tu i tam całych ustępów, prawdopodobnie przez niedopatrzenie. W tekście przekładu nie brakło też innych, wcale licznych usterek. Znacznym tedy nakładem pracy w pierwszym wydaniu powojennym (1948) usunąć przyszło różnorodne nieporozumienia, zawinione zapewne głównie przez pośpiech w pracy, dowolności nie uzasadnione, dość częste gubienie części zdania lub określeń nieobojętnych dla sensu czy też kolorytu danego ustępu, niekonsekwencje w brzmieniu i pisowni imion własnych.

Dość powiedzieć, że w dawnej redakcji przekładu zamiast „przebywającego w Granadzie” zjawiał się ktoś „imieniem Granata”, a Karol I zamiast do Apulii wędrował do Anglii. Zamiast po cichu (*pianamente*) otwierać drzwi, otwierano je „na ścieżaj” (*pianamente*). Saracenka, „która mi już nieraz znaczne oddawała usługi”, stawała się tą „której często posługuję”, ktoś, wchodząc do komnaty, „ocknął się w objęciach swojej damy” zamiast rzucać się w te objęcia, ktoś inny, zręczny akrobata, siadał „na powale”. Raz po raz zjawiał się zwrot „przed dawnymi czasy”, będący dziwacznym zlepkim „przed laty” i „dawnymi czasy”, nie brakło kakofonii w rodzaju: „żoną swoją ją by uczynił” lub „chluby by wam nie przyniosła”. Zbyteczna mnożyć przykłady. Ta garść dorywczo zebranych wystarczy, by uniknąć zarzutu gołosłowności.

Wprowadzając z konieczności wiele poprawek, by dochować wierności słowu i intencjom oryginału, równocześnie jednak nie chciano zatrzeć indywidualnych rysów przekładu. Tłumacz stale unowocześnia rytm Boccacciuszowej prozy, kładzie tamy rozlewnej wielomówności, stroni od pleonazmów, trzebi skupione obok siebie przymiotniki, znaczeniem pokrewne, którymi nowelista trecenta zwykł hojnie szafować, zrywa szeroko rozpiętą i przemyślnie spletaną sieć włoskich okresów. Przykraca powłóczyście szaty, drapowane na klasyczną togę, wygładza zbyt obfite kształty, zwłaszcza we wstępach, opisach i w momentach patetycznych.

Chociaż tu i ówdzie zatrzeć się przy tym mogły pewne odcienie, mniej lub bardziej znamienne dla autora i jego epoki, nie wydawało się rzeczą właściwą nawracać wszędzie do oryginału, by uczynić zadość wierności filologicznej. Definitywne ustalenie włoskiego tekstu Dekameronu jest jeszcze sprawą przyszłości, jakkolwiek w latach ostatnich zbliżyliśmy się do tego celu bardzo znacznie. Już wydanie, jakie dla zbioru *Scrittori d' Italia* opracował A. F. Massera (Bari 1927), było wyrazem wielkiej troski o poprawność. Zasadnicze problemy krytyki Bokacjuszowego tekstu wysunął następnie z wielką przenikliwością Michał Barbi (*Sul testo del Decameron*, 1927 – obecnie w tomie *La nuova filologia e l'edizione dei nostri scrittori*, 1938), aż wreszcie nowe wydanie Wiktora Branca (Florencja 1951–2) oprzeć się już mogło na 82 zbadanych rękopisach i chociaż nie rości sobie prawa do nazwy krytycznego, we właściwym, pełnym tego słowa znaczeniu, nie ulega wątpliwości, że przyszły tekst krytyczny niewiele od niego odbiegnie. Na tej podstawie można by podjąć dodatkową rewizję przekładu, w którym niejedno budzi zastrzeżenia: naloty problematycznej archaizacji, maniera stylistyczna tłumacza, niwelująca niekiedy pewne cechy oryginału, niedoceniecie Boccaccia jako artysty słowa. Ale obawiać się należy, że rezultat takiej nowej rewizji byłby zawsze połowiczny. Poprzestano więc na nielicznych poprawkach, uzgadniając z nowym tekstem brzmienie imion własnych itp. Tłumaczenie Boyego – odbiegające niekiedy tonacją od źródła – jest i pozostać musi własną jego próbą spolszczenia w całości, a zarazem odmłodzenia setki opowieści, której sześćsetlecie minęło w naszych oczach.

M. B.

Zaczyna się księga
DEKAMERON
w której zawiera się sto nowel,
opowiedzianych przez siedem białogłów
i trzech młodzieńców.

WSTĘP

Ludzka to rzecz współczucie dla nieszczęśliwych; jeśli jest ono każdemu właściwe, to tym bardziej winno być znane człękowi, co sam, litości potrzebując, od drugich jej doznawał. Należę do liczby tych, którzy w potrzebie przyjaźni się nurzają, uczucie to wielce sobie cenią i niejedną miłą chwilę mu zawdzięczają. Od najwcześniejszych lat mojej młodości aż po dzień dzisiejszy szlachetną i wzniosłą miłością jestem ożywiony, bardziej może – gdybym chciał o tym opowiadać – niżby tego niska moja kondycja oczekiwać pozwalała. A chociaż zyskiwałem pochwały i estymę ludzi pełnych oglądy, co o tych sprawach zasłyszeli, to przecież wiele srogiego bólu miłość ta mi sprawiła; przyczyną jego było jednakże nie okrucieństwo miłowanej damy, lecz zbyt ni ogień mojej duszy, trawionej niepowściągliwym appetitem. Żądze te nie pozwalały mi się kontentować tym, co posiadałem, i przyczyniały mi więcej boleści, niżby należało. Wśród tych wielkich cierpień, rozmowy z jednym z moich przyjaciół i pociechy, od niego doznawane, były dla mnie wsporem, bez którego z pewnością bólu mego bym przeżyć nie mógł. Jednakże według niezmiennego prawa, ustanowionego zrządzeniem Tego, kto sam jest nieskończony, każda ziemska sprawa koniec swój mieć musi; tak się też stało z moją, nazbyt płomienną namiętnością, której ani zdrowy rozsądek, ani żadna rada, ani myśl o czekających na mnie niebezpieczeństwach i sromie przełamać i zwyciężyć nie mogły; dopiero wszechmocna siła czasu powoli ją przytłumiła, tak iż dzisiaj ostało po niej jeno uczucie ukontentowania, znane każdemu, komu obcy jest azard puszczenia się na burzliwe namiętności odmęty. Ciężko mi było na duszy, aliści ból minął i ostały mi się tylko mile wspomnienia.

Boleść szczyła, lecz żyje i do grobowej deski trwać będzie pamięć o dobrodziejstwach, okazanych mi przez tych, co gwoli litości, odczuwanej dla mnie, moim cierpieniem cierpieli. Nie ma, według mego zdania, szlachetniejszego uczucia niżli uczucie wdzięczności. Zasługuje ono na najwyższą pochwałę, gdy przeciwnie, jego brak godzien jest jeno wzgardy. Wdzięcznością powodowany, chciałbym w miarę sił moich w zamian za to, co otrzymałem, teraz gdy już swobodny jestem, pewne ulżenie sprawić, jeśli już nie tym, co mi dobrodziejstwa okazowali i którzy, być może, dzięki swej rozwadze lub szczęściu usług mych nie potrzebują, to przynajmniej tym, którym się one na cos zdadzą. A chocia moja pomoc i wspór niewielkimi by się okazały, wszakoż, zgodnie z swym mniemaniem, winienem je nieść tam, gdzie się na nie najbardziej czeka i gdzie przez to lepiej ocenione będą i większą korzyść przyniosą. Któż zaprzeczyć może, że z taką pociechą obracać się: należy do pięknych dam, którym hardziej niżli mężczyznom jest ona potrzebna? One to, strachając się i wstydząc, w swej delikatnej piersi płomienie miłosne skrywają. O ile zaś ów skryty płomień silniejszy jest od jawnego, wiedzą o tym ludzie, co go doznali. Posłuszne woli i rozkazaniu ojców, matek, braci i mężów, całe dnie w zamkniętych komnatach jak gdyby na próżnowaniu trawią. Chcąc czy nie chcąc, o wielu rzeczach myśleć muszą, a przecie myśli te nie zawsze wesołymi się okazać mogą. Niejednokrotnie próżne pragnienia do ciężkiej melankolii damy te przywodzą; jeśli się jej miłą rozmową nie rozproszy, w ciężkie strapienie może się łatwiej przemienić.

Nie trudno się przekonać, że u mężczyzn, którzy miłują, to się nie zdarza; gdy ich bowiem melankolia i przykre myśli ogarną, dość mają na to środków, aby się rozweselić i ulgę znaleźć. Mogą pójść, gdzie chcą, usłyszeć i obaczyć to, na co chęć mają, polować, ryby łowić, jeździć konno, grze lub handlowi się oddawać. Każde z tych zajęć może umysł zająć i choćby na czas pewien smutne myśli rozproszyć; później tą lub inną drogą przyjdzie pociecha i boleść szczyźnie.

Los niesprawiedliwie postąpił, skąpiąc podpory tam, gdzie sił jest niedostatek, tak jak to widzimy na przykładzie słabych niewiast. Chcąc tedy choćby w części ten błąd fortuny naprawić i pomoc tym damom, które miłość poznały, okazać (dla pozostałych wystarczą igły, wrzeciona i krosna), zamyślam powtórzyć sto nowel, bajek albo przypowieści, jak je pospolicie nazywają, opowiedzianych w ciągu dziesięciu dni przez zacne grono siedmiu dam i trzech młodzieńców, gdy we Florencji niedawny mór się srożył; przypomnę także kilka pieśni śpiewanych dla rozrywki przez te białogłowy.

W nowelach mych zawierają się różne ucieszne i smutne przypadki miłosne, a także inne zdarzenia przeszłych i dzisiejszych czasów. Damy, które je czytać będą, ukontentowanie z opisanych wypadków odniosą i otrzymają dobrą radę, czego unikać należy i za czym iść trzeba. Mniemam, że jedno i drugie nudy im nie przyczyni, przeciwnie, odegna ją całkiem. Jeżeli tak się stanie (co oby Bóg sprawić raczył), to niechaj czytelniczki moją złożą dank Amorowi, który mnie z pęt swoich oswobodził i dał mi przez to możność podjęcia trudu, co radość ich ma na celu.

PROLOG

Zaczyna się pierwszy dzień Dekameronu, w którym po wyjaśnieniach autora, dla jakiej przyczyny osoby, mające następnie wystąpić, zebrały się tutaj i gawędzą społem, pod przewodnictwem Pampinei rozprawia się o tym, co każdemu najbardziej przypada do smaku.

Ilkrotnie, miłe damy, pomyślę o wrodzonym wam współczuciu, zaraz wystawiam sobie, że dzieło niniejsze będzie miało dla was smutny i przykry początek. Zaczyna się ono bowiem od wspomnienia morowej zarazy, strasznej i żalosalnej dla każdego, kto był jej świadkiem albo też jakimkolwiek sposobem o niej uznał. Nie chciałbym jednak, abyście przeraziły się, nim czytać poczniecie, i pomyślały, że przez cały czas czytania płakać i wzdychać będziecie. Niechajże ów smutny początek będzie dla was tym samym, czym dla wędrowców stroma i spadzista góra, za którą skrywa się miła i piękna równina. Im trudniejsze było wejście i zejście, tym słodsze jest później odetchnienie.

Nieskończona radość boleścią się kończy, a po boleści znów radość nastaje. Po tym krótkotrwałym smutku (mówię krótkotrwałym, bowiem w niewielu słowach on się wyraża) wkrótce nastąpi wesele i radość, które wam już przyobiecałem. Bez stosownego uprzedzenia, po tak posępnym początku, nie mogłybyście wróżyć sobie później nijakiego ukontentowania. Gdyby to możliwe było, powiódłbym was tam, gdzie chcę, całkiem inną drogą niż tą kamienną ścieżką. Aliści, nie dotknąwszy tego wspomnienia, objaśnić bym wam nie mógł, jakim sposobem zdarzyły się te rzeczy, o których czytać będziecie; zatem k' temu konieczność mnie czysta przywodzi.

Powiem więc, że w roku od narodzenia Pana naszego, Jezusa Chrystusa, tysiąc trzysta czterdziestym ósmym, w sławnym mieście Florencji, klejnot miast włoskich stanowiącym, wybuchła zaraza morowa, sprowadzona wpływem ciał niebieskich albo też słusznie przez Boga zesłana dla ukarania grzechów naszych. Mór zaczął się na kilka lat przedtem na Wschodzie i spowodował tam wielkie spustoszenia. Powoli, z miejsca na miejsce się przenosząc, zaraza do krajów zachodnich dotarła. Zapobieżenia ludzkie na nic się wobec niej zdały. Nie pomogło oczyszczanie miast przez ludzi do tego najętych, zakaz wprowadzania chorych do grodu, różne przestrzeżenia, co czynić należy, aby zdrowie zachować, ani też pokorne modlitwy, procesje i wszelkie pobożne dzieła.

Wiosną tego roku mór począł w przedziwny sposób okrutne spustoszenia czynić. Choroba nie objawiała się u nas tak, jak na Wschodzie, gdzie zwykłym znamięm niechybnej śmierci był upływ krwi z nosa. Zaczynała się ona równie u mężczyzn jak u kobiet od tego, że w pachwinach i pod pachą pojawiały się nabrzmienia, przyjmujące kształt jabłka albo jajka i zwane przez lud szyszkami. Wkrótce te śmiertelne opuchliny pojawiały się i na innych częściach ciała; od tej chwili zmieniał się charakter choroby: na rękach, biodrach i indziej występowały czarne albo sine plamy; u jednych były one wielkie i rzadkie, u drugich skupione i drobne. Na chorobę tę nie miała środka sztuka medyczna; bezsilni byli też wszyscy lekarze. Możliwa jest rzeczą, że przyrodzenie choroby już takim było, albo też, że lekarze nic nie wiedzieli. Medyków wówczas pojawiło się siła, tak mężczyzn, jak i kobiet, nie mających, mówiąc po prawdzie, najmniejszego pojęcia o medycznym kunszcie. Nikt nie mógł odgadnąć przyczyny cho-

roby ani znaleźć na nią stosownego remedium. Dlatego też jedynie nieliczni z chorujących do zdrowia powracali, wszyscy pozostali umierali trzeciego dnia, od chwili gdy te znamiona na ciele się pojawiały; przy tym nawet gorączka zazwyczaj nie występowała. Morowa zaraza grasowała z wielką siłą; od chorych udzielała się łatwo zdrowym, którzy z zarażonymi przebywali, podobnie do ognia, co łatwopalne przedmioty obejmuje. Aliści zło jeszcze szło dalej; wystarczyło dotknąć się sukien chorego lub jakiegokolwiek rzeczy, którą miał w rękę, aby się zarazić. To, o czym teraz powiem, może się wydawać rzeczą zadziwiającą. Gdybym jej na własne oczy nie widział i gdyby nie świadectwo wielu, sam bym jej nie dał wiary ani poważyłbym się jej tu opisywać. Siła zarazy była tak wielka, że przenosiła się ona nie tylko letko z jednego człeka na drugiego, ale i tak bywało, że jeśli do przedmiotu, stanowiącego własność chorego, zbliżyło się jakieś zwierzę, zaraz mór się go chwycił i w krótkim czasie je uśmiercał. Jakem to już nadmienił, sam byłem takiego przypadku świadkiem. Strzępy odzieży pewnego nieboraka, zmarłego z powodu tej choroby, na ulicę wyrzucone zostały. Do szat podeszły dwie świny i jęły je, wedle swego obyczaju, ryjami i zębami poruszać. Nie minęła ani godzina, a zwierzęta, jakby trucizny się najadły, zatoczyły się i padły nieżywe. Wypadki te wzbudziły w umysłach nieopisaną trwogę i napełniły je różnymi wyobrażeniami. Wszyscy bezlitośnie tylko o to się starali, aby społeczeństwa z chorymi unikać. To zdawało się powszechnie jedynym ocalenia sposobem. Niektórzy mniemali, że strzeżliwość przeciwko zarazie zabezpieczyć może, dlatego też wszelkiego nieumiarkowania się wystrzegali. Zgromadzali się w domach swoich, gdzie żyli odcięci od świata całego. Jadali letkie potrawy, pili powściągliwie wyborne wina i chuciom cielesnym nie folgując, czas swój na muzyce i innych dostępnych im przyjemnościach trawili, dla zapomnienia o zarazie i śmierci, o których ani słyszeć nie chcieli.

Inni zaś całkiem przeciwnie postępowali twierdząc, że najlepszym lekarstwem na zarazę jest nie myśleć o niej, pić tego i żyć wesoło, śpiewać i żartować, wszystkie swoje pragnienia zaspokajając i śmiać się z tego, co się wokół dzieje.

Tak też czynili. Dzień i noc włóczyli się po oberżach, pili na umór, a częściej swawolili w cudzych domach, opuszczonych przez prawych właścicieli, tak iż każdy mógł je zajmować rządząc się tam do woli. Jednakowoż i ci, raczej do zwierząt niżli do ludzi podobni, unikali skrzętnie obcowania z zarażonymi. Wśród takich opresyj i takiej żądzy osłabła, a nawet całkiem szczyła siła tak człowieczych, jak i bożych praw. Jej stróże i wykonawcy bądź to pomierali, bądź chorzeli albo też tylu podwładnych utracili, że obowiązków urzędu swego dopełniać nie mogli. Każdy przeto mógł czynić, co chciał. Wielu ludzi wybrało sobie sposób życia pośredni między tymi dwoma, o których już nadmieniłem. Ci nie ograniczali się w jadle, na podobieństwo pierwszych, nie pili i rozpuście się nie oddawali, żyli jeno zgodnie z swym gustem a życzeniem. Nie zamykali się w domach, ale chodzili wszędzie, nosząc w rękach kwiaty, zioła pachnące i różne korzenie, które do nosa przykładali, w mniemaniu, że podobne zapachy siły żywotne w nich skrzepią. Powietrze w tym czasie było bowiem ciężkie, gęste i nasiąkło smrodem gnijących trupów, wyziewami chorych i lekarstw.

Inni wreszcie, bardziej nieużyci i bezlitośni, twierdzili, że najlepszym środkiem na zarazę jest ucieczka od niej. Myśląc tylko o sobie, siła mężczyzn i kobiet opuściło miasto, domy, majątności, krewniaków i przeniosło się do posiadłości swoich, za bramami grodu leżących, albo też u ludzi obcych schronu szukało. Mniemali widocznie, że gniew Boga, karzącego ludzi za ich nieprawość, dosięgnie tylko tych, co w obrębie miasta pozostaną, innych zaś oszczędzi, taki jakby cała ludność miasta na zagładę skazana została i jakby dla niej ostatnia godzina wybiła. Wprawdzie pomarli nie wszyscy z tych, co podobne mniemania żywili, ale i nie wszyscy zarazę przeżyli; owszem, pośród wszystkich tych stronnictw choroba szerzyła się srodze. Liczni, gdy się jeszcze zdrowiem cieszyli, opuszczali w niedoli swoich krewniaków i przyjaciół i tym dawali przykład drugim, którzy gdy na nich kolej przyszła, to samo czynili, zdając bliskich na pastwę losu. Gdyby to jeszcze sąsiad sąsiada bez pomocy ostawiał, gdyby

tylko znajomi i krewniacy wystrzegali się wzajemnych odwiedzin! Niestety, powszechna, klęska taką trwogę w umysłach mężczyzn i kobiet sprawiała, że brat opuszczał brata, wuj siostrzeńca, siostra brata, a często nawet żona męża swego. Gorzej jeszcze, że ojcowie i matki ostawiali dzieci swoje nie troskając się o nie zupełnie, tak jakby obcymi im były. Wielu spośród mnogich mężczyzn i białogłów, dotkniętych zarazą, mogło tylko u kilku tkliwych przyjaciół albo też u sług najętych pomocy szukać. Słudzy ci, chciwością powodowani, otrzymawszy wielką zapłatę, mieli pieczę nad chorymi. Aliści i takich niewielu znaleźć można było; byli to przy tym ludzie grubi i z podobnymi posługami wobec chorych wcale nie obeznani. Umieeli jeno podać czasem to, czego chory żądał, a także po śmierci przybrać go do trumny. Zgarniali wielkie zyski, ale i sami umierali.

Skutkiem tego, że chorych opuszczali krewniacy, przyjaciele i sąsiedzi i że sług dostać nie można było, weszła w obyczaj rzecz dotąd niesłychana: białogłowy, choćby najpiękniejsze i z najlepszych rodów idące, nie wzdragały się, zachorowawszy, mężczyzn do posług przyjmować, nie wchodząc w to, czyli są starzy, czy też młodzi, i obnażały przed nimi najwstydlwsze części ciała swojego. Może być, że te, które później do zdrowia przyszły, z zwyczaju tego pobudkę do rozpusty wzięły. Siła umarło z tych, co gdyby pieczę nad sobą mieli, ani chybi by wyzdrowieli. Przy braku opieki i przy gwałtownym szerzeniu się zarazy codziennie tyle narodu ginęło, że strach i zgroza brała nie tylko świadków, ale i tych, co o tym słyszeli.

Pośród ludzi przy życiu pozostałych pojawiło się wiele nowych obyczajów, całkiem przeciwnych do tych, co dawniej istniały. Dotychczas zwyczajem, było, że w domu zmarłego zbierały się krewniaczki i sąsiadki, które go po społu z domownikami opłakiwały; przed domem zasię skupiali się przyjaciele i sąsiedzi oraz liczni współobywatele; do nich później, według godności zmarłego, dołączało się duchowieństwo. Zebrani brali mary na ramiona i ze śpiewem, przy blasku gromnic, zwłoki odprowadzali do kościoła, który zmarły wybrał był przed zgonem. Gdy tylko mór się pojawił, obyczaje te zanikły ustępując miejsca nowym. Umarłego nie tylko cizba niewiast nie otaczała, ale niejeden człek samotnie z tego świata schodził, nie będąc żegnany łzami i wzdychaniami swoich krewniaków. Miast szlochów rozbrzmiewały żarty, śmiech i wesołość na stypach.

Nowy ten obyczaj zwłaszcza dbałym o swe zdrowie białogłowom do smaku przypadł, zadając kłam ich płci tkliwości. Rzadko się zdarzało, aby szczątki doczesne przez więcej niż dziesięć albo dwanaście osób do kościoła odprowadzane były. Orszak żałobny składał się przy tym nie z czcigodnych mieszczan, lecz z zwykłych grabarzy, którzy zwali się służbą moru i za zapłatą pracowali. Ci, trumnę jak najspieszniej pochwycawszy, nieśli ją zazwyczaj do najbliższego kościoła, a nie tam, gdzie zmarły pragnał, aby nad jego ciałem modły, odprawiono. Czterech albo sześciu księży z zapalonymi świecami a czasem i bez nich odprowadzało zwłoki do pierwszej napotkanej mogiły i powierzało je ziemi bez zbytnich modłów. Los ludzi ubogich, a nawet tych, co w miernym dostatku żyli, godzien był najżywszej litości. Ci, pozostawszy z powodu ubóstwa albo też z przyczyny ufności, jaką w miłosierdziu bożym pokładali, w domach swoich, wpośród sąsiadów, tysiącami co dnia ulegali chorobie, a nie zaznając znikąd żadnej pomocy ginęli bez ratunku. Wielu dniem i nocą na ulicach padało, inni umierali w swoich domach, a sąsiedzi po trupim zaduchu dopiero o ich śmierci się dowiadawali. Znaczna część mieszkańców, bądź to z obawy zarażenia się, bądź też z miłosierdzia dla zmarłych, przyjęła obyczaj wnoszenia zwłok przed dom własnymi rękami czy też przy pomocy grabarzy; kładli je przed progiem, tak że w tych miejscach, zwłaszcza rankiem, niezliczoną ilość zwłok obaczyć można było. Później przynoszono mary, a gdy ich brakło, proste deski; zdarzało się, że na jedne mary dwa albo trzy trupy kładziono, tak iż często można było obaczyć zwłoki męża obok zwłok żony, szczątki dwu albo trzech braci, trupa ojca po społu z trupem syna leżącego. Za dwoma księżmi, niosącymi krzyże, trzy albo cztery mary niesiono. Duchowni, którzy sądzili, że tylko jednego zmarłego na miejsce wiecznego spoczynku wiedzą, przy grzebaniu sześciu albo ośmiu trupów musieli być przytomni. Umarłym

nie okazywano czci nijakiej, nie odprowadzano ich do grobu z zapalonymi pochodniami ani też nad nimi łez nie roniono. Wreszcie k'temu przyszło, że równie o umarłych się troskano, co o zdechłe kozy. Jawnym się wówczas stało, że powszechna niedola uczy nawet głupców cierpliwie poddawać się losowi, czego w zwykłych czasach ludzie najmądrzejsi, małymi tylko przeciwieństwami nękanymi, nauczyć się nie są w stanie. Gdy z powodu mnogości trupów na cmentarzach poświęconej ziemi nie stało, tak iż nie lza już i myśleć było, aby każdy zmarły miał swoją mogiłę, poczęto kopać głębokie jamy, w które trupy setkami jedne na drugie rzucono na kształt towarów na okręcie. Zwłoki ledwie cienką warstwą ziemi przysypywano, póki jama po brzegi się nie napelniła.

Nie będę się zbytnio szerzył nad szczegółami tej niedoli, co nasz gród dotknęła; powiem jeno, że zaraza nie mniej rozszerzyła się po miejscowościach okolicznych. Nie wspominam o zamkach, bowiem te do małych grodów podobieństwo mają, chcę natomiast powiedzieć o wsiach, gdzie nieszczęśliwi kmiecie wraz z rodzinami, pozbawieni pomocy medyków i jakiegokolwiek pieczy, marli na polach, drogach i w domach nie jak ludzie, ale jak bydłota. We wsiach nastąpiło to samo co i w miastach, a więc obyczajów rozwiązłość i brak dbałości na obowiązki swoje i sprawy. Ludzie jakby na śmierć każdego dnia czekali i dlatego też nie przykładali nijakiej pilności do uprawy pól, do utrzymywania trzód i dobytku swego; przeciwnie całkiem, starali się roztrwonić plody swej pracy.

Doszło do tego, że woły, osły, owce, kozy, świnie, kury, a także najwierniejszych przyjaciół człeka, psy, wyganiano z obejścia, tak iż zwierzęta wałęsały się po polach, gdzie niezżęte żyto przepadało. Niektóre bydłota, napasłszy się do syta na opuszczonych polach, wieczorem bez pomocy pastucha, niby rozumne istoty do swych stajen i obór powracały.

Ale ostawmy już wsie okoliczne i do miasta powróćmy. Tutaj z srogiego niebios wyroku, a także z przyczyny ludzkiego okrucieństwa, w czasie od marca do czerwca więcej niż sto tysięcy osób życie straciło¹. Ginęli od strasznej zarazy, a także z braku pieczy i pomocy, skąpionej im przez zdrowych, którymi trwoga owładła. Dawniej nikt by może nie był pomyślał, że w Florencji można naliczyć tylu żywych mieszkańców, ile w niej się później okazało zmarłych. Ileż to pięknych domów, wspaniałych pałaców, przedtem przez mnogie rodziny, przez rycerzy i znamienite damy zamieszkałych, teraz pustką stanęło! Wymarli w nich wszyscy, aż do ostatniego sługi!

Ileż to świetnych rodów, nieprzejrzanych bogactw i skarbów bez dziedziców ostało! Iluż dzielnych mężów, urodziwych, kobiet i młodzieńców, których by Eskulap², Gallen i Hipokrat za obraz kwitnącego zdrowia, ani chybi, poczytali, rano jeszcze obiadowało w społeczności swych przyjaciół i krewniaków, zasię nazajutrz już wieczerało po społu z swymi zmarłymi przodkami. Ciężko mi jest na sercu, kiedy błędę mysią pośród tej okrutnej niedoli, dlatego też wszystko, co mogę, milczeniem pokryję.

A owóz w tym czasie, gdy gród nasz prawie całkiem opustoszał (słyszałem o tym później od człeka godnego wiary), zdarzyło się, że we wtorek rano, w starożytnym kościele Santa Maria Novella siedem młodych kobiet się zeszło. Wysłuchały mszy w szatach żałobnych, jakie przystały chwilom takim. Krom nich nikogo bez mała w kościele nie było. Damy te więzami pokrewieństwa, przyjaźni i sąsiedztwa zbliżone do siebie były. Żadna z nich jeszcze dwudziestego ósmego roku życia nie ukończyła, najmłodsza zaś ledwie osiemnaście lat liczyła. Były to białogłowy szlachetnej krwi, dobrych obyczajów, roztropne, skromne i wdzięczne. Nazwisk ich tutaj nie wymienię, nie chcę bowiem, aby się w przyszłości wstydzić miały za rzeczy, które opowiadały czy też słuchały ich. Obyczaje teraz sroższe nastały i nie lza już zażywać uciech i rozrywek, które podówczas dozwolone były nie tylko osobom w ich wieku, ale i starszym o wiele. Nie chciałbym także dać sposobności ludziom zawistnym (gotowym oczernić najniewinniejszego!), aby swymi niesprawiedliwymi posądzeniami mogli dobrą sławę tych białogłów splamić. Aby jednak omyłek uniknąć, pragnę nazwać je imionami, stosownymi do ich natur³ Pierwszą, latami starszą, przezwiemy Pampinę, drugą –

Fiammettą, trzecią – Filomeną, czwartą – Emilią, piątą niechaj się zwie Laurettą, szóstą Neifile, siódmą zasię, nie bez przyczyny, Elizą zwać będziemy. Tych siedem niewiast, bez żadnego poprzedniego ułożenia, zeszło się trafunkiem w kościele. Usiadły wkoło, wzdychały długo, a później, skończywszy modlitwy, jęły mówić dużo o tym, co się dzieje. Po jakimś czasie, gdy wszystkie umilkły, Pampinea z takimi słowy do nich się obróciła:

– Drogie przyjaciółki! Wiecie równie dobrze jak ja, że nikomu tego naganiać nie można, iż uczciwie praw swoich używa. Każdy, co na świat przyszedł, ma naturalne prawo podtrzymać i ochraniać życie swoje. Uznają to wszyscy tak dobrze, że jeszcze nikomu, jeżeli w obronie własnej drugiego zabił, za występki tego nie poczytano. Jeżeli zaś prawa, dla dobra ludzi ustanowione, takie rzeczy czynić pozwalają, o ileż więcej wolno nam być winno użyć wszelkich środków dla ochrony życia naszego? Gdy pomyślę o tym, cośmy robiły dzisiaj i w dni poprzednie, gdy wspomnę nasze rozmyślenia i rozmowy, widzę jawnie, że każda z nas drży o życie swoje. Nie ma w tym, wierę, nic dziwnego! Dziwuję się jeno, że my, białogłowy, nie przyjęłyśmy dotychczas stosownych miar w stosunku do rzeczy, co nasza trwogę tak powodują. Zdaje mi się, iż pozostajemy tu tylko dlatego, aby liczyć, ilu umarłych na cmentarz niosą, i patrzeć, czy bracia z tego klasztoru, których niewielu już pozostało, dobrze służbę bożą w właściwym czasie pełnią, albo też po to, by żałoba naszych szali wszystkim ukazywać, ile i jakich nieszczęść nas spotkało. Gdy stąd wyjdziemy, znowu obaczmy chorych i umarłych, co ich ze wszystkich stron niosą, ujrzymy także różnych łotrzyków, których z miasta za ich zbrodnie wygnano, a którzy teraz jawnie z praw szydząc, skoro ich strażnicy martwi albo chorzy leżą, zuchwale po mieście się uganiają. Obaczmy również pospólstwo, naszą krwią utuczony, i owych posługaczy moru, wałęsających się wszędzie i bezwstydnymi pieśniami śpiewających. Słyszymy tylko o tym, że ten lub ów umarł, a tamten ze śmiercią się pasuje. Gdyby było jeszcze komu płakać, powszędy rozlegałyby się szlochy i jęki. Gdy zasię powracamy do domu i widzimy, że z całej rodziny przy życiu jeno służka ostała, taki strach za gardło chwyta, że włosy na głowie się podnoszą. Dokądkolwiekbym nie poszła, wszędzie mnie cienie zmarłych gonią, w kształtach swoich odmienione, z przerażającymi pozory, które nie wiem, skąd się u nich wzięły. Dlatego też w domu, tutaj i wszędzie ciężko mi jest na duszy, zwłaszcza że, jak mi się zdaje, krom nas nie ma już tu człeka, w którym by trochę siły żywotnej ostało. Słyszałam i widziałam, jak często ludzie (nie wiem, czy jeszcze są przy życiu) zatracają wszelką różnicę między rzeczą obyczajną a bezecną i jedynie swoim pragnieniem się powodując, dniem i nocą to jeno czynią, na co ochotę mają. Robią to nie tylko ludzie świeccy, ale i zakonnicy. Przekonani, że nie jest wzbronione im to, co innym dozwolone być może, znieważają śluby swoje, chuciom swoim folgują i myślą tym kształtem życie swoje ocalić. Jeżeli zaś w samej rzeczy tak się dzieje, cóż my tu czynimy, na co czekamy, o czym myślimy, dla czegoż niedbałej od innych o utrzymanie życia naszego zabiegamy? Zaliż gorszymi być się mniemamy czy też sądzimy, że życie do ciał naszych silniejszym łańcuchem, niż u innych, jest przytwierdzone, tak iż obawiać się o nie wcale nie trzeba? Wierę, w srogim błędzie byśmy były, bowiem myśleć tą modłą tylko głupiec może. Zważmy, ilu młodzieńców i kobiet od srogiej zarazy zginęło, a obaczmy w tym najlepszy dowód naszego błędnego mniemania. Dlatego też, abyśmy, dzięki naszej niedbałości, nie wpadły w gorszą biedę, której przecież uniknąć możemy, umyśliłam coś; nie wiem tylko, czy ten środek ratunku wam do smaku przypadnie. Mniemam, że najlepiej będzie uczynić to, co wielu już przed nami czyniło i ani chybi, potem uczyni, to jest, miejsca te opuścić. Na równi ze śmiercią unikać będziemy przykładów bezwstydnich, jeno po prostu z miasta wyjdziemy i udamy się do którejkolwiek z naszych wiejskich posiadłości, gdzie wśród wesela i rozrywek, granic obyczajności nie przekraczając, żyć poczniemy. Rozlegają się tam radosne ptaszki śpiewy; ujrzymy zielone szczyty i doliny, pola, na których jak morze kołyszą się zboża, a także drzewa różnorodne i niebo odkryte; chociaż się ono i na nas zagniewało, przecie nie skąpi nam przez to swej wiecznej krasy; trzeba przyznać, że milej będzie wpatrywać się weń niż patrzeć na puste domy naszego

grodu. Krom tego powietrze tamtejsze czystsze jest, a co się tyczy żywności, to znajdziemy tam jej teraz więcej, a przykrości o wiele mniej niż tutaj. Prawda, że kmiecie podobnie jak mieszczanie umierają, jednakowoż mniej tam ludności i domów, dzięki czemu i mniej się trupów widzi. Przy tym, zdaje mi się, że nie opuścimy tu nikogo, bowiem raczej powiedziec można, iż same opuszczone jesteśmy. Wszyscy, co nam bliscy byli, albo umarli, albo też uciekając od śmierci, nas odbieżeli. Żaden wyrzut więc gryźć naszych sumień nie będzie, jeżeli zamiysł swój wypełnimy, jeśli jednak się go wyrzeczemy, troska, cierpienie, a być może i śmierć nas spotka. Tedy, jeżeli się zgadzacie, weźmiemy z sobą służbę, opatrzymy się w rzeczy niezbędne i będziemy spędzały czas raz w jednym miejscu, to znów w drugim, wesełając się w miarę tego, jak nam okoliczności pozwolą; mniemam, że najrozumniejszym postępkim to się okaże. Będziemy wiodły takie życie, aż niebo nie położy kresu temu, co się teraz dzieje, chyba że śmierć nas wcześniej dopadnie. Sądzę, że oddalić się stąd jest lepiej, niż tu pozostawać i żyć nieobyczajnie, jak to inni czynią.

Pozostałe damy, wysłuchawszy Pampinei, nie tylko zamiar jej pochwały, ale pragnąc go w czyn wcielić, jęły myśleć nad wszelkimi szczegółami, tak jakby wprosi z kościoła miały w drogę wyruszyć. Wówczas Filomena, nader roztropna białogłowa, w te słowa rzekła:

– Wszystko, co Pampinea powiedziała, jest rozumne wielce, aliści nie mamy potrzeby tak się spieszyć, jak tego pragnąć się zdajecie. Zważcie, że wszystkie kobietami jesteśmy, a przecież i dziecku wiadome jest, że białogłowom trudno jest coś przedsięwziąć bez pomocy mężczyzn. Jesteśmy niestałe, bojaźliwe, uparte i podejrzliwe. Mniemam, że gdy same swoimi przewodnikami będziemy, to społeczność nasza, długo trwać nie będzie. Musimy najpierw za jakimś przewodnikiem się rozejrzeć.

– Prawda jest – rzekła Eliza – mężczyźni są naturalnymi przewodnikami białogłów i bez nich rzadko jakiegokolwiek niewiast przedsięwzięcie do pomyślnego końca przychodzi. Ale gdzież mamy tych mężczyzn szukać. Wiadomo nam, że nasi najbliżsi prawie wszyscy pomarli lub też rozbiegli się w różne strony, uciekając nie wiedząc gdzie od kłeski, od której i my salwować się chcemy. Przyzwoitość zabrania nieznanym zapraszać; zresztą miast wesela i wczasu wstyd i przykrość znaleźć byśmy mogły.

Gdy damy tak z sobą rozmawiały, weszli do kościoła trzech mężczyźni. Nie byli to młodzieńcy, bowiem najmłodszy dwadzieścia pięć lat już liczył. Ani przeciwności tego czasu, strata przyjaciół i krewniaków, ani też lęk o życie własne nie zdołały w ich sercach ognia miłości przytłumić, a tym mniej zagasić.

Pierwszy z nich zwał się Panfilo, drugi – Filostrato, trzeci – Dioneo. Byli to ludzie krotchwilni, ale i obyczajni. W powszechnym zamęcie jednej pociechy szukali: dam swoich, które trafunkim znajdowały się pośród siedmiu białogłów, w kościele zebranych. Niektóre zaś z nich spokrewnione z trzema mężczyznami były. Pampinea ujrzawszy ich rzekła z uśmiechem:

– Los sprzyja, widać, naszym poczynaniom, przysyła nam bowiem rozumnych i układnych mężów, którzy naszymi przewodnikami i sługami będą, jeśli tylko na służbę przyjąć ich zechcemy.

Neifile, będąca przedmiotem miłości jednego z przybyłych, zarumieniwszy się z pomieszenia, rzekła:

– Na Boga! Pampineo, zważ na to, co mówisz! Znam ich i wiem, że nic złego o nich powiedzieć nie lza; poczytuję ich za zdolnych do znacznie ważniejszych przedsięwzięć niż to oto, a także upewniona jestem, że towarzystwo ich miłe by było każdym damom, piękniejszym i znaczniejszym od nas.

Rzecz jednak w tym, że niektórzy z nich, jak o tym wszystkim wiadomo, niektóre z nas miłują; obawiać się zatem trzeba, że skoro ich zaprosimy, bez ich ani naszej winy ludzie nas osławić mogą.

– Błahe są to sprawy – odparła Filomena – dopóki postępuję tak jak należy i dopóki sumienie mnie nie dręczy, niechaj każdy gada o mnie, co, mu się podoba. Bóg i prawda będą po

mojej stronie. Jeżeli tylko będą skłonni nam towarzyszyć, to powinniśmy radować się, jak to słusznie Pampinea zauważyła, że los naszym poczynaniom sprzyja.

Pozostałe damy, usłyszawszy te słowa, umilkły i zaraz postanowiły przywołać młodzieńców, opowiedzieć im o swych zamysłach i poprosić, aby im towarzystwa w podróży dotrzymali. Pampinea, krewniaczka jednego z nich, podniosła się, zbliżyła się do nich, spoglądających na nie z daleka, z uśmiechem ich powitała, opowiedziała, w czym rzecz, i w imieniu wszystkich dam poprosiła, aby się zgodzili szczerze i po bratersku do ich kompanii przystać. Z początku młodzi ludzie pomyśleli, że damy z nich żartują, ale potem przekonawszy się, że wysłanniczka poważnie mówi, odparli wesoło, że zaproszenie ohotnie przyjmują. Bez zwłoki umówiono się o wszystko, w co należało się opatrzyć wyruszając w drogę.

Przygotowawszy wszystko jak należy, posłali uwiadomienie do tego miejsca, gdzie się udać zamierzali. Następnego dnia, w środę rano, skoro świt, damy w otoczeniu służebnic swoich, a młodzieńcy po społu z sługami opuścili miasto i wyruszyli w drogę. Przeszedłszy ze dwie mile, dosięgli umówionego miejsca⁴. Leżało ono na niewielkiej górze, oddalonej od dróg i ścieżek pokryte różnymi krzewami i roślinami, że miło spojrzeć było na gąszcz zielonych pędów. Na szczycie góry stał dom z obszernym dziedzińcem pośrodku; wspaniałe komnaty, sale i krużganki tego domu malowidłami upiększone były. Wokół ciągnęły się pola i sady, widać było studnie pełne przezrocze wody, i piwnice opatrzone w wina najwyborniejsze, które by lepiej znawcy, niżli skromne białogłowy ocenić umieli. Przybysze z wielkim zadowoleniem znaleźli wszystko gotowe na ich przyjęcie. Komnaty były ochędożone i przystrojone, łoża pokryte świeżą pościelą; wszędzie rozstawiono świeże kwiaty, jakie w tej porze roku należeć można było.

Gdy po przybyciu na miejsce wszyscy usiedli, aby wczasu zażyć, wesoły i krotochwilny Dioneo rzekł do dam:

– Raczej wasz zmysł zdrowy i wasza przezorność niżli nasza wola nas tutaj przywiodły. Nie wiem, coście w myślach swoich uczynić postanowiły, co się jednak tyczy moich, to ostawiłem je za bramą miasta, gdym co dopiero koło niej przechodził. Jeżeli pragniecie śpiewać i weselić się po społu ze mną, zapraszam was do tego, zachowując wszelkie względy waszej przystojności należne, jeżeli zaś nie, pozwólcie mi wracać z powrotem do moich myśli i do nieszczęsnego miasta.

Pampinea, która widać również wszelkich trosk swoich się pozbyła, odpowiedziała wesoło:

Dioneo dobrze mówi. Będziemy żyły wesoło, po to bowiem z miejsca smutku uszłyśmy. Ponieważ jednak rzeczy bez ustanowionego porządku długo trwać nie mogą, ja więc, która, pierwszą pobudkę do rozmów w naszym towarzystwie dałam, zalecam, gwoli zachowania wesołości naszej, abyśmy spośród siebie jakiegoś przodownika wybrali. Wszyscy go będą słuchali i w wielkim go mieli zachowaniu, on zaś starać się będzie o to, aby nam czas miło upływał. Aby zaś każdy z nas troski i słodycz powszechnego uważania jednako poczuł i aby przyczyn do zawiści nie było, mniemam, że dobrze by było, gdyby ciężar ten i zaszczyt co dzień komu innemu przypadał. Pierwszego wybierzemy powszechną głosów elekcją, a ów władca wieczorem tegoż dnia następcę swego mianuje. Wybrany w czasie swego panowania będzie miał możność ustanowić do woli, jak i gdzie dzień spędzić mamy.

Mowę tę powszechny aplauz spotkał i natychmiast jednogłośnie Pampineę królową pierwszego dnia obwołano. Filomena, która słyszała wielokroć o czci, jaką wawrzynowe wyrażają liście, pobiegła duchem do laurowego krzewu, zerwała kilka gałązek, splotła z nich piękny wieniec i włożyła go na głowę Pampinei. Od tych pór wieniec laurowy, póki trwały te zebrań, stał się u nich starszeństwa oznaką.

Pampinea, która królową się stała, rozkazała przywołać trzech sług młodych ludzi i cztery służebnice dam i gdy wszyscy srogie milczenie zachowywali, na ten kształt mówić ją:

– Chcę wam wszystkim dobrym przykładem służyć, jak należy dbać o nasz związek, tak

aby coraz lepszym się stając, mógł się utrzymać długo w porządku i wesołości, bez obrazy przystojności i naszej dobrej sławy, i dlatego mianuję sługę Dionea, Parmena, marszałkiem moim, nakładając nań obowiązek pieczy nad kuchnią i domem. Sługa Panfila, Sirisco, zostanie skarbnikiem i rachmistrzem. Tindaro niechaj służy wszystkim trzem kawalerom, wyręczając Parmena i Siriska, którym nowy urząd tego już czynić nie pozwoli. Moja pokojowa Misia, i służebnica Filomeny, Licisca, będą w kuchni przyprawiały potrawy wedle Parmena rozkazu. Chimera i Stratilia, służebnice Lauretty i Fiammetty, będą obsługiwały w komnatach naszych dam i utrzymywały w czystości miejsca zebrań naszych. Każdemu zaś wiadomym czynię, jeśli łask naszych utracić nie chce, że wzbrania mu się surowie złych wieści przynosić, co bądź i gdziekolwiekby usłyszał.

Wydawszy te rozkazania, ochotnie przez wszystkich przyjęte, królowa wstała i rzekła wesoło:

– Wabią nas okoliczne ogrody, świeże łąki i inne przyjemne miejsca, niechaj zatem każdy uda się tam, gdzie chce. O trzeciej⁵ znów się zejdziemy i będziemy pożywali obiad w chłodzie.

Wesołe towarzystwo dam i kawalerów za pozwoleniem królowej udało się tedy do sadu. Poczęto przechadzać się po ogrodzie, wesołą rozmową się bawiąc, równianki kwiatów wiążąc i pieśni miłosne nuąc.

Gdy nadszedł czas oznaczony, wszyscy powrócili do domu i przekonali się, jak gorliwie Parmeno z obowiązków nań nałożonych się wywiązywał. Wszedłszy do jadalni ujrzeli stoły zasiane śnieżnobiałymi obrusami i srebrnymi – zdało się – naczyniami zastawione oraz kwiatami janowca przybrane. Królowa rozkazała podać wody do rąk obmycia; za czym wszyscy zajęli miejsca, ukazane im przez Parmena. Przyniesiono smakowite potrawy i wyborne wina; trzech pokojowców obsługiwało do stołu. Wszystko tak znakomicie przygotowane było, że towarzystwo, pełne ukontentowania, żartując i śmiejąc się, z wielką ochotą jadło. Po obiedzie, gdy ze stołów uprzątnięto, królowa kazała muzyczne instrumenty przynieść. Niektórzy z młodzieńców (jako i z dam niektóre) pięknie śpiewali i grali, co się zaś tyczy tańców, to płaść wszyscy umieli. Dioneo chwycił lutnię, Fiammetta wzięła wiołę i oboje do tańca zagrali. Królowa służbę na obiad odesłała, a potem z pozostałymi damami i dwoma kawalerami taniec kołowy powolnym krokiem zawiodła. Później wesołe i powabne piosenki śpiewać jęli. Na takich uciechach czas trawili, aż wreszcie królowa dała znak, że już pora na spoczynek. Wszyscy do swoich komnat się rozeszli. Młodzieńcy zastali w swoich pokojach łoża w puchy opatrzone i mnóstwo kwiatów. Damy także do komnat swoich odeszły i rozdziawszy się, wczasu zażywać jęły.

Gdy dziewiąta godzina nadeszła, królowa powstała, obudziła damy i kawalerów, twierdząc, że zbyt długi sen w ciągu dnia zdrowiu szkodzi. Towarzystwo udało się na łąkę, wysoką i świeżą trawą porośłą i od słońca osłanianą. Tutaj w chłodzie lekkiego wietrzyka wszyscy wkoło na trawie zasiedli, jak przykazała królowa, a wówczas ona z taką mową się do nich obróciła:

– Widzicie, że słońce jeszcze na niebie wysoko i że żar jest dokuczliwy wielce; nic wokół nie słyhać, krom cykania świerszczy na oliwkach. Nierozsądną rzeczą by było teraz na przechadzkę się wybierać. Tutaj uroczno jest i chłodno! Oto szachy i szachownice, niech każdy upodobaniu swemu zadosyć uczyni. Jeśli jednak posłuchać mnie zechcecie, lepiej będzie grę tę ostawić. Przy grze zawsze jedna strona w nieukontentowanie popada, które przyjemności przecie ani przeciwnikowi, ani przyglądającym się sprawić nie może. Gdy się jednak historie opowiada, wszyscy chętnie słuchają i skwarny czas dnia szybko przechodzi. Nie zdążymy nawet wszyscy po jednej noweli opowiedzieć, gdy słońce ku zachodowi się schyli. Wówczas pójdziemy, gdzie chęć będziemy mieli. Nie niewolę nikogo i gotowa jestem ogólnemu życzeniu się nie sprzeciwiać, jeśli jednak moje ułożenie wam się podoba, to zaraz je w czyn wcielmy, w przeciwnym razie niech każdy do wieczora czyni to, na co ma ochotę.

Damy i młodzieńcy oświadczyli się wszyscy za opowiadaniem.

– Skoro tak – rzekła królowa – to niechaj w tym pierwszym dniu każdy, jaką chce, materię do opowieści wybierze.

Później, obróciwszy się łaskawie do Panfila, siedzącego obok niej po prawej ręce, kazała mu, aby swoją powiastką innym dał początek. Panfilo, słowom królowej posłuszny, zaczął swoją opowieść wśród natężonej wszystkich przytomnych uwagi.



**DZIEN
PIERWSZY**

Opowieść pierwsza



SPOWIEDŹ CIAPPELLETTA

Ser Cepparello, fałszywą spowiedzią zwiódłszy świętego braciszka, umiera. Za życia był hultajem co się zowie, po śmierci obwołano go świętym, mianując go świętym Ciappelletto.

– Stosowną rzeczą jest, miłe białogłowy, aby człek każdą sprawę zaczynał w święte i podziwienia godne imię Tego, kto był twórcą wszystkich rzeczy. Jako że mnie opowieści nasze zacząć przypadło, chcę tedy na początek rzec o jednym z cudów bożych, tak aby po wysłuchaniu tej przypowieści nadzieja nasza, którą w Bogu pokładamy, okrzepla, niewzruszoną się stała i aby Jego imię zawsze było wychwalane.

Wszystkie sprawy tego świata są znikome i marne, pełne wewnątrz siebie i wokół trosk, trudów i goryczy i nieskończonym niebezpieczeństwom podległe. Żyjąc pośród nich i będąc ich częścią, nie moglibyśmy dać im odporu ani obronić się, gdyby szczególna łaska boska nie dodawała nam sił i przezorności. Ta łaska spływa na nas nie wskutek jakichś zasług naszych, lecz dzięki dobrodziejstwu bożemu i modlitwom tych, którzy żyjąc na świecie, z woli Boga byli śmiertelnymi, tak jak my jesteśmy, teraz zaś, dzieląc z Nim wieczność, są błogosławieni. Do nich, jako do orędowników, wiedzących przez eksperyencję o naszej słabości, obracamy się z naszymi sprawami i potrzebami, nie śmiać zanosić prośb naszych do Najwyższego Sędzi. Co więcej, Bóg, pełen wielkiego dla nas miłosierdzia, rozeznawa, że śmiertelnymi oczami naszymi nie możemy przeniknąć tajemnicy Jego boskiej mądrości. Nieraz przytrafia się może, że powszechnym mniemaniem omyleni, wybieramy naszym orędownikiem przed Nim tego, kto na wieczne wygnanie jest osądzony. Ale jako że dla Boga nic skrytym nie jest, tedy patrzy on bardziej na czystość myśli modlącego się niżli na jego niewiedzę i potępienie orędownika, ku któremu modlący się obracają, i wysłuchuje ich prośb, tak jakby one do błogosławionego zanesione były. Jawnie to widać z tej noweli którą teraz wam opowiedzieć zamierzam, i jawnie, powiadam, nie wedle osądu bożego, ale ludzkiego mniemania.

«Powiadają tedy, że Musciatto Franzesi⁶, z wielkiego i bogatego kupca we Francji stawszy się rycerzem, miał ciągnąć do Toskanii wraz z bratem króla francuskiego, Karolem bez Ziemi, przyzwanym i do przybycia naglonym przez papieża Bonifacego. Jak to często u kupców się przytrafia, sprawy Musciatta w wielkim były zawikłaniu. Nie mogąc ich łatwo i szybko do porządku doprowadzić, umyślił polecić to różnym ludziom. Na wszystko znalazł sposób, jedyna tylko wątpliwość mu pozostała: nie wiedział, komu poruczyć wydobycie długów, jakie mu się należały od różnych Burgundczyków. Dobrze wiedział zaś, że Burgundczycy są ludźmi wiarołomnymi, występnyymi i złej wiary.

Nie mógł w myślach natrafić na człeka tak szczwanego, co by się potrafił niegodziwości Burgundczyków przeciwstawić. Gdy się długo nad tym głowił, przyszedł mu nagle na pamięć niejaki ser⁷ Cepparello z Prato⁸, który go często w jego domu w Paryżu odwiedzał. Był to człek niskiej postury i w stroju swym wielce wymuskany. Francuzi nie wiedząc, co oznacza włoskie słowo „cepparello”, myśleli, że to „cappello” – czyli wianek, a ponieważ był niskiego wzrostu, nazwali go nie Cappello, lecz Ciappelletto; pod tym imieniem znany był wszędzie, chociaż niektórzy i wiedzieli, że się zwie Cepparello.

A owóz i jego życie: będąc notariuszem, za wielki srom sobie by to poczytywał, gdyby choć jeden dokument, spośród tych nielicznych aktów, które sporządzał, prawdziwym, a nie fałszywym się okazał. Fałszywych aktów dostarczał, ile kto chciał, a czynił to czasem za darmo z większą ochotą, niż ten, co by za to sowitą zapłatę miał otrzymać. Świadczył fałszywie z wielkim upodobaniem, proszony lub nieproszony. W owych czasach we Francji wiara w przysięgę była niewzruszona. Toteż nie troszcząc się o to, że krzywoprzysięga, zawsze brał górę we wszystkich sprawach, które miały być jego przysięgą rozstrzygnięte. Z lubością dokładał starań, aby kłótnie wzniecać między krewniakami lub przyjaciółmi; im więcej z tych sporów nienawiści i zła płynęło, tym ukontentowanie jego większe było. Nigdy nie odmawiał, przeciwnie, ohotnie się zgadzał brać udział w morderstwach i innych zbrodniach; nieraz też własnymi rękoma ludzi mordował lub srogie rany im zadawał. Z lada powodu bluźnił Bogu i wszystkim świętym, będąc z przyrodzenia człkiem porywczym wielce. Do kościoła nie chodził nigdy; plugawymi słowy szydził z wszelkich sakramentów, za to chętnie i często odwiedzał szynki, burdele i inne miejsca hańbiące. Białogłowy miłował jak pies kije, natomiast lubował się w występku przeciw naturze. Rabować i kraść znaczyło dlań tyle, co dla świętego jałmużnę dawać. Obzerał się i pił, nie dbając, że nieraz zdrowie na szwank naraża. Był także zawołanym szulerem.

Ale po cóż się nad nim w tylu słowach rozwodzę? Wystarczy powiedzieć, że był to może najgorszy człek, jaki kiedykolwiek na świat przyszedł. Władza i wpływ Musciatta przez długi czas ochraniały występника przed pomstą różnych osób, którym krzywdę wyrządził, a także przed sprawiedliwymi wyrokami sądów. Ów to Cepparello przyszedł na myśl panu Musciatto. Musciatto, znając doskonale jego życie, umyślił, że jest to człek ze wszech miar do wypełnienia jego zamysłów sposobny.

Przyzwał go do siebie i rzekł:

– Jak ci wiadomo, mości Ciappelletto, wkrótce stąd ze wszystkim odjechać muszę; krom innych, pozostają mi jeszcze sprawy z tymi oszustami, Burgundczykami; wiem, że nikt nie jest od ciebie zdaniejszy do tego, aby od nich dług mój wydobyć. Niewiele teraz masz do roboty, weź na siebie tę sprawę, a ja przyrzekam ci, że będziesz się cieszył faworem sądów i że dam ci z odebranych pieniędzy część należną i sprawiedliwą.

Imć Ciappelletto w samej rzeczy nic wówczas do roboty nie miał i biedę wielką znosił, widząc zasię, że jedyny obrońca i opiekun go opuszcza, bez zbytnich tedy namysłów, koniecznością przymuszony, rzekł, że chętnie służyć jest gotów.

Gdy już wszystkie warunki omówione zostały, Ciappelletto otrzymał pełnomocnictwo i piernacz od króla i zaraz po odjeździe messera Musciatto wyruszył do Burgundii, gdzie go nikt nie znał. Tutaj, wbrew swojej naturze, zaczął łagodnie i pokornie z dłużnikami postępować, byle celu dopiąć, ostawiając sobie na koniec inne środki. Zamieszkał w domu dwóch braci, Florentczyków, którzy na lichwę pieniądze pożyczali. Przez wzgląd na pana Musciatto gospodarze w wielkim go mieli zachowaniu. Zdarzyło się, że tam Ciappelletto zachorzał. Bracia zaraz przyzwali medyków i sługi, aby go mieli na pieczy i czynili wszystko, by mu zdrowie przywrócić. Aliści wszelki ratunek daremny się okazał. Poczciwina był już stary, a przy tym zdrowie miał nadwątlone hulaszczym trybem życia; według orzeczenia medyków z każdym dniem musiało mu się pogarszać, jako człekowi na nieuchronną śmierć skazanemu. Dwaj bracia wielce się tym trapili. Pewnego dnia, znajdując się w izbie, przyległej do kom-

naty, w której Ciappelletto chory leżał, zaczęli mówić z sobą w te słowa:

– Co mamy począć z tym człkiem? – spytał jeden drugiego. – Zaiste, niemały kłopot nam sprawił. Wydalić go teraz z naszego domu, tak ciężko chorego, byłoby to dla nas hańbą i dowodem niewielkiego rozumu. Ludzie widzieli przecie, żeśmy go przyjęli, gościli, a potem i leczyć troskliwie kazali, teraz zasię mieliby ujrzyć, że wypędzamy go z domu śmiertelnie chorego, chocia nam nic złego uczynić nie mógł.

Z drugiej strony, jest to taki hultaj, że, ani chybi, nie będzie się chciał wyspowiadać ani przyjąć ostatnich sakramentów. Gdy umrze bez spowiedzi, żaden kościół jego ciała nie przyjmie. Jak zdechłego psa wrzucą go do pierwszego lepszego dołu. Gdyby się zasię i wyspowiadał, to grzechy jego są tak wielkie i straszne, że nie znajdzie się taki ksiądz lub braciśzek, co by go mógł rozgrzeszyć. Nie otrzymawszy zaś rozgrzeszenia, równie do jamy wrzucony będzie. Jeśli tak się stanie, lud tutejszy, który, nienawidząc profesji przez nas sprawowanej, źle o nas mówi i tylko czeka sposobności, aby nas ograbić, powstanie przeciwko nam z okrzykiem:

„Nie ścierpimy tutaj dłużej tych psów lombardzkich⁹, od których nawet kościół się odwrócił!”

Napadną na nasze domy i nie tylko dobra nasze złupią, ale jeszcze i życia nas pozbawić mogą. Tak więc czy inaczej, na przypadek jego śmierci, źle z nami będzie.

Ser Ciappelletto, który leżał niedaleko od miejsca ich rozmowy, mając słuch wyostrzony, jak to się często u chorych zdarza, słyszał wszystko, co dwaj bracia mówili. Za czym przywołał ich i rzekł:

– Nie chciałbym wam niepokoju sprawiać i szkód przyczyniać. Słyszałem, coście o mnie mówili, i jestem pewien, że nastąpiłoby to, czego się obawiacie, jeśliby rzeczy poszły tym trybem, jakęście przypuszczali. Aliści będzie inaczej. W ciągu mego życia tyle nagrzeszyłem przeciwko Bogu, że teraz, w godzinie śmierci mojej, jeden grzech więcej żadnej różnicy nie sprawi. Przyzwijcie do mnie najbardziej świątobliwego mnicha, jeśli taki się znajdzie, i ostawcie mi swobodę działania, a ja wasze i moje sprawy taką modłą uładzę, że wszystko dobry obrót weźmie, ku waszemu ukontentowaniu.

Dwaj bracia, chocia niewielką ufność w jego słowa pokładali, jednakoz udali się do klasztoru i poprosili, aby któryś z mądrych i świętych mnichów wyspowiadał Lombardczyka leżącego na łożu niemocy w ich domu. Dano im mnicha sędziwego, słynącego z świątobliwości żywota i w Piśmie świętym wielce zawołanego. Ten człek czcigodny cieszył się szczególnie wielką estymą wszystkich mieszczan.

Wszedłszy do komnaty, w której ser Ciappelletto leżał, siadł na jego łożu i z początku jął go łagodnie pocieszać, później zasię zapytał, kiedy ostatni raz się był spowiadał. Na to Ciappelletto, który nigdy, jako żywo, do spowiedzi nie przystępował, odparł:

– Jest moim obyczajem, ojcze, spowiadać się przynajmniej raz na tydzień, jednakoz były mnogie tygodnie, gdy to częściej czyniłem. Ale wyznać muszę, że od czasu gdy zachorowałem, już osiem dni przeszło bez spowiedzi, tyle bowiem cierpienia mi ta boleść przyczyniła. Na to mnich odparł:

– Dobrześ czynił, mój synu, i na przyszłość czyni takoz. Widzę, że niewiele trudu będę miał z wysłuchiowaniem cię, skoroś tak często się spowiadał.

Ser Ciappelletto rzecze:

– Nie mówcie tak, mój ojcze! Nie spowiadałem się nigdy bez tego, abym na każdej spowiedzi nie miał przypomnieć sobie i wyznać wszystkich grzechów, popełnionych od dnia mego urodzenia aż do dnia spowiedzi. Dlatego też proszę was, ojcze wielebny, abyście o każdej rzecz szczegółowie się wypyтали, tak jakbym nigdy się nie był spowiadał, nie zważając przy tym wcale na to, że jestem chory. Wolę raczej udęczyć mój zewłok cielesny, niżli folgując mu narazić na zgubę duszę moją, odkupioną drogocenną krwią Zbawiciela.

Słowa te wielce przypadły do smaku wielebnemu ojcu, gdyż zdały mu się oznaką święto-

bliwego stanu duszy. Pochwaliwszy Ciappelletto za jego dobry obyczaj, zapytał się go, zali się rozpustą z jaką białogłową nie splugawił?

Ser Ciappelletto odparł z westchnieniem:

– W tej materii, wielbny ojcze, wstydę się wyznać prawdę, obawiając się, abym nie po-
padł w grzech chępliwości.

– Mów śmiało, mój synu – rzecze mnich – nikomu za grzech nie było jeszcze poczytane
wyznanie prawdy, czy to na spowiedzi, czy gdzie indziej.

– Z tym zapewnieniem – odparł Ciappelletto – wyznam wam całą prawdę. Jestem do tych
pór jeszcze tak dziewiczy, jak wówczas gdy wychodziłem z żywota matki mojej.

– O, niechże Bóg cię błogosławi! – zawołał mnich – jakżeś zacnie sobie poczynił! Zasługa
twoja jest tym większa, że mogłeś czynić przeciwnie z większą swobodą niżli my i ci wszy-
scy, co surowym regułom są poddani.

Później ojciec wielbny zapytał go, zali zbyt obżarstwem przeciwko Bogu nie zgrze-
szył. Na to Ciappelletto z głębokim westchnieniem odparł, że siła razy tak zawinił. Prawda, że
krom wielkiego postu, który ludzie nabożni każdego roku zachowują, przywykł jeszcze do
postów o chlebie i wodzie trzy razy w tygodniu, jednakże pił tę wodę z taką lubością i tak
chciwie, jak pijacy wino piją, osobliwie gdy się czuł utrudzonym pielgrzymkami do miejsc
świętych lub ćwiczeniami nabożnymi. Krom tego nieraz przychodziła mu chętka na sałatę z
traw, jaką przyrządzają kobiety na wiejskich wywczasach. Jadł ją nieraz z większym ukon-
tentowaniem, niż to przystoi człękowi, który pości dla bojaźni bożej.

– Bracie mój – rzecze mnich – wszystko to są grzechy letkie i płynące z przyrodzenia na-
szego. Nie udrećzaj zatem nimi sumienia swego więcej niż potrzeba. Nawet najświętszemu
człękowi wybaczyć należy, jeśli po długim poście w jedzeniu smak znajduje, a po wielkim
utrudzeniu wodę pije z ochotą.

– Ach, mój ojcze! – zawołał Ciappelletto – nie powiadajcie mi tego na pocieszenie! Wiem
o tym dobrze, jako i wy wiecie, że ten, kto chce służyć Bogu, winien tę służbę sprawiać w
czystości myśli i bez nijakiej zmayı; kto zaś inaczej czyni, grzeszy.

Mnich, wielce ukontentowany, rzekł:

– Raduję się, że tak myślisz, i chwałę czystość sumienia twego. Powiedz mi jednak, czyś
chciwością nie grzeszył i nie żądał więcej, niż się należało, albo też czyś nie owładał dobrem
cudzym?

– Nie sądz o mnie źle, ojcze – odparł Ciappelletto – widząc mnie w domu tych lichwiarzy.
Nie mam z nimi nic wspólnego; przeciwnie, przybyłem tutaj, aby ich zawstydzić, ukarać i
odwieść od tego bezecnego rzemiosła. Mniemam, że byłoby się mi to i udało, gdyby Bóg
niemocy na mnie nie spuścił. Musicie wiedzieć, mój ojcze, że po śmierci ojca mego stałem się
bogatym człowiekiem. Znaczną część jego majątności rozdałem na zacne cele, Bogu na
chwałę, później, aby siebie utrzymać i móc dopomagać ubogim chrześcijanom, zająłem się
małym handelkiem, chcąc pieniędzy sobie przysporzyć. Wszystko, co zarobiłem, dzieliłem na
dwie części, połowę oddawałem biedakom, a drugą obracałem na swoje potrzeby. Bóg mi
pomagał i sprawy moje szły z dnia na dzień coraz to lepiej.

– Doskonale czyniłeś, zaiste – rzekł mnich – ale powiedz mi, czyś się nigdy gniewem nie
zapalał?

– Mówiąc prawdę – odparł Ciappelletto – nader często się to zdarzało. Któż jednak może
swój gniew zdzierżyć, widząc codziennie, jak ludzie występki popełniają, przekraczają przy-
kazania boskie i nie boją się sądu Boga. Nieraz wolałbym być raczej umrzeć niż patrzeć, jak
młodzieńcy marnym rzeczom świata tego hołdują, jak przysięgają i fałszywie świadczą, i jak
miast kościołów odwiedzają szynki, wybierając nie drogi boże, lecz drogi doczesnego świata.

– Sprawiedliwy jest to gniew, mój synu – rzekł mnich – i nie mógłbym zań na ciebie po-
kuty nałożyć. Ale czy przypadkiem gniew nie zrobił cię tak zapamiętałym, żeś posunął się aż
do morderstwa, uczynienia komuś niesprawiedliwości lub zelżenia bliźniego twego?

– Ach, ojciec wielbny – zawołał Ciappelletto – zdajecie mi się być świętobliwym członkiem, a takie rzeczy powiadacie! Gdyby mi choć na myśl przyszło uczynić jedną z tych rzeczy, o jakich mówicie, zaliżby mnie Bóg tak długo na świecie utrzymał? Do takich postępków zdolni są tylko łotrzy i mordercy. Gdy takiego grzesznika ujrzałem, zawsze mówiłem mu: „Idź i niech cię Bóg na prawą drogę sprowadzi.”

– Rzeknij mi teraz, synu mój (oby ci Bóg błogosławił), czyś nie świadczył fałszywie o bliźnich swoich, czyś nie osławił nikogo lub nie przywłaszczył sobie cudzego dobra, bez zgody i woli posiadacza?

– Tak, ojciec – odparł Ciappelletto – mawiałem źle o innych. Miałem niegdyś sąsiada, który bez żadnej przyczyny bił nieustannie swoją żonę. Jednego razu taka litość mnie zdjęła nad tą nieszczęśliwą, biłą ciągle a okrutnie przez pijaka, że wiele złego powiedziałem nań do krewniaków jego żony.

– Powiedziałeś mi – rzekł mnich – żeś się handlem parał. Zaliżeś nie oszukał kogoś, jak to często kupcy czynią?

– Na mą duszę, ojciec – zawołał Ciappelletto – muszę wyznać, że tak! Zdarzyło się pewnego razu, iż jeden człek oddał mi należność za sprzedany postaw sukna, a ja nie licząc rzuciłem pieniądze do skrzyni; po miesiącu spostrzegłem, że było tam o cztery grosze za dużo. Przechowałem je przez cały rok, chcąc mu je zwrócić, ponieważ jednak właściciel się nie zjawił, więc rozdałem te grosze ubogim.

– Błaha to jest rzecz, mój synu – odparł mnich – uczyniłeś tak, jak uczynić należało.

Mnich pytał się jeszcze o wiele rzeczy, a na pytania te Ciappelletto w podobny sposób odpowiadał. Gdy już chciał mu rozgrzeszenia udzielić, Ciappelletto rzekł:

– Mam jeszcze jeden grzech, ojciec, o którym wam nie powiedziałem. Przypominam sobie, że kiedyś w sobotę wieczorem, po dziewiątej godzinie, kazałem służącemu zamieść podłogę w domu, przez co uchybiłem świętej niedzieli.

– Niewielki to grzech, mój synu – odparł mnich.

– Nie mówcie tak, mój ojciec, niedzielę, jako dzień święty, wielce czcić należy, bowiem w dniu tym nasz Zbawiciel zmartwychwstał.

– Czy popełniłeś jeszcze jaki grzech? – zapytał mnich.

– Tak, ojciec – odparł Ciappelletto – raz w kościele bożym przez brak baczenia splunąłem. Mnich zaczął się śmiać i rzekł:

– Nie dręcz się tym, mój synu! My, którzy jesteśmy zakonnikami, cały dzień w kościele spluwamy.

– I bardzo źle czynicie, gdyż niczego tak w czystości utrzymywać nie należy, jak kościoła, w którym się Bogu cześć oddaje.

Jeszcze siła podobnych rzeczy naopowiadał mnichowi, wreszcie zaczął wdychać ciężko i gorzko płakać (a był w tym wszystkim mistrzem zawołanym).

– Co ci się stało, mój synu? – zapytał mnich.

– Biada mi, ojciec wielbny – odparł ser Ciappelletto – jeszcze mi zostaje jeden grzech, z którego nigdy się nie wyświadczyłem, tak się go bowiem sromam okrutnie. Ilekroć go sobie przypomnę, płaczę, jako to teraz widzicie. Wydaje mi się, że dla tej winy Bóg nie będzie miał dla mnie miłosierdzia.

– Co mówisz, mój synu? – rzekł mnich. – Gdyby wszystkie grzechy, jakie kiedykolwiek ludzie popełnili albo jeszcze popełnią, dopóki świat trwa, w jednym człeku się skupiły i gdyby ten grzesznik tak się skruszył jak teraz ty, to miłosierdzie boże jest tak wielkie, że przy spowiedzi wszystko byłoby mu odpuszczone. Mów zatem śmiało.

Wówczas ser Ciappelletto rzekł płacząc gorzko:

– Grzech mój, wielbny ojciec, jest tak wielki, że wątpię, aby mi go Bóg odpuścił, choćbyście się i wstawili za mną swymi modlitwami.

– Mów śmiało – odparł mnich – przyrzekam ci, że będę błagał Boga za tobą.

Ser Ciappelletto, ciągle płacząc, nie mógł wymówić jednego słowa, chocia go mnich nieustannie pocieszał. Wreszcie, gdy już kęs czasu mnicha w takiej niepewności trzymał, westchnął ciężko i rzekł:

– Ponieważ obiecaliście mi, ojcze, modlić się za mną do Boga, wyznam wam więc mój grzech. Wiedźcie, że raz, gdy jeszcze byłem dzieckiem, przekląłem rodzoną matkę moją.

Rzekłszy to, znów obfitymi łzami się zalał.

– Zali, synu mój – rzekł mnich – grzech ten za tak ciężki poczytujesz? Ludzie bluźnią przez cały dzień Bogu, a Bóg przebacza chętnie bluźniercy, który się skrusił. Czy sądzisz, że ci Stwórca tej winy nie odpuści? Osusz łzy i pociesz się. Gdybyś był nawet jednym z tych, co Zbawiciela ukrzyżowali, to On, widząc twoją skruchę, na pewno by ci przebaczył.

– Cóż wy mówicie, ojcze wielebny! – zawołał Ciappelletto. – Przekląć drogą matkę, która mnie przez dziewięć miesięcy dniem i nocą w żywocie nosiła, a później niezliczoną ilość razy na rękach, jakże ciężkim jest grzechem! Jeżeli nie będziecie, ojcze, błagali za mną Boga, Bóg mi nigdy tego nie przebaczy.

Mnich widząc, że Ciappelletto nic więcej do wyznania nie ma, udzielił mu absencji i dał mu błogosławieństwo, będąc upewniony, że jest on świętobliwym człowiekiem; wierzył bowiem niezachwianie, że wszystkie jego słowa są szczerą prawdą. Któż by zresztą nie uwierzył, słysząc człeka tak mówiącego na łożu śmierci!

– Przy boskiej pomocy – rzekł mnich – wkrótce wyzdrowiejesz, Ciappelletto. Gdyby się jednak zdarzyło, że Bóg twoją pobłogosławioną i dobrze przygotowaną duszę do siebie powoła, zaliabyś zezwolił, aby ciało twoje w naszym klasztorze pogrzebione zostało?

– O tak, mój ojcze! – odparł Ciappelletto – i nie chciałbym być pochowanym gdzie indziej, bowiem przyrzekliście mi modlić się za moją duszę; przy tym miałem zawsze cześć osobliwą dla waszego zakonu. Teraz zasię proszę was, abyście, wróciwszy do klasztoru, przysłali mi tu bez zwłoki najświętsze ciało Chrystusowe, pobłogosławione dziś rankiem na ołtarzu. Chociaż niegodny jestem, pragnę za waszym pozwoleniem je przyjąć, a potem i ostatniego namaszczenia dostąpić, abym choć żyłem jak grzesznik, umarł, jak na prawego chrześcijanina przystało.

Świątobliwy braciszek pochwalił go i zapewnił, że wkrótce wszystko mu zostanie dostarczone. Tak się też i stało. Tymczasem dwaj bracia, mocno niepewni, czy ich Ciappelletto przypadkiem zwieść nie chce, ukrywając się za przepierzeniem, które komnatę chorego od sąsiedniej izby dzieliło, wysłuchali łatwo wszystkiego, co Ciappelletto do braciszka mówił. Słyszając o grzechach, z których się spowiadał, po wiele razy o mały włos śmiechem nie wybuchnęli.

– Cóż to za człek – mówili do siebie – którego ani starość, ani choroba, ani strach przed bliską śmiercią czy przed Bogiem, przed sądem którego ma wkrótce stanąć, nie mogą odwieść od niegodziwości i k'temu przywieść, aby umarł inaczej, niżli żył. Aliści uznawszy, że po tych wyznaniach kościół przyjmie jego ciało, nie troskali się już o resztę. Ser Ciappelletto przyjął wnet komunię świętą, a potem i ostatnie namaszczenia, ponieważ znacznie gorzej mu się uczyniło. Wieczorem tego dnia, w którym się cnotliwie spowiadał, umarł. Dwaj bracia, rozporządziwszy jego mieniem, przeznaczili uzyskane pieniądze na przystojny pogrzeb i posłali do klasztoru, prosząc braci, aby przybyli wieczorem odprawić, wedle obyczaju, wigilie, a rankiem drugiego dnia ciało zabrali. Świątobliwy mnich, który Ciappelletta był spowiadał, usłyszawszy o jego śmierci odbył naradę z przeorem, później zasię biciem w dzwony przywołał wszystkich mnichów znajdujących się w klasztorze i oznajmił im, że ser Ciappelletto był człowiekiem świętobliwym, jak to dowodnie widać z tego, co na spowiedzi wyznał. Wierząc głęboko, że Bóg za jego sprawą niejedyn wielki cud uczynić może, łatwo przekonał mnichów, że ciało zmarłego przyjąć należy uroczysto i z wielką czcią.

Łatwowierni bracia wraz z przeorem zgodzili się na to. Wieczorem udali się wszyscy do domu, w którym ciało Ciappelletta spoczywało; odprawili nad zwłokami uroczyste wigilie, a

nazajutrz rano, ubrani w komże i kapy, z książkami w rękach, poprzedzani krzyżem, śpiewając modły, zabrali ciało i z wielką pompą ponieśli je do swego kościoła. Za tym orszakiem szli mężczyźni i białogłowy; wyległa prawie cała ludność miasta. Gdy mary postawiono w kościele, mnich, który zmarłego był spowiadał, wszedł na kazalnicę i począł powiadać cudowne historie o jego życiu, postach, czystości, niewinności i świątobliwości. Między innymi opowiedział to, co mu Ciappelletto, płacząc, jako swój największy grzech wyznał, i jak on ledwo go zdołał przekonać, że mu Bóg przebaczy. Potem zwrócił się do przytomnych i gromiąc ich a strofując, rzekł:

– A wy, od Boga przekłęci, z powodu lada słomki, co wam pod nogi padnie, bluźnicie Bogu, Najświętszej Pannie i całemu dworowi niebieskiemu!

Krom tego siła jeszcze prawił o prawości i niewinności nieboszczyka.

Słowa te, którym cały lud uwierzył, wielki skutek sprawiły, tak że po skończonym nabożeństwie wszyscy co do jednego rzucili się całować ręce i nogi nieboszczyka; porwano przy tym na nim suknie, a każdy, kto posiadał choćby strzępek materii, już się za szczęśliwego poczytywał. Ciało było wystawione przez cały dzień w kościele, tak aby każdy mógł je odwiedzać i oglądać. Gdy noc zapadła, złożono nieboszczyka do marmurowego grobu i pochowano uroczyście w kaplicy. Następnego dnia lud zaczął odwiedzać jego grób, zapalać świece, śluby czynić i stosownie do ślubów wota woskowe zawieszać.

Sława jego świętości tak wzrosła, że prawie nikt w potrzebach i uciskach swoich do innego świętego się nie uciekał. Nazwali go, jako i teraz zowią: świętym Ciappelletto, utrzymując, że Bóg wielkie cuda przez niego uczynił i nadal czyni każdemu, co z osobnym nabożeństwem do Ciappelletta się obraca.»

Tak tedy żył i umarł ser Cepparello z Prato, który stał się świętym, jakoście to słyszeli. Nie chcę twierdzić, iżby nie mógł zbawienia w obliczu Boga dostąpić, chocia bowiem życie jego było występne i plugawe, to przecie w ostatniej godzinie pokajawszy się i skruszywszy mógł miłosierdzia boskiego zaznać i do rajy przyjęty zostać. Ale jako że wszystko to jest dla nas tajne, tedy sądzę po tym, co dostępne jest oczom naszym, że raczej znajduje się w rękach szatana niż w rajy. Jeśli tak jest, uznać musimy, że nieskończona jest wobec nas dobroć Boga, który patrzy nie na błędy nasze, lecz na czystość naszej wiary. Czynimy naszym orędownikiem wroga bożego, mniemając, że jest on Bogu miły, a Bóg nas wysłuchuje, jakbyśmy do prawdziwego świętego modły zanosili. Aby łaska boska, w tym wesołym towarzystwie i pośród losów dzisiejszych przeciwności, zdrowych i całych nas zachować mogła, wychwalajmy Jego imię, które położyliśmy na wstępie tej powieści i w potrzebach naszych do Niego się uciekajmy, pewni, że wysłuchani będziemy. Tu opowiadający mowę swoją zawarł.

Opowieść druga



PODRÓŻ ABRAHAMA Z PARYŻA DO RZYMU

Abraham, Żydowin, zachęcony do podróży przez Giannotta di Civigni, udaje się do Rzymu. Ujrawszy zepsucie kleru wraca do Paryża i staje się chrześcijaninem.

Opowieść Panfila została pochwalona przez białogłowy, które słuchając jej, często śmiechem wybuchały. Gdy już opowiadanie, z wielką uwagą słuchane, do końca doprowadzone zostało, królowa siedzącej obok Panfila Neifile rozkazała opowiedzieć nową historię, według ustanowionej kolei. Dama ta, równie piękną, jak dwornymi obyczajami ozdobioną, z radością na to żądanie przystała i zaczęła na ten kształt:

– Panfilo w swojej opowieści ukazał nam, że miłosierdzie boże nie liczy nam błędów naszych, gdy one z nieświadomości naszej wypływają, ja zaś w swojej opowieści pragnę pokazać, iż miłosierdzie to z cierpliwością znosi grzechy tych, którzy swymi uczynkami i słowami będąc obowiązani jawnym świadectwem mu służyć, wcale przeciwnie postępują. Tą drogą Bóg daje dowody niezachwianej prawdy, abyśmy z większą duszą stałością szli za tym, w co wierzymy.

Słyszałam kiedyś, miłe towarzyszki, taką opowieść: «Mieszkał ongiś w Paryżu bogaty kupiec i człek zacny, Giannotto di Civigni zwany. Był to człek sprawiedliwy i uczciwy; zajmował się rozległym handlem suknam. Wielka przyjaźń łączyła go z bogatym Żydem, zwanym Abrahamem, który także się kupiectwem parał, a był członkiem równie uczciwym i zacnym. Giannotto, widząc przymioty przyjaciela, wielce nad tym bolał, że dusza tak mądrego i dobrego członka, dzięki błędom jego wiary, na potępienie wieczne skazana zostanie. Dlatego też jął go prosić dobrotliwie, aby porzucił błędy wiary żydowskiej i wiarę chrześcijańską przyjął, która (jak to sam dowodnie widzi) dzięki swojej świętości i prawdzie ciągle się rozpowszechnia i kwitnie, gdy tymczasem jego wiara coraz bardziej zanika, tak iż wreszcie wniwecz rozwiać się może. Żyd odparł, że krom wiary żydowskiej żadnej innej za dobrą i świętą nie uznaje, że zamierza umrzeć w tej, w której się narodził i wzrósł, i że nie ma takiej siły, co by go od niej odwrócić mogła. Odpowiedź ta nie odwiodła Giannotta od tego, aby po kilku dniach nie obrócił się do swego przyjaciela z podobną mową, starając mu się dowieść na nadto grubych przykładach (jak to nieraz kupcy czynić umieją), dla jakich to racji nasza wiara jest lepsza od żydowskiej.

A chocia Żydowin był w rzeczach wiary żydowskiej mistrzem zawołanym, przecie przyjaźń wielka, którą do Giannotta żywił, a może i słowa, włożone w usta tego prostego członka

przez Ducha Świętego, to sprawiły, że Żydowinowi wielce do smaku dowody Giannotta przypadać poczęły. Przecie jednak w wierze swojej błędliwej nadal trwał z uporem.

Im bardziej się w swoim uporze zaciął, tym więcej na niego Giannotto nastawał, aż wreszcie Żydowin, uległszy jego natarczywym prośbom, rzekł:

– Chcesz, Giannotto, abym wiarę chrześcijańską przyjął? Ja się od tego nie uchylam. Jednakże przedtem chcę się udać do Rzymu, obaczyć tego, którego ty namiestnikiem bożym na ziemi zowiesz, zważyć jego postęпки i obyczaje, a także życie jego braci kardynałów. Jeśli wydadzą mi się takimi, że wedle ich życia sądząc poznam, iż wiara twoja jest lepsza od naszej, jak to starałeś się mi dowieść, uczynię to, com przyrzekł. Jeśli nie, pozostanę nadal Żydem.

Giannotto, usłyszawszy o tym jego postanowieniu, wielce się strapił i rzekł do siebie: „Stracone są wszystkie moje zachody i trudy, których nie szczędziłem, aby go do przyjęcia chrześcijaństwa nakłonić, co zdawało się być rzeczą bliską. Pojedzie do Rzymu, obaczy na własne oczy, jak plugawe i występne życie księży wiodą, i nie tylko wiary naszej nie przyjmie, ale nawet gdyby i chrześcijaninem został, na judaizm powróciłby.” Obrócił się tedy do Abrahama i rzekł:

– Po cóż chcesz przedsiębrać tak uciążliwą i kosztowną podróż do Rzymu? Na tak bogatego człeka, jak ty, czyha tysiąc niebezpieczeństw na ziemi i na morzu. Zali nie znajdziesz tu kogoś, kto by cię ochrzcił? Jeżeli zaś żywisz jakieś wątpliwości co do wiary, którą ci wykładam, gdzie znajdziesz mądrzejszych i światlejszych ludzi jak tu? Dadzą ci oni wszelkie objaśnienia. Według mnie zatem ta twoja podróż wcale potrzebna nie jest. Pomyśl, że prałaci w Rzymie są podobni do tych, których tu widzisz, a może i świątobliwsi, jako że żyją w pobliżu najwyższego pasterza. Zachowaj swoje siły na inny raz, do czasu pielgrzymki po miejscach świętych, w której może i ja towarzyszyć ci będę.

– Wierzę, Giannotto – odparł Żydowin – że racja jest po twojej stronie, ale jeśli chcesz, abym spełnił to, o co mnie prosisz, to powiem ci w dwóch słowach, iż muszę jechać. W przeciwnym razie nic nie uczynię.

Giannotto uznawszy jego twarde postanowienie rzekł:

– Jedź zatem; szczęśliwej drogi ci życzę!

Pomyślał przy tym, że Żydowin, ujrzawszy dwór papieski, nigdy już chrześcijaninem się nie stanie. Aliści, nic na tym nie tracąc, już mu nie doradzał, aby pozostał.

Żydowin dosiadł rumaka i pośpieszył do Rzymu, gdzie przez Żydów z wielką okazałością przyjęty został. Przebywając w mieście, nie zdradzał się przed nikim, po co tu przybył, a tylko w tajemnicy śledził życie papieża, prałatów i kardynałów, i całego papieskiego dworu.

Jako człek bystry, niejedno sam spostrzegł, a i wiele od drugich uznał. Z tego wszystkiego wniósł, że każdy ksiądz, od najmniejszego do największego, rozpustą grzeszy i hołduje nie tylko naturalnej rozkoszy, ale i sodomskiej, nie znając hamulca, wyrzutów sumienia i wstydu. Dzięki przemożnemu wpływowi nierządnic i młodzieniaszków nie lada rzeczy można było w Rzymie uzyskać. Obaczył także, że wszyscy są żarłokami i pijanicami, że na kształt dzikich zwierząt jeno brzuchom swoim służą, nie mówiąc już o rozpuście. Jeszcze baczniej się im przyjrawszy, poznał, że są skąpi i tak na grosz chciwi, że nie wstydzą się kupczyć wszystkim, poczynając od krwi ludzkiej, nawet chrześcijańskiej, a kończąc na rzeczach świętych, odpustach i beneficjach. Kupując i sprzedając, większy handel prowadzą i liczniejszych mają pośredników, niż w Paryżu kupcy sukna i innych towarów. Jawną symonię ochrztili mianem „zastępstwa”, a obzarstwo ukryli pod skromną nazwą „pokrzepienia sił”, tak jakby Boga można było oszukać znaczeniem tych słów i jakby On nie widział plugawych intencji ich niskich dusz. Mniemali, widać, że Bóg, tak jak ludzie, imieniem rzeczy da się okłamać. Wszystkie te rzeczy, a także i te, o których zamilczeć należy, nie podobały się wielce Żydowinowi, człekowi umiarkowanemu i obyczajnemu. Zdało mu się, że już dość widział, postanowił tedy do Paryża powrócić; tak też uczynił.

Giannotto, dowiedziawszy się o jego powrocie, udał się do niego, straciwszy już wszelką nadzieję na to, aby Żydowin chciał chrześcijaństwo przyjąć. Spotkali się pełni ukontentowania i wielkiej radości.

Po kilku dniach odpocznienia Giannotto zapytał się go, co myśli o Ojcu świętym, kardynałach i innych dworakach.

Żydowin odparł:

– Wydaje mi się, że Bóg źle czyni, łaskawością swoją ich darząc. Powiem ci, iż jeśli dobrze zważać i sądzić umiałem, w żadnym księdzu nie znalazłem ani krztyny świętości, pobożności czy przykładu godnego naśladowania. Rozpusta, chciwość, obżarstwo, wiarołomstwo, zawiść, pycha i inne gorsze występki (jeśli sobie można tylko gorsze wystawić) tak im weszły w obyczaj, że dwór papieski jest dla mnie raczej kuźnią diabelskich poczynań niż dzieł świętych. Według mego mniemania, wasz pasterz najwyższy, jako i wszyscy jego duchowni, z wielką pilnością a staraniem i umiejętnością chcą religię chrześcijańską poniżyć i z oblicza świata ją zetrzeć, chocia winni przecie być jej wsporem i obroną. A jako że, mimo tych ich wysiłków, wasza wiara coraz bardziej się rozpowszechnia i coraz jaśniejszą i doskonalszą się staje, tedy musiał Duch Święty w nią wstąpić, aby stała wyżej od wszystkich wier świata. Dlatego też, jeśli dawniej głuchy byłem na twoje prośby i nie chciałem chrześcijaństwa przyjąć, to teraz mówię ci jawnie, że nic nie będzie w stanie mnie od tego powstrzymać. Chodźmy zatem do kościoła, pragnę przyjąć chrzest zgodnie z obyczajem waszej świętej wiary.

Giannotto, który spodziewał się całkiem przeciwnego postanowienia, usłyszawszy te słowa stał się najszczęśliwszym na ziemi człowiekiem. Udał się z Żydem do kościoła Najświętszej Marii Panny w Paryżu i poprosił księży, aby obrządku chrztu nad Abrahamem dopełnili. Prośbie tej zaraz było uczynione zadość. Giannotto był jego ojcem chrzestnym. Nawrócony imię Jana otrzymał. Później Giannotto polecił go światłym ludziom, którzy go wkrótce w rzeczach wiary świętej całkowicie wyćwiczyli. Jan zastąpił też później jako człek wielce zacny i świętobliwy.»

Opowieść trzecia



TRZY PIERŚCIENIE

Melchisedech, Żydowin, opowieścią o trzech pierścieniach salwuje się z niebezpieczeństwa, jakie mu Saladyn gotował.

Gdy opowieść Neifile, przez wszystkich chwalona, do kresu dobiegła, zgodnie z wolą królowej mówić zaczęła Filomena:

– Nowela Neifile przypomniła mi niemiły przypadek, który się zdarzył pewnemu Żydowi. Ponieważ o Bogu i o prawdzie naszej wiary już dość rzeczono zostało, wydaje mi się teraz nie od rzeczy zstąpić ku przypadkom i dziełom ludzkim. Wysłuchawszy mojej opowieści, może ostrożniej odpowiadać będziemy na stawiane nam pytania. Należy, abyście wiedziały, drogie przyjaciółki, że głupota nierzadko odbiera człękowi wszelkie dobro i w wielkie nieszczęścia go wtrąca, gdy tymczasem mądrość z największych niebezpieczeństw wyprowadza i do spokojnego a błęgiego stanu przywodzi. Przykładów na to, że głupota pozbawia nas szczęścia i do srogich mizeryj doprowadza, istnieje mnóstwo, aliści o nich tutaj rozpowiadać nie będę, bowiem widać je jawnie z tysiąca codziennych zdarzeń. W krótkiej mojej opowieści ukazać tylko, jak; to rozum wybawić nas może z obieży.

« Saladyn¹⁰, który dzięki swej osobistej dzielności nie tylko z człeka nikczemnego stanu na tron Babilonu się wyniósł, ale i siła królów tak chrześcijańskich, jak i saraceńskich, zwyciężył, roztrwonil swój skarbiec na częste wojny i niesłychany zbytek. Zdarzyło się, że potrzebował pilnie większej sumy pieniędzy, a nie wiedząc, skądby ją tak nagle wydostać, przypomniał sobie o bogatym Żydowinie, zwanym Melchisedech, który w Aleksandrii na lichwę pożyczał. Pomyślał Saladyn, że ten mógłby mu, gdyby tylko chciał, przyjść z pomocą; ponieważ jednak znał jego skąpstwo, więc nie bardzo wierzył, aby mu po dobrej woli usłużył, gwałtem zaśię przymuszać go nie chciał. Naglony potrzebą, jał Saladyn przemyśliwać, jakby tę sprawę z Żydowinem ułatwić, aż wreszcie postanowił użyć gwałtu, ale tą modłą, aby miał on pozór słuszności.

Kazał przywołać Żyda, przyjął go serdecznie, posadził obok siebie i rzekł:

– Od wielu ludzi słyszałem, mężu zacny, że jesteś wielkim mędrcom i w rzeczach wiary osobliwie wyćwiczonym, dlatego też chciałem się dowiedzieć od ciebie, która z trzech wiar jest najlepsza: żydowska, saraceńska czy chrześcijańska?

Żydowin, który w samej rzeczy był mądrym człowiekiem, wraz spostrzegł, że Saladyn

chce go pochwycić za słowa, oczywiście nie bez ukrytej myśli; pojął zatem, że gdyby którejkolwiek z tych trzech wiar wyższość przyznał, władca swój zamierzony cel osiągnie. Skupił umysł jak ten, kto, do odpowiedzi przynaglony, nie chce się dać przyłapać na niej, i zaraz umyślił, jaki mu respons dać należy.

– Panie mój i władco – rzekł – zadaliście mi ważne pytanie; abym mógł jednak mój sąd wyrazić, muszę wam powtórzyć pewną opowieść. Przypominam sobie, o ile mnie pamięć nie zwodzi, że nieraz słyszałem o jednym bogatym i znacznym człeku, który między innymi klejnotami posiadał w swym skarbcu szacowny i piękny pierścień. Aby jego wartość i piękność należycie uczcić i na wieczność ostawić go swoim potomkom, rozkazał, by ten z jego synów, w posiadaniu którego pierścień ów się znajdzie, za dziedzica uchodził, był za głowę rodu po-czytywan i jako taki uważany i czczony. Spadkobierca pierścienia podobnie z potomkami swymi postąpił jak jego poprzednik. Pierścień przechodził z rąk do rąk, aż wreszcie dostał się człekowi, który miał trzech urodziwych, cnotliwych i posłusznych jego woli synów; dla tej przyczyny równą miłością ich darzył. Młodzieńcy, którzy wiedzieli o tym zwyczaju z pierścieniem, chcieli jeden przez drugiego klejnotem zawładnąć, jako że każdy z nich za najgodniejszego pragnął być uważany. Każdy prosił tedy usilnie sędziwego ojca, który już do śmierci się zbliżał, aby jemu pierścień ten pozostawił. Zacny człek, wszystkich synów jednako mi-lujący, nie umiał uczynić wyboru, aż wreszcie umyślił, że najlepiej będzie przyrzec go każdemu z nich, aby wszystkich po równu ukontentować. Poleciał zaś w tajemnicy zręcznemu złotnikowi sporządzić jeszcze dwa pierścienie, które tak do prawdziwego podobne się okazały, że on sam, co uczynić je polecił, zaledwie mógł rozeznaczyć pierścień prawdziwy. Przed śmiercią wręczył w tajemnicy każdemu synowi jeden pierścień. Po śmierci rodzica, każdy z synów o dziedzictwo i o cześć należną się upominał i jeden zaprzeczał praw drugiemu, przedstawiając na dowód swój pierścień. Ponieważ trzy pierścienie tak podobne się okazały, że prawdziwego poznać nie można było, nie rozstrzygnięte po dziś dzień zostało, kto jest właściwym dziedzicem.

Podobnie rzecz się ma, mój panie i władco, z trzema religiami, danymi przez Boga trzem nacjom. Każda z nich mniema, że posiada istotną spuściznę i prawdziwe prawo boże; która jednak ma słuszość, nie wiadomo, jak i nie wiadomo, kto prawdziwy pierścień posiada.

Saladyn spostrzegł, iż Żydowin uniknął zręcznie zastawionych nań sieci. Postanowił zatem otwarcie o potrzebach swoich gowiadomić, aby przekonać się, zali mu usłużyć zechce, zdradził mu przy tym, co zamyślał z nim uczynić i co by, ani chybi, zrobił, gdyby tak rozumnej odpowiedzi nie otrzymał.

Żydowin dał Saladynowi po dobrej woli żadaną sumę. Saladyn zaś nie tylko po pewnym czasie dług swój w całości spłacił, ale jeszcze wspianiałymi darami go obsypał, uważał go za swego przyjaciela i zatrzymał przy sobie z oznakami czci wielkiej.»

Opowieść czwarta



CIEŻKI GRZECH

Mnich, który w ciężki grzech popadł, gani przeora za tę samą przewinę i w ten sposób od kary się uwalnia.

Gdy Filomena, skończywszy swoją opowieść, zamilkła, siedzący obok niej Dioneo, nie czekając na rozkaz królowej (wiedział bowiem, że na niego teraz kolej przypada), tym kształtem mówić zaczął:

– Miłe damy! Jeśli dobrze nasze powszechne życzenie pojmuję, to zebraliśmy się tutaj po to, aby się opowieściami wzajemnie rozweselić. Mniemam, że każdemu zostawiona jest swoboda w wyborze materii, byleby tylko opowieść nie sprzeciwiała się ogólnemu prawidłu, to jest, zajmującą była. Takie było bowiem życzenie królowej. Wysłuchaliśmy już opowieści o tym, jak to Abraham, za radą Giannotta di Civigni idąc, duszę swoją zbawił oraz jak roztropny Melchisodech obronił swoje bogactwa przed zasadzkami Saladyna. Sądzę, że na wasze przygany nie zasłuże, gdy wam opowiem o chytrej sztuczce, dzięki której udało się pewnemu mnichowi srogiej kary cielesnej uniknąć.

«W Lunigianie¹¹, niedaleko stąd leżącej, znajdował się klasztor słynący dawniej z mnogości i świątobliwości braciszków, teraz zaś opustoszały. W klasztorze przebywał pewien mnich, człek młody i krzepkiego ciała złożenia. Sił jego ani posty, ani modlitwy, ani czuwania nocne nadwątlić nie zdołały. Pewnego razu, w samo południe, gdy inni braciszki wczasu zażywali, mnich ów, przechadzając się koło kościoła znajdującego się w okolicy pustej i oddalonej, napotkał urodziwą wielce młodkę, która, ani chybi, córką jakiegoś okolicznego kmiecia być musiała. Dzieweczka zatrudniona była zbieraniem ziół. Ledwie mnich ją ujrzał, gdy chucie w nim rozgorzały. Dlatego też, zbliżywszy się do niej, w grzeczny dyskurs z nią wstąpił. Od słowa do słowa przechodząc, to wreszcie na niej wymógł, że zgodziła się pójść cichaczem do jego celi, tak iż nikt tego nie spostrzegł.

Tutaj mnich, żądzami swymi zbyt pobudzany, ją figlować z nią mniej ostrożnie, jakby należało. Tymczasem zdarzyło się, że przeor ze snu wyczucony, przechodząc obok celi mnicha, posłyszał rumor okrutny, który tamci czynili. Chcąc lepiej głosy rozróżnić, zbliżył się cicho do drzwi celi, nadśluchiwać począł i wówczas poznał dowodnie, że wewnątrz białogłowa się znajduje. Z początku chciał rozkazać, aby drzwi otworzono, później jednak inaczej postąpić umyślił. Wrócił zatem do swej komnaty i czekał, aż mnich z celi wyjdzie. Mnich zaś, chociaż z całego serca rozkoszy używał, przecie miał się na bacności. Posłyszawszy,

jak mu się zdawało, odgłos kroków na korytarzu, podszedł do drzwi, spojrzął przez szparę i ujrzał przeora, który podслуchiwał. Dorozumiał się od razu, że przeor uznał o bytności białogłowy w jego celi, a wspomniawszy, jak surowa kara mu za to zagraża, stropił się wielce. Nie dawszy jednak młódce żadnej o swym strapieniu poznaki, jał się głowić nie na żarty, szukając jakiegoś stosownego wybiegu. Wreszcie przysłała mu na myśl pewna chytra sztuczka, o skuteczności której był twardo przekonany. Uczyniwszy pozór, że dość ma już miłosnych igraszek, rzekł do białogłowy:

– Idę teraz, chcąc wynaleźć skuteczny sposób na to, byś stąd niepostrzeżenie wyjść mogła. Dlatego też czekaj tutaj, aż do mego powrotu.

Rzekłszy te słowa, wyszedł z celi, zamknął drzwi na klucz i zaraz udał się do komnaty przeora. Oddał przeorowi klucz, jak to każdy mnich miał w obyczaju czynić, kiedy z klasztoru się wydała, i rzekł:

– Dzisiaj z rana, mój ojcie, nie zdążyli przewieźć wszystkich drew, co są przygotowane; za waszym pozwoleniem tedy chcę się udać do lasu, aby zwózki dopilnować.

Przeor, pragnąc dowiedzieć się szczegółowiej o grzechu, przez mnicha popełnionym, i mniemając, że grzesznik niczego się nie dorozumiewa, uradował się z tego przypadku. Wziął klucz i dał swoje przyzwolenie. Gdy mnich odszedł, przeor jał rozmyślać, jak mu postąpić należy: zali w przytomności wszystkich mnichów drzwi celi otworzyć i sprośny grzech na jaśnię podać, tak aby braciszkanie szemrać później nie mogli, gdy srogą karę rozpustnikowi wymierzy, zali też wprzód o wszystkim od onej niewiasty uznać szczegółowiej? Pomyślał przy tym, że owa młódka może się okazać córką lub żoną jakiegoś czcigodnego człeka, któremu nie chciałby despektu sprawić, jawnie ją osławiając. Dlatego też postanowił dowiedzieć się wprzód, kim jest owa białogłowa, a później dopiero stosowne miary przyjąć. Z tym zamysłem podszedł do drzwi celi, otworzył je, wszedł do środka i znów drzwi za sobą zawarł. Młódka obaczywszy przeora zmieszala się wielce, od sromu i trwogi gorzko płakać poczęła.

Świątobliwy przeor, spojrzawszy na nią, przekonał się, że dziewczeczka piękna jest i świeża. Chocia był już człkiem szedziwym, przecie poczuł, że nim chucie okrutne owładają, na podobieństwo tych, którym młody mnich oprzeć się nie zdołał. Tedy rzekł do się na ten kształt: „Dlaczegożbym nie miał uciechy zażyć, skoro sposobność się nadarza? Radości i wesela niewiele mamy, trosk zasię i zła zawsze pod dostatkiem. To piękna dziewczeczka, na honor! Nikt nie dowie się o tym, że tutaj była. Czemuż miałbym nie spróbować, czy mi się nie uda woli swej ją powolną uczynić? Grzech w tajemnicy to pół grzechu tylko! Korzystajmy ze szczęśliwej okazji, co się może już nigdy nie powtórzy, i nie pogardzajmy nierozważnie dobrem, którym Bóg bliźniego obdarza!”

Tak myśląc, zbliżył się do płaczącej dziewczeczki, zamysł swój pierwotny całkiem odmienił, pocieszać ją półgłosem poczał i prosić, aby płakać przestała. Po czym w ostrożnych słowach pragnienie swoje jej odkrył. Dziewczeczka, która nie była z żelaza ani z kamienia, zbytniego nie stawiała oporu. Przeor, obłapiwszy ją ciasno i ucałowawszy czule, pociągnął ją do wąskiego łóża mnicha. Mając jednak może należyty wzgląd na czcigodność swojej osoby, a także obawiając się, aby jej ciężarem swoim zbytnio nie urazić, miał się na wątłej młódce położyć, na brzuchu swym ją posadził i tą modłą długo z nią igrał. Mnich, który udał, że do lasu wyrusza, ukrył się w kącie korytarza. Obaczywszy, że przeor sam do celi wchodzi i drzwi za sobą zamyka, miał już za najzupełniej pewne, że jego fortel skutecznym się okaże. Podkradł się więc do drzwi i przez szparę obaczył wszystko, co przeor czynił. Ów, po długiej miłosnej rozprawie, zamknął młódkę w celi i do swej komnaty się udał. Wkrótce usłyszał mnicha i sądził, że ten już z lasu powrócił. Zamierzając go skarcić surowo i do ciemnicy wtrącić, tak aby z miłej zdobyczy bez podziału korzystać, kazał go przywołać, a później przyjąwszy go z zagniewanym obliczem, rzekł, że go więzieniem ukarze.

Mnich odparł na to:

– Przewielebny ojcze, zbyt niedawno jestem w zakonie świętego Benedykta, ażebym mógł znać szczegółowie wszystkie reguły. Nie wiedziałem na przykład, że mnisi krom wigilij i postów winni są jeszcze i dziewczęta na siebie nakładać. Teraz jednak, skoroście mi już stosowny przykład dali, przyrzekam nigdy pod tym względem nie chybić. Jeśli mi na ten raz przebaczycie, będę czynił tak, jak widziałem, żeście wy czynili.

Przeor, który był człowiekiem o bystrym przyrodzeniu, zaraz pojął, że mnich nie tylko lepiej od niego w sedno utrafił, ale wszystkie jego figle widzieć musiał. Zawstydził się postępu swego i nie chciał karać mnicha za to, czym sam zgrzeszył. Przebaczył mu przeto, pod warunkiem, że ściśle milczenie zachowa. Później postarali się dziewczynę ukradkiem z klasztoru wyprowadzić. Mniemać należy, że młódka jeszcze nieraz tam powracała.

Opowieść piąta



K U R Y

Markiza z Monferratu gasi bezrozumną miłość króla francuskiego, częstując go samymi kurami i obracając się do niego ze stosownymi słowami.

Opowieść Dionea zawstydziła nieco białogłowy, czego dowodem były rumieńce na ich obliczach; później ledwie się od śmiechu wstrzymać mogły. Jedna na drugą poglądając słuchały noweli z uśmiechem na ustach. Gdy Dioneo dobiegł do końca, łagodnymi słowy zwróciły mu uwagę, że podobnych rzeczy przy białogłowach opowiadać się nie godzi. Królowa obróciwszy się do Fiammetty, siedzącej obok niego na murawie, rzekła, że teraz na nią kolej przychodzi. Fiammetta wdzięcznie się uśmiechając w te słowa zaczęła:

– W poprzednich opowieściach okazane zostało na przykładach, jakie znaczenie mieć może szybka i bystra odpowiedź. Pomyślałam sobie, że jeśli mężczyzna rozumnie czyni szukając zawsze miłości tej kobiety, której ród jest znaczniejszy od niego, to natomiast białogłowa winna ponad wszystko strzec się miłości do takiego męża, co stanem swym nad nią góruje. Dlatego też postanowiłam w tej noweli, którą teraz mam opowiedzieć, pokazać wam, miłe towarzyszy, jak to pewnej znacznej damie udało się słowem i uczynkiem od takiego afektu uchronić i drugiego od miłości odwieść.

«Markiz z Monferratu¹², człek wielkiej dzielności i chorąży Kościoła, wziął udział w powszechnej wyprawie krzyżowej za morze. Na dworze króla francuskiego Filipa Krzywookiego¹³, który również do tej wyprawy się gotował, jeden z rycerzy oznajmił w rozmowie, że nie ma na ziemi takiej pary jak markiz i jego żona. Jeśli bowiem markiz słynie pośród rycerstwa swymi wielkimi przymiotami, to żona jego jest najpiękniejsza i najcnotliwsza z wszystkich kobiet. Słowa te tak wielkie wrażenie na królu Francji sprawiły, iż zakochał się namiętnie w żonie markiza, chociaż jej dotychczas nie widział. Umyślił zatem dopiero w Genui wsiąść na okręt, aby stamtąd się przez morze przeprawić, do Genui zaś dotrzeć lądem, a po drodze, mając po temu sposobność tak godziwą, odwiedzić markizę. Miał nadzieję, że pragnienia swoje do lubego przywiedzie skutku, zważywszy na to, że markiza sama w domu pozostawała. Zamysły swoje zaraz w czyn wcielił. Wysławszy naprzód swoje wojska, sam z nieliczną świtą w drogę wyruszył. Zbliżywszy się do włości markizy, pchnął umyślnego, aby powiadomić mar-

kizę, że następnego dnia przybędzie do niej na obiad. Roztropna i układna dama odparła, że wielce sobie zaszczyt ten ceni i że przyjmie króla jak najmilszego gościa. Później jęła się nad tym głowić, co króla tak znacznego k'temu przywodzi, aby ją odwiedzać w czasie, gdy mąż jej przytomny nie jest, i odgadła, że sława jej piękności tu go przynęciła.

Tym niemniej postanowiła przyjąć gościa, jak się należało. Przywołała wszystkich znaczniejszych ludzi, pozostałych w domu, i zasięgnąwszy ich rady przygotowała wszystko na godne przyjęcie; tylko ucztą i wyborem potraw sama się zajęła. Kazała zarzącić wszystkie kury, jakie pod rękę podpadną, i tylko z nich przyrządzić kucharzom wiele rozlicznych potraw. Naznaczonego dnia przybył król i został godnie i wspaniale przyjęty. Ujrzawszy markizę, przekonał się, że piękność jej, osobny wdzięk i przymioty znacznie przechodzą wszystkie opowiadania rycerza. Zadziwił się wielce i tym większym płomieniem rozgorzał, im bardziej piękność markizy przewyższała tej piękności famę. Król zażył wczasu w komnatach, przybranych okazale i stosownie na przyjęcie tak znacznego gościa, gdy zaś nastąpiła pora obiadu usiadł z markizą za stołem. Innym przytomnym dano miejsce wedle ich godności za sąsiednimi stołami. Król niewypowiedzianej rozkoszy zażywał smakując w wyszukany miod, próbując win znamienitych i nie odrywając wzroku od pięknej markizy. Jednakże w miarę jak półmiski wciąż zmieniano, zaczął się nieco dziwować, spostrzegłszy, że jeśli i potrawy różne były, to przyrządzono je wszystkie tylko z samych kur. Król dobrze wiedział, że okolice tamtejsze obfitują w dziczyznę, w którą, na wieść o jego przyjeździe, był jeszcze czas się opatrzyć. Mimo swego zdziwienia z tej osobliwości, od onych kur właśnie chciał zacząć, by przygadać markizie, i obrócił się do niej z takim żartem:

– Zali Wasza Miłość – rzecze z wesołym uśmiechem – w kraju tym kury rodzą się bez koga?

Markiza w lot pojęła, do czego król pytaniem swym zmierza, i widząc, że sam Bóg zsyła jej sposobność wyjawienia gościowi swojej intencji, odparła swobodnie:

– Nie, Miłościwy Królu! Białogłowy tutejsze są takie same jak wszędzie, chocia w swych strojach i obyczajach od innych nieco się różnią.

Król, usłyszawszy ten respons, zrozumiał zarówno ukryte znaczenie słów markizy, jak i przyczynę, dlaczego obiad z samych kur się składał. Pojął, że z taką białogłową na nic się zdadzą cukrowane słówka, a także i gwałtem niczego się nie sprawi. A chocia nieopatrznie żądze się w nim wielkie zażęły, przecie osądził, że lepiej będzie dla jego czci, jeśli ten płomień niestosowny przygaś. Zaprzestał żartów, obawiając się, aby markiza znów mu ostro nie przymówiła, i zbył się wszelkiej nadziei. Skończywszy obiad podziękował za przyjęcie, jakie go spotkało, polecił markizę Bogu i do Genui zaraz się udał, aby spiesznym odjazdem zatrzeć nieprzystojny powód swego przybycia.»

Opowieść szósta



STO ZA JEDNO

Pewien czcigodny człek trafnym słówkiem karze szpetną obłudę mnichów.

Siedząca obok Fiammetty Emilia zaczęła swoją opowieść, gdy już wszyscy przytomni dość wysławili mądrość markizy, która podobną odprawę francuskiemu królowi dała.

– I ja – rzekła z wdziękiem – opowiem o podobnym responsie, danym przez pewnego mądrego, a świeckiego człeka skąpemu mnichowi. Ze słów tych nie tylko śmiać się trzeba, ale i je zachwalić.

«Żył niedawno we Florencji mnich z zakonu braci mniejszych, inkwizytor¹⁴ kacerskich błędów. Jak i wielu innych, chciał on uchodzić za świętoszka i człeka żarliwego w wierze chrześcijańskiej, co mu nie wadziło śledzić równie za tymi, których mieszki dobrze nabite były, jak i za heretykami.

Przypadek nadarzył mu kiedyś poczwiwca, uposażonego więcej w dukaty niżli w rozum. Ów, nie dla słabej wiary, ale z prostoty ducha, może podochocony winem lub zabawą nieumiarkowaną, rzekł pewnego dnia do swojej kompanii, że ma wino tak dobre, iż sam Chrystus piłby je z ochotą. Słuch o tym doszedł do ojca inkwizytora, który dowiedziawszy się, że bluźnierca ma wielkie włości i dobrze nabity mieszek, cum gladiis et fustibus¹⁵ srogie śledztwo rozpoczął. Miał na myśli nie tyle sprowadzenie grzesznika na drogę prawej wiary, ile napelnienie swojej kieszeni jego dukatami. Przywoławszy go, zapytał, zali prawdą jest, co przeciw niemu mówią? Prostak odpowiedział, że tak, i wyjaśnił, jak było. Świętobliwy inkwizytor i czciciel św. Jana Złotobrodego rzekł:

– Tedy uczyniłeś z Chrystusa opoja i smakosza win, na podobieństwo Moczygęby lub innego pijanicy, nie wychodzącego z szynkowni, teraz zasię przyznając się pokornie, chcesz w nas wmówić, że błaha to sprawa. Nie jest jednak tak, jak ci się zdaje. Zasłużyłeś na stos i pójdziesz w ogień, jeśli zechcemy postąpić z tobą według prawa!

I ze srogą miną jął gromić biedaka, jakby był on samym Epikurem, co duszom nieśmiertelności zaprzeczał. Mówiąc pokrótce, tak go przeraził, że poczwiwina przez pośredników posmarował tłusto balsamem św. Jana Złoustego ręce inkwizytora (balsam ten jest wielce skuteczny na zarazę chciwości pośród księży, a zwłaszcza braci mniejszych, którym nie lza się pieniędzy dotykać), aby ów więcej litośnie chciał z nim postąpić.

Cudotwórczej maści, o której wszakoż Galen w swoich medycznych księgach nie wspomina, w tak wielkiej ilości użył, że płomień stosu, grożący mu, zamienił się w znak krzyża; dali mu żółty krzyż na czarnym polu, niby porzecz rycerzowi, co na wyprawę krzyżową się gotuje. Nie dość tego. Wziąwszy pieniądze ojciec inkwizytor zatrzymał grzesznika na kilka dni przy sobie, przykazawszy mu, aby dla pokuty słuchał codziennie mszy u Świętego Krzyża, a w godzinie posiłku stawał przed jego obliczem; przez resztę dnia mógł czynić, co zechciał.

Grzesznik, odbywając pilnie pokutę, usłyszał pewnego dnia podczas mszy, jak śpiewano te słowa Ewangelii: „Sto za jedno oddane wam będzie i posiadziecie żywot wieczny.”

Zachował je dobrze w pamięci. W oznaczonej godzinie, spełniając rozkaz, zjawił się u inkwizytora, który właśnie obiad spożywał.

Mnich zapytał go, zali dnia tego mszy świętej wysłuchał, a usłyszawszy, że tak, rzekł:

– Zaliżes nie słyszał czego, co by wątpliwość w tobie pewną wzbudziło i przeto wyjaśnić się domagało?

– Nie, ojcze – odparł pocziwiec – wierzę we wszystko i najmniejszej wątpliwości nie mam. Usłyszałem jednak coś, co mnie wielką litością dla was i braci waszego zakonu natchnęło. Ciężko wam będzie na tamtym świecie, ojcowie czcigodni!

– Jakież to słowa – zapytał inkwizytor – takim współczuciem dla nas cię napełniły?

– Był to ustęp z Ewangelii – odparł prostak – który powiada: „Sto za jedno otrzymacie!”

– Nie masz nic prawdziwszego nad to – rzecze mnich – ale czemuż cię te słowa tak wzruszyły?

– Zaraz wam wszystko wytłumaczę, ojcze wielebny. Od czasu jak przebywam w waszym klasztorze, widzę, że codziennie wynosicie żebrakom kocioł albo i dwa kotły zupy, która z obiadu wam została. A owóż, jeśli na tamtym świecie za każdy kocioł sto wam oddadzą, wszyscy się w zupie potopicie!

Ci, co po społu z inkwizytorem biesiadowali, wybuchnęli głośnym śmiechem. Inkwizytor pojął, że słowa te przeciwko obłudnej dobroczynności mnichów wymierzone zostały, i wielce się tym stropił. Gdyby nie przygana, jaką zyskał poprzednim swoim przyznaniem, ani chybi, wszcząłby przeciw niemu drugi proces mszcząc się za zniewagę swoją i innych braci pasibrzuchów. Rozgniewany, puścił go swobodnie i przykazał, aby mu się więcej na oczy nie pokazywał.»

Opowieść siódma



POSKROMIENIE SKĄPCA

Bergamino opowieścią o Prymasie i opacie z Cluny zawstydza, niespodzianie skąpego Cane della Scala.

Gdy Emilia opowiadała zabawnie o niepowszednim rzeczeniu krzyżowca, całe towarzystwo po społu z królową śmiało się serdecznie i pochwał nie szczędziło. Gdy śmiech umilkł i wszyscy uspokoili się, Filostrato, na którego kolej nadeszła, zaczął na ten kształt:

– Piękną rzeczą jest, miłe damy, trafić w cel nieruchomy, ale gdy łucznik popadnie strzałą w przedmiot mu nie znany, który się nagle pojawia – to kunszt nad kunsztami. Występne i brudne życie mnichów jest jawnym dowodem ich zepsucia, z czego każdy łącno może śmiać się i drwić do woli. Jeśli pocziwiec dobrze uczynił, dworu jać sobie z inkwizytora i obłudnej dobroczynności mnichów, którzy dają ubogim strawę, stosowną dla świń, to nie mniej wychwalać należy tego człeka, co mi go poprzednia opowieść na pamięć przywiodła. Ów niezwykle a niespodzianie skąpstwo udzielnego i bogatego księcia Cane della Scala¹⁶ w swojej wesołej opowieści wyszydził, wkładając w usta drugiego to, co o sobie i o nim chciał powiedzieć.

«Ten Cane della Scala, jak to fama po całym świecie głosi, był wielkim wybrańcem fortuny, a przy tym jednym z najslawniejszych i najwspanialszych książąt Italii od czasów Fryderyka II, cesarza, po dzień dzisiejszy. Pewnego razu książę umyślił wyprawić w Weronie ucztę wspaniałą. Sprosił na nią zewsząd co znaczniejsze osoby i dworzan, ale gdy przybyli, nagle zamysł swój odmienił; szczerze obdarzył swoich gości i z powrotem ich odprawił. Jeden tylko Bergamino¹⁷, zawołany gaduła i człek bystrego dowcipu (o czym sądzić może tylko ten, co go słyszał), żadnej nagrody nie otrzymawszy ani też nie odprawiony, pozostał na miejscu, a przecie się nie trapił zbyt, mniemając, że w przyszłości sowicie sobie to odbije. Aliści Cane della Scala pomyślał, że dać cośkolwiek Bergaminowi to gorzej niżli w ogień rzucić, dlatego też milczał i wcale się doń nie zwracał. Bergamino czekał przez kilka dni, ale widząc, że nikt po niego nie przysyła ani umiejętności jego na próbę nie wystawia i że pobyt w gospodzie wraz ze służbą i końmi drogo go kosztuje, jał się nie na żarty trapić. Mimo to przecie czekał ciągle, myśląc, że nie byłoby rzeczą roztropną teraz odjeżdżać. Przywiózł zaś był z sobą trzy bogate i strojne suknie, które od innych książąt otrzymał, aby móc godnie na ucztę wystąpić.

W zapłatę za postój oddał oberżyskie z początku jedną suknię, po jakimś czasie drugą, wreszcie jął żyć na koszt trzeciej szaty, postanowiwszy zostać tam dopóty, dopóki pieniędzy za nią wystarczy, później zaś puścić się w drogę powrotną.

Gdy już ostatnią suknię przejadł, zjawił się pewnego dnia z zatroskaną miną przed panem Cane della Scala, w chwili gdy ów za stołem siedział. Pan Cane della Scala, chcąc raczej zadworować z niego niżli rozweselić się jakimś jego trafnym słowem, rzecze:

– Co ci jest, Bergamino? Powiedz, dlaczegoś taki strapiony?

Wówczas Bergamino bez namysłu, jak gdyby już wszystko z dawna dobrze obmyślił, jął opowiadać nowelę, która jawnie jego położenie ukazać miała.

– Wiecie zapewne, Wasza Miłość, że Prymas¹⁸ był nie tylko człkiem w gramatyce zawołanym, ale i świetnym a zręcznym wierszopisem. Jego nauka i umiejętność uczyniły go tak sławnym, że z imienia był on znany każdemu, nawet tym, co go nigdy na oczy nie widzieli. Bawiąc kiedyś w Paryżu, gdy wielki niedostatek znosił, jak mu się to często zdarzało, bowiem możni tego świata nie bardzo się kwapili, aby talenty jego wynagradzać, usłyszał o opacie z Cluny¹⁹, który jak powszechna fama głosiła, był, krom papieża, najbogatszym dostojnikiem kościoła. Ludzie opowiadali o nim dziwy, wysławiali jego szczodrość i wspaniałość, twierdzili, że w jego domu wieczne święto panuje i że każdy, kto się tam zjawi, ugoszczony zostanie, byle tylko poprosił o to, gdy opat jest przy stole. Prymas, który z ludźmi znacznymi przestawać lubił, umyślił udać się tam, aby przekonać się o szczodrości opata. Zapytał się, czy opat daleko od Paryża przemieszkuje, na co mu odpowiedziano, że jego dwór znajduje się o jakoweś sześć mil od Paryża. Wybrał się zatem w drogę wcześniej rano, aby stanąć na miejscu w obiadowej porze. Dowiedziawszy się, którądy mu iść należy, nie natrafił na nikogo, kto by w tą samą stronę dążył, przeto, pełen obawy, że zabłądzić może w takie miejsce, gdzie nic do jedzenia nie znajdzie, opatrzył się w trzy chleby, aby po drodze nie głodować, co się zaś wody tyczy, to myślał (choć nie był zbytnim jej lubownikiem), że wszędzie ją napotka.

Włożył chleby za pazuchę i ruszył w drogę. Poszczęściło mu się tak, iż przybył na dwór opata jeszcze przed obiadem. Wszedłszy do domu, jął się na wszystkie strony rozglądać i ujrzał liczne stoły dokoła rozstawione, kredensy obficie opatrzone i różne rzeczy do obiadu przygotowane; z tego wniósł, że opat musi być naprawdę szczodry tak, jak fama głosi. Tymczasem zbliżyła się godzina obiadu. Marszałek dworu kazał podać wody do obmycia rąk, a potem każdemu miejsce za stołem wskazał. Zdarzyło się, iż Prymas zajął miejsce naprzeciw drzwi, przez które opat miał wejść do komnaty. Było to na tym dworze w obyczaju, że dopóki opat nie zasiadł za stołem, nie podawano niczego, wina ani chleba, jadła ani napojów. Zastawiony stoły, marszałek oznajmił opatowi, że obiad już gotów. Opat rozkazał otworzyć drzwi, które do jadalni wiodły; ledwie stanął na progu, wzrok jego padł na Prymasa. Był on nędznie ubrany, a przy tym opat nie znał go wcale.

Gdy go obaczył, przyszyła mu do głowy po raz pierwszy myśl niegodna. „Kogóż to ja nie karmię za swoim stołem?” – rzekł do siebie. Cofnął się od proga, przykazał zamknąć komnatę i zapytał tych, co w pobliżu niego stali, zali nie znają tego włóczęgi, co naprzeciw drzwi, za stołem siedzi. Wszyscy odparli, że nie wiedzą, kto by to był.

Prymas, jako człek do postów nieprzywykły, a przy tym wygłodniały po przebyciu wielkiego szmatu drogi, poczekał chwilę, ale widząc, że opat nie nadchodzi, wyciągnął jeden z trzech bochenków chleba tkwiących za pazuchą i jeść go począł.

Opat po pewnym czasie posłał do komnaty jednego z swych sług, aby obaczył, czy niezajomy już odszedł.

Sługa doniósł, że spożywa chleb, który ani chybi, przyniósł z sobą.

– Niechaj je, jeśli ma własny – odparł opat – naszym się dzisiaj nie pożywi!

Opat chciał, aby Prymas sam się z swego miejsca ruszył, bowiem niegodną rzeczą mu się zdało za drzwi go wyrzucać. Prymas tymczasem zjadł jeden chleb, a widząc, że opat nie nadchodzi, do drugiego bochenka się zabrał. Powiadomiono o tym opata, który znów kazał słu-

dze obaczyć, czy przybysz siedzi za stołem.

Prymas, zjadłszy drugi bochen chleba, wydobyl trzeci. Opat, dowiedziawszy się o tym, zamyslił się i rzekł do siebie: „Co mnie do głowy dzisiaj przyszło? Skąd to skapstwo i ta wzgardliwość w stosunku do tego człeka? Od tylu lat już karmię tych, co są zgłodniali, nie pytając, czy to szlachcice, czy chłopci, bogacze czy biedacy, kupcy czy oszuści. Widziałem, jak z mego dobra korzystali włóczędzy, a przecie nigdy nie owładały mną myśli takie, jak teraz, gdy na tego człeka patrzę. Należy mniemać, iż takie skapstwo nie mogło się zrodzić we mnie w odniesieniu do nikczemnego człeka. Ów nieznajomy, co włóczęgą mi się zdawa, musi być znamienitym człowiekiem, skoro mnie coś tknęło, aby go uczcić należycie.”

Rzekłszy to, chciał się dowiedzieć, kto był ów przybysz. Gdy mu powiedziano, że jest to Prymas, który tu przybył, aby przekonać się na własne oczy, czy wysławiana szczodrość opata jest taką w samej rzeczy, opat zawstydzil się szczerze, bowiem słyszał już był wiele o tym człeku i o jego umiejętnościach.

Chcąc błąd swój naprawić, jął mu wielką cześć okazywać. Ugościwszy go u stołu, obdarzył go szatami, stosownymi do jego godności, mieszkiem złota i pięknym rumakiem, i dał mu do wyboru: pozostać na jego dworze czyli też odjechać. Prymas, wielce ukontentowany, gorący dank mu złożył i powrócił na koniu do Paryża, skąd przybył piechotą.

Pan Cane della Scala, człek rozumny, pojął od razu, co Bergamino chciał rzec przez to, i odezwał się doń z uśmiechem:

– Udatnie, mój Bergamino, podałeś na jaśnie swoje krzywdy i wartość, a także i moje sknerstwo; dałeś mi poznać dowodnie, czego pragniesz ode mnie. Wierę, powiem ci, że nigdy dotąd nie byłem dla nikogo tak nieużyty i skąpy. Przepędzę to skapstwo tym kijem, który mi ukazałeś.

To rzekłszy zapłacił oberżycie za Bergamina, obdarzył go wspaniałą własną szatą, sakwą pełną złota, rumakiem i przyzwolił mu – albo pozostać przy sobie, albo też swobodnie odjechać.»

Opowieść ósma



SKĄPIEC GRIMALDI

Wilhelm Borsiere gładkimi słowy wyszydza skąpstwo Imé Erwina de Grimaldi.

Siedząca obok Filostrata Laurretta, wysłuchawszy pochwał nad sprytem Bergamina i widząc, że na nią kolej nadchodzi, nie czekając wezwania jąła mówić w te słowa:

– Poprzednia nowela przywiodła mnie k'temu, aby wam opowiedzieć, jak to pewien dworzanie w podobny sposób skutecznie ukarał i wyśmiał chciwość bogatego kupca. Moja opowieść podobna będzie do opowieści Filostrata, jednakoz sądzę, że niemniej wam do smaku przypadnie, bowiem koniec ma szczęśliwy.

«Żył ongiś w Genui szlachcic, Ermino de Grimaldi²⁰, który według powszechnego mniemania, był wówczas najbogatszym człkiem we Włoszech; żaden bogacz nie mógł mu dorównać majątkami i nagromadzonymi pieniędzmi. Ale górując nad wszystkimi bogactwem, przewyższał także swym sknerstwem wszystkie kutwy na świecie nie trza nawet i wspominać, że dla bliźnich sakwy jego szczelnie zamknięte były; nie dosyć na tym, sam sobie bowiem odmawiał rzeczy najniezbędniejszych, skąpiąc na jedzenie, picie i odzież, przeciwnie do obyczaju Genuńczyków, którzy wystawnie a wspaniale ubierać się lubią. Wreszcie k'temu przyszło, że puszczono w niepamięć jego nazwisko Grimaldi i Erminem Sknerą zwać go poczęto.

Zdarzyło się, iż w tym czasie, gdy Ermino przez stałe sknerstwo bogactwa swoje powiększał, przybył do Genui obyczajny i gładki dworak, a przy tym zawołany mówca, Wilhelm Borsiere²¹. Mało był podobny do wielu dzisiejszych panów, którzy mimo swych skażonych i występnych obyczajów za ludzi znamienitych chcą uchodzić i nosić szlacheckie tytuły. Podobni są oni do osłów, bowiem wzrosli raczej wśród wszelakiej brzydlwości i ludzkiej ohydy, niżli na dworach wychowani zostali. W owych czasach dworzanie z usilnością starali się o zgodę, jeśli gdzieś wybuchała kłótnia lub nienawiść; przyczyniali się do kojarzenia małżeństw i zacieśniania związków przyjacielskich; trafnym a wdzięcznym słowem rozweselali umysły po dniu pracy, zasię cierpką, ale ojcowską przymówką występki nikczemników razili. Wszystko to czynili za niewielkim wynagrodzeniem. Dzisiaj natomiast trawia swój czas tylko na tym, że plotki roznoszą, sięją niezgody, wzbudzają waśnie, mówią rzeczy niegodziwe, a co gorsza, czynią je na oczach ludzkich, ganią jeden drugiego za rzekome czy też prawdziwe

bezceństwa, zasię ludzi zacnych fałszywymi pochlebstwami ku różnym szkaradnościom podwędzą. Na wstyd naszemu wiekowi, prawie zawsze największych łask i dobrodziejstw od niegodnych panów dostępuje, kto najwięcej zdrożności i plugastw czyni lub mówi. Wszystko to jest hańbą wielką czasów naszych i jawnym dowodem, że cnoty nas już opuściły ostawiając nas na pastwę występków i nieszczęść.

Ale powracając do właściwego wątku, od którego gniew słuszny oderwał mnie na dłużej, niż się tego spodziewać mogłam, powiem, że ów Wilhelm cieszył się w Genui osobnymi względami i przyjaźnią wszystkich. Przebywszy w mieście kilka dni usłyszał o skąpstwie i niegodziwości Ermina i widzieć go zapragnął. Ermino ze swej strony usłyszał także o Wilhelmie Borsiere jako o człeku wielce zacnym, a jako że mimo przyrodzonego skąpstwa tliła się w nim jeszcze isierka ludzkości, tedy przyjął go z twarzą wesołą, uprzejmymi słowy go powitał i rozprawać o różnych rzeczach począł. Później wraz z innymi Genuńczykami wwiódł go do swego nowego i pięknego domu. Oprowadziwszy go po nim, rzekł:

– Siła rzeczy widzieliście na świecie, panie Wilhelmie! Rad bym dowiedzieć się od was, jaką rzecz osobliwą i nigdy nie widzianą mógłbym wymalować w tej sali?

Wilhelm, usłyszawszy to śmieszne żądanie, odparł:

– Nie mogę wam, panie, powiedzieć nic o rzeczy, której nikt jeszcze nie widział. Chyba byłoby to kichanie albo jakaś rzecz podobna. Jeśli jednak pragniecie, mogę poradzić wam coś, czegoście wy dotąd jako żywo nie widzieli.

– Proszę was, powiedzcie mi, co to takiego – rzekł Ermino, który nie spodziewał się wcale, jaka będzie odpowiedź Borsiere.

– Każcie odmalować szczodrość – odparł żywo Wilhelm. Usłyszawszy te słowa Ermino tak się zasromał, że w jednej chwili całkiem się odmienił, a potem rzekł:

– Każę ją odmalować, panie Wilhelmie, w taki sposób, że ani wy, ani nikt inny już powiedzieć nie będzie mógł, iż jej nie widziałem i nie poznałem.

Istotnie, od tego dnia – taka była skuteczność słów Wilhelma – stał się Ermino najhojniejszym i najmiłszym człkiem w Genui i nikt z tych, co żyli tam za jego czasów, nie okazał więcej serca swoim i obcym.»

Opowieść dziewiąta



PĄTNICZKA

Król Cypru, wydrwiony przez pewną Gaskonkę, staje się z człeka tchórzliwego dzielnym.

Teraz przyszła kolej, aby Eliza, jako ostatnia, wypełniła rozkaz królowej.

Eliza, nie mieszkając, zaczęła opowiadać wesoło:

– Nieraz się przytrafia, miłe białogłowy, że nagany i srogie kary nie mogą tego sprawić, co jedno słowo, często przypadkiem, a nie *ex proposito*²² rzezone. Jawnie to widać z opowieści Lauretty, w swojej krótkiej noweli chciałabym to samo ukazać. Dobre opowieści zasługują na to, aby ich słuchać z uwagą, bez względu na to, kto je opowiada, mogą bowiem zawsze oddać pożytek.

«Za czasów pierwszego króla Cypru²³, gdy już Gotfred z Bouillon²⁴ Ziemię Świętą zdobył, zdarzyło się, iż pewna dama gaskońska wybrała się z pielgrzymką do grobu Chrystusa. W powrotnej drodze zatrzymała się na wyspie Cypr, gdzie ją znieważyło kilku niegodziwców. Obracała się z swymi skargami powszedy, ale nigdzie nic wskórać nie mogąc postanowiła wreszcie skargę swą królowi przedłożyć. Nie radzili jej tego czynić, tłumacząc, że wszystkie starania pójdą na marne, bowiem król jest tak gnuśnego i tchórzliwego przyrodzenia, iż nie tylko nie mści się za obelgi innym wyrządzone, ale nawet puszcza płazem niezliczone zniewagi sobie uczynione. Kto w duszy jakąś urazę lub rankor żywi, staje zwykle przed królem i swobodny upust swej złości daje czyniąc mu, jaką chce, zniewagę. Usłyszawszy o tym dama gaskońska, która już straciła nadzieję na odwet za krzywdy swoje, postanowiła przynajmniej dla jakiegoś zadośćuczynienia małoduszność króla zgromić. Stała przed nim i rzekła ze łzami:

– Przyszłam do ciebie, panie, nie po to, aby żądać sprawiedliwości za zniewagę mi uczynioną. Zamiast uczynić jej zadość, racz tylko nauczyć mnie, jak należy znosić obelgi i osławy, których jak słyszę, nikt ci nie szczędzi. Za twoim przykładem ścierpię może tę hańbę, którą bym ci chętnie odstąpiła, wiedząc, z jaką cierpliwością wszelkie szkalowania znosisz.

Król, dotychczas na wszystko głuchy i nieczuły, nagle jakby się z głębokiego snu ocknął. Przede wszystkim surowo ukarał tych, co krzywdę damie wyrządzili, a później ścigał nieubłaganie ludzi koronę jego znieważających.»

Opowieść dziesiąta



ZAKOCHANY STARZEC

Mistrz Albert z Bolonii zawstydzia białogłową, która chciała sobie zeń zadrwić dlatego, że ją miłował.

Po Emilii miała głos zabrać jeszcze królowa, która z wielkim wdziękiem w te słowa ją mówiła:

– Miłe białogłowy, podobnie jak gwiazdy w świetliste noce upiększają niebo, a kwiaty wiosną ziemię, tak wdzięczne słowa kraszają wesolą gawędę i dobre obyczaje. Krótkie słowa przystoją bardziej białogłowym niż mężom, nie powinny też one bez potrzeby wiele i długo mówić. Tym więcej, że teraz, ku wielkiemu sromowi wszystkich, niewiele zostało takich białogłów, co dowcipne słowo rozumiejąc, odpowiedzieć na nie są w stanie. Wielki to wstyd dla nas i dla wszystkich pań naszej doby. Co u dawnych niewiast ozdobą umysłu było, to dzisiejsze białogłowy tracą na ukraszenie ciała swego; ta, która się w najbardziej pstrze suknie lamówką obramione przystroi, już się sobie wielkiej czci godną wydaje, a i nie pomyśli o tym, że na osła można by włądować jeszcze więcej sukien niż na nią; osioł by je nosił, nie przestając być jednakowoż osłem. Wstyd mi to mówić, bowiem nie mogę prawić przeciwko innym tak, abym sama siebie oszczędzić mogła. Owe białogłowy, tak upstrzone, umalowane i przystrojone, stoją niby nieme i nieruchome posągi z marmuru; jeśli się je o co zapytać, odpowiadają tak, że lepiej by było, gdyby zmilczały. Starają się przy tym wmówić w nas, że ich niezdarność i nieumiejętność prowadzenia rozmowy w towarzystwie niewiast i zacnych mężów płynie tylko z niewinności i prostoty duszy; głupotę swoją cnotliwością zowią, tak jakby tylko ta białogłowa cnotliwą była, co umie gadać jeno z praczką, służącą lub piekarką. Pragnę, abyśmy uwierzyli, że takimi już je natura stworzyła, jednak natura przecie inny środek znaleźć by mogła, chcąc ich gadulstwo ograniczyć. We wszystkim trzeba znać miarę i w tym, jak w innych przypadkach, brać pod uwagę czas, miejsce oraz i to, z kim się mówi, inaczej bowiem, gdy zechcemy ostrym słówkiem kogoś w pomieszanie wprawić, łatwo zdarzyć się może, że przeliczywszy się z swymi siłami, sami pokraśniejemy od wstydu.

Abyście przeto ostrożności się nauczyły i aby na was nie sprawdziło się przysłowie, że kobiecie we wszystkim zawsze gorszy udział przypada, opowiem wam ostatnią na ten wieczór nowelę, jako że na mnie teraz kolej przychodzi. Niechże opowieść ta sprawi, abyście nie tylko

szlachetnością duszy od innych się odróżniały, ale i polerownością obyczajów.

«Przed niedawnymi czasy żył w Bolonii znakomity lekarz, którego imię sława prawie po całym świecie rozniosła. (Może być, że żyje on jeszcze po dziś dzień.) Medyk ten zwał się mistrz Albert²⁵. Liczył sobie pod siedemdziesiąt lat życia i chociaż już utracił przyrodzony zar ciała, przecie duch w nim był tak krzepki, że na miłosne płomienie nieczuły nie pozostawał. Ujrzawszy pewnego razu na uczcie urodziwą wdowę, która jak powiadają, zwała się Margarytą de' Ghisolieri, zapłonął do niej strzelistym afektem niby młodzieniaszek jaki. Zdało mu się, że nie uśnie nocą, jeśli w dzień nie obaczy świeżego i cudnego jej lica. Jął więc krążyć koło jej domu czasem pieszo, to znów konno, jak przypadło, tak iż po jakimś czasie wdowa jako też i inne białogłowy odgadły powód tych przechadzek i nieraz bawiły się widokiem sędziwego człeka, wiekiem i rozumem górującego nad innymi, którym miłość owładła. Wierę, mniemały zapewne, że namiętność miłosna tylko w piersiach głupich młodzieniaszków przemieszkować może.

Pewnego dnia świątecznego, gdy mistrz Albert koło domu się przechadzał, zdarzyło się, że wdowa w otoczeniu innych białogłów siedziała przed wrotami domu. Ujrzawszy z dala Alberta, postanowiły przyjąć go z oznakami wielkiej czci, a później jego afekt wyszydzić. Tak też i uczyniły. Poszły mu na spotkanie i zaprosiły go do cienistego chłodnika, gdzie znakomitymi winami i słodyczami ugoszczony został. Później wielce grzecznymi i subtelnymi słowy wypytując go jeły, jak mógł się zakochać w białogłowie, której tylu układnych i urodziwych młodzieńców hołduje? Doktor widząc, jak ogłędnie go ukłuto, roześmiał się wesoło i odparł:

– Nikt rozważny temu się dziwować nie może, madonno²⁶, że miłuję, a zwłaszcza was, bowiem w pełni na tę miłość zasługujecie. My, ludzie sędziwi, nie mamy oczywista tych sił, których trza do igr miłosnych, jednakoz nie brak nam dobrej woli ani rozumu, którym poznajemy, co jest miłości godne, a umiemy to czynić lepiej niż młodzieńcy, bo więcej od nich mamy rozeznania. Nadzieja, co pobudza mnie k'temu, abym miłował was, uwielbianą od tych otroków²⁷, na tym się zasadza: często widywałem, jak białogłowy jadają łubin i pory, a chociaż nie masz w tej roślinie nic dobrego i tylko w główce jest smak niejaki, przecie one, fałszywym apetytem znęcone, główkę w rękach trzymając, obgryzają liście, które nie tylko są nie warte, ale i posmak przykry zostawiają. Zaliż można wiedzieć, czy przy wyborze miłośników podobną modłą nie postąpiłyście? Jeśliby tak było, ja sam pozostałbym na placu, a inni zalotnicy byłiby precz przegnani. Słowa te zawstydziły nieco układną damę i jej towarzyszki.

– Trafnie i dwornie ukarałście, mistrzu, naszą pewność siebie i złośliwość – rzekła. – Afekt, który dla mnie żywicie, jest mi drogi, jako afekt mądrego i czcigodnego człeka. Krom mojej cnoty, wszystko gotowam jest wam oddać, wedle upodobania waszego.

Mistrz Albert podniósł się z ławy, podziękował pięknej pani i śmiejąc się, pożegnał się z niewiastami. I tak owa dama, nie bacząc na to, z kogo dworuje, miast zwyciężyć, sama zwyciężona została. Łacno się od takiej klęski ustrzeżecie, gdy roztroprnymi będziecie.»

Już słońce chyliło się ku zachodowi i żar dzienny się zmniejszał, gdy skończyły się opowieści młodych dam i trzech młodzieńców. Królowa rzekła tedy żartobliwie:

– Dzisiaj, gdy władzę piastuję, nic mi już innego uczynić nie pozostaje, jak przystąpić do wyboru nowej królowej, która według swej woli porządek na jutro ustanowi, tak aby życie nasze dalej gorliwej rozrywce podległe było. Do nocy wiele jeszcze czasu nam ostaje, ale kto w porę się nie przygotowi, tego przyszłość zaskoczy. Tedy, zgodnie z wolą nowej królowej, należy przygotować wszystko, co jutro potrzebne okazać się może. O tej też porze i dni następne zaczynać nam przyjdzie. Tak więc, w imię Tego, przez kogo wszystko na świecie dla naszej radości żyje, królewską władzę na dzień następny oddajemy rozumnej młódce, Filomenie.

To rzekłszy podniosła się z miejsca i laurową koronę z głowy zdjawszy oddała ją Filomenie, a potem pierwsza jej hołd złożyła. Za tym przykładem poszli wszyscy, pozdrawiając ją jako królową i jej władzy poddając się. Filomena widząc się ukoronowaną pokraśniała ze zmieszania, a wspomniawszy niedawne słowa Pampinei, która przed nieroztropnym poczyna-

niem przestrzegala, wszystkie jej rozrzadzenia potwierdzila, a potem i ulozyla, co na jutrzejszy dzien i wieczere uczynic nalezy, pozostajac w dotychczasowym miejscu.

– Miłe towarzyski – rzecze następnie – aczkolwiek Pampinea, bardziej przyrodzoną sobie uprzejmością niż względem na moje przymioty, powodowana, uczyniła mnie waszą królową, to w wyborze naszych rozrywek chcę iść nie tylko za moim mniemaniem, ale i z waszymi życzeniami się liczyć. Opowiem wam pokrótce, co według mnie przedsięwziąć by należało, abyście wszyscy mogli to i owo dopełnić i poprawić, zgodnie ze swym gustem a życzeniem. Dobrze zważyłam na rozrzadzenia Pampinei; znalazłam je chwalebny i dobrze ku powszechnemu ukontentowaniu zmierzającymi, dlatego też zdawa mi się, że nic w nich zmieniać nie należy, dopóki niedostatków w nich się nie odkryje lub dopóki nudnymi nam się nie staną. Teraz zaś, gdyśmy już wszystko ustanowiły, wstańmy i zażyjmy przechadzki; o zachodzie słońca, ciesząc się chłodem, wieczere spożyjemy, a potem kancony²⁸ odśpiewawszy i zabawiwszy się udamy się na spoczynek. Wstaniemy rankiem przed jutrznią, każdy zażywając wczasów będzie czynił, co zechce, później w oznaczonej porze, jako i dzisiaj, obiad zjemy, potańczymy i snem pokrzepieni, znów przystąpimy do opowiadań, które według mego zdania, wiele pożytku i uciechy nam sprawiają. Chciałabym tylko pewien porządek do tych opowiadań wprowadzić, czego Pampinea uczynić nie zdołała, będąc późno królową obwołana. Mniemam, że dobrze by było, gdyby każda wiązanka opowieści jakimś wspólnym rodzajem objęta została, tak aby każdy miał czas przygotować piękną jakąś opowieść i obmyślić ją zgodnie z materią wprzód wybraną. Na początek tedy taki grunt rzeczy podawam: jak wszystkim wiadome jest, od stworzenia świata ludzie wiecznemu niestatkowi fortuny podlegają, niechajże zatem każdy przygotowuje opowieść o tych, co wbrew nadziei z przeciwnymi losami walcząc szczęśliwy cel osiągnęli.

Damy i młodzieńcy przyklasnęli temu ułożeniu. Gdy wszyscy umilkli, rzekł Dioneo:

– Zgadza się, królowo, że wszystkim, że wasze ułożenie na pochwałę zasługuje, ale jako o łaskę osobną was proszę, abyście mi pozwolili, dopóki tu w kompanii jesteśmy, nie podlegać temu ogólnemu prawidłu i opowiadać to, co mi na myśl przyjdzie. Aby zaś nikt nie pomyślał, że o łaskę tę proszę jako człek, któremu materii do nowel braknie, zgadzam się zawsze na końcu głos zabierać.

Królowa wiedząc, że Dioneo jest zawołanym żartownisem, domyśliła się snadnie, że idzie mu o tę wolność, aby w przypadku gdy towarzystwo już znużone będzie, rozweselić wszystkich nieoczekiwanie jakąś zabawną historią; dlatego też, naradziwszy się z innymi, na prośbę jego przystała.

Później wszyscy podnieśli się i skierowali kroki swoje ku przezroczej rzece, która wody swoje toczyła z pagórka w dolinę, gęsto zacienioną drzewami, płynąc pośród kamyków i traw zielonych. Tutaj buty zdjawszy i ramiona obnażywszy weszli do wody i igrali w niej wesoło. Gdy się godzina wieczery zbliżyła, wrócili do pałacu i pożywili się ze smakiem. Po wieczery przyniesiono instrumenty muzyczne. Królowa dała znak, aby rozpoczęto tańce, którym Lauretta przewodzić miała. Emilia, pod dźwięk lutni Dionea, odśpiewała kanconę miłosną:

Tak jestem dumna z lic moich piękności,
Że nigdy inne kochanie
Mną nie owładnie, ni w sercu zagości.
Patrzę na siebie i w piękna odbiciu
Znajduję wieczne źródło upojenia.
Zdarzenia, myśli, sny o przyszłym życiu
Nigdy mi mego nie zaćmią marzenia.
Jakież to inne żądze czy pragnienia
I jakież inne kochanie
Mogłoby przybyć tu, do serca w gości?

Gdy kiedykolwiek je dla swej rozkoszy
Przywołam – dąży już na me spotkanie,
Cierpienie z serca, smutek z myśli płoszy.
A tak jest piękne, że nie znajdzie na nie
Stosownych pochwał ten, komu kochanie
Z podobną siłą w duszy się zagości.

Gdy wzrok oderwę od swojej postaci,
Tęsknota serce w piersiach rozpłomienia
I krew gorącej w żyłach mi szkarłaci.
Snów najtajniejszych oglądam wcielenia,
Bo czar piękności wszystko w krąg przemienia
W szczęście i zachwyt, co przychodzi w gości
Do ludzi własną miłujących krasę.

Pieśń dobiegła do kresu. Wszyscy wesoło jej wtórowali, aczkolwiek słowa niektórym dziwne wielce się wydały. Później płasali jeszcze z ochotą, ponieważ jednak większa część krótkiej nocy już upłynęła, królowa oznajmiła, że pierwszy dzień się skończył. Zapalono pochodnie i towarzystwo, jak przykazała, na spoczynek do komnat swoich się udało.

Kończy się pierwszy dzień Dekameronu i zaczyna drugi, w którym, pod przewodem Filomeny, mówi się o tych, co przeciwnym losom podlegając, przecie, wbrew nadziei, do pomyslnego skutku sprawy swoje przywiedli.



DZIEŃ DRUGI

Słońce promieniami swymi już nowy dzień ozłociło, a ptaszki na zielonych gałęziach miłe nucąc pienia świadectwo temu dawali, gdy młodzieńcy i damy podniósłszy się z posłania do ogrodu się udali. Cicho po rośnej stąpając trawie, tam i sam krążyli i piękne wieńce splatali, a później rozprószyli się w różne strony – uczynili to, co i poprzedniego dnia: posilili się w chłodzie, potańczyli nieco i wczasowi się oddali.

O dziewiątej wstali i spełniając wolę królowej zebrali się na zielonej łączce, i wokół Filomeny zasiedli. Wielce urodziwa królowa, miły pozór oblicza mająca, wawrzynowym wieńcem ozdobiona była. Siedząc, w milczeniu pilnie na wszystkich patrzyła, aż wreszcie poleciała Neifile, aby pierwsza opowiadać zaczęła.

Neifile, nie szukając wymówek, zaraz wesołym głosem mówić poczęła:

Opowieść pierwsza



MARTELLINO – KALEKA

Martellino, rzekomy kaleka, udaje, że ozdrowiał, zbliżywszy się do szczątków świętego. Gdy oszustwo na jaw wychodzi, biją go i powiesić pragną; aliści udaje mu się wyjść cało z opresji.

– Często się zdarza, miłe damy, że ten, kto chce dworować lub szydzić z innych, a zwłaszcza z rzeczy na cześć zasługujących, sam wyszydzonym się widzi i wielką szkodę ponosi. Będąc posłuszna życzeniu królowej, zaczynam opowieść zgodnie z materią wprzód obraną. Z opowieści tej obaczycie, jakiemu to niefortunnemu przypadkowi podległ jeden z naszych rodaków, który wbrew swym nadziejom i oczekiwaniom ujrzał, jak jego sprawy następnie pomyslny obrót wzięły.

«Przed niedawnym czasem żył w Treviso²⁹ pewien Niemiec, zwany Henrykiem. Wielką biedę cierpiąc stał się nosicielem ciężarów i służył każdemu, kto mu płacił. Wszyscy jednakże w wielkim go mieli zachowaniu, wiedząc, że jest człekiem świątobliwego żywota i zacnych obyczajów. Trevisanie twierdzili nawet (nie wiedzieć, czy to prawda, czy nie), że w godzinie jego śmierci dzwony największego w Treviso kościoła same dzwonić jęły. Zdarzenie to za cud uznane zostało i odtąd Henryk już za świętego uchodził. Z całego miasta lud zbiegł się do domu, w którym ciało jego spoczywało, i odprowadził je do katedry, niby szczątki doczesne świętego. Do kościoła sprowadzono ślepych, chromych i garbatych, którzy ozdrowieć mieli, dotknąwszy się zwłok świętego.

Gdy taki tumult i zamieszanie panowało, przybyli do Treviso trzej nasi rodacy. Jeden z nich nazywał się Stecchi, drugi Martellino, a trzeci Marchese. Byli to franci wędrujący po wielkopańskich dworach, gdzie zabawiali widzów przedrzeźnianiem najrozmaitszych ludzi. Nigdy dotychczas nie byli w Treviso; zdziwili się przeto, ujrawszy takie zbiegowisko. Gdy się dowiedzieli o przyczynie, zapragnęli swoją ciekawość zaspokoić. Ostawili swoje toboły podróżne w gospodzie. Marchese rzekł do towarzyszy:

– Pójdziemy zobaczyć tego świętego, tylko, dalibóg, nie wiem, jak się do niego dostaniemy, gdyż słyszałem, że plac przed kościołem jest pełen Niemców i band zbrojnych, które pan tej ziemi zawsze w gotowości trzyma, aby nieporządkom zapobiegały. Zresztą, jak powiadają, kościół jest tak natłoczony, że ani jedna osoba więcej już się tam nie pomieści.

Aliści Martellino, który gwałtem pragnął ujrzyć święte szczątki, rzekł:

– Już ja znajdę sposób, aby się przez ciżbę przedostać.

– Jakież to sposób? – zapytał Marchese.

– Udam kalekę, ty zaśię z jednej strony, a Stecchi z drugiej będziecie mnie podtrzymywali tak, jakbym iść nie mógł i jakbyście mnie wiedli do szczątków świętego po to, abym zdrowie odzyskał. Wówczas wszyscy wolne przejście nam dadzą.

Obu towarzyszom Martellina wielce się podobała jego chytra sztuczka. Nie mieszkając zatem, wyszli z gospody, a gdy w ustronne miejsce przybyli, Martellino powyginał sobie rękę, ramiona i nogi i tak głębiej wykrzywił, a oczy przewrócił, że jego pozór stał się szpetny wielce. Każdy na pierwszym pojrzeniu musiałby go wziąć za człeka, którego na całym ciele połamało. Marchese i Stecchi schwycili go pod ramiona i powlekli do kościoła. Udając wielce miłosiernych, błagali pokornie każdego stojącego na drodze, aby w imię miłości Boga przepuścił ich swobodnie. Ściągnęli na siebie uwagę przytomnych, którzy wołać zaczęli: „Miejsca, miejsca dla chorego!” Wkrótce też dotarli do ciała Henryka. Ci, co blisko trumny stali, wzięli Martellina na ręce i położyli go na trupa, tak aby łaski cudu mógł dostąpić. Martellino, wiedząc, że wszyscy z zapartym tchem czekają na to, co się stać ma, poleżał przez chwilę spokojnie, a później, jako mistrz udawania, wyprostował jeden palec, rękę, ramię i wreszcie całe ciało. Lud widząc to jał wznosić tak gromkie okrzyki na chwałę świętego Henryka, że przy nich trudno by było grzmoty nawet usłyszeć.

Tymczasem nieszczęsny traf zdarzył, że blisko trupa świętego znajdował się pewien Florentczyk, który dobrze znał Martellina. Nie poznał go był tak pokręconego, gdy go wlekli do grobu Henryka, teraz jednak widząc go wyprostowanego parsknął śmiechem i zawołał:

– A niech mu kat świeci! Któż z nas, widząc, jak go włoką, nie uwierzyłby, że istotnie jest kaleką?

Kilku Trevisańczyków, usłyszawszy te słowa, rzekło:

– Więc ten człek nie był połamany?

– Broń Boże! – odparł Florentczyk – zawsze był prosty, jak każdy z nas, jak to widzieć mogliście, umie tylko różne chytre sztuczki na schwał czynić i przybierać na się, jaki chce, pozór.

Ledwie słowa te wyrzekł, gdy tamci co sił runęli naprzód, wołając gromkim głosem:

– Chwytajcie tego zdrajcę, co drwi z Boga i świętych! Udaje kalekę, chcąc w pośmiewisko nas i naszego świętego podawać!

Tak krzycząc, rzucili się na niego, ściągnęli w dół, schwycili go za włosy, porwali w strzępy jego suknię i jęli go tęgo kopać i grzmocić pięściami; ten, co by go kułakiem nie poczęstował, nie uważałby się za męża.

Martellino wrzeszczał ze wszystkich sił, prosząc o zmiłowanie, i bronił się, jak mógł, ale wszystko to na nic się zdawało, gdyż razy coraz gęściej się na niego sypały. Stecchi i Marchese widząc to pojęli, że sprawy nader zły obrót biorą, jednakże nie spieszyli mu na pomoc, o własną się obawiając skórę. Przeciwnie wcale, po społu z innymi krzyczeli, że go zabić należy. Nie przestawali jednak głowić się nad tym, jakby go wydrzeć z rąk pospólstwa. Ani chybi, gdyby nie szczęśliwa myśl, która Marchesemu do głowy przyszła, nieborak życie by postradał. Cała straż miejska znajdowała się na mieście; Marchese podbiegł co tchu do zastępcy burmistrza i rzekł:

– Na miłosierdzie boskie, ów hultaj wyciągnął mi sakiewkę z setką złotych florenów, błagam was, każcie go przytrzymać, abym mógł pieniądze moje odzyskać.

Natychmiast dwunastu pachołków rzuciło się tam, gdzie nieboraka Martellina czesano bez grzebienia; z wielkim trudem precyzyjnie się przez ciżbę, wyrwali go, tęgo wymłóconego i podeptanego, z rąk pospólstwa i powiedli na ratusz, dokąd udało się za nimi wielu tych, co uważali, że Martellino z nich zakpił. Każdy, gdy usłyszał, że Martellina schwytano za to, iż sakiew ukradł, pomyślał, że jest to najlepsza sposobność do zalania mu sadła za skórę. Jeden

przez drugiego jał tedy twierdzić, że Martellino jego mieszek zwędził.

Sędzia miejski, człek wielce surowy, wzięwszy go czym prędzej na stronę, do badania przystąpił. Aliści Martellino odpowiadał mu jeno żarcikami, tak jakby niewiele sobie z tego pochwycenia robił. Sędzia wpadł w gniew i kazał go wziąć na powróż i kilkakrotnie dobrze naciągnąć, aby zeznanie winy zeń wymusić, a potem posłać go na szubienicę. Gdy go już na ziemi postawili z powrotem, sędzia znów go zapytał, zali słusznie go obwiniają. Martellino, wiedząc, że zapieranie się nie zda się na nic, rzekł:

– Jestem gotów wyznać całą prawdę, Wasza Wielmożność, ale niechaj przedtem każdy, co mnie oskarża, powie, gdzie i kiedy mu sakiew ukradłem, później i ja opowiem wszystko, com uczynił i czego nie popełniłem.

Sędzia zgodził się na to ochotnie i kilku oskarżycieli przywołał. Jeden twierdził, że Martellino ukradł mu mieszek osiem dni temu, drugi, że przed sześciu dniami, trzeci, że od kradzieży cztery dni upłynęły; niektórzy zaś upewniali, że sakiew zginęła im dnia dzisiejszego.

Martellino, usłyszawszy to, rzekł:

– Ha, na mą duszę, wielmożny panie, wszyscy kłamią plugawie; łatwie mi jest dowieść tego. Oby nigdy noga moja nie była postawiona w tym mieście, gdzie za ledwie od kilku godzin bawię. Na nieszczęście poszedłem zaraz do kościoła, aby obaczyć święte szczątki, i tam mnie oporzadzono na schwał, jako to sami widzicie. Prawdę słów moich może poświadczyć urzędnik grodzki, który zapisuje do księgi imiona tych, co do grodu przybywają, oraz mój gospodarz. Gdy się upewnicie, że jest tak, jak mówię, nie każecie mnie chyba męczyć i zabijać, folgując tym hultajom.

Tymczasem Marchese i Stecchi, dowiedziawszy się, że sędzia podesty³⁰ okrutnie sobie z nim poczyna i już go na tortury bierze, drżąc o jego los, tak do siebie mówić jęli:

– Na ładnyśmy fortel wpadli, wyciągnęliśmy przyjaciela z patelni po to, aby go w ogień wrzucić!

Nie mieszkając pobiegli do gospodarza i opowiedzieli mu, jak się sprawa miała. Ów, posławszy się należycie, powiódł ich do niejakiego Sandra Agolanti³¹, który mieszkał w Treviso i wielkiego poważania u księcia zażywał. Opowiedziawszy mu wszystko szczegółowie, prosili go, aby się nad nieborakiem Martellinem zmiłował. Agolanti, śmiejąc się z całego serca, udał się do księcia i tyle wskórał, że zaraz posłano po Martellina.

Wysłańcy znaleźli go stojącego w koszulinie przed sędzią i drżącego ze strachu. Sędzia był głuchy na wszystkie wywody; żywiąc zaś przypadkiem jakiś wielki do florentczyków ran-
kor, umyślił go powiesić i żadną modłą zgodzić się nie chciał na wydanie go księciu. W końcu jednak musiał ustąpić i oswobodzić Martellina.

Stanąwszy przed księciem, Martellino opowiedział mu swoje przypadki i jak o szczególną łaskę prosił, aby mu zezwolono zostało miasto opuścić, dopóki bowiem nie ujrzy się we Florencji, będzie czuł stryczek na gardle. Księżę z przypadku tego uśmieł się serdecznie, a później obdarował wszystkich trzech pięknymi szatami i puścił ich swobodnie. Tak tedy, wielkiego niebezpieczeństwa ponad spodziewanie uszedłszy, zdrowi i cali do domu powrócili.»

Opowieść druga



MODLITWA DO ŚWIĘTEGO JULIANA

Rinaldo d'Esti, złupiony przez łotrzyków, przybywa do Castel Guiglielmo, gdzie go przyjmuje pewna wdowa. Wynagrodzony za swoje szkody, zdrów i cały do domu powraca.

Długo śmiały się damy z przypadków Martellina, o których Neifile opowiadała. Z młodych ludzi najbardziej weselił się Filostrato.

Ponieważ siedział obok Neifile, więc królowa jemu dalej ciągnąć opowieść kazała. Nie mieszkając zaczął w te słowa:

– Pragnę wam, miłe damy, opowiedzieć historię, co się zarazem katolickiej wiary, nie-szczęśliwych przypadków jak i miłości tyczy. Wysłuchanie jej będzie pożyteczną rzeczą, zwłaszcza dla tych, co po niebezpiecznych krainach Amora wędrując nie odmawiają modlitwy do świętego Juliana³² i dlatego też nieraz złą znajdują gospodę, chociaż i dobre łoże im przypadnie.

«Działo się to jeszcze za życia markiza Azzo z Ferrary³³; pewien kupiec, Rinaldo d'Esti zwany, bawił za swymi sprawami w Bolonii. W drodze powrotnej, gdy już z Ferrary wyjechał i ku Weronie się obrócił, napotkał jakichś ludzi, których za kupców wziął; byli to łotrzykowie i rozbójnicy. Rinaldo zawiązał z nimi rozmowę i nierozważnie przyłączył się do nich. Ci, uznawszy, że jest kupcem, wnieśli z tego zaraz, że musi mieć pieniądze przy sobie, dlatego też postanowili napaść na niego, gdy tylko sposobność się zdarzy. Aby zaś żadnego podejrzenia co do nich żywić nie mógł, poczynali sobie jako ludzie skromni i zacni, rozprawiając z nim tylko o uczciwości i wierności danemu słowu, udając, że są wobec towarzysza pokorni i dobrotliwi, tak iż Rinaldo spotkanie z nimi za wielkie szczęście sobie poczytywał i był rad, że nie potrzebuje jechać jedynie w towarzystwie swego konnego sługi. Przechodząc z jednego przedmiotu na drugi, jako się to często w rozmowach zdarza, jęli wreszcie mówić o modlitwach, jakie ludzie do Boga zanoszą. Jeden z trzech hultajów zapytał Rinalda:

– Powiedzcie mi, panie, jaką modlitwę odmawiać zwykliście bawiąc w drodze?

– Mówiąc po prawdzie – odparł Rinaldo – jestem w tych rzeczach człowiekiem nieuczonym i dobra doczesne lubiącem, dlatego też niewiele znam modlitw, żyję na dawną modłę i puszczam dwa sody za dwadzieścia cztery denary³⁴. Wszakóż mam to w obyczaju, że rano, wychodząc z gospody, odmawiam Pater Noster³⁵ i Ave Maria za spokój dusz rodziców św.

Juliana. Później modłę się do Boga i do tego świętego, abym następnej nocy dobry schron mógł znaleźć. Nieraz już w życiu, w czasie podróży, wielkie niebezpieczeństwa mi zagrażały, przecieżem zawsze szczęśliwie ich unikał najdując zacną gošcinę i nocleg bezpieczny. Mocno w to wierzę, że św. Julian, do którego z modlitwą się obracam, łaskę tę dla mnie u Boga wyprosił. Gdybym jej rano odmówić przepomniał, uwierzyć bym nie zdołał, by dzień mógł upłynąć dla mnie szczęśliwie, a noc wytechnienie mi przynieść.

– Zaliście dzisiaj ją odmówili? – zapytał łotrzyk.

– Oczywiście! – odparł Rinaldo.

Tamten wiedząc już, jakie jest ich ułożenie, rzekł do siebie:

„Niechaj ci ta modlitwa będzie ku pomocy. Jeżeli jednak dzisiejszej nocy nic nam nie stanie na wstręcie, zaiste nie najlepiej noclegować będziesz.” Później rzekł głośno:

– Ja także wiele po świecie jeździłem, jednakoz̄ chocia wielu mi modlitwę tę zachwalało, przecieżem jej nie odmawiał. Mimo to nie zdarzyło mi się, abym zły schron znalazł. Dzisiejszego wieczora obaczmy, kto z nas lepszą gošcinę znajdzie, czy wy, coście tę modlitwę odmówili, czy też ja, com jej nie odmawiał. Po prawdzie, to zamiast niej mam zwyczaj recytować *Dirupisti*³⁶, *Intemerata* i *De profundis*, które jak moja babka powiadała, wielką skuteczność mają.

Taką rozmową się bawiąc, kęs drogi przebyli; łotrzykowie czekali tylko sposobnej pory, aby swój szkaradny zamysł skutecznić. Późną godziną podjechali do Castel Guiglielmo³⁷, aby się przez rzekę w bród przepawić. Trzej hultaje widząc, że znajdują się na pustkowiu, rzucili się na Rinalda, ograbili go całkiem i pozostawili go w jednej koszuli. Odjeżdżając zaś, rzekli doń:

– Idź i obacz, czy twój święty Julian ześle ci dzisiaj zacną gošcinę, taką, jaką my od naszego świętego otrzymamy. Rzekłszy to przepawili się przez rzekę i wkrótce z oczu mu zniknęli.

Strachliwy sługa Rinalda widząc, że rozbójnicy napadają na jego pana, nie pośpieszył mu z pomocą, lecz zawróciwszy konia, puścił go na wyskok i zatrzymał się dopiero w Castel Guiglielmo. Nie kłopotując się o nic, legł tam na spoczynek, bowiem noc już późna była.

Rinaldo ostał się w jednej tylko koszuli na ciele, a do tego boso; tymczasem zimno było srogie i śnieg padał gęsty.

Nieborak widząc, że noc zapada, nie wiedział, co mu począć należy. Drżał całym ciałem, szcękając zębami i rozglądał się wokół, szukając jakiegoś schronu na noc, aby nie umrzeć z zimna. Jednakoz̄ nic znaleźć nie mógł, bowiem niedawna wojna cały kraj spustoszyła. Nękanym zimnem, powłókł się w stronę Castel Guiglielmo, chocia nie wiedział, zali jego sługa tam właśnie uciekł. Miał nadzieję, że jeśli tylko zdoła dostać się do zamku, Bóg mu jakąś pomoc ześle. Aliści o milę drogi od zamku noc gęsta go zaskoczyła; stanął na miejscu tak późno, że bramy były już zamknięte, a mosty zwiedzione. Pełen rozpacz, jęcząc i płacząc, jał się rozglądać, aby gdzieś przynajmniej przed śniegiem się ukryć. Nagle obaczył mały domek wychylający się nieco poza mur zamkowy. Umyślił schronić się pod tym występem i tam świtu się doczekać. Udał się tam zatem i natknął się na zamknięte drzwi. Rinaldo zgarnął trochę słomy w pobliżu i legł pod progiem, skarząc się żałośnie i szemrząc na św. Juliana, który tak zawiódł jego zaufanie. Aliści św. Julian zatroskał się o Rinalda i wkrótce dał mu zacne schronienie.

W domku na wałach mieszkała młoda wdowa, mająca tak piękne ciało jak żadna inna białogłowa. Markiz Azzo miłował ją nad życie i trzymał ją tutaj, aby mieć sposobność chuciom swym dogadzać. Zdarzyło się, że markiz przybył tam poprzedniego dnia i obiecał, że tę noc razem z nią spędzi. Wdowa kazała w tajemnicy przygotować kąpiel i wystawną wieczerzę. Gdy już wszystko przysposobione było, a dama tylko na kochankę czekała, do markiza przybył goniec z takimi wieściami, że markiz zaraz w drogę wyruszył, do wdowy zaś pchnął umyślnego, aby jej doniósł, że dziś przybyć nie może.

Wdowie nie bardzo to w smak poszło; rada nierada, postanowiła sama zażyć kąpieli, później zjeść wieczerzę i na spoczynek się udać. Kąpała się obok drzwi, za którymi leżał na ziemi nieborak Rinaldo. Siedząc w wodzie, wdowa usłyszała nagle, jak ktoś jęczy i zębami klekota, niby bocian dziobem. Przywoławszy tedy służkę, rzekła do niej:

– Idź i obacz poprzez mur, kto tam leży u progu za drzwiami i czego tutaj chce? Służka poszła, a że noc była jasna, obaczyła w półmroku Rinalda, który bosy, w jednej koszuli na ciele, drżał z zimna. Zapytała go, kim by był?

Rinaldo tak się trząśł okrutnie, że ledwie mógł kilka słów wymówić; opowiedział jej pokrótce, kim jest i w jaki sposób się tu dostał, później zasię jał ją prosić żałośnie, aby mu tu z zimna umrzeć nie dozwoliła. Służka, litością zmiękczona, powróciła do swej pani i opowiedziała jej wszystko.

Dama, równie litością tknięta, przypomniała sobie, że ma klucz od tych drzwi, przez które markiz, nie chcąc, aby go widziano, niekiedy do domu wchodził, i rzekła:

– Idź i otwórz mu cichaczem; wieczerza jest przygotowana, tylko jeść jej nie ma komu, miejsca na nocleg także wystarczy.

Służka, wychwalając ludzkość swej pani, drzwi odparła i wpuściła Rinalda do środka. Wdowa, widząc go zmarzniętego na kość, kazała mu wejść do ciepłej jeszcze kąpieli. Ów, nie czekając, aż zaproszenie powtórzą, wszedł ochotnie do wody; gdy go ciepło przeniknęło, poczuł, że ze śmierci do życia powraca. Wdowa kazała dlań przysposobić szaty swojego męża, który zmarł był przed niedawnym czasem. A gdy je przywdział, wydawały się jakby na niego skrojone. Czekając, co mu rozkażą, począł dziękczynienia czynić Bogu i św. Julianowi, którzy ponad spodziewanie od tak złej nocy go uchronili i do dobrej gospody, jako się zdało, przywieśli. Wdowa, zażywszy wczasu po kąpieli, kazała rozpaścić wielki ogień w komnacie, a później spytała służki, co jej nieborak porabia.

– Gdy się w szaty przybrał – odparła służka – okazał się wielce urodziwym mężem. Wygląda przy tym na człeka obyczajnego i zacnego stanu.

– Przywołaj go tu zatem – rzekła dama – i powiedz mu, że ogrzeje się przy ogniu i zje wieczerzę, wiem bowiem, że jeszcze, z pewnością nie wieczerzał.

Rinaldo wszedł do sali, a obaczywszy białogłowe, która prawdziwą damą mu się wydała, pozdrowił ją dwornie i za okazane mu dobrodziejstwo podziękował, jak mógł najlepiej. Dama, upewniwszy się, że jej służka prawdę powiedziała, przyjęła go serdecznie i posadziła go koło ognia, obok siebie, prosząc, aby opowiedział jej o nieszczęściu, co go tu przywiodło. Rinaldo opowiedział wszystko szczegółowie. Ponieważ wdowę doszły już o nim słuchy, gdy służący jego do zamku przybył, tedy uwierzyła bez trudu w jego słowa i oznajmiła mu, co wie o słudze, którego jutro łatwo będzie mógł odszukać. Gdy już stół zastawiono, Rinaldo na wezwanie wdowy ręce umył po społu z nią i wieczerzać począł. Rinaldo był człkiem słusznego wzrostu, o wielce dwornym obejściu i o urodziwym obliczu, a przy tym młodzieńcem w kwiecie lat. Wdowa nie spuszczała zeń zachwyconych oczu, a że, gdy na markiza czekała, chucie w niej rozgorzały, już widziała się z Rinaldem sparzoną. Po wieczerzy, wstawszy od stołu, jęła się naradzać ze służką, zali wolno jej skorzystać z dobra, przez fortunę zesłanego, skoro markiz zawód jej sprawił. Służka wiedząc, jakie jest życzenie jej pani, podwoziła ją jęła k'temu, aby chętkom swym pofolgowała. Wdowa wróciwszy do kominka, przy którym siedział Rinaldo, spojrzała nań miłośnie i rzekła:

– Czemuście tak zamyśleni, Rinaldo? Zali mniemacie, że strata rumaka i szat jest niepowetowana? Poczescie się i rozweselcie, bowiem znajdujecie się u siebie w domu. Gdy patrzę na was, ubranego w strój mojego nieboszczyka męża, wydaje mi się, że to on we własnej osobie. Sto razy już mi przychodziła chętką pocałować was i uściskać. Gdyby nie obawa, że wam to nie będzie miłe, dawno bym to już uczyniła.

Rinaldo, usłyszawszy te słowa i widząc ogień w jej oczach, stanął przed nią, rozwarł ramiona i rzekł jak człek, którego nie w ciemni bito:

– Wszakże wam życie dłużny jestem; zawsze to powiem, wspomniawszy, od czegoście mnie wybawili. Szkaradną nikczemnością z mojej strony by było, gdybym, nie starał się wszystkich waszych życzeń spełnić. Obejmijcie mnie zatem i całujcie mnie, ile tylko zapragniecie, ja jeszcze z większą chęcią wam odpowiem.

Więcej mówić nie było trza. Wdowa, miłosnymi płomieniami gorejąca, rzuciła mu się w ramiona i ciasno go obłapiwszy obsypała go gradem pocałunków, które Rinaldo z lichwą jej oddał.

Później podnieśli się, udali się do jej komnaty i nie mieszkając położyli się do łoża. Nim dzień nastał, wiele razy do woli pragnienia swoje nasycili. Gdy jutrznia na niebie zajaśniała, Rinaldo, zgodnie z życzeniem wdowy, podniósł się z łożnicy. Aby nikt nic podejrzewać nie mógł, dała mu mocno wyszarżale suknie i napełnioną złotem sakiew, prosząc, by ścisłą tajność zachował. Później wskazawszy mu, którądy ma wejść do grodu i gdzie swego sługi szukać, wypuściła go tymi samymi drzwiami, którymi wszedł do niej.

Dzień się tymczasem zrobił zupełny. Rinaldo, udając, że przybywa z dala, wszedł do zamku, gdy tylko bramy otworzono, i swego sługę odszukał. Ubrawszy się w swoje szaty, które sługa miał w tłumoku, chciał już rumaka pachołka swego dosiadać, gdy wtem zdarzyło się, jakby przez cud boski, że trzech hultaje, co go wczoraj ograbili, zostali na nowej swej niecnocie schwytni i do zamku pod strażą przywiezieni. Złodzieje przyznali się do wszystkiego.

Rinaldo otrzymał z powrotem rumaka, odzież i pieniądze, nie odzyskał jeno pary swych podwiązek, które łotrzyki gdzieś zatarcili.

Rinaldo, stokrotne dzięki Bogu i św. Julianowi złożonywszy, odjechał do domu zdrów i cały, zaśię trzech hultaje następnego dnia jęli się huścić na wietrze.»

Opowieść trzecia



DZIWNE MAŁŻEŃSTWO

Trzej bracia trwonią swoje majątki, popadając w ubóstwo. Jeden z ich siostrzeńców, wracając zrujnowany do kraju, zaznajamia się z pewnym opatem, który okazuje się córką króla angielskiego. Młódka wychodzi za niego za mąż i wynagradza straty jego wujom, przywracając im dawną pomyślność.

Z podziwieniem wysłuchano opowieści o przypadkach Rinalda d'Esti; wszyscy wychwalali jego pobożność i dziękowali Bogu oraz św. Julianowi, który wyrwał go z tej srogiej opresji. Powszechnie się też na to zgodzono (choć cichaczem), że wdowa niegłupio postąpiła, nie gardząc dobrem, które jej niebo zesłało. Gdy rozprawiano, żartując, o przyjemnej nocy, jaką spędziła, Pampinea, obok Filostrata siedząca, pojęła, że na nią teraz kolej przychodzi, zatem władze umysłu zebrawszy, obmyśliła historię, którą opowiedzieć miała. Zgodnie z rozkazem królowej, śmiało i wesoło ją mówiła w te słowa:

– Im więcej się o zrzędzeniach fortuny mówi, tym więcej do rozpowiedzenia pozostawa temu, co w pamięci swej dobrze poszpera. Nikt temu nie winien się dziwować, zważywszy, że wszystkie rzeczy, które przez głupotę swoją własnością zwiemy, w rękach losu się znajdują i zgodnie z jego tajnym rozrządzeniem bezustannie od jednego człeka do drugiego kolejno przechodzą. Wszystko się zmienia z wyroku fortuny, jeno my porządku tych przemian określić nie możemy. Chocia ta losu niestałość każdego dnia nam się na jaśnie podaje i chociaż o niej już w poprzednich opowieściach rzecz szła, przecie zgodnie z wolą królowej, która pragnie, aby o tym właśnie przedmiocie mówić, do tamtych nowel i moją nowelę dołączam, może być, iż nie bez pożytku dla słuchaczy. Mniemam, że im ona do smaku przypadnie.

«Żył ongiś w naszym mieście pewien szlachcic, imieniem Tedaldo. Według jednych wywodził się z rodu Lamberti³⁸, według drugich z rodu Agolanti. Ci ostatni, twierdząc tak, opierają się może na zajęciu bankierskim jego synów, któremu wszyscy Agolanti oddawali się i oddają. Aliści nie szerząc się zbytnio nad tym, do którego z dwóch tych rodów należał, powiem jeno, że był jednym z najbogatszych w swoim czasie szlachciców i że miał trzech synów. Pierwszy z nich zwał się Lamberto, drugi Tedaldo, a trzeci Agolante. Byli to urodziwi i kształtowni młodzieńcy. Zaledwie najstarszy do osiemnastego roku życia doszedł, gdy ojciec umarł, ostawiwszy im w dziedzictwie wszystkie swoje dobra ruchome i nieruchome. Mło-

dzieńcy, ocknąwszy się pośród takich posiadłości i bogactw, a krom chęci własnej rozkoszy innego preceptora nie mając, zaczęli majątności bez opamiętania marnotrawić.

Trzymali mnóstwo sług, mieli piękne rumaki, psy i sokoły, wyprawiali nieustanne uczyty i turnieje, czyniąc nie tylko to, co szlachcicowi przystoi, ale i folgując wszystkim swoim młodzieńczym zachceniom. Niedługo tą modłą żyli, gdyż skarb pozostawiony im przez rodzica stopniał szybko.

Ponieważ na wydatki dochodów im nie starczało, jęli więc sprzedawać i w zastaw majątności oddawać. I tak jednej po drugiej się pozbywając, spostrzegli wreszcie, że im prawie nic nie pozostało. Bieda otwarła im oczy, które bogactwo oślepiło. Wówczas najstarszy, Lamberto, przywołał pewnego dnia swoich dwóch braci i wspomniawszy, w jakim to poważaniu żył ich rodzic, ukazał im, w jak nędznym się teraz znajdują stanie, do którego przywiodła ich szaleńcza rozrzutność. Później jał ich z wszystkich sił nakłaniać, aby, nim nędza ich całkiem nie przydusi, sprzedali po społu z nim tę resztę niewielką, co im jeszcze pozostawa, i w świat wyruszyli. Tak też uczynili.

Nie żegnając się z nikim, cichaczem opuścili Florencję i nigdzie po drodze nie zatrzymując się odplynęli do Anglii. Przybywszy do Londynu, wynajęli niewielki domek i jęli żyć wielce skromnie, wszystkie pieniądze na lichwę obracając. Fortuna tak im sprzyjała, że przez kilka lat wielką moc grosza zebrali. Wróciwszy jeden po drugim do Florencji, nie tylko znaczną część swoich majątności odkupili, ale nabyli także i mnogie nowe dobra. Później w stadła małżeńskie wstąpili.

A jako że w Anglii nadal na lichwę pożyczali, wyprawili tam młodego swego siostrzeńca, Aleksandra, który miał mieć nadzór nad ich pieniędzmi. Sami zaś, żyjąc we Florencji, zapomnieli, do czego ich rozrzutność już raz przywiodła, i jęli znów pieniądze marnotrawić, bez myśli o tym, że przecież każdy z nich ma rodzinę. U kupców we Florencji takie mieli zaufanie, że mogli pożyczyć największą nawet sumę. W ciągu lat kilku żyli w podobny sposób dzięki pieniądzom, które im Aleksander przysyłał. Ów pożyczał bowiem baronom pod zastaw ich zamków i innych posiadłości, wielkie z tego ciągnąc korzyści. Gdy trzej bracia rozrzutne życie prowadzili i skoro zabrakło im grosza, brnęli w długi, niezachwianą nadzieję w Anglii pokładając. Tam, wbrew wszelkim oczekiwaniom, rozgorzała wojna³⁹ między królem a jego synem. Cała ludność rozdzieliła się na dwa wrogie obozy. Wskutek wojny Aleksander utracił zamki baronów i znikąd już dochodów czerpać nie mógł. Mając nadzieję, że lada dzień między ojcem a synem do zgody przyjdzie, Aleksander nie opuszczał Anglii, jeno czekał, aż mu dobra jego z nawiązką zwrócone zostaną. Trzej bracia, żyjący we Florencji, nie ograniczali wcale swoich wydatków, ale przeciwnie, w coraz większe długi brnęli.

Aliści, jako że w ciągu lat kilku nic nie potwierdzało pokładanej w nich nadziei, trzej bracia nie tylko zaufanie u ludzi utracili, ale zostali wtrąceni do więzienia na żądanie tych, którym dłużni byli. Ponieważ na pokrycie długów nie starczyły ich majątności, tedy zostali pod kluczem. Żony ich i maleńkie dzieciątka jęły się tułać to tu, to tam, także po okolicznych wsiach, ubrane w nędzna odzież i żadnej nadziei na przyszłość nie mające.

Aleksander jeszcze przez kilka lat na pokój czekał; widząc jednak, że wojna trwa ciągle i że jego pobyt w Anglii nie tylko jest bezużyteczny, ale i niebezpieczny dla niego, umyślił do Włoch powrócić. Wyruszył w drogę sam jeden. Wyjeżdżając z Brugge⁴⁰, obaczył, że jakiś opat w białym habicie także miasto opuszcza. Towarzyszyło mu wielu mnichów i siła służby z mnogim sprzętem podróznym na przedzie. Orszak zamykali dwaj znakomici rycerze z królewskiego domu. Aleksander, który ich znał, wstąpił z nimi w rozmowę i do ich kompanii ochotnie dopuszczony został. Po drodze uprzejmie zapytał ich, co to są za mnisi, jadący przodem z tak wielkim poczem sług, i dokąd zmierzają?

Na to odparł jeden z rycerzy:

– Młodzieniec, jadący na czele orszaku, jest naszym krewniakiem, który teraz właśnie otrzymał jedno z najbogatszych opactw w Anglii. Ponieważ jednak zbyt jest młody, aby móc

prawnie tę godność sprawować, więc jedziemy z nim do Rzymu, chcąc od Ojca świętego otrzymać dlań dyspensę i zatwierdzenie go na urządzie. Proszę was jeno, abyście tego nie rozgłaszali.

Młody opat, jadący na czele orszaku, to znów obok sług swoich, obyczajem panów będących w podróży, znalazł się trafunkiem koło Aleksandra. Ów, jako młodzieniec wielce urodziwy, obyczajny i pełen wdzięku, z pierwszego wejrzenia przypadł opatowi do serca. Opat, przyzwawszy go, jał uprzejmie z nim rozmawiać pytając, kim jest, skąd i dokąd jedzie? Aleksander, chcąc jego ciekawość zaspokoić, opowiedział mu szczerze o wszystkich swoich sprawach i chociaż niewiele mógł sprawić, cne usługi swoje mu ofiarował.

Opat, wysłuchawszy jego rozumnej i pięknej mowy i dworność jego zważywszy, pomyślał, że ten człek, mimo sprawianego przez się rzemiosła, musi być zacie urodzonym, i wielce sobie go upodobał. Pełen współczucia dla jego nieszczęść, jał go pocieszać, zachęcając, aby nadziei nie tracił. Jeśli tylko dzielny i wytrwałym będzie, Bóg nie tylko do poprzedniego go powróci stanu, ale jeszcze i wyżej go podniesie. A dowiedziawszy się, że Aleksander także do Toskanii zmierza, prosił go, aby razem drogę odbywali.

Aleksander podziękował mu za słowa pociechy i oświadczył, że gotów jest we wszystkim przyrzec mu posłuszeństwo.

Spotkanie z Aleksandrem wzbudziło w opacie nowe uczucia i myśli. Podróżując razem, po kilku dniach przybyli do pewnego miasteczka, gdzie nie było zbyt wiele gospod. Ponieważ opat chciał się tam na nocleg zatrzymać, więc Aleksander umieścił go u pewnego oberżysty, którego znał dobrze, i kazał mu, przygotować najlepszą w domu komnatę. A jakby był już jego marszałkiem, wielką mając biegłość w tych sprawach, zakrzętnął się, jak mógł najlepiej, i sługom opata dał różne kwatery w mieście.

Gdy opat wieczerzę skończył i gdy już znaczna część nocy minęła, a wszyscy na spoczynek się udali, Aleksander zapytał gospodarza, gdzie ma nocować?

– Wierę, nie wiem tego – odparł gospodarz. – Widzicie przecie, że cały dom jest pełen i że ja wraz z moją rodziną muszę spać na ławach. Jednakoż w komnacie opata znajduje się kilka worów z żytem, narychtuję wam z nich łożę; mniemam, że jakoś noc spędzicie.

– Jakże to? – odparł Aleksander – komnata opata jest tak mała, że z przyczyny jej ciasnoty nie mógł się w niej pomieścić ni jeden z jego mnichów. Gdybym sobie był wcześniej z tego sprawę zdał, wówczas, gdy zasłony przybijano, kazałbym spać na worach jego mnichom, a sam udał się tam, gdzie oni noclegują.

– Już temu teraz zaradzić niesposób – rzekł oberżysta – możecie wszakoż ułożyć się tam wygodnie. Opat śpi na łożu, którego zasłony są opuszczone. Przyniosę wam po cichu kołdrę i będziecie spali jak suseł.

Aleksander, widząc, że niepokoju opatowi nie przyczyni, zgodził się wreszcie i na palcach wszedł do komnaty. Aliści opat, który nie spał, na łup nowych swoich pragnień zdany, nie uronił ani słowa z rozmowy Aleksandra z oberżystą, a także spostrzegł, gdzie Aleksander legł na spoczynek. Wielce z tego ukontentowany, rzekł do siebie: „Oto sam Bóg daje mi sposobność do zaspokojenia mych pragnień. Jeśli jej w lot nie schwyce, lepsza może mi się nigdy nie nadarzy.”

Postanowiwszy zatem ze sposobności skorzystać, poczekał chwilę, aby wszyscy w domu zasnęli, a później cichym głosem zawołał na Aleksandra, by legł koło niego na łożu. Aleksander wzbraniał się długo, lecz wreszcie rozdział się i wszedł do łoża.

Opat położył mu rękę na piersiach i jał go macać, nie inaczej, jak to czynią młode dziewczęta ze swymi kochankami. Aleksander zadziwił się wielce, nie wątpiąc, że opat, występny pragnieniem powodowany, na niego dybie. Ów, żywszym poruszeniem Aleksandra na ślad podejrzeń jego naprowadzony, uśmiechnął się, a ściągawszy z ramion swoją koszulę, schwycił Aleksandra za rękę, położył ją na swoich piersiach i rzekł:

– Oddal od siebie głupie myśli, Aleksandrze, i przekonaj się, jaką prawdę tutaj ukrywam.

Aleksander poczuł pod dłonią dwa krągłe i miłe cycuszki, tak twarde, jakby z kości słoniowej uczynione były. Znalazłszy je pojął, że opat jest białogłową; nie czekając tedy na zaproszenie, oblał ją ciasno i już chciał ją całować, gdy wtem ona rzekła:

– Nim bardziej jeszcze zbliżysz się do mnie, wysłuchaj, co ci powiedzieć pragnę. Jak to dowodnie widzisz, jestem nie mężem, lecz białogłową. Jako dziewica opuściłam dom rodzicielski; wybrałam się w drogę do papieża z prośbą, aby mnie za męża wydał. Jednakże na twoje szczęście, czyli też na moją zgubę, ledwie cię ujrzała, rozgorzałam do ciebie taką miłością, jaką żadna białogłowa nigdy mężczyzny nie obdarzała. Umyśliłam zatem ciebie za małżonka sobie wybrać. Jeśli jednak zostać nim nie chcesz, idź precz z mego łoża i wracaj na swoje posłanie.

Aleksander, chocia jej nie znał, wniósł przecie z jej orszaku, że musi być białogłową bogatą i wysoko urodzoną. Ujrawszy zasię jej piękność ani chwili się nie wahał, jeno odparł, że jeśli taka jest jej wola, to i on innej nie ma.

Wówczas usiadła na łożu i przed obrazem, na którym był wizerunek Pana naszego, włożywszy mu pierścień na palec, zaślubiła go. Po czym uścisnęli się i resztę nocy z wielkim obojga ukontentowaniem na przyjemnych igrach spędzili. Umówili się, co im dalej czynić należy. Przed świtem Aleksander wyszedł z komnaty równie cicho, jak i wszedł do niej. Nikt nie wiedział, gdzie tę noc przepędził. Na drugi dzień, pełen niewysłowionej szczęśliwości, po społu z opatem i jego swiłą w dalszą drogę ruszył. Po wielu dniach podróży przybyli do Rzymu. Odetchnawszy nieco po trudach drogi, opat w towarzystwie dwóch rycerzy i Aleksandra udał się do papieża i należną cześć mu złożwszy w te słowa przemówił:

– Wiadomo Wam lepiej niż komukolwiek, Ojczy święty, iż ten, co zacie i szlachetnie żyć pragnie, winien, ile zdoła, unikać wszelakich sposobności, które by go od prawej drogi odstrychnąć mogły. Także i ja, iż do cnoty dążę, by móc temu zadość uczynić, przebrałam się w ten strój, w jakim mnie widzicie, uciekwszy skrycie od mego ojca, króla Anglii, z częścią jego skarbów. Ojciec mój bowiem, nie zważając na mój wiek młody, chciał mnie oddać w stadło sędziwemu królowi Szkocji. Umyśliłam zatem wybrać się do Was, Ojczy święty, abyście mi męża wybrali. Nie tyle trwoga przed sędziwym królem Szkocji do ucieczki mnie pobudziła, ile obawy, abym zostawszy jego małżonką nie pofolgowała mojej młodości i nie uczyniła czegoś wbrew prawom boskim i czci królewskiego rodu. Gdy z takimi zamysłami tu zdążyłam, Bóg, który wie najlepiej, czego nam do szczęścia potrzeba, w swym niezmiernym miłosierdziu posłał mi na spotkanie tego, kogo na małżonka mi przeznaczył. Jest nim ten oto młodzieniec (tu na Aleksandra ukazała), obok mnie stojący.

Dla swych przymiotów i obyczajów godzien jest miłości każdej znamienitej damy, chocia jego krew nie jest tak zacna, jak krew królewska. Przeto jegom wybrała i jego tylko na męża pragnę, choćby wola mego rodzica i wszystkich ludzi przeciwna temu być miała. Tak tedy znikła główna przyczyna, dla której w drogę się wybrałam. Zdało mi się jednak rzeczą słuszną do Rzymu dotrzeć, aby odwiedzić wszystkie miejsca święte, Was, Ojczy święty, obaczyć, a także, abym nasz związek, tylko przed Bogiem zawarty, Wam objawiła, a przeto i wszystkim innym do wiadomości podała. Pokornie tedy was błagam, abyście raczyli przychylnie odnieść się do tego, co się podobało Bogu i mnie, i uszczęśliwili nas swoim błogosławieństwem. Otrzymawszy je, jeszcze bardziej wierzyć będziemy w życzliwość Tego, czym namiestnikiem jesteście. Będziemy żyli wielbiąc Boga i Was do ostatniego dnia żywota naszego.

Aleksander osłupiał usłyszawszy, że jego żona jest córką króla angielskiego, i ucieszył się z tego wielce w głębi duszy. Aliści jeszcze więcej zdumieli się dwaj rycerze; pełni rankoru i głębokiego nieukontentowania, ani chybi wyrządiliby krzywdę Aleksandrowi, a może i księżniczce, gdyby nie przytomność papieża. Papież także niemało się zadziwił tak z ubioru księżniczki jako i z jej wyboru, jednakże wiedząc, że cofnąć się już nie lza, nie chciał jej prośbie odmówić.

Przede wszystkim uspokoił obu rycerzy, widząc ich pomieszanie, pogodził ich z księżniczką i Aleksandrem i zarządził, co czynić należy. W dniu oznaczonym przez niego na uroczystość zaślubin, na której byli przytomni wszyscy kardynałowie i różne osoby znamienite, zjawiała się panna młoda w królewskich szatach; piękność jej i wdzięk osobny powszechny zachwyty wzbudziły. Aleksander przybył także wspaniale przyodziany; nikt z pozoru i ułożenia nie mógłby go wziąć za młodzieńca, który na lichwę pożyczał; raczej królewiczem być się zdawał. Dwaj rycerze osobną cześć mu teraz okazywali. Papież przykazał uroczystość zaślubiny odprawić, a później wspaniałe wesele im zgotował i udzielił im błogosławieństwa.

Aleksander z małżonką wyjechał z Rzymu do Florencji, dokąd już wieść o nich dotarła.

Mieszkańcy Florencji spotkali ich z oznakami czci i głębokiego hołdu. Księżniczka uwolniła z więzienia trzech braci, zapłaciwszy wszystkie ich długi i wprowadziwszy ich oraz ich żony z powrotem w posiadanie utraconych majątności. Później wraz z mężem i Agolantem wyjechała do Paryża, gdzie ją król francuski wielce uroczystość przyjął. Dwaj rycerze udali się do Anglii i tyle sprawili, że król angielski, uradowany wielce, przyjął z powrotem do swej łaski córkę i zięcia, Aleksandra niebawem do stanu szlacheckiego podniósł i hrabstwem go obdarzył. Aleksander zasię tyle starań dołożył i tak umiał się wziąć do rzeczy, że udało mu się ojca z synem pogodzić. Siła pomyślności stąd na Anglię spłynęła, co Aleksandrowi zjednało miłość i wdzięczność wszystkich mieszkańców. Agolante otrzymał z powrotem pieniądze, które mu się u ludzi należały, i do Florencji jako bogacz wielki powrócił. Jeszcze przedtem hrabia Aleksander szlachcicem go uczynił.

Aleksander żył szczęśliwie z swoją małżonką. Niektórzy powiadają, że dzięki swemu rozumowi i męstwu, przy pomocy teścia, zdobył Szkocję, której królem miał rzekomo zostać ukoronowany.»

Opowieść czwarta



LANDOLFO RUFOLLO

Zubożały Landolfo Rufolo staje się korsarzem. Genueńczycy biorą go w niewolę. Rozbity się na morzu, ratuje się dzięki skrzyni pełnej klejnotów. Na Korfu gości w domu pewnej białogłowy, a później, bogaty, do kraju wraca.

Lauretta, siedząca obok Pampinei, postrzegłszy, że ta do szczęśliwego kresu opowieść swoją doprowadziła, bez zwłoki w te słowa mówić poczęła:

– Nie ma, miłe panie, według mego mniemania, większego fortuny dzieła, jak podniesienie kogoś z nędznej kondycji do królewskiego stanu; ukazała nam to Pampinea w swej opowieści o Aleksandrze. Jako że każdy z nas opowiadać winien zgodnie z materią wprzód określoną, nie będę się wzbraniała opowiedzieć noweli, która chociaż większe jeszcze niedole w sobie zamyka, przecie tak pomyślnego końca nie ma. Wiem dobrze, że nie będziecie mnie słuchali z równą ciekawością, aliści nie stać mnie na nic innego, i dlatego proszę abyście mi wybaczyli.

«Powszechnie twierdzą, że wybrzeże między Reggio a Gaetą najpiękniejszą część Italii stanowi. Tutaj, opodal Salerno, ku morzu obrócona, rozciąga się górzysta przestrzeń, którą mieszkańcy zwą wybrzeżem Amalfi, usiana miasteczkami, ogrodami i fontannami; tutaj mieszkają bogacze, głównie handlem się parający. Wśród tych miasteczek jest jedno, zwane Ravello, gdzie i dziś nie brak ludzi bogatych; a gdzie podówczas mieszkał niezwykle bogaty kupiec, Landolfo Rufolo⁴¹. Ów, chcąc majątność swoją podwoić (bowiem to, co miał, mu nie wystarczało), o mały włos nie zginął po społu ze swymi skarbami. Landolfo, wszystko poprzednio dobrze zważywszy, jak to pospolicie kupcy czynią, nabył wielki statek, naładował go towarem kupionym za swoje pieniądze i popłynął do Cypru. Tutaj jednak obaczył, że do portu zawinęło wiele okrętów z takim samym ładunkiem; dla tej przyczyny nie tylko wypadło mu towar swój tanio sprzedać, ale nawet prawie darmo go oddać, dzięki czemu do ruiny został przywiedziony. Zrozpaczony tym wszystkim, nie wiedział, co począć, a widząc, że z bogatego człeka ma się stać w krótkim czasie nędzarzem, postanowił albo zginąć, albo też grabieżą straty swoje powetować, byleby tylko nie wracać ubogim tam, skąd bogatym wyjechał.

Znalazłszy kupca na swój wielki drewniany korab, za pieniądze stąd i za sprzedaż towarów otrzymane, nabył mały statek korsarski, opatrzył go we wszystko, w co należy, uzbroił i jał się trudnić grabieżą, napadając na wszystkich, osobliwie zaś na Turków. W tej profesji for-

tuna była mu przychylniejsza niżli w handlu. W ciągu może jednego roku tyle tureckich okrętów ograbił, że nie tylko wszystkie straty sobie powetował, ale i majątność podwoił. Nauczony już poprzednim niepowodzeniem, nie chcąc po raz wtóry podobnego nieszczęścia doświadczać, rzekł do siebie, że dość mu tego, co już posiada. Dlatego też umyślił z bogactwem swoim do domu powrócić. Nie mając już do handlu ufności, poniechał wszelkich zakupów za zyskane pieniądze, jeno na tym samym statku, który mu do korsarstwa służył, puścił się w drogę powrotną.

Gdy się już do Archipelagu⁴² zbliżał, podniósł się wiatr przeciwny, który morze poburzył. Jego mały statek nie mógł walczyć z falami, dlatego też Landolfo zawinął do zatoki, na małej wysepce, i skrywszy się od wiatru jął czekać lepszej pogody. Do tej zatoki zawinęły niebawem dwa potężne genueńskie okręty. Płynąc z Konstantynopola, i one schroniły się przed burzą i z trudem do zatoki dotarły. Ludzie na tych okrętach, ujrzawszy mały statek, zamknęli mu drogę i zapytali, skąd on płynie i do kogo należy. Znali już z wieści, że właściciel statku jest wielce bogatym człkiem, i dlatego umyślili okrętem zawładnąć. Byli to ludzie chytry i żądni rabunku. Wysadziwszy na brzeg kilku ludzi z kuszami i inną bronią, tak ich rozmieścili, aby nikt nie mógł wysiąść ze statku, pod grozą, że strzałami przeszyty zostanie, sami zaś na łodziach, wspomagani falą morską, zbliżyli się do statku Landolfa i zawładnęli nim bez trudu, wraz z całą załogą, nie straciwszy ani jednego człeka. Genueńczycy zabrali Landolfa na pokład jednej z barek, a później jego stateczek zatopili, wszystko z niego uniósłszy. Landolfo w jednym tylko kaftanie pozostał. Następnego dnia wiatr się odmienił i okręty podniósłszy żagle popłynęły na zachód. Tego dnia podróż szczęśliwą była, lecz wieczorem jął dąć silny wichur, który wielkimi bałwanami oba statki od siebie oddzielił. Wichur był tak potężny, że barka, na której znajdował się nieborak Landolfo, uderzywszy powyżej wyspy Kefalonia o mieliznę, uległa rozbiciu, niby szklanka o ścianę rzucona. Morze, jak to w podobnych wypadkach pospolicie bywa, upstrzyło się różnym sprzętem: towarami, skrzyniami i deskami. Noc była ciemna, morze wzburzone i groźne. Ci, spośród nieszczęsnych rozbitków, którzy umieli, pływali, uczepliwszy się rzeczy, co trafunkiem im pod ręce podpadły. Wśród tych nieszczęśliwców był i Landolfo. Ów, chociaż poprzedniego dnia śmierć często przyzywał, mówiąc, że raczej umrzeć woli niż do domu nędzarzem powracać, teraz śmierci w oczy zajrzawszy przeraził się jej i czepił się deski, jaka wpadła mu w ręce, mając nadzieję, że jeśli od utonięcia się uchroni, Bóg pomoc jakąś mu ześle. Usiadłszy na niej, czuł, jak morze i wichur miotają nim na wsze strony; tak trwało do świtu. Przy świetle dnia ujrzał przed sobą tylko obłoki, morze i skrzynię unoszącą się na falach, ilekroć się zbliżała, obawiał się, że ta skrzynia, uderzywszy o deskę, spowoduje jego upadek i przyczyną zatonięcia się stanie. Ilekroć skrzynia się doń zbliżała, odpychał ją ręką, walcząc ostatkami sił. Wkrótce jednak wichur utworzył wir powietrzny, morze wzburzył i tak silnie uderzył skrzynią o deskę, na której Landolfo siedział, że ów, obawiając się, że sił mu, zbraknie, by do niej dopłynąć, wypuściwszy ją z rąk, poszedł pod fale. Raczej strach niż siła na powierzchnię go wydobył; wówczas ujrzał, że deska płynie już na znacznej odeń odległości; zbliżył się zatem do skrzyni, która była bliżej, i oparłszy pierś na jej wieku jął ją rękami popychać. Rzucany falami to tu, to tam, nie wiedząc, gdzie się znajduje, i nie widząc nic wokół krom morza, Landolfo męczył się tak przez cały dzień i noc następną. Nic nie jadł, jeno pił więcej, niżli miał chęć na to.

Następnego dnia był już podobny do gąbki; wpił się obiema rękoma w brzeg skrzyni, jak to pospolicie czynią tonący, gdy tylko coś pochwycą. Aliści z woli Boga czy też dzięki sile wiatru dopłynął do brzegu wyspy Kortu, gdzie właśnie pewna uboga białogłowa czyściła swoje naczynia piaskiem i myła wodą. Białogłowa ta, ujrzawszy zbliżającego się Landolfa, nie mogła rozeznąć, co to jest, i dlatego przerażona się, i z krzykiem cofnęła się od brzegu. Landolfo nie mógł już mówić, niewiele także widział, przeto nic do niej nie rzekł. Gdy jednakże fale do brzegu go zbliżyły, białogłowa baczniej spojrzawszy rozeznała najpierw kształt skrzyni, a następnie, wyteżywszy wzrok, ramiona leżące na wieku, a później oblicze i zrozu-

miała, w czym rzecz. Powodowana litością, weszła do morza, które już uspokoiło się, i schwyciwszy Landolfa za włosy, wydobyła go na brzeg wraz ze skrzynią. Z trudem oderwała jego ręce od skrzyni, oddała ją córce, która była z nią razem, sama zaś wzięła Landolfa na ramiona niby małe dziecko i zaniosiła go do łaźni. Tam go tarła i gorącą wodą zlewała, że wróciło weń ciepło i zemdlone siły. Następnie, zabrawszy go stamtąd, pokrzepiła go winem i słodczymi i przez kilka dni miała nad nim staranie. Landolfo, wróciwszy do sił, poznał wreszcie, gdzie się znajduje. Zaczyna białogłowa postanowiła wówczas oddać mu skrzynię, która mu życie ocaliła, i powierzyć go jego losowi.

Tak też uczyniła. Landolfo zapomniał już o skrzyni, mimo to wziął ją z rąk białogłowy, myśląc, że chociaż jej szacunek wielki nie jest, przecie będzie mógł, sprzedawszy ją, kilka dni przeżyć. Jednakże znalazłszy ją wielce lekką i tę nadzieję postradał. Gdy gospodyni z domu wyszła, oderwał wieko chcąc się przekonać, co wewnątrz skrzyni się mieści. Ujrzał wiele klejnotów w oprawie i bez oprawy. Znając się nieco na klejnotach, poznał ich wielką wartość. Złożywszy dzięki Bogu, który go raz jeszcze w potrzebie nie opuścił, pocieszył się znacznie i otuchy nabrał. Jako człek, który w krótkim czasie dwa razy przeciwnemu losowi podlegał, teraz trzeciego nieszczęścia wielce się obawiał. Postanowił tedy bardzo ostrożnie sobie poczynać, aby te skarby móc do domu dowieźć szczęśliwie. Owinął klejnoty w strzepy łachmanów i oznajmił białogłowie, że mu już skrzynia potrzebna nie jest. Poprosił ją, aby mu dała worek, a skrzynię w zamian sobie zatrzymała. Białogłowa ochotnie, się na to zgodziła. Landolfo, podziękowawszy jej za wyświadczone mu dobrodziejstwa, pożegnał się z nią, wziął worek na plecy, wsiadł na barkę i popłynął do Brindisi. Stamtąd wzdłuż brzegu dotarł do Trani⁴³, gdzie spotkał kilku rodaków, sukienników. Opowiedział im o wszystkich swoich przypadkach, zataiwszy tylko znalezienie skrzyni, oni zaś przyodzielili go, pożyczili mu rumaka, dali przewodnika i odesłali do Ravello, dokąd udać się pragnął.

Tutaj bezpiecznym się poczytując, należny dank Bogu złożył i rozwiązał worek; pilniej niż poprzednio każdy klejnot wiele razy obejrzał i przekonał się, że tyle szacownych skarbów posiada, iż sprzedawszy je za stosowną sumę, a nawet i taniej, będzie dwa razy bogatszy niżli wtedy, gdy wyjeżdżał. Znalazłszy możliwość sprzedaży klejnotów, posłał znaczną kwotę tej cnej białogłowie, która go z wody wyciągnęła, a także i tym, co go w Trani przyodzielili. Resztę pieniędzy zatrzymał dla siebie. Odrzekł się handlu i żył w dostatku do końca dni swoich.»

Opowieść piąta



ANDREUCCIO Z PERUGII

Andreuccio z Perugii przybywa do Neapolu, aby zakupić konie. W nocy spotykają go trzy niebezpieczne przygody, z których wychodzi szczęśliwie, wracając z rubinem do domu.

– Znalezione przez Landolfa kamienie – rzekła Fiammetta, na którą teraz kolej nadeszła – przywiodły mi na pamięć pewną opowieść, nie mniej niebezpieczeństw w sobie zawierającą niżli historia Lauretty, tym wszakoż od niej różną, że tam zdarzenia zapewne przez szereg lat trwały, tu zaś, jak usłyszycie, wszystko się w ciągu jednej nocy stało.

«Żył ongiś w Perugii pewien młodzieniec, handlarz końmi, Andreuccio di Pietro zwany. Zastyszawszy, że w Neapolu jest dobry targ na rumaki, włożył do mieszka pięćset złotych florenów i ruszył w drogę w towarzystwie innych kupców, chociaż do tych pór nigdy za bramami swego miasta nie bywał. Do Neapolu przybył w niedzielę wieczorem; zasięgnawszy języka od oberżysty, nazajutrz rano na targ się udał. Wiele koni obejrzał; niektóre mu się podobały i wiele z nich targował, jednakoz przy kupnie nie mógł się na cenę zgodzić. Chcąc dać dowód, że o kupnie myśli, niezbyt chytrze sobie poczynął, bowiem kilka razy wyciągnął kiesę, pełną złota, na oczach przechodniów. W takiej chwili właśnie, gdy się swoją sakiewką pysznił, przechodziła mimo pewna urodziwa Sycylijka, gotowa zawsze pierwszemu lepszemu za lada grosz wdzięki swoje ofiarować. Minęła Andreuccia, nie będąc przezeń spostrzeżona. Zatrzaszawszy w sakiewkę jego zaraz rzekła do się: „Komuż lepiej by było na świecie niż mnie, gdyby pieniądze te do mnie należały?” Z dziewczyną tą szła po społu pewna starucha, także Sycylijka, która ujrzawszy Andreuccia opuściła natychmiast swoją towarzyszkę i pobięła doń, aby go serdecznie uściskać. Młódka, ujrzawszy to, zatrzymała się na stronie i milcząco czekała na nią. Andreuccio obrócił się, a poznawszy staruchę, wielce się uradował. Ta obiecała, że go odwiedzi w oberży, i po krótkiej rozmowie odeszła. Andreuccio zasię znowu na targ się udał, ale nic tego ranka nie kupił. Dziewczyna, która widziała mieszek Andreuccia i jego powitanie ze staruchą, jęła się głowić nad tym, jakim by sposobem wyciągnąć odeń pieniądze w całości albo choćby w części. Zapytała się przeto ostrożnie staruchy, jak go poznała, kim on jest, skąd pochodzi i co tutaj robi.

Starucha opowiedziała jej o Andreucciu z takimi szczegółami, że i on sam by lepiej nie potrafił, bowiem długo mieszkała na Sycylii, a potem w Perugii po społu z jego ojcem. Po-

wiadomiła ją także, po co Andreuccio tu przyjechał i gdzie się w tej chwili udał.

Młódka, zebrawszy wiadomości o jego rodzinie i krewniakach, postanowiła na tych wiadomościach swój zamysł chytrze osnować, aby tylko zaspokoić apetyt na jego pieniądze. Po powrocie do domu dała starusze robotę na cały dzień, tak aby z Andreucciem spotkać się nie mogła, i wzięwszy pewną młódkę, do podobnych posług zaprawioną, wysłała ją wieczorem do oberży Andreuccia. Ta zastała go trafunkiem samego u bramy oberży i zaraz ją rozpytywać, gdzie niejakiego Andreuccia spotkać może. Usłyszawszy, że on właśnie jest tym Andreucciem, odwiodła go na stronę i rzekła:

– Pewna piękna i szlachetna dama z tego miasta pragnęłaby, jeśli można, widzieć się z wami. – Andreuccio, poczytujący siebie za urodziwego młodzieńca, zaraz wystawił sobie, że dama musi być w nim zakochana, tak jakby piękniejszego odeń mężczyzny w całym Neapolu naówczas nie było, i odparł, że jest gotów; potem zapytał, gdzie i kiedy zobaczyć się z nią może.

– Jeśli tylko przyjść zechcecie, panie – odparła młódka – znajdziecie ją u siebie w domu.

Andreuccio podniósł się natychmiast i nikomu w oberży o zamiśle swoim nic nie powiedział, rzekł:

– Idź naprzód, pójdę zaraz za tobą. – Filutka zaprowadziła go do domu, który znajdował się w dzielnicy miasta, zwanej Malpertuggio⁴⁴. Jak zaczęła być ta dzielnica, już sama nazwa wskazuje. Andreuccio, nic nie wiedząc ani nic nie podejrzewając, przeciwnie, wierząc, że do szlachetnej białogłowy się udaje, swobodnie wszedł do domu, poprzedzany przez służkę. Gdy wstępował na schody, dziewczyna zawołała na swoją panią, oznajmiając, że Andreuccio przybył. Wówczas Andreuccio ujrzał ją, stojącą w oczekiwaniu na najwyższym stopniu schodów. Była jeszcze białogłową młodą, słusznego wzrostu, o pięknym obliczu, a przy tym obyczajnie i strojnie ubraną. Gdy się Andreuccio do niej zbliżył, zeszła o trzy stopnie mu naprzeciw z rozwartymi ramionami i obłapiwszy go za szyję trwała tak w milczeniu, jak gdyby zbytek czułości mowę jej odjął. Później ze łzami w oczach ucałowała go w czoło i rzekła głosem od szlochów przerywanym:

– Bądź pozdrowiony, Andreuccio, w moim domu!

Andreuccio, zdumiony tymi czułościami i całkiem osłupiały, odparł:

– Witam was, szlachetna damo.

Wówczas zalotnica schwyciła go za rękę, wprowadziła na górę do sali, a stamtąd, nic nie mówiąc, do swojej komnaty pachnącej różami, kwiatem pomarańczowym i innymi wonnościami. Andreuccio ujrzał drogocenne zasłanie łoża pod baldachimem, wiele wspaniałych strojów rozwieszonych na drążkach, wedle tamtejszego obyczaju, a także siła rozlicznych a bogatych sprzętów. Na ten widok Andreuccio uwierzył najmocniej, że z nader dostojną damą ma do czynienia. Usiedli po spółu na skrzyni stojącej w nogach jej łoża, a wówczas dama ją mówiła w te słowa:

– Jestem pewna, Andreuccio, że dziwią cię zarówno łzy moje jak i pieszczoty, bowiem nie znasz mnie i zapewne nigdy o mnie nie słyszałeś. Aliści usłyszysz zaraz rzecz, która w jeszcze większe zadziwienie cię wprawi; wiedz bowiem, że jestem twoją siostrą. Bóg okazał mi wielką łaskę, pozwolewszy mi ujrzeć przed zgonem jednego z moich braci (o jakże bym chciała wszystkich ich oglądać), dlatego też, kiedy mi umrzeć przyjdzie, będę umierała pełna pociechy. Ponieważ, jak mniemam, nic o tym wszystkim nie słyszałeś, tedy ci opowiem. Pietro, twój i mój rodzic, jak wiesz pewnie, długo w Palermo przebywał. Dla swojej dobroci i łaskawości cieszył się i cieszy jeszcze osobnymi względami wszystkich, którzy go znali. Z tych, co go kochali, moja matka, szlachetnego rodu niewiasta, podówczas będąca wdową, miłowała go najbardziej. Nie bacząc na strach przed ojcem swym i braćmi, a także na cześć swoją, w tak ścisłym związku z nim żyć poczęła, że ja na świat przyszedłam i wyrosłam na taką, jaką mnie tu widzisz. Wkrótce potem Pietro musiał wyjechać z Sycylii i do Perugii się udać. Ostawił matkę moją i mnie, małą dziewczynkę, i odtąd, jakem słyszała, nie dał najmniejszego

znaku swojej pamięci o nas. Gdyby nie był moim ojcem, silnie bym mu naganiała tę niewdzięczność wobec mojej matki (nie mówiąc już o miłości, jaką był winien dla mnie żywić, jako dla swej córki, urodzonej przecie nie z, jakiejś służebnicy albo gamratki!). Moja matka oddała mu samą siebie i wszystko, co posiadała, nie znając go nawet dostatecznie, wierną miłością jeno się powodując. Ale cóż? Dawne winy łatwiej jest naganiać niżli naprawiać. Rzecz się tak miała.

Ojciec pozostawił mnie w Palermo małym dziecięciem. Gdy wyrosłam już prawie na taką, jaką dzisiaj jestem, matka moja, kobieta bogata, wydała mnie za mąż za jednego mieszkańca Girgenti⁴⁵, zacnego czelaka, z dobrego rodu idącego. Ów dla miłości do mnie i do mojej matki przeniósł się na stały pobyt do Palermo. Będąc zagorzałym gwelfem, wdał się w tajny spisek z naszym królem Karolem⁴⁶, aliści król Fryderyk, o wszystkim powiadomiony, zamysły ich udaremnił. Mąż mój musiał uciekać z Sycylii właśnie wówczas, gdy ja myślałam, że stanę się tak znaczną damą, jakiej nigdy na tej wyspie jeszcze nie było. Unieśliśmy z sobą tylko tę małą część mienia, jaką wziąć w drogę mogliśmy (małą, powiadam, w odniesieniu do tego, cośmy posiadali), i pozostawiwszy ziemię i pałace udaliśmy się tam, gdzie król Karol przebywał. Ów, wielce dla nas łaskawy, wynagrodził nas w części za straty, poniesione z przyczyny naszych dla niego usług. Dał nam we władanie ziemię i domy: teraz zasię opatruje ciągle we wszystko łaskawie mego męża, twego szwagra, jak to będziesz mógł sam obaczyć. Oto jak się znalazłam tutaj, gdzie dzięki łasce boskiej, a nie twojej woli, oglądać cię mogę, mój miły bracie!

Rzekłszy to, znów go obłapiła za szyję i rzewnie płacząc pocałowała go w czoło.

Andreuccio, słysząc tę bajdę, tak misternie utkaną i opowiedzianą tak składnie (tej, co ją opowiadała, głos ani razu nie zadrżał i słowa jej w gardle nie uwięzły), przypomniał sobie, że w samej rzeczy ojciec jego długo w Palermo przebywał. Zresztą, według siebie sądząc, wiedział, że młodzi ludzie pochopni są do miłości, poruszony zasię będąc łzami, pocałunkami i oznakami wielkiej czułości, uwierzył, że wszystko to jest prawda, przeto odparł:

– Nie powinno się to wam wydawać niczym szczególnym, zem się tak zadziwił, bowiem ojciec mój, nie wiedząc z jakiej przyczyny, nigdy o was ani o waszej matce nie wspominał, a jeśli i mówił, to do mnie te słowa nie doszły; w każdym razie nic o was nie wiedziałem, tak jakbyście wcale na świecie nie istnieli. Tym więcej się cieszę ze znalezienia siostry, im mniej się tego spodziewałem, tutaj, gdzie jestem tak samotny. Każdemu człowiekowi, najwyższej nawet godności, sprawiłoby radość poznanie was, a co dopiero mnie, nędznemu kupcowi? Proszę was jeno, abyście mi zechcieli wyjaśnić, skąd dowiedzieliście się o moim pobycie w tym mieście.

– Powiadomiła mnie o tym dziś rano – odparła białogłowa – pewna uboga niewiasta, która często w domu moim przebywa. Mówi, że długo mieszkała po społu z naszym rodzicem w Perugii i na Sycylii. Już bym była dawno pośpieszyła do was, gdyby nie wzgląd na to, że obyczajniej będzie gościć was w moim domu niżli was w zajeździe odwiedzać.

To rzekłszy poczęła go wypytywać troskliwie o wszystkich jego krewniaków, wymieniając ich po imionach. Andreuccio na wszystko odpowiadał utwierdzając się w wierze, w co niezbyt mu wierzyć należało. Ponieważ rozmowa się przeciągała, a żar doskwierał okrutnie, gospodyni kazała podać greckie wino i słodycze i poczęstowała nimi Andreuccia, który następnie do wyjścia się zbierał, bowiem już zbliżała się pora wieczery. Dama jednak przystać na jego odejście nie chciała; uczyniwszy pozór bardzo strapionej, objęła go i rzekła:

– Ach ja nieszczęśliwa! Widzę teraz, jak mało dbasz o mnie. Nie myślisz wcale o tym, że znajdujesz się w przytomności swojej siostry, nigdy dotychczas nie widzianej, że jesteś tu w moim domu, gdzieś powinien był zaraz po przybyciu do miasta zajrzeć, a tylko śpieszysz się na wieczerę do gospody. Będziesz jednak wieczerzał dzisiaj u mnie. Chociaż męża mego nie ma w domu, co mi jest bardzo nie po myśli; przecież jako gospodyni będę cię umiała godnie przyjąć.

Andreuccio nie wiedząc, co odpowiedzieć, rzekł:

– Jesteście mi drodzy, tak jak tylko siostra drogą być mi może, jeśli jednak nie pójdę, po-

stąpię nieobyczajnie wobec tych, co na mnie przez cały wieczór będą czekali za stołem.

– Ach, na miłość boską! – zawołała białogłowa – zali u mnie w domu nie ma nikogo, kogo bym mogła posłać z wieścią do gospody, aby nie czekali na was z wieczerzą? Lepiej by nawet było, gdybyście zaprosili swoich towarzyszy na wieczerzę do mnie, potem, gdybyście na noc odejść zapragnęli, mielibyście w powrotnej drodze kompanię.

Andreuccio odparł, że nie ma wielkiej ochoty widzieć się tego wieczora z towarzyszami, jednakże jeżeli taka jest jej wola, to on jej posłuszny będzie. Wówczas dama udała, że wysłała umyślnego do gospody z wiadomością, aby na Andreuccia nie czekali za stołem. Po wielu gawędach zasiedli wreszcie do wieczerzy, z wysmienitych potraw złożonej. Gospodyni przeciągnęła chytrze tę ucztę aż do późnej nocy. Gdy wstali od stołu, Andreuccio chciał się oddalić, ale filutka rzekła, że nigdy na to nie przystanie.

– Neapol nie jest miastem stosownym do przechadzek nocnych, zwłaszcza zaś dla przybyszów.

I zapewniła go, że wysyłając wiadomość, by go nie czekano z wieczerzą, donieść kazała zarazem, iż na noc do gospody nie wróci.

Andreuccio, dając wiare wszystkiemu i znajdując ukontentowanie w jej towarzystwie, przystał. Po wieczerzy znów długimi – nie bez powodu – rozmowami się zabawiali. Gdy już część nocy minęła, zostawiła Andreuccia w swojej komnacie, wraz z małym pacholęciem, które miało mu być pomocne, gdyby czegoś potrzebował, sama zaś ze swymi służebnicami udała się do innej. Żar był okrutny, dlatego też Andreuccio, pozostawszy sam, zdjął kaftan i spodnie i położył szaty na wezgielcu swego łoża. Wkrótce poczuł przyrodzoną potrzebę uwolnienia żołądka od nadmiernego ciężaru; spytał zatem chłopca, gdzieby ją zaspokoić było można. Chłopiec pokazał mu drzwi znajdujące się w rogu komnaty i rzekł: „Idźcie tędy.” Andreuccio wszedł tam śmiało, lecz postawiwszy trafunkiem nogę na deskę, która z przeciwnej strony oderwana była od belki, zleciał z nią po społu w dół. Bóg był mu na tyle miłostliwy, że żadnych obrażeń przy upadku nie doznał, mimo że się z znacznej wysokości zwałił; ubabrał się za to cały nieczystościami, których to miejsce pełne było.

Dla lepszego rzeczy pojęcia opowiem szczegółowie, jak owo miejsce wyglądało. Zajmowało ono wąską przestrzeń między dwoma domami. Na dwóch belkach, łączących w górze jeden dom z drugim, ułożono kilka desek, a na nich umieszczono siedzenie. Andreuccio poleciał na dół z jedną z tych desek. Ocknąwszy się w jamie, srodze zmartwiony tym przytrafieniem, jął wołać na chłopca, aliści ów, usłyszawszy odgłos spadającego ciała, pobiegł zaraz opowiedzieć o wszystkim swojej pani. Ta wbiegła natychmiast do komnaty Andreuccia i jąła szukać szat. Znalazła je wraz z ukrytymi w nich pieniędzmi, które Andreuccio, nikomu nie dowierzając, zawsze jak głupiec, przy sobie nosił. Owładnąwszy skarbem, dla którego ona, mieszkanka Palermo, stała się siostrą Perugijczyka i tę pułapkę chytrą wymyśliła, nie dbała już o Andreuccia, jeno zamknęła co prędzej drzwi, przez które ów wyszedł przed chwilą.

Gdy chłopiec nie odpowiadał, Andreuccio jął głośniejsze wołać, ale wszystko było na próżno. Wtedy zbudziło się w nim podejrzenie i jął domyślać się zasadzki, niestety zbyt późno. Przeskoczył przez murek, oddzielający smrodliwą jamę od ulicy, i udał się wprost do bramy domu, którą doskonale rozpoznał. Długo tutaj wołał, stukał do drzwi i łomotał na próżno. Wreszcie zapłakał, upewniwszy się o swym nieszczęściu, i jął mówić:

– O ja nieszczęśliwy, w tak krótkim przeciągu czasu straciłem pięćset florenów i siostrę!

Po wielu takich skargach znów zaczął do drzwi kołatać i krzyczeć; tak się przy tym tłukł, że ten hałas wielu sąsiadów przebudził i z łoża wywabił. Jedna ze służebnic damy, udając srodze zasnęłą, ukazała się w oknie i rzekła:

– Kto tam do drzwi łomota?

– Zali mnie nie znasz – odparł – jestem Andreuccio, brat madonny Fiordaliso.

– Mój pocziwcz – rzekła służka – jeżeliś zbyt wypił, idź się wyspać i wróć tutaj rano. Nie znam żadnego Andreuccia i nie rozumiem twoich bredni. Idź z Bogiem i pozwól nam spać spokojnie.

– Jak to?– odparł Andreuccio – nie rozumiesz, co mówię? Rozumiesz na pewno. Jeżeli jednak krewniacy z Sycylii są już tacy, że tak prędko o sobie zapominają, to oddaj mi przynajmniej moje szaty, które u was zostawiłem, a z radością odejdę. Na to służebna zaśmiawszy się rzekła:

– Bredzisz widać coś przez sen, mój pocziwce.

Powiedziawszy te słowa obróciła się i zatrzasnęła okno.

Wówczas Andreuccio, przekonany już całkiem o swojej szkodzie i prawie oszalały z rozpaczy, wpadł z gniewu w wściekłość i postanowił siłą odzyskać to, czego prośbami zdobyć nie mógł. Schwycił wielki kamień i jął nim walić w drzwi silniej niż przedtem. Mnodzy sąsiedzi, ze snu już przedtem wyrwani, pomyśleli, że to łże jakiś hultaj, co usadza się na biedną niewiastę; poruszeni do żywego wszczętym przez Andreuccia hałasem, ukazali się w oknach i na podobieństwo psów z jednej dzielnicy, szczekających na psa–przybłądę, krzycząc jęli:

– Wstyd to i nieobyczajność o podobnej porze przychodzić do domu pocziwych białogłów i takie brednie pleść! Idź z Bogiem, pocziwce, i pozwól nam spać. Jeżeli masz jakąś sprawę do tej damy, przyjdź jutro, a nocą tumultu nie wzniecaj!

Pewien miłośnik naszej filutki, w tym samym domu przebywający, ośmielony widać tymi słowami (Andreuccio ani go nie widział na oczy, ani o nim nie słyszał), pokazał się w oknie i grubym a dzikim głosem wrzasnął:

– Kto tam zacz?

Andreuccio podniósł głowę i o ile mógł dostrzec, ujrzał jakiegoś zbója z czarną, zmierzwioną brodą, zakrywającą mu pół oblicza. Ów wyglądał, jakby przed chwilą z łoża się podniósł; ziewał, niby z głębokiego snu wyrwany, i przecierał sobie ręką oczy.

Andreuccio rzekł z trwogą w głosie:

– Jestem bratem damy, która tutaj mieszka.

Tamten nie czekał, aż Andreuccio mówić skończy, i wykrzyknął sroższym jeszcze głosem:

– Nie wiem, wierę, co mnie wstrzymuje od tego, aby zejść na dół i wymierzyć ci tyle kijów, abyś więcej nie powstał. Idź precz, ośle naprzykrzony, pijaku, co nam w nocy spać nie pozwalasz!

To rzekłszy cofnął się i okno z hukiem zatrzasnął. Niektórzy z sąsiadów, lepiej znający naturę tego człowieka, jęli radzić Andreucciowi:

– Na miłość boską, oddal się, przyjacielu, a jeżeli nie chcesz, aby cię jeszcze tej nocy zabito, umykaj stąd, pókiś cały.

Andreuccio, przerażony głosem i widokiem grubianina, zachęcony radami, które jak mu się zdało, z dobroci serca płynęły, i zrozpaczony stratą pieniędzy, udał się w stronę gospody tą samą drogą, którą niedawno wiodła go służka, nieświadomego, dokąd idzie. Nie mogąc znieść fetoru, którym całe jego ciało tchnęło, zapragnął wykapać się i wymyć w morzu, dlatego też obrócił się na lewo i puścił się po drodze, Ruga⁴⁷ Catalana zwanej. Dochodząc do górnej dzielnicy miasta, ujrzał nagle dwóch ludzi, idących mu naprzeciw z latarnią. Andreuccio przeraził się na myśl, że są to może zbiry albo jacyś łotrzykowie, i chcąc spotkania z nimi uniknąć, ukrył się, nie mieszkając, w jakiejś opuszczonej ruderze, stojącej w pobliżu. Aliści nieznajomi weszli tam także po chwili, jakby umyślnie do tego miejsca dążyli. Jeden z nich zdjął z pleców jakieś żelazne narzędzia i jął je po społu z towarzyszem uważnie oglądać, różne uwagi czyniąc. Nagle rzekł:

– Co to jest? Czuję zaduch tak obrzydliwy, jakiego w życiu nigdy nie zdarzyło mi się wachać.

Rzekłszy to, podniósł nieco latarnię i ujrzał nieboraka Andreuccia.

– Kto tu? – zawołali zdumieni.

Andreuccio milczał; nieznajomi podeszli z latarnią i zapytali się go, co tu czyni, taki zachnięty.

Andreuccio opowiedział im wówczas szczerze, co z nim zaszło. Dwaj ludzie, odgadując, gdzie się podobna rzecz zdarzyć mogła, wymienili dom Karalucha–Podpalacza⁴⁸. Jeden z nich, zwróciwszy się do Andreuccia, rzekł:

– Chociaż straciłeś pieniądze, przyjacielu, winienesz błogosławić Boga za to, żeś wpadł w ową jamę i żeś nie mógł się dostać na powrót do tego domu. Bądź upewniony, że gdybyś nie spadł i zasnął w komnacie, zamordowano by cię bezlitośnie, tak iż razem z pieniędzmi i żywot byś utracił. Płacze i narzekania na nic się teraz nie zdadzą. Prędzej zdejmiesz gwiazdę z nieba, niżli pieniądze swoje otrzymasz. Jeśli piśniesz o tym choćby słowo, on cię zabić gotów.

Rzekłszy to, jęli się naradzać, a potem jeden z nich obrócił się do Andreuccia z tymi słowami:

– Mamy wiele litości dla cię. Jeśli zechcesz do nas przymknąć i pomóc nam w jednej robocie, to ci przyrzekniemy, że otrzymasz zdobycz, która pokryje zawiązką twoje straty.

Andreuccio, obłąkany rozpaczą, odparł, że się zgadza. Owóż trzeba wiedzieć, że tego dnia pochowano neapolitańskiego arcybiskupa, zwanego Filippo Minutolo⁴⁹. Złożono go do grobu w wspaniałych szatach i z pierścieniem rubinowym na palcu. Kamień w pierścieniu wart był więcej niż pięćset złotych florenów. Zamiarem hultajów było ograbić trupa i wyjawili to Andreucciowi. Chciwość przemogła w Andreucciu rozsądek, tak iż udał się z nimi w drogę. Gdy szli do katedry, Andreuccio tak szkaradną woń z siebie wyziewał, że jeden z łotrzyków rzekł:

– Zaliżby nie można było obmyć go trochę, aby nie śmierdział tak okrutnie?

– Jesteśmy wszak blisko studni – odparł drugi – gdzie zwykle wisi powróż i znajduje się wiadro. Chodźmy tam i wymyjmy go co prędzej.

Doszedłszy do studni przekonali się, że powróż wisi, ale że wiadra nie ma ani śladu. Wówczas umyślili przewiązać go powrozem i spuścić do studni, aby się tam opłukał od stóp do głowy. Gdy już będzie czysty, pociągnie za powróż, a wówczas wydobędą go na wierzch. Tak też uczynili. Kiedy Andreuccio w studni siedział, zdarzyło się, że ludzie ze straży miejskiej podeszli do studni, aby wody zaczerpnąć. Widocznie goniąc za kimś albo na skutek upału poczuli pragnienie. Dwaj hultaje, obaczywszy ich, rzucili się do ucieczki i umknęli nieopstrzeżenie. Andreuccio, siedzący w głębi studni i już obmyty, szarpał za sznur. Stróże porządku, nękami pragnieniem, złożyli na ziemi broń swoją, tarcze i zwierzchnie szaty, jęli ciągnąć za powróż, przekonani, że u jego końca znajduje się wiadro pełne wody po brzegi. Andreuccio, znalazłszy się u wylotu cembrowiny, puścił sznur i schwycił się rękoma brzegu studni, ci zaś ujrawszy go, zdjęci trwogą, rzucili powróż i zemknęli co tchu. Andreuccio zadziwił się srodze i tak osłupiał, że gdyby się nie był dobrze trzymał krawędzi, spadłby znowu niewątpliwie na dno i albo się zabił, albo też poranił okrutnie. Stanąwszy na ziemi i znalazłszy broń, której jego towarzysze nie mieli, jeszcze więcej się zadziwił. Stał tak chwilę jak wryty, nie wiedząc, co ma myśleć; złorzeczył swemu losowi, wreszcie postanowił oddalić się z tego miejsca i pójść, gdzie go oczy poniosą. Wkrótce jednak spotkał znowu dwóch nieznanomych, którzy powracali, aby go ze studni wydobyć. Ujrawszy go, jęli pytać ze zdziwieniem, kto go wyciągnął. Andreuccio odparł, że nie wie, i opowiedział im szczegółowie, jak się rzecz miała i co znalazł koło studni. Ci odgadli, jak było, i ze śmiechem wytłumaczyli mu, jacy to ludzie go wydobyli.

Nie tracąc słów po próżnicy, bowiem już północ się zbliżała, udali się do katedry. Wszedłszy cichaczem do wnętrza, podkradli się do marmurowego wielkiego grobowca i żelaznym łomem podnieśli ciężką płytę tak, że jeden człowiek mógł się przez szparę wcisnąć do środka. Gdy płytę podparli, jeden z nich spytał:

– Kto z nas wejdzie?

– Ja nie – odparł drugi.

– Ani ja – rzekł pierwszy – niech włazi Andreuccio!

– Za nic na świecie! – zawołał Andreuccio. Wówczas dwaj łotrzykowie obrócili się doń z tymi słowy:

– Co? Powiadasz, że nie wejdiesz? Do kroćset, jeżeli tego zaraz nie uczynisz, łupniemy cię przez łeb tym żelazem tak, iż na miejscu ducha wyzioniesz.

Andreuccio, zestraszony nie na żarty, spuścił się do grobowca, a schodząc pomyślał sobie: „Kazali mi wleźć do grobowca, aby mnie później na hak przywieść, bo gdy im całą zdobycz oddam i będę się z grobowca dobywał, uciekną i pozostawią mnie z kwitkiem.”

Dlatego też postanowił najpierw o sobie pomyśleć. Wspomniał o drogocennym pierścieniu, który jak mówili, znajdował się na palcu arcybiskupa, ściągnął go z trupa i na swój palec go nałożył. Później wziął pastorał, infułę, rękawiczki i szaty, tak iż zwłoki w jednej tylko koszuli pozostały, i wręczył to wszystko towarzyszom, oświadczając, że nic więcej nie znalazł. Ci, twierdząc, że powinien być jeszcze pierścień, nastawali na niego, aby dobrze szukał, lecz Andreuccio, udając, że szuka, przecie nic nie znajdował i trzymał ich przez pewien czas w niepewności. Łotrzykowie byli nie mniej chytry od Andreuccia – powtarzając mu, aby dobrze szukał, w odpowiedniej chwili wyjęli podporę spod płyty grobowca i uciekli. Andreuccio pozostał zamknięty w grobowcu. Łatwo sobie wystawić można, co czuć i myśleć musiał. Kilka razy próbował podnieść głaz barkami i głową, ale trudził się po próżnicy. Przenikniony boleścią niezmierną, przytomność stracił i zwałił się na ciało arcybiskupa. Gdyby ich ktoś ujrzał w tej chwili, z trudem by odróżnił żywego od umarłego. Przyszedszy do utraczonych zmysłów, jął gorzko płakać, bowiem wiedział, że albo, jeśli nikt już grobowca nie otworzy, będzie tu musiał zginąć z głodu i z zaduchu, wśród robactwa, rozkładającego się ciała, albo też, gdy go tu ktoś zdybie, zawisnie jako złoczyńca na szubienicy. Ponurzony w takich rozpacznych myślach, usłyszał nagle w kościele kroki i rozmowę kilku osób, o których wniósł, że przyszli tutaj uczynić to, co on już z swymi towarzyszami uczynił. Strach jego wzrósł niepomniernie. Przybysze, otworzywszy grobowiec i płytę podparłszy, jęli się sprzeczać, kto pierwszy z nich wejdzie. Nikt się nie chciał zgodzić. Po długim sporze ksiądz, należąco do bandy, rzekł:

– Czegóż się obawiacie? Zaliż sądzicie, że was umarły pokąsa? Trupy nie jadają ludzi; ja tam wleżę.

Rzekłszy te słowa, położył się na piersiach na skraju grobowca, głowę zwrócił na zewnątrz i spuścił już nogi, aby się do wnętrza dostać. Andreuccio podniósł się wówczas, chwycił księdza za jedną nogę, tak jakby go chciał na dół wciągnąć. Ksiądz poczuwszy dotknięcie wrzasnął strasznym głosem i jednym susem z grobowca wyskoczył. Pozostali jego towarzysze, zestrachani okrutnie, pognali, jakby ich sto tysięcy diabłów goniło, zostawiając grobowiec otwarty.

Andreuccio, wielce uradowany z tak niezwykłego obrotu sprawy, zaraz wylazł a grobowca i tą samą drogą, co wszedł, wyszedł z kościoła.

Już dzień świtać zaczynał; Andreuccio szedł z pierścieniem na palcu, gdzie go oczy poniosą, aż wreszcie stanął na brzegu morza i gospodę swoją odnalazł. Jego towarzysze i oberżysta całą noc czekali na niego, trwożąc się o jego losy.

Opowiedział im o swoich zdarzeniach i słuszną wydała im się rada oberżysty, aby natychmiast Neapol opuścił. Andreuccio tak też czym prędzej uczynił i wrócił do Perugii, całe swoje mienie umieściwszy nie w zakupionych koniach, lecz w pierścieniu.»⁵⁰

Opowieść szósta



ZNALEZIONE DZIECI

Pani Beritola, odnaleziona, wraz z dwoma kozłętami na wyspie, straciwszy dwóch swoich synów, udaje się do Lunigiany. Jeden z jej synów wstępuje tam na służbę do jej pana i za miłość do jego córki zostaje wtrącony do więzienia. Sycylia buntuje się przeciwko królowi Karolowi. Syn, przez matkę poznany, żeni się z córką swego pana i odnajduje brata. Za czym powracają do dawnej świetności.

Damy i młodzieńcy wielce się śmieli z przypadków Andreuccia, opowiedzianych przez Fiammettę. Gdy opowieść skończona została, zgodnie z rozkazem królowej głos zabrała Emilia.

– Ważkie i przykre zdarzenia są spowodowane różnymi obrotami fortuny, o których nieraz mówimy, nie zaprzatając sobie jednak nimi zbyt głowę. Umysły nasze łaskami fortuny letko usypiać się pozwalają. Pamiętać o tym winni zarówno szczęśliwi, jak i strapieni. Pierwszych uczyni ta pamięć przezornymi, drugich pocieszy. Chocia o tej materii wiele już rozprawiano, przecie chcę wam o tym jeszcze opowiedzieć nowelę, równie prawdziwą, jak i wzruszającą. Kończy się ona pomyślnie, jednakże smutek i cierpienie były tak wielkie i długotrwałe, że nie wiem, czy późniejsza radość zatrzeć je zdołała.

«Musicie wiedzieć, miłe damy, że po śmierci Fryderyka II, cesarza, królem Sycylii ukoronowany został Manfred, przy którym wysoką godność piastował pewien szlachcic z Neapolu, Arrighettem Capece⁵¹ zwany. Miał on za żonę cną i urodziwą białogłową, madonnę Beritolę Caracciola⁵², również z Neapolu pochodzącą. Arrighetto był wielkorządcą wyspy. Ujrzawszy, że król Karol zwyciężył pod Beneventem⁵³ Manfreda i życia go pozbawił, a całe państwo zhołdował, niezbyt dowierzał już krótkotrwałej wierności Sycylijczyków. Nie chcąc zasię przymknąć do wrogów swego pana, gotował się do ucieczki. Sycylijczycy dowiedzieli się o tym i nagle Arrighetto po społu z wielu przyjaciółmi, sługami króla Manfreda, został jako jeniec wydany królowi Karolowi, któremu też wkrótce wydano całą Sycylię.

Madonna Beritola, nie wiedząc, co wśród losów przeciwności z Arrighettem stać się mogło, pełna trwogi na myśl o tych wypadkach, przy tym o cześć własną lękając się, ostawiła całą majątność i z ośmioletnim synaczkim, Giusfredi, ciężarna i nieszczęściem złamana, siadła na korab i odpłynęła do Lipari. Tu wydała na świat drugiego synka, którego nazwała

Scacciato⁵⁴. Przyjęła do niego mamkę i znów z wszystkimi po społu na okręt wsiadła, aby dostać się do Neapolu, do swoich rodziców. Stało się jednak inaczej, niż myślała.

Galera, zmierzająca do Neapolu, siłą wichru zagnana została do wyspy Ponzo. Tam podróżni, ukrywający się w morskiej buchcie, jęli czekać pomyślnej pogody. Beritola, wysiadłszy po społu z innymi na ląd, znalazła odosobnione miejsce, gdzie mogła w samotności pofolgować łzom swym i żalom po stracie Arrighetta. Każdego dnia tak czyniła, ponurzona w ostatniej rozpacz; tymczasem pewnego poranku podpłynęła niepostrzeżenie do korabia galera korsarska i wszystkich pochwyciła w niewolę. Beritola po całodziennych rozmyślaniach wróciła jak zwykle na brzeg, aby ujrzeć swoje dzieci, aliści nikogo nie znalazła. Z początku wielce się zadziwiła, później domyśliwszy się, co się stać mogło, wpiła wzrok w dal morską i ujrzała niedaleko jeszcze galerę ciągnącą za sobą korab. Wówczas pojęła, że w ślad za mężem i dziećmi swoje straciła.

Samotna, biedna, przez wszystkich opuszczona, nie wiedząc, czy kogoś ze swoich kiedykolwiek jeszcze obaczy, upadła na piasek i przyzywała żalonym głosem męża i synaczków. Nie było nikogo, co by zimną wodą albo innym jakimś sposobem do utraconych zmysłów ją przywiódł. Duch jej mógł się nosić na swobodzie, gdzie chciał. Gdy utracona świadomość wraz ze łzami i skargami do słabego ciała wróciła, jęła znów wołać na swoje dzieci, zaglądając do każdej pieczary. Ujrawszy, że trudy jej są daremne i że noc się przybliży, pomyślała o sobie i wróciła znad brzegu do jaskini, gdzie zwykle miała obyczaj płakać i żalić się. Minęła noc, pełna troski i śmiertelnej trwogi, i nowy dzień nastąpił: była czwarta godzina nad ranem. Beritola, która poprzedniego wieczora nic w ustach nie miała, głodem nękana, jęła jeść korzonki. Nasyciwszy się jak mogła, oddała się, gorzko płacząc, rozmyślaniom nad okropną przyszłością swoją. Gdy się tak żaliła, spostrzegła nagle łanię wchodzącą do sąsiedniej pieczary. Po chwili łania wyszła i powróciła do lasu. Beritola weszła do pieczary i ujrzała tam dwa koźlątko, tego samego dnia, widać, urodzone. Widok ten był jej miłszy i piękniejszy nad wszystko w świecie. Miała jeszcze mleko w piersiach po niedawnym rodzeniu, wzięła zatem koźlęta łagodnie na ręce i do piersi swych je przystawiła. Zwierzątka nie wzgardziły ofiarą i ssaly Beritolę, niby własną matkę. Od tej pory nie odróżniały już Beritoli od łani. Stroskanej białogłowie zdało się, że znalazła sobie towarzystwo na tej pustyni. Jadła korzonki, piła wodę i płakała gorzko, ilekroć wspomniwała przeszłe swoje życie, synaczków i męża. Postanowiła tu żyć i umierać; z łanią oraz z jej dziećmi wielce się zaprzyjaźniła. Żyjąc tą modłą, Beritola całkiem zdziczała. Po kilku miesiącach zdarzyło się, że do tego samego miejsca na wyspie, gdzie i ona wylądowała, przyplłynął okręt pizański, który przez kilka dni stał na kotwicy. Na okręcie tym znajdował się szlachcic pewien, zwany Currado⁵⁵, z markizów Malespini ród swój wiodący, wraz ze swą dzielną i cnotliwą żoną.

Wracali z pielgrzymki do miejsc świętych, które w królestwie Apulii się znajdują. Markiz, chcąc melankolię swoją rozproszyć, udał się pewnego dnia w głąb wyspy wraz a swoją żoną, sługami i psami. Opodal miejsca, gdzie znajdowała się Beritola, psy Currada zwęszyły dwa koźlątko, które, podrósłszy już, na trawie się pasły. Koźlątko, uciekając przed psami, nie szukały schronienia gdzie indziej, tylko w grocie, w której Beritola miała mieszkanie. Na ów widok Beritola podniosła się, schwyciła kij i przegnała psy. Currado i jego żona, idący za psami, zbliżyli się i ujrzeni chudą, poczerniałą i włochatą białogłową. Wielce się zdziwili, ona zaś jeszcze bardziej od nich. Gdy na jej prośbę Currado psy odwołał, wszyscy zaczęli ją błagać, aby powiedziała im, kim jest i co tutaj porabia. Beritola, nic wówczas nie zatajając, oznajmiła im imię swoje i opowiedziała o swoich nieszczęsnych przypadkach, a także o twardej zamyśle pozostania tutaj na zawsze. Currado, który dobrze znał Arrighetta Capece, usłyszawszy to, zapłakał z litości i trafny słowy starał się ją odwrócić od okrutnego zamysłu; przyrzekał, że ją do jej domu odwiezie albo też w swoim domu zatrzyma, gdzie powszechną cześć, niby jego siostra rodzona, cieszyć się będzie, aż do czasu, gdy Bóg lepszej jej nie ześle doli. Beritola przystać na to nie chciała. Currado pozostawił przy niej swoją żonę i rzekł od-

chodząc, by żywność tu przynieść kazała i dała Beritoli jedną z swoich sukien, a później czyniła wszystko, by przywieźć ją z sobą. Markiza długo wraz z Beritolą nieszczęście jej oplakiwała. Gdy przyniesiono żywność i suknię, z wielkim trudem tego dopięła, że Beritola odziała się i kęs strawy zjadła. W końcu, po wielu prośbach i przełożeniach, Beritola oznajmiła, że nigdy nie powróci tam, gdzie ją przedtem znali. Markiza wymogła przeto na niej obietnicę udania się z nimi do Lunigiany wraz z kozłętami i łanią, która właśnie powróciła do legowiska i ku zdumieniu markizy tysiące przymilań Beritoli czyniła. Gdy powiał wiatr pomyślny, Beritola, Currado i jego żona wsiedli na okręt, zabierając z sobą łanię i kozłęta (od których Beritola nazwana została Cavriuolą⁵⁶, aby nie wszyscy jej prawdziwe imię znali). Żegluga odbyła się pomyślnie, tak iż wkrótce przybyli do ujścia Magry, a tam wylądowawszy udali się do zamku markiza. Tutaj żona Currada dała Beritoli wdowie szaty. Beritola, jako dama dworu markizy, żyła odtąd skromnie, cnotliwie i cicho, troskliwą opieką otaczając łanię i nie zapominając o paszy dla zwierząt.

Korsarze, owładnąwszy w Ponzo okrętem, który Beritolę przywiózł, nie spostrzegli jej na wyspie i odpłynęli z jeńcami do Genui, gdzie podzielili się łupem. Mamka i dwoje dzieci przypadły w udziale niejakiego Guasparrino d'Oria.

Odesłał on jeńców do swego domu, przeznaczając ich do różnych niskich posług. Mamka, zrozpaczona stratą swojej pani, przeklinała okrutny los swój i los dzieci, nie przestając głośno szlochać. Wkrótce obaczyła jednak, że lzy nic nie pomogą i że po społu z dziećmi służyć musi. Chocia była biedną białogłową, przecie na bystrym rozumie jej nie zbywało. Skrzepiła, jak mogła, swoje upadłe siły, a później rozejrzawszy się wokół i uznawszy, dokąd przybyli, do tej myśli przyszła, że jeśli pochodzenie dzieci się odkryje, wyniknąć stąd mogą dla nich znaczne niebezpieczeństwa. Żywiła przy tym nadzieję, że los ich się odmieni i że jeśli tylko przy życiu pozostaną, to do stanu sobie właściwego powrócą; dlatego też postanowiła przed nikim nie zdradzać nazwiska ich i rodu, aż do chwili gdy czas stosowny przyjdzie. Gdy się ktoś o nie pytał, odpowiadała, że to jej dzieci. Starszego chłopca zwała odtąd nie Giusfredi, lecz Giannotto di Procida, młodszemu imienia nie odmieniła. Z wielką pilnością wyjaśniła Giusfrediemu powody, które ją do przewrania go tak skłoniły, i wystawiła mu niebezpieczeństwo, na jakie by się naraził, dając się poznać – powtarzała mu to zaś siła razy. Dzieciuk, rozumny nad podziw, postępował zgodnie z przestrogą. Dwaj chłopcy, nędznie odziani i jeszcze gorzej obuci, do wszelkich niskich posług używani, cierpliwie żyli po społu z mamką przez wiele lat w domu pana Guasparrina. Giannotto już szesnasty rok życia ukończył; mając duszę szlachetniejszą, niż na niewolnika przystało, buntował się przeciwko swemu podłemu stanowi. Pewnego dnia wszedł na galeryę, która do Aleksandrii zmierzała, i w ten sposób porzucił służbę u Guasparrina. Wiele krajów zwędrował, aliści na wierzch wypłynąć nijak nie mógł. Po trzech czy czterech latach, które upłynęły od ucieczki z domu Guasparrina, Giusfredi, będący już urodziwym, słusznego wzrostu młodzieńcem, usłyszał nagle, że rodzice jego, którego miał już za umarłego, żyje znachodząc się w więzieniu, jak niewolnik strzeżony przez króla Karola. Straciwszy wszelką nadzieję, jął się błąkać po świecie, aż wreszcie przybył do Lunigiany, gdzie losu zrządzeniem służby swoje ofiarował Curradowi Malespina, spełniając je ku wielkiemu jego ukontentowaniu. Gdy więc Giannotto na służbie u markiza pozostawał, zdarzyło się, że córka Currada, zwana Spina, ostawszy wdową po niejakim Niccolo da Grignano, do domu swoich rodziców powróciła. Spina była nader urodziwa i młoda, gdyż zaledwie szesnasty rok jej minął. Gdy jej wzrok padł na Giannotta, a wzrok Giannotta na nią, oboje wielką miłością do siebie zapłonęli. Miłość ta niedługo bez zwykłych sobie skutków pozostawała, chociaż przez kilka miesięcy nikt niczego się nie domyślał. Jednakże kochankowie, poczuwszy się przez to bezpiecznymi, jęli poczynać sobie mniej ostrożnie, niżby w takich okolicznościach należało.

Przechadzając się pewnego dnia po pięknym gaju, pełnym drzew cienistych, Spina wraz z Giannottem oddzieliła się od towarzystwa i w gąszcz się zasyła. Sądząc się być dosyć odda-

lonymi od ludzi, usiedli w ustroniu, pełnym kwiatów i ziół i otoczonym drzewami. Tam, radościom wzajemnej miłości folgując, dłuższy czas spędzili, który przez rozkosz odczuwaną jednej chwili mgnieniem im się zdawał, aż ich zaszła matka Spiny, a za nią w ślad i Currado.

Ów, pełen rozpacz i gniewu, kazał ich bez słów trzem swoim sługom pojmać i odprowadzić w dybach do jednego z swoich zamków, sam zaś, drżąc z wściekłości, oddalił się z zamysłem skazania ich na śmierć niesławną.

Matka Spiny, chociaż równie poburzona i przekonana, że córka jej twardej kary jest godna, poznawszy ze słów Currada, z jakim zamiarem w stosunku do winowajców się nosi, przeniesć tego po sobie nie mogła. Pośpieszyła zatem do rozgniewanego męża i jęła go błagać, aby pamiętałości unieść się nie dozwalał i nie starał się tak pochopnie stać się pod starość zabójcą swojej córki, brukając zarazem ręce krwią swego sługi. Znajdzie się przecie inny sposób, aby gniew jego słuszny zaspokoić; można wszak wtrącić ich do więzienia, gdzie będą cierpieli, oplakując grzech popełniony.

Zacna białogłowa tak długo mężowi to przekładała, aż wreszcie odwróciła go od zamysłu zabicia ich. Currado rozkazał, aby więziono ich oddzielnie i pilnie strzeżono. Mieli przy tym mało stawy otrzymywać i różnym prywacjom podlegać, aż do czasu, gdy Currado coś o ich dalszych losach postanowi. Tak się też stało.

Nie trudno sobie wystawić, jak im musiało płynąć życie wśród łez, niewczasów i nieskończonego postu, którego potrzeby nie uczuwali. Giannotto i Spina cały rok wśród takich mizeryj spędzili, a Currado ani razu nawet o nich nie wspomniął. W tym czasie zdarzyło się, że król Piotr Aragoński⁵⁷ po społu z Gianem di Procida całą Sycylię poburzył i królowi Karolowi ją wydarł. Currado, jako gibelin, wielce się z tego radował.

Giannotto, usłyszawszy o tym od jednego ze straży, westchnął głęboko i rzekł:

– O ja nieszczęśliwy! Już od czternastu lat błąkam się po świecie i srogą biedę cierpię, niczego tak nie oczekując, jak tej chwili, która teraz nastąpiła. I cóż mi po niej, skoro już żadnej nadziei żywić nie mogę; jestem w więzieniu, skąd zapewne nie wyjdę żywym.

– Zaliż – zapytał strażnik – dotyczyć ciebie może, co wielcy królowie czynią? Cóż byś ty robił na Sycylii?

– Zdawa mi się – odparł Giannotto – że serce mi pęka, ilekroć pomyślę, kim tam był niegdyś mój rodzic. Chocia byłem dzieckiem wówczas, gdyśmy ucieczką się salwowali, przecie pamiętam, że za życia króla Manfreda ojciec mój wielki urząd sprawował.

– Kim był twój ojciec? – zapytał strażnik.

– Kim rodzic mój – odparł Giannotto – mogę już teraz jawnie to wyznać, popadłem już bowiem w to niebezpieczeństwo, którego lękałem się, gdybym był się zdradził. Zwał się on (i zwie się, jeśli jest jeszcze przy życiu) Arrighetto Capece, ja zaś jestem nie Giannottem, jeno Giusfredim. Nie wątpię, że gdyby mnie z więzienia wypuszczono i gdybym na Sycylię się udał, na jakiś urząd znamienity zostałbym tam zaraz wysadzony.

Strażnik, o nic więcej się już nie rozpytując, doniósł o wszystkim Curradowi. Currado, chocia udał, że go nic losy więźnia nie obchodzą, przecie pośpieszył do Beritoli i zapytał ją, zali miała z Arrighettem syna, imieniem Giusfredi? Beritola odparła z płaczem, że jeśliby starszy z jej synów przy życiu się znajdował, zwałby się Giusfredi i miałby teraz dwadzieścia dwa lata.

Currado, usłyszawszy o tym, upewnił się, że więzień jest prawowitym Giusfredim, i rozważył, że skoro tak jest, może spełnić czyn wielkiego miłosierdzia, a zarazem zmazać plamę na czci swojej córki, dając ją w stadło Giannottowi. Dlatego też kazał go tajnie do siebie przywołać i szczegółowie wypytywać się go począł o całą przeszłość jego. Mając już dostateczne dowody, rzekł:

– Wiesz, Giannotto, jak ciężką zniewagę mi uczyniłeś przez osławę córki mojej. Odnosiłem się do ciebie zawsze łaskawie i przyjaźnie, ty zaś, jak na sługę pocziwego przystało, winieneś był czci mojej i mego dobra strzec. Zaiste, wielu ludzi, gdybyś im podobne pluga-

stwo wyrządził, na śmierć niesławną by cię skazało, ja jednakże, mając serce litosne, nie byłem zdolny uczynić tego. Otóż, ponieważ jesteś, jak twierdzisz, synem szlachetnych rodziców, pragnę utrapieniom twoim koniec położyć i jeśli ty też tego zechcesz, wydobyć cię z opresyj, wśród których pozostajesz, i w jednym okamgnieniu sobie i tobie honor powrócić. Spina, z którą niegodny jej ani ciebie związek miłosny cię łączył, jest wdową, mającą uczciwe wiano. Jakie są jej obyczaje i kto jest jej matką i ojcem, sam wiesz najlepiej. O twoim dzisiejszym stanie nie rzeknę nic. Jeśli zatem chcesz, Spina, która twoją miłośnicą była, stanie się twoją prawą małżonką, a ty pozostaniesz przy mnie, niby mój syn rodzony.

Siły Giannotta długie więzienie bardzo nadważyło, aliści duch jego, od urodzenia szlachetny, wcale nie osłabł, tak jak i gorąca miłość, którą dla córki markiza żywił. Chociaż z całej duszy pragnął tego, co mu Currado ofiarował, i widział, że jest w jego ręku, przecie ani na krok nie cofnął się przed wypowiedzeniem tego, co wielkość jego ducha powiedzieć mu każała.

– Currado – rzekł – ani chciwość władzy i pieniędzy, ani inna jakaś przyczyna nie skłoni mnie nigdy do tego, abym na życie i mienie twoje dybał zdradziecko. Pokochałem twoją córkę, kocham ją i zawsze ją miłować będę, bowiem poczytuję ją za godną miłości mojej. Jeśli, wedle pospolitego mniemania, niezbyt przystojnie sobie z nią poczynałem, to popełniłem jeno grzech, który zwykle z młodością chadza w parze, tak iż aby go wykorzenić, trzeba by i młodość ze świata zgładzić. Gdyby ludzie sędziwi zechcieli przypomnieć sobie, że i oni kiedyś młodymi byli, i gdyby cudze błędy swoimi mierzyli, nie byłiby tak surowi i twardzi jak ty i inni. Popełniłem ten występki nie jako wróg, lecz jako przyjaciel. To, co mi teraz ofiarowujesz, zawsze było moim pragnieniem. Jeślibym na szczęśliwy skutek mych starań mógł liczyć, już dawno o rękę Spiny bym cię prosił. Szczęście jest mi dzisiaj tym droższe, im się mniej go spodziewałem. Jeśli jednak w duszy masz co innego, niż to w słowach okazujesz, proszę, nie oszukuj mnie nadzieją kłamliwą, pozwól mi wrócić do więzienia i rób tam ze mną, co chcesz. Tak miłuję Spinę, że przez miłość dla niej i ciebie miłować będę, a choćbyś mi największe katusze zadał, zawsze cię będę miał w zachowaniu i czci.

Currado, usłyszawszy te słowa, zadziwił się wielce, poznał godność i wielkoduszność młodzieńca, przekonał się o jego gorącej miłości do Spiny, tym bardziej więc go sobie upodobał. Zatem wstał, schwycił go w objęcia, ucałował i nie mieszkając rozkazał przywołać Spinę. I ona w więzieniu wielce się zmieniła: wychudła, pobladła i opadła z sił tak, iż równie jak i Giannotto innym człowiekiem być się zdawała. W przytomności Currada, z nieprzymuszonej woli zaręczyli się z sobą wedle miejscowego obyczaju. Potem w ciągu kilku dni, gdy jeszcze nikt o niczym nie wiedział, Currado rozkazał posyłać oblubieńcom wszystko, czego by potrzebowali lub co by im przyjemność sprawić mogło. Gdy zaś mu się zdawało, że nadeszła pora, aby i matkom pociechę sprawić, przyzwał do się żonę i Cavriuolę i z takimi słowy do nich się obrócił:

– Co byście rzekli, pani, gdybym wam powrócił starszego syna waszego, już jako męża jednej z moich córek? Na to Cavriuola odparła:

– Mogłabym wam tylko rzec, że wdzięczna bym wam była przez całe życie jeszcze bardziej, niż jestem, jeśli to możliwe. Powrócilibyście mi to, co mi jest droższe nad życie własne, i moje zgąsłe nadzieje na nowo ożywili.

Tu umilkła i zapłakała. Wówczas Currado do swojej żony się obrócił:

– Cóż byś rzekła, gdybym takim zięciem cię obdarzył?

– Nie tylko mąż z tak szlachetnego rodu – odparła markiza – ale i najniższej kondycji miłym mi będzie, jeżeli tylko tobie do serca przypadnie.

– Tedy – rzekł Currado – wkrótce wam wielką radość sprawię.

Stwierdziwszy, że młodzi odzyskali już dawny wygląd, Currado zapytał Giusfrediego:

– Nieprawdaż, że do zupełnej szczęśliwości tylko ci matki twojej brakuje?

– Niestety – odparł Giusfredi – nie wierzę, żeby srogiego losu dopuścić do grobu wtrącić jej

nie miały. Gdyby jednak przy życiu się znajdowała, byłbym nad wyraz szczęśliwy. Dzięki jej radom odzyskałbym też, jak sądzę, część znaczną moich majątności na Sycylii.

Wówczas Currado obie białogłowy przywołał. Niemało też uradowały się na widok oblubienicy i nie mogły pojąć, jaki to dobry duch Currada do takiej łaskawości przywiódł, że zezwolił on na stadło córki z Giannottem.

Tymczasem Beritola, mając w pamięci słowa Currada, jęła się baczniej młodzieńcowi przyglądać. Jakaś tajemnicza siła ożywiła w jej pamięci dziecinne rysy jej syna. Nie czekając na inne dowody, rzuciła się w ramiona Giusfrediego. Zbytek radości i czułości matczynej jednego słowa przemówić jej nie dozwolił, tak ją przy tym siły opuściły, że prawie jak martwa w ramionach syna leżała. Chociaż Giusfredi był całkiem osłupiały, przecie przypomniał sobie, że nieraz tę białogłową w zamku widywał nie poznając jej wcale. Ale głos krwi niezwłocznie dał mu poznać matkę i teraz wyrzucał sobie to zaniedbanie, trzymając ją zapłakaną w ramionach i całując gorąco jej ręce.

Gdy już Beritola, dzięki staraniom markizy i Spiny, które wodą jej twarz orzeźwiły, innych nie szczędząc zabiegów, do utraconych zmysłów przyszła, znowu schwyciła syna w ramiona, płacząc z radości i pieszczone słowa szepcząc. Pełna macierzyńskiej czułości, całowała go bez końca, a on pieszczotom tym się poddając patrzył na nią uszczęśliwiony. Powtórzyły się kilkakrotnie te uniesienia powitalne, a wszyscy przytomni, widząc to, wielką radość odnieśli.

Gdy syn i matka już sobie nawzajem o swoich przypadkach opowiedzieli, Currado oznajmił przyjaciółom o małżeństwie swojej córki i rozkazał przygotować wszystko do świetnej uczy.

– Currado – rzekł doń Giusfredi – wiele radości mi przysporzyliście i przez długi czas matkę moją mieliście w czci należnej; abyście zaś teraz nie poniechali niczego, co w waszej mocy leży, proszę was, uradujcie matkę moją i uświetnijcie uroczystość weselną przytomnością brata mego, którego jako sługę niejaki Guasparrin d’Oria w domu swoim trzyma. Ów, jak wam już nadmieniałem, mnie i jego na morzu uprowadził. Krom tego poślijcie kogoś na Sycylię, aby dowiedział się, co dzieje się w tym kraju, i zasięgnął języka o moim rodzicu Arrighetto: żyw on li czy też martwy, a jeśli żyw, to w jakim znajduje się stanie?

Ta prośba Giusfrediego wielce do serca Curradowi przypadła; nie mieszkając wyprawił kilku rozumnych ludzi do Genui i na Sycylię. Ten, co do Genui się udał, odnalazłszy Guasparrina, jał go prosić w imieniu Currada, aby mu wydał Scacciata i jego mamkę. Opowiedział mu zarazem szczegółowie o wszystkim, co Currado w stosunku do Giusfrediego i jego matki uczynił. Messer Guasparrin to usłyszawszy wielce się zadziwił i rzekł:

– Dla zadowolenia Currada gotów jestem uczynić wszystko, co mogę. W samej rzeczy w domu moim już od czternastu lat żyje chłopiec, o którym mówicie, a także jego mamka. Ochotnie odeślę ich Curradowi. Powiedzcie jednak swemu panu, żeby miał się na baczności i nie dawał wiary baśniom Giannotta, który twierdzi, że się zowie Giusfredi. Jest to bowiem większy frant, niżby ktokolwiek myślał.

To rzekłszy, godnie przyjął wysłańca, a potem kazał przyzwać tajnie mamkę i o wszystko ją się wypytał. Mamka usłyszawszy, że na Sycylii wybuchło powstanie i że Arrighetto żyje, pozbyła się wszelkiej trwogi i opowiedziała mu po kolei wszystko, wyjaśniając zarazem przyczyny, dla których w ten, a nie inny sposób sobie poczyniła.

Messer Guasparrin poznawszy, że słowa mamki zgadzają się całkiem ze słowami wysłańca, począł niejaka wiarę do wszystkiego tego przykładać, jednakoż, jako człek wielce chytry, na wszelkie sposoby wypytał jeszcze o rozliczne szczegóły. Wszystko wszakże coraz bardziej prawdę tej historii potwierdzało. Wówczas, zawstydzony się swego złego obchodzenia się z chłopcem, w nagrodę dał mu za żonę jedną z pięknych córek swoich i obdarzył ją znacznym wianem, wiedział bowiem, kim był i jest Arrighetto. Dzieweczce dopiero jedenasty rok życia minął. Po świetnej uroczystości on sam z młodzieńcem, córką, mamką i wysłańcem Currada wsiadł na niewielką, lecz zbrojną galerę. Popłynęli do Leric⁵⁸, gdzie ich Currado przyjął.

Później udali się do jego pobliskiego zamku, gdzie wspaniała uczta już na nich czekała. Nie można słowami wyrazić, jaka była radość matki oglądającej swego syna, szczęście obu braci i mamki, ich wesele na widok Guasparrina i jego córki, a także uciecha Guasparrina z ich przytomności oraz powszechna szczęśliwość wszystkich po społu z Curradem, jego żoną, synami i przyjaciółmi.

Dla dopełnienia tej radości podobało się jeszcze Bogu, hojnemu i szczodremu dawcy, przesłać im radosne wieści o pomyślnym stanie Arrighetta Capete. W czasie uczty, gdy liczni zaproszeni goście dopiero pierwszą potrawę spożywali, zjawił się poseł przybywający z Sycylii i oznajmił, że Arrighetto, do więzienia przez króla Karola wtrącony, uwolniony został przez lud, który po wybuchu powstania na wyspie rzucił się na więzienia, wyciął w pień straż i obwołał Arrighetta, jako głównego wroga króla Karola, swoim wodzem. Pod jego rozkazami wyrznięto i przegnano Francuzów. Za ten czyn król Piotr do największej swej łaski Arrighetta przypuścił, powracając mu wszystkie utracone dobra, tak iż nie zbywa mu na niczym. Posłaniec dodał, że Arrighetto przyjął go godnie i że wielce się uradował z wieści o żonie i synach, o których nie wiedział nic od czasu swego uwięzienia; wysłał także w ślad za nim fregatę z gronem dworzan, którzy wkrótce tu przybędą. Słów wysłańca z wielką radością wysłuchano. Potem Currado w otoczeniu swych ludzi ruszył na spotkanie dworzan, posłanych po Beritole i Giusfrediego, i przywiódł ich na ucztę, której jeszcze do końca daleko było. Beritola, Giusfredi i wszyscy pozostali przyjęli ich z taką radością, o jakiej dotychczas na świecie nie słyszano. Dworzanie, zanim za stołem zasiedli, pokłonili się Curradowi i jego małżonce i w najgorętszych słowach, w imieniu Arrighetta, za pomoc okazaną Beritoli i jego synowi dank mu złożyli, wraz z zapewnieniem wszelkich służb swego pana. Później obróciwszy się do Guasparrina (dla którego było to niespodzianą łaskawością), rzekli, iż są upewnieni, że skoro Arrighetto uzna o dobrodziejstwie, okazanym Scacciatowi, to odpowie mu równym albo i większym jeszcze dobrodziejstwem. Potem jęli wesoło ucztować, wznosząc okrzyki na cześć dwu par nowopoślubionych. Currado jeszcze przez wiele dni zięcia swego, krewniaków i przyjaciół gościł. Wreszcie Beritola, Giusfredi i inni postanowili odjechać. Żegnani łzami Currada i jego małżonki a także Guasparrina, wsiedli na fregatę po społu ze Spiną. Mając wiatr pomyślny, wkrótce do brzegów Sycylii przybyli, gdzie Arrighetto z taką świetnością powitał w Palermo i synów, i niewiasty, że tego wysłowić nie lza. Jak powiadają, długo jeszcze żyli wszyscy szczęśliwie, przyjaźnie, pomnąc o Bogu, który im tyle dobrodziejstw wyświadczył.»

Opowieść siódma



ALATIEL, NARZECZONA KRÓLA ALGARBI

Babiloński sułtan oddaje w zameście córkę swoją królowi Algarbii. Wskutek różnych przypadków, w ciągu czterech lat przechodzi ona w różnych miejscach przez ręce dziewięciu mężczyzn. W końcu, zwrócona ojcu jako dziewica, znowu posłana zostaje królowi Algarbii, aby się stać jego żoną.

Gdyby opowieść Emilii była się jeszcze nieco przeciągnęła, litość, jaką młode damy dla nieszczęść Beritoli odczuwały, ani chybi, zapłakać by im kazała. Gdy jednak opowieść do kresu dowiedziona została, królowa wyraziła życzenie, aby Panfilo dalej opowiadał. Panfilo tedy posłusznie zaczął w te słowa:

– Trudno odgadnąć, miłe damy, co nam pożytek przynosi. Wielu mniema, że wzbogaciwszy się mogliby żyć bez trosk i w szczęśliwości, dlatego też nie tylko proszą o to Boga w modlitwach, ale i uporczywie, trudów i wysiłków nie szczędząc, bogactwo to zdobyć się starają. Gdy jednak już cel swój osiągną, zaraz znajdują się ludzie, co z żądzy na wielkie dziedzictwo życia ich pozbawiają, które tak miłowali nawet wtedy, gdy nie byli jeszcze bogaci. Inni z podłego stanu idąc, przez tysiące niebezpieczeństw, krew braci i przyjaciół, na stopnie tronu się wznoszą mniemając, że tam największa szczęśliwość stanie się ich udziałem. Jednocześnie spostrzegają, że życie możliwych tego świata pełne jest niezliczonych trosk i trwóg, a nieraz także dowodnie na sobie się upewniają, że z królewskiego pucharu truciznę wypić można. Siła było na świecie tych, co gorąco pragnęli mocy i piękności ciała swego albo marzyli o zwierzchnich życia ozdobach, a upewnili się, że ich pragnienia złe były, dopiero wówczas, gdy stały się one przyczyną ich zguby lub mizeryj wszelakich. Nie będę tu mówił szczegółowie o wszystkich ludzkich dążeniach, twierdząc jeno i za pewne to trzymam, że nie masz ani jednego, o którym by powiedzieć można, że jest ono bezpieczne od losów niestatku i że śmiertelni je wybrać powinni. Jeżeli chcemy trafnie postępować, musimy przyjmować i zachować to, co Bóg nam zsyła. Bóg jeden, wie dobrze, czego nam trza, i On nam posłać to może. Gdy mężczyźni grzeszą pragnieniem owładnięcia wielu rzeczami, wy, białogłowy, grzeszycie przede wszystkim żądzą piękności. Nie wystarcza wam uroda, której natura wam udzieliła. Pragniecie ją jeszcze osobnymi kunszty podnosić.

Dlatego też chcę wam opowiedzieć o pewnej Saracence, która na swe nieszczęście, wielką pięknnością celowała. Dzięki tej urodzie przez cztery lata dziewięć razy na nowo wesele odprawiać musiała.

«W dawnych czasach sułtanem Babilonu był Beminedab, któremu jak najlepiej wszystko się wiodło. Miał on wiele dzieci, a pomiędzy nimi jedną córkę, zwaną Alatiel. Piękność jej, wedle słów każdego, co ją widział, zaćmiewała urodę wszystkich białogłów żyjących wówczas na świecie. W wojnie, jaką sułtan toczył z Arabami, którzy tłumnie napadli na niego, wielką pomoc okazał mu król Algarbii⁵⁹. Gdy ów w nagrodę za usługi swoje poprosił, aby sułtan dał mu Alatiel za żonę, Beminedab nie mógł mu tego odmówić. Wyprawił Alatiel do króla z odpowiednią świtą, z dam i mężów złożoną, z mnóstwem drogocennych sprzętów, na dobrze zbrojnym i we wszystko opatrzonym okręcie. Wprzód opiece boskiej ją polecił. Marynarze, widząc, że pogoda sprzyja, rozpięli żagle, opuścili port w Aleksandrii i przez kilka dni szczęśliwie płynęli. Minęli już Sycylię i sądzili się być bliskimi celu swej podróży, gdy nagle podniosły się gwałtowne i przeciwne wiatry, które okrętem księżniczki tak miotać jeły, że wszyscy nadzieję ratunku stracili. Mimo to majtkowie, jako ludzie dzielni, walczyli bez przerwy z burzliwymi żywiołami. Dwie doby wichry szalały, na trzecią noc rozpętała się okrutna burza. Załoga okrętu nie wiedziała, gdzie się teraz znajduje, i nie mogła tego określić ani przyrządami morskimi, ani wzrokiem. Niebo pokryło się czarnymi chmurami, niby mrokiem północnym. W pobliżu Majorki postrzegli, że okręt wody nabiera. Nie widząc już żadnego ratunku, każdy myślał tylko o sobie. Spuszczono na wodę łódź, mniemając, że większe ona bezpieczeństwo przedstawia niżli dziurawy okręt. Do łódki wsiedli dowódcy załogi. Ich śladem rzucili się hurmem i inni, a chociaż ci, co przedtem miejsca zajęli, starali się ich odegnąć nożami, przecież nikt na to nie zważał. Sądząc, że uchodzą przed śmiercią, ku niej właśnie śpieszyli. Łódź, nie mogąc wśród nawałnicy wytrzymać ciężaru tylu ludzi, poszła z wszystkimi na dno. Tymczasem okrętem, dalej wichry miotały, choć był on ze wszech stron dziurawy i wody pełen. Na pokładzie znajdowała się tylko Alatiel z sługami swymi. Leżały one jak martwe, przejęte trwogą i od zmysłów odchodzące. Okręt rzucony został wreszcie przez bałwany na mieliznę przy brzegach Majorki. Zarył się w piasek z wściekłą siłą, na rzut kamieniem od brzegu. Bałwany były on przez noc całą, jednakoz z miejsca go już ruszyć nie mogły. Gdy dzień jasny nastał i burza ucichła, ledwie żywa Alatiel podniosła głowę i jeła słabym głosem sługi przyzywać. Na próżno jednak wołała, bowiem zbyt daleko były. Nie otrzymując żadnego responsu i nikogo nie widząc, z początku zadziwiła się, a potem okrutnie zestrachala. Dźwignęła się ostatkiem siły i ujrzała, że wszystkie jej towarzyszkami nieruchomie na pokładzie leżą. To jedną, to drugą wstrząsała, aliści niewiele z nich się ocknęło; pozostałe umarły ze strachu lub też z okrutnych bólów żołądka. To jeszcze bardziej Alatiel zatrwodziło. Czując potrzebę rady, bowiem nie wiedziała całkiem, gdzie się znajduje, przez wszystkich opuszczona, jeła tak szarpać i wstrząsać pozostałe przy życiu służki swoje, że te wreszcie podniosły się na nogi. Alatiel usłyszała, że i one nie wiedzą, co się z mężczyznami stało, i ujrawszy, że okręt pełen wody wrył się w ławicę piasku, wraz z nimi gorzko płakać jeła. Była już dziewiąta godzina rano, jednakoz na brzegu ani gdzie indziej nie pokazywał się nikt, w kim litość i chęć pomocy wzbudzić by mogły.

Około godziny dziesiątej przejeżdżał tamtędy trafunkiem, wracając z swojej majątności, pewien młody szlachcic, Pericone da Visalgo, w otoczeniu konnych sług swoich. Ów, ujrawszy okręt, zaraz domyślił się, w czym rzecz, i kazał jednemu ze sług dostać się nań, a potem donieść, co się tam dzieje. Sługa z trudem przebrał się na okręt i znalazł na nim urodziwą dziewczeczkę kryjącą się bojaźliwie wraz z nielicznymi towarzyszkami u dzioba statku. Zaledwie wszedł na pokład, zaczęły go ze łzami o litość błagać, postrzegłszy jednak, że mowy ich nie pojmuje ani też one słów jego, starały się znakami wytłumaczyć mu nieszczęsne położenie swoje. Sługa, rozejrzawszy się dobrze we wszystkim, wrócił do Pericona z doniesieniem, co widział. Pericone rozkazał natychmiast sprowadzić na ląd niewiasty wraz ze wszystkim, co

im jeszcze z drogocenniejszych rzeczy pozostało, i zabrał je z sobą do zamku. Tutaj białogłowy skrzepiły nieco swoje siły wczasem i jadłem. Pericone poznał z wspaniałych szat Alatiel i z objawów czci, z jaką się inne do niej zwracały, że musi to być dziewczeczka znacznego rodu. Chocia Alatiel była blada i po przejściach na morzu wynędzniała, przecie rysy jej oblacza nad wszystko piękne mu się wydały. Postanowił tedy, nie myśląc wiele, że ją w stadło pojmie, jeżeli jeszcze męża nie ma, jeśli zasię ożenić się z nią nie będzie mógł, to ją swoją miłośnicą uczyni. Pericone był człowiekiem wielkiej kostury i śmiałego wejrzenia. Po kilku dniach, w ciągu których ugaszczał troskliwie Alatiel, odzyskała ona całą świeżość swoją, tak iż nad podziw piękną mu się zdała. Pericone rozpaczał jeno, że się porozumieć z nią nie może, aby uznać, kim ona jest. Trawiony żądzą, spojrzzeniami, znakami i osobliwą grzecznością starał się ją przywieść do tego, aby była powolna jego zachceniom. Ale wszystko na próżno. Alatiel nieprzystępna po dawnemu była, przez co chucie Pericona jeszcze bardziej rozgorzały. Alatiel spostrzegła to. Po kilku dniach pobytu na zamku domyśliła się już, że znajduje się między chrześcijanami, sądziła zatem, że niebezpiecznie by było odkryć godność swoją bez względu na to, w jakim jest miejscu. Zdawała sobie sprawę, że prędzej czy później będzie musiała ulec woli Pericona, który siłą albo miłością swego wreszcie dopnie. W wielkoduszności serca postanowiła walczyć przeciwko złym losom swoim. Towarzyszkom swoim, z których tylko trzy przy życiu pozostały, przykazała, aby nikomu nigdy nie wyjawiały, kim są, chyba żeby znalazł się ktoś, od kogo nieoczekiwana pomoc przyjść by mogła. Zaklęła je, aby strzegły swego dziewictwa, przydając, że z jej wdzięków cieszyć się będzie jeno jej prawy małżonek. Towarzyszki pochwaliły jej cnotliwy zamiar i obiecały, że ze wszystkich sił starać się będą o wypełnienie jej rozkazów.

Pericone tym większą chucią z dnia na dzień gorzał, im bliżej widział przedmiot swoich pragnień, których nasycić nie mógł. Widząc, że zachody ani próśby nic nie wskórają, postanowił użyć chytrego podstępu, a gwałt na ostatek zachować.

Nieraz już spostrzegł, że Alatiel szczególny smak znajdowała w winie, którego przedtem nigdy nie piła, bowiem religia tego jej zabraniała. Pericone postanowił użyć wina, najlepszego pomocnika bogini Wenus, aby owładnąć wdziękami Alatiel. Udawszy, że niewiele sobie czyni z jej odmów, wydał z jakiejś okazji pewnego wieczora wspaniałą ucztę, w której Alatiel także udział wzięła. Uczta była wesoła i gwarna. Pericone przykazał temu, kto Alatiel usługiwał, aby podawał jej napój, utworzony z wielu gatunków wina. Sługa wywiązał się z swego zadania na schwał.

Alatiel, nic nie podejrzewając, zasmakowała w tym przyjemnym trunku i wypila więcej niż zwyczajnie.

Zapomniawszy o poprzednich swoich niedolach, stała się wesołą, a widząc, że niektóre dziewczęta tańczą taniec z Majorki, sama według aleksandryjskiego obyczaju płasać zaczęła. Pericone, ujrawszy to, nie wątpił już, że dochodzi do celu pragnień swoich. Przeciągając ucztę do późna w noc, kazał podawać wciąż nowe potrawy i napoje. Na koniec, skoro biesiadnicy się oddalili, sam odprowadził Alatiel do komnaty. Dzieweczka, bardziej rozgrzana niżli przystojnością na wodzy trzymana, zrzuciła bez żadnego wstydu w jego przytomności szatki, tak jakby Pericone był jedną z jej służek, i położyła się do łoża. Pericone, nie mieszkając, poszedł w jej ślady. Zgasiwszy światła legł obok niej, obłapił ją ciasno i nie napotykając żadnego oporu jął z nią igrać miłośnie. Alatiel, poznawszy, jakim to rogiem mężczyźni bodą (o czym przedtem, jako żywo, nie wiedziała), nie mogła niemal odżałować, że już dawniej na próśby Pericona nie przystała. Nie czekając, aż ją na tak słodką ucztę zaproszą, sama się często zapraszała, nie słowami co prawda, gdyż nie mogła się nimi porozumieć, lecz znakami i gestami. Gdy Pericone i Alatiel w takich rozkoszach smakowali, fortuna nie będąc ukontentowana z tego, że z żony króla nałożnicę wasala uczyniła, sposobiła jej inny, bardziej grozą przejmujący związek.

Pericone miał brata, dwudziestopięcioletniego młodzieńca, pięknego i świeżego jak róża. Zwał się on Marato. Alatiel niezwykle mu do gustu przypadła. Zdało mu się z jej znaków, że i ona również upodobanie do niego żywi. Myśląc, że od zaspokojenia jego chuci nic nie wstrzymuje Alatiel krom czujności, jaką ją otaczał Pericone, uknuł występny plan, który zaraz do zbrodniczego przywiódł skutku.

W porcie miasta stał podówczas okręt napełniony towarami, które miał zabrać do Chiarenzy w Romani⁶⁰. Właścicielami jego byli dwaj młodzi Genuńczycy. Żagle już podniesiono oczekując pomyślnego wiatru. Marato ułożył się z Genuńczykami, że zabiorą go następnej nocy na pokład wraz z damą, którą z sobą przywiedzie.

Wszystko to uładziwszy, udał się, gdy noc zapadła, do domu Pericona, który z jego strony niczego nie podejrzewał. Wszedł niepostrzeżenie do komnat, po społu z najbardziej zaufanymi towarzyszami, którzy mieli mu pomóc w tym przedsięwzięciu, i ukrył się zgodnie z planem poprzednio ustalonym. Gdy już większa część nocy minęła, otworzył swoim współczynnikiem, wiedząc ich, gdzie Pericone zwykle z swoją miłośnicą sypiał. Zbiry, wtargnąwszy do komnaty, zabili Pericona, we śnie spoczywającego, i pochwycili płaczącą białogłową, grożąc jej śmiercią, gdyby tumult podniosła. Później zabrali najcenniejsze rzeczy, które pod ręką znaleźli, nie zauważeni chyłkiem wypadli z domu i na morski brzeg się przebrali. Marato nie mieszkając wszedł z Alatiel na pokład, towarzysze jego zasię do miasta powrócili. Marynarze, mając wiatr pomyślny, wypłynęli na pełne morze. Alatiel żaliła się równie gorzko na wtóre swoje nieszczęście, jak ongiś na pierwsze, aliści Marato tym wisiorkiem, co mu go Bóg dał, jął ją pocieszać tak żarliwie, że wkrótce o Pericone zapomniała i do nowego miłośnika przywykła.

Już miała się za zupełnie szczęśliwą, gdy los, uważając widać, że przeszłych doświadczeń było mało, nowe nieszczęście jej zgotował. Nieraz już mówiliśmy, że Alatiel była nad podziw piękną białogłową, a do tego wielce w obejściu miłą i dworną. Dwaj młodzi Genuńczycy tak się w niej rozmiłowali, że o wszystkim zapominając, na usługach i zalotach cały czas spędzali. Strzegli się jedynie, aby tych przymień Marato nie spostrzegł. Postrzegłszy nawzajem swoje upały miłosne i naradziwszy się potajemnie, postanowili, że razem przedmiotem miłości cieszyć się będą, tak jak gdyby miłość dzielona być mogła na podobieństwo łupu lub towaru. Ujrzeli jednak, że Marato czujnie Alatiel strzeże przeszkadzając ich zamysłom. Pewnego dnia, gdy okręt mknął chyżo pod pełnymi żaglami, Marato stał na rufie i patrzył na morze nic nie podejrzewając. Genuńczycy podkradli się do niego i schwyciwszy go silnie z tyłu, wrzucili do morza. Gdy okręt już się na milę oddalił, spostrzeżono dopiero, że Marato wpadł do morza. Alatiel, usłyszawszy o tym i ujrzawszy, że wszelki ratunek byłby daremny, jęła od nowa żale swoje rozvodzić. Dwaj Genuńczycy pocieszali ją, jak mogli, miłymi słówkami i obietnicami, chocia Alatiel i niewiele z tego wszystkiego pojmowała. Opłakiwała nie tyle stratę Marato, ile nad swoją okrutną dolą rozpaczała. Po długich przełożeniach a prośbach zdało się im, że ją wreszcie pocieszyli. Udali się zatem na stronę, aby naradzić się, kto z nich ma ją pierwszy posiadać. Każdy chciał zaraz tych słodczy zaznać, tak iż mowy o zgodzie być nie mogło. Od grubych słów i wymysłów przyszło do bójki. Schwycili za noże i mnóstwo ciosów sobie zadali, bowiem ci, co na okręcie się znajdowali, rozdzielić ich nie mogli. Jeden z walczących padł wkrótce martwy, drugi, ciężkimi ranami pokryty, przy życiu pozostał. Alatiel wielce się tym zasmuciła. Czuliła się samotna, pozbawiona pomocy i rady, a do tego obawiała się, aby się na nią nie obrócił gniew krewniaków i przyjaciół obu Genuńczyków.

Aliści prośby rannego, jak i szybkie przybycie okrętu do Chiarenzy wybawiły ją z śmiertelnych niebezpieczeństw. Wyszła na ląd po społu z rannym i zamieszkała z nim w jednej gospodzie. Wkrótce wieść o piękności Alatiel rozeszła się po całym mieście. Słuchy o niej doszły do księcia Morei, który podówczas w Chiarenzy bawił. Książę zapragnął ją widzieć. Alatiel zdała mu się piękniejsza nad wszelkie opowiadania. Rozkochał się w niej od razu tak

gwałtownie, że o niczym innym myśleć nie mógł. Usłyszawszy zaś, jakim sposobem tu przybyła, powziął nadzieję pozyskania jej łask. Gdy nad stosownymi środkami rozmyślał, krewniacy rannego, o pragnieniach księcia uwiadomieni, niewiele myśląc posłali mu czym prędzej Alatiel. To napełniło wielką radością księcia, a także i Alatiel, która mniemała, że już jest bezpieczna od wszelkich niebezpieczeństw. Chocia księżę nie wiedział, kto ona zasz, przecie obyczaje jej szlachetne, a także niepospolita piękność wnosić mu kazały, że ze znamienitego rodu pochodzić musi; zdwoiło to miłość jego. Cześć należną jej okazując obchodził się z nią jak z małżonką, nie jak z nałożnicą. Alatiel, zapomniawszy w obecnej pomyślności o wszystkim, co było, powróciła do przyrodzonej sobie wesołości, a wdzięki jej tak odkwitły, że w całej Romani mówiono jeno o jej piękności. Dlatego też młody, urodziwy i dzielny księżę ateński, przyjaciel i krewniak księcia Morei, wyraził życzenie obaczenia Alatiel. Pod pokrywką, że chce odwiedzić księcia, jak to nieraz czynić miał w obyczaju, z świetnym poczem do Chiarenzy zawitał, gdzie godnie i uroczyście go przyjęto. Po kilku dniach rozmawiać poczęli o piękności Alatiel. Księżę spytał, zali naprawdę jest tak urodziwa, jak o tym powszechna fama głosi.

– Jeszcze urodziwsza – odparł księżę Morei – i pragnę, abyś na własne oczy o tym się przekonał.

Księżę ateński ochotnie przystał na to i obaj księżęta udali się do komnat Alatiel. Ta, uprzedzona o ich odwiedzinach, przyjęła gości uprzejmie, z wesołym obliczem. Posadzili ją między sobą, ale nie mogli zażyć przyjemności z rozmowy z nią, bowiem niewiele, a raczej nic wcale z mowy ich nie pojmowała. Dlatego też każdy spoglądał na nią jak na dziw albo i cud jakowyś, osobliwie zaś księżę ateński, ledwo zdolny pojąć, że jest ona istotą śmiertelną. Nie spostrzegł, że gdy patrzył na nią, oczy jego upiły się jadem namiętności. Myślał, że zachwycając się nią – sobie ukontentowanie sprawia, tymczasem zaplątał się w sidła i najżywszą miłością do Alatiel rozgorzał. Opuściwszy zaś po społu z księciem Alatiel i znalazłszy stosowną do rozmyślań chwilę, do tej myśli przyszedł, że księżę jest najszczęśliwszym na ziemi człowiekiem, mogąc w takim skarbie smakować do upodobania. Tysiąc myśli w nim się ścierało, wreszcie gdy szła miłosny uczciwość przemógł, postanowił wydrzeć ten klejnot księciu Morei i sam nim owładnąć, choćby i do najgorszych rzeczy przy tym przyjść miało. Pobudzany pragnieniem, nie dbając na głos rozsądku i sprawiedliwości, zamysł swój na zdradzie i podstępnie osnuł. Pewnego dnia, skumawszy się z zaufanym sługą księcia Morei, zwanym Ciuriaci, kazał cichaczem przygotować do podróży swoje konie oraz wszystko, co mu w drodze przydatne być mogło. Gdy noc nastała, księżę ateński wraz z swym towarzyszem weszli, uzbrojeni, cichaczem do komnaty księcia, dokąd ich wpuścił ów rzeczony Ciuriaci.

Napastnicy ujrzeni, że księżę z powodu upału stoi całkiem nagi przy oknie, obrócony twarzą ku morzu, i ochładza się lekkim wietrzykiem. Alatiel spała mocnym snem. Towarzysz księcia ateńskiego, uwiadomiony wcześniej, co mu czynić należy, podkraść się do okna na palcach i uderzył księcia tak silnie nożem między żebra, iż ostrze na wylot przeszło. Potem szybko pochwywszy ciało, wyrzucił je przez okno. Zamek księcia stał wysoko nad powierzchnią morza; z okna zaś tego widać było tylko kilka lepierek, zburzonych w części przyplływem fal; nikt tu prawie nigdy nie zachodził, dlatego też, jak to przewidział księżę ateński, nikt nie mógł zauważyć upadku ciała. Towarzysz księcia, obaczywszy, że zadanie uskutecznione zostało, schwycił co prędzej za sznur, przygotowany uprzednio, i pod pozorem żartu zarzucił stryczek na szyję Ciuriaciego. Później zacisnął węzeł tak silnie, że sługa nawet zipnąć nie zdołał. Ateńczyk pośpieszył na pomoc swemu towarzyszowi. Dodusiwszy Ciuriaciego, ciało jego także do morza wrzucili.

Spełniwszy to i upewniwszy się, że ani dama, ani nikt inny nic nie zauważył, księżę ateński ze świecą w ręku cicho podszedł do łóżnicy i odkrył całkiem wciąż jeszcze śpiącą głęboko Alatiel.

Obejrząwszy ją szczegółowie, słów zachwyty i podziwu nie znajdował. Jeśli podobała mu się w ubraniu, to naga nad wszelki wyraz go zachwycała. Na ten widok, nowymi żądzami zapalony i

nie powstrzymywany wspomnieniem dokonanej przed chwilą zbrodni, ze skrwawionymi rękami legł obok niej. Półsenna Alatiel, myśląc, że to książę Morei, pieścił mu swoich nie szczędziła.

Siła rozkoszy zażywszy, powstał i przywoławszy kilku z swoich ludzi kazał porwać Alatiel tak, aby najmniejszego tumultu słycać nie było, i wyprowadzić ją tajnymi drzwiami, przez które wszedł do zamku. Jak najciszej wsadzili Alatiel na konia i popędzili drogą do Aten. Ponieważ jednak książę był żonaty, więc nie wprowadził okrutnie zasmuconej Alatiel do miasta, jeno umieścił ją w jednej z swoich nadmorskich posiadłości, w pobliżu Aten leżącej. Trzymał ją tam w tajności, przykazawszy, aby na niczym jej nie zbywało.

Następnego dnia dworzanie księcia Morei aż do dziewiątej czekali na jego obudzenie się, jednakże najmniejszego szmeru nie słysząc, pchnęli drzwi komnaty, które jeno przymknięte były, i do środka weszli. Nie znalazłszy nikogo pomyśleli, że książę wyruszył gdzieś w tajemnicy wraz z swą damą, aby dni kilka na swobodzie i w radości spędzić; uspokoili się przeto i już się nie turbowali. Następnego dnia jednak zdarzyło się, że pewien człek na umyśle pomieszany wszedł między rudery, gdzie leżały ciała księcia Morei i Ciuriaciego, wyciągnął zwłoki sługi i jał je na stryczku wlec za sobą. Z wielkim zdziwieniem wiele osób rozpoznało trupa, a wówczas przymilaniem się skłoniono głuptaka, by wskazał miejsce, skąd zwłoki wydobyl. Tam, ku boleści całego miasta, także i trupa księcia znaleziono. Pochowali go z należnymi honorami i jęli szukać winowajców tak zbrodniczego czynu. Spostrzegłszy nieobecność księcia ateńskiego, który w wielkiej tajności z miasta wyjechał, domyślili się, że on to zbrodnię tę popełnił i damę uprowadził. Szybko tedy obwołali księciem brata zabitego i wezwali go najżywiej do pomsty. Ten, ugruntowawszy się w swoich podejrzeniach, dzięki różnych innym jeszcze dowodom co do winy ateńskiego księcia, wezwał swoich krewniaków, przyjaciół i poddanych, zgromadził silną armię i do wojny z ateńczykiem jał się gotować. Usłyszawszy o tym, książę ateński zebrał wszystkie siły swoje, aby wrogom dać odpór stosowny. Wiele znacznych władców przybyło na pomoc k'niemu. Cesarz Konstantynopola posłał mu swego syna Konstantyna⁶¹ oraz siostrzeńca Emanuela ze znacznym wojskiem. Z należną czcią przyjął ich książę, a zwłaszcza księżna, która siostrą Konstantyna była.

Gdy tak wszyscy z dnia na dzień najścia nieprzyjaciół się spodziewali, księżna, stosowną chwilę ułowiwszy, przywołała obu braci i ze łzami w oczach wyjaśniła im przyczynę wojny i całą historię szczegółowo opowiedziała przedstawiając zniewagę, jaką jej małżonek wyrządza przez związek miłosny z cudzoziemką, o czym jakoby nikt nie wie. Żaląc się wielce na to, prosiła ich, aby cześć księcia i jej pocieszenie na pieczy mieli, czyniąc, co wyda im się najbardziej stosowne. Młodzieńcy wiedzieli już o wszystkich tych zdarzeniach, dlatego też nie pytając wiele, pocieszyli, jak mogli, księżnę, napełnili jej serce nadzieją i odjechali dowiedziawszy się wprzód, gdzie Alatiel się znajduje.

Nieraz już dochodziły ich słuchy o zadziwiającej piękności Saracenki, zapragnęli tedy ją zobaczyć i poprosili księcia, aby im ją ukazał. Ów zapomniawszy, czym książę Morei za spełnienie podobnej prośby zapłacił, obiecał, że to uczyni. W samej rzeczy wydał wspaniałą ucztę w pięknym ogrodzie, znajdującym się koło domu, w którym Alatiel przebywała, i obu młodzieńców w nielicznej kompanii na nią zaprosił. Konstantyn, siedząc za stołem obok Alatiel, utkwiał w niej wzrok zachwycony i pomyślał, że podobnej piękności jeszcze nigdy na świecie nie widział. Jego zdaniem, należało rozgrzeszyć księcia, jak i każdego, kto by dla owdładnięcia podobnym skarbem zdradę albo i inny plugawy czyn popełnił. Brnąc dalej, raz po raz na nią poglądał i podobał sobie w niej coraz bardziej, doświadczając tego, co i książę. Odjechał rozmiłowany w Alatiel i wszelką myśl o wojnie ostawiwszy jał się głowić tylko nad tym, jakby ją odjąć księciu; miał się jednak na baczności i niczym swojej namiętności nie zdradzał. Gdy tak chuciami gorzał, nadeszła pora wyruszenia w pole przeciwko wojskom nieprzyjacielskim, które już do dzierżaw księcia się zbliżały. Książę bowiem, Konstantyn i pozostali, zgodnie z rozkazem, opuścili Ateny, aby umocnić granice i nie dopuścić, by wraza armia w nie wtargnąć miała.

Stojąc przez kilka dni na granicy, Konstantyn ani przez chwilę o damie swej myśleć nie przestał. W przekonaniu, że teraz, gdy książe od niej się oddalił, łatwiej mu będzie zamiary swoje do skutku przywieść, postanowił do Aten powrócić pod pokrywką, że niedomaga na zdrowiu. Poruczywszy, za zgodą księcia, władzę nad wojskiem Emanuelowi, powrócił do Aten, do swej siostry. Po kilku dniach wszczął rozmowę o zniewadze, jaką jej mąż uczynił, inną mając przy sobie niewiastę, i oznajmił, że jeśli tylko zechce, on nieszczęściom jej kres postawi wykradając Alatiel i uprowadzając ją za granice państwa. Księżna, myśląc, że Konstantyn chce to uczynić przez miłość do niej, a nie do Alatiel, odparła, że zgadza się na to ochotnie, pod tą jednak kondycją, aby książe nigdy o jej zgodzie nie uznał. Konstantyn przyrzekł jej to. Wówczas księżna rzekła, aby poczynał sobie tak, jak uważa, że będzie najlepiej. Konstantyn kazał cichaczem przysposobić lekką barkę i pewnego wieczoru podpłynął na niej pod ogród będący schronieniem Alatiel. Uświadomiwszy pozostałych na brzegu ludzi, co im działać należy, sam z kilku towarzyszami udał się do pałacu. Służba Alatiel, jako też i ona sama uprzejmie go powitała. Alatiel z Konstantynem w otoczeniu jej sług i jego towarzyszy wyszli do ogrodu. Tam, chcąc jakoby pomówić z damą w imieniu księcia, odwiódł ją na stronę i zaprowadził do bramy wychodzącej na morze. Jeden z jego towarzyszy już ją był otworzył; na dany znak barka się przybliżyła.

Wówczas pochwycili Alatiel i do barki ją zanieśli. Konstantyn rzekł do jej sług:

– Niech nikt się nie waży ruszyć z miejsca lub parę z gęby puścić, jeśli wam życie miłe. Nie chcę porywać kochanki księciu, jeno uwolnić od hańby siostrę moją.

Nikt nie śmiał odpowiedzieć na to. Konstantyn z swymi towarzyszami wsiadł do barki i nie opuszczając ani na chwilę płaczącej Alatiel, kazał tęgo wiosłami robić. Barka zdawała się nie płynąć, ale leciec i następnego dnia o świcie przybyła do Eginy. Wyszędłszy na ląd odpoczęli, a Konstantyn nacieszył się swą branką, która piękność swoją nieszczęsną gorzko opłakiwała. Później wsiedli z powrotem do barek i po upływie dni kilku przybyli do Chios. Obawiając się gniewu cesarza i utracenia Alatiel, Konstantyn tutaj, jako w miejscu bezpiecznym, zatrzymać się postanowił. Długo płakała Saracenka nad swą nieszczęsną dołą, aliści gdy Konstantyn pocieszył ją niezawodnym sposobem, jęła znów znajdować upodobanie w tym, co los jej zesłał.

Gdy rzeczy tym trybem szły, Osbech, podówczas królem Turków będący i w ciągłej wojnie pozostający z cesarzem, przyjechał trafunkiem do Smyrny. Usłyszawszy, że Konstantyn wiedzie rozpustne życie z białogłową przez się pochwyconą i że przebywa w Chios bez żadnej ochrony, uzbroidł kilka lekkich galer i zawinął nocą do portu. Wyszędłszy cicho z wojskiem na brzeg, wielu nieprzyjaciół w pościeli zdybał, jeszcze nim się spostrzegli, że wróg wdarł się do miasta, ci zaś, nieliczni, co pobudzeni za broń schwycili, zaraz gardła dali. Osbech spalił całe miasto, naładował łupem okręty i z jeńcami do Smyrny powrócił.

Tam pośród niewolników spostrzegł urodziwą wielce białogłową. Uznawszy, że ją to właśnie wzięto, gdy spała z Konstantynem w jednym łożu, jako mąż młody wielce się uradował i bez zwłoki żoną ją swoją uczynił, ceremonię ślubu w łożnicy odprawiając. Później przez kilka miesięcy gorliwie jej wdzięków używał.

Nim te rzeczy się trafiły, cesarz sprzymierzył się z Basanem, królem Kapadocji, który miał z częścią swych wojsk na Osbecha uderzyć, podczas gdy on sam, cesarz, z drugiej strony na niego napadnie. Jednakże zamysły te na niczym spełzły dla niedogodnych warunków przymierza, jakie mu Basan stawiał, a których cesarz przyjąć nie chciał. Gdy jednakże usłyszał, co się z jego synem stało, wpadł w taką turbację, że na wszystkie żądania króla Kapadocji bez zwłoki przystał prosząc go jeno, aby nieodwłocznie na Osbecha⁶² ruszył, sam zaś gotował się z tyłu na niego uderzyć. Osbech, o niebezpieczeństwie uwiadomiony, ściągnął wszystkie swoje wojska, zanim dwaj potężni sprzymierzeńcy mogli ująć go w kleszcze, i pośpieszył na spotkanie króla Kapadocji. Alatiel została w Smyrnie pod opieką a poruczeństwem wiernego sługi i przyjaciela. Osbech wnet zetknął się i starł z Basanem, kładąc głowę w bitwie. Wojsko

jego zwyciężone i rozproszone zostało.

Zwycięski Basan, żadnego oporu nie spotykając, szedł na Smyrnę. Wszyscy go z wielką pokorą przyjmowali. Sługa Osbecha, Antiochem zwany, chociaż był człkiem szedziwym, przecie nie obronił się przed pięknością Alatiel, którą miał pod strażą. Rozmłował się w niej, nie zdzierżywszy przysięgi na wierność swemu panu. Antioch znał język, jakim Alatiel mówiła. Wielce był rad z tego, a i ona niemniej, bowiem już od lat kilku skazana była na życie głuchej i niemowy; ani ona nikogo nie pojmowała, ani jej nikt nie rozumiał. Antioch, chuciami swymi pobudzany, jął poczynać sobie z Alatiel wielce poufale, a po kilku dniach, nie bacząc na swego pana, który wojnę toczył, wstąpił z nią nie tylko w przyjacielskie, ale i w miłosne związki. Sypiali po społu pod jednym nakryciem i baraszkowali do woli. Usłyszawszy, że Osbech porażony i zabity i że Basan następuje, wszystko w perzynę obracając, postanowili nie czekać na niego. Zabrali z sobą drogocenne rzeczy, które Osbech zostawił, i umknęli chyłkiem na wyspę Rodos. Tam jednakoż nie długo żyli. Antioch zaniemógł i czuł się bliskim śmierci. W tym czasie przybył do Rodos pewien kupiec cypryjski, wielki przyjaciel Antiocha. Ten, widząc, że koniec jego już bliski, zapragnął pozostawić mu w dziedzictwie swoją majątność i umiłowaną białogłową. Odchodząc ku wieczności, przywołał ich oboje i rzekł:

– Wiem, że nadchodzi moja ostatnia godzina. Ciężko mi umierać, bowiem nigdy mi życie miłsze nie było, jak teraz. Umieram jednak pełen pociechy, chociaż się bowiem z życiem rozstać muszę, konam na rękach tych ludzi, których najbardziej na świecie miłowałem, to jest na rękach twoich, miły przyjacielu, i na rękach tej białogłowej, co mi bliższa była niż życie własne, odkąd ją poznałem. Ciężko mi myśleć, że ostanie ona tutaj, na obczyźnie, sama bez pomocy i rady, aliści wierzę, że opieką ją swoją otoczysz dla tej miłości, jaką dla mnie żywiłeś. Dlatego też zaklinam cię, abyś, skoro mi już umrzeć sądzono, wszedł w posiadanie majątności moich i aby Alatiel przy tobie pozostała. Postępuj później z nimi tak, jak to, zdaniem twoim, będzie trza dla spokojności duszy mojej. Ciebie zaś, najmilsza Alatiel, proszę, abyś mnie nie zapomniała po śmierci. Niechże i tam będę się mógł pochwalić, że miłuje mnie na ziemi najpiękniejsza białogłowa, jaką kiedykolwiek natura stworzyła. Jeśli mi twardo przyrzekniecie, że obie te prośby wypełnicie, zamknę oczy pełen pociechy.

Kupiec i Alatiel, słysząc te słowa, płakali gorzko. Później pocieszali go, jak mogli, i przysięgli uroczyście, że na wypadek jego śmierci postąpią zgodnie z jego wolą. Antioch umarł wkrótce i z należną czcią został przez nich pogrzebany.

Po upływie kilku dni kupiec cypryjski, załatwiwszy swoje sprawy na wyspie Rodos, zapragnął powrócić do domu na stojącym w porcie małym katalońskim korabiu. Obrócił się zatem do pięknej damy z zapytaniem, co czynić zamierza, gdyż on musi na Cypr powrócić. Alatiel odparła, że pojedzie z nim ochotnie, bowiem ma nadzieję, że przez miłość do Antiocha będzie ją uważał za siostrę i jak z siostrą z nią postępował.

Kupiec odparł, że każde jej życzenie wypełni. Chcąc zaś ochronić ją od jakiej bądź zniewagi lub krzywdy, która by ją w czasie podróży spotkać mogła, powiedział wszystkim na okręcie, że jest jego żoną. Dano im małą kajutę na tyle okrętu. Nie chcąc, aby słowa czynom się sprzeciwiały, kupiec spał z Alatiel w małym łożu. Z tego poszło – choć żadne z nich nie miało takich myśli przy opuszczaniu Rodos – że pobudzeni ciepłem łoża, zachęceni mrokiem i samotnością (a są to niemałe podniety), zapomniawszy o przyjaźni i miłości do zmarłego Antiocha, równą niemal po temu odczuwając ochotę, jęli się nawzajem trykać, nim jeszcze przybyli do Baffy, skąd Cypryjczyk był rodem. W Baffie Alatiel przez długi czas z kupcem żyła. Pewnego dnia przybył do Baffy za swymi sprawami pewien szlachcic, imieniem Antygen. Lat miał wiele, rozumu dużo, jeno dostatków mało. Fortuna przeciwna mu była we wszystkim, w czym brał udział, ostając na służbie u cypryjskiego króla. Antygen, przechodząc pewnego razu koło domu, w którym Alatiel mieszkała (kupca cypryjskiego podówczas w mieście nie było, udał się bowiem z towarami do Armenii), ujrzał ją w oknie i jął przyglądać się jej uporczywie, bowiem uderzyła go jej piękność, a nie mógł przypomnieć sobie,

gdzie ją, już był widział. Urodziwa białogłowa, przez tak długi czas igraszką losów będąca, a teraz zbliżająca się już do nieszczęść swoich kresu, ujrzawszy Antygona, poznała w nim od razu jednego ze znaczniejszych sług swego ojca w Aleksandrii. Dlatego też nagłą nadzieję powzięła, że przy pomocy tego człeka do utraconej swej królewskiej godności powrócić może. Wiedząc, że kupca w domu nie ma, kazała bez zwłoki przywołać Antygona. Gdy wszedł do komnaty, zapytała nieśmiało, zali nie jest Antygenem z Famagosty, jak się to jej zdawa? Odpowiedział, że tak, i przydał:

– Pewien jestem, pani, że was już nieraz widziałem, nie mogę jeno przypomnieć sobie, gdzie to było. Proszę was przeto, jeśli wam to przykrości nie sprawi, abyście raczyli mi odkryć, kim jesteście.

Alatiel, usłyszawszy, że przybysz jest Antygonem, rzuciła mu się z płaczem na szyję i spytała go, zadziwionego mocno, zali jej przypadkiem w Aleksandrii nie widział? Na te słowa Antygon zaraz poznał w niej Alatiel, córkę sułtana, o której mniemano, że w morzu zginęła. Pragnął jej należną cześć oddać, ale Alatiel nie dopuściła do tego, prosząc go, aby na chwilę usiadł obok niej. Uczyniwszy zadość jej żądaniu, Antygon spytał ją z czcią w głosie, jak, kiedy i skąd do tego miejsca przybyła? Wszak w całym Egipcie za pewne to trzymają, że przed wielu już laty w morzu śmierć znalazła.

– Wolałabym, wierzę, żeby się tak stało – odparła Alatiel – nie potrzebowałabym bowiem wieść takiego życia, jakie wiodłam. I sędzę, że ojciec mój wolałby to również, o ile kiedykolwiek dowie się prawdy.

Rzekłszy to, znów gorzko płakać poczęła. Antygon rzekł:

– Nie dręczcie się i nie smućcie przed czasem, pani! Raczcie lepiej mi opowiedzieć wasze nieszczęścia i całe życie wasze. Ani chybi, przy pomocy bożej rzeczy pójda tym trybem, że na wszystko zaradzenie skuteczne znajdziemy.

– Gdy ujrzałam ciebie, Antygonie – rzekła Alatiel – zdało mi się, że widzę mego ojca. Pod wpływem tego tkliwego uczucia, jakie do niego żywię, odsłoniłam ci się, chociaż mogłam się przecie ukryć przed tobą. Niewielu jest na świecie ludzi, co by mnie równie mili byli jak ty. Dlatego też, jak ojcu, wyznam ci to, co pośród największych nieszczęść moich zawsze taiłam przed światem. Jeżeli po wysłuchaniu mojej spowiedzi uznasz za stosowne dopomóc mi jakimkolwiek sposobem do odzyskania dawnych godności, proszę, uczynić to. Jeżeli jednak rzecz ta niemożliwą ci się wyda, zaklinam cię, abys nikomu na świecie nie mówił, żeś mnie widział albo słyszał o mnie cokolwiek.

Rzekłszy to, opowiedziała mu z płaczem wszystkie przypadki swoje, od rozbicia się okrętu przy brzegach Majorki, aż do chwili ich spotkania. Antygen, tknięty współczuciem, zapłakał z nią razem, a po chwili namysłu rzekł w te słowa:

– Ponieważ pośród tych wszystkich przeciwności nikt nie znał prawdziwego waszego nazwiska, pani, przyrzekam wam więc, że powrócę was ojcu, jeszcze miłszą niż kiedykolwiek, a potem i żoną króla Algarbii uczynię.

Gdy Alatiel spytała, jak tego dokona, Antygen uwiadomił ją szczegółowie, co zrobić należy. Aby zaś z powodu zwłoki jakieś zawikłania nie wynikły, powrócił nie mieszkając do Famagosty i stanąwszy przed królem rzekł:

– Możecie, jeżeli taka będzie wasza wola, panie, spełnić czyn wielce chlubny dla siebie, mnie zaś, co będę w służbie waszej znoszę, bez nijakiej trudności korzyść wielką wyświadczyc.

– Jakim sposobem? – zapytał król.

– Do Baffy przybyła młoda i urodziwa córka sułtana, o której słuchy chodziły, że zginęła w morzu. Dla zachowania czci swojej wielu nieszczęściom podlegała, a dzisiaj w wielkim niedostatku się znajduje. Pragnęłaby ona gorąco powrócić do ojca swego. Jeżeli przystaniecie na to, aby pod moją opieką do ojca ją wyprawić, pewien jestem, że sułtan nigdy wam podobnej usługi nie zapomni, co wam cześć wielką, a mnie korzyść znaczną przyniesie.

Król, chcąc pokazać swoją naturę szlachetną, odparł, że przyzwala. Wyprawił godnie po Alatiel posłów i na dwór w Famagosta ją sprowadził, gdzie po społu z królową pełne wspałości przyjęcie jej zgotował. Gdy się jej pytano o jej zdarzenia, odpowiadała wedle wskazówek, przez Antygona danych.

Po kilku dniach na jej życzenie król wysłał ją do ojca ze znaczną świtą, z mężczyzn i z białogłów złożoną, której Antygon przewodził.

Nie lza wysławić, z jaką radością sułtan ją powitał i jakie przyjęcie zgotował Antygenowi oraz jego towarzyszą. Gdy Alatiel już nieco wczasu zażyła, sułtan także zapragnął uznać, jak to się stało, że ocalała i że przez tak długi czas nie dała najmniejszego uwiadomienia o sobie. Alatiel, mając dobrze w pamięci pouczenia Antygona, zaczęła w te słowa:

– Dowiedz się, mój ojcze, że mniej więcej w dwadzieścia dni po moim stąd odjeździe burza strzaskała nasz okręt i wyrzuciła go nocą na brzeg zachodni w pobliżu Aiguesmortes⁶³. Co się stało z ludźmi załogi znajdującymi się na pokładzie, nie wiem, przypominam sobie tylko, że za nadejściem dnia powróciłam do utraconych zmysłów. Tymczasem mieszkańcy okolicznej okolicy rozbitą spostrzegli. Zbiegli się ławą dla złupienia szczątków. Wyciągnęli mnie na brzeg po społu z dwiema towarzyszkami. Biedne dziewice porwane zostały przez dwóch młodzieńców i uprowadzone, każda w inną stronę. Nie wiem, co się z nimi stało, bowiem nigdy już słuch o nich do mnie nie dotarł. I mnie także dwóch młodzieńców za włosy schwyciło; płakałam i broniłam się ze wszystkich sił. Zaciągnęli mnie do pobliskiego lasu. Nagle z lasu wynurzyło się czterech jeźdźców. Gdy prześladowcy moi ich ujrzeni, natychmiast puścili mnie, a sami rzucili się do ucieczki. Czterej konni, którzy ludźmi znacznymi mi się wydali, przybliżyli się do mnie i jęli mi mnóstwo pytań zadawać. Ja także wiele mówiłam, ale nie mogliśmy się pojąć nawzajem. Naradziwszy się z sobą, posadzili mnie na rumaka i zawieźli do klasztoru mniszek wedle ich religii. Nie wiem, co przeoryszy powiedzieli, dość, że przyjęta zostałam nader uprzejmie. Uwielbiałam po społu z nimi św. Stoislawa w Wawozie, do którego szczególnie nabożeństwo żywią niewiasty tego kraju. Gdy już pewien czas z nimi pozostawałam i nauczyłam się trochę ich mowy, spytały mnie, kim jestem i skąd pochodzę. Wiedząc, gdzie się znajduję, i obawiając się, że gdy poznają prawdę, przegnać mnie mogą, jako że do ich religii nie należę, odparłam, że jestem córką pewnego znacznego człeka z Cypru, który mnie wysłał do przyszłego małżonka na Kretę. Na nieszczęście okręt tutaj uległ rozbiciu. Nie raz i nie dwa przy różnych okolicznościach ze strachu obyczajów ich przestrzegałam. Zapytana przez najstarszą z tych niewiast, którą nazywają przeoryszą, załobym na Cypr powrócić nie chciała, odparłam, że niczego tak nie pragnę, jak tego powrotu. Przeorysza, dbając o moją przystojność białogłowską, nie chciała mnie powierzyć nikomu z tych, co na Cypr jechali. Przed dwoma miesiącami dopiero przybyło do klasztoru kilku szlachciców z Francji wraz ze swymi żonami. Jedna z nich była krewniaczką przeoryszy. Ta, usłyszawszy, że udają się do Jerozolimy, aby odwiedzić grób tego, kogo Bogiem swym zowią (zabit od Żydów, jest on tam pono pogrzebiony), poleciła mnie im, prosząc, aby mnie na Cypr, do ojca odwieźli. Musiałabym długo w słowach się szerzyć, chcąc opowiedzieć, jakimi staraniami i względami panowie ci i ich żony w czasie podróży mnie otaczali.

Wsiedliśmy na okręt i po kilku dniach przy płynęliśmy do Baffy. Zatrudniło mnie to nie mała, bowiem nie znałam nikogo w tym mieście i nie wiedziałam, co mam powiedzieć moim przewodnikom, którzy pragnęli mnie ojcu powrócić, jak im to poleciła czcigodna matrona. Bóg jednak, widać, ulitował się nade mną i w chwili gdyśmy do portu zawijali, posłał na brzeg Antygona. Poznałam go natychmiast i przyzwałam go, obracając się doń w naszym języku, ażeby nikt mnie zrozumieć nie mógł, i prosząc go, aby mnie tu jako córkę powitał. Pojął zaraz, w czym rzecz, wielce się z mego przybycia uradował, przyjął Francuzów, jak mu tylko na to jego skromne środki pozwalały, a później zawiódł mnie na dwór króla Cypru. Ów przyjął mnie, a potem i do was wyprawił z taką okazałością, że tego i wysławić nie można.

Jeśli coś jeszcze przydać trzeba, to niech dalej opowiada Antygon, który o mej historii nieraz słyszał.

– Panie mój – rzekł Antygon – obracając się do sułtana – to, coście słyszeli od księżniczki, zgadza się na wszem z jej dawniejszymi opowieściami, jako też ze słowami szlachciców i ich żon, co ją przywieźli na Cypr. O jednym tylko omieszkała wam powiedzieć, bowiem skromność przyrodzona zmilczeć jej kazała, a mianowicie o pochwałach, jakie z ust tych chrześcijan słyszałem, jej niepokalanego życia w klasztorze, szlachetnych i wzniosłych uczuć i przykładnych obyczajów. Nie uważała także za stosowne wspomnieć wam o żalu i łzach, jakie przewodnicy jej wylewali przy pożegnaniu. Gdybym chciał powtórzyć wszystko, co mówili, nie starczyłoby dzisiejszej nocy i dnia jutrzejszego. Poprzestanę jeno na uwiadomieniu was, że pysznić się możecie z posiadania najzacniejszej i najcnotliwszej córki, jaką kiedykolwiek miał na ziemi władca, koronę na skroniach noszący (tak panowie francuscy powiadali i tak ja sam pomiarkowałem).

Sułtan, niezwykle uszczęśliwiony, wspaniałą ucztę wyprawił. Prosił także wielokroć razy Boga, aby dał mu możność odwdzięczenia się kiedykolwiek za usługi, jego córce okazane. Obligowany był zwłaszcza królowi Cypru, który z wielką okazałością córkę mu odesłał. Po kilku dniach wyprawił Antygona z drogocennymi darami na Cypr. Wysłał też umyślnych z listami, w których osobną wdzięczność swoją mu wyrażał.

Następnie, pragnąc dokończyć tego, co rozpoczęte zostało, to jest połączyć córkę swoją z królem Algarbii, wyjaśnił mu wszystko i w liście napomknął, że jeśliby ją chciał za żonę, to niechaj po nią przyśle.

Król wielce się z tego uradował, wyprawił po narzeczoną świetne poselstwo, a później wspaniale Alatiel na swym dworze przyjął.

Alatiel, która z ośmiu mężami może dziesięć tysięcy razy miłośnie figlowała, w łóżnicę mężowską jako rzekoma dziewica wstąpiła i sprawiła, że król w to uwierzył. Żyła przy jego boku długo i szczęśliwie jako królowa. Nie darmo powiadają, że od pocałunków usta nie bledną, a raczej odnawiają się jak księżyc.»

Opowieść ósma



PRZYPADKI GRABIEGO ANTWERPII

Grabią Antwerpii, fałszywie oskarżony, idzie na wygnanie. Zostawia dwoje swoich dzieci w różnych miejscowościach w Anglii. Powraca ze Szkocji nie będąc od nich poznany i znajduje je w szczęściu i w pomyślności. Później służy jako prosty żołnierz pod rozkazami króla francuskiego. Gdy jego niewinność na jaw wychodzi, do pierwotnego swego stanu powraca.

Damy wzdychały często, słuchając opowieści o rozlicznych przypadkach pięknej Alatiel. Któż jednak mógł wiedzieć, co było tych westchnień przyczyną? Być może, niektóre wzdychały tak nie z litości nad nieszczęściami Saracenki, lecz przez zazdrość dla jej częstych miłosnych igraszek. Ostawmy jednak na ten czas tę sprawę. Przy ostatnich słowach opowieści Panfila wszyscy śmiechem wybuchnęli. Królowa, widząc, że opowieść już skończona, obróciła się do Elizy i dalej jej ciągnąć kazała. Eliza z wesołym uśmiechem zaczęła w te słowa:

– Obszerne jest to pole, po którym się dziś przechadzamy. Każdy w szranki wychodząc mógłby nie jedną, lecz dziesięć opowieści do końca doprowadzić, tak wiele bowiem srogich i niespodziewanych zdarzeń fortuna na ludzi sprowadza. Wybrawszy jedno z nich, opowieść swoją zaczynam:

«Gdy cesarstwo rzymskie⁶⁴ od Francuzów do Niemców przeszło, zrodziła się między tymi nacjami wielka nienawiść, której skutkiem uporczywa i długa wojna była. Król francuski, widząc konieczność obrony swego kraju i napaści na wroga, po społu ze swym synem zebrał wszystkie siły swego państwa, do których dołączył jeszcze i te, co mu je krewniacy i przyjaciele przysłali, i z wielkim wojskiem na wroga wyruszył. Nim jednak to się stało, nie chcąc kraju bez rządcy ostawić, porучzył władzę nad Francją Gualtieriemu, grabiemu Antwerpii. Grabia był wielce rozumnym i szlachetnym człkiem, przyjacielem i wiernym sługą króla, a także rycerzem w sztuce wojennej zawołanym. Król i królewicz jednakowoż sądzili go sposobniejszym do trudów rządzenia niżli do czynów wojennych. Obaj ruszyli w drogę, a grabia jął rządzić rozumnie i sprawiedliwie, nie gardząc radami królowej i jej synowej. Aczkolwiek obie te damy powierzono jego pieczy i władzy, on wszelako należną cześć im okazywał i jak do swych władczyń się do nich odnosił.

Gualtieri był mężczyzną czterdziestoletnim, wielce urodziwym i tak obyczajnym, jak tylko szlachcic i dworzanin być nim może, krom tego był najpowabniejszym i najwdzięczniejszym rycerzem swego czasu, troskającym się wciąż o swój urodziwy pozór i stroje.

Gdy król wraz z synem na wojnie przebywał, grabiemu umarła żona, ostawiając mu dwoje maleńkich dzieci: chłopca i dziewczynkę. W tym czasie Gualtieri ciągle na dworze bawił, odwiedzając królową i jej synową i rozprawiając z nimi o potrzebach państwa. Żona młodego królewicza obróciła nań swoje oczy i zważywszy jego urodę i polerowne obyczaje tkliwą miłość potajemnie do niego uczuła. Widząc się świeżą i młodą i wiedząc, że grabia bez żony ostał, sądziła, że nietrudno jej będzie miłość jego pozyskać. Nie było innych przeszkód jak wstyd, aliści postanowiła go przemóc i odkryć Gualtieriemu szczerze tajemnicę serca swego. Pewnego dnia, będąc sama, a myśląc, że czas nadszedł, posłała po grabiego, pod pokrywką, że chce się naradzić z nim nad sprawami państwa. Gualtieri, który nie podejrzewał wcale, jakie są zamysły księżniczki, przybył bez zwłoki. Jak chciała, usiadł obok niej w komnacie, gdzie byli sami, a później spytał się, dla jakiej przyczyny go przyzwała. Aliści księżniczka milczała. Wreszcie miłością pobudzona, czerwona od wstydu i cała drżąca, zaczęła mówić urywanym głosem i z płaczem na poły.

– Najmilszy mój przyjacielu i panie! Jako człek rozumny, bez trudu pojąć możecie, jak wielka jest skłonność i słabość zarówno mężczyzn jak i białogłów, zrozumiecie także, dlaczego u niewiast z większą siłą niedostatki te występują. Sprawiedliwy sędzia nie wymierzy jednakiej kary za ten sam grzech, popełniony przez różne osoby i w różnych okolicznościach. Któż nie zgodzi się na to, że biedny człek albo uboga białogłowa, którzy w pocie czoła na życie pracują, o wiele większej godni są nagany, gdy się urokom i powabom miłości poddają, niżli bogata dama, na próżnowaniu czas swój trawiąca i zwyczajna posiadać wszystko, czego zapagnie? Nikt, jak sądzę. Dlatego też mniemam, że dostatki i swoboda w znacznej mierze usprawiedliwiają kobietę, która, zbytciem otoczona, głosowi miłości ulega. Jeśli zaś wybierze nadto za przedmiot swego uczucia rozumnego i dzielnego kochanka, wydaje mi się nie tylko godną pobażania, ale i całkiem usprawiedliwioną. Zdawa mi się, że we mnie oba te warunki się łączą, a przy tym do miłości przynaglają mnie jeszcze i inne przyczyny, jak moja młodość i nieobecność męża. Niechajże to wszystko w oczach waszych będzie wytłumaczeniem mojej gorącej miłości i niechaj was przekona, tak jak każdego rozumnego człeka przekonać winno. Gdy się tak stanie, proszę, abyście mi nie odmawiali pomocy swojej i rady. Powiem wam jeszcze, że w czasie nieobecności męża chuciom moim cielesnym ani sile miłości stosownego nie mogę dać odporu.

Jakże zresztą mogę przeciwiać się temu, czego zwalczyć nie jest w stanie nie tylko słaba białogłowa, ale i każdy z silnych mężów, których co dzień miłość zwycięża i hołduje. Pędząc życie swoje wśród dostatków i próżnowania, jako to sami widzicie, ulec namiętności musiałam. Wiem sama najlepiej, że to rzecz sromotna, aliści, jeśli wszystko w tajności pozostanie, zaledwie mój postępek za nieobyczajny poczytać będzie można. Amor był dla mnie tak łaskawy, że nie tylko mi rozumu nie odjął przy wyborze kochanka, ale jeszcze wskazał na was, jako na człeka mojej miłości godnego. Mniemam, że się nie mylę, poczytując was za najurodziwszego, najdworkniejszego i najmądrzejszego rycerza, jakiego w naszym królestwie spotkać można. Ja żywię – rzecz można – bez męża, wy bez żony ostaliście! Błagam was tedy, w imię tak wielkiego afektu mego do was, ulitujcie się nad młodością moją, która zaiste z waszej przyczyny jak lód od ognia topnieje.

Gdy słowa te wyrzekła, łzy rzuciły się do jej oczu z taką siłą, że już nic powiedzieć nie mogła, chocia i chciała jeszcze wiele zaklęć i próśb do grabi obrócić. Skłoniła jeno głowę, jakby zbytciem uczuć zwyciężona, i płacząc osunęła się na piersi Gualtieriego. Grabia, jako rycerz prawy, surowymi słowy zgromił tę jej namiętność bezrozumną, a widząc, że dama chce mu się rzucić na szyję, odepchnął ją i rzekł, iż prędzej da się poćwiartować lub kołem połamać, niż sobie albo komukolwiek na taką zakałę czci swego pana pozwoli.

Księżniczka, usłyszawszy to, zapomniała w jednej chwili o swojej miłości i w porywie pierwszego gniewu dumnie zawołała:

– Mniemasz, że pozwolę z podobną wzgardą moje pragnienia odtrącać? Klnę się, niegodny

rycerzu, który chcesz mojej śmierci, że ja ciebie pierwiej żywota pozbawię.

Rzekłszy te słowa, schwyciła się za włosy, potargała je, a później rozerwała na sobie szaty i jęła krzyczeć z wszystkich sił:

– Na pomoc, na pomoc! Grabia Antwerpii gwałt mi zadać pragnie!

Grabia, obawiając się podłej zawiści dworaków więcej niżli czystego sumienia swego i wiedząc, że oskarżeniom księżniczki łatwiej uwierzą niż jego niewinności, opuścił co żywo komnatę i pałac i uciekł do swego domu. Tam, nie tracąc po próżnicy czasu, dziatki swoje na konia wsadził, sam na siodło wskoczył i pomknął jak wicher w stronę Calais.

Tymczasem na krzyki księżny zbiegła się siła ludzi. Ci, ujrawszy ją w takim nieładzie, nie tylko słowom jej uwierzyli, ale krom tego, przypomniawszy sobie układność, dworność i frantostwo grabi, ku tej myśli przyszyli, że rycerz od dawna już do tego haniebnego celu zmierzał.

Rzucili się więc pełni gniewu na dom Gualtieriego, aby rycerza uwięzić. Nie znalazłszy go, ograbili całą jego majątność i dom z ziemią zrównali. Wieść o tym zdarzeniu doszła w końcu do króla i jego syna pośród wojska. Ci, zapaleni gniewem, skazali grabię wraz z jego potomstwem na wieczne wygnanie i wielką nagrodę przyrzekli temu, kto go dostawi żywym lub umarłym.

Tymczasem Gualtieri, zrozpaczony tym, że z niewinnego, na skutek swej ucieczki, stał się przestępcą, zdążył przebrać się wraz z dziatkami do Calais, nie będąc od nikogo poznany, a wkrótce potem dostał się do Anglii. Wdziawszy na się wielce nędzne szaty, przybył do Londynu. Nim wszedł do miasta, zalecił dzieciom swoim dwie rzeczy, cierpliwość w znoszeniu nędzy i nieszczęść, w które los wraz z nim niewinnie je wtrącił, i tajemnicę najściślejszą przed wszystkimi, skąd pochodzą i kto jest ich rodzicem, jeżeli tylko życie im jest miłe. Syn Gualtieriego liczył zaledwie dziewięć lat; córka, zwana Violantą, nie więcej jak siedem. Mimo tak młodego wieku, dzieci pojęły wybornie pouczenia ojca i dowiodły tego później czynami. Gualtieri postanowił, że lepiej będzie, jeśli dzieciom zmieni imiona, dlatego też przeważał chłopca Perotto⁶⁵, a dziewczynę Giannettą. Przebrawszy się w łachmany podobne do tych, co je żebracy francuscy noszą, weszli do Londynu i o jałmużnę prosić jęli. Pewnego dnia, kiedy trafunkiem znajdowali się w kościele, zdarzyło się, że pewna dama, żona jednego z marszałków króla angielskiego, wychodząc z głównej nawy, ujrzała grabiego i jego dzieci, proszących o wsparcie. Dama spytała go, skąd jest rodem i zali to jego dzieci? Odparł, że pochodzi z Pikardii i że musiał porzucić kraj ojczysty po społu z tymi drobnymi dziećmi z powodu pewnego występnego czynu, jaki popełnił jego najstarszy syn, hultaj niegodziwy. Szlachetna i tkliwa dama popatrzyła na dziewczeczkę, którą wielce wdzięczną i urodziwą znalazła, i rzekła w te słowa:

– Jeżeli się zgodzisz, przyjacielu, wezmę chętnie do siebie tę miłą dziewczeczkę, której dobrze z oczu patrzy. Gdy na uczciwą kobietę wyrośnie, zatroskam się o to, aby w stosownym czasie dobrze za męż ją wydać i wianem obdarzyć.

Grabieniu bardzo te słowa do serca przypadły. Zaraz swą zgodę wyraził i ze łzami polecił córkę łaskom damy. Znalazłszy dobry schron dla Giannetty, postanowił nie pozostawać tu dłużej. Przeszedł całą wyspę o zebranych chlebie, po społu z Perottem, i wreszcie przybył do księstwa Walii, srodze zmęczony, bowiem do chodzenia piechotą nie był nawykły. W księstwie Walii przemieszkiwał drugi marszałek króla, człek wielce bogaty i trzymający na swym dworze liczną służbę. Grabią ze swym synem często na dwór ten zachodził, bowiem nie skąpiono mu tam strawy. Na dziedzińcu zamku bawił się zwykle syn marszałka po społu z synami szlacheiców, biegając, skacząc i inne igraszki czyniąc. Perotto przyjmował nieraz w tych igrach udział, taką zręczność po sobie pokazując, że w każdej sztuce innym był równy albo przed nimi brał przodek. Marszałek, przyglądający się igraszkom dzieci, wielce sobie w zręczności i zachowaniu się chłopca upodobał i zapytał, kim on by był? Odpowiedziano mu, że jest synem nędzarza, który nieraz do zamku po jałmużnę przychodzi.

Marszałek kazał żebrakowi powiedzieć, że rad by był zatrzymać jego syna przy sobie. Grabia, który o nic lepszego Boga prosić nie mógł, zgodził się na to chętnie, chociaż ciężko mu było z synaczką się rozstawać. Po czym, uspokojony o los syna i córki, opuścił Anglię i przebrał się do Irlandii. Przybywszy do miasta Strangford, przystał na służbę do rycerza pewnego grabi za parobka i spełniał najniższe posługi, do jakich są obligowani masztalerze i inni słudzy. Nie będąc od nikogo uznany, w trudach i niewczasach życie pędził. Tymczasem Violanta, Giannetta zwana, żyła u szlachetnej damy w Londynie, wyrastając na mądrą i wielce urodziwą panienkę. Dama, jej mąż i wszyscy, co ją znali, w osobliwym stopniu łaskami i przychylnością swoją ją darzyli. Nie było nikogo, co by pomiarkowawszy jej obyczaje, pozór i dworność nie rzekł, iż godna jest największej szczęśliwości i czci. Dama, która ją od ojca wzięła, wiedziała o nim tylko to, co on jej sam o sobie opowiedział, umyśliła więc wydać ją za mąż godziwie, lecz stosownie do jej niskiej, jak mniemała, kondycji. Aliści Bóg, sprawiedliwy sędzia dzieł ludzkich, wiedział, że szlachetna dziewczeczka niewinnie za cudzy grzech poniżona została, i dlatego całkiem inaczej ustanowił. Szlachetnej panience nie sądzone było wstąpić w stadło z człkiem podłego stanu; to, co się z nią stało, trzeba przypisać szczególnej łasce bożej. Marszałek i jego żona mieli tylko jednego syna, którego czułą miłością darzyli, nie tylko dlatego, że był ich dzieckiem, ale także dla cnót jego, przymiotów, męstwa i urodziwej postaci. Ów młodzian, o sześć lat starszy od Giannetty, wdziękiem i pięknocią jej oczarowany, tak się w niej zakochał, że o żadnej innej myśleć już nie chciał. Ponieważ jednak mniemał, że jest to dziewczeczka niziuchnego stanu, nie miał śmiałości poprosić rodziców o przyzwolenie poślubienia jej, a nawet obawiał się zdradzić ze swym afektem, bowiem myślał, że go osądzą surowic za wybranie tak niegodnego przedmiotu miłości. Skryte płomienie tym większą udrekę mu sprawiały. Z tego poszło, że ciężko zachorzał. Zwołano co najtęższych medyków, aliści ci, jakkolwiek uważnie za objawami niemocy śledzili, przecie żadną miarą wpaść nie mogli na jej właściwą przyczynę i poczęli już o uzdrowieniu wątpić. Rodzice otrocka w tak wielką boleść i melankolię popadli, że większej siły ludzkie przenieść by już nie mogły. Nie raz i nie dwa błagali go, aby im odkrył przyczynę swego cierpienia, on jednak tylko im westchnieniami odpowiadał i mówił, iż czuje swój bliski koniec. Pewnego dnia przy łożu chorego siedział młody, wielce uczony lekarz, trzymając go za rękę i puls mierzając. W tym trakcie do komnaty weszła Giannetta, która o chorego miała troskliwie staranie przez cześć, jaką dla jego matki żywiła. Młodzieniec, ujrawszy ją, nie mówiąc ani słowa i nie zdradzając się żadnym poruszeniem, poczuł, że w sercu jego zwiększają się miłosne płomienie, przez co i puls począł bić silniej niż zazwyczaj. Medyk to zaraz z wielkim zadziwieniem zauważył i w milczeniu ją badał, jak długo trwać będzie to przyśpieszone bicie. Gdy Giannetta wyszła z komnaty, puls osłabł. Wówczas zdało się medykowi, że odkrył prawdziwą przyczynę choroby. Trzymając po dawnemu chorego za rękę, kazał przywołać Giannettę, pod pozorem, że chce ją o coś zapytać. Giannetta zjawiła się nie mieszkając; nim jeszcze przez próg komnaty przestąpiła, już puls z pierwszą mocą bić począł, a później znów po jej wyjściu osłabł. Wówczas medyk, upewniony już co do słuszności swoich podejrzeń, podniósł się i wziąwszy na stronę rodziców, rzekł do nich:

– Uzdrowienie waszego syna nie zależy od kunsztu lekarzy, spoczywa ono w rękach Giannetty, którą młodzieniec miłuje z całej duszy, jak to poznałem z różnych znaków. Ona zasie, jak ze wszystkiego wnosić można, ani się nawet tego domyśla. Jeśli wam życie jego miłe, osądźcie sami, co wam czynić wypada.

Marszałek i jego żona ucieszyli się wielce, ponieważ wiedzieli już, jakiego środka trza użyć, aby syna ocalić. Nie było im jednak po myśli synowi za żonę Giannettę dawać. Po wyjściu lekarza udali się do komnaty chorego.

– Synu mój – rzekła matka – nigdy bym nie uwierzyła, że będziesz mógł ukrywać przede mną jakiegokolwiek z swoich pragnień, a zwłaszcza to, które niespełnionym będąc do takiego cię przywodzi stanu. Mogłeś być przecie pewien, że nie ma na świecie takiej rzeczy, której

bym dla ciebie nie uczyniła jak dla siebie samej, choćby ona i niegodną była. Mimo żeś mi to zataił, Bóg okazał się bardziej litosny dla cię niż ty sam dla siebie, i aby cię od śmierci uchronić, ukazał mi przyczynę niemocy twojej. Wiem, że jest nią zbytek miłości, jaką żywisz do pewnej dziewczynki. Nie trza ci się było wstydzić swego afektu, bez względu na to, kim by twoja wybranka była. Wiek twój miłości się domaga i powiem ci nawet, że gdybyś nie miłował, gorsze mniemanie bym o tobie miała. Zatem nie sromaj się przede mną, mój synu, jeno szczerze wszystkie pragnienia swoje mi odkryj. Zbądź się melankolii i tej myśli przykrej, co niemoc twoją powoduje, nabierz otuchy i pamiętaj, że nie ma na świecie nic takiego, czego bym dla cię nie uczyniła, bowiem miłuję cię bardziej niż życie własne. Porzuć więc wstyd fałszywy i strach i rzeknij mi, jak i czym mogę ci w twojej miłości dopomóc? Jeżeli obaczysz, że nie uczynię wszystkiego, co w mojej mocy leży, i że do pomyślnego skutku rzeczy nie przywiędę, będziesz mógł mnie nazwać najokrutniejszą matką, jaka kiedykolwiek dzieci na świat wydała.

Młodzieniec, usłyszawszy słowa matki, najpierw się ze wstydu zarumienił, lecz później pomyślawszy, że nikt skuteczniej od niej w tej sprawie mu nie pomoże, przemógł wstyd i rzekł:

– Jeśli, droga matko, do tych pór moją miłość skrywałem, to przyczyną tego było, iż patrząc na wielu ludzi to przeświadczenie wyniosłem, iż gdy człowiek do sędziwego wieku przychodzi, nie chce wspominać o tym, że i sam był kiedyś młodym. Aliści, widząc po waszych słowach, że jesteście pełni wyrozumienia, nie tylko nie będę przeczył temu, czego się domyślacie, lecz i szczerze wam wszystko wyznam pod warunkiem, że zdziałacie wszystko, aby swoją obietnicę, o ile to w mocy waszej, wypełnić tak, abym wrychle do zdrowia mógł powrócić.

Dama (która zamyśliwszy już coś, zbyt wierzyla w uskutecznienie swoich zamysłów, chocia nie sążone im było spełnić się w takiej właśnie postaci) ponowiła swoje zaręczenia, prosząc, aby uwiadomił ją o swoich pragnieniach, i przyrzekając, że bez odwłoki całą sprawę uładzi, zgodnie z jego życzeniem.

– Do tego stanu, w jakim mnie teraz widzicie – rzekł młodzieniec – dowiodła mnie nie-szczęśliwa miłość do Giannetty. Jej piękność, obyczajność i nieśmiałość, co mi nie tylko li-czyć na jej wzajemność, ale afektów swych wyznać nie dozwalała, a także obawa zdradzenia się z nią miłością przed kimkolwiek – oto, co mnie w niemoc wtrąciło. Jeśli się wam nie uda dopełnić w tej czy innej postaci tego, coście mi obiecali, bądźcie pewni, że nie będę żył już długo.

Matka widząc, że teraz nie czas gromić syna, przeciwnie, że raczej otuchy dodawać mu należy, odparła z uśmiechem:

– Czyż trza było, mój synu, dla tej przyczyny aż w chorobę popadać? Bądź teraz cierpliwy, pozwól mi działać, a obaczysz, że do zdrowia powrócisz.

Młodzieniec, pełen nadziei, zaczął wkrótce do sił przychodzić; matka, wielce tym urado-wana, myślała tylko nad tym, jakby spełnić daną mu obietnicę.

Pewnego dnia przywołała Giannettę i łaskawymi a żartobliwymi słowy wypytywać ją jeła, zali ma jakiego miłośnika? Giannetta pokraśniała od wstydu i rzekła:

– Niestosowna to rzecz myśleć o miłości, gdy się jest biedną dziewczyną, wygnaną z domu i żyjącą z łaski obcych ludzi, tak jak ja.

– Jeśli kochanka nie masz – odparła dama – to my ci go znajdziemy. Będziesz z nim żyła szczęśliwie, ciesząc się swoją pięknnością. Nie przystoi przecie tak urodziwej dziewczeczce bez miłośnika ostawać.

– Szlachetna pani – rzecze Giannetta – wzięwszy mnie od ojca-nędzarza, wychowywali-ście mnie jak córkę rodzoną; za to gotowa jestem być wam posłuszną we wszystkim, w tym tylko jednym nie mogę się przecie poddać waszej woli i mniemam, że dobrze tak czynię. Jeśli się wam podoba dać mi męża, jego tylko miłować będę. Z dziedzictwa przodków moich nic

mi nie pozostało krom czci, której strzec i chronić będę do końca dni moich.

Odpowiedź panienki była na wszem przeciwna życzeniom damy, która chciała dopełnić obietnicy, danej synowi, i choć w głębi serca, jako wielce cnotliwa białogłowa, rację Giannette przyznać musiała, przecie jeszcze na niej próbowała zgodę wymóc:

– Jak to, Giannetto – rzekła – a gdyby tak sam król, który jest młodym rycerzem, pragnął się cieszyć twoją miłością, zaliżbyś mu odmówiła?

– Król mógłby mi gwałt zadać – odparła Giannetta – ale mego przyzwolenia nigdy nie otrzymałby na nic, co by cnocie przeciwne było.

Dama, poznawszy jej niezachwiane przedsięwzięcie i wiedząc, że słowami nic nie wskóra, postanowiła ją wystawić na próbę. Rzekła synowi, że skoro do zdrowia powróci, pomieści z nim Giannettę w jednej komnacie, niechajże wówczas sam stara się ją k' temu przywieść, aby powolna mu była, bowiem jej, matce, nie przystoi roli rajfurki odgrywać, namawiając i prosząc dziewczę, aby go względami swymi obdarzyła.

Syn jednak żadną miarą na to zgodzić się nie chciał. Stan jego zdrowia z dnia na dzień znów się pogarszać począł. Dama, spostrzegłszy to, jawnie i szczerze wszystko Giannette powiedziała, aliści ta jeszcze bardziej nieustępliwą się okazała. Wówczas oznajmiła o wszystkim mężowi. Chocia im i ciężko to przyszło, postanowili dać synowi Giannettę za żonę, bowiem woleli widzieć syna żywego z nierówną mu stanem żoną niżli go bez żony na marach oglądać. Tak też i uczynili. Giannetta, wielce uszczęśliwiona, gorące dzięki Bogu złożyła za to, że nie zapomniał o niej. Nie zdradziła jednakże prawdziwego pochodzenia swego i dalej za córkę Pikardczyka uchodziła.

Młodzieniec wkrótce do zdrowia przyszedł, a po zawarciu ślubu z radością najżywszą jął używać bez przeszkód dozwolonych rozkoszy.

Perotto, który w księstwie Walii na dworze marszałka króla angielskiego pozostał, wyrósł na dzielnego młodzieńca. Z każdym dniem zyskiwał coraz większą łaskę u pana swego. Nie było na całej wyspie nikogo, co by mógł mu sprostać na turniejach, w robieniu bronią i w innych rycerskich ćwiczeniach. Dlatego też powszędy jako Perotto–Pikardczyk zasłynął. Bóg, który o jego siostrze nie zapomniał, i o nim także pomyślał. Gdy w Anglii wybuchł mór, niemal połowa mieszkańców życie utraciła, nie mówiąc już o tym, że wielu z tych, co przy życiu ostali, salwowało się ze strachu ucieczką do innych krajów – dzięki czemu cała wyspa sprawiała wrażenie opustoszałej. W czasie zarazy umarł opiekun Perotta, marszałek, zeszedł także z tego świata: jego syn, żona, bracia, siostrzeńcy i inni krewniacy. Ocalała tylko jedna córka marszałka, już dorosła, oraz Perotto. Gdy mór srożyć się przestał, dziewczeczka poszła za męża za Perotta. Wiedziała, że jest on człowiekiem rozumnym i szlachetnym, i dlatego też, idąc za radą nielicznych sąsiadów, pozostałych przy życiu, wybrała go sobie na męża i uczyniła go panem majątności, które jej w dziedzictwie przypadły. Król angielski, uwiadomiony o śmierci marszałka i o szczególnych przymiotach Pikardczyka–Perotta, następcą zmarłego, czyli marszałkiem go mianował.

Taki był szczęśliwy los dwojga niewinnych dzieci grabiego Antwerpii, które był on porzucił jakby na pewną zgubę.

Minęło już osiemnaście lat od chwili, gdy grabia Antwerpii uszedł z Paryża. Gualtieri, żyjąc jak nędzarz przez ten cały czas w Irlandii i siłą przeciwności znosząc, wielce się zestarzał. Pragnął dowiedzieć się, co się z jego dziećmi stało, zwłaszcza że nie obawiał się już być poznany; pozór jego był już całkiem od dawnego jego wyglądu odmienny, a dzięki nieustawnym ciężkim trudom grabia czuł się krzepszym niż dawniej, gdy to żył pośród wygod i wczasów. Pożegnawszy się z Irlandczykiem, u którego przez tak długi czas przebywał, udał się, w nędzne przyodziany szaty, do tego miasta w Anglii, gdzie Perotta pozostawił. Dowiedziawszy się, że Perotto został marszałkiem i wielkim panem, i ujrawszy go w dobrym zdrowiu, pięknym i silnym, wielkiej radości doznał, aliści nie chciał dać się poznać synowi do tego czasu, póki nie uzna, gdzie się Giannetta znajduje. Znowu tedy w drogę wyruszył i do Londynu

przybył. Tutaj, zasięgnąwszy ostrożnie wiadomości o damie, której córkę swą powierzył, za-
słyszał, że Giannetta wyszła za męża za jej syna. Na wieść o tym tak niewymowną pociechę
uczul, że wszystkie dawne przeciwności małymi mu się być wydały; znalazł bowiem swoje
dzieci przy życiu, zdrowe i szczęśliwe. Żądny obaczenia córki, jał krążyć jako żebrak w po-
bliżu jej domu. Pewnego dnia Giachetto Lamien (tak się zwał mąż Giannetty), ujrawszy
starca-nędzara wielką litość do niego poczul, i dlatego przykazał słudze do domu go spro-
wadzić i nakarmić go w imię miłości Chrystusa. Sługa chętnie woł swego pana wypełnił.
Giannetta obdarzyła już męża kilkorgiem dzieci, z których najstarsze ósmy rok życia liczyło.
Były to najpiękniejsze i najmilsze dziatki na świecie. Obaczywszy starego grabię, w czasie
gdy ten jadł wieczerzę, okrążyły go i jeły się z nim witać czule, tak jakby tajnym przecuciem
wiedzione odgadły, że jest on ich dziadem. Grabia, wiedząc, że dziatki są jego wnuczętami,
hołubił je i tulił, w czym dzieci tak sobie upodobały, że mimo wołania swego preceptora
odejść od niego nie chciały.

Giannetta, wołania te usłyszawszy, wyszła z komnaty i zagroziła dzieciom, że je ukarze, jeśli
swego preceptora słuchać nie będą. Dziaatki rzekły z płaczem, że chcą ostać ze staruszkim, który
ich bardziej miłuje niż preceptor, co usłyszawszy Giannetta i grabia serdecznie się uśmieli.

Grabia podniósł się i pozdrowił panią domu, nie jak ojciec swoją córkę rodzoną, lecz jak
żebrak bogatą damę. Na widok Giannetty wielką radość z głębi serca uczul, aliści ona nie
poznała go wcale, bowiem do tego stopnia pozór jego się odmienił. Ów brodaty, chudy, siwy,
o ciemnej barwie oblicza starzec podobniejszy był do każdego innego na świecie człowieka
niżli do grabiego Antwerpji.

Giannetta, widząc, że dzieci nie chcą odejść od starca i że uderzają w płacz, gdy się je chce
siłą zabrać, rzekła preceptorowi, aby je na chwilę w spokoju zostawił. Wkrótce potem wszedł
do komnaty ojciec Giachetta, któremu preceptor całą historię opowiedział.

Rodzic Giachetta, będąc niechętny Giannetcie, rzekł:

– Ostawcie ich złemu losowi, jaki Bóg im przeznaczył. Są takimi, jakimi być powinny,
zgodnie ze swym pochodzeniem. Matka ich jest córką włóczęgi i nędzara, cóż zatem dziw-
nego, że lgną do żebraka?

Słowa te boleśnie zraniły grabiego. Jednocześnie, zwróciwszy ramiona, zniósł w milczeniu tę
obelgę, jako i wiele innych zniewag w przeszłości znosił.

Mąż Giannetty, Giachetto, obaczył, z jaką przychylnością dzieci starca przyjmują; chocia
niezbyt mu to miłym było, przecie tak je miłował, że chcąc im łez oszczędzić rozkazał, aby
starzec w jego domu pozostał, jeśli tylko do jakiej roboty się nadać będzie mógł. Starzec od-
parł, że pozostałby chętnie, jednakże nie zna się na niczym, jak tylko na obejściu z końmi,
czym przez całe życie swoje się zajmował. Oddano mu zatem pod dozór jednego konia; cały
wolny czas na zabawach z dziećmi spędzał. W czasie gdy los takimi drogami wiódł grabiego
Antwerpji i jego dzieci, król francuski, który długi rozejm z Niemcami ustanowił, zszedł z
tego świata. Na tron wstąpił jego syn, przez którego małżonkę grabia wygnany został. Gdy
tylko czas zawieszenia broni upłynął, król francuski okrutną wojnę z Niemcami rozpoczął.
Angielski król, będący od niedawna jego krewniakiem, przysłał mu na pomoc liczne swoje
wojska pod dowództwem marszałka Perotta i syna marszałka, Giachetta Lamien. Po społu z
tym ostatnim ruszył na wojnę dzielny starzec, to jest grabia Antwerpji. Służył on przez długi
czas przy armii jako masztalerz, nie będąc od nikogo poznany. Jako człek mądry i wielką
eksperyencję w rzeczach wojennych mający, radami swymi i czynami więcej pożytku przyno-
sił, niżby się tego po nim ktokolwiek spodziewać mógł. Zdarzyło się, że w czasie wojny kró-
lowa Francji ciężko zaniemogła. Widząc się bliską zgonu, wyrzutami sumienia nękana, wy-
spowiadała się szczerze ze wszystkich grzechów arcybiskupowi z Rouen, znanemu po-
wszechnie z pobożności i zacności. Wyznała mu także ciężką krzywdę, jaką wyrządziła gra-
biemu Antwerpji. Cały przebieg tej sprawy opowiedziała nie tylko jemu, ale i wielu przytom-
nym, prosząc ich, aby wymogli na królu, by przywrócił grabiego, jeśli ten jeszcze żyje, do

dawnych praw i godności, jeżeli zaś umarł, to aby dziedzictwo na jego dzieci przeszło.

Wkrótce potem królowa zeszła z tego świata i z należną czcią pogrzebana została.

Gdy król o tej spowiedzi żony swojej usłyszał, srogi żal uczul z powodu krzywdy wyrządzonej tak szlachetnemu człowiekowi i rozkazał natychmiast w całej armii i po całym kraju obwołać, że kto mu da najmniejsze uwiadomienie o grabi lub o jego dzieciach, sowitą nagrodą obdarzony zostanie, bowiem, jak to królowa na łożu śmierci wyznała, Gualtieri nie winien jest występku, za który na wygnanie skazany został. Król postanowił zatem do pierwotnego go stanu przywrócić. Grabia, służący za prostego masztelarza, usłyszawszy o obwieszczeniu i wiedząc, że zgodne to jest z prawdą, udał się zaraz, do Giachetta i poprosił go, aby z nim razem do Perotta się udał, chce im bowiem pokazać to, czego król szuka.

Gdy się zeszli we trzech, grabia, który już pragnął prawdziwe imię swe odkryć, rzekł:

– Perotto, przytomny tutaj Giachetto pojął za żonę twoją siostrę, aczkolwiek żadnego wiana nie miała. Aby jednak siostra twoja nie była bez wiana, pragnę, by on, a nie kto inny, otrzymał tę znaczną nagrodę, jaką król obiecał za otrzymane o tobie wieści. Niechaj oznajmi, że jesteś synem grabiego Antwerpii, że jego żoną jest twoja siostra, Violanta, i że ja wreszcie jestem waszym ojcem, grabią Antwerpii.

Perotto, usłyszawszy to i bacznie na starca spojrzawszy, poznał w nim swego rodzica. Rzucił mu się do nóg z płaczem, a potem objąwszy go rzekł:

– Niech będzie po tysiąc razy błogosławiona ta chwila, w której powróciłeś do nas, mój ojczel!

Giachetto na słowa grabi i na postępek Perotta tak osłupiał i tak się uradował, że w pierwszej chwili nie wiedział, co mu uczynić należy. Jednakże nie wątpiąc, że wszystko jest prawdą rzetelną, zawstydział się za swe słowa niesprawiedliwe, z jakimi nieraz do swego masztalarza się obracał, i padł mu również ze łzami do stóp, błagając go o przebaczenie za wszelkie urazy.

Grabia, podniósłszy go, dobrotliwie mu wybaczył. Długo we trzech gawędzili, ze łzami przeszłość wspominając i z teraźniejszego szczęścia się ciesząc. Giachetto i Perotto pragnęli, aby grabia zaraz w stosowne szaty się przebrał, ale Gualtieri żadną miarą na to przystać nie chciał. Domagał się, aby Giachetto pierwiej obiecaną nagrodę otrzymał i aby zaprowadził go przed króla w tym samym nędznym odzieniu, dla tym większego zawstydzienia władcy. Giachetto w towarzystwie grabi i Perotta stanął przed obliczeni króla i oznajmił, że przedstawi mu grabiego i jego dzieci, jeśli tylko nagrodaznaczona go nie minie. Król natychmiast kazał przynieść podarki, których świetność zdumieniem obecnych przejęła, i polecił wręczyć mu je, gdy tylko upragnionej wiadomości udzieli. Wówczas Giachetto obrócił się i wysunąwszy przed króla swego masztelarza i Perotta rzekł:

– Oto, Wasza Królewska Mość, ojciec i syn; córki, która jest moją małżonką, nie masz tutaj, ale jeśli Bóg pozwoli, i ją wkrótce obaczycie.

Król, słowa te usłyszawszy, spojrział na Gualtieriego, a chociaż ten wielce się zmienił, przecie poznał go wreszcie. Ze łzami w oczach podniósł grabiego z klęczek, ucałował go i uściaskał, Perotta zaś z równą łaskawością przyjął.

Później rozkazał, aby grabiemu dano przystojne szaty, zbroję, rumaka i poczet sług. Rozkaz ten w mgnieniu oka wypełniono. Krom tego wiele uprzejmości Giachettowi okazał i wypytał się go o całą jego przeszłość.

Gdy Giachetto otrzymał podarki za wskazanie grabiego i jego dzieci, grabia rzekł:

– Weź te dary od szcudrego króla naszego i nie zapomnij rzec swemu ojcu, że dzieci twoje, moje i jego wnuczeta, nie pochodzą ze strony matki od żebraków i włóczągów.

Giachetto wziął dary i wezwał do Paryża żonę swoją i matkę. Przybyła tam także żona Perotta. Dłuższy czas przebywali w Paryżu, ciesząc się wielce ze swego szczęścia razem z grabią, którego król do dawnych majątności przywrócił i do znaczniejszych jeszcze godności niż dawniej go podniósł.

Później wszyscy do domów swoich powrócili. Grabia żył w Paryżu aż do dnia swojej śmierci powszechną czcią otoczony.»⁶⁶

Opowieść dziewiąta



NIESZCZĘCIA POCZCIWEJ BIAŁOGŁOWY

Bernabo z Genui, przez Ambrogiuola oszukany, traci fortunę i rozkazuje zabić niewinną żonę swoją. Ta salwuje się ucieczką i przebrana za mężczyznę, służy u sultana. Znajdują wreszcie oszusta i Bernaba do Aleksandrii sprowadza, gdzie Ambrogiuolo stosowną karę ponosi, a potem wraz z mężem, ubiór kobiecy znów przybrawszy, do Genui z bogactwy powraca.

Skoro Eliza tą wzruszającą opowieścią z obowiązku swego się wywiązała, podniosła się królowa Filomena, piękna i słusznego wzrostu białogłowa, mająca w rysach oblicza osobliwego wdzięku wyraz, i po chwili milczenia rzekła wesołym głosem:

– Należy przestrzegać umowy z Dioneo; tylko my dwoje mamy jeszcze opowiadać. Najpierw ja swoją historię opowiem, a Dioneo niech na koniec swoją ostawi. Sam o to bowiem, jak o szczególną łaskę, prosił.

Nieraz lud powtarza to przysłowie, że kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Trudno by było dowieść, że te słowa są prawdą rzetelną, gdyby nie potwierdzały jej zdarzenia i przypadki życiowe. Owóż, idąc za postanowieniem naszym, mam możność pokazać wam, miłe damy, że ludzie prawdę powiadają, chcę także opowieścią tą nauczyć was ostrożności wobec oszustów.

«W pewnej gospodzie w Paryżu zebrali się kilku zamożnych kupców włoskich, przybyłych do tego miasta dla różnych spraw.

Pewnego dnia, po wesoło spożytej wieczerzy, gawędzili o tym i o owym. Z jednego przedmiotu rozmowy na drugi przechodząc, jęli wreszcie mówić o swoich żonach, które w domu pozostały. Jeden z nich rzekł:

– Nie wiem, wierę, co moja żona teraz robi, to jeno wiem dobrze, że ja, gdy mi wpada w ręce jakaś urodziwa dziewczeczka, pozostawiam na stronie miłość, jaką żonie winienem, i używam rozkoszy z tą, która mi ją daje.

– Ja także tak czynię – rzekł drugi. – Czy będę, czyli też nie będę myślał o tym, czy moja żona przyjemności zażywa, czy jej będę ufał, czy też nie, na jedno to wyjdzie, bowiem, jeśli zechce, i tak jej na wodzy nie utrzymam. Lepiej tedy z góry pięknym za nadobne odplacić.

Trzeci był podobnego zdania. Słowem, wszyscy przytomni zgodzili się na to, że ich żony nie marnują po próżnicy pięknej pory, kiedy same w domu pozostają. Tylko jeden z biesiad-

ników, Bernabo Lomellin⁶⁷ z Genui, inaczej twierdził, zaręczając, że z łaski boskiej ma żonę uraczoną wszystkimi zaletami, jakie nie tylko białogłowie, ale i rycerzowi albo giermkowi przystoją. Drugiej takiej białogłowy w całych Włoszech nie znaleźć!

Nie tylko bowiem młoda jest jeszcze, piękna, silna i zręczna, ale i bieglejsza we wszystkich robotach białogłowskich, jak w wyszywaniu jedwabiem i innych zajęciach, od wszystkich swoich towarzyszek. Twierdził przy tym, że żaden giermek ani inny sługa lepiej od niej przy stole nie usłuży, jest bowiem wielce obyczajną, przezorną i roztrofną. Wychwalał w niej także i to, że umie konia dosiadać i sokoła pięknie trzymać; pisać, czytać i rachować zasię potrafi lepiej niż niejeden kupiec. Po złożeniu jej tych pochwał powrócił do przedmiotu poprzedniej rozmowy i przysiągł, że nie masz bardziej cnotliwej i obyczajniejszej od niej białogłowy. Dodał, że jest upewniony, iż gdyby nawet przez dziesięć lat albo i dłużej poza domem przebywał, ona nigdy by sobie na żadne plugastwo z obcym mężczyzną nie pozwoliła.

Pośród biesiadników znajdował się także młody kupiec, zwany Ambrogiuolo z Piacenzy⁶⁸, który usłyszawszy ostatnią pochwałę, jaką Lomellin żonie swej oddał, wybuchnął głośnym śmiechem i drwiąco go zapytał, zali od cesarza otrzymał ten przywilej, którym na świecie nikt krom niego cieszyć się nie może. Na to Bernabo odparł z niejakim pomieszaniem, że łaski tej udzielił mu nie cesarz, lecz Bóg, którego moc trochę jest większa.

– Nie wątpię, Bernabo – odparł Ambrogiuolo – że wierzysz w to, co mówisz, jednakże, według mego mniemania, niewiele się znasz na prawdziwym rzeczy przyrodzeniu. Gdybyś się był bowiem w te sprawy lepiej zagłębił, to nie będąc człkiem głupim wiele byś ważkich spostrzeżeń uczynił, które by ci kazały z większą ostrożnością o tej materii mówić. Abyś zaś się nie pomyślał, że my, cośmy tak długo tutaj rozprawiali, jakieś osobne żonki mamy, nie takiej jak twoja natury, i że gadamy tak, nie wiedząc nic o przyrodzeniu rzeczy, chcę pomówić z tobą o tym szczegółowie. Zawždy się słyszy, że mężczyzna jest najszlachetniejszym ze stworzeń boskich, po nim zasię zaraz kobieta idzie. Mężczyzna, wedle powszechnego zdania, potwierzonego biegiem rzeczy, jest doskonalszy od białogłowy, a zatem winien niechybnie posiadać więcej charakteru i stałości. Kobiety są bardziej zmienne, jak tego dowodzą różne przykłady, których teraz wyliczać nie będę. Jeżeli zaś mężczyzna, o wiele od kobiety silniejszy, nie może oprzeć się białogłowie nie tylko wówczas, gdy ona go kusi, ale i wtedy gdy sam jej pragnie i gdy czyni wszystko, co w jego mocy leży, aby przedmiotem swych pragnień owładnąć (wierę, zdarza mu się to nie raz na miesiąc, lecz tysiąc razy na dzień), to zali sądzisz, że kobieta, z przyrodzenia swego od mężczyzny słabsza, nie ulegnie prośbom, pochlebstwu, podarkom i stu innym pokusom, do których pomocy przymyka miłujący ją a mądry mężczyzna? Myślisz, że oprzeć się zdoła? Nie wierzę, wbrew twemu twierdzeniu, aby twoje przekonanie takie właśnie być miało. Sam rzekłeś przecie, że twoja żona jest kobietą z krwi i ciała, tak jak i inne białogłowy. Jeśli tak jest, to winna mieć te same pragnienia i równie mało siły, aby się im oprzeć. Choćby i była cnotliwszą od innych, jednak jest rzeczą możliwą, że uczyni to, co inne czynią. Żadnej zaś rzeczy możliwej nie należy przeczyć tak stanowczo, jak ty to czynisz, twierdząc coś wręcz przeciwnego. Na to Bernabo odparł:

– Jestem kupcem, a nie filozofem, i dlatego odpowiem ci po kupiecku. Wszystko to, o czym mówisz, przydarzyć się może białogłowom głupim, które ani wstydu, ani sumienia nie mają. Kobiety mądre bacznie czci swojej strzegą i w większej mają ją cenie niżli mężczyźni, którzy o nią mało się troskają. Do takich właśnie białogłów moja żona się zalicza.

– Zaiste – odparł Ambrogiuolo – gdyby za każdym pofolgowaniem swej chuci wyrastał białogłowie róg na czole, na świadectwo tego, co uczyniła, to wówczas zgodziłbym się z tobą, że niewiele by ich grzeszyło. Nie tylko im jednak rogi nie wyrastają, lecz i wszystkie ślady występku giną, gdy tylko kobiety mądrze biorą się do rzeczy. Wstyd i honoru szwanki powstają zaś tylko wówczas, gdy sprawa jawną się staje. Dlatego też czynią wszystko w ukryciu, a tylko głupie o tajemnicę nie dbają. Miej to za pewne, że tylko ta jest nieskalana, której nikt nie zapragnął, albo też ta, która pragnąc wzdargą nakarmiona została. Chocia wszystko to

jest prawdą wynikającą z przyrodzonego rzeczy porządku, przecie bym sądu mego o tym tak twardo nie wyrażał, gdybym sam już wielu kobiet na próbę nie wystawiał. Powiem ci wprost, że gdybym się znalazł w bliskości twojej świętej małżonki, w krótkim czasie, jak mniemam, przywiódłbym ją do tego, do czego już siła innych doprowadziłem.

– Wszystkie te spory i dysputy – odparł rozdrażniony Bernabo – tylko czas po próznicy nam zabierają. Ja będę mówił jedno, ty – drugie i nic z tego nie wyjdzie. Skoro jednak przekonany jesteś, że wszystkie białogłowy są tak ustępliwe, i skoro tak się chełpisz umiejętnością poczynania sobie z nimi, to ażeby cię wywieść z błędu co do mojej żony, oświadczam, iż dam sobie głowę uciąć, jeśli ci się uda ją do swojej woli nagiąć. Jeśli zaś porażkę poniesiesz, zadowolnię się tym, że mi zapłacisz tysiąc złotych florenów.

– Bernabo – rzekł Ambrogiuolo, już sporem zapalony – gdy zakład wygram, nic mi po krwi twojej. Jeśli jednak masz ochotę obaczyć dowód prawdziwości twierdzeń moich, to postaw przeciwko memu tysiącowi pięć tysięcy. To przecie mniej, aniżeli warta twoja głowa. Chocia mi żadnego czasu nie oznaczasz, obowiązuję się pojechać do Genui i w ciągu trzech miesięcy od dnia wyjazdu z Paryża uwieść twoją żonę. Na dowód, że mi się to udało, przywiozę z sobą jej ulubione przedmioty i tyle okoliczności przytoczę, że nijakiej wątpliwości już nie będziesz mógł żywić. Musisz mi tylko dać przyrzeczenie, że przez te trzy miesiące nie pokażesz się w Genui i że o tej sprawie jednego słowa do żony swej nie napiszesz.

Bernabo zgodził się ochotnie, chocia inni kupcy, w gospodzie przytomni, chcieli do zakładu tego nie dopuścić, przeczuwając, że wielkie zło z tego wyniknąć może. Obaj przeciwnicy tak się zapalili, że wbrew przełożeniom i radom towarzyszy spisali własnoręcznie umowę, co ich wzajemnie obligowała. Gdy umowa już zawarta została, Bernabo pozostał w Paryżu, a Ambrogiuolo, nie tracąc czasu, nieodwłocznie do Genui się udał. Przebywszy tam kilka dni i zasiągnąwszy języka o obyczajach żony Bernaba i o tym, gdzie przemieszkuje, usłyszał o niej jeszcze więcej dobrego niż z ust samego męża. Wówczas pojął, że wdał się w trudną sprawę. Jednakże, spotkawszy pewną ubogą kobietę, odwiedzającą często dom żony Bernaba i dobrze od niej widzianą, postanowił nie ustępować z placu.

Przekupił kobietę, ale tylko tego się dobił, że służka zgodziła się wnieść go w skrzyni umyślnie sporządzonej nie tylko do domu, lecz i do sypialnej komnaty cnotliwej damy. Służka uprosiła żonę Bernaba o przechowanie tej skrzyni przez kilka dni, dopóki z rzekomej podróży nie wróci. Skrzynia ostała w komnacie.

Około północy Ambrogiuolo, przekonany, że dama śpi już twardym snem, otworzył wieko wziętymi uprzednio narzędziami i chyłkiem wyszedł ze skrzyni do komnaty, w której ogarek płonął. Zważył dobrze wielkość komnaty, malowania na ścianach i różne przedmioty, wbijając sobie w pamięć wszystko, co było godniejsze uwagi. Potem zbliżył się do łoża, a obaczywszy, że dama wraz z małą dziewczeczką, którą miała przy sobie, śpi krzepkim snem, ostrożnie odkrył ją całą i ujrzał, że naga równie jest piękna jak i w ubraniu. Nie mógł jednak dostrzec jakiegoś osobnego znaku, krom znamienia pod lewą piersią, otoczonego złotymi włoskami. Później nakrył ją znów ostrożnie, hamując w sobie żądzę, którą rozgorzał na widok jej pięknego ciała. Niewiele już brakowało, aby legł obok niej, życiem swoim azardując. Nie odważył się jednak uczynić tego, wiedział bowiem, że jest sroga i nieprzystępna. Większą część nocy na myszkowaniu po komnacie spędził. Z otwartej szafy wziął sakiewkę, pierścionki, kilka pasów i szatkę zwierzchnią i wszystko to w skrzyni swojej umieścił. Później zamknął szczelnie wieko i przebył w skrzyni jeszcze dwie noce, nie wzbudzając najmniejszego podejrzenia w damie.

Trzeciego dnia, zgodnie z ustanowieniem, niewiasta powróciła po swoją skrzynię i zaniósła ją tam, skąd ją wzięła. Ambrogiuolo wylazł ze skrzyni i zapłaciwszy kobiecie umówioną sumę powrócił pośpiesznie do Paryża ze zrabowanymi przedmiotami, nim jeszcze czasznaczony upłynął. Zwołał wszystkich kupców, którzy byli świadkami zakładu, i w ich oraz Bernaba przytomności oznajmił, że zakład wygrał, bowiem dokonał tego, co obiecał. Na do-

wód, że prawdę gada, opisał najpierw wygląd komnaty i malowania w niej się znajdujące, a później pokazał przedmioty, które rzekomo od damy w podarunku otrzymał. Bernabo musiał przyznać, że opis komnaty zupełnie z prawdą się zgadza i że przedstawione przedmioty w istocie własność jego żony stanowiły; zauważył jednak, że Ambrogiuolo mógł się dowiedzieć o wyglądzie komnaty od sług, a także w podobny sposób rzeczy te otrzymać. Jeśli zatem innych dowodów nie przedłoży, to jeszcze nie jest rzeczona, aby zakład wygrał. Na to Ambrogiuolo odparł:

– Powinno, dalibóg, ci to wystarczyć, aliści jeśli chcesz więcej się jeszcze dowiedzieć, to ci rzeknę, że pani Ginevra, twoja żona, ma pod lewą piersią dość duże przyrodzone znamię, pokryte sześcioma jasnymi jak złoto włoskami.

Słowa te ugodziły jak nóż w serce Bernaba. Zmienił się na obliczu i chociaż ani jednego słowa nie pisał, przecie wszyscy poznali, że Ambrogiuolo prawdę powiedział. Po chwili milczenia rzekł:

– Prawdą jest wszystko, co Ambrogiuolo powiedział. Ponieważ zakład wygrał, niechaj jutro tutaj się zjawi, aby pieniądze otrzymać.

Nazajutrz Bernabo wypłacił Ambrogiuolowi całą należność. Bernabo, pełen gniewu i złości na żonę, wyjechał z Paryża i do Genui się udał. Nie dojechał jednak do miasta, lecz zatrzymawszy się w jednej ze swych majątności o dwadzieścia mil od grodu, wyprawił tam swego zaufanego sługę z dwoma końmi i listem do żony, w którym donosił o swoim przybyciu i prosił ją, aby wraz ze sługą do niego się udała. Słudze zaś wydał sekretny rozkaz, aby po drodze, w miejscu, które mu się najbardziej stosowne wyda, bez żadnej litości madonnę Ginevrę zamordował, a potem do niego powrócił. Wysłaniec przybył do Genui, wywiązał się ze swych zleceń, oddał pismo i został przyjęty z wielką radością przez damę, która nazajutrz siadła na koń i razem z sługą wyprawiła się w drogę. Jechali zabawiając się rozmową o różnych rzeczach i w końcu przybyli do głębokiej, odludnej doliny, otoczonej skałami i drzewami. Sługa, uważając, że jest to miejsce najstosowniejsze do wypełnienia rozkazu jego pana, wy dobył sztylet, schwycił damę za rękę i rzekł:

– Polećcie Bogu duszę swoją, pani! Tutaj bowiem umrzeć musicie!

Dama, ujrawszy sztylet i słowa te usłyszawszy, zawołała wielce zestrachana:

– Wielki Boże! Powiedz, za co mnie chcesz życia pozbawić? Cóż złego ci uczyniłam?

– Pani – rzekł sługa – nie wyrządziliście mi najmniejszej krzywdy, musieliście jednak srodcie obrazić waszego męża, skoro polecił mi on, abym was na tej drodze bezlitośnie zamordował. Zagroził mi, że jeśli tego nie uczynię, każe mnie powiesić. Wiem przecie, ile mu winienem; nie mogę przeto nie wypełnić jego woli. Bóg widzi, że mi was żal, ale nic innego uczynić mi nie pozostaje.

– Ulitujcie się nade mną w imię miłości Boga – zawołała dama płacząc rzewliwie – chcąc dogodzić swemu panu, nie staraj się być zabójcą człowieka, który nic złego ci nie uczynił. Bóg wszechmocny wie, że przeciw małżonkowi swemu w niczym nie zgrzeszyłam i że ta kara ciężka bez winy mojej na mnie spada. Ale nie mówmy o tym teraz. W twojej mocy leży, jeśli tylko będziesz tego chciał, zadowolnić twego pana, a Bogu i mnie jednocześnie dobro wyświadczyć. Weź moje suknie, daj mi tylko swój kaftan i płaszcz, a potem powróć do swego pana i powiedz mu, żeś mnie zabił. Przysięgam ci na to życie, które mi ocalisz, że oddalę się stąd na zawsze i że o mnie nigdy wieści do tych stron nie dotrą.

Sługa, który wcale nie miał chęci zabijać, łatwo dał się zmiękczyć. Wziął od Ginevry szaty, wręczył jej swój kaftan i płaszcz, ostawił jej pieniądze, które przy sobie miała, zaklinając ją kilkakrotnie, aby jak najprędzej z tych stron się oddaliła. Potem, zostawiwszy ją w wąwozie, powrócił do swego pana i rzekł mu, że nie tylko rozkaz jego wypełnił, ale sam na własne oczy widział, jak wilki ciało Ginevry rozszarpały.

Po jakimś czasie Bernabo powrócił do Genui. Gdy sprawa jawną się stała, wszyscy złorzeczyć mu jęli.

Tymczasem pani Ginevra ostała sama ze swym nieszczęściem. Gdy noc nastąpiła, odmienniejszy, jak mogła najlepiej, swój pozór, schroniła się do chaty, znajdującej się w pobliżu. Otrzymała tutaj od pewnej staruszki wszystko, co jej potrzebne było, skróciła kaftan sługi stosownie do swej postaci, z koszuli swojej uczyniła spodnie, ostrygła włosy i przemieniwszy się tym sposobem w marynarza, skierowała się ku morzu. Na brzegu spotkała przypadkiem pewnego katalońskiego szlachcica, zwanego Encararch⁶⁹, który wysiadł z swego sudna, stojącego na kotwicy w Albenga⁷⁰, aby orzeźwić się nieco u źródła. Wstąpiła z nim w rozmowę i zgodziła się doń na służbę, przewawszy się Sicuranem z Finale. Gdy weszli na pokład, Encararch dał jej lepsze szatki. Odtąd jęła swemu panu usługiwać z taką starannością, iż ten, z nowego sługi wielce zadowolony, osobnym faworem darzyć go począł. Zdarzyło się, że po kilku miesiącach Katalończyk zawinął z ładunkiem do portu w Aleksandrii. Przywiózł z sobą kilka rzadkich sokołów, przeznaczonych na podarek dla sułtana. Sułtan, wdzięczny za ten dar, nieraz zapraszał Katalończyka do swojego stołu. Encararchowi towarzyszył zawsze Sicurano, który do stołu usługiwał. Sułtan upodobał go sobie i poprosił Katalończyka, aby mu go odstąpił. Encararch, acz niechętnie, na prośbę tę przystał. Sicurano w krótkim czasie pozyskał łaskę sułtana, nie mniejszą od tej, jaką się u Katalończyka cieszył.

W owych czasach w mieście Acri⁷¹, podwładnym sułtanowi, odbywał się corocznie jarmark, na który ze wszech stron zjeżdżali się chrześcijańscy i saraceńscy kupcy. Dla ich bezpieczeństwa sułtan zwykł był posyłać do Acri, krom wielu urzędników, także i straż zbrojną, pozostającą pod rozkazami zaufanego człeka. Tym razem zamyslił wyprawić do Acri Sicurano, znającego już dobrze język miejscowy. Tak się też i stało. Sicurano przybył do Acri jako dowódca straży, przeznaczonej dla ochrony towarów i kupców. Sprawując swoje obowiązki starannie i sam nad wszystkim mając dozór, spotkał Sicurano wielu kupców z Sycylii, Wenecji, Pizy i z Genui. Wspominając miłą ojczyznę, ohotnie z nimi w dyskursy wstępował.

Pewnego dnia stanął obok kramu kupców weneckich i pośród rozlicznych przedmiotów ujrzał sakiewkę i pas, które kiedyś doń należały. Zadziwił się wielce, ale nie dawszy po sobie najmniejszej poznaki zapytał, czyje są to rzeczy i zali na sprzedaż są tu wystawione? Do Acri przybył właśnie na weneckim statku, wiozącym ładunek różnych towarów, Ambrogiuolo z Piacenzy. Usłyszawszy, że kapitan straży zapytuje, do kogo przedmioty te należą, wystąpił naprzód i rzekł ze śmiechem:

– Rzeczy te są moją własnością i sprzedawać ich nie chcę. Skoro się jednak wam tak spodobały, dam wam je chętnie w upominku.

Sicurano, widząc, że kupiec się śmieje, zatrwożył się na myśl, że to może ktoś, co go rozpoznał, jednakże nie tracąc rezonu rzekł:

– Śmiejesz się zapewne z tego, że człek wojskowy pyta się o takie niewieście szmatki?

– Nie, panie – odparł Ambrogiuolo – śmieję się jeno, przypominając sobie, jakim sposobem do posiadania tych przedmiotów przyszedłem.

– Powiedz mi więc – rzekł Sicurano – jeśli w tym żadnej tajności nie ma, jak je zdobyłeś?

– Dała mi je, panie, wraz z innymi przedmiotami pewna piękna białogłowa z Genui, zwana madonna Ginevra, żona Bernaba Lomellin, owej nocy, gdy z nią spałem, prosząc, abym je na pamiątkę zachował.

Śmieję się zaś, wspominając głupotę Bernaba, który wstąpił w zakład ze mną, stawiając pięć tysięcy florenów przeciwko memu tysiącowi, że jego żona nie da mi się do żadnego plugastwa nakłonić. Udało mi się jednak opór jej przełamać, przez co zakład wygrałem. On zaś, miast sam siebie raczej za swoją głupotę ukarać niż ją za to, co wszystkie kobiety czynią, udał się z Paryża do Genui i jak słyszałem, zabić ją kazał.

Sicurano usłyszawszy to poznał od razu, jaka była przyczyna gniewu Bernaba i zrozumiał, że ów człek był powodem wszystkich jego nieszczęść. Postanowił więc zbrodni tej płazem nie puścić i udał, że cała ta historia wielce go ciekawi. W krótkim czasie zawiązał z Ambrogiuolem tak ciasną przyjaźń, że ów za jego radą, gdy się już jarmark skończył, z nim i z całym

dobytkiem do Aleksandrii się udał. Sicurano urządził mu sklep i dał mu wiele pieniędzy do ręki, tak iż Ambrogiuolo, widząc znaczne dla siebie korzyści, ochotnie tam się osiedlił. Tymczasem Sicurano, zajęty jedynie myślą przekonania Bernaba o niewinności swojej, nie spoczął, dopóki przy pomocy kilku genueńskich kupców, którzy w Aleksandrii bawili, pod odpowiednim pozorem do tego miasta go nie ściągnął. Bernabo żył wówczas w dosyć nędznym stanie.

Sicurano zatroskał się o to, aby pomieścić go w domu pewnego swego przyjaciela, gdzie miał przebywać aż do czasu skutecznienia się jego zamysłów. Powiódł rzeczy tym trybem, że Ambrogiuolo powtórzył swoją opowieść przed sułtanem, któremu ona wielce do smaku przypadła. Mając jednak Bernaba pod ręką, Sicurano uznał, że nie trza już sprawy w odwłokę podawać; wybrawszy przeto stosowną godzinę, poprosił sułtana, aby w przytomności Bernaba rozkazał Ambrogiuolowi opowiedzieć, jak się miała rzecz z żoną Bernaba, która wedle jego słów, woli jego uległa. Gdyby po dobrej woli wyznać wszystkiego nie chciał, groźbami się go do tego przymusi. Bernabo i Ambrogiuolo stanęli przed sułtanem. Ów wobec wielu zebranych spytał surowo Ambrogiuola, jakim sposobem wygrał był od Bernaba pięć tysięcy florenów złotych, i prawdę mu mówić przykazał. Rozmowie tej przytomny był Sicurano, w którym Ambrogiuolo z początku wielkie nadzieje pokładał. Aliści ten ze zmienionym obliczem zagroził mu najsroższymi katuszami, jeżeli nie zechce wyznać prawdy. Ambrogiuolo, zatrwożony i do muru przyparty, mniemając, że w najgorszym razie będzie musiał oddać pięć tysięcy florenów, opowiedział w przytomności Bernaba i innych istotny przebieg zdarzenia.

Gdy opowieść swoją zakończył, Sicurano, jako pełnomocnik sułtana, obrócił się do Bernaby i spytał:

– A ty, na skutek tego oszustwa, co uczyniłeś ze swoją żoną?

– Zaślepiony gniewem z powodu straty pieniędzy i hańby, którą jak sądziłem, mojemu imieniu wyrządziła, kazałem ją słudze zamordować. Według jego słów, ciało jej zaraz wilcy rozszarpali.

Wszystko to rzeczono zostało w przytomności sułtana; sułtan nie pojmował jeszcze, ku czemu zmierza Sicurano, który to wszystko urządził, aż wreszcie ów, obróciwszy się doń rzekł:

– Teraz widzicie, panie mój a władco, jakim to miłośnikiem i jakim mężem ta biedna kobieta szczyć się mogła. Kochanek kłamliwym oskarżeniem obdziera ją ze czci, a jednocześnie do nędzy męża jej przywodzi. Mąż zaś, dając więcej wiary oszczerstwu niżli prawdzie, którą mógł w ciągu długiego pożycia poznać dowodnie, każe ją zabić i na pastwę wilkom rzucić. Krom tego obaj, kochanek i mąż, tak wielką do niej miłość żywią, że nawet nie poznają jej, chociaż znaczny kęs czasu z nią po społu przebywali. Abyście lepiej pojęli, na co każdy z nich zasłużył, przywiode ją tutaj, was zaś, panie mój, proszę, abyście dla tej łaskawości, jaką dla mnie żywicie, ukarali tylko winnego, a oszukanemu przebaczyli.

Sułtan, gotów uczynić wszystko, czego Sicurano pragnął, przystał na jego prośbę i rozkazał, aby białogłowa stanęła przed nim, nie mieszkając. Bernabo wielce się zadziwił temu wszystkiemu, był bowiem przekonany, że żona jego od dawna nie żyje, zaś Ambrogiuolo czuł już, że na gorsze się ta sprawa dla niego obróci i że zło nie skończy się na zapłaceniu pieniędzy. Nie wiedział, w czym nadzieję pokładać i czego obawiać się przy pojawieniu się tej damy, na którą także w osłupieniu czekał. Gdy tylko sułtan zgodę swą wyraził, Sicurano upadł przed nim z płaczem na kolana, przestał nagle mówić męskim głosem i cały męski pozor ostawiwszy rzekł:

– Sprawiedliwy panie, jam jest ową nieszczęsną Ginevrą, która przez sześć lat za męża przebrana błąkała się po świecie, będąc kłamliwie i haniebnie spotwarzona przez tego łajdaka; jam jest tą samą, co ją okrutny i niesprawiedliwy mąż zabić kazał.

Rzekłszy te słowa, rozerwała na sobie szaty, aby pokazać pierś na dowód, że istotnie jest białogłową. Potem, obróciwszy się do Ambrogiuola, spytała go gniewnie, kiedy z nią łoże

dzielił? Ambrogiuolo poznawszy ją oniemiał i jednego słowa przemówić nie był zdolny. Sułtan, który do tych pór miał Sicurana za mężczyznę, tak się zadziwił, iż mniemał, że wszystko to we śnie się przydarzyło. Aliści, gdy zadziwienie minęło, a prawda na jaw dowodnie wystąpiła, jął wysławiać cnoty, obyczaje i wytrwałość Ginevry. Później kazał przynieść szatki białogłowskie, dał Ginevrze orszak sług i przebaczył Bernabie, który na śmierć zasłużył, przychyłając się do jej prośby.

Bernabo, poznawszy żonę swoją, rzucił się do jej nóg z płaczem i prosił ją o przebaczenie; chociaż go i godzin nie był, przecie Ginevra odpuściła mu winy; potem podniosła go i czule, jak na żonę przystało, uściskała.

Sułtan rozkazał, aby Ambrogiuola przywiązano do słupa, stojącego na jednej z wyniosłości miasta, wysmarowano go miodem i tak zostawiono na słonecznej spiekocie, dopóki nie zemrze. Tak też uczyniono. Majątek zaś znaczny Ambrogiuola, wynoszący ponad dziesięć tysięcy dukatów, podarował sułtan Ginevrze. Następnie wydał wspaniałą ucztę, w czasie której wielką estymę okazywał pani Ginevrze, jako najcnotliwszych białogłów wzorowi, a Bernabie, jako jej małżonkowi. Potem obdarzył ją klejnotami, złotymi i srebrnymi sprzętami i pieniędzmi, tak iż Ginevra zubożyła się o drugie dziesięć tysięcy podwójnych dukatów. Sułtan przykazał także przygotować okręt i dał małżonkom zezwolenie na powrót do Genui. Wrócili szczęśliwi i bogaci do swego kraju, gdzie oboje, a zwłaszcza panią Ginevrę, którą za zmarłą uważano, z wielką czcią i radością przywitano, wynosząc później w ciągu jej całego życia przymioty jej i cnoty osobne.

Ambrogiuolo tegoż dnia, gdy go do pala przywiązano i wysmarowano miodem, pokąsany od os, bąków, much i komarów, których w tym kraju wielka obfitość była, wśród niewymownych katuszy żywota dokonał, pożarty do kości. Jego bielejące piszczelce, przy palu wiszące, długo jeszcze tam tkwiły przypominając wszystkim o jego plugawym postępkach. Sprawdziło się na nim tedy przysłowie: „Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.”⁷²

Opowieść dziesiąta



KALENDARZ STARYCH MĘŻÓW

Paganino z Monaco porywa żonę panu Riccardo di Chinzica, który, wiedząc, gdzie jego żona przebywa, udaje się tam i zostawszy przyjacielem Paganina, prosi go, aby mu ją oddał. Tamten przyrzeka mu to, o ile ona sama się zgodzi. Bartolomea jednakże powracać doń nie chce i po śmierci Riccarda poślubia Paganina.

Opowieść królowej, która powszechnie pochwały wywołała, szczególnie podobała się Dioneowi, ostatniemu z kompanii, co tego dnia opowiadać miał. Dioneo zaczął na ten kształt:

– Dostojne damy, w noweli królowej zawierał się pewien szczegół, który mnie k’temu pobudził, abym zaniechał historii, którą wam opowiedzieć chciałem. Miast niej, zapoznam was z inną opowieścią. Powodem jest mi głupota Bernaby (która na szczęście wielkiego zła nań nie sprowadziła) jako i innych mężów, co sobie także do głowy wbili, że ich żony, w domu pozostałe, siedzą jak trusie, z założonymi rękami, podczas gdy oni włóczą się po świecie i cieszą się wdziękami to tej, to tamtej białogłowy, tak jakby wzrosli i wychowani pośród tego niewieściego pogłowia, nie wiedzieli, do czego ono jest zdolne. W opowieści swojej chcę wam pokazać nie tylko ich tępotę, ale jeszcze większą głupotę tych, którzy mniemają, że są silniejsi od przyrodzenia. Czynią oni różne próby, pustym gadaniem chcąc przekonać samych siebie, że mogą dokazać więcej, niżli ich siły na to pozwalają, i za wszelką cenę chcą innych zrobić podobnymi sobie, choć sprzeczne to jest z ludzi owych przyrodzeniem.

«Żył w Pizie pewien sędzia, zwany Riccardem di Chinzica. Był to człek daleko więcej rozumem celujący niżli siłą fizyczną. Ów, mniemając może, że tymi samymi staraniami, jakie do dzieł swych uczonych przykładął, żonę ukontentuje, a będąc bogatym wielce, ją szukać pilnie małżonki, w której by się młodość z pięknnością łączyła. Gdyby był w stanie udzielić samemu sobie takiej rady, jaką nieraz drugim służył, właśnie takiej żony unikać by był winien jak ognia. Dzieło wkrótce skuteczzone zostało, bowiem niejaki Lotto Gualandi⁷³ dał mu za żonę swoją córkę imieniem Bartolomea. Była to jedna z najurodziwszych i najwdzięczniejszych panienek w Pizie, gdzie niemało się ich znajduje, zwinnych i ruchliwych jak jaszczurki.

Sędzia pojął ją nader uroczyście za żonę i wspaniałe wesele wyprawił. Jednakże w noc poślubną postarbnął się, chcąc dopełnić małżeńskiej powinności, i ledwie zdołał jeden raz dokonać tego, co z trudem zaczął. Nazajutrz rano dla poratowania upadłych sił, jako człek mizerny i słabego ducha, musiał się uciec do małmazji, kordiałów i innych środków, co by go do życia przywrócić były zdolne.

Wówczas to pan sędzia jął się po raz pierwszy dobrze nad swoimi siłami zastanawiać i obliczać je ściślej niż wprzód. Uczyniwszy rachunek, postanowił nauczyć żonę swoją kalendarza, dobrego dla dzieci, co się gramatyki uczą (można mniemać, że kalendarze takie tylko w Rawennie⁷⁴ układają). Według jego wywodów, nie było takiego dnia, na który by nie tylko jedno, ale i kilka świąt nie przypadało. Dla ich należytego uczczenia żony i mężowie winni się wstrzymywać od folgowania swym cielesnym chuciom. Do tych świąt przydał jeszcze dni postu, suche dni, wigilie, dni apostołów i innych świętych, piątki i soboty, niedzielę jako dzień Zbawiciela, a także niektóre odmiany księżycy i siła innych wyjątków. Mniemał widocznie, że robotę w łóżnicy małżeńskiej można podawać w taką odwłokę jak różne sprawy w sądzie. Tym sposobem, ku wielkiemu zmartwieniu żony, którą zaledwie raz (albo i wcale) na miesiąc dojeżdżał, rzemiosłem mężowskim się parał; trzymał przy tym żonę pod ścisłym dozorem, aby ktoś inny nie zapoznał jej z dniami roboczymi, tak jak on ze świątecznymi.

Pewnego dnia, w czasie upalnego lata, Imć Riccardo zapragnął udać się w towarzystwie żony do swej pięknej posiadłości, znajdującej się w pobliżu Monte Nero, aby tam wczasu zażyć i świeżym powietrzem dni kilka odetchnąć. Chcąc żonie rozrywkę zgotować, urządził połów ryb. W jednej łódce pomieścił się wraz z rybakami, do drugiej wsadził żonę po społu z innymi białogłowami. Wkrótce, sami nie wiedząc jak i kiedy, kilka mil od brzegu odpłynęli i na pełnym się znaleźli morzu. Gdy tak na połów ryb uważali, nagle nadpłynął korab Paganina da Mare⁷⁵, słynnego podówczas korsarza. Ujrawszy barki, korsarz skierował się ku nim; łódzie jęły uciekać, ale Paganino dopadł tej z nich, na której znajdowały się białogłowy. Ujrawszy piękną Bartolomeę, pomyślał, że ta zdobycz wystarczająca dlań będzie. Pochwycił niewiastę w oczach Riccarda, który już się do brzegu przebrał, przeniósł ją na swoją galerę i spieszo odpłynął.

Nie trza opowiadać, jak się strapił na ten widok pan sędzia, który był takim zazdrośnikiem, że nawet powietrza się obawiał. Jął się żalić w Pizie i powszedy na złodziejów, ale nawet nie wiedział, jak się zwał ów korsarz, co jego żonę pochwycił i w nieznane miejsce zawiózł. Paganino tymczasem, ciesząc się ze swej zdobyczy, wielce był ukontentowany. Żyjąc w stanie bezżennym, postanowił urodziwą białogłową przy sobie zatrzymać. Gdy Bartolomea gorzko płakała, pocieszał ją, jak mógł. Za nadejściem nocy uciekał się do innego, skuteczniejszego środka i starał się ją pocieszać czynami, ponieważ jak mu się zdało, słowa niewielki skutek odniosły. Kalendarz mu się gdzieś zapodział, tak iż święta wypadły mu z pamięci.

Tym sposobem tyle jej dodał otuchy, że nim przybyli do Monaco⁷⁶, Bartolomea, zapomniawszy całkiem o sędzi i jego przepisach, najweselszy z Paganinem żywot rozpoczęła. Zawiózłszy ją do Monaco, korsarz nie tylko jej nie skąpił uciech w dniu i w nocy, ale krom tego okazywał jej względy jako prawej małżonki. Po pewnym czasie do sędziego Riccarda dotarły wieści, gdzie jego żona przebywa. Nie mając nadziei na niczyją pomoc, a wielce jej odzyskania spragniony, postanowił sam udać się po Bartolomeę i wykupić ją z tej niewoli, choćby to i znaczną sumę pieniędzy kosztować miało. Wsiadł tedy na okręt, do Monaco przybył i tam żonę swoją ujrzał. Bartolomea opowiedziała korsarzowi o przybyciu męża i zwierzyła mu się z jego zamysłów. Następnego rana Imć Riccardo spotkawszy Paganina zawiązał z nim znajomość i o względy jego gorliwie zabiegać począł. Korsarz udawał, że nie wie, kim jest Riccardo, i czekał, co tamten przedsięwzięmie. Wybrawszy wreszcie chwilę sposobną, Riccardo w pokornych i grzecznych słowach przedstawił korsarzowi przyczynę, dla której tu przybył, i prosił go, aby wydał mu żonę za okupem, jaki sam naznaczyć zechce.

Paganino odparł z uśmiechem:

– Pozwólcie najpierw, panie, abym was w tym kraju powitał. Odpowiem wam zaś krótko. Prawdą jest, że mam młodą białogłową u siebie, nie wiem jednak, czy jest ona waszą żoną, czy też innego człeka, ponieważ was nie znam, ją zaś znam dopiero od czasu, jak w moim domu przebywać zaczęła. Jeżeli jednak w istocie jej mężem jesteście, to zaprowadzę was do niej i nie wątpię, że was łatwo pozna. Skoro zaś ona potwierdzi to, co od was słyszałem, i

wyrazi gotowość powrotu do was, ja przez wzgląd na poczciwość waszą poprzestanę na okupie, jaki sami za słuszny uznacie. Gdyby się jednak przeciwnie okazało, popełnilibyście rzecz plugawą, pragnąc mi ją odjąć. Jestem młodzieńcem i mam prawo, jak każdy inny, cieszyć się białogłową, zwłaszcza taką jak ta, co jest najmilszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem.

– Przysięgam wam, że jest to moja żona – odparł Riccardo. – Zawiedźcie mnie do niej, a obaczycie, że gdy tylko mnie ujrzy, na szyję mi się rzuci. Toteż proszę was tylko o to, abyście postąpili tak, jakieście przed chwilą powiedzieli.

– Chodźmy zatem – rzekł Paganino.

Rzekłszy te słowa, poprowadził sędziego do swego domu i wwiódł go do komnaty, dokąd zaraz Bartolomeę przywołać kazał. Bartolomea, okazale przybrana, wyszła nie mieszkając i przywitała pana Riccarda tak, jakby był on obcym człowiekiem, co przybył w dom z jej mężem. Sędzia, który myślał, że żona przyjmie go z wielką radością, osłupiał na to powitanie i pomyślał, że smutek i troska, trapiące go od chwili, gdy ją był utracił, tak jego pozór odmieniły, że żona teraz poznać go nie może. Dlatego też rzekł:

– Drogo mnie kosztował, miła żono, ten połów ryb. Utraciwszy ciebie, takiej boleści doznałem, że wierę nikt chyba podobnej na świecie nie odczuwał. Widocznie nie poznałaś mnie, skoro mnie tak chłodno przyjmujesz. Zali nie widzisz, że jestem twoim Riccardem, który tu przybył, aby zapłacić panu tego domu taki okup, jakiego sam zażąda, a potem z sobą cię zabrać? Dzięki poczciwości pana Paganina mam zapłacić tyle, ile sam będę chciał.

– Zali do mnie się z tą mową obracacie, panie? – spytała dama z uśmiechem. – Widać bierzecie mnie za kogoś innego, bowiem ja przypomnieć sobie nie mogę, abym was kiedykolwiek widziała.

– Bacz na to, co mówisz – rzekł Riccardo. – Spójrz na mnie uważniej, a poznasz, że jestem twoim Riccardem di Chinzica.

– Wybaczcie mi, panie – odparła Bartolomea – aliści nie jest zbyt przystojną dla mnie rzeczą przypatrywać się wam uporczywie. Zresztą, dość się wam już przyjrzałam, aby jeszcze raz stwierdzić, że was nigdy nie widziałam.

Wówczas Riccardo pomyślał, że Bartolomea, bojąc się Paganina, nie chce się przyznać do męża w jego przytomności. Dlatego też, obróciwszy się do Paganina, prosił go, jako o łaskę osobną, o możliwość pomówienia z Bartolomeą w cztery oczy. Paganino przystał na tę prośbę, ale pod warunkiem, że sędzia nie odważy się pocałować damy wbrew jej woli. Potem polecił Bartolomei udać się z Riccardem do przyległej komnaty, wysłuchać, co jej powie, i dać mu respons bez nijakiego przymusu. Gdy Imć Riccardo i pani Bartolomea w pustej komnacie na karłach usiedli, Riccardo na ten kształt zaczął:

– Serce moje, duszo moja, moja nadziejo i radości, zaliż nie poznajesz twego Riccarda, który miłuje cię bardziej niżli samego siebie? Czyż to być może? Takżem się odmienił? Spójrz na mnie, moje oczko najcudniejsze, błagam cię ze wszystkich sił moich!

Bartolomea głośno się zaśmiała i nie pozwalając mówić mu dalej, rzekła:

– Możecie być pewni, że nie mam tak słabej pamięci, abym was, mego męża, pana Riccarda di Chinzica, poznać nie miała. Jednakż i wy, w czasie gdy żyłam z wami, pokazaliście, że całkiem niedostatecznie mnie znacie. Gdybyście byli w samej rzeczy człekiem tak mądrym, za jakiego uchodzić pragniecie, to spostrzeżlibyście niechybnie, że młoda, dziarska i świeża białogłowa krom odzieży i pożywienia potrzebuje jeszcze czegoś, o czym kobiety dla wstydlivosti swej przyrodzonej niechętnie mówią. Sami wiecie, jakieście te pragnienia zaspokajali. Jeśli wam miłsze było zgłębianie praw niżli żona, nie trzeba się było żenić. Wierę, nie sędzią mi się być zdaliście, ale chodzącym kalendarzem, wymieniającym na pamięć posty, święta, uroczystości i wigilie.

Powiem wam takż, że gdybyście pachołkom, co na polach w waszych majątnościach pracują, tyle świąt naznaczali, ile temu, co nad uprawą mojej maluchnej niwy miał się trudzić, nie zebralibyście ani jednego ziarna. Ale Bóg zlitował się nad moją młodością i zesłał mi

człowieka, z którym w tym domu żywię. Nie znamy żadnych świąt (mówię o tych świątach, któreście wy, zdaniejsi do służby bożej niż do służby u kobiet, tak często obchodzili), przez próg tego domu nie przeszedł nigdy piątek ani sobota, wigilia ani post wielki, co trwa tak niezmiernie długo. W dzień i w nocy się tu pracuje i grempluje wełnę. A owóz i dzisiejszej nocy, nim na jutrznię zadzwoniono, już nie raz imaliśmy się dzieła! Dlatego też umyśliłam u Paganina pozostać i z nim razem się trudzić, póki moja młodość trwać będzie. Świeta, posty i odpusty odłożę sobie na starość. Wy zaś czym prędzej jedźcie z Bogiem do domu i święćcie beze mnie do woli tyle świąt, ile się wam podoba.

Imć Riccardo, słowa te usłyszawszy, niezmierną boleść poczuł. Gdy Bartolomea umilkła, rzekł:

– Ach, duszo moja, jakież słowa straszne z ust twoich słyszę? Nie maszże najmniejszego względu na cześć swoją i cześć swoich rodziców? Przekładasz żyć w grzechu śmiertelnym z tym człkiem, jako jego miłośnica, niżli jako moja żona w domu naszym w Pizie przebywać? Przecie on, gdy się tobą przesyci, za drzwi cię wygoni, ku twej sromocie a hańbie, tam zasię będziesz mi zawsze miła, sprawując władzę w domu moim, choćby i wbrew mojej woli. Zali dla tak plugawej i niepomiarkowanej żądzy chcesz mieć w pogardzie cześć swoją i odepchnąć mnie, co cię nad życie kocham? Nie mów tego, nadziejo moja, i wracaj do mnie! Ślubuję ci, że teraz, gdy już pragnień twoich świadomy jestem, będę się starał w miarę sił je zaspokoić. Przeto zmień twe postanowienie i pójdz ze mną, co nigdy dobrej chwili nie zaznałem, odkąd mi ciebie brakło.

– O cześć moją – odparła Bartolomea – sama będę miała staranie; niech nikt się o nią nie troska, zwłaszcza że już tak zbyt późno na to. Rodzice moi winni byli pomyśleć o niej, gdy mnie wam za żonę dawali, skoro jednak o nią wówczas nie dbali, tedy i ja dzisiaj o nich dbać nie chcę. Grzech śmiertelny, w którym żyję, już się na powszedni przemienił; zresztą nie wasza to rzecz. Zdawa mi się, że w Pizie byłam waszą nałożnicą, teraz zasię jestem małżonką Paganina. Wówczas nasze planety pośród odmian księżyca i geometrycznych obliczeń rzadko schodziły się z sobą, dzisiaj natomiast Paganino nie wypuszcza mnie z objęć przez noc całą. Ściska mnie, obłapia ciasno, gryzie i kąsa, i tak dojeżdża, jak to tylko jest Bogu wiadome. Ślubujecie, że na przyszłość starać i wysilać się będziecie. Jakimże to sposobem i po co? Aby jednego czynu dopełnić z trzema przerwami, w czasie których dębczak mógłby znowu się podnieść? Widać dziarskim jeźdźcem się staliście w czasie nieobecności mojej.

Idźcie z Bogiem i starajcie się żyć jak najdłużej; zdaje mi się, że już ledwie jako gość na tym świecie przebywacie, tak bowiem nędzniuchny i mizernutki macie pozór. Powiem wam także, że jeśli nawet Paganino mnie rzuci (do czego, jak mi się zdaje, wcale chęci nie ma), to i tak do was nie powrócę, wiem bowiem, że choćbym was nie wiem i jak cisnęła, ani krztyny soku z siebie nie puścicie. Raz już, na moje nieszczęście, dobra tego spróbowałam i tak mam go dosyć, że w razie potrzeby gdzie indziej sobie schronienia poszukam. Jeszcze raz wam powtarzam, że pozostanę w tym domu, gdzie nie ma wigilij ni świąt. Wy zaś ruszajcie stąd co prędzej, bo zacznę krzyczyć, że mi gwałt zadać chcecie.

Imć Riccardo pojął, że nic nie wskóra, zrozumiał także w tej chwili, jakie głupstwo uczynił posłubiając młodą białogłową. Ciężko strapiony wyszedł z komnaty i obrócił się jeszcze z długą mową do Paganina, z której jednakże także nic nie wyszło. Później, niczego nie dokonawszy i ostawiwszy żonę, do Pizy powrócił. Tutaj z nadmiernej boleści szwank wielki na umyśle poniósł. Włóczył się całe dni po mieście, a gdy go ktoś pozdrowił albo o coś zapytał, odpowiadał jeno: „Zła to dziura, co świąt nie chce.” Wkrótce potem zszedł z tego świata. Na wieść o tym Paganino, świadomy dobrze afektu, jaki dlań Bartolomea żywiła, pojął ją za żonę. Nie zachowując świąt, wigilij i postów, pracowali usilnie, póki im sił stało. Dlatego też, miłe moje panie, mniemam, że Bernabo, wszczynając spór z Ambrogiolem, leciał niechybnie na złamanie karku.»

Opowieść ta wywołała taki śmiech u wszystkich przytomnych, że nie było nikogo, kogo by szczęki nie zabolowały. Wszystkie damy przyznały, że Dioneo miał słuszość, zowiąc Bernaba

głupcem. Gdy opowieść już skończona została, a śmiech umilkł, królowa, zauważywszy, że pora jest już późna i wszyscy głos zabrali, oznajmiła, iż koniec jej władzy nastąpił. Nie chybiając zatem ustanowionej kolei, podniosła się, zdjęła wieniec i kładąc go na głowę Neifile, z wesołym uśmiechem rzekła:

– Od tej chwili władza nad naszym małym ludem w twoje ręce przechodzi, miła przyjaciółko!

To powiedziawszy usiadła.

Neifile, przyjmując nadaną sobie godność, zarumieniła się niby róża, która w kwietniu czy w maju o świcie kraśnymi barwy goreje. Siedziała ze spuszczonej nieco oczyma, błyszczącymi niby ranne gwiazdy. Gdy jednakże ucichł przyjazny gwar, który przytomni na pochwałę nowej królowej podnieśli, Neifile rozpierchła myśli nieco zebrała, usiadła wyżej niż zwyczajnie i rzekła:

– Skoro już jestem królową, pragnę przede wszystkim potwierdzić wszystkie prawa, którym posłuszni byliście. Później w krótkich słowach powiem wam, co zamyśliłam i co za waszą zgodą wypełnić będziemy mogli. Jutro, jak wiecie, jest piątek, a potem sobota: dni przykre nieco dla wielu z powodu potraw postnych, chociaż piątek, jako dzień, w którym cierpiał Ten, co za nas śmierć poniósł, godny jest osobliwego uczczenia. Przeto za rzecz słuszną i wielce godziwą poczytałabym, by dla bożej chwały modlitwom raczej niż opowieściom się oddać. W soboty znów jest w obyczaju u białogłów myć głowy, aby ochędożyć je z pyłu i prochu, który się na nich przez cały tydzień nagromadzał. Wielu także zwykło w dniu tym na cześć Niepokalanej Dziewicy Marii post zachowywać i wstrzymywać się od wszelkich trudów ze względu na nadchodzącą niedzielę. Mniemam, że takież w tym dniu zwyczajnego trybu naszego życia wyrzec się musimy i że od opowieści się wstrzymamy. Skoro zaś ostajemy już w tym miejscu, cztery dni nam wówczas upłyną; jeżeli uniknąć chcemy, aby nas jacyś nowi przybysze tu nie zaskoczyli, należy nam miejsce pobytu zmienić i przenieść się gdzie indziej; o takim miejscu już pomyślałam. Zejdziemy się tam w niedzielę, po drzemce dziennej. Każdy z was więcej znajdzie czasu, by przypomnieć sobie i obmyślić opowieść swoją. A gdy dziś mieliśmy szeroko zakreślone szranki, dobrze by było ścieśnić jeszcze swobodę w wyborze przedmiotu opowieści, tak aby one wszystkie tyczyły się jakiegoś jednego przypadku fortuny.

Chciałabym, abyśmy na ten raz wybrali jako materię opowieści przypadki tych, którzy swoim sprytem osiągnęli rzecz pożądaną lub też utraconą odzyskali. Niechaj zatem każdy obmyśli w tej mierze jakąś wesołą i pożyteczną dla całej kompanii opowieść krom Dionea, którego przywilej zachowuję w mocy.

Wszyscy przyklasnęli pomysłowi królowej i przyrzekli, że się do jej woli stosować będą. Królowa, przywoławszy marszałka dworu, wskazała mu, gdzie ma stoły wieczorem zastawić, a także oznajmiła mu, co ma czynić w czasie jej panowania. Później podniosła się wraz z całym towarzystwem i pozwoliła każdemu wedle swej woli przyjemności zażywać.

Młodzieńcy i damy udali się do sadu, przechadzali się tam długo, a gdy godzina wieczery nadeszła, wesoło do stołów zasiedli. Po posiłku Emilia, zgodnie z rozkazem królowej, zawiodła taniec, a Pampinea, przy wtórze wszystkich przytomnych, taką pieśń zaśpiewała:

Któż, jeśli nie ja, w wdzięcznej pieśni mojej,
Radością natchnie i szczęściem upoi?

Przyjdź więc, Amorze, ty, w którym się mieści
Wesela mego i szczęścia przyczyna;
Przyjdź, wspólne zacznijmy pienie,
Lecz nie o smutkach ani o boleści
(Choć ona przyszłe wesele poczyna),

Ale o ogniu, w którym nieskończenie
Płonąc, wciąż jedno odczuwam pragnienie,
By sławić ciebie, władco mój jedyny!

Przed oczy moje przywiodłaś, miłości,
Kiedy już ogień jał trawić mą duszę,
Kochanka w rozkwicie lat,
Który w swym męstwie, cnotach i piękności
Równego nigdy nie znajdzie! Więc muszę
Dla niego ludzi zhołdować i świat.
Jednakże miłość moja nie chce zdrać
Z tobą, Amorze, władco mój jedyny!

Z rąk twoich wzięłam wyższą rozkosz jeszcze,
Wzajemność jego, afekt równej siły.
Twa to zasługa, Amorze!
Szczęsna, że ziemskie sny mi się spełniły,
Jedną nadzieją teraz duszę pieszczę,
Że śmierć miłości nie zmoże
I że Ty kiedyś zwolisz, dobry Boże,
Abyśmy w niebie kochali się wiecznie!

Później inne jeszcze pieśni śpiewali, tańczyli różne tańce i narożnych instrumentach grali. Wreszcie królowa uznała, że nadeszła pora spoczynku. Wszyscy przy blasku pochodni do komnat swoich się rozeszli. W ciągu dwóch dni następnych, będąc zabawieni wypełnianiem poleceń królowej, z wielką niecierpliwością niedzieli oczekiwali.

Kończy się drugi dzień Dekameronu i zaczyna trzeci, w którym pod przewodem Neifile mówi się o tych, co przyrodzonym swym sprytem osiągają rzecz pożądaną lub utraconą odzyskują.



**DZIEN
TRZECI**

Już zorza za nadejściem słońca zmieniała purpurę swoją na złoto, gdy w niedzielę królowa, podniósłszy się z pościeli, całe towarzystwo obudzić kazała. Marszałek dworu wysłał był już przedtem wszystkie potrzebne rzeczy na nowe miejsce pobytu, chcąc przygotować wszystko na przybycie gości. Ujrawszy, że królowa już do drogi się zbiera, rozkazał resztę sprzętów zabrać i jak ze zwiniętego obozu pociągnął ze służbą i wozami w ślad za damami i młodzieńcami. Królowa szła na przodzie wolnym krokiem, w otoczeniu dam i trzech kawalerów, wśród śpiewu dwudziestu może słowików i innych ptasząt, mało uczęszczaną ścieżyną, porośłą trawą i kwiatami, które już do słońca otwierały kielichy swoje. Droga wiodła na zachód; towarzystwo szło gwarząc, przekomarzając się z sobą i wesoło się śmiejąc. Ledwie dwa tysiące kroków uszli, gdy królowa około trzeciej godziny ukazała im piękny i bogaty pałac⁷⁷ wznoszący się na pagórku ponad doliną. Wszyscy weszli do wnętrza, rozejrzeli się po wielkich salach i po ozdobnych komnatach, które wyposażone we wszystko, do wczasu nęcić się zdawały, i jęli wychwalać właściciela tej posiadłości, co zbytek i wspaniałość z wygodą łączyła. Później, zszedłszy na dół, obejrzeni obszerny i cienisty podwórzec, piwnice pełne win wyśmienitych, fontanny świeżą wodą tryskające, i jeszcze goręcej wszystko zachwalali. Wreszcie, srodze zmęczeni, zasiedli na balkonie, który nad dziedzińcem się wznosił. Balkon był umajony kwiatami i zielonymi gałęziami. Wnet też zjawił się niezawodny marszałek i ugościł ich winem i słodyczami. Po czym otworzywszy furtę udali się społem do ogrodu otoczonego ze wszystkich stron murem. Z początku zachwycali się ogólnym widokiem sadu, a później wszystkie jego uroczne zakątki zważali. W krąg i pośrodku, w różnych kierunkach, biegły aleje proste jak strzały i ocienione winną latoroślą, która na ten rok wielką groność obiecywała. Winograd był wówczas w rozkwicie i woń jego, zlewająca się z zapachem innych kwiatów, przypominała wszystkie pachnidła Wschodu. Wzdłuż dróg i ścieżek rosły krzewy białych lub czerwonych róż i jaśminów, dzięki czemu nie tylko o poranku, ale i w dzień, w czasie największego żaru, można było tu wonnego chłodu zażywać i chodząc wszędzie chronić się przed palącymi promieniami słońca. Słów by nie starczyło na wyliczenie wszystkich roślin i kwiatów, które cały ogród przystrajały, dość więc będzie, gdy powiem, że nie brakło ani jednego cennego kwiatu, co w naszym klimacie żyć może. W środku sadu znajdowała się polana, najbardziej wabiąca ku sobie, a pokryta ciemnozieloną trawą, że niemal czarną się zdawała. Wśród niej jaśniało tysiąc różnobarwnych kwiatów, dokoła zaś strzelały ku górze pomarańczowe i cytrynowe drzewa, obarczone zarówno dojrzałym lub jeszcze zielonym owocem, jak i kwiatami. Od gałęzi padał cień i niosła się woń rozkoszna. Na polance wznosiła się fontanna z białego marmuru, rzeźbami przedziwnymi ozdobiona. Z figury na wysokiej kolumnie pośrodku stojącej (nie wiedzieć, czy przez siłę naturalną, czy też dzięki kunsztowi) tak potężny prąd wody ku górze tryskał opadając w dół z szmerem przemłym, że tą siłą cały młyn poruszyć by można było. Woda, która już w zbiorniku pomieścić się nie mogła, spływała kanałami ukrytymi pod darnią i rozlewała się po rowach, polanę otaczających. Później podobnymi, małymi kanałami wszystkie części ogrodu przebiegała, aż w końcu mnóstwo tych jasnych wód, zebranych w jednym zakątku sadu, kanał odprowadzał w dolinę, gdzie poruszały się dwa młyny, pracujące ku pożytkowi właściciela pałacu. Widok ogrodu, jego ładu, kwiatów, fontanny i wypływających z niej strumieni całkiem oczarował

młodzieńców i damy. Wszyscy jednogłośnie zgodzili się na to, że gdyby raj na świecie istniał, miałby ani chybi podobny pozór. Nie lza było bowiem już żadnej piękności ogrodowi przydać. Towarzystwo, wielce ukontentowane, krążyło po sadzie, splatało z różnych gałązek wspaniałe wieńce i słuchało szczebiotu rozlicznych ptaszek, które jakby o pierwszeństwo z sobą walczyły. Nagle odkryto jeszcze jedną zaletę ogrodu, która przedtem uszła wzroku olśnionego innymi pięknościami. Damy i młodzieńcy ujrzeni mianowicie mnóstwo różnych zwierząt i poczęli je sobie nawzajem pokazywać. Tu siedziały króliki, tam biegały zające, dalej leżały kozy i pasły się młode jelonki, a prócz nich wiele innych zwierząt nieszkodliwych i obłaskawionych przechadzało się wedle swej woli. Igraszki zwierząt powiększyły jeszcze ukontentowanie towarzystwa. Zażywszy przechadzki i nadziwawawszy się dość wszystkiemu, kazali ustawić stół obok wodotrysku. Przed obiadem zaśpiewali jeszcze kilka pieśni i potańczyli, aż wreszcie na rozkaz królowej do stołu zasiedli. Wyborne potrawy z radością powitane zostały, po czym weselsi od stołu powstali. Po posiłku znów pieśniom, tańcom i grom różnym się oddawali, póki królowa, widząc, że żar dzienny się zwiększa, do południowego spoczynku nie wezwała. Wówczas jedni wczasowi się oddali, a drudzy nie chcąc ani na chwilę wspaniałego widoku sprzed oczu tracić rozproszyli się po ogrodzie i na czytaniu powieści lub na grze w szachy i warcaby czas spoczynku trawili. O dziewiątej godzinie wszyscy podnieśli się i orzeźwiwszy oblicza świeżą wodą, zbrali się koło fontanny. Zgodnie z ustanowionym porządkiem zasiedli dokoła i czekali na znak królowej. Królowa skinęła na Filostrata, któremu tego dnia pierwszemu mówić przypadło.

Opowieść pierwsza



WILK W OWCZARNI

Masetto z Lamporecchio udając niemowę godzi się na służbę jako ogrodnik do pewnego żeńskiego klasztoru. Wszystkie mniszki ubiegają się o to, aby z nim sypiać.

– Moje miłe damy! Żyje na świecie wiele kobiet i mężczyzn tak głupich, iż pochopnie wierzą, że skoro się młodą dziewczynę w białą zasłonę ubierze i habit czarny na nią narzuci, zaraz ona kobietą być przestaje i od chuci swoich cielesnych jest uwolniona, tak jakby z wejściem do klasztoru w kamień twardy przemieniła się. Jeżeli usłyszą coś, co przeciwne jest ich wierze, wzbudzają się tak, jakby to było wielkim grzechem przeciwko przyrodzeniu. Oczywiście, ludzie ci nie chcą pomyśleć i osądzić po samych sobie, chociaż mogąc czynić, co tylko zechcą, nie są zdolni nasycić swych pragnień ani też nie biorą pod uwagę, jaki niebezpieczny wpływ próżnowanie i samotność sprawują. Z drugiej strony są i tacy, którzy sądzą, że siekiera, łopata, grube potrawy i ciężka praca przytępiają u kmieci żądze przyrodzone i niedołączonymi na umyśle i dowcipie ich czynią. W jakim błędzie jedni i drudzy pozostają, pragnę – idąc za wezwaniem królowej – pokazać wam w mej krótkiej opowieści, która nie wyjdzie poza obręb materii, dla opowiadań przeznaczona.

«Niedaleko stąd wznosił się żeński klasztor (istnieje on jeszcze po dziś dzień), słynący z wielce nabożnych mniszek. Nazwy tego klasztoru wymieniać nie będę, nie chcę bowiem jego sławy na szwank przywozić. Przed niedawnym czasem, gdy w klasztorze znajdowało się tylko osiem młodych mniszek i przeorysza, służył tam pewien poczciwiec, uprawiający piękny klasztorny ogród. Ów, niezadowolony będąc z zapłaty, obrachował się z mniszkami i powrócił do Lamporecchio, skąd pochodził. Tam pośród jego przyjaciół był młody, zdrowy i krzepki pachoł, dość na obliczu gładki, Masettem zwany. Ów zapytał Nuto (takie było imię tego, co z klasztoru powracał), gdzie tak długo przebywał. Nuto odpowiedział. Wówczas Masetto spytał, jakiego rodzaju posługi w klasztorze spełniał.

– Trudziłem się w obszernym i pięknym ogrodzie klasztornym – odparł Nuto – krom tego chodziłem po drwa do lasu, nosiłem wodę i innymi robotami byłem zatrudniony, aliści zakonnice płaciły mi za to wszystko tak skąpo, że zaledwie było za co buty kupić. A przy tym wszystkie one są młode i prawdziwie diabła za skórą mają; żadną miarą dogodzić im nie można. Gdym pracował w ogrodzie, przychodzi jedna i rzecze: „Połóż to tutaj”, a druga woła:

„Połóż to tam”, inna zaś z rąk łopatej wydziera i krzyczy: „Nie zda się to na nic.” Takiej mi trudności przyczyniały, że rzucałem pracę i wychodziłem z ogrodu. Dla tych powodów tak mi robota obmierzała, że za służbę podziękować musiałem. Przy odejściu prosił mnie rządcą klasztoru, ażeby przybywszy tutaj obejrzał się za jakimś człkiem do pracy zdatnym i przysłał go do klasztoru na swoje miejsce. Przyrzekłem, że tak uczynię, ale niechże go Bóg tak zdrowym, na nerkach uczyni, jak obietnicę swoją uiszczę i kogoś mu pošlę.

Gdy Masetto te słowa usłyszał, nabrał tak wielkiej chęci służenia mniszkom, że ledwie mógł na miejscu ustać, pomiarkował bowiem, że łatwiej mu będzie osiągnąć to, czego pragnął. Nie chcąc, aby Nuto czegoś się domyślił i popsuł mu szyki, rzekł:

– Dobrześ uczynił, żeś klasztor opuścił! Jakże może mężczyzna z tyloma babami wytrzymać; radniej z diabłami wolałbym mieć do czynienia. W sześciu wypadkach na siedem razy nie wiedzą one same, czego chcą.

Skończywszy dyskurs z Nutem, Masetto, nie mieszkając, przemyślał począł, w jaki by sposób do klasztoru się dostać. Wiedział, że jest zdatny do wszystkich tych robót, o jakich Nuto mówił – o to zatem, spokojny był zupełnie. Bał się jeno, że dla jego młodości i urody wziąć go nie zechcą. Dobrze wszystko rozważywszy, tak rzekł do siebie: „Klasztor znajduje się daleko stąd i żywa dusza tam mnie nie zna. Gdy się wydam za niemowę, niechybnie mnie na służbę przyjmą.”

Ugruntowawszy się w tym zamyśle swoim, wziął siekierę na ramię i nie mówiąc nikomu, gdzie zmierza, udał się w drogę do klasztoru jako człek ubogi. Wszedłszy na dziedziniec natknął się zaraz na klasztornego rządcę. Podszedł doń i znakami, jak to niemowy czynią, poprosił, aby mu dla miłości bożej kęs strawy dano, on zaś, jeśli trzeba, drew za to narąbie. Rządca ochotnie go nakarmił, a później ukazał mu kilka grubych pni, którym Nuto nijak rady dać nie mógł. Krzepki Masetto niedługo się z nimi uwinął. Rządca, który się właśnie do lasu udawał, wziął go z sobą i przykazał mu drew narąbać. Potem, przywiódłszy osła, pokazał mu znakami, aby polana na grzbiet bydłęcia włożył i do klasztoru zawiózł.

Masetto dobrze się z tego wszystkiego wywiązał, tak iż rządcą, znajdując go do roboty zdatnym, kilka dni go w klasztorze zatrzymał. Pewnego dnia przeorysza, obaczywszy pacholą, spytała, kim on by był?

– Jest to biedny głuchoniemy, czcigodna matko – odparł rządcą – który w tych dniach po jałmużnę tu przybył. Dałem mu ją z chęcią, a później do wielu robót na podorędziu będących go użyłem. Gdyby się do uprawiania ogrodu nadał i miał chęć tu pozostać, sądzę, że bardzo by się nam mógł przydać. Pachol to silny, czego się tknie, dobrze sprawi, a przy tym obawiać się nie trza, by młodym mniszkom przygadywał.

– W samej rzeczy, masz słuszość – odparła przeorysza – dowiedz się więc, czy zna się na pracy w ogrodzie, i postaraj się zatrzymać go. Daj mu także parę butów, stary płaszcz, obchodź się z nim łaskawie i nakarm go dobrze.

Rządca obiecał, że tak uczyni. Masetto, stojący w pobliżu, udawał, że dziedziniec zamiata, aliści wszystko dobrze słyszał. Rzekł do siebie z radością: „Tylko mnie do klasztoru wpuszcicie, a tak wam ogród uprawię, jak jeszcze nikt przedtem.”

Rządca, uznawszy, że pachol zdatny jest do wszystkich robót, jął go znakami pytać, załoby w klasztorze ostać nie chciał? Masetto również znakami odparł, że się zgadza. Po czym rządcą zawiódł go do ogrodu, ukazał robotę najpilniejszą i odszedł do swoich spraw. Gdy Masetto tak dzień po dniu się trudził, jęły mniszki przekorę mu czynić i tysiące psot wyrządzać, jako to nieraz z niemymi się zdarza. Gadały mu także w oczy rzeczy najsprośniejsze, mniemając, że ich nie usłyszcy. Przeorysza zaś, sądząc może, że brak mu równie ogona, jak i języka, mało na te figle uwagi zwracała.

Zdarzyło się pewnego dnia, że gdy Masetto po ciężkiej pracy leżąc wczasu zażywał, dwie młode mniszki, przechadzające się po ogrodzie, zbliżyły się doń i jęły patrzeć na niego. Pachol udał, że śpi twardym snem. Jedna z mniszek, widać odważniejsza, rzekła do drugiej:

– Gdybym wiedziała, że ci zaufać można, podzieliłabym się z tobą pewną myślą, co mi już nieraz do głowy przychodziła. Upewniona jestem, że mój zamiśl podobałby ci się wielce.

– Mów śmiało! – odparła druga – ja cię przed nikim nie zdradzę.

– Nie wiem – rzekła pierwsza mniszka – zali rozważyłaś, pod jakim srogim nas tu trzymają dozorem, nie dając przystępu do nas żadnemu mężczyźnie, krom starucha rządcy i tego niemego pachola. Słyszałam często od białogłów, które klasztor odwiedzają, że wszystkie rozkosze tego świata są fraszką wobec przyjemności, jakiej niewiasta z mężczyzną zażywa. Przyszło mi na myśl (ponieważ innej sposobności nie mamy), aby z tym niemy wypróbować, czy to prawda. Lepszego odeń do tego dzieła nie znajdziemy na całym świecie; gdyby nawet i chciał, nie będzie mógł o tym nikomu słowa powiedzieć, zresztą, jak widać, jest to prawdziwy głupiec, wyrósł nad miarę, ale rozumu nie ma ani krztyny. Powiedz mi, co sądzisz o moim zamiśle?

– Jakże nieprzystojne rzeczy wygadujesz – odparła druga – zali nie wiesz, żeśmy z swego dziewictwa Bogu ofiarę, uczyniły?

– Wiele rzeczy – rzekła pierwsza – przyrzeka się Mu codziennie, nie myśląc o ich dotrzymaniu. My ślubowałyśmy, a miast nas znajdują się inne, które ślub zdzierzą.

Druga mniszka spytała:

– A cóż będzie, jeśli w ciążę zajdziemy?

– Myślisz o nieszczęściu – odparła pierwsza – zanim ono się przytrafiło; gdy się zdarzy, wówczas nad nim głowić się będziemy. Tysiące sposobów jest na to, aby wszystko w tajności utrzymane zostało, jeśli tylko my same pary z ust nie puścimy.

Druga mniszka poczuła nagle wielką chęć uznania, co to za zwierzę jest ów mężczyzna, spytała tedy:

– A jak to uładzisz?

– Jak widzisz, jest teraz godzina dziewiąta⁷⁸. Wszystkie siostry, krom nas, ani chybi, śpią. Obejrzymy się wokół, czy nie ma kogo w pobliżu, a później weźmiemy niemowę za rękę i zaprowadzimy go do tej lepianki, w której przed deszczem schronienia szuka. Jedna wejdzie z nim do środka, a druga stanie na czatach. Niemowa jest tak głupi, że zrobi wszystko, co mu polecimy.

Masetto słyszał całą tę rozmowę. Gotów do posłuszeństwa, niczego tak nie oczekiwał, jak tego, aby go za rękę wzięły.

Mniszki rozejrzały się po sadzie, a upewniwszy się, że ich nikt nie widzi, podeszły do Masetta i obudziły go. Ten zaraz na nogi się porwał. Mniszka, która pierwsza z zamiślem swym wystąpiła, ujęła go za rękę i głaszcząc go zaprowadziła do chatki. Pachol, uśmiechając się głupkowato, nie dał się zbytnio prosić, jeno uczynił chętnie to, co chciała. Pierwsza mniszka pofiglowawszy do woli, jako wiarna przyjaciółka, ustąpiła potem miejsca drugiej. Masetto, ciągle głupca udając, wcale się na to nie skarżył. Nim odeszły, jeszcze kilkakrotnie spróbowwały, jak niemowa harcować potrafi. Później mawiały, że sama rzecz przechodzi wszelkie o niej opowiadania, i znalazłszy stosowną chwilkę, często z niemową igrały.

Pewnego dnia zdarzyło się, że któraś z mniszek, wyglądając oknem z swej celi, spostrzegła miłe igraszki swych towarzyszek i zaraz je dwom innym mniszkom pokazała. Z początku chciały wyjawić wszystko przeoryszy, ale później zamiśl odmieniwszy ugodziły się z tamtymi, aby i one skarbami Masetta cieszyć się mogły. W końcu po różnych przypadkach pozostałe trzy mniszki także się do kompanii przyłączyły. Wreszcie przeorysza, która dotąd niczego się nie domyślała, przechadzając się samotnie pewnego upalnego dnia po ogrodzie, spostrzegła Masetta, który po całonocnym dojeżdżaniu z sił opadł i spał rozciągnięty pod migdałowym drzewem. Wiatr odwiał mu koszulę, odsłaniając przed przeoryszą całe przyrodzenie. Przeorysza na tę pokusę poczuła równą chęć jak i jej mniszki. Widząc, że jest sama, obudziła Masetta i zawiadła go do swej celi, gdzie go przez kilka dni trzymała (ku wielkiej żalości mniszek, gorzko skarżących się, że ich ogród tak długo odłogiem leży) próbując uparcie,

jak smakuje ta słodycz, którą zawsze potępiała. Wreszcie odesłała pachola do jego izdebki. Ponieważ jednak często go jeszcze wzywała, żądając od nieboraka, który i tak ledwo pracy mógł wydołać, części równającej się wszystkim innym, pomyślał Masetto, że ta udana głuchota i niemota do wielkiego nieszczęścia go przywieść może.

Dlatego też pewnej nocy, gdy z przeoryszą w łożu leżał, nagle swój język rozwiązał i rzekł:

– Słyszałem wprawdzie, wielebna matko, że jeden kogut na dziesięć kur starczy, ale i to wiem, że dziesięciu mężów zaledwie jedną białogłową ukontentować może. Mnie jednemu przypadło dziewięć niewiast obsługiwać, czemu za wszystkie skarby świata podołać nie mogę. Już mnie to ogrodnicze rzemiosło do tego przywiodło, że nie mogę działać ani mało, ani wiele. Albo mnie więc z Bogiem odpuście, albo jakieś zapobieżenie na to zło znajdźcie!

Przeorysza, usłyszawszy słowa człeka, którego za niemowę poczytywała, przeraziła się nie pomału i zawołała:

– Dla Boga! Co to znaczy? Miałam cię za niemego!

– Byłem nim, matko wielebna – odparł Masetto – ale nie od urodzenia. Choroba odjęła mi mowę i dopiero tej nocy ją odzyskałem, za co nieskończone dzięki Bogu składam.

Przeorysza uwierzyła mu i spytała go, co znaczy owo napomknienie o jakichś dziewięciu białogłowach, którym służyć musi.

Wówczas Masetto wszystko jej wyjawiał, z czego przeorysza poznała, że nie ma w klasztorze ani jednej mniszki, co by głupsza od niej była. Jako białogłowa ostrożna, postanowiła, wprzód nim Masetta od siebie wypuści, naradzić się z mniszkami, co uczynić należy, aby Masetto dobrej sławy klasztoru na szwank nie naraził. W tym czasie umarł właśnie stary rządcą. Mniszki przyznały się szczerze wobec siebie do popełnionego przez wszystkie grzechu i postanowiły wspólnie, za zgodą Masetta, rozpuścić wieści, że dzięki ich nieustannym modlitwom i wstawieniu się patrona klasztoru, niemy i głuchy pachol po latach wielu mowę i słuch odzyskał. Później uczyniły go rządcą klasztoru i tak mądrze pracę jego podzieliły, że jej wydołać potrafił. Chocia i wiele mniszątek na świat przyszło, przecie zakonnice tak ostrożnie działać umiały, że nikt niczego się nie domyślił. Dopiero po śmierci przeoryszy, gdy podstarzały Masetto do domu już z zebrany dobytek chciał powracać, sprawa na jaw wyszła. Wrócił do swej wsi, skąd wyszedł z siekierą na plecach, jako człek stary, bogaty i ojciec dzieci, nie mający nijakich trosk o ich wyżywienie. Użył sprytnie młodości swojej i zwykł był powtarzać, że tak Bóg nagradza pracowitych ogrodników w winnicy swojej.»

Opowieść druga



KRÓL WŁOSY STRYZE

Jeden z masztalerzy króla Agilulfa śpi w nocy z jego żoną. Król, uznawszy o tym, nic nie rzecze, ale znajduje go i głowę mu strzyże. Ostrzyżony strzyże innych i tym sposobem kary unika.

Gdy opowiadanie Filostrata, które czasem rumieńce na twarzach dam, a czasem ich śmiech wywoływało, do końca dowiedzione zostało, królowa Pampinei zaczynać kazała; ta z wesołym uśmiechem, na ten kształt mówić ją:

– Zdarzają się ludzie, co na wyskok pokazać pragną, że wszystko wiedzą i że nic tajne być im nie może ze spraw, których znajomością chlubić się im nie godzi. Nieraz taki człek, spostrzegłszy ukryte braki bliźniego, zaraz o tym powszędy głosi, mniemając, że przez to sławę swoją osłania, gdy tymczasem w istocie rzeczy na szwank ją przywodzi. Pragnę pokazać wam to, miłe towarzyszeki, na przykładzie zgoła przeciwnym: rozważi pewnego dzielnego króla. Zdarzyła mu się przygoda z człekiem czelności wielkiej, a niższej jeszcze, zapewne, od tamtego pachoła kondycji.

«Longobardzki król Agilulf⁷⁹, śladem swoich poprzedników, lombardzki gród, Pawie, za stolicę swoją wybrał. Król pojął za żonę Teudelingę, wdowę po Autaryku, również longobardzkim władcy. Teudelinga była wielce urodziwą, mądrą i obyczajną białogłową, aliści w miłości niezbyt szczęśliwą. Gdy Agilulf roztropnością i dzielnością swoją sprawy longobardzkiego państwa do pomyślnego stanu i pokoju doprowadził, zdarzyło się, że w pięknej królowej zakochał się okrutnie jeden z królewskich masztalerzy. Był to człek, mimo swojej podłej kondycji, wieloma przymiotami uraczony, a do tego urodziwy wielce i kształtowny jak sam król. Chocia z niskiego stanu szedł, przecie rozumu nie był pozbawiony, dlatego też pojąwszy, że afekt jego do lubego skutku przywiedziony być nie może, nie dał najmniejszej po sobie poznaki i nawet namiętymi spojrzeniami nie ośmielał się zdradzać przed królową. Nie żywił najmniejszej nadziei, że wzajemność królowej będzie mógł pozyskać, dumnym jednak był z tego, że tak wysoko cel pragnień swoich umieścił i cały ogniem miłości przenikniony, prześcigał wszystkich swoich towarzyszy w gorliwości i chęci przypodobania się swej pani. Dlatego też królowa, wyjeżdżając, zawsze chętnie dosiadała rumaka przez niego osiodłanego. Ilekroć się to zdarzyło, za łaskę najwyższą sobie to poczytywał. Nie oddalał się od

jej strzemięcia i za szczęśliwego się uważał, jeżeli mu się jej szat dotknąć udało.

Jak to jednak pospolicie bywa, im mniejsza jest nadzieja, tym silniejszym płomieniem miłość się pali; tak też się i stało z tym nieborakiem, masztalerzem. Nie był już mocen dłużej swojej skrytej namiętności znosić, żadną nadzieją krzepiony nie będąc; postanowił tedy życia się pozbawić, bowiem wiedział, iż inaczej od tej miłości nie uciecze. Jednakże chciał wybrać taki śmierci rodzaj, aby zgon jego okazał jawnie, że zginął przez miłość, jaką dla królowej żywił. Pragnął także przed śmiercią fortunę skusić i popróbować, zali mu się nie uda choćby w części celu swych pragnień osiągnąć.

Nie myślał wyznawać królowej miłości swojej lub na piśmie jej wyrażać, wiedział bowiem, że to na niczym by spełzło, postanowił jeno chytrego jakiegoś sposobu się chwycić, aby z królową jedną noc przepędzić. Nie było ku temu innego środka, jak za króla się przebrać (o którym wiedział, że nie zawsze nocą żonę odwiedza) i do komnaty sypialnej się dostać. To postanowiwszy, kilka nocy z rzędu spędził ukryty w wielkiej sali zamkowej, która znajdowała się między komnatami króla a królowej, i starał się podpatrzeć, jak i w jakim stroju król do małżonki zwykł przybywać. Pewnej nocy obaczył wreszcie króla, który wyszedł z swojej komnaty, owinięty w szeroki płaszcz, trzymając w jednej ręce zapalony ogarek, a w drugiej laskę. Król zbliżył się w milczeniu do drzwi komnaty królowej i zastukał do nich raz czy dwa razy swoją laską. Na to otwarły się natychmiast drzwi i królowi świecę z rąk odebrano.

Zauważywszy tedy sposób wejścia, a potem wyjścia króla, postanowił masztalerz swego pana jak najściślej naśladować. W tym celu postarał się o płaszcz podobny do tego, jaki król nosił, o ogarek i laskę, wykapał się należycie, aby się zapachem stajennym nie zdradzić, i znów w wielkiej sali zamkowej się ukrył. Upewniwszy się, że wszyscy twardym snem są zmorzeni i że sposobna chwila na to nastąpiła, aby albo swoje pragnienia uskutecznić, albo też godną drogę do śmierci znaleźć, skrzesał przy pomocy hubki, co ją miał przy sobie, trochę ognia, zapalił ogarek i otuliwszy się szczelnie w płaszcz, podszedł do drzwi, w które dwa razy laską uderzył. Zaspana pokojowa otworzyła mu je i odebrawszy świecę z jego rąk, zagasiła ją. Wówczas masztalerz, nie mówiąc ani słowa, wszedł za kotarę wiszącą koło łoża, zdjął płaszcz i wstąpił do łożnicy, w której królowa spała. Wiedząc, że król, gdy jest czymś pomieszany albo wzburzony, ma obyczaj ściśle zachowywać milczenie, nie pozwalając mówić do się, udawał niepokój i nie rzekł ani jednego słowa, jeno królowę w ramiona pochwycił i kilka razy cieleśnie ją poznał. I aczkolwiek żał mu było odchodzić, przecie obawiając się, aby zbyt słodocze w męki się nie przemieniły, podniósł się wreszcie, wziął płaszcz i świecę i nie ozwawszy się ani słowem, do swojej izby się udał. Zaledwie jednak legł w swej pościeli, gdy król udał się do komnaty królowej. Królowa wielce się z tego zadziwiła. Gdy się obok niej położył i wesoło ją powitał, rzekła do niego, uprzejmością tą ośmielona:

– Cóż to za nowy obyczaj macie tej nocy, panie mój i małżonku? Ledwieście wyszli ode mnie, zażywszy rozkoszy ponad zwykłą miarę, a już powracacie znowu? Zważcie, co czynicie!

Król, słowa te usłyszawszy, dorozumiał się od razu, że ktoś oszukał królowę dzięki podobieństwu stroju i powierzchowności. Jednak, jako człek mądry, zauważywszy, że ani królowa, ani nikt inny podejścia nie spostrzegł, sam go nie chciał odkrywać. Iluż znalazłoby się głupców, którzy w podobnej okoliczności zaraz by wołać jęli: „Ja tutaj nie byłem! Któż więc mógł być? I co tu robił? I jak się tu mógł dostać? Siła przykrości z tego by wynikło, królowa zaś, bez potrzeby niepokojona, miałaby może pobudkę do spróbowania drugi raz tego, czego już raz pokosztowała; i gdy milczenie żadnej ujmy przynieść mu nie mogło, sam by się do hańby własnej przyczynił, rzecz tę jawną czyniąc.

– Zali mniemasz, moja żono, że nie mam dość męskości w sobie na to, aby dwa razy w ciągu nocy cię odwiedzić, a i później jeszcze powrócić? – rzekł król, bardziej zmieszany w duchu niżli w słowach albo na obliczu.

– Przeciwnie, panie mój – odparła królowa – proszę cię jednak, abys na zdrowie swoje zważał. Wówczas król rzekł:

– Posłucham więc dzisiaj twojej rady i więcej cię dręczyć nie będę.

To rzekłszy, płonąć gniewem i żądzą pomsty za wyrządzoną mu zniewagę, narzucił na się płaszcz i opuścił komnatę, z zamysłem odszukania po cichu winowajcy, bowiem ten, według jego mniemania, musiał do dworu należeć i żadną miarą nie mógł się jeszcze z zamku wydostać. Zażęgłszy tedy światło w małej latarce, wszedł na długi korytarz, znajdujący się nad stajnią, w którym prawie cała służba spała. Będąc zaś przekonany, że temu, co owo plugastwo uczynił, puls i serce jeszcze po wysileniu uspokoić się nie mogły, jął każdemu śpiącemu z kolei piersi ostrożnie dotykać, aby bicie jego serca wybadać. Wszyscy krzepkim snem już byli zmożeni, krom owego masztalerza. Ów, obaczywszy króla, odgadł od razu, czego jego pan szuka. Z trwogi serce jego – i tak ze zmęczenia niespokojne – jeszcze silniej walić poczęło. Sądził, że jeśli król to spostrzeże, ani chybi na śmierć go skaże. Tysiące myśli przemknęło mu przez głowę, wreszcie, widząc, że król przy sobie broni nie ma, postanowił udać śpiącego i czekać, co król uczyni. Tymczasem król obmacał już wielu śpiących, bez tego jednak, aby znalazł, czego mu było trza; w końcu, doszedłszy do owego masztalerza, poczuł uderzenia jego serca i rzekł sam do siebie: „To ten!...”

Nie chcąc jednak, aby ktokolwiek dowiedział się o jego przedsięwzięciu, poprzestał na tym, że nożycami, które miał przy sobie, obciął mu z jednej strony trochę włosów (w owych czasach bardzo je długie noszono), aby nazajutrz rano móc winowajcę po tym znaku szczególnym rozpoznać, i natychmiast do komnat swoich powrócił.

Masztalerz czuł doskonale, co król z nim robi, i natychmiast, dzięki swemu przyrodzonemu sprytowi, dorozumiał się, do czego te postrzyżyny zmierzać miały. Dlatego też podniósł się spiesznie z pościeli i znalazłszy nożyce stajenne, do strzyżenia grzyw końskich przeznaczone, powystrzygał ostrożnie wszystkim śpiącym pukle włosów nad uszami. To uczyniwszy, do swego łóża powrócił.

Na drugi dzień rano, nim jeszcze bramy zamkowe otwarto, król przykazał całej służbie dworskiej przed sobą się stawić. Gdy zaś wszyscy się zebraли i z odkrytymi głowami przed nim stanęli, spojrział na nich bystro, chcąc odszukać tego, co był przezeń postrzyżony.

Aliści, ujrzawszy wielką ilość głów tak samo ostrzyżonych, niepomiernie zadziwił się i rzekł do się: „Ów, którego szukam, aczkolwiek z podłego pochodzi stanu, niemało ma przecie roztropności.”

Po czym rozważył, że bez tego, aby sprawa się rozgłosiła, winowajcy nie znajdzie. Nie chcąc dla małej pomsty wielkiej sobie hańby przyczynić, postanowił winowajcę jednym słowem napomnieć i pokazać mu, że o wszystkim jest dobrze uwiadomiony obróciwszy się zatem do dworskich, rzekł:

– Niechaj ten, co to uczynił, drugi raz już nie ma do podobnego uczynku śmiałości. Teraz zasię idźcie z Bogiem.

Ktoś inny na miejscu króla kazałby służbę łamać kołem, brać ją na różne pytki, badać ją i wymuszać zeznania, tym kształtem podałby na jaśnie to, co ze wszech miar w zakryciu pozostać by było winno. Znalazłszy w końcu winnego i zemstę swoją nasyciwszy, nie zmyłby przez to z siebie hańby, przeciwnie, jeszcze by ją zwiększył, a do tego i żonę osławiał.

Ci, którzy słowa jego słyszeli, zadziwieni, długo się nad nimi głowili, skrytego ich znaczenia pojąć nie mogąc.

Zrozumiał je jeno ten, kogo dotyczyły.

Masztalerz miał dość rozumu na to, aby za życia króla z tajemnicą swoją nigdy się nie zdradzać, a także już na podobne azardy więcej się nie ważyć.»

Opowieść trzecia



S P O W I E D Ź

Pod pokrywką spowiedzi i swej wrzekomo urażonej cnoty dama, rozmiłowana w młodzińcu, pewnego surowego mnicha, nic nie podejrzewającego, k'temu przywodzi, aby dopomógł jej do skutecznienia miłosnych zamysłów.

Gdy Pampinea umilkła, wszyscy niemal wyrazili podziwienie swoje nad odwagą i sprytem masztalerza a także nad roztropnością króla; za czym królowa, obróciwszy się do Filomeny, jej dalej opowiadać kazała. Wdzięczna Filomena w te słowa zaczęła:

– Zamierzam, opowiedzieć wam o chytrym figlu, który pewna piękna dama surowemu mnichowi wypłatała. Taka sztuczka musi przypaść do smaku każdemu świeckiemu człowiekowi, bowiem ci nieokrzesani po większej części i głupi mnisi, dziwnych jakichś obyczajów przestrzegający, wystawiają sobie, że więcej od wszystkich znaczą i umieją, gdy tymczasem w samej rzeczy wiedzą niewiele albo i nic wcale. Dla tępości i gnuśności umysłu nie umiejąc tak się krzątać koło dobra swego jak inni ludzie, węższą jedynie, niby wieprze, gdzieby się do syta nażreć mogli. Opowiem wam tę historię nie tylko dlatego, że kolej na mnie przyszła, ale aby pokazać wam, że mnichy, którym we wszystkim wierzymy i zbytnią ufność im okazujemy, mogą być łatwo nie tylko przez mężczyzn, ale czasem i przez nas, kobiety, na hak przywiedzeni.

«W naszym mieście, gdzie kłamstwa i oszustwa daleko więcej znaleźć można niżli miłości i wierności, żyła przed kilkunastu laty pewna znakomita dama, uposażona od natury wielką urodą, obyczajnością, wysokim umysłem i dowcipem bystrzejszym niż dowcip białogłów. Znam jej imię, tak jak i imiona tych, co do tej opowieści należą, nie będę jednak imion tych wyjawiała, bowiem ci, którzy je noszą, żyją jeszcze; mogliby tedy łatwo gniewem się zapalić, gdy tymczasem, mówiąc po prawdzie, wszystko to jedynie śmiechu jest warte.

Owa dama, ze znacznego rodu idąca, oddana została za żonę prostemu tkaczowi. Nigdy jednakowoż nie mogła się pogodzić z myślą, że jej mąż jest zwykłym rzemieślnikiem, mniemała bowiem, że człek podłej kondycji, choćby i nie wiem jak był bogatym, nie jest godzien białogłowy dobrze urodzonej.

Widząc zaś, że jej mąż przy całym swoim bogactwie tylko przedzę motać, nici sposobne wybierać i z prądkami kłócić się potrafi, postanowiła pieścić go, o ile możności, unikać i

znaleźć sobie nieodwłocznie jakiegoś kochanka, godniejszego jej niżli prosty tkacz. Wkrótce rozmiłowała się w pewnym zacnym szlachcicu średnich lat, i to tak okrutnie, że gdy tylko jakiegoś dnia go nie widziała, następnej nocy od dusznego strapienia wcale spać nie mogła. Ów zasię, niczego się nie domyślając, wcale o nią nie dbał. Dama była zbyt ostrożna na to, aby poselstwami lub listami wysyłanymi do niego na możliwe niebezpieczeństwa się narażać. Uznawszy, że szlachcic w bliskiej przyjaźni pozostaje z pewnym grubym i krągłym mnichem, który dla swego świątobliwego życia powszechną czią się cieszył, zamyśliła natychmiast mnicha tego za pośrednika użyć. Dobrze wszystko w umyśle ułożywszy i stosowną chwilę wybrawszy, udała się do kościoła, przy którym mnich przemieszkiwał, i wyraziła mu życzenie wyspowiadania się. Braciszek poznał od razu, że ze szlachetną damą ma do czynienia, dlatego też chętnie jej spowiedzi wysłuchał. Wyspowiadawszy się, białogłowa rzekła:

– Pragnę, wielbny ojcze, do was po radę i po pomoc się udać. Wiadome mi jest, że znacie dobrze moją rodzinę i mego męża, który miłuje mnie bardziej niż życie własne; jako człek wielce bogaty, spełnia on każde moje życzenie, za co kocham go bardziej niż żywot własny. Gdybym zdalna się okazała do najmniejszej myśli (nie mówię już o uczynku), która by jego dobrą cześć na szwank przywieść miała, więcej bym na stos zasłużyła niż jakakolwiek inna występna białogłowa. Tymczasem od niedawnego czasu pewien człek, nie znany mi z nazwiska, ale zdający się być znacznego stanu a przy tym, o ile się nie mylę, wasz dobry znajomy, nie wiedząc widocznie o moim niezmiennym postanowieniu, w prawdziwym obłężeniu mnie trzyma. Jest to mąż okazałej postaci, wielce urodziwy i ubrany w wytworne szaty brunatnej barwy. Nie mogę się pokazać w drzwiach, u okna ani na ulicę wyjść bez tego, aby się nań nie natknąć. Samo przez się zrozumiałe jest, że są to dla mnie rzeczy nieznośne, bowiem, jak to nierzadko bywa, rzucić one mogą, bez żadnej winy z mojej strony, cień na moją cześć i cnotę. Przychodziło mi już nieraz do głowy powiedzieć o wszystkim moim, braciom, aby mu stosowną odprawę dali, ale wstrzymała mnie myśl, że mężczyźni w podobnych okolicznościach łatwie do klótni przyjść mogą, a później od słowa do słowa i do bitki. Chcąc więc zła i osławy uniknąć, wszystko milczeniem pokrywałam, póki do tej myśli nie przyszłam, aby wam strapienia swoje wynurzyć, już to ponieważ zdajecie się żyć w przyjaźni z owym mężem, a także i dla tej przyczyny, że wam więcej niż każdemu innemu przystoi nie tylko przyjaciół, ale i nieznanym podobne sprawy naganiać. Błagam was więc, w imię miłości Boga, wytknijcie mu jego postępowanie i nakażcie mu, aby je na przyszłość odmienił. Mało li na świecie kobiet nakłonionych k'temu i gotowych za podobne zachody hojnie wynagradzać? Takie przymilania, dla drugich ponętne, we mnie tylko najżywszy wstręt budzą.

Rzekłszy to, opuściła na piersi głowę, jakby gorzko zapłakać pragnęła.

Świątobliwy braciszek dorozumiał się od razu, kogo na myśli miała, uwierzył we wszystkie jej słowa, pochwalił ją za jej zacne postanowienie i przyrzekł, że sprawę tym trybem powiedzie, by szlachcic na przyszłość już jej niepokoić się nie ośmiewał. Wiedząc zasię, że jest to białogłowa bogata, zaraz wspomniął o dziełach miłosierdzia, o pomocy bliźniemu i o swoich potrzebach. Na to dama odparła:

– Zaklinani was, ojcze, w imię Boga, abyście obietnicy swojej dopełnili. Gdyby zasię ów szlachcic chciał się zapierać, rzeknijcie mu po prostu, że ja to wszystko wam wyjawiałam skarżąc się na niego przed wami.

Skończywszy spowiedź i odpuszczenie grzechów otrzymawszy, dama przypomniała sobie słowa mnicha o miłosiernych uczynkach i miłości bliźniego, dlatego też wsunęła mu ukradkiem pieniądze do ręki, prosząc, aby msze za jej umarłych krewniaków odprawiał. Później podniosła się i do domu odeszła.

Wkrótce szlachcic przybył w odwiedzinę do mnicha, jak to często miał w obyczaju czynić. Gdy już o tym i o owym pogadali, mnich odciągnął swego gościa na stronę i w słowach przyjaznych napomniął go za owe zaloty i rozkochane spojrzenia, którymi damę prześladuje.

Szlachcic z początku srodze się zadziwił, bowiem ani mu to w głowie powstało patrzeć na

nią, rzadko zresztą koło jej domu przechodził. Jął tedy niewinności swej dowodzić.

– Nie udawaj takiego zadziwienia ani nie staraj się po próżnicy słów na zaprzeczenie tracić – rzekł mnich, nie dopuszczając go do słowa. – Uznałem o tym nie od sąsiadów; zważ, że sama mi o wszystkim opowiedziała żaląc się gorzko na ciebie. Takie błazeństwa tobie nie przystoją, przy tym rzeknę ci, że jeśli jest na świecie białogłowa, której podobne przymilania są przeciwne, to jest nią ona właśnie. Dlatego też przez wzgląd na cześć twoją i jej spokojność proszę cię, zaprzestań ją napastować.

Szlachcic, bystrzejszym umysłem niżli świątobliwy braciszek obdarzony, przeniknął od razu istotny zamiar białogłowy, udawszy więc niejaki zawstydzenie, przyrzekł, że już więcej zalecać się do tej kobiety nie będzie. Pożegnawszy się z mnichem, udał się nieodwłocznie do domu owej damy, która codziennie w małym okienku czatowała na jego pojawienie się. Toteż gdy go ujrzała, tak żywa radość odmalowała się na jej obliczu, że szlachcic przekonał się zaraz, iż pojął dobrze słowa braciszka. Od tego dnia poczynając, jął się nieustannie po onej ulicy przechadzać, ku swemu wielkiemu ukontentowaniu i radości damy; zachowywał przy tym należną ostrożność i udawał, że różne sprawy go tu przywodzą.

Dama, upewniwszy się, że podoba mu się równie jak i on jej, zapragnęła bardziej go pobudzić i dać mu wyraźny dowód swych miłosnych chęci. W tym celu w stosownym czasie udała się znów do świątobliwego braciszka i usiadłszy w kościele u jego nóg, gorzko płakać poczęła. Zaczynając przenikniony litością, zapytał, co się stało?

Dama odparła:

– Cóż by innego, ojczyźnie wielebny, jak nie nowa przykrość ze strony tego przekłętego od Boga przyjaciela waszego, na którego przed kilku dniami żaliłam się. Jak mniemam, przyszedł na świat na moje udrczenie, aby pozbawić mnie szczęścia i uczynić tak, bym już nigdy nie ośmieliła się wam do nóg upaść.

– Jak to? – zawołał mnich – zali nie przestał was jeszcze napastować?

– Bynajmniej – odparła dama – poczynając od tej chwili, gdy się wam na niego uskarżałam, on, widząc przez przekorę i gniew na mnie, jął się przechadzać koło mego domu siedem razy częściej niż przedtem.

Gdyby tylko chodził i patrzył na mnie, pół biedy by z tym było, aliści tak się rozzuchwalił, że wczoraj przysłał do mnie z poselstwem od siebie jakąś kobietę, która mi wręczyła w podarunku sakiewkę i pas, tak jakbym mało miała swoich pasów i sakiewek. To mnie w taki gniew wprowadziło, że straszny bym gwałt podniosła, gdybym nie obawiała się przez to grzechu popełnić i wam przykrości wyrządzić. Pohamowałam się więc z wielkim trudem i postanowiłam nic nie przedsiębrać, póki was o wszystkim nie uwiadomię. Oddałam sakiewkę i pas owej kobiecie i precz jej z domu iść kazałam, ale później zważywszy, że mogłaby podarki te dla siebie zatrzymać, jemu zasię powiedzieć, że je przyjął, jak to ponoć dzieje się niekiedy, przywołałam ją z powrotem, ze wstrętem z rąk jej przedmioty te odebrałam i przyniosłam je wam teraz, abyście mu je oddali i rzekli, że mi jego podarków nie potrzeba. Dzięki Bogu i szczodrości mego męża tyle mam sakiewek i pasów, że snadnie bym go nimi zadusić mogła. Teraz zasię powiem wam, jako duchownemu ojcu, że jeśli ów szlachcic w spokoju mnie nie ostawi, poskarżę się moim braciom i mężowi. Niech wówczas będzie, co chce! Niechaj lepiej on ma za swoje, aniżeli ja miałabym, z jego przyczyny być osławiona. Zaliż nieprawda, mój ojczy?

Rzekłszy to, płacząc w głos, wydobyła spod sukni wspaniałą sakiewkę i bogato haftowany pas i rzuciła je mnichowi na łono.

Ów, upewniony, że dama prawdę mówi, wziął te rzeczy z wielkim na obliczu pomieszaniem i rzekł:

– Wcale się nie dziwuję, moja córuchno, że się tym wszystkim tak turbujesz; nie tylko ganić cię za to nie będę, ale przeciwnie, pochwalić cię muszę, że rad moich słuchasz. Niedawno napomniałem go ostro, aliści on źle obietnicę swoją zdzierzył. Dlatego też za dawne pluga-

stwa, do których nowe przydał, tak mu myślę uszu natrzeć, że mu raz na zawsze ochota do zalotów odejdzie. Ty zaś nie daj się unieść gniewu zapędom i nie wyjawiaj tych rzeczy swoim krewniakom, bowiem do czegoś gorszego jeszcze snadnie przyjść by mogło. Nie obawiaj się, aby cześć twoja jakiś uszczerbek przez to ponieść miała, ja bowiem będę zawsze, przed Bogiem i przed ludźmi, świadkiem twej uczciwości.

Dama udała, że te słowa nieco ją pocieszyły; skończywszy przeto mowę swoją rzekła jeno, wiedząc dobrze o chciwości mnichów:

– Tej nocy zjawili mi się we śnie, świętobliwy ojcze, moi rodzice; zdawało mi się, że ciężkie katusze cierpią i że niczego tak nie łakną jak jałmużny, a zwłaszcza matka moja, która tak zasmuconą i wynędzniałą mi się okazała, że aż litość brała patrzeć. Sądzę, że wielkiego strapienia przyczyniają jej te obieże, w jakie mnie wtrącił ów wróg Pana Boga. Dlatego też proszę was, abyście odprawili za ich dusze czterdzieści mszy św. Grzegorza, a także pomodlili się do Boga tak, aby Stwórca od mąk ich wybawił.

Rzekłszy to, wsunęła mnichowi do ręki dukat złoty. Mnich chciwie pieniądz pochwycił i w stosownych słowach mnogimi przykładami pobożność jej utwierdziwszy, z błogosławieństwem swym ją odpuścił.

Po czym, gdy odeszła, nie podejrzewając wcale, że na hak przywiedziony został, posłał po swego przyjaciela.

Ów, widząc, że mnich jest srodze zagniewany, zaraz dorozumiał się, że nowe wieści od swojej damy otrzyma. Czekał tedy co powie mu braciszek. Ten z gniewem wielkim powtórzył jeszcze raz wyrzuty swoje i zgromił go ostro za nowe przewiny, jakie, według słów damy, popełnił. Szlachcic, nie mogąc zrazu pojąć, ku czemu słowa mnicha zmierzają, starał się zaprzeczyć, że kiedykolwiek sakiewkę i pas jej posyłał, czynił to jednak niezdarnie, tak aby mnich nie zachwiał się w wierze, jakiej opowieści damy użyzył, jeśli to ona mu je wręczyła. Aliści braciszek rozjadował się nie na żarty i rzekł:

– Jakże możesz temu przeczyć, przewrotny człecze! Patrząc, te oto podarki sama mi z płaczem przyniosła. Zali będziesz śmiał twierdzić, że ich nie znasz?

Szlachcic, uczyniwszy pozór srodze zawstydzonego, rzekł:

– Trudno zatem, przyznaję, że te przedmioty należą do mnie i że źle postąpiłem; przysięgam jednak, że widząc ją w swym postanowieniu tak niezłomną, nigdy już jej nie dam powodu na skargę na mnie.

Długo go gromił mnich głupi jak baran, aż w końcu oddał mu pas i sakiewkę, nie omieszkawszy przedtem pouczyć go i zakląć, aby więcej podobnych rzeczy nie czynił. Szlachcic przyrzekł i pożegnawszy się z braciszkiem, uradowany niezmiernie, tak z dowodnej oznaki afektów tej damy jak i jej bogatego podarunku, natychmiast udał się pod jej dom i oględnie pokazał jej, że już podarki otrzymał. Dama, wielce z tego ukontentowana, cieszyła się, że sprawy coraz to lepszym idą torem, od tej chwili czekała tylko na wyjazd męża, aby swe starania pomyślnym uwieńczyć skutkiem. Wkrótce zdarzyło się, że tkacz musiał się do Genui udać. Gdy tylko z rana wsiadł na koń, dama pośpieszyła do mnicha i rzekła płacząc rzewliwie:

– Mówię wam, świętobliwy ojcze, że dłużej już wytrzymać nie jestem w stanie. Ponieważ jednak obiecałam wam, że nic nie przedsięwezmę bez uprzedniego uwiadomienia was, tedy przychodzę, ażeby usprawiedliwić się przed wami. Abyście zaś poznali, że mam przyczynę gorzko płakać i użalać się, chcę wam opowiedzieć, co uczynił ten szatan wcielony z piekła rodem, wasz przyjaciel, nie dalej jak dziś z rana przed jutrznią. Bóg jeden wie, w jaki sposób zwęszył, że mąż mój wczora do Genui wyjechał. Dziś z rana zatem wszedł do mego ogrodu i wdrapał się na drzewo rosnące naprzeciw mojej komnaty, której okna na sad wychodzą. Już zdołał okno uchylić z tym zamysłem, aby do mojej sypialnej komnaty wtargnąć, gdy nagle ja, obudziwszy się, zerwałam się z łoża i już krzyknąć wielkim głosem chciałam, aliści ów niezbyty natrętnik jął mnie zaklinać w imię miłości Boga i przyjaźni waszej, abym zmilczała, a

potem powiedział mi, kim jest. Nie czyniąc więc przez wzgląd na was najmniejszego hałasu, pobiegłam tak naga, jaką na świat przyszłam, aby okno mu zaprzeć przed nosem. Widocznie zaraz uciec musiał, bowiem już go więcej nie widziałam. Osądźcie sami, ojcze świątobliwy, zali to dalej cierpieć można? Co się mnie tyczy, to myślę temu raz wreszcie koniec położyć. Przez wzgląd na was zbyt wiele już od niego znieść musiałam.

Usłyszawszy te słowa mnich wpadł w gniew niezmierny i nie wiedział już sam, co rzecz ma, pytał tylko raz po raz, zali pewna jest, że był to ów właśnie szlachcic, a nie jakiś inny zalotnik.

– O wielkie nieba! – zawołała białogłowa – zaliż go od innego odróżnić nie potraficie? Mówię wam, że to on był; jeśliby starał się zaprzeczać, nie dawajcie mu wiary.

– Nic innego powiedzieć nie lza, moja córko – powiedział mnich – jak jeno to, że jest to zuchwalstwo niepomierne i postępek plugawy; uczyniłaś jak się należało, precz go przeganiając. Proszę cię jeno (skoro Bóg cię od wstydu ochronił!), abyś jeszcze razi za moją radą poszła i nie żałac się przed krewniakami, mnie działać pozwoliła. Spróbuję, czy mi się nie da okiełznać tego wcielonego diabła, o którym sądziłem, że jest świętym człekiem. Jeżeli mi się uda bydłce jego przyrodzenie zwyciężyć, wszystko dobrze się zakończy, jeżeli zaś niemożliwe się to okaże, to daję ci obecnie wraz z błogosławieństwem słowo najświętsze, że pozwolę ci uczynić z nim, co ci się podoba.

– Na ten raz jeszcze nie chcę wam turbacji przyczyniać i nieposłuszeństwa okazywać – rzekła białogłowa – postarajcie się jeno tak wszystko uładzić, aby mnie więcej nie prześladował, wówczas i ja przestanę was tą sprawą zanudzać.

Rzekłszy to, udała, że jest srodze gniewną, i do domu odeszła. Zaledwie się od kościoła oddaliła, gdy u mnicha szlachcic się zjawił. Braciszek odciągnął go na stronę i wysypał mu na głowę wór najgorszych łajañ i przekleństw, nazywając go w grubych słowach nikczemnikiem, krzywoprzysięcą i zdrajcą. Szlachcic, który już z dwóch eksperiencyj dobrze wiedział, jaki jest powód tych grubiańskich wymysłów, uważnie słuchał z początku, a później niejasnymi słowy starał się od mnicha jakąś wiadomość wydobyć.

– Co znaczy ten gniew, wielebny ojcze – zapytał – zaliżem Chrystusa ukrzyżował?

– Ha, ty bezwstydniku! – zawołał mnich – spójrzcie na niego, mówi o tym tak spokojnie, jakby już rok albo i dwa minęły od tej pory, gdy tyle łotrostw popełnił. Widocznie już się w pamięci zatrzeć zdołały. Już o tej rannej porze zapomniałeś, żeś dziś przed jutrznią bliźniego ciężko pokrzywdził? Gdzieżeś był dzisiaj o świcie?

– Nie wiem, gdzie byłem – odparł szlachcic – ale kiedy macie tak chyżych posłów, to wy o tym wiedzieć musicie.

– Tak, uznałem o tym – rzekł mnich. – Widać myślałeś, że w czasie gdy mąż przytomny nie jest, cnotliwa białogłowa rzuci ci się zaraz na szyję. Oto mi czcigodny człek, ani słowa! Włóczy się po nocy po cudzych sadach i na drzewa się wdrapuje! Zali sądziłeś, że łatwiej opór tej zbożnej niewiasty przemożesz, wybrawszy sobie nocą drogę przez drzewo do jej okna? Przekonałeś się już, że jesteś jej bardziej obmierzły niż ktokolwiek bądź inny na świecie, a jednak ciągle ją napastujesz. Wiele razy ona ci swą wzgardę jawnie okazała, o tym mówić nie będę, aliści czy o moje przestrogi i napomnienia nie dbasz wcale? Posłuchaj teraz, co ci powiem. Dotychczas milczeniem twoje niecnoty pokrywała, oczywiście, nie z miłości do ciebie, lecz ze względu na prośby moje. Ale już na przyszłość nie będzie milczała; dałem jej bowiem zupełną wolność postępowania, jeżeli znowu dręczyć się ją odważysz. Co się stanie z tobą, jeżeli się swoimi braciom poskarży?

Szcześliwy kochanek dowiedział się z tych słów wszystkiego, czego mu było trza. Nie tracąc czasu, pożegnał się z mnichem, przyrzekłszy mu, jak umiał najlepiej, że jego przestrogi będzie miał na uwadze. Następnej nocy, przed jutrznią, zakradł się do sadu, wdrapał się na drzewo i znalazłszy okno otworem stojące wszedł do komnaty i jak mógł najszybciej rzucił się w objęcia swojej damy.

Białogłowa dawno czekała nań z wielką tęskliwością. Ujrawszy go rzekła ze śmiechem:

– Niech będzie błogosławiony ów ojciec wielebny, który ci tak dobrze drogę do mnie pokazał!

Po czym pograżyli się w rozkoszy. Długo miłosne harce czynili, śmiejąc się i żartując z głupoty świątobliwego braciszka a także z kólek, grzebieni i innych narzędzi tkackich. Potem umówiwszy się, jak im działać należy, nie uciekając się już do pośrednictwa mnicha, wiele podobnych nocy w weselu spędzili. Niech Bóg w nieskończonym miłosierdziu swoim rychło mnie i inne dusze chrześcijańskie takimi rozkosznymi nocami obdarzy!»

Opowieść czwarta



DROGA DO RAJU

Don Felice poucza brata Puccia, jak ma drogą pokuty zbawienia dostąpić. Brat Puccio pokutę odprawia, a mnich tymczasem z jego żoną miłosne igraszki czyni.

Gdy Filomena, opowiedziawszy swoją historię, zamilkła, Dioneo stosownymi słowy pochwalił wielce bystrość dowcipu białogłowy, a także i Filomeny modlitewne westchnienie przy końcu. Królowa, spojrzawszy z uśmiechem na Panfila, rzekła doń:

– Teraz ty, Panfilo, uracz nas jakąś wesołą opowieścią. Panfilo oświadczył gotowość swoją i tak zaczął:

– Siła jest takich ludzi, co to nie szczędząc wysiłków, aby się do rajy dostać, nie spostrzegają, że wprowadzają tam, miast siebie, innego; tak właśnie rzecz się miała niedawno z jedną naszą rodaczką, o czym wam zaraz opowiem.

«Według tego, co słyszałem, niedaleko od San Brancazio⁸⁰ mieszkał pewien poczciwy i bogaty człek, Pucciem di Rinieri zwany, który, nabożnym będąc, wkrótce sprawom zbawienia całkiem się oddał, stał się tercjarzem w zakonie św. Franciszka i bratem Puccio zwać się począł. Ponieważ żadnej rodziny nie miał, a cały dom jego składał się jeno z żony i jednej służącej, więc zbytnich trosk nie zaznając mógł skłonności swojej zadość uczynić i cały wolny czas w kościele spędzać. Jako człek gruby i na umyśle tępy, klepał modlitwy, na kazania chodził, godzinki pilnie śpiewał, pościł, umartwiał się i mszy słuchał, a jak słuchy chodziły, także do liczby biczowników należał. Żona jego, madonną Isabetą zwaną, młoda jeszcze białogłowa, około trzydziestu lat licząca, była osobą piękną, świeżą i krągłą jak jabłuszko. Z przyczyny zbytniej nabożności męża, a także podeszłych lat jego musiała nieraz zachowywać dłuższy post, aniżeliby tego pragnęła. Gdy chciała już spać albo może harce z mężem swym czynić, ów opowiadał jej o życiu Chrystusa, o pokusie Magdaleny lub o kazaniach brata Anastazego.

W owym czasie powrócił z Paryża pewien mnich, należący do klasztoru w San Brancazio, don⁸¹ Felice zwany. Był to człek młody, wielce urodziwy, a do tego bystry i głęboko uczony. Brat Puccio zaraz z nim w stosunek bliskiej przyjaźni wstąpił. Mnich rozwiązywał jak najlepiej wszystkie jego wątpliwości, a poznawszy jego naturę, zapragnął wydać mu się człkiem świątobliwym. Brat Puccio wprowadził go do domu swego i nieraz go na wieczerzę zapraszał. Także i żona jego, dla miłości męża, chętnie czyniła honory gościowi, rychło się z nim

oswoiwszy. Don Felice, ujrawszy urodziwą i pulchną białogłowe, dorozumiał się zaraz, czego jej brakować musi, dlatego też postanowił, o ile tylko zdoła, uwolnić brata Puccia od trudu i wziąć go na barki własne. Jął więc śmiało rzucać na młodą białogłowe znaczące spojrzenia i przyłożywszy się pilnie do dzieła, tyle sprawił, że podobną żądzę do tej, jaką sam uczuwał, i w niej zapalił. Spozrzeglwszy to skorzystał z pierwszej nadarzonej sposobności, aby się z żoną brata Puccia wedle swej woli porozumieć. Chociaż znalazł ją gotową przywieść rzecz całą do końca, przecie nie mógł się tego od niej dobić, aby mu naznaczyła spotkanie gdzieś poza swoim domem. W domu zasię nie podobna było nic uczynić, brat Puccio bowiem nie zwykł był nigdy wyjeżdżać. Wszystko to wielce mnicha martwiło. Wreszcie przyszedł mu do głowy fortel, dzięki któremu spodziewał się, że będzie się mógł cieszyć do woli wdziękami Isabetty w jej domu, bez obudzenia podejrzeń w duszy brata Puccia.

Pewnego razu, gdy brat Puccio go odwiedził, rzekł doń:

– Już nieraz spostrzegłem, bracie Puccio, że jedno tylko pragnienie żywicie: zbawienia dostąpić. Zdaje mi się jednak, że zbyt długą drogą do tego celu zmierzacie. Przecie istnieje i inna droga, znacznie krótsza, którą kroczy papież i wysocy dostojnicy Kościoła. Co prawda nie chcą oni drogi tej ludziom ukazywać, bowiem stan duchowny, żyjący z jałmużny wierznych za wskazywanie im ścieżki do nieba, wielce by na tym ucierpiał. Ponieważ jednak jesteście moim przyjacielem, dla którego wiele wdzięczności za okazywane mi względy żywicie, dlatego też odkrywam wam tajemnicę, jeśli chcecie pójść za tym wskazaniem, a nikomu na świecie go nie zdradzicie.

Brat Puccio, pełen ciekawości, jął go prosić i nastawać na niego, aby mu wskazówek potrzebnych udzielił, zaręczając i klnąc się na wszystkie świętości, że nikomu o tym ani słowa nie powie i że sam zaraz drogi tej spróbuje, o ile tylko sił mu stanie.

– Dobrze więc – odparł mnich – skoro mi tak uroczyście milczeć przyrzekacie, dam wam stosowne pouczenie. Wiedzieć wam należy, iż ojcowie Kościoła twierdzą, że ten, kto chce zbawienia dostąpić, winien następującą pokutę odbywać. Zrozumcie mnie jednak dobrze! Nie twierdzą ja, że po tej pokucie zupełnie grzesznikiem być przestaniecie, ale jeno, że wszystkie winy popełnione do chwili pokuty, odpuszczone wam zostaną. Te błędy zasię, w które popadniecie po jej odprawieniu, nie będą wam policzone ku potępieniu, przeciwnie, jak grzech powszedni, odrobiną wody święconej zmyć się dadzą.

Przede wszystkim więc, chcąc odprawić pokutę, musicie się szczerze i należycie wyspowiadać, później zasię należy zacząć post i życie wstrzemięźliwe, które ma trwać dni czterdzieści; w tym czasie nie wolno wam tknąć swojej żony, a tym bardziej żadnej innej białogłowy. Krom tego, musicie znaleźć w swoim domu miejsce odosobnione, gdzie pozostając moglibyście przez całą noc w gwiazdziste niebo się wpatrywać. Udacie się tam późnym wieczorem i narychtujecie sobie długi stół, tak wysoki, abyście stojąc, lędźwiami o niego opierać się mogli. Połóżycie na stół swoje ramiona, przyjmując postawę Ukrzyżowanego, możecie się przy tym rękoma za dwa kołki uchwycić. W tej postawie, patrząc w niebo i najmniejszego poruszenia nie czyniąc, pozostaniecie aż do jutrzni. Gdybyście byli uczeni w piśmie, dałbym wam modlitwy, które w czasie pokuty odmawiać należy, ponieważ jednak czytać nie umiecie, musicie tedy odmówić trzysta razy Zdrowaś Maryja i tyleż razy Ojcze Nasz. Przez cały ten czas będziecie patrzyli w niebo i nieustannie myśleli o tym, że Bóg stworzył ziemię i niebo, uprzymniając sobie również mękę Zbawiciela. Gdy na jutrznię zadzwonią, odejdziecie i jeśli wola, rzucicie się w ubraniu na łożo i zaśnięcie. Rankiem musicie jeszcze udać się do kościoła, wysłuchać trzech mszy i odmówić z pięćdziesiąt Ojcze Nasz i tyleż Zdrowaś Maryja. Potem wolno wam będzie zająć się swymi sprawami i obiad zjeść. Jednakże w porze niesporów znowu powinniście pójść do kościoła i tam odmówić kilka pacierzy, których was zaraz nauczę, a bez których obejść się nie lza. Za nadejściem wieczoru od nowa pokutę rozpoczniecie.

Ja sam kiedyś wszystko to czyniłem, dlatego też jestem upewniony, że zanim do końca pokuty dojdziecie, uczujecie rozkosz wiecznego zbawienia.

– Praktyki te nie wydają mi się zbyt uciążliwe i długotrwałe – odparł brat Puccio – i myślę, że im łatwo sprostam; z pomocą Boską zacznę pokutę jeszcze w tę niedzielę.

Przyszedłszy do domu opowiedział o wszystkim, za zezwoleniem mnicha, swojej żonie. Ta dorozumiała się zaraz, w jakim celu mnich rozkazał mu, nie drgnąwszy, przez całą noc pokutować. Znalazłszy ten fortel wcale udatnym, rzekła, że wielce rada będzie zawsze z wszystkiego, co on za użyteczne dla zbawienia duszy swojej uzna. Żeby zaś Bóg łaskawie tę jego pokutę przyjął gotowa jest z mężem post podzielić, innych prywatyj na się nie biorąc.

Gdy nadeszła niedziela, brat Puccio pokutę swoją rozpoczął, mnich zaś, ułożywszy się z Isabetą, prawie każdego wieczora do niej się zakradał nie będąc przez nikogo widziany. Przynosił z sobą przednie potrawy i wina; po spożyciu wieczerzy kładli się do łoża i figlowali aż do jutrzni; o tej godzinie mnich odchodził, a brat Puccio do łoża powracał. Ponieważ jednak miejsce pokuty brata Puccia oddzielone było tylko cienkim przepierzeniem od komnaty jego małżonki, zdarzyło się tedy, że gdy mnich zbyt tęgo panią Isabetę tarnosił, zdało się pokutnikowi, że trzeszcza wszystkie krokwie w komnacie. Odmówił już był sto ojczenaszów, a gdy do sto pierwszego miał się zabierać, zapytał:

– Na miłość Boską, moja żono, co tobą tak rzuca? Wielce żartobliwa białogłowa, która zapewne dosiadała właśnie rumaka świętego Benedykta czy świętego Jana Gwalberta, odparła:

– Na mą duszę, mężu drogi, przewracam się, jak tylko mogę!

– Jak to przewracasz się? Co chcesz powiedzieć przez to?

– Jakże się możesz jeszcze pytać o to? – odrzekła Isabetta, ledwo hamując się od śmiechu (a było, wierę, śmiać się z czego). – Zaliżem cię nie słyszała mówiącego tysiąc razy: „Kto się cały dzień przepości, nie ma w nocy spokojności.”

Brat Puccio, uwierzywszy, że żona wskutek długiego postu zasnąć nie może i dlatego tak na łożu się przewraca, rzekł do niej dobrodusznie:

– Prosiłem cię nieraz, żono, abys postów zaniechała, aleś nie chciała mnie posłuchać. Proszę cię, nie myśl już o tym, staraj się teraz zasnąć, bowiem tak się na łożu rzucasz, że je całe na drzazgi porozbijasz.

– Nie troskaj się o to, miły mężu – odparła białogłowa – wiem, co czynię. Bacz na siebie, abys dobrze czynił, ja zaś w miarę sił moich będę się starała, aby jeszcze lepiej czynić.

Puccio zamilkł i znowu do modlitw swoich przystąpił. Isabetta i mnich jeszcze tej nocy w innej części domu narychtowali sobie łożę, w którym z radością harcowali w czasie pokuty brata Puccia. O jutrzni mnich wychodził, białogłowa do małżeńskiej łożnicy powracała, a wkrótce i brat Puccio przybywał. Gdy więc brat tym kształtem pokutę odprawiał, a żona jego z towarzyszem zabawiali się mile, Isabetta nieraz żartobliwie do mnicha mawiała:

– Zadałeś mężowi pokutę, dzięki której my już rajy zażywamy.

Isabetta tak przywykła i tak zasmakowała w strawie, którą ją mnich obdarzał (trza wie-dzieć, że mąż od dawna w poście ją trzymał), że nim pokuta brata Puccia do końca dobiegła znalazła sposób pożywania się poza domem. Folgowała zatem swoim chuciom w tajności i bez przeszkód.

Zważcie, że ostatnie słowa mojej opowieści wcale pierwszym me przeczą, brat Puccio bowiem, mniemając, że przez ciężką pokutę dostanie się do rajy, pokazał doń drogę mnichowi i żonie swojej, która w nieustannej potrzebie żyła, póki się nad nią szczodry mnich nie ulitował.»

Opowieść piąta



KOŃ I ŻONA

Strojniś czyni ze swego rumaka dar dla messera Franceska Vergellesi. Za to wolno mu jest rozmawiać z żoną pana Franceska. Ponieważ dama milczy, więc Strojniś odpowiada za nią. Później zaś dzieje się wszystko według jego odpowiedzi.

Swoją opowieść o bracie Puccio zakończył Panfilo przy ogólnym śmiechu dam. Następnie królowa obróciła się do Elizy i rzekła, że na nią kolej przypada.

Eliza mówić zaczęła trochę drwiąco, nie tyle ze złośliwości co z długiego nawyku:

– Wielu ludzi dużo wiedzących mniema, że krom nich nikt nic wiedzieć nie może. Ale często pragnąc innych wyprowadzić w pole, przyznać muszą, że sami zostali na hak przywiezieni. Dlatego też jestem przekonana, że nie należy bez potrzeby siły umysłu innych na próbę wystawiać. Że jednak może nie wszyscy z was są podobnego zdania, opowiem wam, co się zdarzyło pewnemu szlachcicowi z Pistoii.

«W Pistoii mieszkał szlachcic z rodu Vergellesi⁸², imieniem Francesko. Był to człek wielce bogaty, mądry, pełen życiowej eksperjencji, aliści skąpy okrutnie. Ów, mianowany będąc podestą Mediolanu i wybierając się w drogę do tego miasta, opatrzył się we wszystko, czego mu było trza, stosownie do godności swojej. Brakowało mu tylko pięknego rumaka. Nie mogąc znaleźć takiego, co by mu się podobał, trapił się i myślał, gdzieby go dostać. W owym czasie znajdował się w Pistoii pewien młodzieniec, imieniem Ricciardo, z nieznacznego idący rodu, ale bogaty wielce. Ricciardo tak był o swój pozór i strój dbały, że mu przydomek Strojnisia⁸³ nadano. Młodzieniec ów od dawnego czasu miłował i bez powodzenia zabiegami swymi otaczał żonę messera⁸⁴ Franceskę, białogłową cnotliwą i wysokiej urody. Ponieważ zaś posiadał jednego z najpiękniejszych rumaków Toskanii, z którego był wielce dumny, a namiętność jego do żony pana Franceska była rzeczą powszechnie wiadomą, więc ktoś messerowi Francesko poradził, aby zażądał od Strojnisia jego rumaka. Dla miłości, jaką żywi do jego żony, niechybnie mu go odda. Messer Francesko, chciwością powodowany, zaprosił do siebie Strojnisia i zwrócił się do niego, aby mu rumaka sprzedał, w oczekiwaniu, że ten ofiaruje mu go w darze. Strojniś, usłyszawszy tę prośbę, uśmiechnął się i rzekł:

– Gdybyście mi dali wszystko, co posiadacie, jeszcze byście mego konia drogą kupna nie otrzymali. Możecie go jednak łatwo w podarunku dostać. Zezwólcie tylko, abym zanim ru-

maka otrzymacie, mógł w waszej przytomności słów kilka waszej żonie powiedzieć, w takim jednakże oddaleniu, aby nikt, krom niej, nie mógł mnie usłyszeć.

Francesko, zaślepiony chciwością, sądząc, że mu się uda łatwo Ricciarda na hak przywieść, przystał na ten warunek i oznajmił, że Strojnis może do jego żony tyle słów skierować, ile mu się tylko podoba. Ostawiwszy Ricciarda w wielkiej sali swego pałacu, udał się do komnaty żony, opowiedział jej, jakim łatwym sposobem może przyjść do posiadania rumaka, i przykazał, aby poszła wysłuchać Strojnisia, nie odpowiadając jednakże ani słowem na jego wywody. Żonie Francesca wielce to wszystko nie po myśli było, zmuszona jednakże wolę męża wypełnić, rzekła, że się zgadza. Za czym weszła z mężem do sali, aby posłuchać, co Strojnis mówić będzie.

Ricciardo, potwierdziwszy umowę swoją z Franceskiem, usiadł z jego żoną w odległym kącie komnaty i rzekł:

– Nie masz najmniejszej wątpliwości, szlachetna pani, że dzięki wielkiemu rozumowi swemu dawnoście już odgadnąć mogli, jaką miłość wzbudziła we mnie wielka wasza piękność, która z żadną inną w paragon nie wchodząc nad wszystkimi przodek bierze. Nie będę tutaj się szerzył nad waszymi obyczajami i osobliwymi przymiotami, których doskonałości żaden człek wzniesłego ducha oprzeć by się nie zdołał. Nie trza także słowami dowodzić, że afekt mój do was jest silniejszy i bardziej ognisty, niż jakiegokolwiek uczucie, które mężczyzna do kobiety żywić może. Trwać ono będzie w tej samej sile, dopóki mi nędznego żywota starczy, jeżeli zaś na tamtym świecie jeszcze się istnieje, będę was miłował przez wieczność całą. Dlatego też możecie być przeświadczeni, że nie ma nic, drogiej czy pośledniej ceny, co byście tak prawdziwie swoim nazwać mieli prawo i na co byście we wszelkich okolicznościach tak liczyć mogli, jak na mnie i na wszelkie dobra moje.

Abyście się o tym przeświadczyć mogli dowodnie, powiem wam, że za największą łaskę sobie bym to poczytywał, gdybyście zlecili mi uczynić coś dla ukontentowania waszego. Miałbym to za większe szczęście, niż gdyby mnie cały świat słuchał. Skoro własność waszą stanowią, jak to widzicie ze słów moich, zaliż mam daremnie gorące prośby do was zanosić, wiedząc, że tylko od was może spłynąć na mnie spokój i szczęście? Dlatego też, jako pokorny niewolnik, proszę was, będących jedynym moim dobrem i nadzieją duszy mojej, która ufności pełna miłosnymi płomieniami się żywi, abyście raczyli stać się łaskawszą dla mnie i zmiękczyć nieco dotychczasową surowość swoją. Waszą litością pokrzepiony, będę mógł powiedzieć, że wasza piękność, co miłość we mnie wzbudziła, tchnęła też życie we mnie. Jeżeli wyniosłej swej duszy do prośb moich nie nakłonicie, życie moje wkrótce zagaśnie. Umrę, a was będą mogli nazwać morderczynią. Śmierć moja nie przyniosłaby wam chluby, mniemam także, że sumienie by wam spokoju nie dało i że wówczas, łaskawszą będąc dla pamięci mojej, niżli dzisiaj dla mnie jesteście, rzeklibyście do się; „Jakże źle postąpiłam, nie okazawszy memu biednemu Ricciardowi ani krztyny litości!”

Dręczona niewczesnym żalem, tym głębszy ból poczuje. Aby więc temu zapobiec, póki jeszcze czas, ulitujcie się nade mną i bądźcie łaskawi dla mnie, zanim nie zginę. W waszej mocy leży uczynić mnie najszczęśliwszym czy też najbiedniejszym na ziemi człowiekiem. Tuszę, że wasza miłość bliźniego do tego nie dopuści, abym miał za mą niezmierną miłość śmierć odnieść w zapłacie, ale że owszem, przychylnym i łaskawym responsem wskrzepicie władze duszy mojej, które drżą teraz przed waszym obliczem.

Tutaj Ricciardo zamilkł i głęboko wzdychając, kilka łez uronił. Czekał teraz, co miła pani mu odpowie. Dama, której dotychczas wszystkie zabiegi Strojnisia, jako to turnieje czy serenady, poruszyć nie mogły, teraz na te wymowne i namiętne słowa kochanka poczuła nieznane jej dotąd wzruszenie, i pojęła, co miłość znaczy. I chociaż, posłuszna rozkazaniu męża, głębokie milczenie zachowywała, nie mogła przecie pohamować westchnienia, które Strojnisowi wyjawilo to, co by chętnie w słowach mu wyznała.

Ricciardo poczekał chwilę, ale widząc, że responsu nie ma, zadziwił się zrazu wielce; póź-

niej jednak odgadł, jakiego podstępu Francesco chwycić się musiał. Spojrzawszy na oblicze damy, spostrzegł, że oczy jej, zwrócone na niego, błyszcząły dziwnym blaskiem, usłyszał także stłumione westchnienia, dobywające się z jej łona, nabrał przeto otuchy i na nowy wpadł fortel. Jął odpowiadać sam sobie w imieniu damy i w jej przytomności na ten kształt:

– Drogi Ricciardo, w samej rzeczy od dawna już spostrzegłam miłość twoją ku mnie i poznałam, że jest ona niezmierna i pełna doskonałości, teraz zaś dzięki twoim słowom ugruntowałam się jeszcze bardziej w swym przekonaniu. Żywą radością wszystko to mnie przejmuję. Jeżeli twarzą i nieużyta być ci się zdałam, to nie sądź, że oblicze moje było istotnym mego serca obrazem. Zawsze cię miłowałam, byłeś mi najdroższym człkiem na świecie. Należało mi jednakowoż tak czynić z lęku przed ludźmi i z troskliwości o dobrą cześć moją. Dzisiaj natomiast nadchodzi pora, gdy będę mogła dać ci jawne dowody miłości mojej i wynagrodzić cię za afekt, który zawsze dla mnie żywiłeś i żywisz. Dlatego też pociesz się i bądź dobrej myśli. Francesco odjeżdża wkrótce do Mediolanu, aby tam godność podesty piastować. Wiesz sam o tym najlepiej, bowiem dla miłości swej do mnie oddałeś mu pięknego swego rumaka. Gdy tylko mąż mój gród nasz opuści, przysięgam ci na cześć moją i tę szczerą miłość, którą ci wyznaję, że w jak najprędszym czasie przywołam cię, aby nasza namiętność do lubego skutku dowiedziona być mogła.

Ażebym zaś nie potrzebowała jeszcze raz w tej sprawie porozumiewać się z tobą, posłuchaj uważnie, co ci teraz powiem. Owego dnia obaczysz dwa ręczniki zawieszzone u okna mojej komnaty, wychodzącej na ogród. Następnej nocy, mając to na pieczy, aby cię nikt nie spostrzegł, postaraj się przekraść do mnie przez bramę ogrodu. Zastaniesz mnie czekającą na cię i wówczas całą noc będziemy się cieszyli sobą, czego tak bardzo pragniemy.

Gdy już Strojniś te słowa w imieniu damy wypowiedział, jął odpowiadać jej od siebie tą modłą:

– Miła moja, od ogromnej radości, jaką odczuwam, słysząc waszą odpowiedź przychylną, tak mi w piersiach dech zaparło, że ledwie jestem w stanie należny dank wam złożyć. Gdybym mógł mówić tak, jak tego pragnę, nie starczyłoby mi, słów i czasu, choćby najdłuższego, na wypowiedzenie tego, co się w duszy mojej dzieje. Niechże zatem umysł wasz wnikliwy sam pojmie, co powiedzieć chciałem, słów nie znachodząc. Rzeknę wam tylko, że rozkazy wasze najściślej wypełnię. Wówczas pod dobroczynnym wpływem łaski, jaka mnie spotkała, na duchu skrzepiony, będę się starał w miarę sił wdzięczność moją wam okazać. Teraz zaś nie pozostaje nic innego, jak prosić Boga, aby zesłał wam wszelką radość i szczęśliwość, jakiej tylko pragniecie, Bogu was polecam, szlachetna pani!

Na to wszystko nie odrzekła dama ani słowa. Strojniś powstał i udał się do Franceska, który obaczywszy go, wyszedł mu na spotkanie i rzekł ze śmiechem:

– Cóż, zali dobrze obietnicę swą uściłem?

– Nie – odparł Strojniś – przyobiecaliście mi bowiem, panie, że będę mówił z żoną waszą, tymczasem natknąłem się na posąg marmurowy.

Odpowiedź ta niezmiernie się panu Franceskowi podobała i dała mu jeszcze lepsze pojęcie o cnocie żony, aniżeli miał dotąd.

– W każdym razie koń twój do mnie należy – rzekł.

– Tak – odparł Ricciardo – gdybym był jednakże wiedział, że za moją łaskawość taką nagrodę od was otrzymam, to podarowałbym wam rumaka wcześniej, żadnych nie stawiając warunków. I szkoda zaiste, że tak nie uczyniłem, bo wy kupiliście wierzchowca, choć ja go nie sprzedałem.

Francesko roześmiał się w głos, a potem, odebrawszy konia, po paru dniach udał się do Mediolanu, by objąć swój urząd.

Dama, pozostawszy sama w domu, często wspominała sobie słowa Strojnisia, myślała także o jego miłości dla niej i o rumaku, dla tej miłości podarowanym przezeń mężowi. Widząc go zaś przechadzającego się nieustannie pod jej oknami, rzekła do się:

„Co ja czynię? Dlaczego marnuję mój wiek młody? Mąż wyjechał do Mediolanu i wróci nie prędzej jak za sześć miesięcy. Czyż mi wynagrodzi kiedy te stracone chwile? Może wówczas, gdy będę już staruchą? Krom tego, gdzież znajdę takiego miłośnika jak Ricciardo? Jestem tu sama i nie obawiam się nikogo. Dlaczegoż miałabym tak szczęśliwą sposobność zaniedbać. Kto wie, czy podobna kiedykolwiek się trafi? Nikt o tym nigdy się nie dowie, a zresztą, gdyby i wszystko na jaw wyszło, lepiej pokutować za to, czego się użyło, aniżeli żałować tego, czego się nie zaznało.”

Porozmyślawszy do syta, pewnego dnia zawiesiła na oknie wychodzącym na sad dwa ręczniki. Ricciardo, ujrzawszy je, ucieszył się okrutnie i za nadejściem nocy wśliznął się po kryjomu do sadu przez furtkę, która zaparta nie była. Później wszedł do domu damy, która wyszła mu na spotkanie i z oznakami najżywszej radości go przyjęła. Ricciardo, objawwszy ją i ucałowawszy tysiąc razy, wszedł za nią na stopnie schodów. Nie mieszkając legli do łoża i ostatnie granice miłości poznali. Ten pierwszy raz ostatnim wcale nie był, bowiem w czasie nieobecności Franceska, a także po jego powrocie, Strojniś nieraz do domu jego żony powracał, składając jej liczne miłości dowody ku obopólnemu ukontentowaniu.»

Opowieść szósta



W MIŁOŚCI JAK NA WOJNIE

Ricciardo Minutolo miłuje żonę Filippella Sighinolfiego. Ta, będąc zazdrosna, daje wiarę słówom Ricciarda, że mąż jej wraz z jego żoną mają się spotkać w łaźni. Ricciardo tak zręcznie rzecz prowadzi, że Catella przybywa do łaźni, gdzie wzięwszy go za męża, po społu z nim przebywa.

Gdy Eliza zamilkła, królowa pochwaliła roztropność Strojnisia i Fiammetcie opowiadać przykazała.

Fiammetta rzekła z uśmiechem, że jest gotowa, i w te słowa zaczęła:

– Musimy się na niedługi czas oddalić od naszej stolicy, która obfituje w rozliczne przypadki i w przykłady każdej materii dotyczące. Podobnie jak i Eliza opowiem wam o rzeczach, które gdzie indziej się na świecie przytrafiły. Przenieście się ze mną do Neapolu i posłuchajcie, jak to jedną z tych pobożni, krzywiących się na wspomnienie miłości, przebiegły kochanek zmusił do skosztowania jej owoców, nim jeszcze kwiaty poznała. Opowieść moja posłuży wam na przyszłość przestroga, a także wszystkich was zabawi przeszłości wspomnieniem.

«W starożytnym mieście Neapolu, najmilszej może ze wszystkich stolic Italii, żył pewien młodzieniec, bardzo znacznego rodu, a przy tym wielce bogaty, nazwiskiem Ricciardo Minutolo⁸⁵. Ów, chociaż miał urodziwą i młodą żonkę, przecie zakochał się w innej białogłowie, która według powszechnego mniemania urodą swoją nad wszystkimi Neapolitankami górowała. Catella (bowiem tak się zwała) była żoną młodego i również znacznego człeka, Filippella Sighinolfi⁸⁶, który ją nad wszystko w świecie miłował i dla jej uczciwości w wielkim ją miał zachowaniu a czci. Ricciardo Minutolo, rozkochawszy się w tej damie, użył wszelkich środków, którymi zwykle wzajemność i względy białogłowy się zdobywa, aliści wszystko to do upragnionego nie doprowadziło go skutku. Popadł zatem w czarną rozpacz, a nie będąc w stanie od swej namiętności się uwolnić, ani życiem cieszyć się nie mógł, ani umrzeć nie potrafił. Widząc go w podobnym stanie, kilka białogłów, które się do jego rodziny zaliczały, jęło go pocieszać i przekładać mu, aby wybił sobie z głowy ową miłość, bowiem wszystkie starania daremnymi się okazały. Catella nikogo na świecie tak nie miłuje, jak Filippella; jest przy tym tak o niego zazdrosna, iż drży nawet przed każdym przelatującym ptakiem, aby go jej przypadkiem nie porwał.

Ricciardo, usłyszawszy o zazdrości Catelli, zaraz powziął pewną myśl sprzyjającą jego zamiarom i uczynił pozór, że zwątpiwszy już, aby względy Catelli mógł pozyskać, zwrócił swoje afekty ku innej szlachetnej białogłowie, na cześć której począł urządzać turnieje i gonitwy, co przedtem dla Catelli zwykł był czynić.

Niewiele czasu upłynęło, a już wszyscy w Neapolu, po społu z Catellą, tego mniemania byli, że Ricciardo nie Catellę, lecz tę drugą białogłowę gorącym afektem darzy. Tak długo chytre swoje ułożenie prowadził, aż wszyscy uwierzyli w to twardo, a Catella, przestawszy się mieć na baczości, jak dawniej, gdy jeszcze miłość do niej żywił, jęła się z nim przyjaźnie obchodzić i przy spotkaniu na równi z innymi, uprzejmie go jako sąsiada witać.

Tymczasem nastąpiło upalne lato i wielka liczba mężczyzn jak i kobiet, zgodnie z neapolitańskim zwyczajem, wybrała się nad brzeg morza, aby tam wczasu zażyć, a także obiad i wieczerzę spożyć. Ricciardo, zasłyszawszy, że Catella z towarzystwem swoim tam się znajduje, również z swoimi przyjaciółmi na brzeg morza się udał. Długo się prosić kazał, nim do kompanii Catelli się przyłączył, dając przez to poznać, że niewiele o to stoi. Białogłowy, a w ich liczbie i Catella, jęły dworować nieco z jego nowej miłości. Ricciardo udawał, że cały jest tą miłością rozplomieniony, przez co jeszcze większy dał do gadek powód. Wkrótce potem towarzystwo się rozproszyło, jak to bywa nad morzem, tak iż Ricciardo sam niemal z Catellą pozostał. Wówczas skorzystał z chwili, aby jej napomknąć niejasno o pewnej miłostce jej męża, Filippella. Catella zaraz srogą zazdrość uczuła i zapłonęła żądzą dowiedzenia się bliższych szczegółów. Przez chwilę hamowała się, ale wreszcie, nie będąc zdolna wytrwać dłużej, zakłęła Ricciarda na miłość ulubionej przez niego damy, aby wyjaśnił jej słowa Filippella się dotyczące.

– Pani – odparł Ricciardo – zakłęć mi na imię takiej osoby, że niesposób jest, abym miał wam czegokolwiek odmówić. Dlatego też gotów jestem powiedzieć wam wszystko, pod warunkiem jednak, że przyrzekniecie mi nie wspominać o tym ani słowa, czy to mężowi, czy komukolwiek innemu, do czasu, aż się nie upewnicie co do prawdy słów moich. Jeśli zechcecie zaś, nauczę was, jak macie postąpić, aby się przekonać.

Dama zgodziła się chętnie na tę kondycję⁸⁷, uwierzyła jeszcze silniej w jego słowa i poprzysięgła, że nikomu tajemnicy nie zdradzi. Wówczas Ricciardo odwiódł ją na stronę, aby inni ich nie słyszeli, i rzekł na ten kształt:

– Gdybym was tak jak dawniej miłował, nie miałbym odwagi powiedzieć wam tego, co by wam strapienia przyczynić mogło. Teraz jednak, gdy miłość już minęła, nie będę się wahał odkryć wam całej prawdy. Nie wiem, czy Filippella drażnił afekt, który dla was żywiłem, czy też wydawało mu się, żeście mi wzajemnością odpłacali, jakby się jednak i rzecz nie miała, nigdy nic nie dał poznać po sobie. Teraz jednak, sądząc widocznie, że nadszedł czas sposobny, gdy ja mniej będę skory do podejrzeń, chce mi odpłacić pięknym za nadobne i uczynić mi to, czego obawiał się, abym ja mu nie uczynił: czyli żonę moją uwieść. Wiem, że od pewnego czasu stara się ją nakłonić do zdrady tajemnymi poselstwami, o których zaraz mi donosiła. Odpowiadała na nie zgodnie z moją radą a pouczeniem. Jednakoż dzisiaj rano, nim tutaj przybyłem, zastałem w komnacie żony jakąś białogłową, tajnie nad czymś się z nią naradzającą. Zaraz odgadłem, co to za jedna, i spytałem żony, czego chce ta kobieta.

– Jest to posłanka Filippella – odparła. – Sprowadzasz na mnie te kłopoty swoimi radami, odpowiedziami i dodawaniem mi nadziei. Filippello chce się dowiedzieć, jak postąpić zamyślam. Gdy się zgodzę, uczyni tak, abym mogła przyjść tajnie do pewnej łaźni. Do tego mnie nakłania i o to prosi. Gdybyś nie kazał mi Bóg wie w jakim celu, tych stosunków utrzymywać, już dawno byłabym mu dała taką odpowiedź, że nawet spojrzeć w moją stronę nie byłby się ośmielił.

Wówczas zdało mi się, że Filippello zbyt daleko swoją zuchwałość posuwa i że dłużej tego nie lza znosić. Postanowiłem tedy oznajmić wam o tym, abyście poznali, jak wam płacą za waszą wierność niewzruszoną, która mnie o mały włos do śmierci nie przywiodła. Abyście

zaś nie myśleli, że to są jeno puste słowa i bajędy, i byście mogli, gdy zechcecie, o prawdzie tej się przekonać i własnymi rękoma jej dotknąć, kazałem odpowiedzieć żonie przez tę kobietę, że gotowa jest przyjść jutro, około dziewiątej, gdy wszyscy śpią, do tej łaźni. Posłanka odeszła wielce uradowana. Spodziewam się, że nie sądzicie, abym żonie mojej pójść tam pozwolił. Gdybym był na waszym miejscu, uczyniłbym tak, aby miał tej, którą zastać sądzi, pan mąż mnie znalazł; przebywszy z nim czas niejaki, pokazałbym mu, kogo tak ściska, i zapłaciłbym mu tak, jak się należy. Gdybyście tak uczynili, niewątpliwie taki by nim wstyd o władnął, że ujma i nieprawość, którą wam i mnie chciał wyrządzić, w jednej chwili pomszczona by została.

Catella nie dała baczności na to, kto te słowa mówi, i podstępnie nie spostrzegła; przeciwnie, zgodnie z obyczajem zazdrośników, uwierzyła we wszystko i jęła przywozić sobie na pamięć rozliczne drobne okoliczności, które do tego faktu się ściągały.

Dlatego też, nagłym gniewem owładnięta, odparła, że w samej rzeczy tak uczyni, bowiem nie jest to rzecz do wypełnienia trudna, gdy zaś jej mąż się zjawi, tak go zasroma, że odtąd zawsze, gdy tylko jaką białogłową obaczy, despekt ten wspomnieć sobie będzie musiał.

Ricciardo, niezmiernie tym uradowany, obaczył, że fortel jego jest skuteczny; utwierdził ją zatem w tym jej przedsięwzięciu jeszcze innymi mnogimi słowy, tak iż uwierzyła mu całkiem. Prosił jeno, aby nikomu nie zdradziła, że się od niego o tym dowiedziała. Catella obiecała mu to uroczyście.

Następnego dnia Ricciardo udał się do pewnej kobiety, właścicielki łaźni, którą wskazał był Catelli; odkrył jej swój zamysł i prosił, aby w miarę sił swoich mu dopomogła. Kobieta ta, mająca wobec niego pewne obowiązki wdzięczności, zgodziła się chętnie i porozumiała się z nim, co jej czynić i mówić wypada.

W domu, gdzie mieściła się łaźnia, znajdowała się mała, ciemna komnata, nie mająca jednego choćby okna, co by ją oświetlało. Pocziwa kobieta, wedle wskazówek Ricciarda, przygotowała ją stosownie i postawiła w niej wygodne łóżko. Ricciardo, zjadłszy obiad, położył się na nie i jął czekać na Catellę.

Catella, wysłuchawszy słów Ricciarda i używszy im więcej wiary, niżli należało, gniewna i oburzona do domu powróciła. Wkrótce nadszedł także i Filippello, który jakimiś ważkimi myślami zajęty będąc, przypadkiem nie tak czule ją powitał, jak to zwykle miał w zwyczaju czynić. Spostrzegłszy to, Catella umocniła się jeszcze w swym podejrzeniu i rzekła do siebie: „Myśli, oczywista, o tej białogłowie, z którą jutro ma rozkoszy użyć, ale na Boga, nic z tego nie będzie!”

Takimi myślami zajęta, całą prawie noc głowiła się nad wynalezieniem stosownej do męża przemowy, gdy się z nim znajdzie.

Gdy nadeszła godzina dziewiąta, Catella wzięła swoją pokojową i spełniając postanowienie, udała się do łaźni, o której Ricciardo mówił. Ujrawszy łaźnienicę, spytała, zali Filippello był tu dzisiaj? Ta, nauczona przez Ricciarda, odparła:

– Zali jesteście, pani, tą damą, na którą on czeka?

– Tak – rzekła Catella.

– Tedy pozwólcie do niego!

Catella, która wybrała się szukać tego, kogo jako żywo, wcale znaleźć nie chciała, pozwoliła się zawieść do komnaty, gdzie na łóżku Ricciardo leżał. Weszła do komnaty, nie zdejmując zasłony z twarzy, i drzwi za sobą zaparła.

Ricciardo, ujrawszy ją, skoczył radośnie z łóżka, oblał ją piasno w ramionach i rzekł szeptem:

– Witam cię, najdroższa kochanko moja! Catella, nie chcąc się zdradzić, oddała mu uścisk za uścisk, ucałowała go i radość po sobie pokazała, ale nie rzekła ni słowa, bała się bowiem, aby jej nie poznał. Izba była ciemna, ku ukontentowaniu ich obojga. Nawet gdy się przez dłuższy czas w niej pozostawało, oczy niczego rozróżnić nie mogły. Ricciardo zaprowadził

Catellę do łoża. Leżeli na nim długo, zatopieni w rozkoszy, ku niewypowiedzianej radości każdego z nich, nie mówili jeno nic ze sobą, aby się głosem swoim nie zdradzić. Na koniec, gdy się wreszcie zdało Catelli, że winna dać folgę hamowanej tak długo wściekłości, zawołała, srogim gniewem zapalona:

– O Boże, jakże okrutny jest los białogłów i jakąż straszną za miłość swoją odbierają one od mężów zapłatę! O ja nieszczęsna! Oto od ośmiu lat kocham cię nad życie, ty zaś, niegodny człowieku, trawisz się namiętnością do innej kobiety? Kogóż to sądzisz mieć obecnie w objęciach swoich? Tę samą, którąś zwodził długo fałszywymi czułościami swymi, udając do niej miłość, podczas gdy kochałeś inną. Jam jest Catella, a nie żoną Ricciarda, zdrajco niegodny! Poznajeszże mój głos? To ja, ja w mojej własnej osobie! Zdawa mi się, że już tysiąc lat czekam na światło, żeby cię zasromać, psie chutliwy i łotrze przekłety! O ja nieszczęsna, dla kogóż to przez tyle lat podobną miłość żywiłam? Dla tego psa nędznego, który mniemając, że ściska w ramionach obcą białogłową, w ciągu tych kilku chwil liczniejszymi mnie pieszczotami obsypał niżli przez cały czas małżeństwa naszego. Umiałeś się teraz, nędzniku, stać dzielnym i krzepkim, chocia w domu za słabego, znużonego i niedołężnego chcesz zwykle uchodzić!

Bogu Najwyższemu chwala, żeś użyźnił swoje, a nie cudze, pole, jak mniemałeś. Nie dziwię się teraz, że poprzedniej nocy nie zbliżyłeś się wcale do mnie. Chciałeś na co innego nagromadzone siły zachować, aby wstąpić w bój miłosny jako świeży wypoczęty rycerz. Dzięki Bogu i mojej przezorności, struga spłynęła korytem, którym winna była spłynąć. Czemu nie odpowiadasz, potworze? Zali żeś oniemiał, słowa moje usłyszawszy? Nie wiem, na mą duszę, co mnie od tego wstrzymuje, aby ci oczy wydrapać. Mniemałeś, że ci się uda tę zdradę w tajności popelnąć, aliści, dzięki Bogu, i inni oczy mają. Lepiej cię śledziłam, niż sądzisz!

Ricciardo śmiał się w duchu, słysząc te słowa; nie odpowiadał na nie wcale, tylko ściskał i całował Catellę bez ustanku i coraz gorętsze łaski jej okazywał. Wówczas Catella znowu mówić poczęła:

– Jeżeli myślisz mnie teraz pieszczotami swymi ułagodzić i pocieszyć, w wielkim jesteś błędzie. Powiadam ci, że nie spocznę aż do tej chwili, gdy cię nie zawstydzę w przytomności wszystkich krewniaków, sąsiadów i przyjaciół.

Zali nie jestem, bezecniku, równie piękna, jak żona Ricciarda Minutolo? Czemu nie odpowiadasz, psie niewierny? Jakąż wyższość ma ona nade mną? Odsuń się ode mnie i nie śmiej mnie więcej dotykać. Już dosyć dowodów dzielności złożyłeś! Wiem dobrze, że teraz, uznawszy, że to ja jestem, wszystko, co byś czynił, czyniłbyś jeno z przymusem. Poczekaj, jeszcze nieźle się przepościsz z mojej łaski. Wierę, sama nie wiem, czemu nie posyłam po Ricciarda, który kochał mnie nad życie, chocia pochwalić się nie mógł, abym choć raz na niego spojrziała. Teraz wiem, że inaczej postępować należało. Mniemałeś, że znajdziesz tutaj jego żonę; znaczy więc, że jakbyś ją pieścił. Gdybym zatem ja do Ricciarda teraz należała, nie mógłbyś mi wyrzutów czynić.

Tu już jej słów zabrakło i gorzko zapłakała. Ricciardo, zważywszy na koniec, że gdyby ją w błędnym mniemaniu ostawił, przykre z tego skutki wyniknąć by mogły, postanowił dać się jej poznać i wywieść ją z błędu. Schwyciwszy ją przeto w objęcia, tak że się wyrwać nie mogła, rzekł:

– Nie niepokój się, najdroższa moja! Czego samą miłością osiągnąć nie zdołałem, pozyskałem dzięki podstępowi, którego mnie nauczył Amor. Jestem twoim Ricciardem!

Catella, słowa te usłyszawszy i poznavszy głos Ricciarda, chciała zaraz z łoża wyskoczyć, aliści uczynić tego nie zdołała. Później zagroziła, że krzyknie, lecz kochanek zamknął jej ręką usta i rzekł:

– Pani, tego, co się stało, odrobić się nie da, choćbyście i przez całe życie swoje krzyceć chcieli. Gdy teraz hałasu narobicie albo w jakikolwiek sposób sprawicie, że dojdzie to do wiadomości kogokolwiek, niewątpliwie dwa niemiłe z tego wynikną skutki. Dobra wasza

sława i cześć na szwank narażone zostaną, bowiem, choćbyście nawet utrzymywać chcieli, zem was podstępem tu zwabił, ja kłamstwo wam zadam i powiem, że was do tego obietnicami i podarunkami skłoniłem. Dalej rzeknę, iż w nadziei swojej co do ich wartości omyłona, wpadliście w gniew, gwałt ten podnosząc. Wiadomą wam zaś jest rzeczą, że świat chętniej złemu niż dobremu uwierzy, przeto też raczej mnie da posłuch niż wam. Krom tego między mną a mężem waszym śmiertelna nienawiść powstanie i rzeczy tak daleko zajść mogą, że albo ja jego zabiję, albo on mnie, a wątpię, abyście przez to szczęśliwsi czuć się mieli. Dlatego też nie ściągajcie hańby na się i nie wzbudzajcie kłótni między małżonkiem waszym a mną. Nie jesteście pierwszą ani nie ostatnią, zaiste, którą wyprowadzono w pole, ja zaś oszukałem was nie dlatego, aby jakąś własność wam odebrać, ale z przyczyny tej wielkiej miłości, jaką dla was żywię i zawsze żywić będę, waszym pokornym niewolnikiem się mieniąc. Od dawna już ja i całe moje mienie do was należy i wam jest podległe, od tej chwili pragnę jednak, abyście jeszcze więcej do wszystkiego mieli prawa. Jako że w różnych sprawach rozumni jesteście, tuszę, że i tu takimi się okażecie.

Gdy Ricciardo słowa te mówił, Catella gorzko płakała. Chocia jednak srodze strapiona i wzburzona była, przecie w głębi duszy przyznała, że Ricciardo ma słuszość i że w przyszłości zdarzyć się może tak, jak on przepowiada. Dlatego też rzekła:

– Nie wiem, zaiste, jak mi Bóg pomoże przenieść tę hańbę, którąście mi wyrządzili. Nie będę wszczynała rumoru tutaj, gdzie mnie przywiodła głupota i zazdrość nierozumna, jednakże przysięgam wam, że nie uspokoję się, dopóki w ten czy inny sposób za obrazę się nie pomszczę. Puśćcie mnie już i nie próbujcie zatrzymywać mnie dłużej. Osiągnęliście już przecie, czegoście pragnęli, i wymęczyliście mnie niezgorzej. Proszę więc raz jeszcze, pozwólcie mi odejść spokojnie!

Ricciardo, czując, że Catella jest jeszcze wzburzona ponad miarę, postanowił nie wypuszczać jej, dopóki się całkiem nie uspokoi, dlatego też ją najczulszymi słowami ułagadzać. Tak długo ją prosił, zaklinał i tak nalegał na nią, że Catella wreszcie, zwyciężona, pokój z nim zawarła. Pogodzeni z sobą, przebyli w łaźni jeszcze czas pewien, niewysłowionej rozkoszy zażywając. Catella, uznawszy, że pocałunki kochanka smakowitsze są od pocałunków męża, odmieniła dotychczasową swoją dla Ricciarda nieczułość na tkliwą miłość do niego. Przy wielkiej z obu stron przezorności, nieraz jeszcze swoją miłością się cieszyli. Oby Bóg i nam tak się cieszyć zezwolił!»

Opowieść siódma



PIELGRZYM

Tedaldo, w niezgodę z swoją damą popadłszy, opuszcza Florencję. Po pewnym czasie powraca do grodu w przebraniu pielgrzyma. W rozmowę wchodzi ze swoją panią i wykazuje jej, jaki błąd popełniła. Rатуje od śmierci jej męża, któremu dowiedziono, że stał się jego zabójcą, i godzi go z braćmi. Później wzajemną miłością rozważnie się cieszy.

Fiammetta zamilkła wśród ogólnych pochwał. Po czym królowa, aby czasu po próżnicy nie tracić, zaraz Emilii opowiadać kazała. Emilia w te słowa zaczęła:

– Pragnę powrócić do naszego miasta, od którego oddaliły się dwie moje poprzedniczki, i opowiedzieć wam, jak jednemu z ziomków naszych utracone względy kochanki odzyskać się udało.

«Żył niegdyś we Florencji młody szlachcic, Tedaldem degli Elisei⁸⁸ zwany, który miłował okrutnie pewną damę, imieniem Ermellina, żonę niejakiego Aldobrandina Palermi. Młodzieniec ów, dzięki swoim chwalebny obyczajom, godzien był cieszyć się pragnień swoich skutecznieniem, aliści fortuna, nieprzyjaciółka szczęśliwych, wspaniałemu temu stanęła. Nie wiedzieć, z jakiego powodu, dama, pełna dlań przez czas dłuższy przychylności, takiego doń wstrętu nabrała, że nie tylko poselstw od niego przyjmować nie chciała, ale i unikała jego widoku. Z tej przyczyny Tedaldo w ciężką i przykrą melankolię popadł. Ponieważ jednak miłość swoją dobrze ukrywał, nikt powodu jego strapienia odgadnąć nie mógł. Starając się wszelkimi sposobami odzyskać miłość, którą utracił był bez żadnej z swojej strony winy, i widząc, że wszystkie jego wysiłki są próżne, postanowił ojczyznę swoją opuścić, aby sprawczyni nieszczęścia widokiem jego strapienia i smutku cieszyć się nie mogła. Zebrał więc pieniądze, ile zdołał, i w wielkiej tajności, nie żegnając się z nikim, krom jednego przyjaciela, który o wszystkim był uwiadomiony, do Ankony wyruszył pod przybranym nazwiskiem Filippa di Saniodeccio.

W Ankonie zaciągnął się na służbę do pewnego bogatego kupca i na pokładzie jego okrętu odpłynął na Cypr.

Obyczaje jego i poczynania tak się kupcowi podobały, że nie tylko znaczne zasługi mu ustanowił, ale i do spółki go przypuścił poruczając mu pieczę nad większością dzieł swoich. Tedaldo tak je szczęśliwie prowadził, że stał się po kilku latach poważanym i bogatym kup-

cem. Chocia pośród zajęć swoich rozlicznych często swoją damę okrutną wspominał, chocia miłość nękała go srodze, tak iż rad by był ujrzeć jak najprędzej Ermellinę, przecie okazał się tak twardym, że w przeciągu siedmiu lat nieustannie samego siebie przezwycięzał. Zdarzyło się jednak, że pewnego razu usłyszał na Cyprze kanconę, którą niegdyś sam był ułożył, wysławiając w niej miłość wzajemną obojga i doznawane od pani swej rozkosze, i pomyślał, że jest rzeczą niemożliwą, aby dama jego o wszystkim zapomnieć miała. Owładła nim tak ogromna żądza ujrzenia Ermelliny, że już wytrzymać dłużej nie będąc w stanie postanowił do Florencji powrócić.

Przywiódłszy swoje sprawy do porządku, wyruszył do Ankony w towarzystwie jednego tylko sługi. Stamtąd odesłał swoje kufry do Florencji, do jednego z przyjaciół ankońskiego kupca, sam zaś przybył wraz ze sługą do miasta chyłkiem, przebrany w strój pielgrzyma powracającego od Grobu Świętego. Wszedłszy do grodu, zamieszkał w małej gospodzie, należącej do dwóch braci i położonej w pobliżu domu jego damy. Pierwsze swoje kroki tam obrócił, aby ją ujrzeć. Aliści okna i drzwi zamknięte znalazł i wniósł stąd, że dama jego albo umarła, albo też do innego miasta się przeniosła. Pełen srogiej turbacji, udał się do domu swoich braci i ujrzał ich wszystkich czterech w żałobne szaty przybranych. Tym widokiem wielce zadziwiony i pewien, że do tyła strojem swoim i pozorem jest odmieniony, iż nikt go łatwo nie pozna, zbliżył się do pewnego szewca i zapytał, dlaczego ci panowie są w czarne szaty ubrani? Szewc odparł na to:

– Jeszcze i dwóch tygodni nie ma, jak jeden z ich braci, imieniem Tedaldo, który już od dawna stąd odjechał, zabity został. Zdawa mi się, że dowiedli przed sądem, iż pozbawił go życia Aldobrandino Palermini (już go pochwycono!) za to, że Tedaldo jego żonę miłował i że powrócił tu w przebraniu, aby ją ujrzeć.

Tedaldo wielce się zadziwił na myśl, że ktoś tak podobny do niego się okazał, i litować się jął w duszy nad losem Aldobrandina. Dowiedziawszy się jednak, że Ermellina żyje i dobrym zdrowiem się cieszy, powrócił do gospody wraz z nastaniem nocy, pełen różnorodnych myśli. Powieczerzawszy wraz ze sługą, dostał na nocleg komnatę, znajdującą się na najwyższym piętrze domu. Jednocześnie natłok myśli, niewygodne łoże, a może i nędzna wieczerza, którą spożył, zasnąć mu długo nie pozwalały. Około północy zdało mu się, że kilku ludzi spuszcza się z dachu domu; wkrótce w szparze drzwi, wiodących do jego komnaty, ujrzał światło. Dlatego też, podkradłszy się cicho do szpary, jął patrzeć, co by to znaczyć miało. Obaczył piękną dziewczynę, trzymającą w ręku ogarek, a obok niej trzech mężów, których kroki niedawno na dachu słyszał. Po uprzejmym pozdrowieniu jeden z nich w te słowa do dziewczyny się odezwał:

– Bogu Najwyższemu niech będzie chwała za to, że możemy teraz spać spokojnie. Morderstwo Tedalda degli Elisei dowiedzione zostało przez jego braci Aldobrandinowi Palermini. Aldobrandino przyznał się i wyrok na niego jest już podpisany. Mimo to ostrożność stosowną zachować musimy, bowiem gdyby kiedyś wyszło na jaw, że to my winowajcami jesteśmy, spotkałby nas ten sam los co Aldobrandina.

Rzekłszy to, pożegnali się z dziewczyną, która na tę wieść wielce się uradowała, i spać poszli.

Tedaldo, usłyszawszy te słowa, jął rozmyślać nad tym, jakim to omylnościom umysły ludzkie są podległe; wspominał swoich braci, którzy oplakali i pochowali jakiegoś obcego człeka, później pomyślał także o niewinnym Aldobrandinie, skazanym na śmierć dzięki podejrzaniom i świadectwom fałszywym. Ujrzał dowodnie srogość praw i sędziów, którzy często miast tego, aby prawdę rozeznac i ujawnić, okrutnym sposobem nieprawdziwe zeznania wymuszają i nazywają siebie sługami Boga i sprawiedliwości, podczas gdy są jeno rzecznikami diabła i kłamstwa.

Potem Tedaldo jął szukać środka ratunku dla Aldobrandina, aż wreszcie pewien zamysł powziął.

Wstawszy rano, ostawił służącego w gospodzie i udał się do domu swojej damy. Znalazł przypadkiem drzwi otworem stojące i wszedłszy ujrzał Ermellinę siedzącą w dolnej izbie na

podłódze i płaczącą gorzko. Z litości sam o mały włos nie zapłakał. Zbliżył się do niej i rzeki:

– Nie turbujcie się, pani! Pociecha jest już bliska.

Dama, słowa te usłyszawszy, podniosła głowę i rzekła przez łzy:

– Wydajesz mi się obcym pielgrzymem, dobry człecze! Cóż możesz wiedzieć o moim smutku i pociesze?

– Pani – odparł pielgrzym – przybywam, właśnie z Konstantynopola, skąd Bóg umyślnie mnie przysłał, aby łzy wasze w radość zamienić, a małżonka waszego od śmierci wybawić.

– Jak to być może? – zawołała dama. – Jeśli z Konstantynopola przybywacie i dopiero przed chwilą weszliście do grodu, skądże wiedzieć możecie, kto jest moim mężem, i kim ja jestem?

Wówczas pielgrzym na dowód, że prawdę mówi, opowiedział jej od początku o przeciwnościach, jakie Aldobrandino znosił, nazwał ją po imieniu, wymienił, ile lat jest już za mężem, i o mnóstwie rzeczy dotyczących się jej spraw powiedział. Ermellina, niesłuchanie tym wszystkim zadziwiona, biorąc go za proroka, padła przed nim na kolana i na wszystkie świętości zaklinała go, aby jak najspieszniej Aldobrandina ratował, jeśli dla jego ocalenia się zjawił, bowiem już niewiele czasu na ten ratunek pozostaje.

Pielgrzym, udając natchnionego, rzekł w te słowa:

– Powstańcie, pani, łzy swe pohamujcie i posłuchajcie, co wam oznajmić pragnę. Proszę was jeno, abyście się najmniejszym słówkiem przed kimkolwiek nie zdradzili. Bóg mi objawił, że nieszczęście, was teraz dotykające, jest karą za grzech, któryście kiedyś popełnili. Bóg pragnie, abyście obecnie grzech ten, choćby w części, odpokutowali, nim go w przyszłości całkiem nie zmażecie, inaczej bowiem w jeszcze cięższe popadniecie terminy.

– Ach, świątobliwy mężu – zawołała dama – niejednen grzech na mojej duszy ciąży, tak iż odgadnąć nie mogę, za co Bóg stosownej pokuty ode mnie żąda. Jeśli wam jest zatem wiadomy, wymieńcie mi go, a uczynię wszystko, co mogę, aby go zmazać.

– Wierę – odparł pielgrzym – dobrze wiem o nim, i od was więcej dowiadywać się o nim mi nie trzeba, a jeśli się pytam, to jeno dlatego, abyście jeszcze większą skruchę uczuli. Ale powróćmy do rzeczy! Powiedzcie mi, czy pomnicie o tym, żeście mieli kiedyś kochankę?

Dama, usłyszawszy te słowa, westchnęła głęboko i niepomiernie się zadziwiła, nie sądziła bowiem, żeby ktokolwiek na świecie o jej miłości wiedział, jakkolwiek szeptano o niej w czasie, gdy zginął ten, którego pogrzebano jako Tedalda, a źródłem tych pogłosek było parę nierozważnych słów wtajemniczonego we wszystko towarzysza Tedalda. Po chwili tak rzekła:

– Zaiste, widzę, że Bóg powierzył wam wszystkie ludzkie tajemnice i że na nic się nie zda cokolwiek przed wami ukrywać. W samej rzeczy, w młodości mojej miłowałam gorąco tego nieszczęśliwego młodzieńca, o zabójstwo którego męża mego oskarżono. Nad śmiercią jego tyle łez wylałam, że nawet dziś jeszcze wielką boleść uczuwam. Chocia przed jego odjazdem surową i nieużytą dlań byłam, jednakże ani rozłąka, ani tak długa jego nieobecność, ani śmierć jego wyrwać go z mego serca nie zdołały.

– Nie nieszczęsnego młodziana – odparł pielgrzym – którego właśnie zabito, ale Tedalda Elisei, kochaliście, pani. Aliści powiedzcie mi, z jakiej przyczyny zagniewaliście się na niego? Zali was czymkolwiek dotknął?

– Bynajmniej – odparła dama. – Bóg widzi, że mi żadnej zniewagi nie wyrządził. Przyczyną całego zła były słowa pewnego przeklętego mnicha, który mnie kiedyś spowiadał. Gdy mu wyznałam miłość, jaką do Tedalda żywię, i moją z nim zażyłość, rzucił na moją głowę takie gromy, że jeszcze dziś dreszcz trwogi mną wstrząsa. Zagroził mi, że jeśli z Tedaldem nie zerwę, zostanę na dno piekła w paszczę diabelską wrzucona i na ogień wieczny skazana. Na te słowa taki strach mnie schwycił, że postanowiłam zbliżenia z Tedaldem unikać, na jego listy nie odpowiadać i wysłańców jego nie przyjmować. Aliści mniemam, że gdyby Tedaldo wytrwał, miast wyjeżdżać stąd z rozpaczą, to na widok jego serca, topniejącego z miłości, jak śnieg na słońcu topnieje, odmieniłabym swoje surowe postanowienie, gdyż niczego na świecie bardziej nie pragnęłam.

– Pani – rzekł pielgrzym – oto jest ów jedyny grzech, za który teraz cierpieć musicie. Wiem dobrze, że Tedaldo nijakiego gwałtu wam nie zadał, pokochaliście go bowiem z własnej, nieprzymuszonej woli, ponieważ się wam podobał. Później, woli waszej zadosyć czyniąc, wszedł do waszego domu i bliski z wami zawiązał stosunek. Wy zasię słowami i czynami tyleście mu przychylności okazali, że jeśli pierwiej was miłował usilnie, to potem miłość jego jeszcze tysiąc razy się wzmożła. Jeśli zaś tak było w istocie, a wiem, że inaczej być nie mogło, cóż was tedy k’temu przywiodło, żeście go tak okrutnie odepchnęli? W takich okolicznościach z wielką rozważą postępować należy. Jeśliście czuli, że złego swego postępku kiedyś żałować będziecie, nie trzeba go było czynić. Jak on do was należał, tak wy nie mniej jego własnością byliście. Pozbawiając go posiadania waszej osoby bez jego zgody i woli, popełniście rabunek i czynek niegodziwy. Dowiedzcie się teraz, że i ja jestem mnichem i że znam się dobrze na sztuczkach braciszków zakonnych. Gdy teraz z wielką swobodą o tym mówię, to tylko dlatego, że waszą korzyść mam na celu i że pragnę, abyście lepiej niż dotychczas mnichów poznali. Byli ongiś na świecie świątobliwi i zacni mnisi, aliści ci, którzy teraz braćmi się zowią i chcą być za nich uważani, nic z mnichami wspólnego nie mają, krom habitu. A nawet ten habit niezbyt jest do zakonnej sukienki podobien. Założyciele zakonów ustanowili habit ubogi, wąski i z grubej uczyniony materii, na znak pogardy dla rzeczy doczesnych, od chwili gdy ciało swe w tak nędzny strój przyodziali. Teraz zasię ubierają się mnisi w szerokie, lśniące habitury z najprzedniejszego sukna uszyte i nadają im krój wytworny, jak na arcybiskupów przystało. Pyszną się i dmą w nich bezwstydnie na placach i w kościołach, niby ludzie świeccy, z swoich strojów dumni. Jak rybak, który od jednego zamachu siecią swoją mnóstwo ryb w rzece zagarnia, tak też i oni, rozwarłszy obszerne poły swych habitów, chcą w nie owinać wiele dewotek, wdów, głupich kobiet i mężczyzn. Tylko o to się ciągle troskają, innych obowiązków nie znając, dlatego też, mówiąc po prawdzie, jeno barwa pozostała im z habitu. Podczas gdy dawniejsi mnisi starali się dusze ludzkie dla Boga pozyskać, to dzisiejsi jedynie bogactw i kobiet pożądają i całą umiejętność swoją tylko na to wysilają, aby gniewnymi słowy i strasznymi obrazami głupców zatrwożyć i wmówić w nich, że grzechy oczyścić można mszą lub jałmużną. Wszystko to czynią w tym celu, aby im (którzy na się habitury wdzieli nie dla pobożności, jeno dla małości serca i odrazy do pracy) ludzie dostarczali chleba, posyłali im wino i dawali tłuste kęsy na intencję zbawienia dusz ich przodków.

Prawda, że jałmużna i modlitwy grzechy oczyszczają, aliści, gdyby ludzie pobożni wiedzieli, na jaki cel ich dary się obracają, na pewno by je przy sobie zatrzymali albo też radniej świniom rzucili. Ponieważ zaś ci filuci wybornie wiedzą, że im mniej ludzi jednym, skarbem się dzieli, tym więcej na każdego przypada, więc też nie szcędzą trudu i krzyku, aby strachem innych od tego odpędzić, co sami w całości posiadać pragną. Gromią mężów za rozpustę, aby zgromieni ukorzyli się i gromiącym białogłowy pozostawili, piętnują lichwę i zysk nieuczciwy, jednak miast zwrócić właścicielom należne im pieniądze, jeszcze szerzej swoje habitury otwierają i rzucają się w pogoń za beneficjami, tłustą prebendą i arcybiskupstwami zdobywanymi za ten grosz, który poprzedniego posiadacza o zgubę i potępienie przyprawić miał. Gdy ich zasię na plugastwie i mnogiej niegodziwości ktoś pochwyty, tym kształtem odpowiadają: „Czyńcie wedle słów naszych, nie wedle naszych postępków.” Mniemają widać, że zwalnia ich to od każdego brzemienia, tak jakby owce wytrwalsze i rozumniej sze być winny od pasterzy. Wiedzą też dobrze zazwyczaj, jak wielu ludzi zadowalnia się podobnym responsem i rozumie go inaczej, niżby go pojmować należało. Dzisiejsi mnisi pragną, abyście czynili to, o czym oni mówią, a więc napełniali ich kiesy pieniędzmi, odkrywali im swoje tajemnice, zachowywali czystość, krzywdy wybaczali, byli cierpliwymi i złej mowy się strzegli – wszystko to są rzeczy szlachetne, bogobojne i święte. W jakimże celu jednakoż ich nauczają? Dlatego aby sami mogli czynić to, czego by dopiąć nie mogli, gdyby to czynili ludzie świeccy. Zaliż ktoś nie wie o tym, że człek pieniędzy nie mający długiemu próżnowaniu oddawać się nie może? Jeżeli grosz swój na własną przyjemność obrócisz, to czcigodny ojciec

nie będzie już próżnować zgodnie ze swą regułą; gdy sam okoliczne niewiasty odwiedzać poczniesz, to dla braciszków miejsca już zabraknie; gdy nie będziesz cierpliwie zniewag znosił, to bratu przejdzie ochota wdzierać się do twego domu i część twojej rodziny szkalować. Po cóż się jednak nad tym tak szerzę? Oskarżają samych siebie, ilekroć wobec rozumnych ludzi z podobnym responsem na harc wyruszają. Czemuż to do zakonu wstępują, jeśli nie czują się dość wstrzemięźliwymi i świątobliwymi, a jeśli już chcą bogobojnymi rzeczami się zajmować, dlaczego nie idą za świętym przykładem Ewangelii: „Począł Chrystus czynić i nauczać?” Niechajże zatem i oni wpieryw działają, a później pouczają innych. Nie raz, ale tyśiąć razy w mym życiu widziałem mnichów zalecających się i przymilających nie tylko do białogłów świeckich, ale i do zakonnicy. Owóż byli to właśnie ci, co najgłośniejsz z kazalnicy swych grzmieli. I takich to mielibyśmy naśladować? Kto chce, niechaj że tak czyni, wszelako Bogu wiadome jest, czy rozumnie postępuje.

Założmy jednak teraz, że mnich, który was gromił, miał słuszość, mówiąc, że złamanie wiary małżeńskiej jest wielkim grzechem. Zali, pytam, nie jest większym grzechem ograbić człowieka, zabić go albo uczynić go wygnańcem wędrującym po świecie? Sądzę, że nikt temu nie zaprzeczy. Ścisły związek mężczyzny z białogłową – to grzech przyrodzony, ale grabież i zabójstwo, i przegnanie precz są występkami ze złego umysłu wypływającymi. Już wam to dowodnie wykazałem, żeście Tedalda ograbili, odebrawszy mu siebie, chocia z własnej, nieprzymuszonej woli przedtem do niego należeliście. Teraz powiem wam jeszcze, żeście na jego żywot godzili, bowiem z dnia na dzień coraz okrutniejszą się stając, popychaliście go k'temu, aby własnymi rękami śmierć sobie zadał. Prawo zaś głosi, że ten, kto jest złego uczynku pobudką, winien taką samą karę ponieść jak ten, który zbrodnię popełnił. A temu zaprzeczyć nie możecie, żeście spowodowali jego wygnanie i siedmioletnią po świecie tułaczkę. Każda z tych trzech win jest daleko sroższym grzechem niżli ów ścisły związek, w którymżeście z Tedaldem żyli. Ale może Tedaldo na podobny postępek zasłużył? Oczywiście jest rzeczą, że nie. Samiście to przyznali, a i ja wiem, że was bardziej niż siebie miłował. Gdy się znajdował tam, gdzie mógł o was mówić nie wywołując podejrzeń i dobrej sławy waszej na szwank nie przywołując, uwielbiał was, czcił i nad wszystkie białogłowy wynosił. Cały swój los, cześć i wolność swoją w wasze ręce złożył. Nie byłże młodzieńcem szlachetnego rodu? Nie przewyższał urodą i odwagą innych dzielnych młodzieńców? Zali go wszyscy nie miłowali? Zali nie spoglądali na niego chętnym okiem? Temu także nie zaprzeczycie. Jakże więc mogliście, za podszeptem głupiego, podłego i zawistnego klechy, tak surowie z Tedaldem postąpić? W istocie pojąć nie mogę, przez jaki to błąd i zaślepienie białogłowy mężczyzny od siebie odpychają i lekce ich sobie ważą, gdy tymczasem, zważywszy, czym są i czym jest mężczyzna, z woli bożej nad wszystkie istoty świata wywyższony, powinny się za szczęśliwe poczytywać, jeśli miłość jego pozyskają, a potem wszystkie jego chęci uprzedzać i drzeć tylko o to, aby miłować nie przestał. Wy zasię coście uczynili pod wpływem słów mnicha, który na pewno był pospolitym darmozjadem i pasożytem? Łotr ten, wierę, chciał wtargnąć tam, skąd innego tak gorliwie wypierał. Jest to więc grzech tego rodzaju, że sprawiedliwość boska, ważąca wszystko na słusznej szali, bez kary ostawić go nie mogła. Jak wy, bez nijakiej przyczyny, Tedalda od siebie oddaliliście, tak też mąż wasz całkiem niewinnie teraz przez Tedalda w srogie terminy popadł, wy zasię w frasunek i strapienie. Skoro zaś chcecie z tego nieszczęścia się wydobyć, musicie jedną rzecz przyrzec, a nade wszystko później ją uczynić: jeśli kiedykolwiek Tedaldo z długiego wygnania swego tutaj powróci, powrócicie mu miłość swoją, łaskawość i wszystkie względy; słowem, przywrócić go do tego stanu, w jakim się znajdował pierwsi, nim żeście dali posłuch głupiemu klesze.

Pielgrzym zakończył mowę swoją, której dama słuchała z wielką uwagą i w milczeniu, bowiem uznawała słuszość jego wywodów. Wierząc, że cierpienia jej są, w samej rzeczy, karą za grzech popełniony, rzekła:

– Mężu boży, widzę, że słowa wasze są prawdziwe, a także z waszego opisu poznaję, ja-

kimi są ci mnisi, których dotychczas za świętych poczytywałam. Ani chybi, wielkim grzechem był mój wobec Tedalda postępek; gdyby to w mojej mocy leżało, chciałabym wyrządzoną mu krzywdę naprawić, ale cóż uczynić mogę? Tedaldo nigdy tu już nie powróci, bowiem nie ma go na tym świecie. Na cóż się wam przeto zda moja obietnica, skoro jej spełnienie jest rzeczą niemożliwą!

– Tedaldo – odparł pielgrzym – nie umarł wcale. Niebo mi to objawiło. Jest żywy i zdrowy, i za szczęśliwego się poczyta, gdy go łaską swoją od nowa obdarzycie.

– Zważcie na to, co powiadacie – rzekła dama. – Widziałam go martwego przed moim progiem, przesytego ostrzami pugałów. Trzymałam go w swych ramionach, oblewając gorzkimi łzami martwe jego lica. Łzy moje dały zapewne później materię do gadek złośliwych.

– Cokolwiek byście mi powiedzieli – odparł pielgrzym – nie przestanę was zapewniać, że Tedaldo żyje. Jeśli tylko przyrzekniecie mi obietnicę zdzierżyć, wkrótce go tu, jak sądzę, obaczycie.

– Przyrzekam – rzekła dama – i z wielką ochotą słowa dotrzymam, nic bowiem większej radości mi nie sprawi, jak obaczenie męża mego w bezpiecznym i swobodnym stanie, a Tedalda przy życiu.

Wówczas Tedaldo osądził, że nadszedł stosowny czas na to, aby dać się poznać i skrzepić Ermellinę większą jeszcze nadzieją, że mąż jej wolność odzyska.

– Pani – rzekł do niej – chcąc wszystkie wasze obawy co do losu męża rozproszyć, odkryję wam pewną tajemnicę. Nie wyjawiajcie jej jednak nikomu na świecie!

Znajdowali się sami we dwoje w ustronnej komnacie, dama bowiem czuła wielką ufność do pielgrzyma, który wydał jej się mężem świątobliwym. Tedaldo zdjął z palca troskliwie strzeżony pierścień, który mu niegdyś w ostatnią noc, razem spędzoną, dała Ermellina.

– Czy znacie ten pierścień? – spytał pielgrzym.

Dama, poznawszy od razu klejnot, rzekła:

– Tak jest, dałam go kiedyś Tedaldowi. Wówczas pielgrzym wyprostował się, zrzucił z siebie płaszcz i kaptur z głowy i rzekł w narzeczu florenckim:

– A mnie czy także poznajecie?

Na te słowa dama spojrzała nań i poznawszy w nim Tedalda, osłupiała całkiem i zatrzwożyła się tak, jak można by się przerazić martwych ciał, które nagle ruszać się zaczynają. Miast go w objęcia pochwycić, jako swojego Tedalda, który z Cypru powracał, uciekać przed nim chciała, niby przed trupem, co wyszedł z mogiły.

Wówczas Tedaldo rzekł:

– Nie strachajcie się po próżnicy, jestem Tedaldem żywym i zdrowym. Nie umarłem ani nie rozstałem się ze światem, tak jak sądziliście wy i bracia wasi.

Ermellina, nieco oprzytomniawszy, chociaż dźwięk jego głosu po dawnemu ją trwożył, spojrzała na niego uważniej i przekonała się, że jest on prawdziwym Tedaldem. Rzuciła mu się przeto z płaczem na szyję i rzekła, całując go:

– Bądź pozdrowiony, mój Tedaldo najdroższy!

Tedaldo, ucałowawszy ją i uściskawszy, rzekł w te słowa:

– Nie czas teraz pieścizom się oddawać. Chcę uczynić wszystko, co w mojej mocy leży, aby Aldobrandino powrócił tu zdrowy i cały. Mam nadzieję, że nim jutrzejszy dzień minie, dobre wieści o nim usłyszycie. Jeśli dzisiaj jeszcze czegoś pomyślnego o nim się dowiem, powrócę do was tej nocy, aby się z wami swobodniej, niż teraz, nowinami podzielić.

Co rzekłszy włożył znów na się szaty pielgrzyma, pocałował Ermellinę i nadzieją ją porzepiwszy udał się tam, gdzie Aldobrandina więziono. Mąż Ermelliny więcej myślał o śmierci, którą miał ponieść, niżli o możliwości ocalenia życia swego. Uzyskawszy przystęp do Aldobrandina, Tedaldo wszedł do jego celi, jako duchowny pociechę niosący, siadł obok niego na ławie i rzekł:

– Jestem twoim przyjacielem, Aldobrandino; Bóg mnie przysłał tutaj, abym cię wybawił, bowiem uzalił się On nad niewinnością twoją. Jeżeli przez wdzięczność do Stwórcy obiecasz mi spełnić niewielką rzecz, o którą cię zaraz poproszę, to nim jutro wieczorem wyrok śmierci na tobie wykonany zostanie, wolność odzyskasz.

– Sługo boży – odparł Aldobrandino – widzę, że o moje życie się troskasz, dlatego też, chociaż cię nie znam i choć nie pamiętam, abym cię kiedykolwiek widział, musisz w samej rzeczy być moim przyjacielem.

Bóg widzi, że nie popełniłem zbrodni, o jaką mnie oskarżono, aliści świadom jestem wielu innych win swoich, za które teraz widocznie pokutować muszę. Zaręczam ci teraz jednak i klnę się, jak przed Bogiem, że jeśli miłosierdzie boże mnie nie opuści, nie tylko tę obietnicę, ale i największe przyrzeczenie wypełnię. Dlatego też żądaj ode mnie, czego chcesz, bowiem, gdy tylko wolność odzyskam, słowo moje niechaybnie zdzierzę.

Wówczas pielgrzym rzekł:

– Nie domagam się od ciebie niczego więcej, tylko abyś przebaczył czterem braciom Tedalda to, że poczytując cię za mordercę Tedalda do tego stanu cię przywiedli, i abyś gdy cię o wybaczenie poproszą, jako braci i przyjaciół ich przyjął.

– Nikt – odparł Aldobrandino – nie czuje tak słodczy zemsty i takiego jej pragnienia, jak ci, których pokrzywdzono, jednakże chcąc, aby mnie Bóg wyzwolił, przebaczam im chętnie. Jeśli stąd żyw i cały wyjdę, na wszem twojej woli posłusznym będę.

Słowa te wielce się pielgrzymowi podobały, dlatego też poprzestał na tym, co rzekł. Dodał Aldobrandinowi jeszcze raz otuchy i poprosił go, aby nie upadał na duchu, gdyż nim minie dzień jutrzejszy, dowie się z wszelką pewnością o swym uwolnieniu. Po czym udał się wprost do Signorii⁸⁹ i rzekł do sędziego:

– Szlachetny panie, powinnością każdego człeka jest prawdę na jaśnie podawać, a w szczególności obowiązek ten ciąży na ludziach na urząd wysadzonych. Winni oni baczyć, aby kara nie spadała na tych co są niewinni, jeno na łotrów i złoczyńców. Przychodzę tu do was po to, aby się tak stało ku sławie waszej i ku zgubie tych, co na nią zasłużyli.

Jak to sami dobrze wiecie, wielce surowie postąpiliście z Aldobrandinem Palermini, bowiem się wam zdało, że on to Tedalda degli Elisei zamordował. Śmiercią tedy pokarać go chcecie. Dowiodę wam jednak, że w wielkim błędzie byliście, bowiem jeszcze przed północą oddam w wasze ręce prawdziwych zabójców młodzieńca.

Sędzia zacny, któremu los Aldobrandina na sercu leżał, uwierzył chętnie słowom pielgrzyma i o wszystko szczegółowo się go wypytał. Za jego wskazaniem pochwyciono w gospodzie bez walki dwóch braci oberżystów i ich sługę, kiedy ci byli w głębokim śnie pogrążeni. Gdy dla wydobycia prawdy chciano ich wziąć na tortury, wszyscy, bez żadnych wybiegów, przyznali się do zamordowania nie znanego im Tedalda. Badani o przyczynę zbrodni, odpowiedzieli, że uczynili to dla zemsty, bowiem młodzieniec ów, pod ich nieobecność w gospodzie, chciał żonie jednego z nich gwałt zadać i siłą zmusić ją do tego, aby jego woli posłuszną była.

Pielgrzym, usłyszawszy te słowa, oddał się za pozwoleniem urzędnika Signorii i nieopstrzeżenie udał się do domu Ermelliny. Wszyscy już spali, czuwała tylko żona Aldobrandina, czekając na przybycie Tedalda. Równie była spragniona dobrych wieści o mężu, co i pogodzenia się całkowitego z kochankiem.

Tedaldo, wszedłszy do komnaty, rzekł z wesołym obliczem:

– Raduj się, najdroższa moja, bowiem już jutro rano powitasz swego Aldobrandina, cieszącego się dobrym zdrowiem.

I ażeby ją dowodnie o tym przekonać, opowiedział jej o wszystkim, co w Signorii zaszło. Ermellina, niezmiernie uradowana tymi dwoma nieoczekiwanymi wypadkami: odnalezieniem Tedalda, którego za martwego poczytywała, i uratowaniem męża, którego śmierć już za kilka dni oplakiwać miała, rzuciła się Tedaldowi na szyję i uściskała go serdecznie. Później udali

się po społu do łoża i tam skwapliwie wesoły pokój zawarli nie szczędząc sobie rozkoszy. Gdy dzień nastał, Tedaldo podniósł się z pościeli, oznajmił kochance, co chce uczynić, i poprosił ją raz jeszcze, aby wszystko w głębokiej tajności zachowała. Później, ubrany w strój pielgrzyma, wyszedł z jej komnaty, aby się sprawami Aldobrandina zająć. Signoria, przeświadczona dowodnie o niewinności Aldobrandina, wypuściła go rychło na wolność, zaśię morderców w kilka dni potem na miejscu zbrodni stracić kazała.

Aldobrandino znalazł się na swobodzie ku niewymownej radości swojej i żony, wszystkich krewniaków i przyjaciół. Pomnąc, że pielgrzymowi wolność zawdzięcza, jął go prosić, aby przez cały czas pobytu w mieście w jego domu pozostał. Wszyscy starali się z całych sił uczcić go i ugościć należycie, osobliwie Ermellina, świadoma, że dla niej starań swych nie litował. Po pewnym czasie Tedaldo zapragnął braci swych z Aldobrandinem pogodzić. Wiedział dobrze, że ci nie tylko nie uspokoili się, gdy Aldobrandino wolność odzyskał, ale nawet uzbroili się, obawiając się jego zemsty, i dlatego też poprosił gospodarza, aby dotrzymał obietnicy w więzieniu danej. Aldobrandino gotowość swoją okazał. Wówczas pielgrzym poprosił go, aby następnego dnia wspaniałą ucztę wydał, na którą przybyć mieli czterej bracia Tedalda wraz z swymi małżonkami, nie licząc krewniaków i przyjaciół Aldobrandina. Sam podjął się ich w jego imieniu na ucztę sprowadzić. Aldobrandino, gotów we wszystkim zadość mu uczynić, przystał na prośbę pielgrzyma, który natychmiast do swych braci się udał. Natrudziwszy się niemało, stosownymi słowy i argumentami nieodpartymi wreszcie ku temu ich przywiódł, że zgodzili się pójść do domu Aldobrandina, aby go o przebaczenie błagać i przyjaźń jego odzyskać. Następnego dnia koło południa zjawili się w domu Aldobrandina czterej bracia Tedalda, ubrani w szaty żałobne, w otoczeniu przyjaciół swoich. Gospodarz już ich oczekiwał. W przytomności wszystkich zebranych rzucili oręż na podłogę i oddali się w ręce Aldobrandina, prosząc go, aby puścił w niepamięć krzywdy mu wyrządzone. Aldobrandino ze łzami uściskał ich serdecznie i każdego w usta ucałował mówiąc, że już żadnej urazy do nich nie żywi. Wkrótce zjawiły się ich żony i siostry w ciemne stroje przyodziane, które Ermellina wraz z innymi niewiastami wdzięcznie powitała. Wszyscy byli ukontentowani z przyjęcia, bowiem uczta wspaniale wypadła, jeno ciążyła im rzecz jedna: milczenie, którego przyczyną był świeży smutek, wyrażający się w żałobnych szatach rodziny Tedalda. Wielu nawet ganiło w duchu pielgrzyma za pomysł tej biesiady. Tedaldo domyślił się tego, a sądząc, że właściwy czas nadszedł, powstał od wieczerzy, gdy zjadano jeszcze owoce, i rzekł:

– Aby dzisiejsza uczta na wszem wesoła być mogła, brakuje nam tylko Tedalda. Ponieważ nie poznaliście go, gdy z wami przez cały czas tutaj bawił, chcę wam go teraz pokazać.

Przy tych słowach zrzucił z siebie pielgrzymie szaty i ukazał się oczom przytomnych w zielonym strojnym kaftanie. Chociaż go poznano, przecie nikt nie mógł uwierzyć, że jest to Tedaldo we własnej osobie. Widząc powszechne osłupienie, Tedaldo przypomniał zebrany różną okoliczność, ich tylko dotyczące, i opowiedział im siłą przypadków swoich. Wówczas bracia i przyjaciele, łzami radości się zalewając, rzucili się mu w ramiona. Za ich przykładem poszły białogłowy, nawet i nie krewniaczki, krom jednej tylko Ermelliny.

– Dłaczego, Ermellino, nie chcesz, jak inne, Tedalda powitać? – zapytał Aldobrandino.

– Z całego serca powitać bym go pragnęła! – zawołała głośno Ermellina – i uczyniłabym to ochotniej od innych, teraz go witających, bowiem obligowana mu jestem więcej niż kto bądź za to, że dzięki jego staraniom, ciebie, Aldobrandino, odzyskałam, aliści różne plotki i gadki kłamliwe, rozsiewane przez ludzi wówczas, gdyśmy rzekomego Tedalda opłakiwali, uczynić mi tego nie pozwalają.

– Daj pokój – odparł Aldobrandino – zali myślisz, że wierzę złym językom? Nie szczędząc starań, abym ja wolność odzyskał, dowiódł Tedaldo niezbitcie, że wszystko to były kłamstwa potwarcze, którym nigdy wiary nie dawałem. Zbliź się i obejmij go!

Dama, niczego bardziej nie pragnąca, nie omieszkała wypełnić rozkazu męża. Rzuciła się na szyję Tedaldowi, idąc za przykładem innych, i z radością go ucałowała. Wielkoduszność

Aldobrandina wielce podobała się braciom Tedalda i wszystkim przytomnym. Usunęła też osad wszelki, jaki krążące pogłoski pozostawić mogły w umyśle niektórych.

Gdy tak każdy na widok Tedalda się radował, ów zerwał żałobne szaty z braci i siostr i rozkazał, aby im inne szaty przyniesiono. Przeodziawszy się, wiele pili, tańcowali i różnym igrom się oddawali, tak iż uczta, która się w milczeniu zaczęła, w powszechnej wesołości się zakończyła. Wreszcie wszyscy przenieśli się do domu Tedalda, gdzie do wieczerzy zasiedli. Uroczystości trwały jeszcze przez dni kilka wpośród niesłabnącej radości i wesela. Jednakże Florentczycy ciągle patrzyli na Tedalda jak na powstałego z grobu i dziw jakowyś. W duszach ich, a nawet jego braci, czaiła się jeszcze nieśmiała wątpliwość, zali to on jest w samej rzeczy Tedaldem. Być może, że ta wątpliwość nigdy by była nie zniknęła, gdyby nie zdarzył się wypadek, dzięki któremu odkryto, kto zabity został. Pewnego dnia obok domu Tedalda przechodzili żołnierze z Lunigiany. Obaczywszy Tedalda podeszli do niego i rzekli:

– Jak się masz, Faziuolo!

– Bierzecie mnie widać za kogoś innego – odparł Tedaldo w obecności braci.

Żołnierze słowa te usłyszawszy zmieszali się i przeprosili go:

– Wybaczcie nam, panie, ale tak podobni jesteście do jednego z naszych towarzyszy, jak tylko człowiek do człowieka podobien być może. Zowią go Faziuolem z Pontremoli. Przybył on przed dwoma tygodniami do tego miasta i odtąd słuch o nim zaginął. Co prawda zadziwił nas nieco strój wasz, był bowiem żołnierzem jako i my.

Usłyszawszy to, starszy brat Tedalda podeszedł do nich i zapytał:

– Jak był odziany wasz Faziuolo?

Żołnierze opisali swego towarzysza. Wówczas z tej oznaki, jako i z innych jeszcze, jawnym się stało, że zamordowany został nie Tedaldo, lecz Faziuolo. Znikły więc ostatnie wątpliwości w duszach braci i mieszkańców grodu. Tedaldo, który jako człek bogaty do miasta powrócił, pozostał wierny miłości swojej. Ermellina już wspan jego chęciom nie stawiała. Dzięki swojej czujności i roztropności przez długie lata jeszcze miłością, swoją się cieszyli. Oby Bóg i nam tak się cieszyć pozwolił!»

Opowieść ósma



FERONDO W CZYŚĆCU

Ferondo, potknąwszy pewien proszek, zostaje pogrzebany jako człek wrzekomo martwy. Opat, cieszący się tymczasem wdziękami jego żony, dobywa go z grobowca i przenosi do lochu, który Ferondo za czyściec poczytuje. Później Ferondo zmartwychwstaje i syna, którego opat z żoną jego spłodził, wychowuje jako własnego.

Opowieść Emilii, pomimo swej długości, nie znudziła nikogo. Przeciwnie, wszyscy zaręczali, że tylu różnych zdarzeń z większą zwięzłością przedstawić było nie lza. Po czym królowa uwiadomiła Laurettę skinieniem o życzeniu swoim; Lauretta w te słowa zaczęła:

– Miłe damy! Pragnęłabym przede wszystkim opowiedzieć wam o pewnym zdarzeniu, które raczej na kłamliwy wymysł niżli na prawdę wygląda. Przypomniałam sobie o nim, usłyszawszy, jak to jeden człek pogrzebiony i oplakany miasto drugiego został. Teraz opowiem wam o przypadkach żywego człka, którego pochowano, aby go później już nie za żywego, lecz za zmartwychwstałego poczytywać. On sam, jako i wielu innych, twardo wierzył, że z grobu powstał. Ten zasię, co na należną karę zasługiwał, jako święty odtąd był czczony.

«Było w Toskanii pewne opactwo, które po dziś dzień jeszcze tam istnieje. Leżało ono, jak to często się zdarza, w okolicy odludnej. Opatem został tam obrany pewien mnich, człek we wszystkim świętobliwy i przykładowy, grzeszący jeno niepomiernym pociąganiem do białogłowskiego pogłowia. Umiał jednak tak ostrożnie i chytrze poczynać sobie, że nikt nie wiedział o jego słabości ani jej nawet nie podejrzewał i wszyscy za wzór cnót go uważali. Zdarzyło się, że z opatem zaprzyjaźnił się wielce pewien bogaty kmieć, Ferondem zwany. Był to człek gruby i jedynie swą korzyść własną mający na celu. Opat lubił przestawać w jego towarzystwie tylko dlatego, że prostactwo Feronda nieraz wiele wesołości mu przyczyniało. Świętobliwy mąż zauważył, że Ferondo ma za małżonkę wielce urodziwą białogłową, i wkrótce tak się w niej zakochał, że dniem i nocą o niczym innym myśleć nie mógł. Wiedząc jednakże, że Ferondo, wielki głuptak i prostak we wszystkich sprawach, jest chytrym i przebiegłym, jeśli o pilnowanie żony chodzi, zwątpił już niemal w skutecznienie pragnień swoich. Jednakże, jako człek przemyślny, tyle na Ferondzie wymógł, iż ten po społu z swoją żonką nieraz zachodził do ogrodu klasztorowego, aby w nim przechadzki zażywać. Tutaj z wielkim namaszczaniem prawil im o szczęśliwości przyszłego życia i o świętobliwych uczynkach zmarłych, tak mężczyzn, jak i kobiet. Opowieści te natchnęły żonę Feronda chęcią wypowiedania się

przed opatem, na co łatwo pozwolenie od męża swego uzyskała; ku wielkiemu ukontentowaniu opata zjawiała się pewnego dnia u niego, usiadła u jego stóp i rzekła w te słowa:

– Wielebny ojcze! Gdyby Bóg był mnie prawdziwym mężem obdarzył albo bez męża ostawił, wierę, nietrudno by mi było dzięki waszym pouczeniom wstąpić na drogę, która jak mówiliście, ku wiecznemu żywotowi wiedzie. Aliści wziąwszy pod rozwagę, jakim człkiem jest mój Ferondo i jak wielka jest jego głupota, mogę się za wdowę poczytywać. Jednocześnie zameżna jestem, bowiem, póki on żyje, drugiego męża wziąć sobie nie mogę. Ferondo, tępe przyrodzenie mając, bez żadnej przyczyny jest o mnie zazdrosny okrutnie, dzięki czemu żyję w nieustannej udręce, z mężem mym skłócona. Dlatego też, nim do spowiedzi przystąpię, proszę was pokornie, ojcze wielebny, abyście mi jakiejś rady udzielili. Jeśli nie będę miała możliwości postępować dobrze, zgodnie z wolną wolą moją, na niewiele mi się zda cała spowiedź.

Wyznanie to niepomiarne uradowało opata, zdało mu się bowiem, że los otwiera mu drogę wiodącą do spełnienia najgorętszych jego pragnień.

– Moja córko – rzecze – łatwo mi pojąć, że tak pięknej i subtelnej białogłowie, jak wy, ciężko jest być żoną półgłówka a cóż dopiero zazdrośnika! Ponieważ w osobie waszego męża głuptak z zazdrośnikiem się łączy, więc nie dziwię się wcale waszym skargom. Mówiąc węzłowato, nie widzę innej rady i środka, krom tego, aby Ferondo zazdrości swojej się oduczył. Lek stosowny i skuteczny dlań dobrze przygotować umiem. Proszę was jeno, abyście słowa moje w najgłębszej zachowali tajności.

Białogłowa odparła na to:

– Nie wątpcie o tym, mój ojcze! Raczej umrę, niżli powtórzę komuś słowa wasze. Ale jakże tego dokonać?

– Jeśli chcemy, aby Ferondo się uleczył – rzekł opat – musi on czas niejaki w czyścicu spędzić.

– Jak to? – zawołała niewiasta – zali może się tam dostać za życia?

– Należy tedy, aby pierwaj umarł, a wtedy tam pójdzie. Gdy już tyle katusz przecierpi, że się swojej zazdrości oduczy, my szczególnymi modlitwami będziemy prosili Boga, aby go do życia powrócił, co Bóg, ani chybi, uczyni.

– Zatem – rzekła białogłowa – przyjdzie mi żyć w wdowieńskim stanie?

– Tak – odparł opat – przez czas niejaki, w ciągu którego winniście to pilnie mieć na pieczy, aby w stadło małżeńskie z kimś innym nie wstąpić, Bóg bowiem ukarałby was za to, a gdy Ferondo przybyłby z czyścica, musielibyście do niego powrócić, on zaś stałby się jeszcze większym zazdrośnikiem.

– Gotowa jestem na wszystko – rzecze białogłowa – byleby się tylko od szkaradnej swej wady oswobodził i abym nie potrzebowała żyć nadal jak w więzieniu.

– Uczynię, co w mojej mocy leży – odparł opat – jakąż nagrodę jednak za tę przysługę od was otrzymam?

– Żądajcie, czego chcecie, ojcze wielebny – rzekła żona Feronda – bylebym tylko była w stanie życzenia wasze wypełnić. Aliści cóż może ofiarować taka jak ja białogłowa mężowi tak dostojnemu jak wy?

– Możecie mi uczynić łaskę równą tej, którą ja wam wyświadczyć pragnę. Jeśli bowiem chcę was pociechą i szczęściem obdarzyć, wy możecie stać się zbawieniem i radością życia mojego.

– Skoro tak jest, wszystko gotowam uczynić – odparła białogłowa.

Wówczas opat rzekł:

– Oddajcie mi zatem miłość swoją i swoje ciało, bowiem płonę pożądaniem, trawiąc się nieugaszonym ogniem.

Białogłowa usłyszawszy to całkiem osłupiała.

– Ach, cóż ja słyszę, ojcze czcigodny! Miałam was dotychczas za świętego! Zali się godzi świątobliwym mężom takich rzeczy żądać od kobiet, które przychodzą prosić ich o radę?

Na to rzekł opat:

– O duszo mojej duszy! Nie dziwujcie się temu, bowiem świętość nijakiego uszczerbku przez to nie ponosi; żyje ona przecie w głębi duszy, zaś to, czego się od was domagam, jest grzechem ciała. Zresztą jakkolwiekby było, wielka piękność wasza taką władzę nade mną sprawia, że miłość każe mi tą modłą postępować. Powiem wam także, iż możecie się chełpić swoją urodą bardziej niż inne białogłowy, bowiem znajdują w niej upodobanie święci, przywykli do oglądania cudów nieba. Wreszcie, będąc opatem, człkiem przez to być nie przestaję, a jak widzicie, do wieku szedziwego jeszcze mi daleko. Wierę, nie będzie wam trudno prośbę moją, wypełnić, przeciwnie, winniście całą duszą pragnąć tego, czego i ja pragnę. W czasie pobytu Feronda w czyścicu, będę wam nocami towarzystwa dotrzymywał i tym samym pocieszeniem, co mąż, was obdarzał. Nikt o tym się nie dowie, wszyscy bowiem mają o mnie takie przynajmniej mniemanie, jakie wyście mieli przed chwilą. Nie odrzącajcie łaski, jaką was Bóg obdarza. Siła jest tych, którzy gorąco pragną tego, co wy mieć możecie i co będziecie mieli, jeżeli rozumnie postąpicie wedle rad moich. Krom tego, posiadam niemało pięknych i szacownych klejnotów, które w duszy już dawno dla was przeznaczyłem. Uczynicie zatem, słodka nadziejo moja, to dla mnie, co ja dla was ochotnie uczynić pragnę.

Białogłowa opuściła oczy, nie wiedząc, jak odmówić prośbie opata, bowiem rzeczą wielce nieprzystojną wydawało jej się na życzenie to przystać. Opat widząc, że się z responsem ociąga, to mniemanie powziął, że już do połowy jest nawrócona, dlatego też do poprzednich przełożeń siła nowych przydał i nie odpuścił wprzód niewiasty, póki jej twardo nie przekonał, że zbożne dzieło uczyni. Odrzekła mu więc, srodze zasromana, że będzie na wszem jego woli posłuszna, ale dopiero wówczas, gdy Ferondo już się w czyścicu znajdzie.

Opat, wielce tym ukontentowany, rzekł:

– Uczynimy tak, aby nieodwłocznie tam się udał. Postarajcie się tylko, aby Ferondo jutro albo innego dnia mnie odwiedził.

To rzekłszy wsunął jej ukradkiem na palec pierścień wspaniały i odejść jej pozwolił. Białogłowa, wielce upominkiem uradowana i pewna, że nie skończy się na tym, udała się do swych przyjaciółek, aby opowiedzieć im zadziwiające rzeczy o świętobliwości opata. Później w ich towarzystwie do domu powróciła.

Po kilku dniach Ferondo zaszedł do klasztoru. Opat ujrzawszy go postanowił nie zwlekać z wysłaniem go do czyścica. Wyszukał proszek cudownej mocy, który ongiś otrzymał na Wschodzie od pewnego potężnego księcia. Księżę ów twierdził, że proszku tego używa Starzec z gór⁹⁰, ilekrotnie chce kogoś w śnie pogrążonego do raju wyprawić lub też go stamtąd sprowadzić. Proszek ten, w określonej ilości zażyty, bez nijakiego dla zdrowia szwanku usypia każdego, komu go zadano, i spać mu każe przez dłuższy albo krótszy czas tak krzepko, że w uspionym najmniejszej iskierki życia odnaleźć nie można. Opat wziął taką miarę proszku, aby trzydniowy sen sprawiła. Wsypał ukradkiem proszek do kielicha z mętnym jeszcze winem i poczęstował nim Feronda w swojej celi. Później wyszedł z nim na korytarz klasztorny i tam po społu z innymi mnichami jął się z jego głupoty wydwarzać. Po jakimś czasie proszek skutek swój sprawił. Feronda tak krzepki sen chwycił, że jeszcze na nogach stojąc wpadł w drzemkę, a później w uspieniu na ziemię się zwałił. Opat uczynił pozór, że wielce się tym wszystkim turbuje; natychmiast też kazał Feronda z szat rozdziać, zimną wodą go orzeźwiać, krom tego i innych środków nie zaniedbał, tak jakby chciał uspionego do utraconych zmysłów powrócić i od złych humorów żołądka czy też innej dolegliwości uwolnić. Gdy jednak mnisi obaczyli, że wszystkie te usiłowania na nic się nie zdają, pomacali mu puls, a przekonawszy się, że nie uderza, do tej myśli przyszli, że Ferondo, ani chybi, umarł. Wówczas posłali po żonę i po krewniaków umarłego, którzy, nie mieszkając, do klasztoru przybyli. Gdy już żona i krewniacy nad trupem trochę łez uronili, opat kazał go złożyć do grobowca w odzieniu, jakie miał na sobie.

Żona powróciła do domu oznajmiając, że nie myśli z tych stron się oddalać, bowiem nie chce rozłączać się z maleńkim dziecięciem, jakie z nim miała. Ostała więc w domu i majątno-

ściami jako też synem Feronda kierować ją. Opat zasię, przybrawszy sobie do pomocy pewnego bolońskiego mnicha, w którym wielką ufność pokładał, podkradł się w nocy cichaczem do grobu Feronda. Wyciągnęli go stamtąd i przenieśli do ciemnego lochu, dokąd najmniejszy promień światła dostać się nie mógł i gdzie zamykano za karę mnichów. Zdjąwszy z Feronda szaty, przybrali go w habit zakonny, później zasię położyli go na wiązce słomy i ostawili tak, aby leżał w lochu, póki się nie ocknie. Mnich z Bolonii, otrzymawszy od opata pouczenie, co mu czynić należy, jął czekać, aż Ferondo do utraconych zmysłów powróci. Nikt inny nic o tym nie wiedział. Następnego dnia opat w towarzystwie kilku mnichów udał się do domu wdowy, aby pocieszyć ją w jej strapieniu. Zastał ją w żałobnych szatach i w ciężkim smutku. Pocieszywszy ją nieco, przypomniał jej cichym głosem o danej mu obietnicy. Białogłowa, czując się uwolnioną od Feronda i wiedząc, że mąż ani ktokolwiek już nijakich wstretów czynić jej nie będzie, ujrawszy inny piękny pierścien na palcu opata, rzekła, że jest na wszystko gotowa. Ułożyli, że opat odwiedzi ją następnej nocy. Gdy zmrok zapadł, opat, w towarzystwie swego mnicha, ubrany w szaty Feronda, udał się do jego żony. Całą noc aż do jutrzni na rozkosznych igrach i harcach spędzili. Później opat do klasztoru powrócił. W przyszłości nie raz jeszcze tę samą drogę odbywał. Widywano, jak szedł do wdowy albo od niej powracał, aliści wszyscy byli przekonani, że to duch Feronda wałęsa się za pokutę w okolicach swego domu. Pośród grubych wieśniaków jąły chodzić gadki, o których zasłyszała parokroć także żona Feronda, wiedząca, co ma sądzić o tej zadziwiającej rzeczy.

Tymczasem Ferondo ocknął się i żadną miarą dorozumieć się nie mógł, gdzie się znajduje. Wówczas przystąpił doń mnich boloński, przemawiający strasznym głosem i różgi w rękach dzierżący. Schwyciwszy Feronda za kark, z wszystkich sił okładać go począł. Ferondo, płacząc i wrzeszcząc, pytał ustawicznie:

– Gdzie jestem?

Na co mnich odpowiedział:

– Znajdujesz się w czyścicu!

– Jak to – jęknął Ferondo – więc umarłem?

– Naturalnie – odparł mnich.

Ferondo, usłyszawszy te słowa, jął gorzko płakać nad sobą, żoną i synem, mówiąc przy tym różne androny. Później mnich przyniósł mu trochę strawy i wina. Co widząc, Ferondo zawołał:

– Dla Boga! Więc umarli jadają?

– Tak – odrzekł mnich – strawę, którą ci teraz przynoszę, przysłała dzisiejszego ranka do klasztoru twoja dawna żona, prosząc o mszę za twoją duszę. Bóg to jedzenie dla ciebie przeznaczył.

– Niech jej Bóg za to pomyślny rok ześle. Wielki afekt do niej za życia żywiłem, całe noce trzymałem ją krzepko w objęciach, całowałem ją, a także i coś więcej z nią czyniłem, kiedy miałem na to ochotę.

Potem, poczuwszy wielki głód, Ferondo rzucił się na starwę i jeść i pić począł. Nie znalazłszy dobrego smaku w winie, rzekł:

– A skarz ją, Panie Boże, za to, że nie przysłała mnichom wina z beczki stojącej pod murem.

Gdy już Ferondo podjadł sobie niezgorzej, mnich znowu go za kark ułapił i tymi samymi różgami uczciwą łaźnię mu sprawił. Ferondo, nawrzeszczawszy się do woli, zapytał:

– Za co mnie tak srodze karzesz?

– Czynię to z bożego rozkazu – odparł mnich. – Dwa razy na dzień czeka cię podobne garbowanie skóry.

– Dla jakiej przyczyny? – jęknął Ferondo.

– Ponieważ byłeś zazdrośnikiem mając za żonę najlepszą na całym świecie białogłową.

– Biada mi, biada! – wykrzyknął Ferondo – prawdę powiadasz, była to bowiem najlepsza kobieta, a do tego jak marcepan słodka. Nie wiedziałem jeno, że Bóg zazdrośnych mężów cierpieć nie może.

– Trzeba było rozważyć to i poprawić się – odparł mnich – gdyś jeszcze na świecie przebywał. Jeżeli jednak zdarzyć by się miało, że jeszcze kiedyś na ziemię powrócisz, to zakonotuj sobie dobrze, co teraz z tobą się dzieje, i strzeż się zazdrości jak ognia.

– Zaliż umarli zmartwychwstają? – spytał Ferondo.

– Tak, jeżeli taka jest wola boska. – powiedział mnich.

– Och! – zawołał Ferondo – jeśli kiedykolwiek na świat powrócę, stanę się jak najlepszym mężem; nigdy nie będę bił żony, nie powiem jej nigdy plugawego słówka, chyba tylko w zapłatę za to podle wino, które mi dzisiaj przysłała. Przeczże jednak zapomniała o świecy? Musiałem jeść po ciemku.

– Żona twoja przysłała ci i świecę – rzekł mnich – jeno świece te wypaliły się przy mszy.

– Wierzę we wszystko, co powiadasz – odparł Ferondo – i dalibóg, jeżeli ją jeszcze kiedyś zobaczę, pozwolę jej czynić, co sama zechce. Powiedz mi jednak, kim jesteś ty, co się tak nade mną znęcasz?

– Jestem także nieboszczykiem – rzekł mnich – urodziłem się na Sardynii; ponieważ za życia często pochwalałem, gdy pan mój był zazdrosny, Bóg taką mi karę naznaczył: mam ci podawać strawę i napój i okładać ci różgami, póki Bóg o nas obu inaczej nie postanowi.

– Zali nie ma tu nikogo, krom nas dwóch? – spytał Ferondo.

– Tysiące potępieńców w czyścicu cierpią – odparł mnich – aliści usłyszeć i obaczyć ich nie możesz, tak jak i oni ciebie.

– A czy dalekośmy od naszych stron? – pytał dalej Ferondo.

– Hoho! Kopę mil za Osranowem!

– Tam do licha! To daleko! Wydaje mi się, że musimy być już kawał drogi poza światem!

Ferondo, źle żywiony i ćwiczony różgami na schwał, podobne dyskursy tocząc przepędził w lochu dziesięć miesięcy. Tymczasem wielce szczęśliwy opat odwiedzał nieustannie jego piękną żonę i figlował z nią do woli. Wreszcie, jak to niefortunny los sprawia, niewiasta zaszła w ciążę i szybko to spostrzegłszy wyznała rzecz opatowi. Za czym oboje do tej myśli przyszli, że Ferondo winien czym prędzej z czyścica na ziemię powrócić, by powiedzieć mogła, że on był sprawcą jej ciąży. Dlatego też następnej nocy opat zbliżył się do lochu i zawołał zmienionym głosem:

– Bądź dobrej myśli, Ferondo, bowiem podobało się Bogu, abyś na świat powrócił. Po twoim powrocie żona twoja powije ci syna, którego nazwiesz Benedyktem. Łaskę tę zawdzięczasz modłom świątobliwego opata i żony twojej oraz szczególnej miłości świętego Benedykta.

Ferondo, słowa te usłyszawszy, wielce się uradował i rzekł:

– Niech Stwórca udzieli wszystkiego najlepszego Panu Bogu, świętemu Benedyktowi, opatowi i mojej żonie, miodowej, cukrowanej i pulchnej.

Opat, wsypawszy mu do wina proszku, tak aby Feronda czterogodzinny sen zmorzył, odział go w dawne szaty i przy pomocy mnicha przeniósł go do grobowca, w którym go pochowano.

Nazajutrz o świecie Ferondo ocknął się i obaczył przez szczelinę w grobowcu światło, którego od dziesięciu miesięcy nie widział. Zdało mu się, że do życia powrócił, i dlatego wrzeszcząc począł:

– Otwórzcie, na Boga, otwórzcie!

Później napał tak silnie głową na głąz zamykający grobowiec, że go zwolna usunął. Gdy się tak trudził, mnisi odprawiający właśnie modlitwy poranne przybiegli do grobowca. Poznali głos Feronda i ujrzeli go wychodzącego z grobu. Srodze tym wszystkim przerażeni, rzucili się do ucieczki i do opata pobiegli. Ów udając, że właśnie modlitwę kończy, rzekł:

– Nie trwóście się, dzieci moje, weźcie krzyż i wodę święconą i pójďte za mną. Obaczym, co Bóg wszechmogący chce nam objawić.

Ferondo, wielce blady, jak człek, który dawno światła słonecznego nie oglądał, wydobył

się tymczasem z grobowca, a ujrzawszy opata, padł przed nim na kolana i zawołał:

– Czcigodny ojcze! Jak mi objawiono, modlitwy wasze, świętego Benedykta i mojej żony uwolniły mnie od mąk czyścicowych i do życia mnie powróciły. Niechże wam Bóg odtąd we wszystkim błogosławi, teraz i zawsze.

– Niechaj Bóg będzie na wieki pochwalony! – zawołał opat. – Idź, mój synu, cudem do życia powrócony, i pociesz żonę swoją, która od dnia, gdyś zszedł z tego świata, we łzach nieutulonych tonęła. Idź i staraj się odtąd godnie Bogu służyć.

– Dobrą naukę, przewielebny ojcze, odebrałem w czyścicu – odparł Ferondo – pozwólcie mi jeno żonę obaczyć, a będę ją całował i pieścił bez końca, całą duszą bowiem ją miłuję.

Opat, udając wielkie zadziwienie, zostawszy sam z mnichami, kazał im zaśpiewać *Misere-re*.

Ferondo powrócił do swej wsi; każdy, kto go obaczył, uciekał przed nim jak przed najokropniejszym monstrem. Ferondo wołał za wszystkimi w ślad, że zmartwychwstał. Żona jego także się srodze z początku zestrachala. Później jednak, gdy ludzie już nieco do Feronda przywykli i upewnili się, że jest on żywy, jęli się go o różne rzeczy wypytywać. Ferondo, któremu w czyścicu jakby nieco rozumu przybyło, opowiadał wszystkim nowiny o duszach krewniaków i zmyślał najcudowniejsze baśni o życiu za grobem. Powtarzał także w przytomności wielu ludzi o objawieniu Archanioła Gabriela, które przed swym zmartwychwstaniem odebrał.

Po czym powrócił z żoną do domu, majątność swoją w posiadanie objął i jak mu się zdało, małżonkę ciężarną uczynił. Zdarzyło się, że w oznaczonym czasie (według mniemania głupców, którzy sądzą, że białogłowa dokładnie przez dziewięć miesięcy dziecię w żywocie swym nosi) żona Feronda powiła syna, który na chrzcie świętym imię Benedykta otrzymał.

Powrót Feronda i jego opowieści powiększyły jeszcze sławę świątobliwego opata, jako że każdy bez mała wierzył w zmartwychpowstanie kmiotka. Ferondo, który dla swej zazdrości siła plag otrzymał, teraz całkiem się ze swej wady uleczył i już nigdy odtąd zazdrosny nie był, tak że spełniła się obietnica dana żonie jego przez opata. Żona jego, wielce z tego ukontentowana, żyła z nim w przykładowej zgodzie, nie zaniedbując jednak, ilekroć się dało, nagradzać świątobliwego opata, który w najcięższych przypadkach tak chętnie i dobrze pomoc jej swą okazał.»

Opowieść dziewiąta



GILETTA Z NARBONNY

Gilletta z Narbonny uzdrawia króla francuskiego z fistuły i domaga się za męża Beltrama z Roussillonu. Ów, poślubiwszy ją wbrew swojej woli, pelen gniewu, do Florencji wyjeżdża, gdzie rozmiłowuje się w pewnej dziewczicy. Mniemając, że jest z umiłowaną, z Gilettą w łóżu spoczywa i obdarza ją dwoma synami. Później pokochawszy ją, jako z małżonką swoją szczęśliwie z nią żyć poczyną.

Teraz, ze względu na przywilej Dionea, którego naruszyć nie chciała, miała opowiadać jeszcze tylko krótko królowa. Gdy więc nowela Lauretty została doprowadzona do kresu, nie czekając, aż ją prosić zaczną, rzekła w te słowa:

– Któż teraz, wysłuchawszy opowieści Lauretty, będzie umiał opowiedzieć nowelę, która by powszechny aplauz znalazła? Dobrze się stało, że nie uraczono nas nią na samym początku, bowiem później niewiele opowieści do smaku by nam przypadło. Zapewne i te, które jeszcze dzisiejszego dnia do opowiedzenia pozostają, niezbyt zachwalane będą. Mimo to jednak opowiem wam o zdarzeniu, które mi w związku z naszym tematem, na myśl przyszło.

«W królestwie francuskim żył niegdyś pewien szlachcic, zwany Isnardem, grabią z Roussillonu⁹¹. Ów, na zdrowiu wielce szwankując, trzymał przy sobie zawsze medyka, mistrza Gerarda z Narbonny.

Grabia z Roussillonu miał malutkiego synaczka, jedynaka, imieniem Beltram. Wraz z tym urodziwym i przymilnym chłopcem wychowywało się wiele rówieśnych dzieci, wśród których znajdowała się także córka medyka, Gilettą zwana. Dzieweczka ta rozmiłowała się w Beltramie bardziej, niżli to na wiek jej młody przystało. Po śmierci grabi Beltram, pod opieką królewską pozostały, musiał do Paryża się udać. Młódka pogrążyła się w niewymownym smutku. Wkrótce i jej ojciec zszedł z tego świata. Gdyby stosowny pozór miała, z wielką chęcią do Paryża by wyruszyła, aby Beltrama obaczyć. Znajdując się jednak pod srogim nadzorem, jako że ze swymi bogactwy sama na świecie pozostała, nie mogła żadnej wymówki znaleźć. Doszedłszy do lat niewieścich, nie była w stanie o Beltramie zapomnieć i odmawiała wszystkim zalotnikom, z którymi ją krewniacy swatali, żadnych racyj nie podając. Gdy Gilletta miłością swą nieszczęsną do Beltrama bardziej niż kiedykolwiek gorzała (doniesiono jej bowiem, że stał się już urodziwym młodzieńcem), nagle doszły ją słuchy, że król francuski wskutek wrzodu na piersi, źle przez medyków zaleczonego, dostał fistuły, która mu wielkich

boleści i niepokoju przyczyniała. Na domiar złego król nie znajdował lekarza, który by mógł mu jakieś ulżenie sprawić. Starania wszystkich jeno niemoc jego pogarszały. Dlatego też król, do rozpacz przywiedziony, od nikogo więcej pomocy ani rady przyjmować nie chciał.

Wiadomość ta niezmiernie młodkę uradowała, bowiem nadarzał jej się pozór wyjazdu do Paryża, a przy tym spodziewała się, że jeśli choroba króla taką się okaże, jaką jej się wydała, to uda jej się łatwo Beltrama za męża pozyskać. W tym celu więc, będąc już przez swego ojca w kunszcie medycznym wyćwiczona, przygotowała z różnych ziół i korzeni stosowny proszek, siadła na koń i do Paryża się udała. Przede wszystkim postarała się obaczyć Beltrama; później, stanąwszy przed królem, jako o osobną łaskę poprosiła, aby jej naturę swej niemocy wyjawiał. Król, obaczywszy urodziwą i powabną dziewczeczkę, nie chciał jej odmówić i odkrył przed nią cierpiące miejsce. Giletta, przyjrawszy się ranie, już za pewne to miała, że ją wyleczy, i dlatego też rzekła:

– Jeśli się zgodzicie, królu mój i panie, to przy pomocy boskiej uwolnię was od tej choroby w ciągu tygodnia, nie przyczyniając wam najmniejszego bólu czy dolegliwości.

Król roześmiał się w głębi duszy na te słowa i rzekł do się:

„Tego, czego nie mogli sprawić najteżsi na świecie medycy, miałaby dokonać jedna młoda białogłowa?” Podziękowawszy przeto Giletcie za jej cne usługi, odparł, że postanowił już niczyjej rady lekarskiej nie zasięgać.

– Wydwarzacie się, panie, z mojej umiejętności – odparła młodka – ponieważ jestem kobietą, a do tego wielce młodą. Zwracam wam jednak uwagę, że nie własną sciencją, ale kunsztem mistrza Gerarda z Narbonne, ojca mojego i sławnego niegdyś medyka, przy pomocy boskiej wyleczyć was zamierzam.

Wówczas król pomyślał sobie: „Może być, że w samej rzeczy Bóg mi ją tu przysyła. Dlaczego miałbym jej sztuki nie wypróbować, zwłaszcza że, jak sama powiada, nie przysparzając mi cierpień, w krótkim czasie mnie wyleczy.”

Postanowiwszy więc dokonać próby, rzekł w te słowa:

– Jeżeli złamię dla cię swoje postanowienie, a ty mnie do zdrowia nie powrócisz, cóż się ma stać z tobą za karę?

– Każcie mnie, panie, wziąć pod straż – odparła młodka – abym, jeśli w ciągu tygodnia was nie wyleczę, na stosie spalona została. Jeżeli jednak wam zdrowie powrócę, jaką nagrodę otrzymam?

– Wydajesz mi się jeszcze niezamężną – rzekł król – jeśli więc obietnicę swoją ziścisz, obdarzymy cię znacznym i szlachetnym małżonkiem.

– Królu – odparła Giletta – zaiste szczęśliwą będę, jeśli mnie za mąż wydacie, pragnę jednak wybrać sobie małżonka według swej woli, wykluczając synów waszych i wszystkich członków królewskiego domu.

Król obiecał, że jej życzenie spełni.

Wówczas dziewczeczka do leczenia przystąpiła i wkrótce, jeszcze przed oznaczonym czasem, powróciła królowi zdrowie. Król czując się uzdrowionym rzekł:

– Zasłużyłaś w pełni na przyobiecane ci męża.

– Jeżeli tak, Miłościwy Panie – odparła Giletta – to znaczy, zasłużyłam na Beltrama z Roussillonu, którego jeszcze w dzieciństwie pokochałam, aby do tych pór niezmienną miłością go darzyć.

Spełnienie tego żądania niemałą rzeczą królowi się zdało, jednakże, raz dawszy słowo, nie chciał go teraz łamać, dlatego też kazał przywołać Beltrama i rzekł doń:

– Jesteś już żralym mężem, Beltramie! Wolą moją jest, abyś powrócił w swoje strony i grabiostwem swoim sam rządzić zaczął, a przy tym zabrał z sobą pewną panienkę, którą ci za żonę przeznaczam.

– Któż jest tym dziewczęciem? – zapytał Beltram.

– Ta, której umiejętności zdrowie swoje zawdzięczam – odparł król.

Beltram, który już Giletę widział, chociaż bardzo urodziwą ją znalazł, znając jej stan niski, na wszem przeciwny jego znacznemu rodowi, odparł gniewnie:

– Chcecie mi dać za żonę znachorkę, Miłościwy Panie? Strzeż mnie Boże, abym kiedykolwiek podobną małżonkę miał do domu mego wprowadzić!

– Pragniesz więc do tego mnie przywieść, abym złamał me słowo, dane dziewczeczce, która mnie wyleczyła i która w nagrodę za swe usługi zażądała cię na męża? – spytał król.

– Możecie mi odjąć wszystko, co posiadam – odparł Beltram – i jako podwładnego swego oddać mnie, komu się wam podoba, ale zaręczam wam, że nigdy nie będę w takim stadle szczęśliwy.

– A ja mniemam całkiem przeciwnie – rzecze król – bowiem dziewczeczka jest urodziwa i rozumna wielce, a do tego gorąco cię miłuje. Pewien jestem, że będziesz z nią szczęśliwszy niżli z jakąś damą ze znacznego rodu.

Beltram umilkł słowa te usłyszawszy, a król tymczasem polecił czynić wielkie przygotowania na uroczystość zaślubin.

Wkrótce nadszedł dzień ślubu. Beltram, aczkolwiek niechętnie, w przytomności króla pojął za żonę dziewczeczkę, gorąco go miłującą. Po ślubie, zgodnie z powziętym wprzód postanowieniem, oznajmił, że pragnie do swego grabiostwa powrócić, aby w swych majątnościach żyć z młodą żoną po społu. Otrzymawszy pozwolenie króla, siadł na koń i miast w swoje strony, do Toskanii się udał. Wiedząc, że Florentczycy w tym czasie z Sieneńczykami wojnę toczyli, ofiarował im swoje usługi. Florentczycy z radością i z oznakami wielkiej czci go przyjęli i mianowali go dowódcą oddziału żołnierzy, znaczny żołd mu wyznaczając. Beltram przez dłuższy czas u nich na służbie pozostawał.

Młoda żona tymczasem, niezbyt uradowana takim obrotem sprawy, a jednocześnie nadzieję żywiąca, że tym, co zdziała, uda jej się Beltrama do domu sprowadzić, udała się do Roussillonu, gdzie wszyscy jako grabinię ją przyjęli. Znalazłszy tutaj wszystko w wielkim nieładzie z powodu długiej nieobecności grabiego, starań i pracy nie litując, porządek z powrotem ustanowiła. Poddani jej, wielce z tego zadowoleni, przychylnością niepomiarłą ją darzyli i grabieniu za złe mieli jego niechęć do żony. Przywiódłszy do porządku wszystkie sprawy w majątnościach, Giletta uwiadomiła o tym męża przez dwóch dworzan, prosząc go, jeśli jej obecność od powrotu do domu go wstrzymuje, aby jej doniósł o tym, a ona natychmiast, woli jego posłuszna, z tych stron się oddali.

Grabia dał wysłańcom twardą odpowiedź:

– Niechaj moja żona czyni, co chce. Co się tyczy mego powrotu, to on prędzej nie nastąpi, aż Giletta będzie miała na palcu ten oto pierścień, a na rękach dziecię, przeze mnie spłodzone.

Pierścień ów miał grabia w wielkiej cenie i nigdy się z nim nie rozstawał dla tajemniczej mocy, którą rzekomo klejnot ten posiadał. Dworzanie pojęli srogość kondycji, składającej się z dwóch niemożliwych prawie rzeczy, wiedząc jednak, że słowami od postanowienia tego odwieść go nie zdołają, powrócili do damy i powtórzyli jej respons grabiego.

Giletta, wielce strapiona, po dłuższym namyśle postanowiła spróbować, zali się jej nie uda tych dwóch warunków wypełnić i tą drogą męża odzyskać. Utwierdziwszy się w tym zamiśle swoim i dobrze ułożywszy, co jej czynić wypada, wezwała na naradę najstarszych i najrozumniejszych ludzi swego grabstwa i rozwijając rzecz umiejętnie, opowiedziała im rzewnymi słowami o wszystkim, co z miłości do grabiego uczyniła i jaką za to otrzymała nagrodę. Następnie odkryła im swój zamysł, który był taki: wiedząc, że jej pobyt tutaj grabiego do wygnania przymusza, resztę swego życia poświęcić pragnie na pielgrzymki i dzieła miłosierne celem zbawienia duszy swojej. Prosiła przeto owych mężów, aby grabiostwo pod swój zarząd wzięli i Beltrama jak najrychlej uwiadomili, że ona majątności jego opuściła z tym twardym postanowieniem, że już nigdy do Roussillonu nie powróci. Słyszając ją tak mówiącą, wszyscy przytomni łzami się zalewali i prosili ją gorąco, aby zamysł swój odmieniła i w Roussillonie pozostała, aliści błagania te żadnego nie odniosły skutku. Poleciwszy swoich doradców opiece

boskiej, Giletta w stroju pielgrzymim w towarzystwie krewniaka i służki puściła się w drogę, zabierając z sobą większą sumę pieniędzy i klejnoty. Nikt nie wiedział, dokąd się udaje. Ona zaś, nie zażywając w drodze wczasu, podążyła do Florencji. Przybywszy do miasta szczęśliwie, zatrzymała się w niewielkiej oberży, należącej do pewnej wdowy, i poczęła żyć jako nabożna uboga pielgrzymka, pragnąc jak najprędzej dowiedzieć się jakichś nowin o swym małżonku i panu. Zdarzyło się, że następnego dnia ujrzała Beltrama, przejeżdżającego koło oberży konno na czele swego oddziału. Chocia go od razu poznała, spytała oberżystki, kto to zacz?

– Jest to znaczny cudzoziemski pan – odparła gospodyni – imieniem grabia Beltram, człek uprzejmy i miły, ogólną czią otaczany w mieście. Miłuje on z całego serca jedną z naszych sąsiadek, która jest ubogą szlachcianką. Ta obyczajna dziewczeczka nie wyszła dotąd za mąż z przyczyny swego ubóstwa. Mieszka ona po społu z swoją matką, wielce zącą i roztrofną białogłową. Gdyby nie wzgląd na tę matkę, już dawno uczyniłaby to, czego grabia pragnie.

Giletta słowa te usłyszawszy rozważyła każdy szczegół dokładnie i na okoliczności tej osnuła swój zręczny plan.

Dowiedziała się, jak się zowie i gdzie mieszka młódka, którą grabia miłuje, i pewnego dnia ukradkiem, w szatach pielgrzymich, udała się do domu jej matki. Obie białogłowy przyjęły ją w ubogiej izdebce. Giletta pozdrowiła je i poprosiła staruszkę o chwilę rozmowy. Ta podniosszy się rzekła, że gotowa jest jej wysłuchać. Po chwili udały się same do sąsiedniej izby, a gdy na ławie zasiadły, grabini rzekła:

– Zdaje mi się, madonno, że fortuna jest wam przeciwna wielce, tak jako i mnie. Jeżeli jednak zechcecie, będziecie mogły mnie i siebie uszczęśliwić.

Staruszka odparła na to, że niczego tak nie pragnie, jak poprawienia swego losu drogą godziwą.

– Przede wszystkim trzeba, bym mogła na was polegać – rzekła grabini. – Jeżeli wam zaufam, a wy mnie zdradzicie, zepsowacie przez to w szczt moje plany, a i same będziecie musiały żegnać się z nadzieją.

– Mówcie spokojnie – odparła staruszka – ja was z pewnością nie zdradzę.

Wówczas Giletta zaczęła swoją opowieść od chwili, gdy Beltrama pokochała, później wyznała, kim jest, i opowiedziała o wszystkim, co zaszło. Mówiła w sposób tak wzruszający, że dama słowom jej uwierzyła, i współczuć z nią poczęła, tym bardziej że już ją słuchy o tej historii skądinąd doszły.

Grabini wszystko szczegółowo wyjaśniwszy rzekła:

– Teraz wiecie już, pani, co uczynić muszę, aby męża odzyskać. Znacie dwa warunki, których dopełnić winnam. Nikt mi w tym dopomóc nie może krom was, jeżeli tylko prawdą jest, że grabia córkę waszą gorąco miłuje.

– Nie wiem, czyli ją miłuje, czy nie – odparła dama – to mi jeno wiadomo, że całe jego postępowanie tego dowodzić się zdaje. W czym jednak użyteczna wam być mogę?

– Zaraz wam to powiem, madonno – rzekła Giletta – pierwej jednak powiedzieć pragnę, jaką korzyść wam ta przysługa przyniesie. Wiem, że córka wasza, w wieku stosownym do małżeństwa będąca, wielką urodą celuje i że tylko dla braku wiana w domu swym dotąd ją trzymacie. Gotowa jestem za usługę, jaką mi wyświadczycie, takim wianem ją obdarzyć, jakie mi sami naznaczycie.

Damie, niedostatek cierpiącej, wielce te słowa do smaku przypadły, jednakoż odparła, szlachetnością wiedziona:

– Powiedźcie mi, pani, co mam dla was uczynić? Jeśli to tylko nie będzie rzecz nieobyczajna, chętnie wszystko wypełnię, wy zaś później uczynicie, co się wam podoba.

Wówczas grabini rzekła:

– Należy, abyście przez zaufanego człeka powiadomili mego męża, grabiego, że córka wasza gotowa jest poddać się jego woli, jeżeli tylko wprzód się upewni, że on miłuje ją w samej

rzeczy tak gorąco, jak to okazuje. Jednakoż nigdy temu wiary nie da, jeśli grabia nie przyśle jej wprzód pierścienia, który na palcu nosi, a w którym, jak słyszała, szczególnie sobie upodobał. Jeśli grabia pierścień ofiaruje, oddacie mi go, a później każecie powiedzieć memu mężowi, że córka wasza gotowa jest pragnienia jego wypełnić. Potem musicie go tu potajemnie przyprowadzić i mnie, miast córki swojej, położyć przy jego boku. Być może, że Bóg pozwoli, bym poczęła, i że mając na palcu jego pierścień, a na rękach dziecię, przez Beltrama spłodzone, odzyskam mego męża i za waszym przyczynieniem pocznę z nim żyć, jak to na parę małżonków przystało.

Trudną rzeczą wydało się damie spełnienie prośby grabini; staruszka obawiała się bowiem, że córkę jej mogą wziąć na języki. Rozważywszy jednakoż, że chlubną jest rzeczą przyczynić się do powrócenia męża tak zacnej białogłowie i że uczciwej sprawie przyjść ma w pomoc, ufając szczerości uczuć grabiny, nie tylko przyrzekła Giletcie, że jej życzenia spełni, ale i natychmiast do dzieła się zabrała.

Wkrótce też, po kilku dniach, z wielką ostrożnością postępując otrzymała pierścień – jakkolwiek ciężko przyszło grabiemu z nim się rozłączyć – a potem z wielką zręcznością, miast córki swej, Gilette Beltramowi podsunęła. W czasie pierwszych miłosnych uniesień, tak przez grabiego upragnionych, żona jego z woli boskiej poczęła w swoim łonie dwa bliźnięta płci męskiej, jak się to w swoim czasie przy połogu okazało. Nie raz i nie dwa uszczęśliwiła zacna dama grabinę pieśzcotami jej męża, przy czym wszystko w takiej tajności utrzymywać umiała, że nikt o tym ani słowa nie uznał. Beltram, stale przekonany, że z łask umiłowanej dziewicy korzysta, obdarzał ją zawsze przy rannym rozstaniu mnóstwem szacownych podarków, których grabini troskliwie strzegła. Po pewnym czasie Giletta, poczuwszy się ciężarną, nie chciała już dłużej staruszki takimi sprawami zatrudniać i dlatego też rzekła:

– Madonno, Bogu i wam niech będą dzięki, pozyskałam bowiem to, czego pragnęłam. Pora więc teraz, abym wasze życzenia wypełniła i w świat odjechała.

Szlachetna dama odparła, że cieszy się wielce z tego, iż swymi staraniami grabini dopomóc zdołała, co się jednak nagrody tyczy, to działała bez myśli o niej, w przekonaniu, że dobrej sprawie służy, czyniąc, co przystało. Giletta odparła:

– Pochwalić was muszę za wzniosłość duszy waszej, aliści nie dla zapłaty chcę was obdarować, jeno aby dobry uczynek spełnić, przekonana, że tak mi postąpić należy.

Wówczas dama, koniecznością przyciśniona, zażądała z wielkim wstydem stu dukatów na wiano dla swej córki. Grabini, ujrawszy rumieniec na jej obliczu i skromność żądania zważywszy, nie sto, ale pięćset dukatów jej ofiarowała, a na przydatek jeszcze piękne i szacowne klejnoty, które tyleż wartyły. Starucha wielce uradowana, jak najgorętszy dank Giletcie złożyła. Po czym grabini opuściła jej dom i do gospody powróciła. Uczciwa dama tymczasem, nie chcąc, aby Beltram nadal jej dom nawiedzał ani kierował tu swoje posłania, opuściła po społu z córką swoją miasto i do krewniaków swoich na wieś się udała. Wkrótce i Beltram, przez swoich poddanych przywołany, usłyszawszy, że Giletta zamek jego opuściła, do majątności swych powrócił. Grabini, ucieszona ogromnie z tej wieści, pozostała we Florencji, aby tam pológ odbyć. Po pewnym czasie wydała na świat dwóch synaczków, podobnych na wszem do ojca, i z wielką troskliwością karmić ich poczęła. Gdy stosowna, jej zdaniem, chwila nastąpiła, wyruszyła w drogę i przez nikogo nie poznana, do Montpellier przybyła. Zażywając tu przez kilka dni wczasu, dowiedziała się, że grabia w dzień Wszystkich Świętych wielką ucztę dla dam i rycerzy w Roussillonie wyprawia. Przybyła więc do Roussillonu w swych szatach pielgrzymich. Widząc, że rycerze i damy zebrali się już w zamku grabiego i że do stołu usiąść zamierzają, nie zmieniając odzienia, weszła do wnętrza z dziećmi drobnymi na rękach. Przecisnąwszy się przez tłum, zbliżyła się do Beltrama, upadła przed nim na kolana i rzekła z płaczem:

– Panie mój i władco, jestem nieszczęśliwą małżonką twoją, która pragnąc, abys do domu swego powrócił i w nim pozostał, długo błąkała się po świecie. Zaklinam cię na Boga, abys

dotrzymał obietnicy, danej mi przez usta dwóch dworzan, moich wysłanników. Oto mam na rękach nie jedno, ale dwoje twoich dzieci, a na palcu twój pierścień. Słowem, nastał czas, abyś mnie uznał za prawowitą małżonkę swoją, zgodnie z uczynionym przyrzeczeniem.

Grabia zadziwił się niepomiernie na te słowa, poznał bowiem swój pierścień i spostrzegł, że dzieciątka są wielce do niego podobne. Pełen osłupienia zapytał:

– Jak to stać się mogło?

Wówczas Giletta ku wielkiemu zadziwieniu Beltrama i wszystkich przytomnych opowiedziała po porządku wszystko, co zaszło. Grabia, przekonawszy się, że żona szczerą prawdę powiada, ocenił w pełni jej wytrwałość i rozum i uradował się wielce z widoku dwóch pięknych synaczków swoich. Aby obietnicę swoją wypełnić i ukontentować wszystkich przytomnych, mężów i białogłowy, którzy jednogłośnie go prosili, aby żonę swą przyjął jako prawowitą i należycie ją uczcił, złożył pychę z swego serca, podniósł Gilette z klęczek, ucałował ją i uściskał. Potem uznał ją za małżonkę, a dzieci za synów. Poleciwszy przybrać grabinię w szaty, do jej godności stosowne, ku wielkiemu ukontentowaniu wszystkich gości swoich i wasalów wspaniałe uczy przez kilka dni wyprawiał. Odtąd w wielkim miał zachowaniu żonę swoją, miłując ją gorąco i czcząc całą duszą.»

Opowieść dziesiąta



DIABEL I PIEKŁO

Alibech staje się pustelnicą. Mnich Rustico poucza ją, jak należy diabła do piekieł zapędzić. Zabrana z pustelni, staje się żoną Neerbala.

Dioneo, wysłuchawszy uważnie do końca opowieści królowej, wiedział, że teraz jemu już tylko mówić przypadnie, dlatego też, nie czekając rozkazu, zaczął z uśmiechem w te słowa:

– Miłe damy, nie słyszałyście zapewne nigdy o tym, jak to się diabła do piekła zapędza. Dlatego też poza obręb materii do opowieści wybranej nie wychodząc, chcę wam o tym przedmiocie powiedzieć. Może być, że zbawicie dusze swoje, gdy podobnej sztuczki użyjecie, a także poznacie, że chociaż Amor ochotniej przebywa w wesołych pałacach i rozkosznych komnatach niżli w ubogich lepiankach, jednakże moc swoją objawia niekiedy także pośród gęstych borów, stromych skał i w odludnych jaskiniach. Stąd łatwo wnosić można, że wszystko na świecie jest jego władzy podległe.

«Przechodząc do rzeczy, powiem, że w mieście Capsa⁹² w Barberii mieszkał przed laty pewien bogaty człek, który pośród wielu innych dzieci posiadał piękną i urodziwą córkę, zwaną Alibech. Dzieweczka ta, nie będąc chrześcijanką, słyszała nieraz, jak to chrześcijanie, w Capsa przebywający, wiarę swoją i swoją służbę bożą wynoszą. Dlatego też zapytała pewnego dnia spotkanego na drodze chrześcijanina, w jaki sposób Bogu najlepiej służyć można. Zapytany odparł, że najlepiej Bogu służą ci, co najdalej od ziemskich spraw uciekają, na podobieństwo pustelników, którzy na pustynię Tebaidy⁹³ się udali. Wówczas niedoświadczona dziewczyna, która zaledwie czternaście lat liczyła, raczej dziecinnym zachcieniem niż pragnieniem rozumnym powodowana, nie pytając się nikogo o radę, samiuteńka wybrała się w tajemności następnego ranka w drogę do Tebaidy. Po wielu trudach, dążąc naprzód wytrwale, dotarła wreszcie do jednej z pustelni. Obaczywszy z daleka lepiankę, weszła do jej wnętrza, gdzie natknęła się na pewnego świątobliwego męża, w drzwiach stojącego. Ów, pełen zadziwienia, zapytał, czego tu szuka. Dzieweczka odparła, że głosem bożym natchniona, szuka człeka, który by jej służby bożej nauczył.

Zacny pustelnik, zważywszy jej młodość i wdzięki, począł obawiać się, że diabeł podkusić go może, jeżeli ją przy sobie zatrzyma, dlatego też pochwalił jej zamiar cnotliwy, nakarmił ją korzonkami, daktylami i dzikimi jabłkami, pokrzepił ją świeżą wodą i rzekł:

– Niedaleko od tego miejsca, moja córko, mieszka pewien świątobliwy mąż, który w tej materii daleko lepszym nauczycielem dla ciebie się okaże niżli ja. Radzę ci, abys się do niego udała.

Młódka ruszyła w drogę, a przybywszy do świątobliwego męża, podobną radę usłyszała. Wędrując dalej, doszła do pustelni młodego pustelnika, wielce zacnego i nabożnego człeka, zwanego Rustico⁹⁴. Obróciła się doń z podobnym co i do innych zapytaniem.

Rustico, chcąc na wielką próbę swoją cnotę wystawić, nie odprawił jej, lecz w celi swojej ją zatrzymał. Za nadejściem nocy narychtował jej łożę z palmowych liści i wezwał ją, aby się na nim położyła. Wkrótce pokusy walną rozprawę wstrzemięźliwości pustelnika wydały. Czując, że siły swoje przecenił, nie czekał już na dalsze szturmy, jeno podał przemocy tył i za zwyciężonego się uznał. Ostawiwszy więc świątobliwe rozmyślania, modlitwy i biczowania, przywołał na pamięć urodę i młodość dziewczeczki i jął się głowić nad tym, jaką drogą mógłby dojść do celu tak, aby ona nie spostrzegła, że jako człek rozwiązyły tylko zaspokojenie swych chuci miał na celu. Najpierw zadał jej szereg pytań i z responsów jej poznał dowodnie, że jeszcze nie wie wcale, co to za zwierzę jest mężczyzna, a także, że jest w samej rzeczy tak nierozgarniona, jaką się być wydawa. Upewniszy się o tym, postanowił pod pokrywką służby bożej do tego ją przywieść, aby jego woli posłuszną była. Przede wszystkim więc szyroce rozpowiadał jej o diable, zaprzysięgłym wrogu ludzkiego rodzaju i Boga, a później dał jej do zrozumienia, że niczym Bogu bardziej przysłużyć się nie można, jak zapędzeniem czarta do piekła, dokąd twórca na wieczność go wygnał.

Dziewczyna zapytała, jak się do tego zabrać należy.

– Zaraz obaczysz – odparł Rustico – czyn tylko to, co ja czynić będę. Rzekłszy te słowa, zrzucił z siebie swój nędzny przyodziewek i obnażony całkiem padł na kolana, jak gdyby modły zanosił postanowił. Młódka, równie naga, uklękła naprzeciw niego. Rustico, widząc ją w tej postaci, jeszcze większą żądzą zapalał, tak iż nastąpiło zmartwychwstanie jego przyrodzenia. Alibech, spostrzegłszy to, zawołała w srogim zadziwieniu:

– Rzeknij mi, Rustico, co to u ciebie dźwiga się na przodzie, czego ja wcale nie mam?

– Ach, córko moja – jęknął Rustico – jest to ów diabeł, o którym ci mówiłem. Teraz właśnie dręczy mnie tak okrutnie, że ledwie wytrzymać mogę.

– Niech Bóg będzie pochwalony – zawołała dziewczeczka – widzę, że ja jestem szczęśliwsza od ciebie, nie mam bowiem takiego plugawego diabła.

– Prawdę rzekłaś – odparł Rustico – ale posiadasz za to inną rzecz, której ja nie mam.

– Cóż to takiego? – spytała Alibech.

– Masz piekło – rzekł Rustico – i zaprawdę, powiadam ci, że Bóg cię tu przysłał dla zbawienia duszy mojej, jeżeli się bowiem ulitujesz nade mną i jeśli, gdy ten diabeł męczyć mnie pocznie, zgodzisz się, bym go do piekła zapędził, wielką ulgę mi sprawisz i uczynisz Bogu rzecz wielce miłą, co jako rzeczesz, jest przyczyną twojego tu przybycia.

Dziewczyna odparła w dobrej wierze:

– Czcigodny ojcze, jeżeli w samej rzeczy mam piekło, to niech się stanie, jak chcesz.

– Bądź błogosławiona, córko moja – zawołał pustelnik – pójdźmy więc i zapędźmy diabła, abym mógł ulżenia i spokoju zaznać.

Z tymi słowy zaprowadził dziewczeczkę na posłanie i pokazał jej, jak się zachować należy, gdy się chce potępieńca uwięzić. Młódka, która jeszcze nigdy żadnego diabła do piekła nie zapędzała, uczuła na razie przykrość niejaką i dlatego też rzekła:

– Zaiste, mój ojcze, diabeł ten musi być obmierzłym potworem i prawdziwym nieprzyjacielem Boga, bowiem nawet samemu piekłu przy wejściu prawdziwą udrękę sprawia.

– Moja córko – zawołał Rustico – nie zawsze tak będzie! I aby diabła poskromić, nim podnieśli się z posłania, jeszcze sześć razy go do piekła zapędzili, tak że mu na ten raz pychę z głowy wybili i do spokojności go przywiedli. Ilekroć później znów się w nieposkromionej dumie podnosił, dziewczeczka okazywała się zawsze skłonna do upokarzania go, znajdując

wielkie w tym ćwiczeniu ukontentowanie. Mawiała tedy do Rustica:

– Widzę teraz dowodnie, że prawdę powiadali ci poczciwcy z Capsa, twierdząc, iż nader miłą rzeczą jest Bogu służyć. Istotnie bowiem nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek z jakiejś pracy tyle rozkoszy odnosiła, co z tego zapędzania diabła do piekła. Wnoszę stąd, że każdy, kto z całych sił Bogu służyć się nie stara, jest jeno zwierzęciem bezrozumnym.

Dlatego też przychodziła często do Rustica i odzywała się na ten kształt:

– Czcigodny ojcze, przybyłam tutaj po to, aby Bogu służyć, a nie aby próżnować. Chodźmy więc i diabła do piekła wraźajmy!

Podczas nabożnego ćwiczenia mawiała zaś:

– Nie pojmuję, Rustico, dlaczego ten diabeł z piekła ucieka? Gdyby w nim tak ochotnie pozostawał, jak piekło go ochotnie przyjmuje, wiecznie by tam przebywać powinien.

Takim zachęcaniem i pobudzaniem do służby bożej młódka wreszcie Rusticowi tyle wełny z kaftana uszczknęła, że w chwili gdy poty byłyby na innego, zimny go już tylko dreszcz przejmował. Dlatego też powiedział wreszcie Alibech otwarcie, że diabła tylko wtedy gnębić i do piekła pędzić potrzeba, gdy głowę z pychy zbyt do góry podnosi.

– My zaś – dodał – za łaską bożą takeśmy go ujarzmili, że prosi tylko o jedno: ażeby go w spokoju pozostawić.

Słowami tymi skłonił na niejaki czas dziewczynę do spokojności. Po paru dniach jednakże, widząc, że Rustico wcale nie kwapi się z zapędzaniem diabła do piekła, Alibech rzekła:

– Rustico, jeżeli twój diabeł, już poskromionym będąc, dokuczać ci przestał, to moje piekło spokoju mi nie daje. Spełnisz więc dobry uczynek, dopomógłszy mi przy pomocy diabła okiełznać nieco wściekłość piekła mego, tak jak ja piekłem mym pomogłam ci upokorzyć pychę twego diabła.

Rustico, który jadał tylko korzonki, popijając je czystą wodą, niechętnie na te zaproszenia odpowiadał i tłumaczył Alibech, że dla uspokojenia piekła całej czeredy diabłów potrzeba. Obiecywał jednak, że będzie jej pomagał w miarę sił swoich. W samej rzeczy niekiedy jeszcze Alibech zadawała, alіści zdarzało się to tak rzadko, że znaczyło tyleż, co ziarenko grochu rzucone w paszczę lwa. Dziewczyna widząc, że nie może Bogu służyć tak, jakby pragnęła, wielkie nieukontentowanie okazywała.

Gdy ten spór między diabłem Rustica a piekłem Alibech trwał ustawicznie, z przyczyny zbytnej żądz z jednej strony, a wątych sił z drugiej, zdarzyło się, że w Capsa wybuchł pożar, którego ofiarą padł we własnym domu rodzic Alibech po społu ze swymi dziećmi i całą rodziną. Alibech stała się tedy jedyną dziedziczką dóbr rozległych. Na wieść o tym pewien młodzieniec, nazwiskiem Neerbal, który cały swój majątek na życie wesołe zmarnotrawił, postanowił odszukać Alibech, zasłyszawszy, że dziewczeczka żyje. Wybrał się tedy w drogę i odnalazł ją, nim jeszcze państwo przez sądy zdołało zagarnąć spuściznę, co bez dziedzica pozostawała. Ku wielkiej radości Rustica, a wbrew jej woli, zabrał Alibech do Capsy, uczynił ją żoną swoją i we władanie wszystkie jej majątności objął.

Gdy niewiasty przed wprowadzeniem jej do ślubnej łóżnicy zapytały, w jaki sposób na pustyni Bogu służyła, Alibech, która jeszcze po społu z Neerbalem nie była spała, odparła, że trudziła się zapędzaniem diabła do piekła i że Neerbal wielki grzech popełnił, odrywając ją od jej cnych powinności. Białogłowy zapytały wówczas:

– W jaki to sposób diabła do piekła się zapędza?

Alibech słowami i znakami dowodnie wszystko im wytłumaczyła. Wszystkie przytomne niewiasty gromkim śmiechem wybuchnęły, a potem rzekły:

– Nie turbuj się zbyt, dziewczeczko, bowiem i u nas podobnie dobre uczynki spełniać umiej. Neerbal po społu z tobą niegorzej Bogu służyć potrafi. Później rozniosły całą tę historię po mieście, tak iż wkrótce nowe przysłowie powstało: „Najmilsza służba dla Boga – wtrącać w piekło jego wroga.” Owa pogwarka, przyszedłszy do nas zza morza, i dzisiaj jeszcze jest na ustach wszystkich. Dlatego też wy, młode damy, którym łaski bożej potrzeba, nauczcie

się diabła do piekła zapędzać, bowiem Bóg chętnie na to patrzy, nie mówiąc już o tym, że dla obu stron jest to zajęcie miłe, z którego wiele dobrego począć się może.»

Tysiąc razy, jeśli nie więcej, opowieść Dionea damy do śmiechu przywodziła, tak krotchwilnymi bowiem jego słowa im się wydały. Gdy Dioneo opowieść swoją zakończył, królowa, wiedząc, że kres jej władzy nastał, laurowy wieniec z głowy swej zdjęła i włożywszy go z wielkim wdziękiem na skronie Filostrata rzekła:

– Obaczmy teraz, czy wilk lepiej owieczkom przewodzić potrafi, aniżeli one wilkom przewodziły.

– Gdyby to ode mnie zależało – odparł Filostrato ze śmiechem – wilki dawno by już nauczyły owieczki diabła do piekła zapędzać, niegorzej, jak to Rustico Alibech nauczył. Nie nazywajcież więc nas wilkami, skoro same owcami nie jesteście. Ponieważ jednak mnie władza oddana została, rządy sprawować będę.

– Słuchaj, Filostracie – rzekła Neifile – chcąc nas uczyć, może byś nabrał sam znajomości rzeczy, tak jak jej nabrał Masetto z Lamporecchio od mniszek, a mowę odzyskałbyś dopiero wtedy, gdyby ci kości, jak u szkieletu, dzwonić poczęły.

Filostrato, czując, że kosa na kamień trafiła, ostawił żarty na stronie i rządy sprawować zaczął. Przywoławszy marszałka, o wszystko szczegółowie się go wypytał, po czym z wielką roztropnością na czas swego władania różne rozkazy wydał, których spełnienie rzeczą potrzebną i przyjemną dla towarzystwa być mu się wydało.

Później z następującymi słowy do dam się obrócił:

– Najwdzięczniejsze damy! Odkąd, na nieszczęście moje, nauczyłem się zło od dobra odróżniać, zawsze z powodu piękności tej czy innej białogłowy władzy Amora byłem zhołdowany. Aliści na niewiele się zdało, że byłem mu uległy, posłuszny i że wszystkich jego ustanowień pilnie przestrzegałem. Opuścił mnie był dla innego, szczęśliwszego ode mnie, a później i to sprawił, że coraz gorzej wieść mi się poczęło. I tak już, wierzę, dotrzeć mi przyjdzie do śmierci. Dlatego nie chcę, aby przedmiotem jutrzejszych opowieści była materia inna jak ta, która mej niedoli najbardziej odpowiada. Opowiadajcie zatem o ludziach, których miłość nieszczęsny miała koniec. I ja bowiem pewien jestem smutnego mej miłości skutku; nie darmo imię, którym mnie zowiecie, zostało mi nadane przez człeka, dobrze rozumiejącego jego sens zakryty.

Rzekłszy te słowa, Filostrato podniósł się i pożegnał wszystkich do wieczery. Ogród był tak piękny i miły, że nikomu z towarzystwa nie przyszło nawet na myśl opuścić go, aby gdzie indziej wczasu lepiej zażywać. Gasnące promienie zachodzącego słońca, żarem już nie tchnąc, pozwalały niektórym z pań biegać po sadzie i ścigać łanie, króliki i inne zwierzątka, które poprzednio, gdy siedzieli wkoło, może po sto razy obok ludzi w podskokach przebiegały, niepokojąc zebranych. Dioneo i Fiammetta jęli śpiewać o rycerzu Wilhelmie⁹⁵ i damie z Vergi. Filomena i Panfilo grze w szachy się oddali. Gdy tak jedni tym, a drudzy owym zabawieni byli, umykały godziny i dziwnie rychło nastąpił czas wieczery. Rozstawiono stoły wokół pięknej fontanny i wszyscy do wesołej biesiady zasiedli. Filostrato, nie chcąc odstępować od obyczaju swoich poprzedniczek–królowych, rozkazał, gdy już stoły uprzątnięto, aby Lauretta zaśpiewała i taniec zawiodła.

– Panie mój – odparła Lauretta – nie znam żadnych pieśni przez innych ułożonych, z moich zaś nie pomnę takiej, która by naszej ochoczej kompanii odpowiadać mogła. Jeśli jednakże chcecie posłuchać tego, co umiem, zaśpiewam wam chętnie.

– Wszystko, co uczynisz – rzekł król – będzie dla nas piękne i miłe. Obdarz więc nas, czymkolwiek chcesz.

Wówczas Lauretta łagodnym, pełnym melancholii głosem, przy wtórze innych tak śpiewać poczęła:

Któż, co okrutne ponosi męczarnie,
Ma równe prawo do skargi
Jak ja, do której wszelki ból się garnie?

Władca gwiazd jasnych, rządzący tym światem,
Igraszkę czyni sobie z mej istoty,
Bo choć mnie okrył wdzięków majestatem,
Który dla ludzi blask rozsiewa złoty
Pod niebios Jego sklepieniem bogatem,
Jednak mych wdzięków nie waząc ni cnoty,
Mrok na słoneczne me spuścił tęsknoty
I radość w wieczną przemienił męczarnię.

Gdy w przeszłość tęsknym podążę wspomnieniem,
Widzę młodzieńca, co mnie, dzieckiem prawie,
Obdarzył sercem i objął ramieniem.
Dni swe mej służbie oddał i zabawie,
Pojąc się wzroku mojego płomieniem.
Ach, nigdy tego słowem nie wystawię,
Jak cudnych marzeń był on mi wcieleniem,
Z jakim patrzyłam w niego zachwyceniem!
Lecz całe szczęście to wnet znikło marnie!

Inny wziął potem duszę mą i ciało,
Lecz jak odmienny: pyszny z swego rodu,
Z twarzą pochmurną zawsze i zuchwałą.
Ten mnie uczynił służką swą za młodu,
A gdy zazdrości oddał duszę całą,
Gorycz poczułam w złotych kruzach miodu.
Ach, czuję teraz wśród łez i zawodu,
Że mych afektów by dla wielu stało
I że ten jeden, więzi mnie bezkarnie!

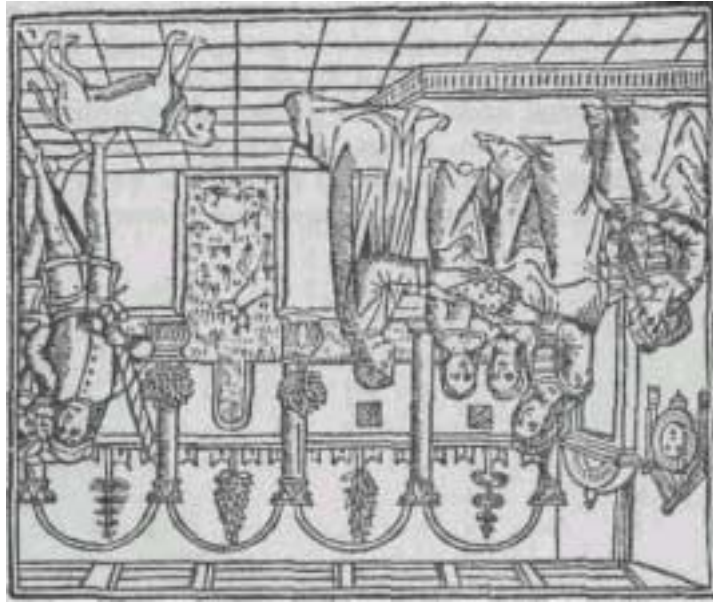
Skarżyć się muszę dziś na twarde losy;
Cóż mnie skłoniło wyrzec zgody słowo
I czarną szatę zmienić na godową?
W tej czarnej śmiały się do mnie niebiosy,
A w jasnej żalność odczuwam grobową!
O dniu zaślubin, źródle łez mych rosy!
O dniu, gdy perły wplatając we włosy,
Miał być szczęśliwą, poczęłam na nowo
Tęsknić i srogie wciąż znosić męczarnie!

Druhu radosnych chwil mojej młodości,
Któremu równy już mi nie był dany,
Jeśli istniejesz gdzieś na wysokości,
Proś Boga, łzami szczerymi zalany,
Za tę, co tutaj usycha w żalności,
Idąc w hymenu szlak, cierniem usłany!
Niech się nie goją mego serca rany,
Niech dawny płomień znów we mnie zagości,
Lub niechaj przetnie śmierć moją męczarnię!

Tutaj Lauretta umilkła. Wszyscy uważnie pieśni słuchali, różnie ją pojmując. Znaleźli się i tacy, co na mediolańską modłę myśląc rzekli, że dobra wieprzowina lepsza jest od urodziwej białogłowy. Inni jednakże pojęli głębokie i podniosłe znaczenie pieśni, o którym jednak mówić teraz nie pora. Po czym na rozkaz króla zapalono pochodnie, pośród kwiatów i zieleni ukryte. Towarzystwo wielu jeszcze pieśni słuchało, póki gwiazdy na niebie nie zmierzchły.

Wówczas zdało im się, że pora wczasu nadeszła. Życząc sobie dobrej nocy, wszyscy do izb swych na spoczynek się udali.

Kończy się trzeci dzień Dekameronu i zaczyna czwarty, w którym, zgodnie z wolą króla Filostrata, opowiada się o tych, których miłość kres nieszczęśliwy znalazła.



**DZIEN
CZWARTY**

– Miłe damy! Wszystko, co słyszałem od ludzi mądrych, co w księgach czytałem lub widziałem na świecie, kazało mi wierzyć, że burzliwy wichur zawiści na wysokie tylko wieże i na wyniosłe wierzchołki drzew uderza. Teraz widzę jednak, że mniemanie moje omylne było. Próżno ukryć się starałem przed tymi burzliwymi podmuchami, daremnie wybierałem drogi, przez równiny wiodące, i chowałem się w głębokie doliny. Rzuca się to w oczy każdemu, kto spojrzy na te proste opowieści. Pisałem je w codziennym narzeczu florenckim, prozą, nie dając im tytułu⁹⁶; co więcej, wyrażałem myśli moje jak najbardziej prostym i niewyszukanym stylem. Mimo to jednak, nie unikałem wściekłości rozpętanego wichru. Uderzył we mnie, wstrząsnął mną całym; jadowne zęby zawiści poraniły mnie okrutnie, mimo to przecie nie ostawiłem rozpoczętego dzieła. Bo teraz dopiero eksperjencja odkryła mi istotę prawdy, wszystkim mędrcom wiadomą, a mianowicie, że tylko mierność od zawiści na tym świecie jest bezpieczna.

Zali uwierzycie, miłe damy, że wielu ludzi, czytając te opowieści, za złe mi to poczytuje, że w was zbyt upodobanie znajduję, i twierdzi, że przyjemność, z jaką was chcę rozweselić i pocieszyć, a jak dodają nawet niektórzy: wychwalić – czci mi nie przyczynia. Niektórzy usiłując wydać sąd bardziej dojrzały, ganią mnie za to, że myślę o sprawach niestosownych do powagi wieku mego, że zbyt wiele o miłości rozprawiam i nie lituję starań, aby się wam podobać; są i tacy, co wielką troskliwość o moją sławę po sobie pokazując, radzą mi, abym, nie tracąc czasu na próżne z wami gawędy, na Parnas ku muzom się podniósł. Ludzie mniej poważni, a bardziej złośliwi, powiadają, że winienem się raczej starać o środki do życia, a nie za wiatrem uganiać i puste fraszki składać. Inni, pragnąc w oczach waszych walor opowieści moich obniżyć, twierdzą, że opisuję zdarzenia całkiem inaczej, niż one wyglądały.

Widzicie zatem, miłe damy, że podczas gdy trudzę się dla was, zagraża mi rozpętany orkan zawiści i że jadowne kęsać mnie zęby; udręczony jestem i tknięty do żywa, wszelakoż wszystkie te prześladowania, Bóg świadkiem, z pogodną myślą znoszę. I chociaż obrona moja w tych sprawach do was jedynie należy, to przecie nie myślę sił swoich szczerzyć, ale nie odpowiadając tak, jakby należało, lekką dam napastnikom odprawę, by uszy swe od nich oswobodzić, i to bez zwłoki.

Nie dokonałem jeszcze i trzeciej części mego trudu, a już tylu zuchwałych nieprzyjaciół liczę, że jeśli stosownych miar nie przyjmę, to nim dzieło do końca doprowadzone zostanie, oni tak w liczbę urosną, iż małym wysiłkiem broń mi z ręki wytrąca, a wówczas i wasza siła, w sukurs mi idąca, choćby znamienita, nie zda się na nic. Pozwólcie tedy, abym nim wrogom moim odpowiem, na swoje usprawiedliwienie pewną nowelę wam opowiedział. Nie dowiodę jej do kresu, nie chcę bowiem, aby ktokolwiek pomyślał, że szukam pozorów, chcąc nowele własne przemycić między opowieści tej zacnej kompanii, którą wam tu przedstawiłem. Opo- wiem więc tylko jej cząstkę, by same jej braki unaocznily, że nie należy do tamtych.

Obrać się tedy do wrogów moich!

«W mieście naszym za dawnych dobrych czasów żył pewien mieszczanin, Filipem Balducci⁹⁷ zwany. Z niewysokiego idąc rodu, był on człkiem zamożnym, doświadczonym i obrotnym wielce. Balducci miał żonę, gorąco przez się miłowaną, która mu równym afektem odplacała. Małżonkowie żyli w przykładnej zgodzie; główną ich troską było, aby życie sobie

nawzajem umilić. Aliści z żoną Balduccio zdarzyło się to, co się każdemu z nas zdarzyć może – zesła z tego świata, ostawiwszy mężowi jedyne go syna, który zaledwie dwa lata liczył. Filip rozpaczał okrutnie; nigdy człek, co umiłowaną istotę utracił, nie bolał nad tym tak strasznie jak Balducci. Pełen ciężkiej melankolii po stracie najdroższej towarzyszy, postanowił świat porzucić i wraz z synem bożej służbie się poświęcić. Rozdawszy zatem wszystko, co posiadał, udał się niezwłocznie po społu z dzieciątkiem na górę Asinaro⁹⁸ i zamieszkał tam w maleńkiej celi.

Ojciec i syn żyli z jałmużny, pościli i po całych dniach modlili się; Filip nie mówił nigdy z chłopcem o sprawach błahych, oddalał odeń wszystko doczesne, aby młoda istota nie zesła z drogi ku niebu wiodącej. Rozprawiali tylko o szczęśliwości przyszłego żywota, o Bogu i o świętych i na modlitwach dni całe trawili. Minęło wiele lat. Syn Filipa nigdy nie wychodził z celi i krom swego rodzica, nie widział innego człowieka. Od czasu do czasu Filip wyruszał w drogę do Florencji, aby u świątobliwych ludzi jałmużny prosić. Wracał do swej celi, opatrzonej w żywność. Wreszcie Filip zestarzał się; syn jego ukończył osiemnasty rok życia. Pewnego razu młodzian zapytał go, dokąd tak często się udaje. Filip wyznał prawdę.

– Ojczy – rzekł wówczas syn – zestarzelicie się już i ciężko jest wam trudy i pracę znosić. Czemu nie weźmiecie mnie z sobą do Florencji i nie zapoznacie mnie z waszymi przyjaciółmi, którzy są ludźmi świątobliwymi? Jestem młody i trudu się nie boję. W przyszłości, gdy zajdzie potrzeba, mnie do Florencji posyłać będziecie, a sami tu ostaniecie.

Starzec rozważył, że syn jego jest już żrącym młodzieńcem, który do pobożnego żywota tak nawykł, iż pokusy świata do niego przystępu znaleźć nie będą mogły, przyznał mu zatem w myśli słusność i do miasta go z sobą zabrał. Młodzieniec patrzył z osłupieniem na domy, kościoły, pałace, na wszystkie piękności, w które Florencja obfituje, a ponieważ, o ile pomniał, nigdy w swym życiu niczego podobnego nie widział, wpadł w zachwyt i zapytywał nieustannie rodzica, jak to czy owo się nazywa. Ojciec szczegółowo mu odpowiadał, a on, zadowolony, poznawszy jedno, pytał o drugie.

Gdy taką rozmową się bawiąc szli przez miasto, spotkali naraz całą gromadę urodziwych, strojnie ubranych, młodych białogłów, z wesela wracających. Ujrawszy je, młodzian zapytał ojca, co to są za istoty?

– Nie patrz na nie, synu mój, spuść oczy – odparł starzec – są to twory szatańskie.

– A jak się zowią? – znów syn zapytał. Ojciec, obawiając się, aby w synu niepożądane żądze się nie obudziły, nie nazwał ich kobietami, jeno rzekł:

– Są to gęsi!

Owóż stała się rzecz zadziwiająca! Młodzian, który do tych pór nigdy w życiu białogłowy nie widział, zapomniał w tej chwili o wszystkim, czym niedawno tak się zachwycił: a więc o pałacach, kościołach, koniach, osłach i pieniądzech, o wszystkim, co oglądał, i rzekł:

– Dajcie mi, ojczy, jedną taką gąskę!

– Milcz, na Boga! – odparł rodzic – przecie ci już powiedziałem, że są to twory szatańskie.

– Zali to, co od złego pochodzi, taki ma wygląd? – zapytał syn.

– Tak – odrzekł ojciec. A syn na to:

– Nie rozumiem, co powiadacie i dlaczego miałyby to być twory szatana. Jeszcze nigdy czegoś równie pięknego i czarującego nie widziałem; za nic przy tych istotach malowane anioły, któreście mi nieraz pokazywali. Ach, ojczy, jeśli mnie miłujecie, zabierzmy z sobą jedną taką gąskę, a ja już ją karmić będę.

– Nie zgadzam się! – zawołał rodzic – tym bardziej, że nie wiesz, w jaki sposób się je karmi.

W tej chwili Filip zrozumiał, że przyrodzenie silniejsze jest od ludzkiego umysłu, i dlatego też żałować począł, że wziął z sobą syna do Florencji.»

Tutaj powieść swoją ucinam i obracam się do tych, z myślą o których ją rozpocząłem. Niektórzy z mych wrogów powiadają, że źle postępuję, starając się zbytnio wam, młode da-

my, przypodobać, a także zachwycać się wami. Szczerze wyznać muszę, że w samej rzeczy bardzo mi do gustu przypadacie i że staram się być wam miłym, aliści niech mi się zapytać będzie wolno, zali są w stanie mi się dziwować i mnie naganiać ludzie, znający nie tylko wasze gorące pocałunki i uściski ramion waszych, ale spoglądający ciągle na waszą nieporównaną urodę i piękność pełną wdzięku, co więcej, na wasze układne obyczaje i białogłowską cnotę? Młodzieniec, wzrosły na dzikiej, samotnej górze, pośród czterech ścian swej małej celi, pierwszy raz na was spojrzawszy, obrócił ku wam wszystkie chęci swoje i tylko w marzenia o was się pogrążył. Zali przyganiacze moi odważą się strofować mnie i napastować za skłonność ku wam, mnie, obdarzonego przez niebiosy zdatnością do miłości, mnie, który wam w młodych jeszcze latach całą duszę oddał, mnie, com doświadczył czaru spojrzeń waszych, słodczy czułych waszych słów i poznał żar, który w sercu się zapala od lubych westchnień waszych? Któż, pytam, zechce ganić mnie za to, że miłe mi jesteście i ja pragnę wam być miły, skoro nawet młody pustelnik, do dzikiego zwierzęcia podobien, spojrzawszy na was, zapomniał o wszystkim, co go dotychczas w zachwyty wprowadzało? Zaiste, chyba tylko ten, kto was nie kocha i przez was nie pragnie być kochany, kto rozkoszy i potęgi uczuć nie jest świadom, szydzić ze mnie może, aliści o sąd takiego człeka dbam mało lub nic wcale.

Ludzie zasię, wiek mój mi wymawiający, nie słyszeli zapewne, że czosnek ma białą głowę, ale ogon zielony. Ostawiając żarty na stronie, powiem im, że bez nijakiego wstydu do końca życia mego starać się będę sprawiać przyjemność tym, którym przypodobanie się za zaszczyt i miły obowiązek poczytywali sobie w starości Guido Cavalcanti⁹⁹ i Imć Dante Alighieri, a także Imć Cino da Pistoia¹⁰⁰, co do lat sędziwych doszedł. Mógłbym przywieść wiele przykładów na dowód, że w starożytności siła mężów znamienitych przy schyłku swego żywota białogłowom najgorliwiej służyło, aliści od materii mej opowieści oddalać się zbytnio nie myślę. Jeśli moi wrogowie o podobnych rzeczach nie słyszeli, niechaj sami stosownego poszukają pouczenia.

Radzą mi, abym na Parnas się wznosił i tam z muzami obcował. Muszę wyznać, że widok Parnasu piękny jest dla mnie; jednakże nie możemy ustawnie z boginiami przebywać, a także i muzy nie są w stanie wiecznie przy nas pozostawać. Gdy człowiek opuściwszy towarzystwo muz szuka istot najbardziej do nich podobnych, nie lza go za to ganić. Muzy są kobietami, a chociaż kobiety doskonałości muz nie mają, przecie wielce są do nich podobne; gdyby więc nawet białogłowy same przez się podobać mi się nie mogły, owo podobieństwo miłować by mi je kazało. Powiem także, że nie napisałem jednego słowa na pochwałę muz, gdy tymczasem kobiety pobudziły mnie do tysięcy wierszy. Prawda, że muzy nauczyły mnie te wiersze składać i w pisaniu mi pomagały; możliwą także jest rzeczą, iż gdy układałem i te moje proste opowieści, były one niekiedy przy mnie, dzięki temu podobieństwu do kobiet i życzliwości, którą jako kobiety, do mnie żywią. Dlatego też, gdym księgę tę składał, nie tak wielce od Parnasu i od muz oddalony byłem, jak to mniemają niektórzy.

Cóż jednak odpowiem tym, co z niezmiernej troski o to, bym nie zaznał głodu, radzą mi, abym zdobywał chleb? Zaiste, nie wiem tego! Wiem jeno, jaki by mi respons dali, gdybym ich o kawałek chleba poprosił: „Idź poszukać go w bajkach.” A jednak mnóstwo wielkich poetów w swoich baśniach i opowieściach większe bogactwo znalazło niż ludzie możni w swych skarbach. I niemało było takich, co idąc za tymi baśniami, do rozkwitu wiek swój przywiedli, podczas gdy chciwość zgubiła wielu pragnących zdobyć więcej chleba, niżli im trzeba było. Cóż rzec jeszcze? Że moi wrogowie, radzący mi, abym o wyżywienie siebie się starał, wygnaliby mnie, ani chybi, gdybym o pomoc do nich się zwrócił. Bogu dzięki, wcale mi jej nie potrzeba; gdybym nawet w straszną biedę popadł, to za przykładem apostoła idąc będę ją umiał z godnością znosić. Niechże więc ludzie nie troskają się o mnie więcej, niż ja sam o siebie się troskam.

Tych zasię, co powiadają, że przedstawiam zdarzenia niezgodnie z prawdą, gorąco proszę, aby mi pierwowzory przynieśli. Jeśli w samej rzeczy się okaże, że pierwowzory te od moich

nowel się różnią, pierwszy rację twierdzeniu ich przyznam i z wszystkich sił starać się będę błędy moje naprawić. Dopóki jednak wrogowie moi na niczym słów swoich nie ugruntują, pozwolę im myśleć, co chcą, a sam dam tylko wyraz mniemaniu, że to nie ja, lecz oni z prawdą się mijają.

Zdawa mi się, że już nic więcej mówić nie trza. Krzepię się nadzieją, że z pomocą Boga i waszą miłe moje czytelniczki, uda mi się uzbroić w cierpliwość i iść dalej moją drogą, obróciwszy się plecami do burzliwego wiatru, który niechaj z wszystkich sił dmucha. Wiem, że nic gorszego ze mną stać się nie może, jak z prochem, którego wiatr albo z ziemi nie oderwie, albo gdy go uniesie, porywa go w górę i często miejsce mu daje ponad głowami ludzi, nad koronami królów i cesarzy, niekiedy nad dachami zamków i wież wysokich. A jeśli z wysokości pył spada, to tylko na ziemię, od której oderwany został, a nie niżej. Służyłem wam z wszystkich sił moich, teraz zasię w dwójnasób służyć wam będę. Ludzie rozumni pojmują, że ja, jako i wszyscy, co was miłują, według praw przyrodzonych postępuję. Trudno z naturą walczyć i ten tylko mógłby ją przemóc, co by nadprzyrodzone siły posiadał. Ci, którzy tej walki próbowali, wiele szkód ponieść musieli, a przecie wysiłki ich płonne się okazały. Wyznaję szczerze, że nie mam sił na walkę z przyrodzeniem i że nawet wcale ich mieć nie chcę. Gdybym nawet siły te posiadał, wołałbym raczej innemu ich użyzyć, aniżeli je na mój własny użytek obrócić. Niechże zatem milczą moi przyganiacze, a jeśli ich serca już żarem nie tchną, niech, jak lód, w spokoju swoim tężeją. Ja im tej przewrotnej rozkoszy zazdrościć nie będę, byleby tylko nie przeszkadzali mi tak resztę krótkich moich dni spędzać, jak to za najlepsze uważam.

Jednakowoż zbyt daleko od właściwego odbiegliśmy wątku, trzeba tedy, piękne panie, powrócić, skąd wyszliśmy, i ustalonego na wstępie porządku przestrzegać.

Słońce spędziło gwiazdy z nieba, a z ziemi wilgotne cienie nocy. Filostrato podniósł się z łoża i innych obudzić kazał. Wszyscy wyszli do ogrodu i tam poczęli oddawać się zabawie. Gdy nadeszła pora obiadu, towarzystwo udało się w to miejsce, gdzie wieczerzało wczora. Po obiedzie, odetchnawszy nieco, Filostrato i jego goście przyjętym już obyczajem zasiedli w chłodzie obok wspaniałej fontanny. Słońce wysoko na niebie stało. Filostrato rozkazał Fiammetcie, aby opowiadać zaczęła. Ta nie zwlekając z wielkim wdziękiem mówić jęła:

Opowieść pierwsza



GHISMONDA I GUISCARDO

Tankred, księżę Salerna, zabija kochanka swojej córki i posyła jej serce zamordowanego w kubku złotym. Córka wlewa do kubka truciznę, wypija i umiera.

– Smutno pomyśleć, że nam, zebranych tutaj dla rozrywki, król polecił dziś opowiadać o łzach innych ludzi i o męczarniach, na myśl o których serce opowiadającego i dusze słuchaczy drgnąć z bólu muszą. Jest rzeczą możliwą, że podobne zlecenie wydał, aby postawić tamy wesołości, jaką cieszyliśmy się w dni poprzednie. Jakby się to jednak nie miało, mnie nie lza woli jego zmieniać. Opowiem wam tedy smutną historię, która ze wszech miar współczucia waszego jest godna.

«Tankred¹⁰¹, księżę Salema, zasłużyłby sobie w pełni na sławę ludzkiego i dobrotliwego człowieka, gdyby w starości nie zbroczył rąk swoich krwią dwojga kochanków. Miał tylko jedną córkę, aliści lepiej by dlań było, gdyby i ta na świat nie była przyszła. Nigdy zapewne żaden rodzic tkliwiej swego dziecka nie miłował; chocia księżniczka dawno już do lat żrących doszła, rodzic nie mógł się z nią rozstać i dlatego też za męż jej nie wydawał. Wreszcie dał ją w stadło synowi księcia Kapui, który wkrótce po ślubie umarł. Młoda wdowa powróciła do ojca. Księżniczka była wielce urodziwa z oblicza i postaci; usposobienie miała wesołe, a rozum większy, niżli się tego u białogłowy spodziewać można było. Tankred, miłujący córkę swoją tkliwym uczuciem, nie pomyślał nawet o tym, żeby jej dać drugiego małżonka. Młoda wdowa u boku czulego ojca wiodła pełen uciech żywot wielkiej damy, a uważając, że rzeczą nieprzystojną byłoby męża się domagać, postanowiła związać się więzami tajnej miłości z godnym jej ufności człowiekiem. Dlatego też jeła się baczenie przyglądać wielu ludziom szlacheckiego i innego stanu, gromadzącym się na dworze jej ojca, jak to podobni młodzieńcy na dworach różnych królów i książąt gromadzić się zwykli. Najbardziej przypadł jej do serca młodzieniec imieniem Guiscardo, na służbie u jej rodzica pozostający. Ów, będąc niskiego bardzo pochodzenia, zaletami ducha i szlachetnymi obyczajami oczarował księżniczkę więcej niż ktokolwiek z dworzan. Widując go często, w tajemnicy pokochała go mocno, coraz bardziej unosząc się nad postępowaniem jego. Guiscardo, któremu nie brak było przenikliwości, wkrótce skłonność białogłowy pomiarkował i zapłonął ku niej równym afektem, tak że wszystko inne odsunął z swej myśli. Przeszedł czas niejaki; Guiscardo i księżniczka miłowali

się w głębokiej tajności, bowiem białogłowa, aczkolwiek gorąco pragnęła znaleźć się z swym ukochanym na osobności, przecie nikomu z tym się nie zdradzała. Wreszcie obmyśliła pewien chytry środek, dzięki któremu Guiscardo miał zostać uwiadomiony, gdzie i kiedy na osobności z nią zobaczyć się będzie mógł. Księżniczka napisała do niego list, w którym wyjaśniła mu, co czynić należy, aby się z nią nazajutrz zobaczyć, a później ukryła pismo w wydrążonej trzcinie. Z żartobliwym uśmiechem wręczyła mu ją potem, mówiąc:

– Daj tę trzcinę dzisiaj wieczorem swojej służce, aby w nią dmąc w kominie ogień roznieciła.

Młodzieniec wziął trzcinę wiedząc, że nie bez kozery księżniczka mu ją daje. Wróciwszy do domu, odkrył wnet wydrążenie, w którym list księżniczki znalazł. Przeczytawszy pismo i pojąwszy, co mu czynić należy, poczuł się najszcześliwszym na ziemi człowiekiem i postanowił działać zgodnie z pouczeniem księżniczki.

Obok zamku znajdowała się pieczara, wykuta ongiś w skale. Słabe światło dochodziło do niej przez otwór w górze. O pieczarze już wszyscy zapomnieli; szczelina, którą światło dnia przenikało, zarosła głogami i trawą. Tajne schody łączyły loch podziemny z jedną z dolnych komnat, w której właśnie księżniczka sypiała, a drzwi nader mocne strzegły do niej dostępu. Schodów tych od dawna już nie używano, tak iż wszystkim wypadły one z pamięci. Jednakoż oczom miłości nic się ukryć nie może. Księżniczka wkrótce przypomniała sobie utajone drzwi. Ponieważ dobrze zaparte były, a nie chciała, by zauważono, co zamysła, daremnie przez kilka dni otworzyć próbowała. Wreszcie udało się jej. Spuściła się do jaskini, spostrzegła tam otwór na świat. Upewniwszy się, że Guiscardo przez szczelinę przecisnąć się będzie mógł, napisała do niego list, oznaczając mu w nim głębokość lochu. Guiscardo odebrawszy pismo opatrzył się w sznurową drabinę, która miała mu dopomóc do spuszczenia się w głąb jaskini, i w skórzaną odzież, chroniącą przed kolcami i cierniami. Następnej nocy udał się na oznaczone miejsce i przytwierdziwszy drabinę do pnia jednego z drzew rosnących obok szczeliny, spuścił się do jaskini i tam na przybycie księżniczki jął oczekiwać. Nazajutrz córka Tankreda odprawiła swoje pokojowe pod pokrywką, że ją sen morzy. Ostawszy sama, zaparła komnatę, otworzyła tajne drzwi i do jaskini się udała. Guiscardo z najżywszą radością swoją umiłowaną powitał. Później udali się do komnaty Ghismondy, gdzie w niewysłowionym szczęściu resztę tego dnia spędzili. Kochankowie postanowili skrywać przed światem swoją miłość i umówili się, jak im postępować należy. Wreszcie Guiscardo zszedł do jaskini, księżniczka zamknęła skryte drzwi i dworki do siebie przyzwała.

Młodzian doczekawszy się zmroku wyszedł nocą; z jaskini i do domu powrócił. Znając już drogę, do komnaty księżniczki wiodącą, często swoją ukochaną odwiedzał. Aliści zły los pozazdrościł szczęścia kochankom i radość ich w cierpienie i rozpacz zamienił.

Tankred miał nieraz zwyczaj przychodzić bez świadków do swej córki, aby z nią swobodnie pogwarzyć. Pewnego dnia odwiedził ją po obiedzie. Aliści Ghismondy nie było w komnacie; po społu z swymi damami przechadzała się po sadzie. Nikt nie widział ani nie słyszał, jak Tankred wszedł do sypialnej komnaty Ghismondy. W komnacie okiennice były zamknięte i zasłony koło łoża opuszczone. Starzec nie chciał córce przerywać przechadzki, ale postanowił czekać na jej przyjście. Siadł na ławie, stojącej w pobliżu łoża, pochylił głowę na posłanie, okrył się kotarą i wkrótce zasnął. Gdyby z umysłu chciał się przed kimś schować, nie mógłby, wierę, lepiej się ukryć. Na nieszczęście tego dnia Ghismonda miała się obaczyć z Guiscardem. Ostawiwszy swoje dworki w sadzie, księżniczka weszła cicho do komnaty i drzwi za sobą zaparła. Później, nie zauważywszy rodzica, otworzyła tajne drzwi, aby Guiscarda

wpuścić. Kochankowie na łożu oddawali się zwykłym uniesieniom miłości, śmieli się i żartowali. Wówczas Tankred przebudził się i spostrzegł, co się dzieje. Srodze zagniewany, chciał w pierwszej chwili wyrzucić wściekłość swoją na miłującą się parę, aliści, pomyślawszy chwilę, postanowił nie zdradzić się i pozostać w ukryciu, aby później z mniejszym wstydem dla siebie i po głębszym namyśle dokonać dzieła zemsty, o której myśl już się w

jego duszy zrodziła. Guiscardo i Ghismonda długo z sobą rozstać się nie mogli, nie podejrzewając obecności Tankreda. Wreszcie wstali z łoża, pożegnali się z sobą. Guiscardo zszedł do jaskini, a Ghismonda wyszła z komnaty. Tankred sam w niej pozostał. Nie bacząc na swój wiek podeszły, wyskoczył przez okno do sadu, tak iż nikt go nie spostrzegł. Pełen, goryczy i gniewu, do swoich komnat powrócił. Gdy nocą, wkrótce po zmierzchu, Guiscardo chciał wyjść z jaskini, dwaj słudzy, przysłani przez Tankreda, schwycili go, bezbronnego, w skórzanym odzieniu, i do ojca Ghismondy zawiedli. Ujrzawszy go starzec z wysiłkiem łyżę powstrzymał i rzekł:

– Guiscardo! Zawsze łaskawie z tobą postępując, nie zasłużyłem na ten wstyd i hańbę, na jakie dziś własnymi oczyma patrzeć musiałem.

– Miłość jest silniejsza od nas – tyle tylko odparł Guiscardo. Tankred rozkazał zamknąć cichaczem młodzieńca w jednej z zamkowych komnat i trzymać go pod ścisłą strażą. Następnego dnia, po długich rozmyśleniach, według zwyczaju udał się po obiedzie do Ghismondy, jeszcze niczego nie podejrzewającej, i zamknawszy się z nią w komnacie rzekł do niej ze łzami w oczach:

– Ghismondo! poczytując cię za cnotliwą i uczciwą białogłową, nie uwierzyłbym nigdy, że mogłaś nawet w myślach należeć do człeka, nie będącego twym mężem, gdybym tego na własne oczy nie widział. Twój postępek zatruł goryczą resztę tych dni, co mi jeszcze do życia pozostają. Nigdy tej hańby nie przeboleję. Jeśli ci już upaść było sądzone, przeczcie nie wybrałaś sobie przynajmniej człowieka, którego stan nie poniżałby ciebie? Dlaczego spośród tylu żyjących na mym dworze zwróciłaś swój afekt ku Guiscardowi, człękowi niskiej kondycji, którego tylko przez łaskawość swoją wyniosłem, od dziecka go wychowując? Nie wiem jeszcze, jak postąpię z tobą, i ta niepewność mnie dręczy. Los Guiscarda jest już przesądzony. Pochwyliłem go dzisiaj, gdy wychodził z jaskini, i pod straż wziąć go kazałem. Cóż jednak mam z tobą uczynić. Miłość rodzicielska, jaką żaden ojciec córki nia darzył, walczy w moim sercu ze słusznym gniewem, który zrodził we mnie twój bezrozumny postępek. Miłość każe mi przebaczyć, gniew zaś żąda, abym cię wbrew sobie samemu ukarał surowie. Przedtem jednak chcę usłyszeć, co masz do rzeczenia na swoją obronę.

Tutaj starzec opuścił głowę i zaszczołał jak zbite dziecko. Usłyszawszy, że Tankred nie tylko o jej ukrytej miłości się dowiedział, ale że kazał Guiscarda pochwycić, Ghismonda w straszną rozpacz popadła. Ledwie się powstrzymać zdołała od jęków i szlochów, właściwych zazwyczaj płci niewieściej. Jednakowoż duma pomogła jej słabość zwyciężyć i rysom oblicza spokój nadać. Mniemając, że Guiscarda nie ma już na świecie, postanowiła raczej swoje życie poświęcić niżli ojca o łaskę dla siebie poprosić. Jęła przeto mówić z księciem, nie jak przystało na białogłową, zboląłą i uginającą się pod brzemieniem swojej winy, lecz śmiało, niewzruszenie i odważnie. Patrząc ojcu prosto w oczy, nie lejąc łez, rzekła:

– Nie myślę zapierać się, Tankredzie! Nie będę także o łaskę twoją błagać, wiem bowiem, że tamto na nic by się nie zdało, do próśb zaś uciekać się nie chcę. Nie chcę także budzić w twej duszy dawnej tkliwej miłości, którąś dla mnie zawsze żywił. Poprzestanę na tym, że ci wyznam całą prawdę. Szczere wyznanie wszystkiego cześć moją ocalić mi pozwoli, dlatego też z wielkim męstwem na twój wyrok oczekiwać będę. Miłowałam Guiscarda, miłuję go obecnie i będę go miłowała do śmierci, która zapewne już z bliska mi zagraża. Jeśli ludzie i za grobem miłować mogą, moje uczucia wraz z kresem żywota nie zginą. Nie białogłowska słabość była tego przyczyna, że w sercu moim miłość do Guiscarda wybuchała, jeno jego wielkie przymioty, a także twoja niechęć wydania mnie za mąż po raz wtóry. Będąc stworzony z krwi i ciała, powinieneś rozumieć, mój ojcze, że córka twoja nie jest z kamienia ani z żelaza. Chocia starcem jesteś, winienez pamiętać, jak burzliwe i potężne są namiętności lat młodych. Znaczną, najpiękniejszą część życia w służbie rycerskiej spędziłeś, jednakoz z eksperyencji wiadomym ci jest, jaki wpływ na ludzi starych, a cóż dopiero na młodych próżnowanie i dostatek wywierają.

Córką twoją jestem i dlatego też istota moja, jako i twoja, z krwi i ciała się składa. Młoda będąc, żyłam mało. Z tym większą siłą namiętność mną owładnęła, że będąc już raz żoną, czym jest miłość i jej słodycze, poznałam. Nie mogąc się oprzeć prawom natury, pokochałam i cała miłości się oddałam, chocia i próbowałam ile sił walczyć z jej urokiem, aby hańby na siebie i na ciebie nie ściągać. Miłość i los przychylny pozwoliły mi znaleźć drogę, po której idąc mogłam skryć swoją namiętność przed ludzkim wzrokiem. Nie pytam teraz, czy ktoś cię o wszystkim uwiadomił, czy też innym jakimś sposobem tajemnicę moją odkryłeś; dość na tym, że ci prawdę powiadam. Guiscarda wybrałam nie przez przypadek, jako to wiele białogłów czyni, jeno po żrałym namyśle, uważając go za godniejszego od wszystkich dworzan. Wszystko szczegółowie obmyślawszy, ostrożnie przywiodłam go do mej komnaty. Tutaj, z dala od całego świata, długo cieszyliśmy się naszą miłością.

Zdawa mi się, mój ojczu, że hołdujesz przesądom, gniewając się na mnie za to, że pokochałam człeka niskiej kondycji, jak gdybyś za złe mi nie poczytał, gdybym wybrała była szlachcica. Tutaj los jeno zawinił. Wiesz przecie, że przeznaczenie nieraz niegodnych ludzi wynosi, a szlachetnym i zacnym w cieniu żyć każe. Ostawmy jednak na ten czas te roztrząsania i w istotę rzeczy wnuknijmy. Zali nie z jednej materii wszyscy stworzeni jesteśmy, zali nie jeden Bóg–Ojciec dusze nasze w jednakowe siły, zdatności i władze uposażył? Bylibyśmy jedni drugim równi całkiem, gdyby dostojęstwa i cnoty różnic między nas nie wniosły. Ludzie, nad tłumem górujący dzięki swym cnotom i zasługom, dla odróżnienia od innych ludźmi szlachetnymi nazwani zostali.

To prawo później nieraz różnym zmianom i skażeniom podlegało, aliści z powierzchni ziemi nie znikło, bowiem ani zdrowy zmysł, ani dobre obyczaje mu nie przeczą. Dlatego też człek, postępujący wedle nakazów cnoty i szlachetności, winien się szlachetnym nazywać, a każdy, kto mu prawa do tej nazwy zaprzecza, raczej sobie niż jemu ujmę sprawia. Spójrz na swoich dworaków, na ich obyczaje i przymioty i porównaj tych ludzi z Guiscardem. Jeśli cię nienawiść nie zaślepi, to będziesz musiał przyznać, że jest on najszlachetniejszym z szlachetnych i że twoi znaczni panowie w tyle za nim pozostają. Sąd o przymiotach Guiscarda powzięłam na podstawie słów twoich i świadectwa własnych oczu. Któż więcej od ciebie chwalił go za czyny godne człeka pełnego czci i cnoty? Pochwały twoje słuszne były, bowiem i na większe jeszcze zasługiwał, jak to sama po wielokroć widziałam. Jeślibym się mimo wszystko co do niego pomylić miała, twoje słowa w ten błąd by mnie wprowadziły. Twierdząc, że pokochałam człowieka niższego ode mnie, nieprawdę więc powiadasz. Jeżeli, być może, wyrzucać mi poczujesz, że Guiscardo jest człkiem ubogim, samemu sobie jeno wstydu przyczynisz, bowiem chocia znane ci były przymioty człeka, twoim sługą będącego, nie zatroszczyłeś się o to, aby jego stan poprawić. Ubóstwo ujmy szlachectwu nie czyni. Wielu znamienitych książąt i królów nędzę cierpiało, z drugiej strony siła jest takich, co ziemię orali i trzodę paśli, a później wielkie bogactwo zdobyli.

Na ostatku powiedziałeś mi, że męczy cię niepewność, co się ma stać ze mną. Nad tym długo głowić się nie powinieneś, skoroś już raz w sędziwej starości postanowił okrutny uczynek spełnić, czegoś nigdy w młodości nie uczynił. Niechaj twoja sroga kara tylko na moją głowę spada, bowiem ja byłam jedyną grzechu przyczyną, jeśli już postępek mój grzechem nazwać można. Do próśb żadnych uciekać się nie myślę. Zaręczam ci, że jeśli nie uczynisz ze mną tego, coś uczynił lub chcesz uczynić z Guiscardem, własnymi rękoma życie sobie odbiorę.

Idź teraz płacz po społu z kobietami, a jeśli uważasz, że na okrutną karę zasługujemy, zabij mnie i jego jednym ciosem!

Tankred znał męstwo i wielkość duszy Ghismondy, aliści nie uwierzył, aby tak niezłomnie mogła groźby swojej dopełnić. Rozstał się z nią, postanowiwszy nie karać jej zbyt surowie, miał bowiem nadzieję, że strata kochanka płomienną jej miłość zagasi. Przykazał tedy dwom strażnikom w nocy cichaczem zadusić Guiscarda i wyjąć mu z piersi serce. Pachołcy wypeł-

nili wiernie dany im rozkaz. Gdy dzień nastał, Tankred kazał przynieść wspaniały złoty kubek, włożył weń serce Guiscarda i posłał je przez najbardziej zaufanego sługę Ghismondzie. „Rodzic wasz – rzec kazał słudze – przysłał wam ten podarunek, aby pocieszyć was po stracie tego, coście najbardziej miłowali, i sprawić wam taką radość, jaką wyście ojcu swemu sprawili.”

Postanowienie Ghismondy niezmiennie było. Po odejściu ojca opatrzyła się w jadowne zioła i korzenie, uwarzyła je i sok z nich wycisnęła, aby mieć truciznę na pogotowiu w przypadku, gdyby się jej obawy ziściły miały.

Sługa oddał księżniczce kubek i powtórzył jej słowa Tankreda. Ghismonda z niewzruszonym obliczem przyjęła podarunek ojca. Odkrywszy kielich i obaczywszy serce, od razu wszystko zrozumiała. Nie wątpiła, że jest to serce Guiscarda. Obróciła się tedy do sługi i rzekła:

– Zaiste, takiemu sercu złoty tylko należy się grobowiec. Roztropnie tedy i słusznie ojciec mój postąpił.

Później podniosła serce do ust, pocałowała je i odezwała się:

– Zawsze i aż do tych ostatnich chwil mojego życia doświadczyć mogłam, jak czułą była dla mnie miłość ojca, dziś jednak widzę to bardziej niż kiedykolwiek. Dlatego zanieś mu ode mnie podziękowanie za dar tak wspaniały; ostatnie to dzięki mu czynię.

To rzekłszy zwróciła się do pucharu, który ścisłała w rękę, i patrząc na serce rzekła:

– O błogosławione źródło wszystkich radości moich! Niech będzie przekłete okrucieństwo człeka, który oczom moim podał to serce na widok! Z jakimże uwielbieniem patrzyłam co dzień na nie wzrokiem ducha! Droga twoja skończona, los twój się dopełnił! Doszłś już do tego celu, do którego wszyscy zmierzamy. Wolne jesteś od nieszczęść i trudów żywota. Własny twój wróg zgotował ci wspaniały grobowiec, godny wartości twojej. Na pogrzebie twoim zabrakło tylko jednego: łez kobiety, którąś tak miłował za życia. Dzięki okrutnemu ojcu memu, który mi cię przysłał, wytrysną one z oczu moich. Obdarzę cię łzami, aczkolwiek przysięgam, że umrę z suchymi oczyma i spokojnym licem. Po czym beza wahania złączę moją duszę z tą, której ty, serce, tak wiernie służyłaś. Po społu z nią wejdę w świat nieznany. Jakież towarzysz mógłby mi dać więcej radości i otuchy? Wiem, że dusza twoja jeszcze tutaj się znajduje, że patrzy na miejsce, gdzie tak szczęśliwi byliśmy. Wierzę, że dusza twoja miłuje mnie i że na duszę moją czeka!

Rzekłszy to, Ghismonda zalała się łzami, nie wydawała jednak jęków, jak to białogłowy czynić są zwykłe. Łzy księżniczki tak obficie się lały, iż można było pomyśleć, że w głowie jej zbiornik wód się skrywa. Ghismonda pochyliła się nad kubkiem i nieskończonymi pocałunkami martwe serce obsypała. Dworki otaczające księżniczkę nie wiedziały, jakie to serce na dnie kubka leży, i nie pojmowały słów Ghismondy. Jednakże płakały z współczucia, na próżno ze wzruszeniem pytały się o przyczynę bólu i z wszystkich sił starały się Ghismondę pocieszyć. Wreszcie księżniczka podniosła głowę, osuszyła łzy i rzekła:

– O drogie, gorąco miłowane serce! Wypełniłam ostatni dług, należny tobie. Teraz pozostaje mi jeno połączyć moją duszę z tą, która w jednych z tobą piersiach żyła!

Rzekłszy te słowa, Ghismonda kazała sobie podać czarę z przygotowaną uprzednio trucizną i wlała ją do kubka na serce, w jej łzach wykąpane. Potem bez trwogi wychyliła napój, legła na posłanie z kubkiem w rękę i przycisnęła do piersi martwe serce kochanka swego. Tak w milczeniu na śmierć czekała. Dworki Ghismondy nie wiedziały, jaki napój ich pani wychyliła, i nie pojmowały znaczenia tego, co się w ich przytomności działo, wszelakoż posłały uwiadomienie do Tankreda. Książę, wielce przerażony, przybiegł do córki. Wszedł do komnaty Ghismondy, gdy ta już na łożu leżała. Tankred ją uspokajać i pocieszać córkę łaskawymi słowy, aliści już późno było. Widząc stan swojej córki, starzec łzami się zalał. Ghismonda rzekła doń w te słowa:

– Zachowaj te łzy, Tankredzie, dla nieszczęść, których nie będziesz powodem. Nie przele-

waj łez nade mną, bowiem ja ich nie pragnę. Kto widział, by sprawca, jak ty, opłakiwał to, do czego dążył? Jeśli jednak tli się w tobie jeszcze isierka dawnej miłości do mnie, okaż mi łaskę ostatnią i złoś moje ciało na spoczynek wieczny po społu z ciałem Guiscarda, gdziekolwiek pogrzebać go kazałeś. Pozwól naszym prochom razem spokoju zażywać, skoroś nie pozwolił cieszyć się nam w ukryciu szczęściem za życia.

Łzy nie pozwoliły Tankredowi ni słowa odpowiedzieć. Ghismonda, czując zbliżającą się śmierć, przycisnęła raz jeszcze martwe serce kochanka do swych piersi i rzekła do przytomnych:

– Bóg z wami, umieram!

Wnet zamroczyły się jej oczy, postradała przytomność i po chwili z tym życiem pełnym bólu się rozstała. Tak rozpacznie skończyła się miłość Ghismondy i Guiscarda.

Tankred ponieważ żałował swego okrucieństwa i opłakując rzewnie śmierć córki, przy powszechnym żalu wszystkich mieszkańców Salerna, z wielką czcią dwa ciała do jednego grobowca złośł.»

Opowieść druga



MIŁOSTKI ARCHANIOŁA GABRIELA

Brat Albert wmawia w pewną białogłowe, że archanioł Gabriel jest w niej rozmiłowany i pod jego postacią nieraz z nią w łóżu się bawi. Po czym z trwogi przed jej krewniakami z okna wyskoczywszy chroni się do domu człowieka, który w przebraniu dzikiego męża nazajutrz na plac go wywodzi. Tam rozpoznany przez braci zakonnych zostaje zabrany i do więzienia wtrącony.

Opowiadanie Fiammetty przytomne damy niejednokrotnie do łez przywiodło. Gdy Fiammetta umilkła, król z niewzruszonym obliczem rzekł w te słowa:

– Chętnie oddałbym życie, gdybym za jego cenę mógł zaznać połowy tych rozkoszy, jakich Guiscardo z Ghismondą zażywał. Nie dziwujcie się, jeśli wam powiem, że w każdej godzinie tysiąc śmierci przeżywam, nie osłodzonych ani jedną chwilą szczęścia. Jednakże nie będę mówił o sobie. Niechaj Pampinea opowie nam z kolei jakąś smutną historię, przypominającą choćby w części los mój rozpaczny. Jeśli jej opowieść podobna będzie do noweli Fiammetty, to ani chybi, kilka kropel rosy upadnie na płomień, trawiący pierś moją.

Pampinea, usłyszawszy to wezwanie, wyczuła lepiej chęci towarzyszek swoich niż wyrażone słowami życzenie króla i chciała raczej dać im wytchnienie, a być posłuszną jego rozkazowi o tyle tylko, by głos zabrać; dlatego też nie wychodząc z kręgu zakreślonego, postanowiła ucieszyć damy wesołą i krotochwilną opowieścią i zaczęła w te słowa:

– Wśród ludu istnieje przypowieść, że jeśli ludzie hultaja za dobrego człeka poczytują, może on wiele złego czynić, a przecie nikt w to nie wierzy. Dla ugruntowania tego przysłowia mogę powiedzieć wam siła rzeczy, a także pokazać, jak obłudni mnisi bywają. Filuci ci w długich i szerokich habitach chodzą, obliczom swoim sztuczną błądź przydają i głosem pokornym a cichym o pieniądze proszą, gromko natomiast i twardo obwiniają innych o występki, które sami popełniają; twierdzą przy tym, że jedynie troska o dusze nakazuje im przyjmować dary ludzi pobożnych, a także uważają, że tylko ci zbawienia dostąpić mogą, co im pieniędzy nie skąpią. Obłudnicy ci w mniemaniach swoich wielce się różnią od ludzi uznających, że trudów i cierpień szczerzyć nie lza, jeśli się chce raju dostąpić; po ich uczynkach sądząc, można by wnosić, iż wyłączne prawo do nieba mają. Każdemu, kto umiera, obiecują lepsze lub gorsze miejsce w raju, zgodnie z tym, ile pieniędzy im pozostawi. Tą mo-

dłą starają się okłamać zarówno samych siebie, o ile w to wierzą, jak i tych, co im zaufają. Gdyby mi wolno było, opowiedziałabym prostym i łatwowiernym ludziom o tym, jakie to serca ukrywają się pod szerokimi habitami tych obłudników. Dałby Bóg, aby z wszystkimi kłamliwymi mnichami zdarzyło się to, co z pewnym bratem zebrzącym w Wenecji. Z szczególną ochotą opowiem wam jego historię, bowiem żywię nadzieję, że śmiechem i krotoczwilą rozproszę ten smutek, który jeszcze w sercach waszych gości, na myśl o śmierci Ghismondy.

«Owóż, mili towarzysze, w mieście Imola¹⁰² żył pewien niegodziwy i grzeszny człowiek, Berto della Massa zwany. Mieszkańcy Imoli, znający wszeteczny sposób jego życia, nie tylko nie wierzyli mu wtedy, gdy kłamał, ale i wówczas, gdy przypadkiem prawdę powiedział. Berto, przekonawszy się, że w rodzinnym mieście nikogo już na hak nie przywiedzie, przesiedlił się do Wenecji, stolicy wszelkich hultajów, i tu umyślił pewnej nowej sztuczki spróbować. Udał tedy, że, sumieniem dręczony, mocno się kaja za popełnione grzechy, uczynił pozór skromnego i pobożnego nad wszystko człeka, wstąpił do zakonu braci zebrzących i przyjął imię Alberta z Imoli. Włożywszy na się habit, obłudnik jał pozornie wieść święty i surowy żywot; wszystkim, co do niego przychodzili, pokutę i post zalecał, sam zaś nie jadł mięsa i wina nie pił (jeśli mu się nie udało otrzymać tego, które mu do smaku przypadało). Nikt nie podejrzewał, że łgarz, wszetecznik, złodziej i morderca plugawy, nagle w świątobliwego kaznodzieję przedzierzgniony, dawnych swych skłonności wcale się nie wyzbył i że w skrytości im hołduje. Gdy Albert w czasie nabożeństwa spostrzegł, iż tłum patrzy nań, rzewliwie płakać nad męką Zbawiciela poczynął, umiał bowiem, kiedy chciał, obfite łzy wylewać. Dzięki tym łzom i kazaniom swoim wkrótce brat Albert taką miłość Wenecjan zdobył, że prawie każdy człek, testament sporządzający, wykonawcą swojej woli go czynił. Wielu oddawało mu na przechowanie szacowne przedmioty i pieniądze. Przybywały do niego gromady mężczyzn i kobiet, aby się wyspowiadać i o radę go prosić. Tą modłą wilk w pasterza się przedzierzgnął. O świątobliwościach Alberta rozprawiano więcej, niżli kiedykolwiek mówiono o św. Franciszku z Asyżu.

Pewnego dnia przybyło do Alberta kilka białogłów, chcąc się przed nim wyspowiadać. W ich liczbie znajdowała się młoda, wielce urodziwa i głupia Lisetta z domu Quirino¹⁰³. Mąż jej, bogaty kupiec, właśnie z galerami swymi do Flandrii był odpłynął. Lisetta padła na kolana i z prawdziwie weneckim gadulstwem rozpowiedziała mu o wszystkich swoich sprawach. Brat Alberto spytał, zali ma miłośnika. Lisetta odparła mu z głębokim nieukontentowaniem:

– Zali nie macie oczu, mój ojczu? Czyż nie widzicie, że urodą nad wszystkimi białogłowami góruję? Mogłabym mieć tylu miłośników, ilu bym tylko zapragnęła. Aliści żaden mężczyzna nie jest mnie godzien. Zali nie sądzicie, że i w raju pięknnością bym celowała?

W ten sposób tyle głupstw o swej urodzie naplotła, że słowa jej każdego człeka zmierzić by mogły. Brat Albert poznał dowodnie z tej mowy słabość jej rozumu i ocenił, że to pod jego pług pole. Piękność Lisetty żądzę w nim wzbudziła, tak iż gorąco się w białogłowie rozmiłował. Jednakże nie odkrył jej od razu swoich pragnień, postanowiwszy z zalotami czekać na chwilę sposobną. Przeciwnie wcale, chcąc świątobliwość swoją Lisette pokazać, brat Albert począł ją strofować, gromić i mówić jej o pysze i, o próżności. Lisetta odparła, że musi być głupcem, skoro nie widzi różnicy między ziemską a nieziemską pięknnością. Brat Albert, nie chcąc jej do kolery przywodzić, skończył spowiedź i odpuścił ją wraz z innymi białogłowami. Po kilku dniach nasz mnich w towarzystwie swego wiernego przyjaciela wszedł do domu Lisetty, odwołał ją do ustronnej komnaty, z dala, od oczu ludzkich, padł przed nią na kolana i rzekł:

– W imię miłości bożej zaklinam was, madonno, abyście mi przebaczyli to, co mówiłem w niedzielę, gdy szło o piękność waszą. Następnej nocy tak okrutnie za to ukarany zostałem, że po razach, które spadły na mnie, dopiero dzisiaj z łoża dźwignąć się zdołałem.

– Kto was tak oporządził? – spytała głupia Lisetta.

– Wszystko szczegółowie wam opowiem – odparł Albert. – Kiedy jak to mam w obyczaju,

około północy do modlitw ukląknęłam, spostrzegłam naraz, że cała moja cela rozjaśniła się złotym światłem. Nim obejrzeć się zdołałam, ujrzałam przed sobą cudownie pięknego młodziana, który gruby kij w rękę dzierżył. Schwycił mnie za kaptur, na ziemię powalił i tak bić począł, iż mi się zdało, że mi wszystkie kości pogruchoce. Spytałem się go, za co mnie tak krzywdzi. Wówczas młodzian zawołał:

– Odbierasz karę za to, że poważyles się poniżyć dzisiaj niebiańską piękność Lisetty, którą to białogłowe po Bogu najwięcej miłuję.

– Kim jesteście? – spytałem.

– Jestem archaniołem Gabrielem – odparł.

– O panie mój – zawołałem – błagam was o przebaczenie!

– Gotów jestem odpuścić ci winę – rzekł młodzian – pod tą kondycją, że gdy tylko z postanienia się dźwigniesz, zaraz do pani Lisetty się udasz i o przebaczenie ją poprosisz. Jeśli ci nie przebaczy, powrócę tu znowu i tak cię oporządzę, że nigdy, póki życia, o tym nie zapomnisz.

– Tu przydał jeszcze kilka słów, aliści nie ośmielę się ich wam powtórzyć, dopóki przebaczenia od was nie otrzymam.

Głupia, próżna i łatwowierna Lisetta z wielką radością słuchała słów mnicha, nie podejrzewając żadnego podstępu ani kłamu.

Gdy brat Albert umilkł, rzekła po chwili w te słowa:

– Mówiłam wam przecie, bracie Albercie, że piękność moja jest niebiańską pięknnością. Aliści żal mi was bardzo i byście już więcej nie cierpieli, z całego serca winę wam odpuszczę, jeśli tylko powtórzycie mi to, co anioł powiedział.

– Teraz, kiedyście mi przebaczyli – rzekł na to brat Albert – ochotnie wam jego słowa powtórzę, ale na miłość boską, nie mówcie nikomu o tym, że najszcześniejszą białogłową na świecie jesteście, bowiem wszystko wszczęt popsowacie. Anioł kazał mi wam powiedzieć, że niezwykle sobie was upodobał i że często by was nocą nawiedzał, gdyby się nie bał, że was zestracha. Także oznajmić mi przykazał, że wkrótce do was przybędzie, aby z wami pewien czas spędzić. Ponieważ jednak, gdyby w anielskim kształcie się zjawił, nie moglibyście z nim obcować, tedy z miłości ku wam człowieczą na się przybierze postać. Uwiadomcie go przeze mnie, kiedy i w jakiej postaci widzieć go pragniecie. Archanioł zaraz do was pośpieszy, a wówczas będziecie mogli nazwać się najszcześniejszą na ziemi białogłową.

Głupiuchna Lisetta rzekła, że niewymownie się cieszy z miłości archanioła, że sama z dawna go już miłuje i nigdy nie przeszła przed jego obrazem, by świecy wotywniej przed nim nie zapalić, że kiedykolwiekby ją odwiedził, zawsze z radością go przyjmie. Zastanie ją w ustronnej komnacie, gotową na jego przyjęcie, byleby jej tylko nie opuścił znów dla Marii Dziewicy, którą ponoć ze wszystkich sił miłuje, jak to widać z malowideł, na których zawsze na klęczkach przed Nią jest wyrażony. Na ostatku przydała, że archanioł może przybyć w czyjejkolwiek postaci, byleby tylko pozór jego straszny nie był.

– Wielce rozumny respons mi daliście – rzekł brat Albert – dlatego też powtórzę archaniołowi wiernie wasze słowa. Możecie i mnie wielką łaskę łatwo wyświadczyć, pozwalając aniołowi w moim kształcie u was się pojawić. Wyjaśnię wam, dlaczego to taką łaską dla mnie się okaże: archanioł, biorąc moje ciało na się, uwolni duszę moją z doczesnej powłoki. Przez ten czas, gdy on z wami pozostawać będzie, dusza moja rozkoszy w raju zazna.

– No – odparła na to w ciemność biała białogłowa – tyleście razów z mego powodu odebrali, że nie mogę wam tej łaski odmówić.

– A więc – i rzekł brat Albert – niechaj dziś wieczór drzwi waszego domu otworem stoją. Archanioł przybędzie do was w człowieczym kształcie; zrozumiałą przeto jest rzeczą, że wejść do domu tylko przez drzwi może.

Lisetta przyrzekła, że wszystko, co trzeba, uczyni, i rozstała się z mnichem. Pozostawszy sama, tak bardzo w pychę urosła, że koszula zadka przykryć jej nie mogła; zdawało się jej, że jeszcze tysiąc lat dzieli ją od chwili odwiedzin archanioła. Brat Albert, wiedząc, że tej nocy

nie tyle rolę anioła co dziarskiego jeźdźca odegrać mu wypadnie, jał się pokrzepiać cukrami i różnymi kordiałami, aby łącznie z siodła wysadzonym nie zostać. Potem, uzyskawszy od przeora pozwolenie na wyjście z klasztoru, wraz z swym wiernym przyjacielem udał się do domu pewnej rajfurki, skąd nieraz już na podobne gonitwy i łowy się wyprawiał. Przy pomocy różnych barwiczek i szat przekształcił się w anioła i podążył do domu Lisetty. Ta, ujrawszy białą postać, stojącą na progu, rzuciła się na kolana. Anioł podniósł ją, pobłogosławił i dał jej znak, aby z nim po społu do łoża się położyła. Lisetta posłuchała z ochotą rozkazu archanioła, który po chwili legł obok swej pokornej służki. Brat Albert był człekiem na schwał, o wielkiej posturze i krzepocie, dlatego też Lisette, jędrne ciało i miękką skórę posiadającej, większą radość zgotował niżli jej mąż. Nie raz i nie dwa tej nocy bez żagli dzielnie płynął, co ona sobie wielce chwaliła. Krom tego opowiadał jej siła cudowności o niebiańskiej szczęśliwości w raju, tak iż pani Lisetta z tego wszystkiego wielce ukontentowana była. Wreszcie, gdy dzień nastał, brat Albert z Lisettą się rozstał, umówiwszy się z nią uprzednio co do powtórnej schadzki, i zabrawszy swe przybory udał się do przyjaciela, który nań czekał w domu znajomej białogłowy, dotrzymującej mu uprzejmie towarzystwa, iżby nie bał się spać sam.

Zjadłszy obiad, Lisetta wraz z kilkoma przyjaciółkami udała się do brata Alberta i opowiedziała mu o odwiedzinach archanioła Gabriela, o tym, jak wygląda, i o wszystkim, co odeń słyszała, gdy sławił cuda żywota wiecznego, przy czym nie omieszkała przydać do swej opowieści wiele osobliwych bredni i łgarstw. Wówczas brat Albert rzekł:

– Nie wiem, szlachetna damo, jakeście tej nocy po społu z nim przebywali, to mi jeno wiadomo, że archanioł zjawił się dziś nocą w mojej celi. Dowiedziawszy się o waszym poleceniu, przeniósł natychmiast duszę moją, gdzie siła róż i pięknych kwiatów rosło w ilości dotychczas przeze mnie nie widzianej. W tym rozkoszonym miejscu bawiłem aż do świtania. O tym jednak, co przez ten czas z moim ciałem się działo, nie mam żadnego uwiadomienia.

– Zali wam o tym nie powiedziałam? – spytała Lisetta. – Ciało wasze leżało przez całą noc w moich objęciach. Jeśli upewnić się chcecie, że moje słowa są prawdą, spójrzcie tylko pod lewą pierś swoją, gdzie tak ogniście archanioła pocałowała, że ślad tego pocałunku przez kilka dni widoczny będzie.

– Aby ciekawość moją zaspokoić – rzekł brat Albert – uczynię to, czego już od dawna nie czyniłem, a mianowicie rozdzieję się, chcąc się przekonać, czy prawdę powiadacie.

Po długiej gawędzie Lisetta wreszcie odeszła. Brat Albert w anielskiej postaci nieraz ją jeszcze bez przeszkód odwiedzał. Pewnego dnia zdarzyło się, że pani Lisetta, zszedłszy się z swoją sąsiadką, wszczęła z nią dyskurs o piękności, a chcąc w dyspucie wziąć przodek, z zwykłą sobie tępotą zawołała:

– Gdybyście wiedzieli, komu moja uroda do smaku przypada, nie chwalilibyście już innych białogłów piękności.

Kuma, znająca ją dobrze i ciekawa, co te słowa znaczą, rzekła:

– Wszystko to być może, dopóki nie wie się jednak, kto zacz, zdania swego zmienić nie sposób.

– Kumo – rzekła na to mało rozgarniona białogłowa – nie trza o tym szeroko rozpowiadać, dowiedzcie się jednak, że archanioł Gabriel jest moim miłośnikiem. Miłuje on mnie nad życie i powiada, że jestem najurodziwszą na ziemi i na morzu białogłową.

Sąsiadka Lisetty na te słowa o mało śmiechem nie parsknęła, pohamowała się jednak, aby jej nie spłoszyć, i rzekła:

– Na Boga! jeśli archanioł Gabriel został waszym miłośnikiem i te słowa powiedział, to w samej rzeczy tak być musi. Nie sądziłam jednak dotychczas, że aniołowie przykładają się do tych rzeczy.

– Byliście w grubym błędzie – odparła Lisetta. – Niech Bóg mnie skarże, jeśli archanioł czynności tych lepiej od mego męża nie spełnia. Upewniał mnie nawet, że na tamtym świecie nie inaczej się to odbywa. Ponieważ jednak w raju nie mógł znaleźć białogłowy równej mi pięknnością,

dlatego rozmiłował się we mnie i co noc mnie odwiedza. Pojmujecie teraz wszystko.

Sąsiadka pożegnała panią Lisette, aby jak najprędzej naśmiać się z tego, co słyszała. W czasie uczyty, spotkawszy niebawem wiele towarzyszek, opowiedziała wszystkim białogłowom dziwną historię Lisetty. Damy powtórzyły jej słowa swym mężom i przyjaciółkom. Te z kolei także języki rozpuściły. Po dwóch dniach cała Wenecja mówiła tylko o przypadkach pani Lisetty. Nowina doszła także do uszu szwagrow pani Lisetty, którzy postanowili natychmiast anioła pojmać, aby przekonać się, zali on latać umie. Z tą myślą, nic Lisette nie mówiąc, przez kilka nocy jęli sprawić straż koło jej domu. Brat Albert, do którego jakieś słuchy także doszły, wybrał się pewnej nocy do swej kochanki, aby ukarać ją za gadulstwo. Ledwie rozebrał się, gdy szwagrowie Lisetty, ujrawszy go, jak wchodził, poczęli się do drzwi dobijać. Brat Albert okrutnie się zestruchał pojawiając się, jakie niebezpieczeństwo mu zagraża. Nie wiedząc, gdzieby się ukryć, dopadł do okna, otworzył je i skoczył do wielkiego kanału. Ponieważ w miejscu tym była głębia, a on dobrze pływał, żadnej więc szkody sobie nie wyrządził. Przypłynawszy do drugiego brzegu obaczył, że drzwi pewnego domu otworem stoją, wszedł zatem czym prędzej do wnętrza. W komnacie był jakiś mężczyzna. Brat Albert jął go błagać, aby mu życie dla miłości bożej ratował; nagadał mu przy tym różnych bajęd o tym, skąd uciekł i dlaczego tu o tej porze nago się pojawił. Gospodarz domu, tknięty współczuciem, poradził mu, aby się do łoża położył i spokojnie jego powrotu oczekiwał, musi bowiem oddalić się dla sprawy nie cierpiącej zwłoki. Rzekłszy to, wyszedł i drzwi za sobą zamknął.

Tymczasem szwagrowie Lisetty, wtargnąwszy do jej komnaty, przekonali się, że archanioł ostawił skrzydła i odleciał. Okrutnie z tego powodu rozgniewani, nie szczędzili ostrych słów swojej krewniaczce. Później, pochwyciwszy anielskie szaty, do swego domu się udali zostawiając ją niepocieszoną. Tymczasem zrobił się dzień jasny. Człek, który Alberta przygarnął, stojąc na moście Rialto¹⁰⁴, usłyszał gadki o tym, że archanioł Gabriel u Lisetty nocował i że, zdybany przez jej szwagrow, ze strachu do wody skoczył. Co się stało z tym arcyszelmą po skoku do kanału, nikt jednakże nie wiedział. Usłyszawszy tę opowieść, dorozumiał się od razu, jaki to nieborak go o pomoc prosił. Powrócił do domu, przymusił mnicha do wyznania prawdy i oznajmił mu, że jeśli nie otrzyma pięćdziesięciu dukatów, szwagrom Lisetty go wyda. Po długim gadaniu Albert obiecał, że życzenie wypełni, i jął go pytać, jakim sposobem, mógłby do swego domu się przemknąć.

– Jeden tylko środek ratunku widzę – rzekł Wenecjanin – aliści nie wiem, czy się nań zgodzicie. Dzisiejszego dnia odbywa się w mieście wielka uroczystość. Wielu ludzi przywodzi z sobą na plac Świętego Marka różne maskary. Można obaczyć niedźwiedzie, dzikich mężów i stwory rozliczne. Potem odbywają się łowy; po ich ukończeniu ludzie i maskary rozchodzą się po domach. Jeśli zgadzacie się zatem larwę na się nałożyć, zanim was tu wysłędzą, po uroczystości odprowadzę was tam, gdzie chcecie. W przeciwnym razie nie wiem, jak się stąd wydostaniecie, ponieważ szwagrowie Lisetty, podejrzewając, że gdzieś w pobliżu się ukrywacie, rozstawili czaty dokoła.

Chocia bratu Albertowi nie bardzo po myśli było wyjście z domu w podobnej postaci, jednak ze strachu przed krewniakami damy na wszystko przystał i wskazał swemu wybawcy, dokąd ma go potem odprowadzić. Wenecjanin wymazał go wnet całego miodem, a potem puchem ptasim go obsypał, włożył mu na szyję obrozę, do łańcucha przytwierdzoną, twarz larwą nakrył i wraziwszy mu do jednej ręki potężną maczugę, drugą kazał prowadzić na smyczy dwa olbrzymie kundły przywiedzione od rzeźnika, tymczasem zaś z prawdziwie wenecką uczciwością posłał pewnego zaufanego człeka na most Rialto, aby tam całemu ludowi wiadomym uczynił, że kto chce archanioła Gabriela obaczyć, będzie go mógł ujrzyć na placu Świętego Marka.

Wkrótce potem Wenecjanin wyszedł z domu prowadząc przed sobą na łańcuchu brata Alberta. Zgiełk powstał. Wszyscy, co go ujrzeli, pytali się: „Co to takiego? Kto zacz?” Gospo-

darz przywiódł Alberta na plac Świętego Marka. Na placu zebrała się, idąc za nimi, nieprzeliczona ćma ludu, do której dołączyli się jeszcze ludzie z Rialto, już o historii anioła uwiadomieni. Wenecjanin przywiązał Alberta do słupa, stojącego na miejscu podwyższonym, udając, że czeka na rozpoczęcie łowów. Muchy i bąki rzuciły się na Alberta miodem pomazanego i jęły go kąsać w nielitościwy sposób. Gdy już plac całkiem się zaludnił, Wenecjanin podszedł do Alberta, rzekomo w tym celu, aby z łańcucha spuścić dzikiego męża; miast tego jednak, zerwał mu larwę z twarzy i wielkim głosem zawołał:

– Moi przyjaciele! Ponieważ dzik się nie zjawił, łowy odbyć się nie mogą. Chcąc wam jednak tę stratę i fatygę wynagrodzić, pokażę wam archanioła Gabriela, który nocą z nieba na ziemię schodzi, aby weneckie niewiasty pocieszać!

Wszyscy po zdjęciu maski od razu brata Alberta poznali. Zewsząd rozległy się groźne okrzyki. Tłum obsypał nieszczęśliwca najgorszymi obelgami, szyderstwami i błotem go obrzucił. Udreka mnicha, Bóg wie, jak długo by trwała, gdyby wieść o zdarzeniu do klasztoru nie doszła. Wyślano zaraz sześciu mnichów, którzy przecisnąwszy się przez tłum, spuścili Alberta z łańcucha i narzucili nań habit. Później wśród krzyku i wrzasku przytomnych zawiedli go do klasztoru i do ciemnicy wtrącili. Ponoć brat Albert w tym lochu życia nędznie dokonał.

Tak tedy człek, który za dobrego był poczytywany, a źle czynił, czemu wierzyć nie chciano, zapragnąwszy w końcu za archanioła Gabriela się wydać, w dzikiego męża przedzierzgnięty został. Poniósł wreszcie zasłużoną karę i daremnie później swoje grzechy optakiwał. Oby Bóg zdarzył, aby wszystkim, doń podobnym, równy los przypadł w udziale.»

Opowieść trzecia



ZAZDROŚĆ

Trzej młodzieńcy, miłujący trzy siostry, uciekają po społu z nimi na wyspę Kretę. Najstarsza siostra z zazdrości miłośnika swego zabija, druga, oddając swe wdzięki księciu Krety, od śmierci ją wybawia. Za to jej kochanek życia ją pozbawia i z pierwszą z nich ucieka. Najmłodszą parę o to zabójstwo obwiniają, a ta, pojmana, do winy się przyznaje. Obawiając się śmierci, kochankowie przekupują straż i bez grosza salwują się ucieczką na wyspę Rodos, gdzie później w wielkim niedostatku umierają.

Filostrat, wysłuchawszy opowieści Pampinei, rzekł po chwili milczenia:

– W waszej opowieści przy końcu były rzeczy, które mi do smaku przypadły, przedtem jednak zbytnio śmiać się było trzeba, a przecie ja nie tego chciałem.

Po tych słowach, zwracając się do Lauretty, rzekł:

– Pani, na ciebie teraz kolej przypada. Chciej nam, jeśli to możliwe, coś lepszego opowiedzieć.

– Zbyt niemiłosiernymi dla kochanków jesteście – odparła ze śmiechem Lauretta – i wiecznie pragniecie, aby ich miłość nieszczęśliwie się kończyła. By wam dogodzić, opowiem historię o trzech parach, które po krótkiej szczęśliwości równie zły spotkał koniec.

I tak zaczęła:

– Moje miłe towarzyszki! Zapewne dobrze wiecie, że każda przywara, każda występna namiętność przynieść może wielką szkodę nie tylko temu, co się jej wpływowi poddaje, ale często i innym. Osobliwie gniew, według mego mniemania, w większą biedę nas gna bez hamulca niżli inne złe namiętności. Gniew jest bowiem gwałtownym i nierozważnym wzburzeniem duszy, wywołanym zaznaną przykrością, które nam możliwość rozsądnego myślenia odejmuje; oślepia on oczy nasze i całą naszą istotę niepohamowaną wściekłością napęlnia. Namiętność ta częściej w duszach mężczyzn się zapala, przy tym u jednych z większą, u drugich z mniejszą wybucha siłą, jednak przyznać trzeba, że i kobiety od niej wolne nie są. Gniew ich większe jeszcze sprowadza niedole, gdyż łatwiej się rozpala, jaśniej płonie i nieograniczoną władzę nad nimi bierze. Nie lza się zresztą dziwić temu, zważywszy, że ogień łatwiej lżejszym i kruchym rzeczom się ima niżli twardym i ciężkim przedmiotom, my zaś (niechaj mężczyźni mi tych słów za złe nie biorą) delikatniejsze i wrażliwsze od nich jeste-

śmy. Zauważę przy tym, że nasza przyrodzona łagodność i dobroć jest źródłem rozkoszy i wytchnienia dla bliskich nam mężczyzn, gdy tymczasem nasza gniewliwość wiele nieszczęść na nich sprowadza i w wielkie niebezpieczeństwa ich wtrąca. Dlatego też z wszystkich sił starać się winnyśmy o utrzymanie naszego gniewu na wodzy. Teraz opowiem wam historię trzech młodzieńców i trzech umiłowanych przez, nich dziewcząt; wszyscy wskutek gniewu jednej z białogłów z ludzi wielce szczęśliwych w nieszczęśliwych się przemienili.

«Jak wam dobrze wiadome jest, Marsylia, nad brzegiem morskim w Prowancji leżąca, jest miastem czcigodnym i dobrze starożytnym. Gród ów ongiś więcej niż dzisiaj w bogatych kupców obfitował. Pośród nich sływał z: osobnych bogactw swoich Arnald Civada, człek z niskiego rodu idący, aliści uczciwy i wielką rzetelnością się odznaczający, i niezmiernie posiadający majątności.

Żona obdarzyła go kilkorgiem dzieci; pośród nich były trzy dziewczęta, od chłopców starsze. Dwie dziewczeczki, które bliźniaczkami były, liczyły po lat piętnaście, trzecia właśnie czternasty rok rozpoczęła. Arnald z towarami do Hiszpanii odjechał. Krewniacy czekali tylko na jego powrót, aby dziewczeczki za mąż wydać. Jedna z córek kupca zwała się Ninetta, druga Magdalena, a trzecia Bertella. Do Ninetty pewien młody i ubogi szlachcic, nazwiskiem Restagnone, najtkliwszy afekt żywił. Ninetta odpłacała mu wzajemnością. Oboje poczynali sobie tak ostrożnie, że w tajności przed całym światem mogli swoją miłością się cieszyć. Ten tajemny ich stosunek trwał dość długo, gdy nagle zdarzyło się, że dwóch młodzieńców, dzieciów znacznej fortuny, po śmierci ojców swoich w Magdalenie i Bertelli się zakochało. Jeden z nich zwał się Folko, drugi Ughetto. Gdy Ninetta o tym przyjacielowi opowiedziała, ów postanowił z ich pomocą z niedostatku swego się wydobyć. W tym celu zbliżył się z nimi i to jednemu, to drugiemu ułatwiał spotkanie z ukochanymi. Nieraz także jednocześnie im towarzyszył, nie zaniedbując zarazem swojej wybranej. Wreszcie Restagnone, przekonany, że pozyskał już całkiem ich przychyłność, zaprosił ich pewnego dnia do swego domu i rzekł do nich:

– Wszystko, co uczyniłem dla was, mili przyjaciele, okazuję wam dowodnie, jaką przyjaźń dla was żywię. Wiedźcie, że gotów byłbym uczynić dla was to, co tylko dla siebie samego uczynić bym zdołał. Powiem wam teraz, jaka myśl mi do głowy przyszła, wy zaś się po nara-dzie ze mną sami osądźcie, co czynić należy.

Jeśli słowa i postęпки wasze nie kłamią, to przyznać trzeba, że równie gorąco miłujecie Magdalene i Bertellę, jak ja ich siostrę. Chcę wam, jeśli się zgodzicie, podsunąć pewien środek, dzięki któremu afekty nasze do lubego wkrótce kresu przywiedzione zostaną. Wy jesteście ludźmi bogatymi, ja zaś nic nie posiadam. Jeśli, zebrawszy do kupy wszystkie swoje bogactwa, rozdzielicie pieniądze na trzy części i mnie jedną z nich oddacie, to pozostanie wam tylko wybrać stosowne miejsce, gdziebyśmy po społu z swymi kochankami szczęśliwie żyć mogli. Zdaje mi się, że bez zbytnich trudów siostry ku temu skłonię, aby, zabrawszy znaczną część majątności swego ojca, w nasze ślady poszły. Poczniemy żyć, jak trzej bracia, każdy z swoją umiłowaną, i staniemy się najszczęśliwsi na świecie ludźmi. Odpowiedzcie mi teraz, czy mam ten zamiśl porzucić, czy też do jego wykonania przystąpić?

Dwaj młodzieńcy, najgorętszą miłością płonący, usłyszawszy, że będą mogli posiadać kochanki swoje, nie namyślali się długo i odparli, że zamiśl Restagnona gotowi są w czyn wprowadzić. Otrzymawszy zgodę Folka i Ughetta, Restagnone po kilku dniach zdołał zejść się tajemnie z Ninettą, co mu często nie bez wielkich trudności udawało się osiągnąć, i opowiedział jej wszystko, co po społu z dwoma młodzieńcami uczynić zamyślił, dokładając sił wszelkich, by ją dla tego zamierzenia pozyskać. Przekonać ją trudno nie było, bowiem Ninetta niczego tak nie pragnęła, jak żyć z Restagnonem w bezpieczeństwie, nie lękając się o miłość swoją. Odparła zatem, że jego zamiśl jest doskonały i że siostry ochotnie w tym za jej przykładem pójdą. W końcu dziewczeczka jęła go naglić, aby jak najprędzej wszystko do ucieczki przysposobił. Restagnone powrócił do Folka i Ughetta, którzy z niecierpliwością na

odpowiedź swych kochanek czekali, i oznajmił im, że siostry zgodę swą wyraziły. Młodzieńcy postanowili osiedlić się na Krecie. Folko i Ughetto sprzedali swoje majątkości pod pokrywką, iż handlem parać się zamierzają, obróciwszy wszystko, co posiadali, na pieniądze, nabyli letką fregatę, uzbroili ją po kryjomu, opatrzyli w rzeczy niezbędne i jeśli czekać chwili sposobnej. Ninetta, znająca dobrze tajne pragnienia swych sióstr, tyle pięknych słówek o przyszłości im naopowiadała, że nie mogły się doczekać dnia odjazdu. Gdy nadeszła noc, w ciągu której na pokład fregaty wstąpić miały, trzy siostry otwały szkatułę swego rodzica i wzięły z niej wielką ilość klejnotów i monet złotych. Później z największą ostrożnością wyszły z domu i wedle umowy udały się w to miejsce, gdzie Restagnone, Folko i Ughetto na nie czekali. Młodzieńcy i dziewczęta weszli bez zwłoki na pokład; zapuszczono wiosła w wodę i fregata odbiła od brzegu. Nie zatrzymując się nigdzie w drodze, następnego wieczora przybyli do Genui, gdzie po raz pierwszy uniesieniom miłości się oddali. Opatrzywszy się we wszystko, co im potrzebne być mogło, popłynęli dalej, zawijając do różnych portów, aż wreszcie ósmego dnia bez żadnych przypadków do Krety dotarli. Tam zakupili piękne dobra i niedaleko od Kandii urocze pałace zbudowali. Po czym wśród uczt, rozkoszy i dostatków jakby baronowie żyć poczęli. Mieli liczną służbę, psy, sokoły i konie.

Jednakoż ludziom, żyjącym pośród rozkoszy i nijakich przeciwieństw nie mającym, wkrótce mierznie nawet to, co im najmilsze było. Tak zdarzyło się i z Restagnonem, który niedawno jeszcze Ninettę najczulej miłował. Od chwili gdy już bez przeszkód mógł się jej miłością cieszyć i ją posiadać, jego afekt chłodnąć począł. Pewnego dnia na uczcie spotkał młodą i urodziwą szlachciankę w stronach tych wzrosłą, w której wielce sobie upodobał. Restagnone nie szczędził zachodów, aby jej wzajemność zdobyć, i na jej cześć wspaniałe uczyty wyprawiał. Ninetta, spostrzegłszy to, taką zazdrością zapłonęła, że od tej chwili Restagnone jednego kroku uczynić nie mógł, aby wieść o tym do niej nie doszła, a potem okrutne wyrzuty go nie spotykały. Jak przesyta nudę i wstręt za sobą wlecze, tak też znów trudności żądę podsycają. Dlatego też wyrzuty Ninetty jeno pragnienie Restagnona powiększały. Nie wiedzieć, czy młodzieniec pozyskał względy ukochanej damy, dość na tym, że Ninetta wszystko, co jej doniesiono, za prawdę rzetelną przyjęła. Z powodu wiarołomstwa Restagnona w najgłębszą rozpacz popadła, która później przemieniła się w szalony gniew, a miłość jej ustąpiła miejsca gwałtownej nienawiści. Tą nienawiścią zaślepiona, postanowiła niewiernego śmiercią ukarać, i w ten sposób zmyć hańbę, którą jak mniemała, jej wyrządził.

Na wyspie mieszkała pewna starucha, Greczynka, biegła w przyrządzaniu zabójczych jadów. Ninetta prośbami i podarkami skłoniła ją do przygotowania śmiertelnego napoju. Otrzymawszy truciznę, pewnego dnia, gdy Restagnone wielce utrudzony i zgrzany do domu powrócił, podała mu jad do wypicia. Silna trucizna zaraz swój skutek wzięła, tak iż jeszcze przed świtaniem umarł. Folko i Ughetto po społu ze swymi kochankami nawet nie domyślali się, jaka była przyczyna śmierci Restagnona, i razem z Ninettą śmierć jego gorzko opłakiwali. Ciało młodzieńca z wielką czcią do grobu złożone zostało. Jednakoż po krótkim czasie zdarzyło się, że starucha–trucicielka, na nowej niecnocie pochwycona, do ciemnicy wtrącona została. Na pytki wzięta, do wielu zbrodni się przyznała, a także rzekła, że jad dla Ninetty przygotowała.

Nie było wątpienia, jaki wywołał on skutek. Książę Krety, nic nie rozgłaszając, w pałacu Folka pewnej nocy po cichu i bez oporu Ninettę pochwycić kazał. Białogłowa, nie czekając, aż ją na tortury wezmą, opowiedziała wszystko, co śmierci Restagnona się tyczyło. Wówczas książę uwiadomił Folka i Ughetta o przyczynie uwięzienia Ninetty, młodzieńcy zaś opowiedzieli o tym Magdalenie i Bertelli. Siostry winowajczynie w niezmierną rozpacz popadły i ze wszystkich sił swoich starać się poczęły o ocalenie nieszczęśliwej, która na stosie spalona być miała, po sprawiedliwości na to zasłużywszy. Wszystkie ich wysiłki na niczym spęły, bowiem książę twardo postanowił sądu nad zbrodniarką dopełnić. Wreszcie urodziwa i młoda Magdalena, do której książę już od dawna daremnie się zalecał, pomyślała, że okazawszy

uległość jego woli, zdoła siostrę od stosu wybawić. Wybrawszy zatem stosownego wysłańca, zawiadomiła przezeń księcia, że gotowa jest być posłuszną jego chęciom, pod dwoma wszakże warunkami, a mianowicie: że książe uwolni Ninettę i że wszystko, co między nimi zajdzie, w głębokiej tajności zachowa. Książe z wielkim ukontentowaniem wysłuchał poselstwa, długo się jednak wahał, jak mu postąpić wypada. W końcu jednak zgodził się, tak iż kazał Magdalenę uwiadomić, że jej kondycje przyjmuje. Porozumiawszy się z nią uprzednio, wydał pewnej nocy rozkaz uwięzienia Folka i Ughetta pod pokrywką, że chce ich przesłuchać, sam zaś tajnie do domu Magdaleny przybył. Ninettę już przedtem w worek zaszyto, aby wrzeczono do morza ją wrzucić. Miast tego jednak, książe przywiódł Ninettę do Magdaleny, jako zapłatę za jej łaskawość. Żegnając się o świcie z Magdaleną, książe błagał ją na wszystko, aby tej pierwszej nocy miłości za ostatnią uważać nie chciała. Krom tego, polecił jej jeszcze, aby Ninettę z wyspy odprawiła, w przeciwnym razie bowiem mieszkańcy Krety przeciw niemu poburzyć by się mogli, zmuszając go do nowej surowości względem winowajczynie. Następnego dnia Folko i Ughetto swobodę odzyskali. Dowiedziawszy się, że Ninettę do morza wrzucono, uwierzyli temu i pośpieszyli do domu, aby swoje kochanki pocieszyć. Magdalena starała się ukryć Ninettę, jednakże Folko ku wielkiemu swemu zdziwieniu odkrył, że w jego domu siostra jego kochanki przebywa. Zdumiał się wielce i w duszy jego obudziło się podejrzenie, zwłaszcza że już przedtem był słyszał o miłości księcia do Magdaleny; dlatego też spytał ją, jakim sposobem Ninetta tu się znaleźć zdołała. Magdalena kunsztowną bajkę ułożyła, aliści bystry Folko kochance swojej nie uwierzył, jeno przymusił ją, aby mu całą prawdę wyznała. Białogłowa po długich wykrętach wszystko mu wreszcie opowiedziała. Wówczas Folko, gniewem i boleścią przenikniony, dobył szpady i nie dając do się przystępu błaganiom i zakłębom Magdaleny, życia ją pozbawił. Potem, zdjęty trwogą na myśl o zemście i sądzie księcia, ostawił zwłoki na miejscu i udał się do komnaty, w której Ninetta się ukrywała.

– Śpieszmy – rzekł do niej z udanym uśmiechem na twarzy – odwiozę cię tam, gdzie zgodnie z życzeniem siostry twojej się osiedlisz, aby nie dostać się znowu w ręce księcia.

Ninetta uwierzyła słowom Folka. Obawiając się księcia, nie pożegnała się nawet z Bertellą i tejsze nocy jeszcze po społu z Folkiem Krete opuściła. Młodzieniec w pośpiechu tylko niewielką sumę pieniędzy z sobą zabrać zdołał. W porcie wsiedli w barkę i od brzegu odbili. O dalszych ich losach wieści zaginęły.

Nazajutrz zwłoki Magdaleny znaleziono. Ludzie, Ughettowi zawistni i nienawidzący go, o wszystkim księciu donieśli. Książe, który gorąco Magdalenę miłował, zaraz do domu Ughetta przybył i kazał go pochwytać po społu z Bertellą, nim jeszcze kochankowie o śmierci Magdaleny i ucieczce Folka i Ninetty dowiedzieć się zdołali. Przymuszono ich do wyznania, że po społu z Folkiem Magdalenę zabili. Wiedząc, że to wyznanie niechybną śmierć na nich sprowadzić musi, nieszczęśnicy z wielkim trudem przekupili strażę częścią pieniędzy, którą w domu ukryli na nieprzewidziane przypadki, i wraz ze strażą, nie mając czasu zabrać niczego z rzeczy swoich, na łodzi nocą uciezką się salwowali, na wyspę Rodos docierając. Wkrótce potem w niedostatku i w strapieniu zeszli tam z tego świata. Oto w jakie obieże Restagnone i Ninetta samych siebie i drugich wtrącili dzięki nierozumnej namiętności pierwszego i gniewowi drugie j.»

Opowieść czwarta



NARZECZONA KRÓLA GRANADY, CZYLI NIESZCZĘŚNI MIŁOŚNICY

Gerbino wbrew przysiędze danej przez dziada jego, króla Wilhelma, napada na statek króla Tunisu, by uprowadzić jego córkę. Ludzie załogi śmierć jej zadają, za co on ich wycina, a wreszcie sam głowę położyć musi.

Gdy Lauretta umilkła, całe towarzystwo dało wyraz współczuciu dla nieszczęśliwych kochanków. Niektórzy srogo Ninette za jej zapamiętałą zazdrość ganili, inni znów różne uwagi czynili. Wreszcie król, jak gdyby z głębokiej zadumy zbudzony, podniósł głowę i na Elizę skinął. Ta skromnie w te słowa zaczęła:

– Drogie towarzyszki! Wielu utrzymuje, że miłość tylko przez oczy do serca się dostaje i z nich strzały swoje wypuszcza. Ci, co tak mniemają, śmieją się z tych, którzy wierzą, że zakochać się można także i ze słuchu. Z noweli mojej dowodnie się przekonacie, że mniemanie pierwszych jest omylne. Obaczycie zaraz, że pewien młodzian i dziewczyna, nie widziawszy się zgoła, nie tylko ze słuchu w sobie się wzajemnie rozmiłowali, lecz i z powodu swego afektu nieszczęśliwie pomarli.

«Wilhelm II, król Sycylii¹⁰⁵, miał dwoje dzieci, syna Ruggiera, i córkę, Konstancję. Ruggieri, jeszcze przed swym ojcem do grobu zstąpiwszy, pozostawił syna, imieniem Gerbino. Dziad nie szczędził trudów, aby dziecię przykładnie wychować. Gerbino wyrósł na urodziwego młodzieńca odznaczającego się męstwem i dwornością. Sława jego rozeszła się nie tylko po Sycylii, ale i po innych krajach. Przede wszystkim jednak zasłynął on w Berberii, prowincji, która podówczas królowi sycylijskiemu zhołdowana była. Córka króla Tunisu zasłyszała także o męstwie i dworności Gerbina.

Wedle zdania wszystkich, którzy ją znali, była to jedna z najpiękniejszych dziewczeczek, jakie kiedykolwiek natura stworzyła. Krom tego, młódka odznaczała się wieloma zaletami i szlachetnością duszy. Lubiła ona słuchać opowieści o czynach dzielnych ludzi, dlatego też to ten, to ów o bohaterstwie Gerbina jej opowiadał. Wieści o młodym rycerzu w taki zachwyt księżniczkę wprawiły, iż do uroczego jego obrazu, który w duszy sobie utworzyła, niewymowną zapłonęła miłością. O Gerbinie jeno mówiła i tylko o nim słuchać chciała.

Tymczasem na Sycylię przeniknęły słuchy o niezwyklej piękności i wielkich zaletach

księżniczki. Gerbino nieraz słuchał z upodobaniem opowieści o niej i słuchał nie na próżno, bo wreszcie zapłonął do księżniczki afektem równym temu, jaki ona dlań żywiła. Pełen chęci obaczenia jej na własne oczy, szukał stosownego pozoru, aby poprosić dziada o pozwolenie udania się do Tunisu. Czekał na chwilę sposobną, prosił, każdego ze swoich przyjaciół, dążących w tamte strony, aby w jakiś chytry sposób do księżniczki się zbliżył, uwiadomił ją o jego tajemnej miłości i respons jej mu przywiózł.

Jeden z przyjaciół Gerbina bardzo zręcznie poselstwo jego sprawił. W przebraniu kupca, sprzedającego różne ozdoby niewieście i klejnoty, dostał się do zamku. Upatrzywszy stosowną chwilę, oznajmił księżniczce, że Gerbino gorąco ją miłuje i że wraz ze wszystkim, co posiada, w jej służby się oddaje. Księżniczka z łaskawością przyjęła wysłannika, którego słowa wielką jej radość sprawiły. Później poprosiła rzekomego kupca, aby odpowiedział księciu, że równą miłością do niego pała, i aby na dowód jej afektów wręczył mu jeden z najdroższych jej klejnotów. Gerbino z uniesieniem najwyższym przyjął dar księżniczki. Dzięki pośrednictwu tego samego przyjaciela jeszcze nieraz umiłowanej dziewczeczce wspaniałe dary i listy mógł posyłać. Młodzi kochankowie obiecywali sobie w listach, że przy pierwszej sposobności ujrzą się, jeśli tylko los ich zamysłem sprzyjać będzie. Jednakże, gdy tak do siebie się rwali, do chwili tego spotkania upłynęło więcej czasu, niżby się byli spodziewali. Król Tunisu oddał rękę swej córki królowi Granady. Księżniczka w straszną rozpacz popadła, wiedziała bowiem, że nie tylko się od swego umiłowanego niezmiernie oddali, ale że i całkiem go utraci. Gdyby miała możliwość, niei mieszkając uciekłaby od swego ojca do Gerbina. Gerbino, złowrogą wieść usłyszawszy, także w niewymowny smutek się pogrążył i często rzecz rozważając, postanowił siłą księżniczkę pochwycić, gdy ona morzem do Granady płynąć będzie. Do króla Tunisu doszły tymczasem słuchy o miłości Gerbina do jego córki i o zamysłach młodzieńca. Znając jego zuchwalstwo i odwagę, gdy nadszedł czas odesłania córki, zawiadomił króla Sycylii, co czynić zamierza, i prosił go, aby mu dał słowo, że ani Gerbino, ani nikt z jego poruczenia wstrętów czynić nie będzie. Sędziwy król Wilhelm nie był świadom afektu, jaki do księżniczki wnuk jego żywił. Daleki od myśli, że podobnej obietnicy domagano się dla obawy przed Gerbinem, natychmiast do prośby władcy się przychylił i na znak żądanego zapewnienia posłał królowi Tunisu swoją rękawicę. Otrzymałszy tę oznakę przyjaźni Wilhelma, król Tunisu w porcie kartagińskim wspaniały okręt narządzić kazał, a potem opatrzył go we wszystkie rzeczy do podróży potrzebne. Gdy korab już był gotów, tylko na wiatr pomyslny jeszcze oczekiwano. Młoda księżniczka, która wszystkie te przygotowania widziała, wysłała tajnie do Palermo jednego ze sług swoich, przykazawszy mu pokłonić się Gerbinowi i powiedzieć mu, że za kilka dni do Granady wyrusza. Teraz więc nadchodzi stosowna pora, aby Gerbino pokazał, czy istotnie jest tak dzielny, jak o tym powiadają, i czy w samej rzeczy tak ją miłuje, jak nieraz o tym zapewniał. Sługa wywiązał się znakomicie ze swego polecenia i do Tunisu powrócił. Gerbino, otrzymawszy powyższą wiadomość, nie wiedział, co mu uczynić należy, wiedział już był bowiem o obietnicy danej królowi Tunisu przez dziada Wilhelma. Jednakże słowa umiłowanej księżniczki i siła miłości o wszystkim zapomnieć mu kazały. Nie chcąc za tchórza uchodzić, udał się do Messyny i kazał tam co rychlej dwie letkie galery uzbroić. Osadziwszy na nich dzielną załogę, jał krążyć koło brzegów Sardynii, czekając na okręt księżniczki. Wkrótce korab ukazał się jego oczom. Słabym wiatrem gnany, zbliżył się do miejsca, gdzie nań Gerbino czatował. Ów, dostrzegłszy okręt, rzekł do swych towarzyszków:

– Jeśli tak dzielnymi ludźmi jesteście, za jakich was poczytuję, to ani chybi nie znajdzie się między wami nikt, kto by potęgi miłości nie był świadom, bowiem, wedle mego zdania, żaden śmiertelnik bez pomocy miłości niczego wielkiego ani dobrego dokonać nie może. Jeśli zaś sami miłujecie lub miłowaliście, bez trudności mnie pojmiacie. Miłuję i miłość na to śmiało przedsięwzięcie ważyć mi się każe. Umiłowana moja znajduje się na okręcie pełnym niezliczonych bogactw, który tu widzicie przed sobą. Jeśli na męstwie wam nie zbywa, na-

padniemy nań śmiało i wkrótce nim o władniemy. Nie trza mi żadnego łupu, krom dziewczeczki, dla której za broń chwycić musiałem. Wszystko inne dla was przeznaczam. Uderzajmy zatem śmiało! Sam Bóg widocznie zamiarom naszym, sprzyja, bo oto wiatr dąć przestał i okręt uciec od nas nie może.

Słowa Gerbina zbytecznymi były, bowiem Messyńczycy, gorząc pragnieniem zdobyczy, do walki gotowi byli i w duchu dokonali już tego, do czego wódz ich zachęcał. Gdy książe umilkł, wraz na jego galerach rozległy się gromkie, wojenne okrzyki, a potem i trąby zagrzmiały. Załoga porwała się do broni i zwróciła galery w kierunku okrętu. Ludzie, księżniczce towarzyszący, widząc nadpływające galery, jęli przygotowywać się do obrony, ponieważ o ucieczce i tak mowy być nie mogło. Zbliżywszy się do okrętu, Gerbino gromkim głosem zawołał, aby dowódcy załogi przeszli na pokład galer, jeśli bitwy chcą uniknąć. Saracenowie, dowiedziawszy się, kim są przeciwnicy i czego żądają, odparli, że napaść na okręt jest złamaniem słowa danego im przez króla Wilhelma. Na dowód pokazali rękawicę. W końcu dowódca saraceńskiego korabia oznajmili, że nie poddadzą się bez walki, a także niczego ze statku nie wydadzą. Tymczasem Gerbino spostrzegł księżniczkę na tyle statku. Znalazł ją tysiąc razy piękniejszą od tej, jaką sobie w wyobraźni swej malował. Widok jej wzmógł jeszcze jego namiętność. Ukazawszy rękawicę rzekł, że nie masz tu sokołów, więc i rękawic nie potrzeba¹⁰⁶, i że jeśli Saracenowie księżniczki oddać nie chcą, niechaj do boju się gotują. Wkrótce z korabia i galer posypały się kamienie i strzały. Bój trwał długo, wyrządzając wielkie straty walczącym. Gerbino, przekonawszy się, że walcząc w ten sposób zamierzonego celu nie osiągnie, innego środka się chwycił, a mianowicie kazał zażec szalupę, zabraną przez jego towarzyszków z Sardynii. Gdy łódź w ogniu stanęła, galery zagnały ją pod nieprzyjacielski okręt. W tej chwili Saracenowie pojęli, że nic im już nie pozostaje, tylko poddać się albo umrzeć. Wyprowadzili więc na pokład płaczącą w kajucie księżniczkę, wywiedli ją na dziób statku, zawołali na Gerbina i w jego oczach zabili nieszczęsną młodkę, błagającą ich o zmiłowanie i wzywającą pomocy. Potem rzucili trupa do morza z okrzykiem:

– Bierz ją taką, jaką dać ci możemy i na jaką zasługujesz, słowo swoje uczciwie zdzierzywszy.

Na widok tego okrucieństwa Gerbino także jakby umrzeć zapragnął. Nie dbając na pociski i strzały, podpłynął pod nieprzyjacielski okręt i rzucił się w tłum Saracenów, na liczbę nie bacząc. Podobien był do rozjuszonego lwa, który wpadłszy w środek stada, pazurami i zębami rwie wszystko, co na drodze napotka, raczej aby swoją wściekłość zaspokoić niż głód nasycić. Siekąc mieczem na wszystkie strony, Gerbino mnóstwo nieprzyjaciół trupem położył. Tymczasem ogień coraz bardziej okręt obejmował. Nieszczęsny młodzian pozwolił swojej załodze zabrać, co się dało, by ją zaspokoić, sam zaś na galerę powrócił. Zwycięstwo nie radowało go wcale. Kazał wydobyć z morza ciało księżniczki i długo gorzkimi łzami nad nim płakał. Powracając na Sycylię z wielką czcią złożył do grobu zwłoki umiłowanej dziewczeczki na małej wyspie Ustica, naprzeciw Trapani leżącej. Potem, w niewysłowionej rozpaczce po grążen, do domu swego się udał. Król Tunisu, o smutnym zdarzeniu uznawszy, wyprawił do króla Wilhelma posłów w czarne szaty odzianych. Wysłañcy, opowiedziawszy wszystko, jęli go za złamanie słowa naganiać. Wilhelma zabolalo to srodze. Gdy tuniscy poslowie zażądali sądu, Gerbina uwięzić przykazał. Chocia wszyscy wielmoże i dostojnicy prosili króla, aby księciu przebaczył, sam skazał go na śmierć i w przytomności swojej kazał ściąć głowę młodzieńcowi. Wołał jedyne go wnuka utracić niżli jako wiarołomny władca zasłynąć. Oto jak para nieszczęsnych kochanków, nie zakosztowawszy nawet owoców miłości, w niewielu dniach nędzną i gwałtowną śmiercią zesła z tego świata.»

Opowieść piąta



LISABETTA Z MESSYNY

Bracia Lisabetty zabijają jej kochanka. Umarły ukazuje się jej we śnie i mówi, gdzie pogrzebiemy został. Lisabetta po kryjomu, odcina trupowi głowę i wkłada ją do wazonu, w którym krzew kwiatny zasadza. Każdego dnia płacze nad kwiatem nieutulonymi łzami. Bracia Lisabetty odbierają jej krzew, a wówczas nieszczęśliwa kochanka rychło umiera.

Obdarzywszy nowelę Elizy niejaką pochwałą, król Filomenie opowiadać przykazał. Ta, serdecznym współczuciem dla nieszczęsnego Gerbina i jego umiłowanej dziewczeczki przenikniona, z głębokim westchnieniem rzekła:

– Miłe towarzyszki! Nie będę mówiła o tak znacznych i dostojnych osobach, jak bohaterowie Elizy. Mimo to jednak opowieść moja nie mniej wzruszająca będzie. Przypomniałam ją sobie, gdy rzecz szła o Messynie, gdzie zdarzyło się to, o czym opowiedzieć zamierzam.

«W Messynie tedy żyli trzech bracia, młodzi kupcy. Po śmierci swego ojca, który z San Gimignano¹⁰⁷ pochodził, wielkie dziedzictwo otrzymali. Młodzieńcy mieli jedną siostrę Lisabetę. Mimo że staranne wychowanie otrzymała i niezwykłą urodą celowała, bracia za męż jej z niewiadomych przyczyn nie wydawali. W jednym z kantorów, do trzech kupców należących, służył młody Pizańczyk, imieniem Lorenzo, który z wielką zręcznością sprawy ich prowadził. Lorenzo był urodziwym i układnym młodzieńcem. Lisabetta, często go widująca, poczęła w nim dziwne znajdować upodobanie. Lorenzo, spostrzegłszy to, odszedł od tych białogłów, do których przedtem upodobanie żywił, i całą duszą swoją młodej dziewczeczce się oddał. Miłując się wzajemnie gorąco, gdy upewnili się o tym, wkrótce zbliżyli się do siebie i uniesieniem miłości folgować jęli. Niestety, pośród swej szczęśliwości nie umieli ostrożności zachować. Pewnej nocy, gdy Lisabetta do komnaty swego kochanka się zakradała, spostrzegł ją jej starszy brat, przez nią nie zauważony. Aczkolwiek osłupiał na ten widok, przecie jako młodzieniec roztropny wielce, nie rzekł ani słowa i z miejsca swego się nie ruszył. Myślał następnie o tym długo, a gdy dzień nastał, przywołał swoich braci i opowiedział im o wszystkim, co tej nocy widział. Młodzieńcy, nie chcąc dobrej sławy swej siostry ani własnej na szwank przywozić, po naradzie postanowili milczeć i udawać do czasu, że o niczym nie wiedzą. Bracia mniemali, że w ten sposób postępując doczekają się wreszcie sposobnego momentu, w którym, niepotrzebnego rozgwaru nie czyniąc i osławy sobie nie przyczyniając,

sromotnym związkom swej siostry położą tamę, nim jeszcze one groźne skutki za sobą pociągają. Wierni temu postanowieniu, gawędzili i żartowali z Lorenzem, jak to uprzednio w obycaju czynić mieli. Pewnego dnia pod pokrywką przechadzki wyprowadzili młodzieńca daleko za miasto i zawiedli go w miejsce odosobnione. Lorenzo, nic nie podejrzewając, nie obawiał się swoich towarzyszy. Tam kupcy zamordowali go i w tajemnicy pogrzebali jego ciało. Powróciwszy zasię do Messyny, rozgłosili, że Lorenzo wysłany został przez nich w świat dla załatwienia różnych pilnych spraw. Nikogo to nie zdziwiło, wiadomo było bowiem wszystkim, że Lorenzo nieraz podobne poruczenia otrzymywał. Długa nieobecność kochanka zaniepokoiła wreszcie Lisabetę tak, iż tym zgnębiona, często i natarczywie swych braci dopytywać się jeła, kiedy Lorenzo do Messyny powróci. Wreszcie jeden z braci rzekł:

– Co to ma znaczyć? Dlaczego tak często o Lorenza się pytasz? Jeśli raz jeszcze podobne pytanie zadasz, odpowiem ci tak, jak na to zasługujesz.

Młoda dziewczeczka, strapiona nad miarę, pełna niepewności, już się o nic pytać nie śmiała, jeno w czasie bezsennych nocy nieraz Lorenza przywoływała: błagała go, aby nie mieszkając przybywał, i płacząc rzewnie, na jego długą nieobecność się skarżyła, ciągle oczekując go i w niczym nie znajdując radości. Pewnego razu, gdy, znużona, wśród łez zasnęła, stanął przed nią Lorenzo, śmiertelnie na obliczu blady, w porwanych i okrwawionych szatach. Zdawało jej się, że kochanek tak do niej przemawia: „Ach, Lisabetto, przywołujesz mnie nieustannie, trapiąc się długo nieobecnością moją i łzami swymi za nią mnie wniąc! Wiedz, że powrócić nie mogę, bowiem tego dnia, gdyśmy się po raz ostatni widzieli, bracia twoi mnie zamordowali.”

Po czym, objaśniwszy, w jakim miejscu ciało jego spoczywa, poprosił ją, aby już dłużej nie wzywała go ani na niego nie czekała, i zniknął. Lisabetta ocknęła się i gorzkimi łzami się zaląła, albowiem uwierzyła w swe senne przywidzenie. Nazajutrz rano, nie rzekłszy ni słowa braciom, postanowiła na wskazane miejsce się udać dla przekonania się, czy to, co we śnie widziała, prawdą było. Uzyskawszy tedy od braci pozwolenie na odbycie przechadzki za miasto, wybrała się w drogę w towarzystwie pewnej dziewczyny, która, służąc od dawna w ich domu, wszystkie jej tajemnice znała. Stanąwszy u celu, usunęła suche, opadłe liście i jeła kopać tam, gdzie ziemia mniej twardą jej się wydawała. Nie mozoląc się długo, wkrótce odkryła nie tknięte jeszcze zepsuciem ciało swego kochanka. Wówczas poznała dowodnie prawdziwość snu swego.

Straszna rozpacz Lisabetta o władła, aliści nie chciała ona teraz dać folgi łzom swoim. Chętnie byłaby całe ciało z sobą zabrała, aby je godnie pogrzebać, ale ponieważ niemożliwą rzeczą to było, odcięła tylko nożem, jak mogła, głowę od tułowia. Potem głowę, w chustkę zawiniętą, oddała swej towarzyszce i resztę szczątków na nowo ziemią pokrywszy, przez nikogo nie spostrzeżona do domu powróciła. Lisabetta zaniósła głowę kochanka do swojej komnaty, zaparła drzwi i tyle łez wylała, że obmyła nimi martwe lico. Potem, obsypawszy głowę mnóstwem pocałunków, wzięła piękny wazon, z rodzaju tych, w których zwykle marjeranek lub wasilki hodują, włożyła weń głowę Lorenza, w najprzedniejsze płótno zawiniętą, przysypała ją ziemią i zasadziła nad nią krzew salerneńskiego wasilka. Podlewała zaś tę roślinę wodą pomarańczową, wodą różaną lub własnymi łzami. Siadywała przy tym obok wazonu, zawierającego część jej ukochanego, i pełna niezmiernego smutku, nie spuszczała z niego oczu. Po kilku godzinach takiego wpatrywania się, pochylała się nad krzewem i długo, długo płakała, tak iż cała roślina łzami jej się zraszała. Dzięki troskliwej pieczy, a także i przez żyzność ziemi pokrywającej głowę umarłego, roślina owa nie tylko wyrosła niepomiernie, ale i nieporównaną woń rozsiewała.

Zachody te obaczyli niebawem po wiele razy sąsiedzi i donieśli o tym braciom Lisabetty, którzy już spostrzegli, że jej uroda marnieje, a oczy gasną. Bracia Lisabetty przekonali się wkrótce, że sąsiedzi prawdę mówili, i jeli strofować siostrę za jej postępowanie. Gdy słowa skutku nie odniosły, potajemnie wazon jej odebrali. Lisabetta, nie znalazłszy go na właściwym miejscu, długo i uparcie o niego się dopominała. Gdy zaś prośby jej i nalegania bez

skutku pozostawały, wśród skarg i jęków w ciężką niemoc popadła, nawet w ciągu choroby nie przestając domagać się zwrotu rośliny. Młodzieńcy, prośbami tymi zadziwieni, wpadli na myśl, aby przekonać się, co w tym naczyniu zawierać się może. Wysypawszy ziemię, znaleźli chustkę, a w niej głowę, nie całkiem jeszcze zepsuciem strawioną, tak iż po kędzierzawych włosach rozpoznać można było, że kiedyś do Lorenza należała. Zdumieni i srodze zatrwożeni, że zbrodnia ich na jaw wyjść może, pogrzebawszy głowę, nic nikomu nie powiadając, po kryjomu wzięli z sobą wszystko, co posiadali, i z Messyny do Neapolu się przenieśli.

Dzieweczka zaś ciągle po dawnemu płakała i o swój wazon się dopominała, aż wreszcie wśród łez umarła. Tak skończyła się jej miłość nieszczęsna. Z czasem zdarzenie to powszechnie wiadome się stało. Ułożono nawet pieśń¹⁰⁸ o nim, którą do tych pór jeszcze się śpiewa:

Jakiż to zły chrześcijanin
Skradł mi ulubiony wazon...»

Opowieść szósta



DWA SNY

Andreola miłuje Gabriotta. Pewnego dnia opowiada mu, jaki sen miała. Z kolei Gabriotto sen swój jej powtarza, a potem nagle umiera w objęciach kochanki swojej. Andreola po społu z swoją służką chce zanieść ciało Gabriotta na próg jego domu, aliści zatrzymują ją strażnicy podesty. Andreola opowiada szczerze o wszystkim. Podesta chce gwałt jej zadać; Andreola broni się ze wszystkich sił swoich. Rodzic jej, widząc, że winną nie jest, oswobadza ją, a wówczas Andreola porzuca świat i do klasztoru wstępuje.

Nowela Filomeny wielce damom do smaku przypadła. Nieraz słyszały ona piosenkę, o której Filomena wspominała, aliści nigdy dowiedzieć się nie mogły, do jakiego zdarzenia ona się odnosi. Król z kolei dał zaraz znak Panfilowi; wówczas ten zaczął w te słowa:

– Wspomniany w poprzedniej opowieści sen przypomina mi historię, w której rzecz idzie o dwóch sennych zjawach. W noweli Filomeny sen odkrył tajemnicę tego, co już się stało, w tej historii zaś, którą wam teraz chcę opowiedzieć, sny przyszłość przepowiedziały, a przepowiednie te spełniły się, zaledwie ludzie o nich mówiący zamilknąć zdołali. Wiadomo wam niewątpliwie, piękne damy, że gdy człowiek śpi, zjawy senna rzeczywistością mu się wydawa. Po ocknięciu się uznaje jednak, że niektóre tylko z tych rzeczy były prawdą, drugie zaś niejako prawdopodobieństwo w sobie miały, co się zaś trzecich tyczy, to za całkiem fałszywe je poczytuje. Tymczasem wiele ze snów później się sprawdza; istnieje też mnóstwo ludzi, którzy wierzą w każdy sen nie mniej, jak w to, co widzą na jawie. Tacy ludzie pod wpływem zjaw sennych radują się lub trapią, zależnie od tego, czy sen nadzieją, czy też trwogą ich napawa. Są zaś i tacy, co zgoła nijakiej uwagi na sny nie zwracają, aż do czasu, gdy ich spotka nieszczęście, którego wróżba w widzeniu sennym się zawierała. Ani jednych, ani drugich chwalić nie zamierzam, jeżeli bowiem nie wszystkie sny są prawdziwe, to także rzecz nie lza, aby wszystkie fałszywymi były. Że nie wszystkie sny się sprawdzają, każdy z własnej eksperyencji przekonać się może. Z noweli Filomeny poznaliśmy zaś, że niektóre ziszczać się mogą, co teraz, jak wspominałem, w mojej opowieści potwierdzić pragnę. Jeśli człek uczciwy żywot wieździe, żaden przeciwny sen od dobrych przedsięwzięć nie powinien go odstrychnąć ani trwogą napełniać. Równie, gdy sen triumf złego przedstawia i do niego zachęca, powodzenie obiecywać się zdając, wierzyć mu nie należy, w przeciwnym jednak wypadku wszyst-

kim zaufać się godzi. Przystąpmy jednak do naszej powieści.

«W mieście Brescji żył ongiś pewien szlachcic, Negro da Ponte Carraro zwany, który prócz innych dzieci posiadał córkę Andreolę, młodą, urodziwą i niezamężną jeszcze dziewczkę. Młódka ta zakochała się w jednym z sąsiadów, nazwiskiem Gabriotto, człeku niskiej kondycji, ale miłym i pięknym, a odznaczającym się wieloma najszlachetniejszymi przymiotami. Dzięki jednej z służebnic swoich zdołała Andreola nie tylko uwiadomić Gabriotta o afekcie swoim, ale i sprowadzić go wielokroć do pięknego ogrodu swego ojca, ku wielkiej obojga przyjemności. Ażeby zaś żadna moc, krom śmierci, rozdzielić ich nie mogła, kochankowie tajemnym ślubem z sobą się połączyli. Czas schodził; młodzi ludzie często widywali się z sobą, skrywając miłość swą przed światem.

Pewnej nocy zdało się Andreoli we śnie, że Gabriotto jest razem z nią w ogrodzie i w ramionach swych ją trzyma. Czuli rozkosz wzajemnego uścisku. Nagle spostrzegła, że z ciała kochanka wypelza jakaś czarna i potworna istota, której kształtu dobrze rozeznac nie mogła. Mroczna zjawia owładła Gabriottem i mimo oporu Andreoli, z straszną siłą z ramion jej go wydarła, a potem znikła z nim po społu pod ziemią. Andreola poczuła, że już nigdy kochanka swego nie ujrzy. Widok ten przejął ją taką rozpaczą i strachem, że aż się ze snu ocknęła. Przeszedłszy do siebie, ucieszyła się, że to wszystko złudzeniem tylko było; wszelakoż nie mogła się uwolnić od dziwnego przeczucia i trwogi. Dlatego też, gdy Gabriotto oznajmił jej, że ją następnej nocy odwiedzi, nakłaniała go z wszystkich sił do pozostania w domu. Jednakoż widząc, że młodzian gorąco pragnie obaczyć się z nią, i obawiając się, aby jakieś niesprawiedliwe podejrzenie w nim się nie obudziło, przystała na prośbę kochanka i nocą w ogrodzie go przyjęła. Andreola nazrywała mnóstwo białych i czerwonych róż (które właśnie w rozkwicie były) i usiadła wraz z Gabriottem opodal pięknej fontanny, tryskającej świeżą wodą. Po dłuższym czasie wśród najtkliwszych pieścizot spytał Gabriotto, dlaczego z początku sprzeciwiała się jego przyśściu do sadu. Wówczas młódka opowiedziała mu wszystko: swój sen ubiegłej nocy i złe przeczucie. Gabriotto zaśmiał się i rzekł, że jest wielką niedorzecznością wierzyć w sny, pochodzą one bowiem ze zbytku lub niedostatku pokarmu i złudnymi się okazują, o czym codziennie się przeświadczać można.

– Gdybym w sny wierzył, nie przyszedłbym dziś tutaj, nie tyle dla obawy przed twoim widzeniem sennym, ile na skutek mych własnych snów, jakie również ostatniej nocy miałem. Zdawało mi się, że znalazłem się w pięknym lesie, gdzie polując schwytałem niewypowiedzianie wdzięczną i białą jak śnieg sarnę. Sarna ta w tak krótkim czasie oswoiła się ze mną, że ani na krok ode mnie nie odstępowała. Mimo to tak się obawiałem, aby to miłe zwierzątko mi nie uciekło, że włożyłem mu na szyję złotą obręcz, przytwierdzoną do łańcucha, który w rękę trzymałem. Gdy sarenka legła na trawie, złożywszy mi łeb na kolana, nagle, nie wiedzieć skąd, zjawiała się przede mną czarna jak węgiel, głodna i straszna charcica, która rzuciła się na mnie. Zdało mi się, że się przed nią wcale nie bronię; ona zaś chwyciła mnie zębami za lewy bok i tak się wżarła weń, że aż mi do serca dotarła, aby wyrwać mi je z piersi i unieść z sobą. Tak wielki ból poczułem, że, ocknąwszy się ze snu, schwyciłem się ręką za bok, aby przekonać się, czy rany tam nie mam. Nie znalazłszy jednak nic, śmiać się począłem z siebie, że po zdrowym się macałem boku. Cóż by to jednak znaczyć miało? Podobnie, a nawet o wiele straszniejsze sny już nieraz miałem, a przecie nic się ze mną złego nie stało. Dlatego też przestańmy myśleć o zjawach sennych i cieszymy się swoim szczęściem.

Andreola, już swoim snem przerażona, teraz jeszcze bardziej lękać się poczęła, aliści, nie chcąc Gabriotta niepokoić, skrywała swą trwogę, jak mogła. Obejmowała i całowała swego kochanka i on nawzajem ją obejmował, jednakoż lęk jej nie mijał. Obawiała się nie wiedzieć czego i częściej niż zwyczajnie, wpatrywała się w twarz Gabriotta lub też bystrym spojrzeniem obrzucała ogród, aby przekonać się, czy jakiej czarnej stwory nie zobaczy. Naraz Gabriotto westchnął, przycisnął umiłowaną swą do piersi i zawołał:

– Ratuj mnie, najdroższa moja, umieram! Rzekłszy te słowa, zsunął się bezsilnie na trawę. Przerazona Andreola podniosła swego kochanka, położyła jego głowę na swoje kolana i rzekła ze łzami w oczach:

– Na miłosierdzie boskie, co ci jest, mój mężu ukochany? Gabriotto nic nie odpowiedział, tylko dyszał ciężko, okrył się śmiertelnym potem i po chwili skonał. Jaka boleścią i rozpaczą śmierć jego przejąc musiała młodą Andreolę, miłującą go nad życie, łatwo sobie to wystawić można. Długo, długo płakała nad nim, wołając go na próżno po imieniu. Dotknąwszy jego ciała, przekonała się, że już ostygło; wówczas pojęła, że jej kochanek już się nigdy nie ocknie. Nie wiedząc, co począć i jak się zachować, z oczyma łez pełnymi pobiegła do służki, powiernicy swej miłości, i opowiedziała jej o strasznym nieszczęściu. Obydwie zrosiły jeszcze raz łzami martwe oblicze Gabriotta, po czym Andreola rzekła:

– Skoro Bóg mi go zabrał i ja dłużej żyć już nie myślę. Zanim się jednali zabiję, pragnę przy pomocy twojej znaleźć stosowny środek, aby bez szwanku dla czci mojej i bez zdradzenia tajemnicy naszej miłości móc pochować to ciało, przez najdroższą mi duszę opuszczone.

– Nie myśl o odebraniu sobie życia, dziecię moje – odparła służka – bo zabijając się, utracisz go w tamtym życiu, tak jak go tu już utraciłaś. Gdy rękę na siebie podniesiesz, pójdziesz do piekła, ja zaś przekonana jestem, że dusza tego dobrego młodzieńca na wieczne męki skazana być nie może. Staraj się uspokoić, staraj się modlitwami i dobrymi uczynkami jego duszy do zbawienia dopomóc, bo może dla grzechów swoich tego potrzebuje. Pogrzebać jego ciało możemy zaraz tutaj w ogrodzie. Nikt o tym nie uzna, bowiem nikt nie wiedział, że Gabriotto tutaj przychodził. Jeżeli nie zgodzisz się na to, wyniesiemy trupa z ogrodu i położymy go pod murem. Rankiem przechodnie, znalazłszy zwłoki, odniosą je do domu, a krewniacy zajmą się pogrzebem.

Mimo gwałtowności bólu swego i łez nieutulonych, wysłuchiwała jednak dama słów swej służebnicy i tak odparła nie mogąc przystać na jej rady:

– Niechaj mnie Bóg broni, abym mego najdroższego kochanka i męża jak psa pogrzebać lub na ulicę wyrzucić miała. Wiele łez nad nim przelawszy, uczynię wszystko, aby krewniacy równie go oplakiwać mogli. Umyśliłam już, co nam uczynić należy.

Rzekłszy to, kazała przynieść służce z domu sztukę jedwabnej materii. Gdy służka powróciła Andreola materię na ziemi rozesała, położyła na nią ciało Gabriotta i oparła jego głowę na poduszce. Potem, mnóstwo rzewliwych łez wylewając, zamknęła mu oczy i usta, splotła girlandę z róż i całe ciało umarłego kwiatami zasypała. Po chwili tak do służki rzekła:

– Do drzwi jego domu stąd niedaleko. Weźmy go obydwie na ręce, tak jak przyodziany, i położmy go przed progiem. Wkrótce dzień nastanie, i krewniacy ciało znajdą. Wprawdzie cały nasz ten zachód wiele ulgi rodzinie zmarłego nie sprawi, jednak nieco lżej będzie na sercu mnie, w której objęciach skonał.

Z tymi słowami rzuciła się raz jeszcze na martwe ciało i gorzko płakać jąła.

Służka parę razy przypominała swej pani, że świt jest już bliski. Wreszcie Andreola podniosła się. Zdjąwszy z palca pierścień, którym się Gabriotto z nią zaręczył, włożyła mu go na palec i rzekła:

– Drogi mój małżonku, o ile dusza twoja widzi teraz łzy moje, to jeśli ciało twoje niczego nawet uczuć nie jest zdolne, przyjm łaskawie ten ostatni dar swojej żony, którą tak tkliwie za życia kochałeś.

Z tymi słowami w omdleniu na zwłoki upadła. Gdy zaś do utraconych zmysłów z powrotem przyszła, podniosła wraz z służebnicą materię, na której zwłoki leżały. Białogłowy wyszły z ogrodu i skierowały się do domu Gabriotta. Na nieszczęście spotkali je strażnicy podeśty, wezwani gdzieś przypadkiem o tej porze, i zaraz je ze zwłokami pochwycili. Andreola, która bardziej niż życia śmierci pragnęła, poznawszy straż śmiało i otwarcie rzekła:

– Wiem dobrze, kim jesteście, i to także wiem, że ucieczką się nie ocalę. Gotowa jestem pójść z wami do podesty i opowiedzieć mu o wszystkim. Niechaj tylko żaden z was nie waży

dotknąć się mnie ani tego ciała, bowiem z wolnej, nieprzymuszonej woli z wami idę. W przeciwnym razie przed podestą oskarżyć was będę musiała.

Nikt też nie śmiał tknąć Andreoli i ciała jej męża. Wkrótce też wraz ze zwłokami znalazła się w pałacu podesty. Podesta, usłyszawszy o całym zdarzeniu, przystąpił do badania Andreoli, a potem kazał doktorom obejrzeć zwłoki i wydać sąd, zali nieszczęsny Gabriotto nie został otruty lub innym jakim sposobem ze świata zgładzony. Medycy jednogłośnie oznajmili, że o zabójstwie mowy być tu nie może, Gabriotto zmarł bowiem na skutek pęknięcia żyły koło serca. Podesta pojął, że Andreola w drobnej tylko mierze zawiniła, jednakże uczynił pozór, że śmierć jej i życie od niego jedynie zależą. Rzekł tedy urodziwej młódce, że ją uwolni, jeśli jego woli uległa być zechce. Gdy jednak słowami niczego wymóc nie mógł, chciał jej gwałt zadać, aliści rozpacz dodała dziewczęce sił niezwykłych. Broniła się mężnie, wreszcie szyderczymi i dumnymi słowy udało się jej podestę od niewczesnych zalotów powstrzymać. Gdy nastąpił dzień, Negro dowiedział się o smutnych zdarzeniach. Z rozpaczą w sercu udał się do pałacu podesty po społu z licznymi przyjaciółmi swymi. Podesta opowiedział mu o wszystkim; wówczas zrozpaczony rodzic prosił go, aby mu córkę oddał. Podesta, chcąc uprzedzić oskarżenie Andreoli, sam się przyznał, że na cześć jej dybał, i wytłumaczył to tym, że chciał jej cnotę na próbę wystawić. Chwalił wielce jej niezłomność, po czym przydał, że szlachetny jej opór wzbudził w nim najgorętszą do niej miłość, tak iż za żonę pojąć ją gotów, jeżeli zgodę ojca i jej samej uzyska, mimo że pierwszym jej mężem był człek podłej kondycji. Gdy Negro i podesta tą rozmową zabawieni byli, weszła Andreola, padła przed ojcem na kolana i rzekła:

– Sądzę, mój ojcze, że zbyteczną rzeczą by było opowiadać ci o mojej nieroztropności i nieszczęściu, jakie na mnie spadło. Pewna jestem, że o tym już się dowiedziałeś. Proszę cię tedy pokornie i najgoręcej o przebaczenie mi winy, która na tym się zasadza, że bez wiedzy twojej wzięłam sobie za męża umiłowanego przeze mnie człeka. Proszę cię o przebaczenie nie dlatego, aby się od śmierci uchronić, lecz dla tej przyczyny, że chcę umrzeć jako twoja córka, a nie jak twój wróg.

Negro był już sędziwym człowiekiem o dobrotliwym i łagodnym przyrodzeniu. Wysłuchawszy słów swojej córki, rozplakał się, podniósł ją czule z ziemi i rzekł:

– Moja córko, zaiste milej by mi było, gdyby twoim mężem stał się człek bardziej, według mego pojęcia, ciebie godny. Jednakże z drugiej strony każdy twój wybraniec i mnie do serca przypaść by masiał. To więc tylko mnie bólem przejmuję, że, małą ufność dla mnie mając, wszystko skrywałaś przede mną. A bardziej jeszcze boleję, że utraciłaś męża, zanim się o wszystkim dowiedziałem. Aliści tego, co się stało, odrobić nie lza. Nic mi teraz innego uczynić nie pozostaje, jak oddać martwemu tę część, której bym mu nie poskapił, gdyby jeszcze był przy życiu. Dlatego też odniosę się do zmarłego jak do mego zięcia.

Co rzekłszy obrócił się do dzieci swoich i krewnych i polecił im, aby przygotowali wszystko do uroczystego pogrzebu Gabriotta. Tymczasem krewniacy zmarłego, o wszystkim uwiadomieni, przybyli do pałacu podesty, gdzie zebrało się także z miasta mnóstwo białogłów i mężczyzn. Ciało Gabriotta, obsypane przez Andreolę kwiatami, leżało na podwórcu na jedwabnej materii. Nie tylko krewniacy, ale prawie wszyscy mieszkańcy Brescji młodzieńca oplakiwali. Pochowano Gabriotta nie jak człeka niskiego rodu, lecz jak dostojnika. Mieszczanie najprzedniejsi z podwórza ratusza odnieśli ciało na swych barkach do samego grobu.

Po pewnym czasie podesta znów poprosił Andreolę o jej rękę. Negro pomówił z córką, aliści młódka nawet słyszeć o tym nie chciała. Rodzic nie niewolił jej; wkrótce też Andreola po społu z swą wierną służką wstąpiła do klasztoru słynącego z świątobliwości. Tam długo jeszcze cnotliwy żywot pędziły.»

Opowieść siódma



DOWÓD NIEWINNOŚCI

Simona miłuje Pasquina. W czasie przechadzki po ogrodzie Pasquino pociera sobie zęby liściem szałwi i umiera. Simona, uwięziona, pragnąc pokazać sędziemu, jak kochanek jej zginął, tymi samymi liśćmi naciera sobie zęby i także umiera.

Król, zgoła współczucia Andreoli nie okazawszy, gdy tylko Panfilo opowiadanie skończył, dał znak Emilii, że byłoby mu miło, gdyby teraz ona z kolei głos zabrała. Emilia natychmiast w te słowa zaczęła:

– Miłe towarzyski! Nowela Panfila nasunęła mi na pamięć historię, w tym tylko do słyszanej przed chwilą podobną, że tam i tutaj zakochana dziewczeczka straciła swego kochanka, gdy po społu z nim w ogrodzie bawiła. Gdy ją pochwycili, podobnie o dokonanie mordu podejrzana, nie siłą i nie własną niewinnością od sądu się obroniła, lecz nieoczekiwaną śmiercią. Mówiliśmy już, że Amor, jakkolwiek chętnie mieszkańców pałaców odwiedza, nie gardzi przecie także lepiankami ubogich, którzy równie drżą przed jego przemożną władzą jak i znaczni panowie. Wszystko to, jeśli nie całkowicie, to przynajmniej w części w opowieści mojej pokażę; przystępując do niej, powracam chętnie do naszego ojczystego grodu. Oddaliliśmy się dziś odeń daleko, wędrując w naszych tak różnorodnych opowieściach prawie po wszystkich częściach świata.

«Niedawno temu we Florencji żyła młoda dziewczyna, córka biednego człeka, urodziwsza i miłsza, niżliby tego spodziewać się było można po jej pomiernym stanie sądząc. Zwali ją Simoną. Musiała pracą rąk własnych na chleb zarabiać, a mianowicie przedzeniem wełny. Bieda nie zdołała jednak przytłumić w jej sercu wielkiej zdolności kochania. Amor owładnął jej myślami, gdy padł na nią wzrok i postyszała słowa młodego człeka, równego jej swą kondycją. Młodzieniec ten zajmował się z rozkazu mistrza swego rozdawaniem wełny do przedzenia, miał zatem możliwość pokazania jej, że afekt do niej żywi. Dzieweczka, której w serce zapadł obraz umiłowanego młodzieńca, zwanego Pasquinem, pragnęła, ale nie śmiała wyznać ukochanemu, miłości swojej, mimo że płomienie duszę jej trawiły. Siedząc nad robotą, wzdychała ciężko nad każdym pasmem i każdą nicią nawijaną na kołowrotek, bowiem nieustannie myślała o młodzieńcu, który jej osnowę przynosił. Pasquino zasię, dbając szczególnie o pożytki właściciela i pragnąc, aby miał on wełnę najlepszego przedzenia, nade wszystko baczył na Simonę, jakby

tylko z tej przędzy, którą ona przędła, a nie z żadnej innej, całe sukno miało być utkane.

Tak tedy Pasquino szukał miłości, Simona zaś niczego równie nie pragnęła jak tego, aby on tę jej miłość zdobywał. Z biegiem czasu kochanek coraz śmielszy się stawał, Simona wzbывała się swej wstydlivości i trwogi; aż wreszcie oboje bez podziału sobie się oddali. Tak wzajemnym swym szczęściem oczarowani byli, że nie czekając jedno na wezwanie drugiego, jakby jednym duchem ożywieni, naprzeciw siebie wychodzili. Miłość ich z dnia na dzień rosła i coraz gorętszą się stawała. Pewnego dnia Pasquino poprosił Simone, aby do ogrodu się udała, gdzie, znalazłszy się na swobodzie, nie budząc podejrzeń, do woli sobą cieszyć się będą mogli. Simona zgodziła się. W niedzielę po obiedzie, powiedziawszy ojcu, że chce iść na odpust do San Gallo,¹⁰⁹ wybrała się po społu z swą przyjaciółką, imieniem Lagina, do ogrodu, gdzie Pasquino na nie czekał. Pasquino przybył na umówione miejsce w towarzystwie swego przyjaciela Puccina¹¹⁰, także Strambą zwanego. Puccino zaraz do Laginy zalecać się począł; Simona i Pasquino pozostawili ich w jednym końcu ogrodu, sami zaś w drugim zaszyli się w gęstwinę, aby oddać się lubym igraszkom. Niedaleko od miejsca, gdzie się zatrzymali, rósł krzew szałwii¹¹¹ niezmierniej bujności i wielkości. Kochankowie usiedli obok niego, ciesząc się nieskończonymi pieszczotami i rozmawiając o podwieczorku, który w ogrodzie spożyć zamierzali. Nagle Pasquino pochylił się do krzewu szałwii, zerwał z niego liść i jał nim trzec zęby oraz dziąsła, powiadając, że szałwia oczyszcza je doskonale od ostatków jedzenia. Potem znów o swojej przechadzce rozmawiać jęli. Po chwili Pasquino począł mienić się na obliczu, potem wzrok i mowę utracił, aż wreszcie padł i ducha wyzionął. Simona na ten widok uderzyła w płacz i krzyk i poczęła zwać na pomoc Strambę i Laginę. Ci zaraz nadbiegłszy zastali Pasquina nie tylko martwego, ale spuchniętego i czarnymi plamami na całym ciele pokrytego. Wówczas Stramba zawołał do Simony:

– Tyś go, łajdaczko, otruła!

Na ten krzyk zbiegli się wszyscy w pobliżu ogrodu mieszkający. Zobaczywszy wzdęte zwłoki, usłyszawszy oskarżenie Stramby i ujrzawszy Simone płaczącą z wielkiej boleści nad stratą kochanka i tak nieprzytomną, że bronić się nie potrafiła – uwierzyli, że istotnie Stramba prawdę mówi. Dlatego też pochwycili łkającą ciągle Simone i do pałacu podesty ją zawiedli. Tutaj na wypródkę Stramba i przyjaciele zmarłego, Atticciato i Malagevole, którzy właśnie przybyli, obwiniać Simone poczęli, tak iż sędzia niezwłocznie do badania jej przystąpił. Jednakże nie mógł nabrać przeświadczenia, by dziewczeczka dowiodła tu złej woli i winę popełniła, dlatego też, nie dosyć rozumiejąc jej wyjaśnienia, w jej obecności postanowił trupa obejrzeć i na miejscu przestępstwa jeszcze raz szczegółowie o wszystko się wypytać. Rozkazał więc bez zbiegowiska zaprowadzić Simone do ogrodu, gdzie leżało ciało Pasquina, opuchłe i nabrzmiałe jak beczka. Sędzia, przybywszy tam wkrótce, zadziwił się wielce osobliwym wyglądem zmarłego i spytał, jak się cała rzecz miała. Simona, opowiedziawszy o wszystkich poprzedzających okolicznościach, podeszła do krzewu szałwii, aby jaśniej wszystko sędziemu przedstawić, schyliła się, zerwała liść i jak Pasquino potarła nim usta. W tym czasie Stramba, Atticciato i pozostali przyjaciele Pasquina szydzili z niej i coraz gwałtowniej ponawiając oskarżenie, starali się przekonać sędziego, że wszystkie jej słowa są jeno nikczemnymi a pustymi wykrętami i że należy ją za tę zbrodnię niechybnie na stosie spalić. Nieboraczka z boleści po śmierci kochanka i ze strachu przed kaźnią, jakiej się Stramba domagał, ledwie na nogach utrzymać się mogła. Że zaś i ona potarła sobie zęby szałwią, po chwili, ku zdumieniu obecnych, upadła na to samo miejsce, na którym niedawno Pasquino ducha wyzionął.

O dusze szczęśliwe, którym sążone było tego samego dnia żaru miłości doznać i ziemski żywot zakończyć! W dwójnasób szczęśliwe, jeśli nierozłącznie w to samo miejsce dotrzecie i jeśli na tamtym świecie miłość trwa, a miłość wasza dalej trwać będzie! Wedle naszego mniemania – mniemania ludzi, którzy Simone przeżyli – dusza jej już najwyższej szczęśliwości dostąpiła. Los nie zwoił, aby niewinna dziewczeczka padła ofiarą niecných oskarżeń Stram

by, Atticciata i Malagevola, ludzi z pospólstwa. Szlachetna śmierć, nie różna od śmierci kochanka, stała się jej usprawiedliwieniem, a dusza jej uleciała śladem duszy umiłowanego Pasquina.

Sędzia, osłupiawszy całkiem na widok martwej Simony, stał długo w milczeniu i nie wiedział, co ma rzec. Przyszedłszy nieco do siebie, odezwał się wreszcie w te słowa:

– Krzew ten, ani chybi, musi posiadać jakieś jadowite własności, chociaż ze szałwią tak nie bywa. Aby więc w przyszłości nikomu już szkodzić nie mógł, trzeba go wyrwać z korzeniami i spalić.

Strażnik ogrodowy zaraz, w przytomności sędziego, do wypełnienia jego rozkazu przystąpił. Zaledwie krzew wyrwany został, tajemnica śmierci dwojga nieszczęśliwych jawną się stała: pod rośliną siedziała potwornej wielkości ropucha, której jadowite tchnienie zapewne zatruć krzew musiało. Nikt z obecnych nie śmiał się do żaby przybliżyć. Dlatego też rzucono na nią ogromną wiązkę chrustu i po społu z szałwią ją spalono. Tak nieszczęśliwie zakończył się sąd nad Simoną, obwinioną o zabójstwo biednego Pasquina. Ciało jego po społu z ciałem Simony, oba opuchłe, przez Strambę, Atticciata, Guccia Imbratta i Malagevole¹¹² przeniesione zostało do kościoła Świętego Pawła, którego byli parafianami, i tam pogrzebane.»

Opowieść ósma



OFIARY MIŁOŚCI

Girolamo miłuje Salwestrę. Spełniając prośbę matki udaje się do Paryża; po powrocie dowiaduje się, że jego umiłowana za mąż poszła. Girolamo zakrada się do jej domu i umiera w jej przytomności. Do jego zwłok, w kościele leżących, zbliża się Salwestra i także umiera.

Gdy Emilia skończyła, Neifile na rozkaz króla zaczęła w te słowa:

– Miłe towarzyszki! Zdarzają się ludzie, przypisujący sobie rozum większy od innych, chocia w istocie bardzo mało go posiadają. Ludzie owi nie tylko ludzkim zamysłem, ale i prawom przyrodzonym ten swój rozum przeciwstawiać śmieją. Z tego już nieraz wielkie nieszczęścia wynikały, a pożytku jeszcze nie było żadnego. Ten, co miłość odczuwa, mniej jest od każdego innego skłonny pójść za radą lub z oporem się pogodzić; raczej sam siebie zgubi, niżli namiętność swoją przemoże. Dlatego też zamyśliłam opowiedzieć wam historię o tym, jak to pewna dama, o swej wrzkomej mądrości twardo przekonana, aliści nie wiedząca, jak daleko posunąć się można, zapragnęła wyrwać z kochającego serca miłość, którą może w nie zesłały gwiazdy, a osiągnęła tylko to, że wraz z miłością i życie serce to opuściło.

«W mieście naszym, wedle opowiadania starców, żył bogaty kupiec, imieniem Leonardo Sighieri¹¹³, któremu żona powiła syna, zwanego Girolamem. Wkrótce po urodzeniu się syna, kupiec spisał swoją ostatnią wolę i zszedł z tego świata. Opiekunowie wraz z matką dziecięcia dobrze i uczciwie majątnościami Girolama zarządzali. Chłopiec, wzrastając wraz z dziećmi sąsiadów polubił osobliwie rówieśną sobie dziewczeczkę, córkę krawca. Gdy już do lat bardziej żrałych doszedł, to dziecinne przywiązanie w gorącą miłość się przemieniło, tak iż Girolamo jeno wówczas za szczęśliwego się poczytywał, gdy widokiem swej umiłowanej mógł się cieszyć. Dzieweczka niemniejszym afektem mu odpłacała. Matka Girolama, spostrzegłszy tę skłonność, nieraz strofowała i gromiła syna swego. Widząc jednak, że niestety jego serca od namiętności tej nie oswobodzi i przekonana będąc, że dzięki pieniądзом nawet ze śliwki pomarańczę uczynić można, rzekła pewnego razu do opiekunów:

– Nasz Girolamo jeszcze czternastu lat nie ukończył, a już zakochał się gorąco w córce naszego sąsiada, krawca. Jeśli mu jej z oczu nie usuniemy, pewnego dnia, ani chybi, poślubi ją tajnie, co mi resztę życia zatruje. Gdy zaś obaczy ją żoną innego, gotów uschnąć ze smutku i rozpacz. Sądzę tedy, że dla uniknięcia tego wszystkiego, należy go wysłać daleko, gdzieby

jakimiś sprawami handlowymi zająć się mógł. Gdy nie będzie na nią nieustannie patrzył, zapomni o niej, a wówczas damy mu za żonę dziewczynę ze znacznego idącą rodu.

Opiekunowie pochwalili ten zamiar, a potem zawezwali do sklepu Girolama i tak jeden z nich przemówił do niego dobrotliwie:

– Wkrótce już dorośniesz, Girolamo, dlatego też pora, abyś sam o sobie myśleć zaczął. Pragnęlibyśmy z całej duszy, abyś na pewien czas do Paryża się udał. W mieście tym większa część twojej gotowizny w obrocie handlowym się znajduje. Tam też nauczysz się przykładowych obyczajów, obaczysz wielu baronów, szlachciców i innych znacznych ludzi i przejmiesz od nich wiele polerowności i dworności. Potem do Florencji powrócisz.

Girolamo, pilnie wszystkiego wysłuchawszy, odparł krótko, że nie myśli wcale wyjeżdżać, bowiem może nauczyć się żyć także i we Florencji. Opiekunowie poczęli wówczas nalegać na niego, ale nic wskórać nie mogąc donieśli o wszystkim matce. Ta, wzburzona wielce, zawezwawszy syna, poczęła mówić z nim nie tyle o wyjeździe do Paryża, ile o miłości, którą mu srodze naganiała. Potem od wyrzutów do tkliwych pieszczot i słów przymilnych przeszedłszy, prosiła go, aby opiekunów swych posłuchał i na prośbę ich przystał. Girolamo dał się wreszcie nakłonić i przyrzekł, że przez rok, ale nie dłużej, w Paryżu pozostanie.

Owóz więc odjechał do Paryża z sercem pełnym miłości. Opiekunowie tak zręcznie w Paryżu przetrzymywali go umieli, że przez dwa lata tam przebywał. Gdy zaś wreszcie, jeszcze bardziej niż wprzód zakochany, do Florencji powrócił, dowiedział się, że Salwestra została żoną pewnego florenckiego rzemieślnika, robiącego namioty. Z tego powodu w niezmierną rozpacz popadł, aliści wiedząc, że nic tu zmienić nie lza, starał się w miarę sił swoich nad sobą zapanować. Uznawszy, gdzie Salwestra mieszka, poczęł krążyć koło jej domu, jak to zakochani młodzieńcy czynić są w obyczaju, wierzył bowiem, że białogłowa, jemu podobna, jeszcze o nim nie zapomniała. Omylił się jednak, bowiem Salwestra nie chciała nawet wspominać o nim, tak jakby go nigdy nie była znała. A jeśli nawet wspomniała go czasem, to nie okazywała tego po sobie. Strapiony młodzian przekonał się o tym wrychle, ku swojej wielkiej rozpaczycy, mimo to jednak nie litował starań, aby znów na się uwagę jej zwrócić. Ponieważ wszystkie te wysiłki płonymi się okazały, postanowił tedy choćby za cenę życia chwilkę rozmowy z nią uzyskać. Wywiedziawszy się od jednego z sąsiadów o modłę życia małżonków, wśliznął się pewnego wieczoru do domu Salwestry, gdy ta właśnie po społu z mężem i sąsiadami na mieście bawiła, i ukrył się w sypialnej komnacie za sztukami namiotowego płótna. Tak ukryty doczekał się ich powrotu. Wkrótce usłyszał, że się do łoża kładą. Gdy mąż zasnął, podszedł do łoża Salwestry i położywszy jej rękę na piersi, rzekł cichym głosem;

– Czy śpisz, najdroższe serce moje?

Białogłowa, która jeszcze nie spała, chciała krzyknąć, aliści Girolamo zaklął ją:

– Na Boga, nie krzycz! Jestem twoim Girolamem!

– Girolamo, na miłosierdzie boskie, odejdz stąd co prędzej! – odparła Salwestra, drżąc całym ciałem. – Już minął ten czas, gdy będąc dziećmi mogliśmy kochać się nawzajem. Wiesz przecie, że mężatką jestem! Nie chcę znać żadnego mężczyzny krom męża mego. Dlatego też na rany Chrystusa cię zaklinam, opuść mnie w tej chwili. Gdyby cię mąż mój usłyszał, to co najmniej takie nieszczęście z tego by wynikło, że nie mogłabym już z nim żyć w zgodzie i spokoju, podczas gdy teraz, kochana przez niego, spokojną i szczęśliwą się czuję.

Młodzieniec słowami tymi w samo serce tknięty jął jej przypominać przeszłość i miłość swoją, której ani rozłąka, ani lata złamać nie mogły; zaklinał ją i błagał, ale to wszystko na nic się nie zdało. Postanowiwszy życie sobie odjąć, poczęł na koniec ją prosić, aby w imię tak wielkiej miłości zezwoliła mu położyć się obok niej i nieco się ogrzać, skostniał bowiem od zimna czekając na nią. Przyrzekł jej przy tym, że się jej nie dotknie i że, ogrzawszy się nieco, odejdzie natychmiast. Salwestra, niejakim współczuciem przenikniona, zgodziła się. Wówczas Girolamo położył się przy niej, nie tykając jej. Skupiwszy całą myśl na wspomnieniach

długiej miłości i nadziejach utraconych, z życiem rozstać się postanowił. Wstrzymał tedy oddech, ścisnął kurczowo ręce i nie poruszywszy się umarł. Po pewnym czasie białogłowa, zdziwiona jego spokojem i wstrzemięźliwością i obawę żywiąca, aby mąż się nie obudził, rzekła:

– Czas już odejść, Girolamo!

Nie usłyszawszy odpowiedzi była przekonana, że Girolamo zasnął. Dlatego też wyciągnęła rękę, chcąc go obudzić, aliści dotknąwszy jego ciała poczuła, że jest ono zimne jak lód, co ją wielkim zadziwieniem napełniło. Trąciła go silnie, jednakże Girolamo nie poruszył się. Dopiero wówczas upewniła się, że umarł. Oslupiała i zgrozą przejęta, przez długi czas nie wiedziała, co jej uczynić należy. Wreszcie postanowiła opowiedzieć mężowi o tym zdarzeniu, aliści przedstawić je tak, jakby ono nie jej, lecz kogoś innego dotyczyło. Zbudziła tedy męża, opowiedziała mu rzecz całą, która rzekomo gdzie indziej się zdarzyła, i zapytała go, co by uczynił, gdyby podobny przypadek mu się przytrafił? Pocziwiec odpowiedział, że według jego zdania, należałoby po cichu zwłoki odnieść na próg domu zmarłego, żonie zaś nijakiej krzywdy nie czynić, bowiem ona winy za to ponosić nie może.

– Jeśli tak – rzekła Salwestra – to i nam podobnie uczynić wypada.

Wziąwszy męża za rękę, kazała mu dotknąć ciała młodzieńca.

Mąż Salwestry, srodze zalekniony, zerwał się z łoża, rozniecił światło i nie mówiąc ni słowa, ubrał trupa w jego szaty. Po czym, przekonany o niewinności żony, wziął ciało na barki i zaniósł je na próg domu zmarłego, gdzie je pozostawił.

Gdy o świcie martwego Girolama na progu znaleziono, podniósł się lament powszechny. Osobliwie rozpaczała matka zmarłego. Obejrzano całe ciało; ponieważ jednak najmniejszej rany ani sińca na nim znaleźć nie można było, lekarze orzekli, że młodzieniec zmarł z dusznej boleści, co w samej rzeczy prawdą było. Później odniesiono ciało do kościoła. Wkrótce przybyła tam matka Girolama, wielką boleścią złamana, w towarzystwie wielu krewniaczek i sąsiadek. Wszystkie, zwyczajem naszym, łkały rzewnie i zawodziły nad trumną. Gdy ów płacz nieutulony się podniósł, pocziwy rękodzielnik, w którego domu Girolamo umarł, rzekł do swojej żony:

– Zarzuć płaszcz na siebie, idź do kościoła, wmieszaj się między niewiasty i posłuchaj, co ludzie o tym między sobą mówią. Ja zrobię to samo i wcisnę się między mężczyzn, żeby przekonać się, czy czegoś przeciwko nam nie powiadają.

Młoda białogłowa, zbyt późno litością do zmarłego przenikniona, odziała się i poszła, tak jakby ochotnie chciała patrzeć na młodzieńca, któremu póki żył, nawet jednego pocałunku skąpiła. Osobliwą i jakże trudną do uchwycenia jest zaiste potęga miłości! Serce, które głuche na wołania Girolama pozostało, gdy ten żył we wszelkiej pomyślności, teraz odkryło się i zmiękło wobec niedoli. Płomień dawnej miłości zbudził się w Salwestrze od nowa, a na widok martwego oblicza, niezmierna żalność ją objęła. Okryta szczelnie płaszczem, precisięła się przez tłum kobiet i do zwłok się przybliżyła. Tutaj z przeraźliwym krzykiem padła twarzą na trupa i nawet zrosić go łzami nie zdołała, bowiem ledwie się ciała dotknęła, skonała, tak jak on, duszną boleścią rażona. Wszystkie przytomne białogłowy rzuciły się ku niej nie wiedząc, kim jest, aby ją pocieszyć i podnieść, aliści Salwestra leżała bez ruchu. Co widząc, gwałtem ją od zwłok oderwać chciały; dopiero wówczas spostrzegły, że jest to Salwestra, już martwa. Białogłowy, wstrząśnięte podwójnym współczuciem, uderzyły w ogromny płacz. Wieść o nieszczęsnym zdarzeniu obiegnęła wkrótce całe miasto i doszła do uszu przewijającego się w tłumie męża Salwestry, który długo płakał, na wszelkie pociechy nieczuły. Po czym opowiedział przytomnym, co zaszło tej nocy między młodzieńcem a jego żoną; dzięki temu podał na jaśnię przyczynę ich śmierci. Wszyscy nad tym boleli. Przybrano tedy ciało młodej kobiety w stosowne szaty i położono je na tych samych marach obok ciała młodzieńca. Później w wspólnej mogile zwłoki pogrzebiono. Miłość nie mogła za życia kochanków połączyć, za to śmierć nierozzerwalnymi i wiecznymi więzami ich sprzegła.»

Opowieść dziewiąta



OKRUTNY MĄŻ

Wilhelm z Roussillonu każe żonie swojej zjeść serce umiłowanego przez nią Wilhelma Cabestanh, którego on zamordował. Uznawszy o tym, białogłowa, rzuca się z wysokiego okna i umiera. Grzebią ją po społu z kochankiem.

Neifile opowieścią swoją powszechne współczucie niewiast dla nieszczęśliwych kochanków wzbudziła. Król, nie myśląc naruszać przywileju Dionea i wiedząc, że już wszyscy tego dnia opowiadali, zaczął sam w te słowa:

– Miłe damy! Przyszła mi na myśl opowieść, która was, co tak serdecznie odczuwacie niedole kochających, silniej poruszyć musi niż poprzednie, jako że znaczniejsze były osoby, o które w niej idzie, i okrutniejszy dostał się im los. «Wiedźcie tedy, że zgodnie z prowansalskim podaniem, dawnymi czasy żyło w Prowancji dwóch rycerzy, posiadających wasali i zamki. Jednego z nich zwali Wilhelmem z Roussillonu, drugiego Wilhelmem z Cabestanh.¹¹⁴ Ci dzielni rycerze, jako równie waleczni w boju, w ścisłej przyjaźni żyli. Na wszystkie turnieje i orężne zawody zjawiali się razem, jednako odziani i z jednaką na tarczy dewizą. Zamki ich o dziesięć mil od siebie oddalone były. Wilhelm z Roussillonu posiadał wielce urodziwą żonę. Cabestanh nie bacząc na wierną przyjaźń i zażyłość, łączącą go z Wilhelmem z Roussillonu, zakochał się niezmiernie w jego żonie i ze wszystkich sił starał się afekt swój jej wyrazić. Dama, znająca go jako dzielnego i szlachetnego rycerza, spostrzegła to i zapłonęła doń równą miłością, tak iż nikogo droższego odeń na świecie dla niej nie było, i czekała tylko, by zwrócił się do niej. Po niedługim czasie tedy stało się to i wzajemnością miłości cieszyć się poczęli. A gdy mniej ostrożnie sobie poczynali, przed Wilhelmem z Roussillonu ukryć się nie zdołali. Ów tak wielkim gniewem się zapalił, że cała jego dawniejsza miłość dla Cabestanha w śmiertelną się przemieniła nienawiść. Ukrył jednak staranniej nienawiść swoją aniżeli kochankowie miłość i postanowił zabić Wilhelma.

Gdy tedy Roussillon takie zamysły w duszy piastował, zdarzyło się, że wielki turniej we Francji obwołany został. Wilhelm natychmiast uwiadomił o tym Cabestanha i kazał mu powiedzieć, że jeśli chce, niechaj przyjeżdża do niego, a wówczas naradzą się, czy i w jaki sposób na turniej się udać. Cabestanh odpowiedział z radością, że następnego dnia przybędzie niechybnie na wieczerzę do zamku przyjaciela. Roussillon postanowił wówczas zamysły

swoje w czyn wcielić. Uzbroił się, wsiadł na konia i w towarzystwie dobranych sług swoich podążył na miejsce oddalone od jego zamku może o milę drogi; tam ukrył się w lesie koło drogi, którą miał przejeżdżać Cabestanh. Poczekawszy kęs czasu, ujrzał Cabestanha nadjeżdżającego bez broni, z dwoma bezbronnymi sługami. Widać było, że niczego nie podejrzewa ani nie obawia się.

Gdy Wilhelm zbliżył się do miejsca zasadzki, zdradziecki Roussillon z wściekłością rzucił się na niego i krzyknawszy: „Giń, łotrze!”, przebił go lancą na wylot. Cabestanh, nie mając możliwości nie tylko bronić się, ale choćby jedno słowo wymówić, zwałił się z konia, lancą przeszyty, i wkrótce ducha wyzionął. Słudzy jego, nie starając się nawet dowiedzieć, kto był mordercą ich pana, zawrócili konie i czym prędzej pomknęli do zamku z powrotem.

Roussillon zsiadł z rumaka, otworzył nożem pierś Cabestanha i własnymi rękoma serce mu z piersi wyrwał. Po czym owinał je w chorągiewkę od kopii i powierzył je jednemu ze sług, którym najściślejszą tajemnicę zachować przykazał. Po chwili wsiadł na konia i późną nocą do domu powrócił. Żona jego, wiedząc, że Cabestanh ma przybyć na wieczerzę, czekała nań z niecierpliwością. Zdziwiona, nie widząc, by kochanek nadjeżdżał, rzekła do męża:

– Dlaczego Cabestanh dotąd nie przybył?

– Dał mi znać, że przed jutrem przybyć do nas nie może – odparł Wilhelm.

Wiadomość ta nieco zatrwożyła damę. Roussillon zaś zsiadłszy z rumaka przywołał kucharza i rzekł:

– Weź to serce dzika, którego ubiłem, i przyrządź z niego najsmakowitszą potrawę, jaką tylko potrafisz. Gdy zasiądem do stołu, przyślij ją na srebrnym półmisku.

Kucharz wziął serce, posiekał je, przyprawił sosem, dobrymi korzeniami i przyzwawszy na pomoc cały swój kunszt, wyborny kąsek przygotował. Wilhelm o zwykłej porze siadł do wieczerzy po społu z żoną. Podano potrawy, aliści Wilhelm jadł mało, bowiem myśli jego były zbyt zajęte zbrodnią, którą popełnił. Wreszcie zjawił się na stole srebrny półmisek. Rycerz, nie tknąwszy potrawy, powiadając, że tego wieczora nie ma apetytu, podsunął ją żonie swojej i zalecił jako rzecz wyborną. Dama, przy dobrym apetycie będąca, skosztowała, a ponieważ wydała się jej smakowita, więc zjadła wszystko.

Pan Wilhelm, ujrawszy to, rzekł:

– Jakże ci smakowała ta potrawa, żono?

– Zaprawdę, bardzo – odparła dama.

– Nie dziwię się temu – rzekł rycerz – cóż to bowiem dziwnego, dalipan, że w tym, co za życia ponad wszystko miłym ci było, po śmierci znajdujesz upodobanie.

Dama zadumała się przez chwilę nad tymi zagadkowymi słowami, a potem spytała:

– Nie pojmuję. Cóż zatem do zjedzenia mi daliście?

– Zjadłaś – odparł rycerz – serce pana Wilhelma Cabestanh, którego tak miłowałaś, wiarolomna niewiasto! Nie wążp o prawdzie tego, co ci powiadam, sam bowiem własnymi rękoma przed kilku godzinami z piersi mu je wydarłem.

Nie trza mówić nawet, jaka była rozpacz damy, gdy usłyszała straszną wieść o człeku, którego ze wszystkich sił miłowała.

– Postąpiliście nie jako rycerz, lecz jak zdrajca i łotr – rzekła po chwili. – Cabestanh mnie nie niewolił, a jeśli uczyniłam go panem mego serca i przez to ujmę ci uczyniłam, to mnie, a nie jego, kara za to osiągnąć była powinna. Bóg nie zwoli jednak, abym inny pokarm kiedykolwiek do ust wzięć miała po spożyciu tak szlachetnej potrawy jak serce pana Wilhelma Cabestanh, rycerza nieporównanej dzielności i dworności.

To rzekłszy wstała od stołu, podeszła do okna, które było za nią, i nie zastanawiając się chwili tyłem runęła z niego na ziemię. Okno to tak wysoko nad ziemią się znajdowało, że dama nie tylko zabiła się, ale i całkiem pogruchotała.

Rycerz przeraził się niezmiernie i pojął, że źle uczynił. Obawiając się zemsty ludu i grabiego Prowancji¹¹⁵, kazał osiodłać rumaki i w świat wyruszył. Nazajutrz rano wieść o smut-

nym zdarzeniu rozniosła się po całej okolicy. Ciała Wilhelma Cabestanh i jego damy zabrali dworzanie z zamków obojga kochanków pośród niepomiernego bólu i płaczu, po czym w kościele zamkowym nieszczęsnej pani do jednego złożono je grobowca. Na głazie wyryto wiersze, które wiadomymi czyniły ich imiona i przyczynę ich zgonu.»

Opowieść dziesiąta



CUDOWNE PRZYTRAFIENIE PEWNEGO NIEBOSZCZYKA

Żona pewnego doktora, mniemając, że kochanek jej umarł, wkłada go uśpionego do skrzyni, którą z nim dwóch lichwiarzy do domu swego zabiera. Gdy rzekomy nieboszczyk do zmysłów powraca, o kradzież go oskarżają. Służka damy opowiada sędziemu, że sama do skrzyni młodzieńca włożyła, i w ten sposób od stryczka go uwalnia, a lichwiarze za kradzież skrzyni na karę pieniężną skazani zostają.

Teraz, gdy król skończył, jeno Dioneo miał jeszcze opowiadać. Wiedząc to, nie czekał na rozkaz, ale zaczął w te słowa:

– Smutne dzieje nieszczęśliwych kochanków, które przedmiot poprzednich opowieści stanowiły, dość mnie i was, drogie damy, rozrzewniły, dlatego też czekałem tylko, kiedy dobiegną końca. Chwała Bogu, te płaczliwe historie już swój kres znalazły, ja zaś nie myślę ich liczby jeszcze i moją opowieścią pomnażać. Opowiem wam wesołą i miłą historię, która oby dobrym zwiastunem dla jutrzejszego dnia była.

«Wiadomo wam zapewne, że w Salemo¹¹⁶ żył niedawno znakomity medyk, biegły w chirurgii, mistrz Mazzeo della Montagna.¹¹⁷ Do lat szedziwych przyszedłszy, ożenił się on z piękną i młodą dziewczką, także z Salerno pochodzącą. Hołubił troskliwie młodą żonę, obdarzał ją drogocennymi szatami, klejnotami i wszystkim, co niewieściej próżności może być drogie, tak iż pyszniła się bardziej niż jakakolwiek inna w mieście białogłowa. Jedno tylko nie po myśli jej było: często ziębła w łożu nocą, mąż bowiem nie starał się o jej należyte okrycie. I jak sędzia Ricciardo da Chinzica, o którym była już mowa, żonę swoją świętami durzył, tak Mazzeo della Montagna wmawiał w swoją żonę, że po każdej nocy rozkoszy Bóg wie jak długiego odpoczynku dla nabrania nowych sił potrzeba. Plótł jej przy tym siła różnych bzdur, które młodej białogłowie niezbyt do smaku przypadały. Żona pana Mazzea, niewiasta zabiegliwa i rozsądna, postanowiła dla oszczędzenia zapasów domowych wyjść na miasto i u innych się pożywić.

Jęła się przeto przyglądać pilnie różnym młodzieńcom i wreszcie wybrała jednego, na którym oparła wszystkie swoje nadzieje, tęsknoty i całe szczęście swoje. Młodzieniec, spostrzegłszy to, równe upodobanie w niej znalazł i zwrócił ku niej całą miłość swoją. Zwano go Ru-

ggierim d'Ajeroli;¹¹⁸ chociaż z szlchetnego pochodził rodu, wiódł jednak żywot tak występny i plugawy, że w końcu nie zostało mu ani jednego krewniaka lub przyjaciela, który by go znać i widywać pragnął. Po całym Salerno o jego wszeteczeństwach słuchy chodziły. Aliści dama niewiele dbała o sądy ludzkie, bowiem Ruggieri przypadł jej do serca dzięki innym swoim przymiotom. Za pośrednictwem służki umówiła się z nim na schadzki. Gdy się na osobności znaleźli i już pragnieniom swoim folgę dali, dama poczęła strofować Ruggiera za jego dotychczasowy sposób życia i błagać go, aby dla jej miłości na przyszłość się odmienił. Dla ułatwienia mu zasię poprawy, wspomagała go raz większą, to znów mniejszą sumą pieniędzy.

Gdy kochankowie tak w tajności szczęściem się swoim cieszyli, zdarzyło się, że medyk miał opatrzyć chorego, którego cała noga była w ranach. Zbadawszy go, lekarz oświadczył jego krewniakom, że trza z nogi wyjąć nadpsutą kość, gdyż innej rady nie masz. Gdy się rzecz w odwłokę poda, to trzeba będzie albo odjąć mu całą nogę, albo też chory umrze. Jeśli zaś kość się wyjmie, to zapewne chory do zdrowia powróci, chocia ręczyć za to niesposób. Niechaj zatem krewniacy dobrze to wszystko zważą! Krewniacy zgodzili się na medyczny zabieg; lekarz wiedząc, że chory zabiegu tego nie wytrzyma bez dania mu usypiającego środka, wstrzymał się do wieczora, a za dnia zabrał się do przygotowania pewnego napoju tą cnotą obdarzonego, że po wypiciu go chory w tak twardy sen wpadał, iż można go było krajać bez obawy o jego przebudzenie się. Przyrządziwszy ten napój, postawił go na stole w swojej komnacie, aliści nie uprzedził nikogo, jaka jest jego właściwość. Wieczorem, gdy lekarz już do chorego miał się udać, przysłali po niego jego serdeczni przyjaciele z Amalfi, którym nijak odmówić nie mógł. W mieście tym w czasie bójki siła ludzi okrutnie poraniono. Dlatego też medyk odłożył zabieg do następnego dnia, sam zasię w barce do Amalfi pośpieszył. Żona jego, wiedząc, że na noc do domu nie wróci, zaraz uwiadomiła o tym Ruggiera. Gdy kochanek przybył, zamknęła go w komnacie, czekając, aż domownicy spać się pokładą. Ruggieri, czekając na damę, poczuł silne pragnienie, być może ze znużenia albo też dlatego, że jadł jakąś słoną potrawę. Spostrzegłszy napój przygotowany dla chorego, pomyślał, że jest to woda, schwycił przeto butelkę i zawartość jej do ostatniej kropli wypił. Po chwili nieodparty sen go zmorzył, tak iż zwałił się na skrzynię jak kłoda.

Gdy się w domu uciszyło, dama weszła do komnaty, a znalazłszy uspionego Ruggiera, po cichu budzić go poczęła i wołać głosem stłumionym. Aliści wysiłki jej prózne były, bowiem Ruggieri nie drgnął nawet i słowa nie wymówił. Wówczas dama, nieco zmieszana, trąciła go silniej i rzekła: „Wstawaj, śpiochu! Jeśliś chciał się wyspać, trzeba było w domu pozostać.” Ruggieri, silnie potrząśnięty, zwałił się bezwładnie ze skrzyni na ziemię, jak martwe ciało, nie dając najmniejszej życia oznaki. Przerazona dama poczęła go trząść, tarmosić, szczypać za nos i ciągnąć za brodę, wszystko na próżno jednak, bowiem Ruggieri spał jak zabity. Wówczas dama, tknięta myślą, że Ruggieri umarł, chwyciła się ostatecznego środka i zapaloną świecą przypiekać go poczęła; ale gdy i to nie pomogło, nie wątpiła już o śmierci kochanka. Chocia żona lekarza, niewiele bowiem wiedziała o sztuce medycznej. Nie trza nawet mówić, jak się bardzo strapiła, kochając go zaiste ponad wszystko; nie śmiać krzyczeć, jęła płakać po cichutku i gorzko na swoją dolę się zalić. Po chwili, uspokoiwszy się nieco, postanowiła, dla uniknięcia wielkiej hańby, pozbyć się nieboszczyka z domu. Ponieważ sama tego dokonać nie mogła, wezwała po kryjomu służkę i wskazawszy jej, co się stało, o radę ją poprosiła. Służka, wielce zadziwiona, poczęła znów szarpać i szczypać młodzieńca, aliści widząc, że jej wysiłki żadnego nie odnoszą skutku, oświadczyła, że ani chybi umarł i że należy ciało z domu usunąć.

– Gdzież jednak zwłoki położymy? – zapytała dama. – Gdy je jutro ludzie obaczą, zaczną podejrzewać, że z naszego domu wyniesione zostały.

– Madonno – rzekła służka – dzisiaj późnym wieczorem widziałam skrzynię przed warsztatem stolarza, znajdującym się naprzeciw naszego domu. Jeśli jej jeszcze dotąd nie zabrano,

przyda nam się ona wielce. Chocia skrzynia jest dość mała, przecie wepchniemy w nią ciało, któremu uprzednio kilka ciosów nożem zadać trzeba. Któż będzie mógł przypuścić, że je właśnie od nas wyniesiono, a nie skądinąd? Wszyscy wiedzą, że Ruggieri był zawołanym hultajem, pomyślą, że jakiś wróg go zabił, a potem w tej skrzyni ukrył.

Dama pochwaliła radę służki, nie zgodziła się jeno na zadanie trupowi ciosów nożem. Za żadne skarby świata przystać na to nie chciała. Później poleciła służce zobaczyć, czy skrzynia jeszcze na swoim miejscu stoi. Służka przyniosła odpowiedź twierdzącą, a potem, jako rosła i silna dziewczyna, wzięła zwłoki Ruggiera na plecy. Dama wyszła przed dom, aby obaczyć, czy nikogo w pobliżu nie ma; później obie zbliżyły się do skrzyni, wepchnęły w nią ciało i wieko zawarły.

Niedaleko od domu medyka mieszkało dwóch młodzieńców zajmujących się lichwą, którzy w tych dniach do miasta powrócili. Za zasadę mieli, by brać, co się da, a dawać jak najmniej. Zauważywszy tedy dnia poprzedniego skrzynię, umyślili ją ukraść, jeśli tylko stolarz przed nocą jej nie zabierze, chcieli bowiem zaradzić brakowi sprzętów w swojej komnacie. Skoro tedy północ minęła, wyszli po cichu z domu i znalazłszy skrzynię, nie mieszkając ją porwali, chociaż dziwnie ciężką im się być wydawała. Zanieśli ją do domu i postawili obok komnaty żon swoich, nie bawiąc się zbytnio jej oglądaniem. Potem na spoczynek się udali. W tym czasie Ruggieri spał krzepkim snem. Jednakże ziele powoli siłę swoją traciło, tak iż młodzieniec obudził się przed świtem. Chociaż jednak sen go już opuścił, a zmysły odzyskały swą władzę, pozostało mu niejaki odurzenie, którego nie tylko przez noc, ale i przez wiele dni następnych pozbyć się nie mógł. Rozwarł szeroko oczy, aliści nic nie widząc dokoła, począł rękoma macać. Dorozumiawszy się, że w jakiejś skrzyni się znajduje, pamięć wysilając rzekł do siebie: „Co to ma znaczyć? Gdzież ja jestem? Czy śpię, czy też obudzony jestem? Przypominam sobie, że wieczorem bawiłem w komnacie mojej kochanki, a teraz zdaje mi się, że jestem w jakiejś skrzyni zamknięty. Cóż to ma znaczyć? Może lekarz powrócił albo może coś niespodziewanego zaszło, tak iż jego żona musiała mnie tu śpiącego ukryć. Ani chybi tak być musi.” Do tej myśli przyszedłszy, dech w sobie zapał i jał nadśłuchiwać, czy czegoś nie usłyszy. Gdy jednak przez czas dłuższy najgłębsze milczenie trwało, a jemu od leżenia w ciasnej skrzyni bok, na którym się opierał, wielce doskwierać począł, chciał się Ruggieri na drugą stronę przewrócić; tak się jednak niezręcznie i gwałtownie poruszył, że uderzywszy z całej siły o ścianę skrzyni nierówno stojącej, zachwiał nią, a później ją z strasznym hukiem przewrócił. Rumor ten obudził śpiące w pobliżu kobiety, które z wielkiej trwogi oniemiały i leżały, milcząc, jak martwe. Ruggieri sam także upadkiem skrzyni niepomąłu się przeraził, ujrzawszy jednak, że wieko się otworzyło, nie mieszkając wylazł z swojej klatki, nie chciał bowiem, aby go we wnętrzu zdybali. Nie wiedział jednak, gdzie się znajduje; idąc po omacku, szukał jakichś schodów lub drzwi, przez które mógłby umknąć.

Białogłowy, usłyszawszy, że ktoś po komnacie chodzi, spytały wreszcie:

– Kto tam?

Ruggieri, słysząc nieznanome mu głosy, nie odpowiedział. Wówczas białogłowy poczęły wołać na swoich mężów, aliści ci, po długim czuwaniu tej nocy, spali krzepkim snem i niczego nie słyszeli. Prerażone niewiasty wyskoczyły z łóżek i podbiegły do okna, wołając:

– Złodzieje, złodzieje!

Na ten krzyk obudzili się i przybiegli sąsiedzi, którzy wprost z ulicy, a także przez dach do domu lichwiarzy się dostali. Wreszcie i gospodarze oczy otwarli. Ruggieri spostrzegłszy, że znajduje się w całkiem nie znanym mu miejscu, z zadziwienia przytomność utracił i uciekać nawet nie próbował, nie wiedząc zresztą, w którą kierować się stronę. Schwytano go też zaraz i oddano zbirom wielkorządcy, którzy także na ów wrzask przybiegli. Zbiry przywiedli Ruggiera do sędziego, który, znając go jako wielkiego wszetecznika, natychmiast na pytki wziąć go rozkazał. Młodzieniec, bólem okrutnym przymuszony, wyznał, że wszedł do domu lichwiarzy w zamiarze okradzenia ich. Wówczas sędzia na powieszenie go skazał.

Na drugi dzień po całym Salerno gruchnęła wieść, że Ruggieri w domu lichwiarzy na gorącym uczynku kradzieży przychwycony został. Żona doktora i służka, usłyszawszy o tym, w takie osłupienie popadły, iż prawie uwierzyć były skłonne, że wszystko, co zeszłej nocy się przydarzyło, nie prawdą, lecz snem było. Krom tego, damę prawie do szaleństwa przywodziła myśl o grożącej jej miłośnikowi śmierci. W tym czasie powrócił z Amalfi medyk, który natychmiast po powrocie kazał sobie podać przygotowany napój, chciał się bowiem do chorego udać. Ujrawszy pustą flaszkę, jął krzyczeć w gniewie, że w domu nijakiego ładu nie masz. Żona jego, inne troski mająca na głowie, odparła niecierpliwie:

– Przeczcze to dla rzeczy tak błahej podobny gwałt podnosisz? Wielce mi ważna sprawa, że woda rozlana została! Zaliż nie ma więcej wody na świecie?

– O głupia białogłowo! – zawołał doktor – mniemasz więc, że to zwykła woda była? Muszę ci rzec, że w wielkim błędzie jesteś, był to bowiem napój, który choremu na sen zadać chciałem.

Dama, słowa te usłyszawszy, pojęła od razu, że Ruggieri tej wody napić się musiał, dzięki czemu do nieboszczyka stał się podobien.

Odrzekła tedy swemu mężowi:

– Nie wiedzieliśmy o tym wcale, ale możecie przecie nowy napój przygotować!

Mistrz, widząc, że innej rady nie ma, zabrał się do pracy od nowa.

Po chwili powróciła służka, którą dama wysłała, aby o Ruggierim języka zasięgnęła, i rzekła:

– Madonno, wszyscy już Ruggiera opuścili i źle o nim mówią. Jak się dowiedziałam, dotąd żaden krewniak ani przyjaciel nie upomniał się on, tak iż wasz kochanek nikąd pomocy oczekiwać nie może. Pospolicie sądzą, że kat go jutro obwiesi. Posłuchajcie mnie teraz uważnie, zdaje mi się bowiem, że odgadłam, jakim sposobem Ruggieri u lichwiarzy mógł się znaleźć. Rzecz się tak miała: Znacie dobrze stolarza, przed którego drzwiami stała skrzynia? Owóż przed chwilą widziałam stolarza, sprzecząc się zawzięcie z jakimś człkiem, który był, ani chybi, właścicielem skrzyni. Człek ten domagał się zapłaty za skrzynię, stolarz zaś twierdził, że jej nie sprzedał, bowiem mu ją tej nocy ukradziono. „Łzesz niegodnie – zawołał wówczas właściciel skrzyni – widziałem ją bowiem w domu dwóch lichwiarzy tej nocy, gdy Ruggiera pochwycono. Mówili mi sami, żeś im ją sprzedał.” „Tedy oni kłamią, a nie ja – odparł stolarz – nigdy im jej bowiem nie sprzedawałem; musieli mi ją ukraść tej nocy. Chodźmy do nich.”

To rzekłszy, stolarz po społu z właścicielem skrzyni udali się do domu lichwiarzy, ja zaś przybiegłam tutaj. Dowodnie z tej rozmowy widać, jakim sposobem Ruggieri mógł się do ich domu dostać. Pojąć jeno nie mogę, jak mu się zmartwychwstać udało.

Dama wiedziała już dobrze, co myśleć o całym zdarzeniu, dlatego też powtórzyła służce zaraz słowa doktora. Potem poczęła ją zaklinać, by ratowała Ruggiera od niechybnej śmierci, aliści w ten sposób, by jej cześć szwanku nie doznała. Wówczas służka obiecała, że uczyni wszystko, co w jej mocy się okaże, niechaj tylko dama nauczy ją pierwej, jak ma postąpić. Dama, czując nóż na gardle, ułożyła naprędce stosowny plan, i służkę szczegółowie weń wtajemniczyła.

Dziewczyna udała się, nie mieszkając, do lekarza i rzekła doń z płaczem:

– Ach, panie, muszę błagać was o przebaczenie, bowiem srodze wobec was zawiniłam.

– Jakaż to wina? – spytał mistrz.

– Znacie wszak młodzieńca Ruggiera d’Ajeroli – odparła łkając ciągle. – Upodobał mnie sobie i wszystkimi siłami, łask i grózb nie szczędząc, zdołał mnie nakłonić k’temu, że jego kochanką zostałam. Dowiedziawszy się wczoraj, że was nie będzie w domu, to na mnie wy mógł, że go do swej komnaty wpuściła. Nagle pić mu się zachciało; nie wiedziałam, skąd wody lub wina dostać, nie chciałam przy tym, aby mnie obaczyła żona wasza, która właśnie w jadalni się znajdowała. Przypomniałszy sobie, że w komnacie waszej widziałam flaszkę z wodą, pobiegłam po nią co tchu; gdy Ruggieri wodę wypił, odniosłam flaszkę z powrotem na

dawne miejsce. Wiem, że o to krzyk wielki podnieśliście w domu, wiem, że zawiniłam, któż jednak nie grzeszy czasami? Wielce boleję nad tym, co zrobiłam, ale bardziej nad wszystkim, co z tego wynikło, bo Ruggieri głowę położyć tu może. Błagam was przeto, przebaczcie mi i pozwólcie mi Ruggiera ratować.

Lekarz, chocia rozgniewany, nie mógł się wstrzymać od śmiechu i rzekł żartobliwie:

– Jeśliś komu na złość uczyniła, to chyba samej sobie, bowiem miał dzielnego towarzysza, który by ci dobrze przetrząsł futro, miałaś w łożu jednego z braci śpiących. Idź teraz i ratuj swego miłośnika od postronka, a na przyszłość nie waż się go do domu sprowadzać, bowiem rozprawię się wówczas z tobą za wszystkie twoje sprawki.

Służka rada, że pierwszy wybieg tak jej się udał, pobiegła, nie mieszkając, do więzienia i tyle na strażniku wymogła, że pozwolił się jej z Ruggierim obaczyć. Wyjaśnwszy pokrótce Ruggierowi, co sędziemu powiedzieć winien, aby się ocalić, sama co rychlej do sędziego pospieszyła. Ów, obaczywszy świeżą i piękną dziewczynę, dał poznać, że chciałby bliżej jej przymioty poznać, czemu młódka nie sprzeciwiła się wcale dla dobra sprawy. Gdy się to przedwstępne badanie skończyło, rzekła:

– Uwięziliście, panie, Ruggiera d'Ajeroli za kradzież, popełniając przez to wielką niesprawiedliwość.

Za czym opowiedziała mu całą historię od początku do końca, a więc, jak swego miłośnika do domu doktora wwiiodła, jak przez nieświadomość dała mu napoju na sen i jak, za umarłego go poczytując, w skrzyni go ukryła. Powtórzyła także rozmowę stolarza z właścicielem skrzyni, z której dowiedziała się, jakim, sposobem Ruggieri do domu lichwiarzy się dostał.

Sędzia pojął od razu, że nietrudno będzie dojść, azali jej słowa są prawdą rzetelną. Naprzód wybadał lekarza, czy sprawa z napojem w samej rzeczy tak się miała, później, przyzwawszy stolarza, właściciela skrzyni i lichwiarzy, po długich dochodzeniach uznał, że skrzynia przez lichwiarzy ukradziona i w nocy do ich domu przeniesiona została. Wreszcie posłał po Ruggiera i zapytał go, gdzie ostatni wieczór spędził? Ruggieri odparł, że nie wie o tym i że to tylko sobie przypomina, iż przybył do służki doktora Mazzeo w zamiarze spędzenia z nią nocy; potem, gdy mu się pić zachciało, napił się wody; co się dalej stało, nie wie, krom tego, że ocknął się w skrzyni w domu lichwiarzy.

Sędzia, słów Ruggiera wysłuchawszy, mało się nie rozpuki ze śmiechu i kazał kilkakrotnie zeznania powtarzać, zarówno jemu jak służce, stolarzowi i lichwiarzom. Po czym wypuścił Ruggiera z więzienia, uznawszy go za niewinnego, a lichwiarzy za kradzież skrzyni skazał na zapłacenie dziesięciu uncjy złota. Nie trza mówić, jak Ruggieri i jego dama cieszyli się z takiego obrotu sprawy, śmiejąc się po społu z tak miłą im służką, która radziła pchnąć nożem ciało młodzińca. Kochankowie żyli jeszcze wiele lat, ciesząc się coraz doskonalszym szczęściem swojej miłości. Pragnąłbym dla siebie podobnego szczęścia, pod tą jednak kondycją, że w skrzyni by mnie nie zamkniono.»

Jeżeli poprzednie opowieści tego dnia serca dam smutkiem napełniły, to opowieść Dionea taki śmiech w nich wzbudziła, że o wszystkich smutkach zapomniały.

Król, widząc, że słońce ku zachodowi kłonić się poczyna, zapowiadając kres jego rządów, jął krotocwilnymi słowy przeproszać damy za wybranie tak smutnej do opowieści materii, nieszczęść kochanków dotyczącej. Po czym podniósł się, zdjął z głowy wawrzynowy wieniec i wśród powszechnego oczekiwania dam starających się odgadnąć, kogo królową uczyni, włożył go na złotowłosą głowę Fiammetty z tymi słowami:

– Tobie ten wieniec oddaję, wiem bowiem, że żadna z naszych towarzyszek nie potrafi lepiej od ciebie jutro nas rozweselić i rozproszyć smutku, który dzisiaj w sercach naszych zapanował.

Długi, falisty, jasny włos Fiammetty spływał wdzięcznie na jej białą, aksamitną szyję, a li-ca jej krągłe jaśniały krasą białych lilij i purpurowych róż. Oczy jej błyszcząły jak źrenice sokoła, a wargi maleńkich ust podobne były do rubinów. Wziąwszy wieniec z rąk Filostrata, rzekła z uśmiechem:

– Zgoda, Filostracie! Z chęcią z rąk twoich koronę tę przyjmuję; abyś zaś lepiej zdał sobie sprawę z tego, coś uczynił, chcę i rozkazuję, aby każdy przygotował na jutro opowieść o szczęśliwym końcu różnych przeciwności, którym zakochani podlegali.

Materia ta wszystkim do gustu przypadła. Po czym nowa królowa, przywoławszy marszałka i omówiwszy z nim sprawy nie cierpiące zwłoki, dała całemu towarzystwu swobodę aż do czasu wieczery. Rozeszli się więc wszyscy, z miejsc powstawszy, jak zwykle, jedni udali się do sadu, którego pięknosciami nie można się było łatwo przesyć, drudzy poszli drogą ku młynom, które warczały opodal, inni wreszcie tu i owdzie różnych przyjemności szukali. Gdy czas wieczery nadszedł, zebrali się jak zwykle koło fontanny. Po wieczery, zgodnie z obyczajem, pod przewodnictwem Filomeny rozpoczęły śpiewy i tańce. W czasie gdy Filomena wdzięcznie płaśała, królowa rzekła do Filostrata:

– Nie chcąc odróżniać się czymkolwiek od moich poprzedników, za ich przykładem rozkazuję, aby jakaś pieśń odśpiewana została. Ponieważ zaś przekonana jestem, że twoje pieśni do opowieści twych podobne być muszą, wzywam cię tedy do odśpiewania czegoś, w czym upodobanie znajdujesz, by smutek już nam nie osnuwał mrokiem dni pozostałych. Filostrato, nie wzdragając się wcale, taką pieśń zaśpiewał:

Dla jakich przyczyn biedne serce moje
Wieczystą skargą na miłość wybucha,
Chcę opowiedzieć. Niech mnie każdy słucha!

Gdy po raz pierwszy spłynęła w mą duszę
Miłość, dla której dziś znoszę katusze
I łzy gorzycy wylewam bez końca,
Jaśniejszą była mi od gwiazd i słońca
I tak radosną, że jej chęciom gwoli
Do najstraszniejszych byłbym gotów kaźni!
Lecz wnet poznałem błąd mej wyobraźni:
To była złuda, która wabi, drażni,
Na to, by stracić w odmęty niedoli.

Tak... Opuściła mnie okrutnie ona,
Choć rajem dla mnie były jej ramiona.
Na głuchą pustkę otwarła mi oczy,
Gdym już cel pragnień miał osiąść uroczy.
Gdym obraz marzeń widział niedaleki,
Nagle odeszła ode mnie na wieki!
Na próżno serce moje krwią dziś broczy,
Inne już w piersiach jej tleje kochanie.
A mnie zostały: rozpacz i wygnanie!

Więc zrozpaczony, smutny i sierocy,
Rzewnymi skargi żalę się wśród nocy,
Wieczną męczarnią trawię się i ginę,
I klnę, niestety, ten dzień i godzinę,
W której ujrzałem jej wdzięki zwodnicze
I blask dokoła siejące oblicze,
Najpowabniejszą zguby mej przyczynę!
Zbyszy się wiary i nadziei słońca,
Klnie ją ma dusza, od boleści mrąca!

Że już na ziemi jestem jak przechodzień,
Wie Bóg, co modłów moich słucha co dzień;
Niechaj śmierć przyjdzie i litośnym razem
Życie i boleść uciszy zarazem!
Z uśmiechem dusza będzie świat żegnała!
Konając składać będę za to dzięki,
Gdziekolwiek bowiem dusza pójdzie z ciała,
Z uśmiechem szczęścia będzie świat żegnała.

Więc kiedy tylko śmierć mi jedna dłużej
I kiedy wytrwać już nie mogę dłużej,
O ześlij mi ją, Amorze okrutny!
Niechaj wśród nocy jęk i głos mój smutny
Kochankom szczęsnej chwili nie zamąca,
Niech się mą śmiercią cieszy triumfująca
Ona, dla której tak byłeś rozrzutny,
Że aż dwa serca zapaliłeś dla niej,
Z których tu jedno krwawi się i rani!

O pieśni moja, pieśni w łzach skąpana,
Już niepowtórna, nienaśladowana,
Której żalości nikt udać nie zdoła.
Leć wołać śmierci cichego anioła!
Powiedz mu, jak mi ciężkie życia brzemię,
Niech miłosiernie spłynie na tę ziemię,
Wysłucha głosu, co błagalnie woła.
I na twe prośby tkliwszy niż na moje,
W krainę ciszy weźmie nas oboje.

Dla jakich przyczyn biedne serce moje
Wieczystą skargą na miłość wybucha,
Zrozumie każdy, kto mnie dziś wysłucha!

Słowa tej pieśni ukazały, jaki jest stan duszy Filostrata, a także wyjaśniły stanu tego przyczyny. Być może, iż więcej jeszcze powiedziałaby wygląd jednej z pań płasających, gdyby mroki nocy, która już zapadła, nie skryły rumieńca, jaki wystąpił na jej lica. Po tej pieśni jeszcze wiele innych odśpiewano, aż wreszcie, gdy stosowna pora na spoczynek nastąpiła, wszyscy na rozkaz królowej po swoich komnatach się rozeszli.

Kończy się czwarty dzień Dekameronu i zaczyna piąty, w którym pod przewodem Fiammetty mówi się o szczęściu, jakie przytrafiło się niektórym kochankom po przygodach ciężkich i żalosnych.



**DZIEŃ
PIĄTY**

Opowieść pierwsza



PODWÓJNE PORWANIE

Cymon, zakochawszy się, rozumnym człkiem się staje i porywa na morzu umiłowaną swą Ifigenię. Na wyspie Rodos dostaje się do więzienia, z którego uwalnia go Lysimachus. Obaj razem porywają Ifigenię i Kassandrę w czasie ich wesela i uciekają z nimi na Krete; później z nimi, jako żonami swymi, do ojczyzny zostają przyzwani.

Już wschód w srebrzystej stanął bieli i słońce promieniami swymi całą naszą półkulę oświeciło, gdy Fiammetta, zbudzona wdzięcznymi śpiewy ptaków, zwiastujących z drzew i krzewów pierwszą dnia godzinę, wstała i resztę towarzystwa obudzić kazała. Zebrawszy się, udali się na przechadzkę. Wolnym krokiem zeszli w pola i przechadzali się po rozległej dolinie, wśród pokrytych rosą traw, wesoło gwarząc o rzeczach różnych, póki słońce nie stanęło wyżej na niebie. Gdy słoneczne promienie żarem tchnąć poczęły, towarzystwo do domu powróciło, aby pokrzepić się wybornym winem i różnych słodyczy skosztować. Potem, do obiadu, wszyscy w ogrodzie rozkoszным się zabawiali. Gdy czas obiadu nadszedł, marszałek wszystko do posiłku przygotował. Na rozkaz królowej zagrano na cytrze i kilka piosenek odśpiewano, a potem towarzystwo ochoczo do stołów zasiadło. Po wesołym, ale pełnym umiaru obiedzie, wedle obyczaju, poczęli tańczyć przy dźwięku instrumentów. Wreszcie królowa wszystkich na spoczynek odpuściła. Niektórzy legli na łoża, inni zasię ostali w ogrodzie, aby różnym rozrywkom się oddawać. Gdy nadeszła godzina dziewiąta, wedle obyczaju, wszyscy zebrali się koło fontanny. Królowa, pierwsze miejsce zajmąwszy, spojrziała z uśmiechem na Panfila i rozkazała mu rozpocząć szereg wesołych opowieści. Panfilo, posłuszny wezwaniu, zaczął w te słowa:

– Miłe damy! Wiele znam opowieści, którymi wesoły dzień dzisiejszy zacząć by było można, ale jedna z nich szczególnie mi do smaku przypada, nie tylko bowiem szczęśliwie się kończy, czego materia naszych opowieści dzisiaj wymaga, lecz i okazuje dowodnie, jak świętą, potężną i dobroczynną jest moc miłości, którą wielu ludzi nie wiedzących, co mówią, ośmiela się najniesłuszniej ganić i przeklinać. Mniemam, że wszystkie tutaj zebrane miłujecie; dlatego też historia moja przypaść wam winna do serca.

«Z starożytnych kronik wiadomo nam, że na wyspie Cypr żył ongiś człek szlachetnego rodu, zwany Aristippem, z którego mieniem mienie żadnego z jego współziomków w paragon

wchodzić nie mogło. Los mu wielce sprzyjał we wszystkim krom jednej rzeczy, która mu wiele smutku przyczyniała. Jeden z jego synów, urodą i postacią nad braćmi swymi górujący, miał wielce tępe przyrodzenie i żadnych nie budził nadziei. Młodzieńca tego zwano Galeso. Chocia preceptor starań i trudów, a rodzic pieszczot i plag nie litował, niesposób mu było wbić w głowę czy to litery alfabetu, czy zasady przystojnych obyczajów. Głos jego pozostał grubym i chrapliwym, a zachowanie godniejsze bydłęcia niż człowieka. Dlatego też nazwano go kpiąco Cymonem¹¹⁹, co tyle znaczy w tamtejszym języku, ile u nas „bałwan” lub „bydlę”. Nieszczęśliwy ojciec płakał gorzko nad losem syna, aż wreszcie, straciwszy wszelką nadzieję uszlachetnienia go, wysłał go na wieś, aby tam z parobkami przestawał, nie chciał bowiem mieć ciągle na oczach ciężkich swoich zmartwień powodu. Cymon wielce się z tego ucieszył, bowiem obyczaje pospółstwa bliższe mu były niżli obyczaje ludzi polerowanych. Udał się zatem na wieś i tam gospodarstwem się zajął. Pewnego dnia po południu szedł z kijem na ramieniu z jednego folwarku na drugi. Był maj. Droga szła przez piękny gaik, który w tej porze roku stał w zieleni. Ani chybi, sam los jego krokami kierował. Przechodząc przez łączkę, otoczoną wysokimi drzewami, obaczył wielce urodziwą młodą dziewczkę, śpiącą obok źródła tchnącego świeżością. Cienka, przezroczysta szata, okrywająca śpiącą dziewczkę, pozwalała dokładnie rozróżnić jej piękne kształty. Śnieżnej białości okrycie szczelniej ją zasłaniało tylko od pasa do nóg. U stóp jej spoczywały dwie białogłowy i mężczyzna, widać na służbie u niej pozostający. Cymon jakby po raz pierwszy w życiu obaczył kształtne członeczki niewieście; oparty na kiju, w niemym osłupieniu przypatrywał się dziewczce długo i uważnie. I oto nagle w jego nieokrzesanej duszy, której tysiączne usilne starania uszlachetnić dotąd nie zdołały, zrodziła się myśl, że dziewczę to jest najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek śmiertelny wzrok mógł ujrzeć. Tak myśląc zważał pilnie wszystkie jej ciała ponęty, podziwiał prześliczne jej włosy, które mu się złotymi wydawały, czoło, usta, nos, szyję i ramiona, w szczególności zaś dziewicze piersi, nie całkiem jeszcze rozwinięte. Przedzierzgnąwszy się nagle z gburą w wielbiciela piękności, jał pragnąć gorąco, aby dziewczeczka otworzyła oczy, głębokim snem zamknięte. Kilka razy przychodziła nań pokusa obudzenia młódki, iżby je zobaczyć; aliści, jako że zdała mu się ona od wszystkich widzianych białogłów piękniejsza, nie śmiał tego uczynić, ze strachu, że mógłby w niej jakąś boginię obrazić. Wiedząc tyle, że niebiańskie istoty mają większe prawo do czci niżli ziemskie, postanowił zaczekać, aż dziewczeczka sama oczy otworzy. To oczekiwanie męczyło go, jednakże, zatopiony w rozkoszy, nie ruszał się z miejsca. Wreszcie dziewczeczka, którą Ifigenią zwano, ocknęła się wcześniej od swych towarzyszy, podniosła głowę i obaczywszy Cymona, który stał przed nią, na lasce oparty, wielce się zdziwiła i rzekła:

– Czego szukasz, Cymonie, w gaju o tej godzinie? Cymon znany był w tej okolicy każdemu, dzięki swojej urodzie, głupocie i bogactwu swojego ojca. Nie odparł on nic na pytanie Ifigenii, jeno wpatrywał się uparcie w jej oczy, bowiem zdało mu się, że spływa nań z nich jakaś niewymowna słodycz, dotychczas mu nie znana. Dziewczeczka spostrzegła to, a obawiając się, aby dzikus od tak osobliwego wpatrywania się w nią nie przeszedł do jakichś nieobyczajnych ruchów, podniosła się, zawołała na służbę swoją i rzekła:

– Bądź zdrów, Cymonie!

Cymon jednak, nie chcąc odejść, odparł:

– Pójdę z tobą!

I chociaż młódka, wciąż jeszcze mu nie dowierzająca, przystać na to nie chciała, pozbyć się go nie mogła i młodzieniec aż do samego domu ją odprowadził. Po czym udał się natychmiast do swego rodzica i oznajmił mu, że pod żadnym warunkiem dłużej na wsi nie pozostanie. Ojcu i krewniakom wielce to nie po myśli było, pozwolili mu jednakże wrócić do miasta, ciekawi byli bowiem dowiedzieć się, co tak jego gusty odmieniło. Cymon zaś, którego serce, żadnemu wpływowi dotąd nieprzystępne, piękność Ifigenii strzałą miłości przeniknęła, w krótkim czasie ojca swego, krewniaków i wszystkich znajomych w zadziwienie wprowadził. Na-

przód bowiem poprosił ojca, aby dał mu te same stroje i ozdoby, co jego braciom, na co ojciec zgodził się z radością. Potem jał przestawać z młodzieńcami wykształconymi, uczył się od nich obyczajów i dworności, które szlachetnie urodzonym ludziom, a zwłaszcza kochankom, przystoją i w ten sposób, ku powszechnemu zadziwieniu, w krótkim przeciągu czasu nie tylko samych liter się nauczył, aliści stał się i w filozofii uczniem wielce biegłym. Wszystko to było skutkiem jego miłości do Ifigenii. Wkrótce nie tylko głos gruby i prostacki przemienił w miły i pełen ogłady, ale opanował sztukę śpiewu i grę, stał się zawołanym jeźdźcem i we wszelkich wojennych ćwiczeniach na lądzie i morzu celować począł. Nie będę się tutaj szerzył nad wszystkimi jego przymiotami, powiem jeno, że i cztery lata nie minęło od dnia, w którym się zakochał, a już młodzieży cypryjskiej wykształceniem i szlachetnymi obyczajami przodował. Cóż więc, urodzive panie, rzecz będziemy mogli o tym Cymonie? Ani chybi, pomyśleć musimy, że w jego niepospolitej duszy kryły się bogate dary niebios, które zawistna fortuna w najsilniejszych pętach w małym zakęcie jego serca trzymała; dopiero Amor, od fortuny potężniejszy, łańcuchy te rozerwał. Bóg miłości, co budzi drzemiące talenta, rozproszył mgłę i umysł jasnym światłem oświecił, chcąc pokazać, z jakich otchłani może ducha człowieczego wydobyć, aby jego przymioty w niezaćmionym przedstawić blasku. Chociaż Cymon, jak to pospolicie z zakochanymi młodzieńcami się zdarza, w objawach swej miłości do Ifigenii nieraz miarę przechodził, jednakże ojciec jego wszystko to cierpliwie znosił; owszem, zważywszy, że Amor syna jego z barana na człowieka przemienił, zachęcał go sam do miłości. Młodzieniec przez pamięć, że Ifigenia przy pierwszym spotkaniu Cymonem go nazwała, zatrzymał to imię, zamiast właściwego, Galeso. Cymon, pragnąc miłość swoją uwieńczyć, kilkakrotnie udawał się do Cypsea, ojca Ifigenii, aby go o jej rękę poprosić. Aliści Cypseo odpowiadał zawsze, że przyrzekł był ją już młodemu rodyjskiemu szlachcicowi, Pasimundowi.

Gdy nadszedł dzień ułożonych zaślubin, narzeczony przysłał po Ifigenię. Wówczas Cymon rzekł do siebie: „O Ifigenio, teraz przyszła stosowna pora, w której dowieść należy, jak cię miłuję. Dzięki tobie człowiekiem się stałem, a jeśli cię teraz posiadę, zaiste za równego bogom się poczytam! Albo będziesz należała do mnie, albo zginę.”

Zwoławszy w tajności na naradę kilku przyjaciół, uzbroił okręt, wyruszył na nim na morze i jał oczekiwać na statek, który miał odwieźć Ifigenię na Rodos do jej męża.

Tymczasem ojciec młodej dziewczyny, przyjąwszy z wielką czcią wysłańców swego przysłego zięcia, oddał im Ifigenię, a statek, wypłynąwszy na morze, skierował swój dziób ku Rodos. Cymon, nie zasypiający sprawy, dopadł go następnego dnia. Zbliżywszy się do korabia, zawołał wielkim głosem:

– Zatrzymajcie się i zwińcie żagle, jeżeli nie chcecie zginąć w głębi morza!

Na ten okrzyk Rodyjczycy porwali za broń i do walki się przygotowali. Cymon zarzucił hak żelazny na tył rodyjskiego statku, który uchodził pośpiesznie, i przyciągnąwszy go do dzioba swego okrętu, skoczył nań z odwagą lwa, nie oglądając się nawet, czy kto idzie w jego ślady, i nie zważając na liczbę wrogów swoich. Miłość dodała mu siłę. Z nożem w rękę rzucił się w sam środek nieprzyjaciół, którzy wokół niego, ranni i martwi, padali jak barany. Wreszcie Rodyjczycy, grozą przejęci, rzucili broń i za zwydeżonych się uznali błagając Cymona, aby ich wziął w niewolę. Wówczas Cymon rzekł do nich:

– Młodzieńcy! Nie żądza łupu ani nienawiść do was pobudziła mnie k’temu, że opuściwszy Cypr z orężem w rękę tu, na morzu, na was napadłem. To, co jest dla mnie najdrogocenniejszym skarbem i co mi na czyn ten porwać się kazało, łatwie i bez zwady otrzymać od was mogę. Miłuję Ifigenię ponad wszystko, a jeśli siłą z rąk waszych ją biorę, to winien temu jest jej rodzic, który mi jej po dobrej woli dać nie chciał. Stanę się dla niej tym samym, czym chciał być wasz Pasimunda. Oddajcie mi ją i ruszajcie z Bogiem!

Rodyjczycy raczej z konieczności niż z dobrej woli oddali Cymonowi płaczącą Ifigenię. Cymon, ujrzawszy ją we łzach, zawołał:

– Nie trap się, najmilsza! Jestem twoim Cymonem, który wytrwałą miłością swoją więcej praw do ciebie zyskał niżli Pasimunda dzięki obietnicy rodzica twego.

Po czym, nie tknąwszy nic z własności Rodyjezyków, rozkazał przeprowadzić dziewczeczkę na swój pokład, wrócił sam na statek i odpłynął.

Cymon, niezwykle uradowany z tak drogocennej zdobyczy, ze wszystkich sił starał się pocieszyć Ifigenię. Potem zwołał na radę towarzyszków swoich i spytał, azali bezpiecznie będzie na Cypr powrócić. Wszyscy osądzili, że lepiej będzie ku Krecie się obrócić, gdzie niemal każdy z nich, a zwłaszcza Cymon, dzięki dawnym i nowym związkom, wielu przyjaciół i znajomych posiadał i gdzie, jak sądzili, mogli być z Ifigenią bezpieczni. Aliści niestała fortuna, która tak łatwo pozwoliła mu ować umiłowaną dziewczeczką, nagle niezmierną radość zakochanego młodzieńca w gorzki smutek przemieniła. Nie upłynęły bowiem jeszcze cztery godziny od chwili napaści na rodyjski korab, gdy nastąpiła noc, od której Cymon najwyższej, nie znanej mu jeszcze rozkoszy się spodziewał; aliści podniósł się wiatr gwałtowny, niebo się zamroczyło chmurami i całe morze strasznie się poburzyło. Nikt nie wiedział, co począć ani w którą stronę okręt płynie; marynarze, spełniając swoją służbę, z trudnością na nogach się utrzymywali. Jak głęboko się tym Cymon strapił, mówić nawet nie trzeba. Zdało mu się, że bogowie tylko dlatego jego marzenie spełnili, aby silniej odczuł teraz okropność śmierci, która go dawniej nie straszyla. Towarzysze jego także w głos się skarżyli, ale najżałośniej zawodziła Ifigenia, płacząca i drżąca całym ciałem przy każdym pochyleniu się okrętu. W rozpacznych słowach przeklinała miłość Cymona i wyrzekała na jego zuchwalstwo, twierdząc, że gniew bogów jest przyczyną tej burzy, bowiem bogowie nie chcą, aby Cymon, wzbity w pychę, wbrew ich woli za małżonkę ją pojął, postanowili naprzód ją życia pozbawić, a potem i jego uśmiercić. Wiatr tymczasem dał z coraz większą siłą, tak iż marynarze całkiem głowy potracili.

Gdy tak wszyscy nie wiedzieli, dokąd płyną, okręt zbliżył się do brzegów Rodosu. Marynarze, nie domyślając się nawet, że to Rodos, i widząc brzeg ziemi, wszelkich wysiłków dokładali, ażeby na ląd się dostać i życie uratować. Los był im w tej mierze przychylny, wiatr zagnał okręt do małej zatoki, do której niedawno zawinał był okręt z Rodyjczykami. Dopiero gdy świt nastał i zorza na niebie błysnęła, towarzysze Cymona ujrzeli okręt Rodyjczyków, stojący od nich nie dalej jak na strzał z łuku. Na ten widok Cymon przeraził się niewymownie i rozkazał wszelkich sił ku temu dołożyć, aby buchtę opuścić, choćby potem i przyszło zdać się na losy przeciwnie, nigdzie bowiem groźniejsze niebezpieczeństwo na nich czekać nie może. Wszystkie ich wysiłki jednakże daremne były; okrutny wichur dał tak silnie, że nie tylko wyjść im na pełne morze nie dozwolił, ale mimo rozpaczego oporu, do lądu ich przyparł. Gdy tylko do brzegu się przybliżyli, natychmiast marynarze rodyjscy ich poznali. Kilku z nich pobiegło do pobliskiego grodu, aby uwiadomić młodych panów rodyjskich, którzy już pierwsi na ląd wyszli, że Cymon z Ifigenią zostali przygnani burzą do tego samego miejsca co i oni. Szlachcice rodyjscy, niezmiernie tą wieścią uradowani, zebrawszy liczną gromadę uzbrojonych ludzi, pobiegli na brzeg morski. Tymczasem Cymon i jego ludzie, opuściwszy pokład, postanowili w pobliskim lesie schronienia szukać, aliści pochwyciono ich wraz z Ifigenią i do wsi odprowadzono. Pasimunda na wieść o tym wniósł skargę przed senat rodyjski. Senat wysłał Lysimacha, będącego w tym roku wielkorządcą Rodosu, z mnogim oddziałem żołnierzy, aby stamtąd Cymona wraz z jego towarzyszami do więzienia przeprowadził. Takim oto sposobem postradał nieszczęśliwy Cymon ledwie pozyskaną Ifigenię, nie otrzymawszy od niej nic więcej od kilku pocałunków. Ifigenię powitały ze czcią szlachcianki rodyjskie, starając się zatrzeć w jej pamięci wrażenia niewoli i strachu, przeżytego przez nią w czasie burzy, i zajmując się nią troskliwie aż do dnia naznaczonego na zaślubiny.

Pasimunda wielce się o to starał, aby Cymon i jego towarzysze na śmierć skazani zostali, jednakże szlachta rodyjska, z którą ów tak łaskawie się był obszedł, wolność jej powracając, nastawała na to, aby życie im darowano, skazując ich jeno na wieczyste więzienie. Cymon z

towarzyszami znalazł się tedy w lochu, gdzie wiek swój trawił w rozpacz, nie mając żadnej nadziei na wyzwolenie. Tymczasem, gdy Pasimunda z przygotowaniami do wesela się spieszył, los, jak gdyby żałując krzywdy Cymonowi wyrządzonej, przyszedł mu z nieoczekiwaną pomocą.

Pasimunda miał młodszego, ale nie mniej godnego brata, imieniem Ormisda, który przez długi czas ubiegał się o rękę pewnej pięknej i szlachetnej dziewczycy, Kassandra zwaną. Ową Kassandra miłował także Lysimachus; Pasimunda, przygotowując wielkie uroczystości na dzień swych zaślubin, pomyślał, że dla uniknięcia niepotrzebnych wydatków i straty czasu, dobrze będzie jednocześnie z swoim weselem wesele Ormisdy odprawić. Porozumiał się tedy raz jeszcze z rodzicami Kassyndry i skłonił ich do tego, iż Ormisdę za zięcia przyjęli, zgadzając się na dopełnienie zaślubin tego samego dnia. Lysimachus, dowiedziawszy się o tym postanowieniu rodziców Kassyndry, niszczącym wszystkie jego nadzieje, niepomiernie się strapił; dotychczas bowiem spodziewał się ciągle, że jeśli Ormisdzie odmówią, to on Kassandra dostanie. Jednocześnie, jako człek wielce roztropny, z gniewem swym się nie zdradził, ale jął rozmyślać nad tym, jakby wykonaniu tych zamysłów przeszkodzić, wreszcie postanowił, że jest tylko jeden środek: porwanie Kassyndry. Sprawa ta wydała mu się łatwa ze względu na godność, jaką piastował, ale bardziej z tego powodu występna.

Po długiej walce dusznej cześć ustąpiła wreszcie miejsca miłości i Lysimachus postanowił uprowadzić Kassandra, choćby go to i życie kosztować miało. Głowiąc się nad tym, czyją pomoc mógłby tu sobie zapewnić i jak do rzeczy przystąpić, wspomniawszy o Cymonie, który po społu z towarzyszami w lochu siedział. Lepszych i wierniejszych pomocników w tym wypadku znaleźć by nie mógł. Najbliższej nocy rozkazał tedy tajnie ich do siebie przywieść i rzekł do nich w te słowa:

– Cymonie! Bogowie, rozdzielający łaskawie i hojnie dary swoje między śmiertelników, lubią także często cnotę ich na twarde próby wystawiać. Tych, których w losu niestatkach stałymi i nieugiętymi znajdują, obdarzają nagrodą najwyższą, bowiem uważają ich za zasługujących ze wszech miar na nią. Dlatego też i ciebie postanowili doświadczyć w większej mierze, niżby to było możliwe, gdybyś przebywał w domu ojca swego, który, jak słyszę, jest pono wielce bogatym człowiekiem. Naprzód tedy jak powiadają, serce twoje zapaliło się pragnieniem miłości, która z grubego zwierzęcia w człowieka cię przemieniła; potem nieszczęsnych przygód i więzienia zaznać musiałeś. Bogowie drogą tych doświadczeń uznać pragną, czy duch twój silnym pozostał, takim, jakim był wówczas, gdyś się radował, zdobyczą owdładnawszy. Jeśli jest tak w samej rzeczy, to bogowie gotowi są obdarzyć cię najwyższym szczęściem, o czym chcę cię uwiadomić, abys już teraz dawne siły ducha w sobie skrzepił. Otóż Pasimunda raduje się z zwycięstwa swego nad tobą i chciał, byś śmierć poniósł, a teraz przyspieszyć się stara związek swój z Ifigenią, którą los już raz tobie oddał po to, aby ją ci nagle odebrać. Jak nad tym boleć musiałeś, wiem najlepiej ja, bowiem podobne cierpienia znoszę. W tym samym dniu, co ciebie, i mnie okrutny los ma spotkać: obaczę Kassandra żoną Ormisdy, który jest bratem wroga twego. Jeden tylko widzę środek, aby móc do podobnej niesprawiedliwości fortuny nie dopuścić: z orężem w rękę porwać musimy umiłowane przez nas białogłowy. Powrócona ci wolność bez Ifigenii wielkiej wartości, jak tuszę, dla ciebie mieć nie może; aliści odzyskanie niewiasty tej kładą ci w ręce bogowie, jeżeli chcesz wziąć udział w tym, co zamierzyłem.

Słowa te powróciły Cymonowi straconą otuchę. Nie namyślając się długo, odparł w te słowa:

– Lysimachu! Nie znajdziesz wierniejszego i mężniejszego pomocnika niżli ja. Rzeknij mi tylko, co mam uczynić, a obaczysz, że dokonam wszystkiego z nadprzyrodzoną prawie siłą.

– Za trzy dni – rzekł Lysimachus – młode oblubienice mają wstąpić do domu swoich mężów. Wieczorem tedy, ty ze swymi towarzyszami, a ja z oddziałem zbrojnych, którym ufam najbardziej, wtargniemy do wnętrza domu o zmierzchu, porwiemy nasze umiłowane od bie-

siadnego stołu i uprowadzimy je na okręt, który już tajemnie przygotować kazałem. Kto nam na wstępie stanąć się odważy, zginie nędznie!

Zamysł ten wielce się Cymonowi podobał. Powrócił spokojnie do więzienia i jął czekać na dzień oznaczony. Nadszedł wreszcie dzień zaślubin. Zaczęła się wspaniała uczta i cały dom obu braci wesołością rozbrzmiewał. Tymczasem Lysimachus wszystko już przygotował. Cymon, jego towarzysze i przyjaciele Lysimacha otrzymali broń, którą pod szatami ukryli. Lysimachus gorącymi słowy do walki ich zagrzał, a potem na trzy hufce podzielił. Pierwszy ostawił w przystani, aby nikt w stosownej chwili na okręt wejść im nie przeszkodził, a z dwoma drugimi do domu Pasimunda wyruszył. Tutaj jeden oddział stanął przed drzwiami na przypadek, gdyby ktoś od wnętrza te drzwi zamknąć się starał, odwrót im odcinając. Nareszcie na czele ostatniego oddziału Cymon i Lysimachus weszli na górę, do sali weselnej, gdzie obie oblubienice, otoczone damami, za stołem siedziały pożywając. Napastnicy obalili stoły, pochwycili swoje umiłowane i natychmiast powierzyli je towarzyszom z rozkazem, aby je na okręt uprowadzili. Białołowy poczęły płakać i lamentować, goście i służba także krzyk podnieśli, tak iż cały dom wrzawą i jękiem się nappełnił. Cymon i Lysimachus dobywszy mieczów przebili się z towarzyszami przez tłum gości ku wyjściu, nie napotykając oporu. Na schodach rzucił się na nich Pasimunda, który na gwałt podniesiony nadbiegł z ogromną pałąk w rękę. Cymon ciał go mieczem tak potężnie przez głowę, że go trupem u nóg swoich położył. Od drugiego ciosu poległ nieszczęsny Ormisda, śpieszący na pomoc bratu swemu. Kilku innych, chcących podejść bliżej, odparli towarzysze Lysimacha i Cymona i rannych porzucili na placu. Ostawiwszy dom, pełen krwi, jęków, skarg i żaloby, nie mieszkając, wraz z łupem bez przeszkód do okrętu dotarli. Wprowadziwszy białołowy na pokład i wszyscy znalazłszy się na statku, odbili od brzegu, bowiem już im zagrażał tłum zbrojnych, którzy śpieszyli na odsiecz białołowom.

Po przybyciu na Kretę Cymon i Lysimachus, serdecznie przez licznych krewniaków i przyjaciół witani, zaślubili damy swoje wśród nieskończonych i świetnych uroczystości, ciesząc się wywalczoną zdobyczą. Na Cyprze i Rodosie, długo jeszcze chodziły słuchy o ich zuchwałym czynie, który powszechne wzburzenie wywołał. Aliści tu i tam, dzięki poplecznictwu przyjaciół i krewnych, wreszcie winowajcom przebaczone, tak iż Cymon z Ifigenią na Cypr, a Lysimachus z Kassandra na Rodos zadowoleni powrócili. Tam po społu z żonami swymi długo jeszcze w szczęściu i w miłości żyli.»

Opowieść druga



STRZAŁY MARTUCCIA

Konstancja miłuje Martuccia Gomito. Usłyszawszy o jego śmierci, z rozpaczy wypływa samotnie na morze w czółnie, które przybija do brzegu w Suzie. Znalazłszy umiłowanego przy życiu w Tunisie, uwiadomią go o swoim przybyciu. Martuccio, który dzięki swym radom pozyskał łaski króla, żeni się z nią i na Lipari jako wielce bogaty człek powraca.

Gdy Panfilo opowieść swoją skończył, królowa wielkimi pochwałami go obdarzyła, a potem Emilii dalej ciągnąć kazała. Emilia w te słowa zaczęła:

– Każdy słusznie cieszyć się musi, jeśli widzi, że nagroda pragnieniom dorównuje. Ponieważ zaś miłości bardziej się uśmiech szczęścia niż łza strapienia należy, chętniej tedy wypełnię wolę obecnej królowej niż jej poprzednika, króla.

«Wiedźcie zatem, miłe przyjaciółki, że niedaleko od Sycylii znajduje się mała wysepka Lipari, gdzie przed niedawnym czasem żyła młoda dziewczeczka niezwyklej urody, córka bogatych ludzi, Konstancją zwana. Miłował ją niejaki Martuccio Gomito, także z wyspy tej pochodzący, wielce urodziwy, szlachetny i obyczajny młodzieniec. Dzieweczka odpłacała mu równą miłością i tylko wtedy szczęśliwą się czuła, gdy go przy sobie miała. Martuccio, pragnąc ją pojąć za żonę, poprosił jej ojca, aby mu ją dał w stadło, aliści otrzymał odpowiedź, że Konstancja nigdy się nie stanie małżonką ubogiego człeka. Martuccio, srodze poruszony, że z przyczyny ubóstwa nim wzgardzono, postanowił Lipari opuścić. Przed odjazdem przysiągł krewniakom i przyjaciołom, że nie wróci do domu pierwej, zanim się bogatym człowiekiem nie stanie. Po czym odpłynawszy począł przy brzegach Berberii korsarstwem się parać, grabiąc każdego, kto okazał się słabszym od niego. Los mu wielce sprzyjał i wszystko jak najlepiej by było, gdyby zdołał w szczęściu miarę zachować. Martuccio i jego towarzysze, nieukontentowani z nagromadzonych w krótkim czasie skarbów, pragnęli niezmiernymi bogactwami ować. Pewnego dnia napadli na nich na swych statkach Saraceni, którzy po zaciętej walce w niewolę ich wzięli i złupili. W czasie boju wielu towarzyszków Martuccia żywot postradało; okręt Martuccia zatopiony został, on sam zaś uprowadzony do Tunisu i tam do lochu na długą niedolę wtrącony. Po wyspie Lipari wkrótce poszły słuchy, przez wiele ust powtarzane, że Martuccio i wszyscy jego towarzysze śmierć w głębi morza znaleźli.

Młoda dziewczeczka, odjazdem Martuccia wielce strapiona, na wieść o jego śmierci długo

plakała, aż wreszcie postanowiła życia się pozbawić. Ponieważ jednak nie miała odwagi gwałtowną drogą śmierć sobie zadać, wymyśliła tedy nowy sposób samobójstwa. Pewnej nocy, opuściwszy tajnie dom rodzicielski, pobiegła do portu i ujrzała tam na uboczu barkę rybacką, z masztem, żaglami i wiosłami, których właściciele, co dopiero wylądowawszy, z sobą nie zabrali. Natychmiast wsiadła na nią, po czym odbiła od brzegu, rozpięła żagle (miała bowiem, jak wszystkie mieszkanki wyspy, niejaką w żeglarstwie biegłość), a znalazłszy się na pełnym morzu odrzuciła ster i wiosła i na łaskę fal oraz wiatru się zdała. Konstancja była twardo przekonana, że barka, steru i ładunku pozbawiona, albo się pod wiatrem przewróci musi, albo też, natrafiwszy na podwodną skałę, roztrzaska się na drzazgi; wówczas ona, choćby się i ratować chciała, uczynić tego nie zdoła i pożądaną śmierć wreszcie w falach znajdzie. Z tą myślą zarzuciła połę swej szaty na głowę i gorzko płacząc, na dnie barki legła. Jednakże stało się całkiem inaczej, niż przypuszczała. Wiatr od północy dął łagodnie, morze było ciche, barka trzymała się na falach doskonale, tak że nazajutrz pod wieczór znalazła się o sto mil powyżej Tunisu. Przybiła wreszcie do brzegu niedaleko miasta Suzy¹²⁰. Dzieweczka nie wiedziała nawet, czy znajduje się na pełnym morzu, czy u brzegów, nie spodziewając się bowiem żadnego szczęśliwego przypadku, głowy nie podnosiła ani podnosić nie myślała. Tymczasem właśnie w chwili gdy barka o brzeg uderzyła, na wybrzeżu znajdowała się uboga białogłowa, żona rybaka, która sprzątaniem sieci zatrudniona była. Ujrawszy barkę wielce się zadziwiła, że łódź z rozpiętym żaglem do brzegu dotarła. Mniemając, że rybacy na barce zasnęli, zbliżyła się do niej i wówczas spostrzegła młodą dziewczkę, we śnie mocnym pogrążoną. Poczęła na nią wołać i wstrząsać nią, aż wreszcie po długich zachodach obudzić ją zdołała. Uznawszy po szatach dziewczki, że musi być ona chrześcijanką, zapytała ją w języku włoskim, jakim sposobem sama na łódce tutaj się znalazła? Konstancja włoską mowę usłyszawszy pomyślała, że, ani chybi, wiatr się obrócił i że z powrotem do Lipari ją przygnał. Podniosła się tedy co żywo, obejrzała dokoła, a nie poznając wcale tych stron, spytała białogłowy, gdzie się znajduje.

– Dziecię moje – odparła rybaczką – jesteś niedalego Suzy w Berberii.

Na te słowa dziewczeczka srodze się zmartwiła, że Bóg jej śmierci znaleźć nie dozwolił. Nie wiedząc, co jej dalej czynić należy, zmieszana i zawstydzona, usiadła w pobliżu łodzi i gorzko płakać zaczęła. Szlachetna białogłowa, współczująca jej z całego serca, pocieszała ją, jak mogła, aż wreszcie skłoniła ją do tego, że do wnętrza pobliskiej chaty weszła. Tam, uspokoiwszy się znacznie, opowiedziała rybaczkę, jakim sposobem w tych stronach się znalazła. Dowiedziawszy się z jej słów, że długo już nic w ustach nie miała, rybaczką dała Konstancji kawałek suchego chleba, rybę wędzoną i szklanicę wody, prosząc ją wymownymi słowami, aby się trochę posilić chciała. Konstancja, przystawszy na jej prośbę, spytała białogłowy, kim ona jest i skąd włoską mowę pojmuje? Rybaczką odparła, że pochodzi z Trapani, że się zwie Carapresa i że trudni się posługami u rybaków–chrześcijan. Dzieweczka, mimo strapienia swego, usłyszawszy imię Carapresa, co jako miła zdobycz się wykłada, sama nie wiedząc dlaczego, za dobrą wróżbę je wzięła i w ściśnionym swym sercu niejaką nadzieję poczuła, tak iż pragnienie śmierci zmniejszyło się nieco. Nie odkrywając rybaczkę, kim jest i skąd pochodzi, jęła ją zaklinać, aby nad młodością jej się ulitowała i poradziła jej, co ma uczynić, aby ochronić się od niebezpieczeństw, które jej tutaj zagrażać mogą. Carapresa, wielce szlachetna białogłowa, nie odpowiedziała jej nic na to, podbiegła jeno żywo, aby zebrać pozostawione na brzegu sieci, a po powrocie owinęła ją całą w płaszcz i do Suzy zawiodła. Gdy do miasta weszły, rzekła w te słowa:

– Zawiodę was, pani, do domu pewnej zacnej Saracenki, której często posługuję, gdy zajdzie potrzeba. Jest to szedziwa białogłowa o miłosiernym sercu. Poproszę ją jak najgoręcej, aby nad wami pieczę miała. Upewniona jestem, że przyjmie was jak córkę rodzoną. Wy zaś starajcie się z wszystkich sił o pozyskanie jej względów aż do chwili, gdy Bóg wam lepszy ześle los.

Pocziwa rybaczka uczyniła tak, jak rzekła. Stara Saracenka, wysłuchawszy opowieści rybaczki, spojrziała bacznie na Konstancję, rozplakała się, pocałowała ją w czoło, a potem wzięła ją za rękę i wprowadziła do swego domu, w którym żyła po społu z innymi białogłowami bez męskiej kompanii. Białogłowy te zajmowały się rzemiosłem, wyrabiając różne przedmioty z liści palmowych, skóry i jedwabiu. Konstancja po kilku dniach przyswoiła sobie w części ich kunszt, tak iż mogła w wspólnych pracach udział przyjmować. Gospodyni i jej towarzyszki osobną przychylnością i miłością ją obdarzały. Dzięki ich pomocy młódka wkrótce miejscowej mowy się nauczyła. Tak tedy dziewczeczka, którą w Lipari już jako umarłą oplakano, w Suzie żyła.

W tym czasie królem Tunisu był niejaki Mariabdela¹²¹. Zdarzyło się, że pewien wielce bogaty młodzian, przebywający w Granadzie, a posiadający znaczne skarby i potężnych krewniaków, jął się o koronę Tunisu ubiegać mówiąc, że jemu przypaść winna. Stanąwszy na czele ogromnego wojska, wyruszył do Tunisu, aby prawego władcę wygnąć. Wieść o tym doszła do Martuccia Gomito, który w więzieniu wiek swój trawił. Znając dobrze arabską mowę i słysząc, że król Tunisu wielką armię dla obrony kraju zbiera, rzekł do jednego ze straży:

– Gdybym mógł mówić z królem, dałbym mu jedną radę, dzięki której, jak tuszę, zostałby w tej wojnie zwycięzcą.

Strażnik więzienny powtórzył te słowa swemu dowódcy, a ten o wszystkim królowi doniósł. Król rozkazał Martuccia sprowadzić i zapytał go, jakiej rady chce mu udzielić?

– Panie – odparł Martuccio – jeśli przebywając od dawna w waszych stronach, dobrze wasz sposób wojowania zważyłem, na tym się on zasadza, że największe znaczenie łucznikom przypisujecie. Dlatego też niewątpliwą rzeczą mi się wydaje, że jeśli u wrogów waszych strzał zabraknie, podczas gdy wy będziecie ich mieli do zbytku, zwycięstwo wam w udziale przypadnie.

– Ani chybi – odparł król. – Ale jak to sprawić?

– Łatwie to zdziałać można – rzekł Martuccio – i zaraz wam, panie, stosowny środek przedstawię. Należy łuczników waszych opatrzyć w łuki z daleko cieńszą cięciwą od używanej zwyczajnie i przysposobić zapas strzał, których karby tylko do tak cienkiej cięciwy się nadadzą. Wszystko to trzeba w głębokiej tajności zachować, tak aby nieprzyjaciel o niczym się nie dowiedział, w przeciwnym razie bowiem, mógłby grożącemu niebezpieczeństwu zaradzić. Gdy już zastępy wrażeń łuczników cały zapas swoich strzał wystrzelają, a wasi łucznicy także już bez pocisków zostaną, jedni i drudzy będą musieli wówczas podnosić strzały, co z przeciwnej strony wypuszczone zostały. Aliści nieprzyjacieli waszych strzał użyć nie będą mogli, ponieważ cienkie karby w grube cięciwy łuków wprawić się nie dadzą, podczas gdy wasi łucznicy łatwo nieprzyjacielskimi strzałami prażyć będą mogli. Wojska wasze, panie, będą miały tedy obfitszy zapas pocisków, kiedy wróg swój już wyczerpie.¹²²

Król, który był wielce mądrym człowiekiem, pochwalił radę Martuccia i zastosował się do niej, dzięki czemu walne zwycięstwo nad nieprzyjacielem odniósł. Martuccio, szczególne jego względy pozyskawszy, na wysoki stopień dostojności się wzniosł i stał się bardzo możnym człkiem. Słuchy o jego fortunie po całym kraju poszły. Wreszcie i Konstancja, która tak długo Martuccia za umarłego poczytywała, dowiedziała się, że kochanek jej żyje. Miłość do niego, która już w jej sercu ostygła nieco, nowym i gwałtowniejszym jeszcze płomieniem się zapaliła budząc zarazem wszystkie jej umarłe nadzieje. Młódka postanowiła odkryć wszystko Saracence, w domu której schron znalazła. Oświadczyła jej tedy, że do Tunisu udać się zamierza, aby nacieszyć swe oczy widokiem tego, czego pragnienie uszy w niej obudziły, gdy nowe wieści zasłyszała. Saracenka zamysł jej pochwaliła; czując do młódki afekt macierzyński, wsiadła z nią po społu na okręt i do Tunisu się udała. Po przybyciu na miejsce zatrzymały się, godnie przyjęte, w domu jednej z krewniaczek Saracenki. Konstancja natychmiast wysłała Carapresę, którą z sobą zabrała, aby zasięgnęła wieści o Martucciu. Staruszka wnet dowiedziała się, że Martuccio pośród wielkich dostatków żyje. Wówczas młoda niewiasta po-

prosiła ją, aby sama do Martuccia się udała i oznajmiła mu, że jego Konstancja do Tunisu przybyła. Staruszka, stanąwszy przed obliczem młodzieńca, tak rzekła:

– Martuccio, jeden z dawnych sług twoich, który przybył z Lipari i stanął w moim domu, pragnie w tajności z tobą pomówić. Nie żywiąc do nikogo ufności, przybyłam do ciebie sama, aby jak tego chciał, o tym ci oznajmić.

Martuccio za tę uprzejmość stosowny dank jej złożył i udał się za nią do jej domu. Ujrzawszy go, Konstancja o mały włos nie umarła z radości; niezdolna zapanować nad sobą, rzuciła mu się z otwartymi ramionami na szyję. Nie miała siły jednego choćby słowa wymówić i tylko cicho płakała wspominając przebyte nieszczęścia i wielką obecną radością się ciesząc. Martuccio, obaczywszy Konstancję, z początku się zdziwił, a potem z głębokim westchnieniem rzekł:

– O moja miła Konstancjo! Więc ty żyjesz? Dawno mi już za pewne podawano, że zaginęłaś i w domu nic o tobie nie wiadano.

Z tymi słowy objął ją i ucałował.

Konstancja opowiedziała mu o wszystkich przypadkach swoich, wspomniała także o dobrodziejstwach doznanych od Saraceni, w domu której schronienie znalazła. Martuccio, po długiej rozmowie z Konstancją, udał się do króla i opowiedziawszy mu całą historię swoją i Konstancji, oznajmił, że za jego zezwoleniem pragnąłby ukochaną swoją wedle chrześcijańskiego obyczaju zaślubić. Król, zadziwiony niepomału tymi zdarzeniami, rozkazał przywołać Konstancję. Wysłuchawszy jej opowieści, na wszem do opowieści Martuccia podobnej, rzekł:

– Zasłużyłaś sobie w pełni na takiego małżonka!

Potem rozkazał przynieść drogocenne podarki, rozdzielił je między Konstancję i Martuccia i pozostawił im zupełną swobodę stanowienia o losie swoim. Martuccio podziękował w gorących słowach Saracence za jej opiekę nad Konstancją i bogatymi darami ją obsypał. Konstancja ze łzami w oczach staruszkę pożegnała. Później za pozwoleniem króla wsiedli na okręt, wzięwszy z sobą Carapresę i korzystając z pomyślnego wiatru, do Lipari pożeglowali. Przyjęto ich tam z takim uczczeniem i radością, że tego nie lza w słowach wyrazić. Martuccio wspaniałe wesele wyprawił. Żyli potem jeszcze długo, ciesząc się w pokoju wzajemną miłością swoją.»

Opowieść trzecia



NA WŁOS OD ŚMIERCI

Pietro Boccamazza, uciekając z Agnolellą, wpada w ręce łotrzyków. Dzieweczka salwuje się ucieczką do lasu i po pewnym czasie do zamku się dostaje. Pietro, uszedłszy z rąk łotrzyków, po wielu przygodach przybywa do tego samego zamku, żeni się z Agnolellą i razem z nią do Rzymu powraca.

Całe towarzystwo gorącymi pochwałami opowieść Emilii obdarzyło. Gdy nowela do końca doprowadzona została, królowa Elizie opowiadać kazała. Ta, wezwaniu posłuszna, w te słowa zaczęła:

– Przychodzi mi na myśl, miłe damy, straszna noc, którą dwoje nierozważnych kochanków przeżyć musiało. Ponieważ jednak po tej nocy wiele radosnych dni nastąpiło, tedy mogę o niej opowiedzieć, od naznaczonej na dziś materii wcale nie odbiegając.

«W Rzymie¹²³, będącym kiedyś głową świata, a dziś jego ogonem, żył przed niedawnymi czasy młodzieniec pewien, imieniem Pietro Boccamazza, do znacznej rodziny rzymskiej należący. Zakochał się on w pięknej i wielce wdzięcznej dziewczeczce, Agnolelli, córce niejakiego Gigliuozzo Saullo, człeka podłej kondycji, który mimo to powszechnym miernem w Rzymie się cieszył. Boccamazza potrafił wkrótce wzajemną miłość Agnolelli pozyskać. Pietro, gorącą miłością przynaglany, nie mogąc się oprzeć pragnieniu posiadania umiłowanej dziewczeczki, o rękę jej poprosił. Na wieść o tym jego krewniacy zgodnie w surowych słowach ganić jego wybór poczęli. Krom tego, kazali panu Gigliuozzo Saullo powiedzieć, aby prośbom Pietra posłuchu nie dawał, bowiem, jeśliby dopiął swego, oni nigdy za swego krewniaka ani przyjaciela go nie uznają. Piętro, widząc drogę do szczęścia przed sobą zamkniętą, o mały włos nie umarł z rozpacz. Gdyby tylko Gigliuozzo na to przystał, ożeniłby się wbrew woli całej rodziny swojej. Potem jednak do tej myśli przyszedł, że wystarczy całkiem, jeśli zgodę umiłowanej dziewczeczki pozyska. Wybadawszy tedy przez trzecią osobę Agnolellę, dowiedział się, że jest to po jej myśli. Wówczas po społu z nią uciec a Rzymu postanowił. Opatrzywszy się we wszystkie rzeczy do podróży potrzebne, Pietro pewnego ranka o wczesnej godzinie siadł po społu z Agnolellą na konia i skierował się do Anagni¹²⁴, gdzie posiadał przyjaciół, na których mógł w zupełności liczyć. Jechali rączo, a obawiając się pogoni, nie mieli czasu oddać się miłości, tylko mówiąc o niej po drodze od czasu do czasu wymieniali pocałunki. Pietro niezbyt dobrze znał drogę, dlatego też, odjechawszy jakieś osiem mil od Rzymu, miast na prawo, na lewo się obrócił¹²⁵. Ledwie w tym kierunku dwie mile przebyli, gdy znaleźli się w

pobliżu jakiegoś obronnego zamku, z którego natychmiast na ich widok dwunastu zbrojnych wypadło. Agnolella pierwsza ich zauważyła, gdy byli już blisko, i zawołała do Pietra:

– Uciekajmy, Pietro, bowiem napadają na nas!

Rzekłszy to, jak umiała, skierowała swego konia do wielkiego lasu opodal. Koń zaś, czując wbite w ciało ostrogi, co sił pędził przez las z dziewczyną rozpaczliwie trzymającą się siodła. Tymczasem Pietro, który, mając przez ten cały czas na nią wzrok obrócony, przed siebie nie patrzył, za późno zbrojnych spostrzegł. Ci napadli nań, pochwycili go i ściągnęli z siodła, nim się opamiętać zdołał. Zapytali go, kim jest, a gdy im nazwisko swoje wyjawiał, jęli się narażać między sobą, mówiąc:

– Człek ten należy do przyjaciół wrogów naszych. Nie trza się długo nad nim głowić. Rozdziejemy go z szat, odbierzemy mu konia i powiesimy go na dębie, na złość Orsinim¹²⁶.

Towarzysze mówcy przyklasnęli tym słowom i nie mieszkając, Pietrowi kazali zdjąć suknie. Pietro, ściągając je, już na śmierć się gotował, gdy nagle z zasadzki wypadł oddział z dwudziestu pięciu zbrojnych złożony i rzucił się na rabusiów z krzykiem:

– Bij, morduj!

Złoczyńcy, zaskoczeni, wypuścili z rąk Pietra i do obrony jęli się gotować. Przekonawszy się jednak, że przewaga jest po stronie nieprzyjaciół, rozbiegli się na wsze strony, mając zwycięzców na karkach. Pietro, ujrzawszy się wolnym, pochwycił swoje suknie, wskoczył na konia i pomknął jak strzała w tym kierunku, w którym Agnolella uciekła. Jednakże w lesie nie mógł trafić na ścieżkę ani na ślady kopyt końskich. Uwolnił się od jednych i drugich napastników, aliści stracił swoją umiłowaną dziewczeczkę. Obawiając się, że już jej nie odnajdzie, gorzko i rzewnie płakać począł, wołał na nią przy tym po imieniu i przebiegał las tam i z powrotem, ale wszędzie było cicho i pusto. Wracać nie śmiał, nie wiedział także, dokąd dotrze, jeśli przed siebie jechać będzie. Przerażała go również myśl o dzikich zwierzętach, od których, ani chybi, las się ten roił. Ciągłe mu na oczach stawała Agnolella, rozszarpana pazurami niedźwiedzia lub wilka. Przez cały dzień tedy błądził nieszczęsny Pietro po lesie, wołając na swoją ukochaną. Nieraz mu się zdawało, że naprzód zmierza, gdy tymczasem w samej rzeczy wracał na to samo miejsce. Krzyk, szloch, strach i głód tak go wreszcie zmęczyły, że całkiem z sił opadł. Gdy noc nastała, nie wiedząc, co począć, zsiadł z konia, uwiązał go do pnia ogromnego dębu, a sam na jego wierzchołek się przebrał, dla ochrony przed zwierzem. Po pewnym czasie wzeszedł księżyc i w lesie jasno się stało. Pietro wstrzymywał się od snu, obawiał się bowiem spaść z drzewa; przy tym niepokój o kochankę zasnąć mu nie pozwalał. Siedział na drzewie płacząc i przeklinając nieszczęsną dolę swoją.

Dzieweczka, jakeśmy to już wyżej powiedzieli, zdawszy się na wolę swego konia, pomknęła przed siebie na oślep. Po pewnym czasie tak w las zabrnęła, że nie mogła już rozpoznać strony, z której przybyła. Podobnie jak Pietro cały dzień po lesie błądziła, zatrzymywała się i znów dalej ruszała, płakała, nawoływała swego kochanka i na swój złowrogi los się żaliła. Pietro nie odzywał się wcale. Tymczasem wieczór nastał. Agnolella spostrzegła małą ścieżynkę, którą dalej jechać postanowiła. Przebywszy ze dwie mile ujrzała chatkę i natychmiast do niej pośpieszyła. Zastała w niej szedziwego wielce człeka i równie szedziwą jego żonę.

Obaczywszy samotną dziewczeczkę rzekli do niej:

– Co porabiasz, dziecie, w tych stronach o tak późnej porze?

Agnolella odparła ze łzami, że odbiła się od swych towarzyszy i że w lesie zabłądziła. Potem spytała, zali daleko jeszcze do Anagni. Starzec odrzekł:

– Do Anagni nie tędy droga. Miejsce to jest najmniej o dwanaście mil stąd oddalone.

– A daleko stąd do jakiejś miejscowości, gdzieby nocleg znaleźć było można? – spytała dziewczeczka.

– Do żadnej już przed nocą nie dotrzecie – odparł wieśniak.

– Jeśli tak, to w imię miłości Chrystusa, przygarnijcie mnie na noc dzisiaj – rzekła młódka błagalnym głosem.

– Radziśmy z całej duszy, abyś z nami na tę noc została – odparł gospodarz – aliści uprzedzić cię muszę, że złe bandy włóczą się dniami i nocami w tych okolicach, nasyłane przez przyjaciół i wrogów, i wyrządzają nam wiele szkód, a srogich utrapień przyczyniają. Gdyby więc na nieszczęście w czasie bytności twojej u nas ci złoczyńcy do domu naszego wtargnęli i obaczyli, jak młodą i urodziwą jesteś, strach pomyśleć, na jaką hańbę cnota twoja narażona by była. Nie zdołalibyśmy cię obronić mimo woli naszej. Uprzedzamy cię o tym z góry, abyś w razie nieszczęścia skarżyć się na nas nie miała prawa.

Chocia te słowa wieśniaka Agnolellę mocno przerażyły, przecie zważywszy, że pora jest późna, rzekła w te słowa:

– Łaska boska mnie i was od nieszczęścia ochroni. Jeśli już zasię tak okrutny los mi jest przeznaczony, to wolę być raczej przez ludzi skrzywdzoną niż rozszarpaną w lesie przez zwierzęta.

Po tych słowach zeszła z konia i do domu wieśniaka się udała, aby podzielić z zacnymi ludźmi ich skromną wieczerzę. Po czym nie rozdziewając się legła z nimi po społu na łożu. Całą noc płakała i wzdychała, przypominając sobie różne przypadki i myśląc o umiłowanym, o którego losie nic dobrego nie tuszyła.

O świcie usłyszała gromkie kroki zbliżających się licznie ludzi. Natychmiast wyskoczyła z łóżka i wyszła na obszerny dziedziniec, poza domem się znajdujący. Obaczywszy wielki stóg siana, ukryła się w nim, mniemając słusznie, że napastnicy nieprędko dzięki temu ją znajdą, choćby i na dziedziniec wtargnęli. Ledwie ukryć się zdołała, gdy owa szajka rabusiów do domku dobijając się poczęła. Spostrzegłszy osiodłanego rumaka, spytali gospodarza, co za przybysz jest w domu. Wieśniak, nie widząc młódki, odrzekł:

– W domu tym nie ma żywej duszy, krom mnie i staruchy, mojej żony. Koń ten należał do jakiegoś nie znanego mi człeka, któremu uciekł i przyczłapał tu wczoraj wieczór. Wprowadziliśmy go pod dach, aby go wilcy nie rozszarpali.

– Jeśli koń właściciela nie ma, to my go z sobą zabierzemy – odparł herszt bandy.

Rabusie rozbiegli się na wszystkie strony. Jedni z nich przetrząsali cały niewielki dom, drudzy na podwórku płądrowali. Potem odłożyli swe włócznie i tarcze. Jednemu z nich przyszło wówczas do głowy wetknąć lancę w stóg siana, co o mały włos śmierci dziewczeczki nie spowodowało. Ostrze lancy uderzyło ją w lewą pierś, tak iż nawet szatę na niej rozdarło. Dzieweczka, myśląc, że raniona została, w głos już krzyknąć chciała, aliści, pomyślawszy o niebezpieczeństwie, opamiętała się. Rabusie, rozłożywszy się tu i tam, piekli koźleta i inne mięsiwo, jedli i pili, wreszcie odeszli uprowadzając z sobą konia. Gdy już byli daleko, wieśniak spytał swej żony:

– Co się stało z dziewczeczką, która wczoraj do nas przybyła? Nie widziałem jej od czasu, gdym się z łoża podniósł.

Żona odrzekła mu, że nie wie, i udała się na poszukiwania. Dzieweczka usłyszawszy, że rabusie już się oddalili, wyszła ze stogu. Zacni wieśniacy uradowali się wielce, obaczywszy, że złoczyńcom w ręce nie wpadła.

Gdy się już dzień uczynił zupełny, starzec rzekł do Agnolelli:

– Teraz za dnia mogę cię, jeśli taka jest twoja wola, zaprowadzić do pewnego zamku o pięć mil stąd oddalonego. Mniemam, że bezpieczny schron tam znajdziesz. Musisz jednak tę drogę piechotą odbyć, bowiem złoczyńcy konia twego uprowadzili.

Młódka wielce się uradowała i poczęła go zaklinać w imię miłości Boga, aby ją do zamku odprowadził. Wkrótce wyruszyli w drogę i około drugiej godziny po południu do celu dotarli. Zamek należał do pewnego szlachcica z rodu Orsinich, zwanego Liello z Campo di Fiore¹²⁷. W tym czasie przebywała w zamku żona rycerza, białogłowa zacna i świątobliwa wielce. Ujrawszy Agnolellę, poznała ją zaraz, przyjęła uprzejmie, a potem spytała, jakim sposobem w tych okolicach się znalazła. Dzieweczka wszystko jej opowiedziała. Dama, która znała też Pietra, będącego przyjacielem jej męża, wielce się strapiła tym, co mu się przytrafiło. Posły-

szawszy, gdzie go osaczono, przekonana była w głębi duszy, że Pietro zginął, rzekła więc w te słowa, chcąc dziewczeczkę uspokoić:

– Ponieważ nie wiesz, co się z Pietrem stało, pozostaniesz u mnie do tego czasu, aż nie nadarzy się okazja bezpiecznego powrotu do Rzymu.

Tymczasem Pietro siedząc na dębie, w ciężkiej rozpaczce pogrążony, obaczył nagle w pierwszych godzinach nocy stado wilków, które zwęszywszy konia otoczyły go ze wszystkich stron. Koń zwietrzywszy je stanął dęba, zerwał wodze, którymi był do drzewa przywiązany, i uciec próbował. Gdy jednak wilcy drogę mu przecięli, bronił się przez pewien czas kopytami i zębami, aż wreszcie, na ziemię powalony, uduszonym i rozdartym na ćwierci został. Po czym wilcy ostawiwszy same tylko kości pobiegli dalej. Pietro, który rumaka za jedyną podporę swoją w tych nieszczęściach uważał, całkiem głowę stracił i zwątpił już, czy mu się z ostępów leśnych wydostać uda. Tymczasem zbliżyła się godzina świtu; Pietro przemarzył do kości, siedząc nieruchomo na dębie. Rozglądając się na wsze strony, obaczył nagle w oddali, w odległości mili, wielki słup ognia. Gdy się dzień uczynił, zszedł z dębu, nie bez pewnej trwogi, i w kierunku ognia podążył, aż dotarł do celu. Koło ogniska obaczył pastuchów śniadających wesoło, którzy z współczuciem wielkim go przyjęli. Pietro ogrzawszy się i posiliwszy opowiedział im o swoich przytrafieniach, a potem zapytał, zali tu w bliskości nie ma wioski albo zamku jakiego, dokąd mógłby się udać. Pasterze odparli, że nie dalej, jak o trzy mile od tego miejsca znajduje się zamek pana Liella z Campo di Fiore i że żona właściciela właśnie tam bawi. Pietro, uradowany, jął ich prosić, aby go do tego zamku zaprowadzili, na co dwóch pasterzy zaraz przystało. Przybywszy do zamku Pietro spotkał tam znanego sobie dobrze człowieka i poprosił go, aby nie mieszkając na poszukiwania Agnolelli kogoś wyprawił. Tymczasem zawołano go do pani zamku. Wszedłszy czym prędzej do jej komnaty i obaczywszy tam kochankę swoją, niewysłowionej radości doznał. Chciał ją zaraz w objęcia swoje pochwycić i tylko przez wzgląd na przytomność pani domu tego nie uczynił. Jeśli Pietro był tak uradowany, to szczęście dziewczeczki niemniejsze było. Pani zamku przyjęła Pietra z wielką dwornością, a wysłuchawszy jego opowieści, zganiała go, że wbrew woli rodziców swoich chciał się ożenić. Widząc go jednak niezachwianym w tym postanowieniu, a także afekt dziewczęcia zważywszy, rzekła sama do siebie: „Po cóż tak się tą sprawą zatrudniam? Miłują się nawzajem, znają się, oboje po równi należą do przyjaciół mego męża, przy tym ich zamyśły i pragnienia są wielce prawe. Zaiste mniemać należy, że związek ich jest miły Bogu, skoro Bóg zachował jedno od stryczka, drugie od pchnięcia kopią, oboje zaś od zwierząt drapieżnych. Niechże więc się pobiorą w imię Boże!”

Potem obróciła się do kochanków i rzekła:

– Jeśli niezachwianą wolą waszą jest stać się parą małżonków, to niechże ja do tego rękę przyłożę. Wesele wyprawię wam tutaj, na koszt Liella, a potem postaram się was z krewniakami pogodzić.

Pietro i Agnolella, wielce uradowani, w zamku ślub wzięli. Uczta weselna została odprawiona z taką wspaniałością, jaka tylko możliwa była w tej górskiej głuszy. Na zamku także małżonkowie pierwsze rozkosze wzajemnej miłości poznali. Po upływie kilku dni pani zamku wraz z młodą parą i oddziałem zbrojnych wyruszyła konno do Rzymu. Rodzice Pietra wielce się już o jego los niepokoiili. Damie udało się przywrócić zgodę między nimi a synem. Pietro żył z żoną swoją w Rzymie aż do późnej starości, wielkim szczęściem miłości się ciesząc.»

Opowieść czwarta



S Ł O N I K

Ricciardo Manardi, spoczywając w objęciach Katarzyny, przez jej rodzica, pana Lizio da Valbona, pochwycony zostaje i żeni się z Katarzyną, a z panem Liziem w dobrej zgodzie żyć poczyną.

Gdy Eliza skończyła i gdy umilkły pochwały jej opowieści składane, królowa skinęła na Filostrata, który śmiejąc się tak zaczął:

– Tyle już od was słyszałem przytyków za podaną przeze mnie wczoraj smutną materię do opowieści, która was do częstego płaczu przywodziła, iż chcę was obecnie za te łzy wynagrodzić. Przytoczę wam tedy krótką opowieść o dziejach kochanków, którzy nie zaznali innych niedoli jak tylko westchnień, krótkiego lęku i wstydu, po czym koniec ich czekał radosny. Mniemam, że was ta historia do szczerzego pobudzi śmiechu.

«A zatem, szlachetne damy, niedawno temu żył w Romanii¹²⁸ pewien dzielny i czcigodny szlachcic, panem Lizio da Valbona¹²⁹ zwany, który w dość szedziwym wieku już będąc małżonkę swoją, panią Giacominę, córką obdarzył. Dzieweczka ta podrosłszy przeszła urodą i wdziękiem wszystkie panny rówieśne. Rodzice miłowali ją nad życie jako jedyne dziecko swoje i strzegli ją jak źrenicę oka, w nadziei, że kiedyś w wysokie związki wstąpi. Dom pana Lizia odwiedzał często i długo w nim gościł pewien urodziwy młodzieniec, imieniem Ricciardo, do rodu Manardich z Brettinoro należący. Lizio i jego żona odnosili się doń z taką ufnością jak do rodzzonego syna. Zdarzyło się, że ów młodzian zwróciwszy raz i drugi baczniejsze spojrzenie na dziewczeczkę, już do zamięścia zdolną, znalazł ją piękną nad wyraz i wdziękiem a obyczajnością celującą. Dlatego też zakochał się w niej na śmierć, umiał jednak ukryć swoją miłość na dnie serca. Dzieweczka odgadła wkrótce jego afekt i nie przeciwając się, wzajemnością mu odpowiedziała. Ricciardo nie posiadał się z radości. Nieraz miał już zamiar miłość swoją jej wyznać, aliści nie dostawało mu odwagi. Pewnego dnia, nie mogąc już zdzierżyć dłużej, rzekł do Katarzyny:

– Katarzyno, błagam cię na wszystko, nie daj mi umrzeć z miłości.

– Bóg widzi – odparła w lot dziewczeczka – że się boję, abym z miłości do ciebie ja raczej ducha nie wyzionęła.

Odpowiedź ta ucieszyła niezmiernie Ricciarda i tyle otuchy mu dała, iż rzekł:

– Uczynię wszystko, co tylko miłe ci być może. Aliści ty sama musisz wynaleźć stosowny

środek dla ocalenia życia nas obojga.

– Ricciardo – odparła dziewczeczka – wiesz dobrze, pod jak surowym mnie trzymają dozorem. Nie wiem, jak to uładzić, abys przyjsć do mnie mógł. Jeżeli widzisz jednak jakiś sposób, który by czci mej na szwank nie naraził, powiedz mi o nim, a przyrzekam ci, że chętnie na wszystko się zgodzę.

Ricciardo po długim namyśle rzekł:

– O Katarzyno, duszo mojej duszy! Znam tylko jeden sposób, który taki jest, aby ci pozwolono spać lub pojawić się na balkonie, który na wasz ogród wychodzi. Gdy będę wiedział, że się tam nocą znajdujesz, postaram się do ciebie dostać, jakkolwiek wysoko to bardzo.

Na co odparła Katarzyna:

– Jeśliś tylko gotów się wspinać, już ja tak wszystkim pokierować myślę, że będę mogła tam spać.

Ricciardo raz jeszcze o swej gotowości ją zapewnił. Po tej rozmowie rozeszli się, jeden tylko mimochodem wymieniwszy pocałunek. Maj dobiegał już końca. Następnego dnia dziewczeczka poczęła skarżyć się przed matką, że ubiegłej nocy dla wielkiego upału spać nie mogła.

– Jakież tam upało, córuchno? – zdziwiła się matka. – Upałów raczej ani śladu.

– Mamo kochana – odrzekła Katarzyna – powinnaś dodać: „moim zdaniem”, a wtedy może byłabyś bliską prawdy. Atoli pomyśleć ci trzeba, o ile więcej żaru mają w sobie młode dziewczęta niż stateczne niewiasty.

– Nie przeczę temu, moje dziecko – odpowiedziała matka – ale nie mogę wedle woli własnej sprowadzać zimna i gorąca, jakbyś może tego chciała. Trzeba ścierpieć czas taki, jaki przynosić z sobą zwykły pory roku. Może dzisiejsza noc będzie chłodniejsza i spać będziesz lepiej.

– Dałby Bóg – rzekła Katarzyna – ale nie zwykła to rzeczy kolej, by im bliżej lata, tym chłodniejsze miały stawać się noce.

– Cóż tedy poradzić na to, twoim zdaniem?

– Jeśliby mój ojciec wraz z tobą nie miał nic przeciwko temu, chętnie posiałabym sobie na balkonie wychodzącym na ogród, obok jego komnaty, i tam położyłabym się spać. Słuchając słowika i leżąc w chłodzie czułabym się o wiele lepiej niż w ciasnocie twojej sypialni.

– Bądź dobrej myśli, dziecko – odparła matka – powiem to ojcu twemu. Zrobimy tak, jak on zechce.

Pan Lizio, który będąc już w szedziwym wieku, uporem nieco grzeszył, rzekł, gdy żona przedłożyła mu prośbę córki:

– Co to za słowik, przy którego śpiewie spać się jej zachciewa? A może by ją nauczyć spać przy śpiewie koników polnych?

Dowiedziawszy się o odmownej odpowiedzi rodzica, Katarzyna następnej nocy nie tyle z gorąca, ile z gniewu nie tylko nie spała, ale i matce oka zmrużyć nie pozwoliła, żaląc się nieustannie na upał i duszność.

Matka udała się rankiem do pana Lizia i rzekła:

– Wierę, mój małżonku, niezbyt widać córkę swoją miłujesz! Cóż ci to szkodzić może, jeśli na balkonie się prześpi? Dzisiaj przez całą noc z gorąca rady sobie dać nie mogła. Cóż dziwnego w tym zresztą, że lubi śpiew słowika? Wszak to dziecko jeszcze, a dzieci lubią wszystko, co do nich jest podobne.

– Zgadzam się zatem – odparł pan Lizio – każ jej łożę postawić, jakie zmieścić się zdoła na balkonie, i zasłony dokoła zapuścić. Niechaj tam śpi i słucha śpiewu słowika, ile jej się żywnie podoba.

Dzieweczka, dowiedziawszy się o pozwoleniu ojca, czym prędzej urządziła sobie posłanie na balkonie. Przed następną nocą, którą tam spędzić zamierzała, umówionym znakiem Ricciarda uwiadomiła, tak iż ów wiedział już, co mu czynić należy. Pan Lizio, usłyszawszy wie-

czorem, że Katarzyna spać się położyła, zamknął drzwi, które z jego komnaty na balkon wiodły, i sam legł na łożo.

Ricciardo zasię, gdy już wszystko w domu ucichło, po drabinie na jeden mur się wdrapał, a potem, wystawiając się na hazard skręcenia sobie karku, na gzyms drugiego się przebrał; aż wreszcie na balkonie nogę postawił. Katarzyna z nieopisaną radością go przyjęła. Po wielu pocałunkach legli po społu i przez całą noc niewysłowionej rozkoszy zażywali, przy czym słowikowi po wielokroć śpiewać kazali. Uniesienia ich trwały długo, noc zasię krótka była, nie postrzegli przeto, że już dzień jest bliski. Rozgrzani miłosnymi igraszkami i porą wiosenną, usnęli obok siebie bez żadnego okrycia. Katarzyna, objawszy prawą ręką Ricciarda za szyję, lewą trzymała mocno tę jego cząstkę, której nazwy wy, białogłowy, wielce się zawsze wśród mężczyzn sromacie.

Gdy tak spali, dzień nastał i pan Lizio podniósł się z pościeli. Przypomniawszy sobie, że córuchna śpi na balkonie, rzekł do się po cichu drzwi otwierając: „Obaczmyż, czy słowik swoją pieśnią spać dziś Katarzynie pozwolił.”

Podszedł do łoża, odsunął zasłonę i spostrzegł córkę obnażoną i w ramionach Ricciarda śpiącą. Poznawszy Ricciarda nie rzekł ani słowa. Nie czyniąc hałasu do swojej komnaty powrócił, udał się do żony i tymi słowy ją zbudził:

– Wstawaj prędko, miła żono, jeśli chcesz obaczyć, jak córka twoja, która w słowiku sobie upodobała, schwytała go i dotąd go w rękę trzyma.

– Jakże to być może? – spytała żona.

– Chodź tylko prędej – odrzekł pan Lizio – a sama obaczysz.

Pani Giacomina spiesznie się przyodziała i cichutko udała się z mężem na balkon. Zbliżywszy się do łoża córki, pan Lizio uniosł zasłonę. Wówczas jego żona obaczyła, jak to Katarzyna, w śpiewie słowika rozmiłowana, trzyma schwytanego ptaka krzepko w swoim ręku. Pani Giacomina, srodze na Ricciarda zagniewana, już krzyk podnieść chciała, ale pan Lizio wstrzymał ją i rzekł:

– Wstrzymaj się, żono, jeśli ci drogą jest miłość moja, wstrzymaj się i waruj się ust otworzyć. Wierę, to, co córka nasza schwytała, już do niej należeć musi. Ricciardo pochodzi z zanego rodu, jest przy tym bogatym człowiekiem. Związek z nim tedy tylko zaszczyt sprawić nam może. Jeżeli chce się żywy i cały z tego domu wydostać, musi się z Katarzyną pierwej zaręczyć i przekonać się, że słowika w swojej własnej, a nie w obcej klatce umieścił.

Żona widząc, że mąż nie turbuje się tym wszystkim zbyt, uspokoiła się zaraz i zmiłkła pomyślawszy, jak przyjemną noc córka jej miała; spała dobrze, a przy tym pojmała słowika. Niedługo trwało, a tymczasem Ricciardo ze snu się ocknął. Widząc, że dzień się jasny uczynił, zmartwił ze strachu, zbudził Katarzynę i zawołał:

– O moja duszo, cóż nam teraz uczynić wypada? Oto dzień się już uczynił i tu mnie zaskoczył!

Na te słowa pan Lizio przystąpił do łoża, podniósł zasłonę i rzekł:

– Co czynić? Jakoś to wszystko uładzimy! Na ten widok Ricciardowi zdało się, że mu ktoś serce wydziera z piersi. Podniósł się natychmiast i rzekł:

– Panie Lizio, na miłosierdzie boskie, ulitujcie się nade mną. Uznaję, że jako niegodziwy i zdradziecki człowiek na śmierć zasłużyłem. Czyńcie ze mną, co chcecie, zaklinam was jednak, darujcie mi życie!

– Ricciardo – odparł pan Lizio – w samej rzeczy, za miłość moją i zaufanie, jakie dla ciebie żywiłem, nie zasłużyłem na taką zapłatę. Kiedy się jednak już stało to, do czego młodość cię skusiła, pojmij Katarzynę za żonę, dla uratowania siebie od śmierci, mnie zasię od hańby. Czym była córka moja dla ciebie przez tę noc całą, niech tym na całe życie zostanie. Tym tylko sposobem możesz mnie ułagodzić i własne życie ocalić. Jeżeli zaś się nie zgadzasz, poleć duszę swoją Bogu!

Katarzyna, słysząc groźne słowa rodzica, puściła słowika i okrywszy się, z płaczem pana

Lizia prosić ją, aby jej kochankowi przebaczył. Jednocześnie także błagała Ricciarda, aby na żądanie jej rodzica przystał i tym sposobem w spokoju więcej podobnych nocy sobie i jej zgotował.

Prośby te jednakże zbyt zbytecznymi były, bowiem Ricciardo wstydem za swój błąd i chęcią naprawienia go powodowany, a z drugiej strony pobudzany zarówno lękiem przed śmiercią i chęcią wydobycia się z matni, jak pragnieniem posiadania umiłowanej dziewczeczki, natychmiast, bez żadnych wybiegów, oznajmił gotowość wypełnienia woli pana Lizia. Wówczas pan Lizio wziął od żony pierścień i wręczył go Ricciardowi, który nie mieszkając, w przytomności rodziców z Katarzyną się zaręczył. Po czym pan Lizio i jego małżonka ostawili obłubieńców samych rzekłszy tylko:

– Spocznijcie teraz, należy się wam bowiem jeszcze trochę snu.

Gdy rodzice wyszli, narzeczem rzucili się sobie znów w ramiona i do sześciu mil, które tej nocy przebyli, jeszcze dwie dodali, nim się z łoża podnieśli. Tak skończył się pierwszy dzień ich wędrówki. Ricciardo rozmówił się z panem Lizio szczegółowie o wszystkim, a po upływie kilku dni w przytomności krewniaków i przyjaciół wziął ślub z Katarzyną, wwiódł ją uroczyście do domu swego i wspaniałe wesele wyprawił. Potem przez długi czas, dniem i nocą, w spokoju i radości łowili słowika, ile tylko zapragnęli.»

Opowieść piąta



DWAJ RYWALE

Guidotto z Cremony porucza córkę swoją Giacominowi z Powii i umiera. Giannole di Severino i Minghino di Mingole, zakochawszy się w niej w Faenzy, bójkę o nią wszczynają. Dzieweczka, która okazuje się siostrą Giannolego, wychodzi za mąż za Minghina.

Słuchając opowieści o słowiku damy tak się śmiały serdecznie, że gdy Filostrato umilkł, jeszcze się pohamować nie mogły. Wreszcie powściągnąwszy śmiech królowa tak rzekła do Filostrata:

– Wierę, jeżeli wczoraj nas zasmuciłeś, to dziś dałeś nam taką do wesela przyczynę, że żadna z nas już nie ma prawa skarżyć się na ciebie.

Potem królowa zwróciła się do Neifile i opowiadać jej rozkazała. Ta z wesołym obliczem w te słowa zaczęła:

«Filostrato w opowieści swojej do Romanii nas zawiódł, ja także myślę tam się obrócić. Wiedźcie zatem, że za dawnych czasów żyli w mieście Fano dwaj Lombardczycy, Guidotto z Cremony i Giacomino z Pawii. Obaj byli już szedziwymi ludźmi. W młodości swojej wyłącznie niemal wojennym rzemiosłem się parali. Guidotto, czując się bliski śmierci, a nie mając syna ani przyjaciela, w którym by ufność mógł pokładać, porucił Giacominowi dziesięcioletnią córkę swoją wraz z całym dobytkiem, opowiedział mu szczegółowie o wszystkich sprawach swoich i oddał ducha Bogu. Pod ten czas właśnie miasto Faenza¹³⁰, wojnami i klęskami długo nękane, do bardziej pomyślnego znów doszło stanu, tak iż wszystkim dawnym mieszkańcom powrócić do grodu było wolno. Ściągnął tedy do Faenzy i Giacomino z Cremony, który niegdyś tam mieszkał. Zabrał z sobą wszystkie swoje dostatki oraz dziewczeczkę pozostawioną mu przez Guidotta, którą jak rodzoną swą córkę miłował. Dzieweczka ta z wiekiem urodą swoją przed wszystkimi młódkami przodek w mieście wzięła, przy tym równie wdziękiem i obyczajnością jak i pięknnością celowała. Wielu młodzieńców szczególnie ją sobie upodobało, zwłaszcza zaś dwóch urodziwych i zacnych szlachciców o względy jej po równi zabiegać poczęło. Rozgorzawszy wielką miłością do niej, wskutek wzajemnej zazdrości śmiertelną nienawiścią do siebie zapłonęli. Jednego z tych młodzieńców zwano Giannole di Severino, drugiego Minghino di Mingole. Dzieweczka już do piętnastego roku życia doszła i każdy z nich ochotnie by ją żoną swoją uczynił, gdyby rodzice na to się zgodzili. Aliści wie-

dząc, że biorąc za pozór ich młodość rodzice im odmówią, postanowili inną drogą osiąść przedmiot swojej miłości i pragnienia swoje do lubego przywieść skutku. Giacomino trzymał w swym domu starego sługę i pacholka, imieniem Crivello, wesołego i krotchwilnego człowieka. Giannole zaznajomił się z nim, w sposobnej chwili odkrył mu tajemnicę swojej miłości i prosił go, aby mu dopomógł do spełnienia pragnień, obiecując mu za to sowną nagrodę.

Wysłuchawszy go, Crivello rzekł:

– Tylko to dla ciebie uczynić mogę, że któregoś wieczoru w czasie nieobecności pana Giacomina wprowadzę cię do komnaty dziewczeczki. Gdybym zasię jej o tobie wspomniał, nawet by słuchać mnie nie chciała. Jeżeli ci taka przysługa może być użyteczna, to ci ją obecnie przyrzekam i słowo moje zdzierzę. Twoją rzeczą będzie tak potem sobie poczynać, abyś cel pragnień osiągnął.

Giannole zaręczył mu, że niczego więcej nie pragnie, i po chwili rozmowy rozstał się z nim. Tymczasem z drugiej strony Minghino pozyskał dla siebie szedziwą służkę i tak zręcznie z nią rzecz uładził, że zanosila kilkakroć jego poselstwa do dziewczeczki i bez mała wzbudziła w niej miłość do niego. Starucha przyrzekła mu także, że go do ukochanej wprowadzi, gdy tylko któregoś wieczoru Giacomino w domu przytomny nie będzie.

Wkrótce później Giacomino za sprawą Crivella wyszedł z przyjacielem swoim na wieczór. Crivello natychmiast Giannola o tym uwiadomił donosząc mu, że na umówiony znak znajdzie drzwi domu otworem stojące. Służka, nic o tym nie wiedząc, ze swej strony uprzedziła Minghina, że Giacomina w domu nie będzie. Niechaj zatem Minghino gdzieś w bliskości domu przebywa, a skoro ujrzy znak, do komnaty wchodzi!

Obaj młodzieńcy za nadejściem wieczoru, nic o sobie wzajem nie wiedząc, udali się w stronę domu Giacomina, aby na umówiony znak czekać. Ponieważ jeden drugiego zbyt pewien nie był, wzięli z sobą na wszelki przypadek kilku uzbrojonych przyjaciół. Minghino z swymi towarzyszami schronił się w pobliskim domu, należącym do jednego z przyjaciół. Giannole zasię nieco dalej się zaczął. Gdy Giacomino z domu wyszedł, Crivello i służka starali się na wyprzódki pozbyć jedno drugiego.

– Dlaczego spać się nie kładziesz? – mówił Crivello do staruchy. – Czy długo jeszcze po domu plątać się zamierzasz?

– A ty dlaczego nie idziesz za swoim panem? – odrzekła służka. – Na co jeszcze czekasz, skoro już wieczór zjadłes?

I ani jedno, ani drugie z miejsca ruszyć się nie chciało. Crivello widząc, że zbliża się godzina, w której miał podać umówiony znak Giannolem, rzekł sam do siebie: „Po cóż mam się o staruchę troskać? Gdy krzyk będzie podnieść chciała, znajdzie się na nią stosowny środek.”

I tak pomyślawszy, dał umówiony znak i poszedł drzwi otworzyć. Giannole wszedł natychmiast do domu wraz z dwoma towarzyszami. Dzieweczka siedziała w komnacie. Porwali ją i uprowadzić chcieli. Dziewczkę poczęło krzyczeć, a w ślad za nią i służka krzyk podniosła. Minghino, usłyszawszy tumult, nadbiegł po społu z swymi przyjaciółmi. Widząc, że dziewczkę z domu uprowadzają, dobyli szpad i krzyknęli:

– Śmierć wam, zdrajcy! Zuchwalstwo to nie ujdzie wam płazem! Co to za napad?!

Z tym okrzykiem rzucili się na napastników. Na larum nadbiegli sąsiedzi ze światłem i z orężem w ręku. Wszyscy, oburzeni, po stronie Minghina stanęli. Po długiej walce udało się Minghinowi wyrwać dziewczę z rąk Giannola i z powrotem do domu Giacomina odwieść. Jeszcze bój nie ustał, gdy nadbiegli strażnicy podesty, pochwycili wśród innych Giannola, Crivella i Minghina i do więzienia ich zabrali. Gdy już wszystko się uspokoiło, Giacomino do domu powrócił. Na wieść o całym zdarzeniu, wielkim gniewem zapłonął, przekonawszy się jednak, po bliższym zbadaniu sprawy, że dziewczeczka niczemu winna nie jest, uspokoił się nieco. Dla uniknięcia na przyszłość podobnych przytrafień, postanowił wydać ją jak najprędzej za męża. Rodzice młodzieńców, dowiedziawszy się nazajutrz rano o przebiegu całej

sprawy, pojęli, jak smutne następstwa dla obu uwięzionych rywali mieć ona może, jeżeli Giacomino będzie chciał się mścić, do czego zresztą pełne prawo posiada. Dlatego też do Giacomina się udali, usilnie go prosząc, aby dla miłości i przyjaźni dla nich nie baczył na krzywdę, którą mu ci dwaj młodzieńcy w nierozwadze swojej uczynili. Ze swej strony przyrzekli, że oni i winowajcy uczynią mu zadość we wszystkim, czego tylko od nich zażąda. Giacomino, który wiele w życiu swoim zaznał i był człkiem dobrotliwym, odpowiedział im krótko:

– Panowie! Gdybym nawet był tutaj w moim własnym kraju, tak jak jestem w waszej ojczyźnie, to i wtedy, w imię przyjaźni mojej do was, uczyniłbym wszystko, co wam może być miłe. Teraz zasię tym bardziej jestem obligowany to uczynić, że nie mnie, a wam ujma się stała. Wiedźcie bowiem, że dziewczę to jest rodem nie z Cremony ani z Pawii, jak niektórzy mniemają, jeno z Faenzy. Czyją córką jest, tego nie wiem, jako nie wiedział i ten, co mi ją w poruczeństwo oddał. Dlatego też ochotnie na waszą prośbę przystaję.

Zacni obywatele usłyszawszy, że dziewczeczka z Faenzy pochodzi, wielce się zadziwili. Po dziękowali Giacominowi w gorących słowach za jego ludzkość, a potem prosić go jęli, aby im opowiedział, w jaki sposób dziewczeczka do niego się dostała i skąd mu wiadomo, że właśnie z Faenzy jest rodem.

Giacomino odparł na to:

– Guidotto z Cremony, mój stary druh i towarzysz broni, przed śmiercią oznajmił mi, że gdy Faenza przez cesarza Fryderyka zdobyta i na złupienie wydana została, wpadł z towarzyszami do pewnego domu, który pełen różnorodnego dobytku przez mieszkańców był opuszczony. W domu tym pozostała tylko dziewczeczka licząca wówczas trzeci rok życia. Gdy Guidotto po schodach wchodził, zawołała nań: „ojcze”. Tkliwością zdjęty, wziął z sobą dziewczeczkę do Fano, wraz ze wszystkim, co w opuszczonym domu był znalazł. Na łożu śmiertelnym się znajdując powierzył mi ją wraz z całym majątkiem i zobowiązał mnie, abym, gdy do lat żrałych dojdzie, za męża ją wydał, dając jej jako wiano wszystko, co po sobie ostawił. Teraz już do zamęcia jest zdolna, aliści nie znalazłem jeszcze dotąd młodziana, co by mi do serca przypadł. Rad bym ją jak najprędzej dać w stadło, aby podobne przytrafienia, jak w dniu wczorajszym, już się powtórzyć nie mogły.

Wśród przytomnych znajdował się niejaki Wilhelm z miasteczka Medicina, który wraz z nieboszczykiem Guidotto wówczas w Faenzy plądrując pamiętał doskonale, czyj dom Guidotto zrabował. Wilhelm zbliżył się tedy do właściciela owego domu i rzekł:

– Bemabuccio, zali słyszałeś, co Giacomino powiedział?

– Słyszałem – odparł Bemabuccio, który znalazł się między przybyłymi – i właśnie nad tym zamyśliłem się, bo jeżeli to w moim domu się stało, musiała to być moja córka, wiadomo ci bowiem, że w ówczesnym zamęcie utraciłem córeczkę, w podanym przez Giacomina wieku.

– Nie lza wątpić, że to twoje dziecię! – zawołał Wilhelm. – Guidotto, jak pomnę, opisywał ów zrabowany przez się dom tak, iż upewniony być mogę, że wszystko to u ciebie się działo. Przypomnij sobie, czy córka twoja nie miała jakiegoś szczególnego znaku, po którym mógłbyś ją poznać.

Bemabuccio na te słowa przypomniał sobie, że córka jego, w samej rzeczy, nad lewym uchem miała bliznę w kształcie krzyża, pozostała po wrzodzie, który przed owym zdarzeniem przeciąć jej kazał. Zbliżył się tedy do Giacomina i poprosił go, aby mu dziewczeczkę pokazał. Giacomino ochotnie do swego domu go zawiódł i dziewczeczkę przywołać kazał. Bemabuccio spojrzawszy na nią obaczył zaraz w jej rysach wielkie podobieństwo do matki, która mimo swego wieku, jeszcze piękną niewiastą była. Aby jednak jeszcze lepiej się upewnić, poprosił Giacomina o pozwolenie podniesienia dziewczęciu włosów nad lewym uchem, na co Giacomino przystał. Bemabuccio, zbliżywszy się do osłupiałej dziewczeczki, podniósł jej włosy i obaczył natychmiast znamię w kształcie krzyża. Na ten widok za córkę swą ją uznał, zapłakał cicho i wziął ją w ramiona, jeszcze pełną pomieszania i zawstydenia. Potem, obróciwszy się do Giacomina, rzekł:

– Drogi przyjacielu! Dzieweczka ta jest moją córką. Dom, który Guidottowi na łup wydano, był moim domem. Żona moja w śmiertelnej trwodze i pośpiechu dziecię w nim ostawiła. Ponieważ zasię dom mój tego dnia zgorzał, więc mniemaliśmy, że dziecię pastwą ognia padło.

Dzieweczka, słysząc te słowa i widząc, że jest szedziwym i czcigodnym człkiem, uwierzyła we wszystko, co mówił. Jakby jakąś tajną skłonnością wiedziona, padła mu w ramiona i po społu z nim płakać poczęła. Bemabuccio posłał zaraz po żonę i swoich krewniaków, a także po braci i siostry dziewczęcia. Pokazał ją im i całą historię opowiedział. Tysiącem pieśczęt i pocałunków córkę obsypawszy, za zgodą Giacomina, po wyprawieniu wspaniałej uczy, Bemabuccio do swego domu ją zabrał. Kapitan grodu, człek ludzkiego serca, usłyszawszy całą historię i wiedząc, że pochwycony Giannole, jako syn Bemabuccia, rodzonym bratem dziewczeczki się okazał, postanowił jego winę w niepamięć puścić. Naradziwszy się z Bernabucciem i Giacominem, rozkazał Giannola i Minghina na wolność wypuścić. Minghino, ku wielkiemu ukontentowaniu całej rodziny, ożenił się z dziewczeczką, którą Agnesą zwali. Crivello i inni w tę sprawę zamieszani także wolność odzyskali. Minghino wspaniałą ucztę weselną wyprawił, a potem żył długie lata z Agnesą w szczęściu i spokoju.»

Opowieść szósta



SZCZĘŚLIWE SPOTKANIE

Gianni z Procidy przychwycony z umiłowaną dziewczeczką, która ofiarowana była królowi Fryderykowi¹³¹, przywiązany zostaje do słupa, aby po społu z nią ponieść śmierć na stosie. Poznany przez Ruggiera de Loria, uchodzi śmierci i dziewczeczkę w stadło pojmuje.

Gdy opowieść Neifile, która damom wielce się podobała, do końca została dowiedziona, królowa rozkazała zacząć Pampinei. Ta, podniósłszy jasną twarzą swoją, rzekła w te słowa:

– Niezmierną, miłe towarzyszyki moje, jest potęgą miłości. Daje ona kochankom męstwo do najtrudniejszych przedsięwzięć i stałość wobec strasznych i nieoczekiwanych niebezpieczeństw. Przekonać się o tym mogłyście już z wielu przykładów przytoczonych tak dzisiaj, jak i w inne dni. Mimo to pragnę wam dać nowy dowód w powieści o pewnym zakochanym młodzieńcu.

«Ischia jest wyspą w pobliżu Neapolu leżącą. Przed dość dawnym czasem żyła na niej bardzo urodziwa dziewczeczka, imieniem Restituta, córka pewnego szlachcica, Marino Bolgaro¹³². Miłowała ona nad życie młodzieńca, imieniem Gianni, pochodzącego z sąsiedniej wysepki Procidy, a on również był w niej rozmiłowany. Młodzieniec ów nie tylko, że w dzień na Ischię przybywał, ale często, nie znalazłszy łódki, nocą drogę z Procidy na Ischię w pław przebywał, aby ujrzeć jeśli nie ją, to przynajmniej mury jej domu. Gdy gorąca ich miłość tak trwała, zdarzyło się, że dziewczeczka wyszła pewnego dnia letniego na samotną przechadzkę nad brzeg morski. Przechodząc ze skały na skałę, odrywała nożem muszle od kamieni i tak, sama nie wiedząc kiedy, doszła do małej zatoki ukrytej za urwiskiem. Kilku młodych Sycylijczyków, płynących z Neapolu na swojej fregacie, zwabionych chłodnym cieniem i powabem czystego źródła, tryskającego na brzegu, wczasowi tutaj się oddawało. Obaczywszy młodą i piękną dziewczeczkę, która ich jeszcze nie spostrzegła, i przekonawszy się, że jest sama, postanowili pochwycić ją i uprowadzić z sobą. Co umyślili, tego dokonali. Mimo oporu i krzyków młódki zaciągnęli ją na pokład fregaty i odpłynęli.

Gdy przybyli do Kalabrii i umawiać się poczęli, komu dziewczeczka ma przypaść w udziale, okazało się, że każdy ją tylko dla siebie mieć pragnie. Widząc, że się pogodzić nie mogą, i obawiając się, że z jej przyczyny jeszcze do bójkii przyjść by mogło, dzięki czemu różne ich

sprawy zły obrót by wzięły, postanowili darować młodkę królowi Sycylii, Fryderykowi. Młody naonczas król był wielkim lubownikiem pięknych kobiet. Zamysł swój wykonali zaraz po przybyciu do Palermo. Król wielce sobie dziewczeczkę upodobał i z radością w podarunku ją przyjął. Szwankując jednak wówczas nieco na zdrowiu, rozkazał umieścić ją w wspaniałym pałacu, położonym w jednym z jego ogrodów, zwanym Cuba¹³³, i pilnować jej, dopóki sił utraconych nie odzyska. Tak się też stało.

Tymczasem cała Ischia z powodu porwania Restituty w największym poruszeniu była. Krewniaków dziewczeczki najbardziej trapiła myśl, kim byli ci, co ją porwali. Gianni zaś, który więcej od innych się turbował, nie czekając, aż jakaś wieść na Ischię nadejdzie, dowiedział się, w którą stronę fregata się skierowała, a potem kazał uzbroić okręt i czym prędzej przeszkukał na nim całe wybrzeże, od przylądku Minerva¹³⁴ aż do Scalea w Kalabrii. Wszędzie po drodze zapytywał się o swoją umiłowaną dziewczeczkę.

Wreszcie w Scalea powiedziano mu, że sycylijscy marynarze do Palermo ją powieźli. Na tę wieść Gianni natychmiast do Palermo popłynął. Po wielu poszukiwaniach, starań i zachodów nie litując, dowiedział się, że Restitutę podarowano królowi i że znajduje się ona pod strażą w Cuba. Nowina ta silnie Gianniego wzburzyła, postradał on prawie całą nadzieję nie tylko posiadania swojej umiłowanej, ale nawet ujrzenia jej kiedykolwiek. Mimo to, siłą miłości powodowany, odesłał swój okręt i pozostał w Palermo, wiedząc, że go tutaj nikt nie zna. Przechodząc często koło pałacu, ujrzał pewnego dnia Restitutę w oknie. Restituta także go spostrzegła; z tego ujrzenia się oboje niewysłowioną radość odnieśli. Gianni, widząc, że miejsce jest odosobnione, podszedł do okna tak, żeby dziewczeczka słowa jego usłyszeć mogła, i dowiedział się, co czynić, ażeby pomówić z nią z bliska. Po czym odszedł rozejrzawszy się szczegółowie po okolicy.

Gdy noc zapadła i część jej znaczna już minęła, Gianni powrócił; wdrapał się na mur tak gładki, że dzięcioł by się na nim ledwo mógł utrzymać i przebrał się do ogrodu. Tutaj znalazł wysoki drąg, przystawił go do okna i z wielką zręcznością wspiał się przy jego pomocy do okna kochanki. Restituta, zważywszy, że cześć jej, ze względu na którą nieco surowic z Giannim postępowała, już na wieki przepadła, do tej myśli przyszła, że godność jej najmniej ucierpi, gdy do Gianniego należeć będzie. Dlatego też postanowiła wszystkie jego życzenia wypełnić, żywiąc nadzieję, że Gianni ją oswobodzi. Ostawiła tedy okno otworem, aby kochanek łatwiej mógł do jej komnaty przeniknąć. Gianni wszedł przez okno i leżał obok dziewczeczki na łożu. Restituta odkryła mu wszystkie swoje zamysły błagając go, aby ją uwolnił i zabrał z sobą. Gianni odparł na to, że i on niczego bardziej nie pragnie i że następnego dnia całą rzecz uładzi, by wziąć ją z sobą, gdy następnym razem do niej przybędzie. Potem uścisnęli się i pełni uniesienia oddali się rozkoszy, nad którą miłość większej dać nie może. Powtarzając te igraszki, nie postrzegli, jak ze znużenia zasnęli, jedno w objęciach drugiego. Tymczasem król, któremu Restituta na pierwszym pojrzeniu wielce do smaku przypadła, przypomniał sobie o niej, a czując się na siłach skrzepiony, postanowił pewien czas z nią spędzić, chociaż się już i ranek zbliżał. W towarzystwie kilku sług udał się zatem bez zapowiedzi do Cuby. Wszedł do pałacu nie postrzeżony przez nikogo, kazał otworzyć po cichu drzwi do komnaty, w której dziewczeczka spała, i z zapaloną pochodnią stanął na progu. Spojrzawszy na łoże, obaczył ją obnażoną i śpiącą w ramionach Gianniego. Na ten widok takim gniewem zapłonął nie mówiąc ani słowa, że z trudem pohamował się, aby kochanków nie przebić sztyletem, który zawsze u pasa nosił. Zważywszy jednak, że pozbawienie życia ludzi bezbronnych, we śnie się znajdujących, byłoby sromotą dla każdego, a cóż dopiero dla króla, powściągnął swój gniew i postanowił publicznie na stosie ich spalić. Obróciwszy się do jedyne go towarzysza, którego miał przy boku, rzekł:

– Co myślisz o tej nierządnej białołowie, po której sobie tyle obiecywałem?

Potem spytał go, zali zna młodzieńca tak zuchwałego, że królowi podobną hańbę we własnym jego domu wyrządzić się odważył. Zapytany odrzekł, że nie przypomina sobie, aby tego

młodzieńca kiedykolwiek widział. Wówczas król, srodze poburzony, wyszedł z komnaty rozkazawszy wprzód oboje kochanków, tak obnażonych, jak są, przytrzymać, związać i za dnia do Palermo na rynek odprowadzić. Tam zasię przywiązać ich do pała plecami do siebie i tak trzymać ich aż do godziny trzeciej, aby ich wszyscy obaczyć mogli, a po upływie tego czasu spalić, jak na to zasłużyli. Taki rozkaz wydawszy, król, pełen rankoru i złości, do pałacu swego w Palermo powrócił.

Po oddaleniu się króla, słudzy nie tylko zbudzili kochanków ze snu, ale natychmiast bezlitośnie rzucili się na nich, aby im ręce i nogi związać. Imaginujcież sobie, jakim smutkiem to nagłe nieszczęście kochanków przejąć musiało i jak poczęli drzeć z trwogi o życie swoje, płakać i narzekać. Zgodnie z rozkazem króla zawiedziono ich do Palermo i na placu do jednego słupa przywiązano. Po czym na ich oczach stos wznosić poczęto, aby o wyznaczonej przez króla godzinie karze ognia podlegli. Na plac zbiegła się wkrótce ciżba ludzi, z mieszkańców Palermo złożona, dla obejrzenia nieszczęsnych miłośników. Mężczyźni, cisnący się dla przyjrzenia się młodej dziewczynie, głośno wychwalali jej urodę i kształtowne ciała złożenie, białogłowy zasię nie mogły się dość nawysławiać piękności młodzieńca. Nieszczęśni kochankowie, okrutnego sromu pełni, stali z opuszczonymi głowami oplakując swój los przeciwny i z godziny na godzinę czekając na śmierć w płomieniach.

Gdy w ten sposób oczekiwali chwili wykonania wyroku, opowieść o ich winie, z ust do ust przechodząc, doszła wreszcie do pana Ruggiera de Loria¹³⁵, męża osobliwej dzielności, który podówczas urząd królewskiego admirała sprawował. Ruggieri de Loria chcąc ich zobaczyć przybył na plac; spojrzawszy najpierw na dziewczeczkę zachwycił się jej pięknnością. Gdy potem wzrok na młodzieńca obrócił, poznał go zaraz, przystąpił tedy do niego i zapytał, zali zowią go Giannim z Procidy. Gianni podniósł głowę, a poznawszy admirała rzekł:

– Tak, panie, byłem tym, o kogo się pytacie, i kim już wkrótce być przestanę!

Wówczas admirał zapytał, co go do takiego stanu przywiodło.

– Miłość – odparł Gianni – i gniew króla.

Ruggieri poprosił go, aby mu o wszystkim szczegółowie rozpowiedział.

Wysłuchawszy opowieści nieszczęśnika chciał odejść spiesźnie, aliści Gianni zatrzymał go i rzekł jeszcze:

– Ach, czcigodny panie, jeżeli to tylko w waszej mocy leży, wyjednajcie mi jedną łaskę u tego, z czyjego rozkazu tu na stosie stoję.

– Jakaż to łaska? – spytał Ruggieri.

– Wiem – odrzekł Gianni – że niedługo już umrzeć muszę i dlatego tej łaski się dopraszam, abym nie był obrócony plecami do dziewczeczki, którą nad życie me kocham, podobnie jak i mnie ona, ale twarzą w twarz z nią ginąć i tym sposobem w chwili śmierci z jej oblicza pociechę i spokój mógł czerpać.

Ruggieri rzekł ze śmiechem:

– Ochotnie to uczynię, a nawet postaram się o to, abyś mógł na nią patrzeć jeszcze tak długo, aż ci obmierznie.

Po tych słowach odszedł rozkazawszy wprzód wykonawcom wyroku, aby nic więcej poczynać się nie ważyli, póki nowych poleceń od króla nie otrzymają. Później nie mieszkając udał się do króla i chocia srodze gniewliwego go znalazł, wypowiedział otwarcie swój sąd.

– Miłościwy Panie – rzekł – jakaż krzywdę wyrządziła ci ta para, którą z rozkazu waszego na placu spalić mają?

Król opowiedział mu całą historię.

– Postępek ich zasługuje na karę, aliści nie wy ich karać powinniście. A jak za zbrodnie należy się kara, tak też szlachetne czyny nagradzać trzeba, nie mówiąc już o łasce i miłosierdziu. Czy wiecie, kim są ci, których spalić rozkazaliście?

– Nie – odrzekł król.

– Pragnę – rzekł Ruggieri – abyście dowiedzieli się o tym i wnieśli z tego, że za popędem

pierwszego gniewu nigdy iść nie lza. Młodzieniec ów jest synem Landolfa z Procidy, rodzonnego brata owego Gianniego z Procidy¹³⁶, przy którego pomocy zostaliście królem i władcą tej wyspy. Dzieweczka zaś to córka Marina Bolgaro, którego wpływowi zawdzięczacie, że Ischia dotąd panowanie wasze nad sobą uznaje. Ci młodzi ludzie od dawna się wzajemnie miłują; pobudzani tym uczuciem, a nie chęcią obrazy waszego majestatu, grzech ten popełnili (jeśli grzechem można nazwać to, do czego miłość młodych doprowadza). Przeczcie zatem wysyłacie na śmierć ludzi, których oznakami czci osobnej i bogatymi darami obsypać powinniście?

Król, wysłuchawszy tych słów i poznawszy, że Ruggieri prawdę powiada, nie tylko wstrzymał wykonanie okrutnego wyroku, ale począł żałować nawet tego, co dotychczas uczynił. Rozkazał, aby młodą parę natychmiast od słupa odwiązano i przyprowadzono przed jego oblicze. Tak się też stało. Po czym poznawszy sprawy ich dokładnie, król rozważył, jakimi by to darami i osobnym uczczeniem za tak ciężką krzywdę ich wynagrodzić. Namyśliwszy się polecił ich przybrać w wspaniałe szaty, a potem, gdy się przekonał, że oboje gorąco połączyć się pragną, rozkazał Gianniemu ożenić się z Restituta, obdarzył ich bogatymi podarkami i wielce szczęśliwych, do ojczyzny z powrotem wyprawił, gdzie z wielką radością ich przyjęto. Gianni i Restituta żyli jeszcze długo w szczęściu i spokoju.»

Opowieść siódma



VIOLANTA

Teodor, zakochawszy się w Violancie, córce pana swego, Imć Ameriga, czyni ją brzemienneą i za to na szubienicę skazany zostaje. Gdy go pod różgami na kaźń wiodą, poznaje go i uwalnia jego rodzic. Teodor żeni się z Violantą.

Damy, z natężeniem oczekujące, co się z kochankami stanie i czy w samej rzeczy na stosie spaleni zostaną, poweselały usłyszawszy o ich wybawieniu się od śmierci i Bogu dank złożyły. Królowa skinęła na Laurettę, a ta z radością w te słowa zaczęła:

«Gdy szlachetny król Wilhelm¹³⁷ rządy nad Sycylią sprawował, żył na tej wyspie pewien szlachcic, Amerigo Abbate¹³⁸ z Trapani zwany, który wśród obfitości wszelkich dóbr doczesnych także mnóstwo dzieci posiadał. Potrzebując licznej służby, kupił kilku otroków od genueńskich korsarzy, którzy grabiąc brzegi Armenii, wiele dzieci uprowadzili, a teraz, płynąc ze Wschodu, ze swymi galerami do portu zawinęli. Amerigo otroków za Turków uważał. Wśród niewolników, pozór pastuchów mających, jeden chłopiec szlachetniejszą postawą i gładszymi obyczajami się wyróżniał. Zwali go Teodorem. Chociaż za niewolnika był uważany, pozostał w domu pana Ameriga i rósł po społu z jego dziećmi. Raczej dzięki szczęśliwej naturze swojej niż dzięki pomyślnemu zrządzeniu przypadku, zdołał wkrótce tak szlachetnych obyczajów nabrać, że pan jego, przychylnością do niego powodowany, wolnością go obdarzył. Mniemając zaś, że Teodor jest Turkiem, ochrzcić go przykazał i dać imię Piotra. Potem Amerigo marszałkiem swym go uczynił i w zupełności mu zaufał. Wraz z innymi dziećmi pana Ameriga wzrastała córka jego, Violanta, wielce urodziwa dziewczeczka. Gdy ojciec za mąż wydać ją się zbierał, Violanta w Piotrze się zakochała. Miłując go gorąco i przymioty jego wielce ceniąc, nie miała jednak odwagi odkryć mu afektów swoich, aliści wkrótce Amor z tego zatrudnienia ją wywiódł. Piotr bowiem, spojrzawszy na nią kilka razy ukradkiem, tak się nią zachwycił i tak w niej rozmiłował, że czuł się wtedy tylko szczęśliwy, gdy z nią razem przebywać mógł. Obawiał się jednak, aby ktoś miłości jego nie odkrył, wydawało mu się bowiem, że źle sobie poczyna. Dzieweczka, ochotnie w towarzystwie Piotra przebywająca, tajemnicę jego odgadła, a chcąc dodać mu odwagi i otuchy, wielkie ukontentowanie po sobie pokazała. Przez długi czas jeszcze pozostawali w niepewności, jak swe uczucia wzajemnie sobie wyznać, chociaż gorąco pragnęli porozumieć się z sobą. Gdy tak cierpieli, ogniem na-

miętności gorejąc, los, jakby rozmyślnie czyniąc, w sukurs im przyszedł i pokazał im drogę do stłumienia lęku wiodącą. Amerigo posiadał piękną majątność, o milę od miasta Trapani leżącą. Żona jego z córką i różnymi damami przebywała tam często dla wytchnienia. Pewnego dnia zdarzyło się, że w upalny dzień udały się na wieś, wzięwszy z sobą także i Piotra. W czasie ich przechadzki nagle, jak to często w lecie się zdarza, niebo pokryło się ciemnymi chmurami. Damy, nie chcąc być burzą zaskoczone, wyruszyły w powrotną drogę do Trapani. Piotr i Violanta, jako ludzie młodzi, wyprzedzili znacznie żonę pana Ameriga i jej towarzyszki; może nie tylko obawa niepogody, ale i miłość kroki ich przyspieszyła. Oddaliwszy się od reszty kompanii tak, że ledwie widziani być mogli, poczuli, że po wielu grzmotach, grad grubo i gęsto sypać poczyna. Damy schroniły się do domu pewnego wieśniaka, co się zaś Piotra i Violanty tyczy, to nie widząc innego schronu, wpadli do starej, pochylonej rudery, w której nikt już nie mieszkał. Dach tej chaty był bardzo uszkodzony; tylko częśćka jego pozostała. Młodzi ludzie dla ciasnoty kąta, w którym stali, musieli się zetknąć z sobą. Ta okoliczność dodała im odwagi do wzajemnych oświadczeń i była pobudzeniem ich miłosnego pragnienia. Piotr pierwszy zaczął w te słowa:

– Dałby Bóg, aby ten grad nigdy nie ustawał, dopóki bowiem sypie, mogę się stąd nie ruszać.

– Ach, i ja bym tego chciała – odparła Violanta. Rzekłszy to, uściśniła ręce, po czym objęła się i pocałowali, podczas gdy grad wciąż po dawnemu sypał.

Nie będę się tu nad każdym szczegółem szerzył, to jeno powiem, że nim się niebo wyjaśniło, Piotr i Violanta najwyższe uniesienia miłości poznali i umówili się o sposób tajnego widywania się z sobą. Gdy grad padać przestał, poczekali u niedalekich bram miasta na matkę Violanty i wraz z nią do domu powrócili. Od tego dnia nieraz jeszcze, wielką ostrożność zachowując, schodzili się razem ku mnogiej radości swojej. Wreszcie Violanta brzemienną się poczuła, co niemało strapienia im przyczyniło. Nie omieszkała próbować różnych środków, aby pozbyć się płodu przed czasem, jednakże wszystkie jej starania na niczym spełzły. Wówczas Piotr, obawiający się o życie swoje, postanowił uciec, o czym Violancie powiedział.

– Jeśli mnie opuścisz – rzekła Violanta – to bądź upewniony, że życie sobie odbiorę.

Piotr gorąco ją miłujący odparł:

– Nie mogę tu pozostać, najdroższa moja! Brzemiennosc twoja wnet jawną się stanie i postępek nasz zdradzi. Tobie przebaczą z łatwością, ja zaś, nieszczęsny, za twoją i swoją winę będę musiał odpokutować.

– Piotrze – odrzekła na to Violanta – mój grzech istotnie na jaw wyjdzie, co się jednak twego tyczy, to bądź upewniony, że nikt o nim wiedzieć nie będzie, jeśli tylko ty sam o nim nie powiesz.

– Jeżeli tak – zawołał Piotr – to zostanę. Pamiętaj jednak, abyś swoją obietnicę zdzierzyła!

Violanta ukrywała długo stan swój, widząc jednakże, że wygląd jej dalszą tajemnicę niemożliwą czyni, wyznała pewnego dnia matce wszystko, rześistymi łzami się zalewając i błagając ją o przebaczenie i litość. Matka, bólem wielkim przejęta, zganiała ją ostrymi słowami i żądała wyznania, kiedy i z kim się to zdarzyło. Dzieweczka, nie chcąc biedy na Piotra sprowadzać, wymyśliła jakąś baśń i za prawdę ją podała matce, która uwierzywszy wszystkiemu, wysłała córkę dla ukrycia jej błędu do jednej ich posiadłości.

Gdy czas połogu nadszedł i chora, kobiecym obyczajem, w bólach krzycheć zaczęła, zdarzyło się to, czego matka najmniej się spodziewała – że pan Amerigo, który dotychczas w tej wiosce prawie nigdy nie bywał, wracając z polowania, krzykiem tym zadziwiony, podjechał pod dom i wszedł nagle do komnaty, aby spytać się o powód wrzawy. Matka, będąca w tej chwili przy córce, obaczywszy swego męża, podniosła się i z płaczem powtórzyła mu to, co jej Violanta opowiedziała. Aliści pan Amerigo, mniej od żony łatwowierny, odparł, że niemożliwą jest rzeczą, aby dziewczyna nie wiedziała, od kogo jest brzemienną, i zażądał szczerego wyznania prawdy, mówiąc, że jest to jedyny środek do uzyskania jego przebaczenia. W

przeciwным razie zasię niechaj na pewną i okrutną śmierć się gotuje! Na próżno matka Violanty siliła się wmówić w niego ową bajkę, której sama uwierzyła. Wysiłki jej na niczym spełzły. Amerigo, srogim gniewem zapalony, rzucił się z obnażoną szpadą na córkę, która w tym czasie synka powiła, i krzyknął:

– Albo mi wyznasz, kto jest ojcem twego dziecięcia, albo zginiesz na miejscu!

Z trwogi przed śmiercią złamała Violanta dane Piotrowi słowo i wyznała ojcu wszystko, co między nimi zaszło. Rycerz wysłuchawszy Violanty wpadł w taką wściekłość, że ledwie od zamordowania córki pohamować się zdołał. Dawszy w słowach folgę gniewowi swemu, wsiadł z powrotem na konia i do Trapani popędził. Przybywszy do grodu, oskarżył Piotra przed Konradem, królewskim namiestnikiem, o hańbę wyrządzoną jego domowi. Namiestnik kazał Piotra niespodzianie pochwyć i wziąć go na pytki, celem dobytca z niego dokładniejszych zeznań; potem skazał go na przepędzenie kijami przez całe miasto, a następnie na powieszenie. Aby zaś ta sama godzina była kresem życia obojga kochanków i ich dziecięcia, pan Amerigo, który gniewu swego wyrokiem śmierci na Piotra jeszcze nie zaspokoił, wsypał truciznę do kielicha z winem i powierzył go wraz z ostrym sztyletem jednemu ze sług swoich, mówiąc doń:

– Udać się z tym do Violanty i w moim imieniu jej powiedz, aby, nie mieszkając, jeden z tych dwóch rodzajów śmierci wybrała. Niechaj ginie od trucizny lub od noża, w przeciwnym razie, jak na to zasłużyła, w obliczu całego miasta na stosie spłonie. Skoro zaś tego dokonasz, pochwyć chłopca, którego Violanta przed kilkoma dniami na świat wydała, rozbij mu głowę o ścianę i rzuć go potem psom na pożarcie.

Otrzymałszy od okrutnego ojca taki rozkaz, córki jego i wnuka się tyczący, sługa, do złego chętny, poszedł go wykonać. Tymczasem Piotr, na śmierć skazany, pędzony był uderzeniami kijów do szubienicy. Pachołkowie wiedli go koło gospody, w której trzech szlachciców armeńskich mieszkało. Byli to posłowie, wysłani przez króla Armenii do Rzymu dla porozumienia się z papieżem w ważnych sprawach, przejścia wojsk dotyczących¹³⁹. Zatrzymali się oni w Trapani przez dni parę dla wypoczynku i skrzepienia sił, przyjmowani z osobną czcią przez dostojnych obywateli miasta z panem Amerigo na czele. Trzej posłowie, widząc przechodzący orszak z Piotrem pośrodku, podeszli przez ciekawość do okna. Piotr był do pasa całkiem obnażony i ręce miał na plecach związane. Jeden z posłów, nazwiskiem Fineo, człek w podeszłym wieku i wielkiej powagi, spostrzegł na piersi młodzieńca wielką ognistej barwy plamę, nie wymalowaną, jeno będącą przyrodzonym na skórze znamieniem. Na ten widok wspomniął pan Fineo swego syna, którego mu przed piętnastu laty korsarze na wybrzeżu Lajazzo¹⁴⁰ porwali. Od tego czasu słuch o nim zaginął. Zważywszy wiek nieszczęśnika pędzonego przez katów, pomyślał, że syn jego, gdyby jeszcze przy życiu się znajdował, w tym samym wieku być by musiał. Uderzony widokiem znamienia podejrzewać począł, że skazaniec jest jego synem. Wówczas przyszło mu do głowy, że jeśli tak jest w samej rzeczy, to młodzieniec winien przypomnieć sobie swoje imię oraz imię ojca i zrozumieć słowa armeńskiego języka. Dlatego też, gdy skazaniec do okna się zbliżył, Fineo zawołał:

– Teodorze!

Na dźwięk tego imienia Piotr podniósł natychmiast głowę. Wówczas Fineo spytał go po armeńsku:

– Skąd pochodzisz i kto był twoim rodzicem?

Pachołkowie kata przez wzgląd na osobę posła zatrzymali się, tak iż Piotr mógł odpowiedzieć:

– Pochodzę z Armenii. Rodzic mój zwał się Fineo. Nieznani ludzie przywieźli mnie tutaj, gdy jeszcze małym dzieckiem byłem.

Na te słowa Fineo ponad wątpliwość poznał w młodzieńcu swego utraconego syna. Z płaczem zbiegł po schodach wraz z towarzyszami swymi i pośród siepaczy chwycił Teodora w objęcia. Po czym okrył go płaszczem z drogocennej materii, zdjętym z własnych ramion, i

poprosił dowódcy, aby przez wzgląd na jego osobę, wstrzymał się, dopóki nowych rozkazów nie otrzyma. Dowódca chętnie zgodził się na to.

Fineo wiedział już, za jaką to winę Teodora na kaźń wiedli, bowiem słuchy o tym po całym mieście obiegały. Dlatego też co żywo z towarzyszami swymi i ze świtą do Konrada się udał i tak rzekł do niego:

– Panie! Młodzieniec ten, którego jako niewolnika na śmierć skazaliście, jest wolnym człkiem i moim synem. Gotów on jest pojąć za żonę dziewczkę, którą jak mówią, zbecześcił. Odłóżcie przeto wykonanie wyroku aż do chwili, gdy przyjdzie wiadomość, czy dziewczka chce go za męża, iżbyście nie uchybili prawu, gdyby taka była jej wola.

Konrad usłyszawszy, że Piotr jest synem pana Fineo, wielce się zadziwił. Wstydząc się omyłki z winy przypadku i zważywszy, że prośba Fineo jest słuszna, polecił skazańca do domu z powrotem odprowadzić, a sam tymczasem wezwał pana Amerigo i o wszystkim go powiadomił.

Pan Amerigo, przekonany, że córka jego i wnuk już nie żyją, męki cierpiąc najsrozsze nie mógł przeboleć tego, co uczynił. Widział bowiem, że gdyby Violanta nie umarła, wszystko dałoby się ułożyć jak najlepiej. Tym niemniej pchnął w lot umyślnego do córki, by wstrzymał wypełnienie jego nakazu, o ile ten jeszcze wykonany nie został. Wysłannik zastał przybocznego pana Amerigo w chwili, gdy położywszy przed nieszczęsną sztylet i truciznę, zelżywymi obrzucał ją słowami za to, że ociąga się z wyborem, do którego chciał ją przymusić. Ale posłyszawszy wolę swego pana, pozostawił Violantę i powrócił, by ze stanu rzeczy zdać mu sprawę.

Uradowany obrotem sprawy, Amerigo udał się niezwłocznie do Finea. Ze łzami niemal usprawiedliwiał się, jak umiał, i o przebaczenie go prosił za to, co się stało, zaręczając, że jeśli tylko Teodor chce poślubić jego córkę, odda mu ją z najwyższą radością.

Fineo życzliwie przyjął jego usprawiedliwienie i odparł:

– Jest wolą moją, aby syn mój poślubił córkę waszą; jeśliby zaś się wzdragał, niech się dopełni wyrok na niego wydany.

Skoro więc i Fineo, i Amerigo jednej byli myśli, udali się tam, gdzie czekał ciągle Teodor, przejęty zarówno lękiem przed śmiercią, jak i radością z odnalezienia rodzica. Zapytali go, jaka jest w tym jego wola. Gdy Teodor usłyszał, że Violanta, jeśli zechce, może stać się jego żoną, tak niepomierną odczuł radość, jakby z piekieł jednym skokiem znalazł się w raj. Oświadczył tedy, że byłoby to dla niego łaską najwyższą, jeżeli tylko obaj ojcowie na to przyzwolą. Posłano więc do młodej niewiasty, by i ona wyraziła swą wolę. Violanta, bardziej bólem zmożona niż jakakolwiek inna kobieta, oczekiwała śmierci. Usłyszawszy, jakie były i jakie być miały losy Teodora, po długiej dopiero chwili zaczęła dawać wiarę tym słowom i uspokoiła się nieco, odpowiadając, że jeśli o nią idzie, nic większej radości sprawić jej nie może, jak oddanie ręki Teodorowi. Aliści posłuszną będzie woli ojca swego.

Gdy więc tak zgoda powszechna doprowadziła do zaślubin Violanty, fetowano je jak najwspanialej ku uciesze wszystkich mieszkańców. Młoda niewiasta, uspokojona, karmiąc swego synka, niebawem stała się piękniejszą niż kiedykolwiek. Powstawszy z łoża, gdy Fineo powrócił z Rzymu, oddała mu cześć, jaka ojcu przynależy, on zaś, synową taką ciesząc się niepomiernie, gody im wyprawił z niewidzianym przepychem i wesołością, a ją za córkę przybrał i zawsze odtąd poczytywał. A gdy minęło dni kilka, syna wraz z nią i małym wnuczkiem zabrał z sobą statkiem do Laiazzo, gdzie w spokoju i dostatku oboje kochankowie do końca życia swego pozostali.»

Opowieść ósma



OKRUTNE ŁOWY

Nastagio degli Onesti miłuje dziewczeczką z rodu Traversari. Traci na nią bogactwa swoje, aliści jej wzajemności dobić się nie może. Na prośby krewniaków udaje się do Chiassi i tam spostrzega rycerza, który ściga młódkę, a potem zabija ją i na pożarcie psom rzuca. Nastagio sprasza krewniaków, aby wraz z umiłowaną przez niego dziewczeczką na obiad do Chiassi przybyli. Dzieweczka, widząc rozszarpanie tejże młódki, poczyna się obawiać podobnej kary i wychodzi za mąż za Nastagia.

Skoro Lauretta zamilkła, na wezwanie królowej Filomena w te słowa zaczęła:

– Piękne damy! Ponieważ Bóg miłosiernymi nam być przykazał, tedy Jego sprawiedliwość wszelkie okrucieństwo surowo karać musi. Aby wam dać dowód tego i skłonić was do wystrzegania się nieczułości serca, chcę opowiedzieć historię, która powinna niemniej zabawić, jak i współczucie w was obudzić.

«W Rawennie, odwiecznym mieście Romanii, żyło ongiś wielu ludzi szlachetnych i zanego rodu. Między nimi wyróżniał się szczególnie niejaki Nastagio degli Onesti¹⁴¹, człek młody, który po śmierci ojca i wuja swego stał się wielkim bogaczem. Ów, w bezzennym stanie żyjąc, zakochał się w córce pana Paola Traversari. Żywił nadzieję, że pozyska jej względy staraniami swoimi, mimo że ród jej był o wiele starszy i świetniejszy od jego rodu.

Jednakże cała jego wytrwałość, miłość i wspaniałość na nic się nie zdały; owszem, zdawało się, że im więcej przypodobać jej się stara, tym bardziej sobie szkodzi – tak szorstką, nieżyczliwą i niechętną okazywała się dla niego umiłowana dziewczeczka. Nie wiedzieć, co było tego przyczyną: czyli zbytne rozumienie o piękności swojej, czyli też rodowa pycha niezmierna, dosyć na tym, że ani Nastagia, ani najmniejszej rzeczy jemu miłej znosić nie mogła. Ta nieczułość kochanki tak Nastagia trapiła, że nieraz skarżył się i chciał już z boleści życie sobie odjąć. Czasami zasię obiecywał sobie, że zapomni całkiem tę okrutnicę albo przynajmniej tak ją znienawidzi, jak ona jego nienawidziła. Jednak wszystkie jego postanowienia na niczym spełzły, bowiem im bardziej ginęła szczęścia nadzieja, tym miłość jego gorętszą się stawała.

Gdy Nastagio tak uparcie trwał w afektach swoich i brnął coraz dalej w obłądliwe szaleństwa i nadmierne wydatki, krewniacy jego i przyjaciele do tej myśli przyszli, że w grze takiej

wnet życie i majątek cały postrada. Radzili mu więc po wielokroć i zaklinali go, ażeby Rawennę opuścił i do innego jakiegoś grodu na dłuższy pobyt się udał; mniemali bowiem, że tym sposobem z miłości go wyleczą i od ruiny uchronią. Nastagio w śmiech to po wiele razy obracał, na koniec widząc jednak, że nie podobna wiecznie trwać przy swoim, oświadczył wreszcie, że ma zamiar do Francji, Hiszpanii albo do jakiegoś innego oddalonego kraju wyjechać, i w samej rzeczy niemałe przygotowania do drogi uczynił. Po czym wsiadł na konia i w towarzystwie licznych przyjaciół swoich Rawennę opuścił. Aliści dojechał tylko do Chiassi, miejscowości o trzy mile od miasta oddalanej; tam zatrzymawszy się kazał rozbić obozowe namioty dla siebie, a potem rzekł towarzyszącej, że mogą wracać do Rawenny, bowiem on tu pozostać postanowił.

Rozłożywszy się w Chiassi¹⁴², jał prowadzić równie świetny i okazały żywot, jak pierwej, i jak zwykle, znajomych swoich na obiad lub wieczerzę do siebie zapraszał. Pewnego dnia, a był to właśnie piątek, gdy piękna pogoda majowa panowała, Nastagio znów w myśli o okrutnej kochance się pogrążył. Ażeby tym swobodniej smutkowi swemu się oddać, oddalił od siebie wszystkich towarzyszących swoich i sam, bez celu błądząc, doszedł do piniowego lasu. Już dawno przeszła południowa godzina; Nastagio bez myśli o jadle i napoju już na pół mili prawie w gęstwinę się zagłębił, gdy nagle płacz i rozpaczliwe jęki kobiece, gdzieś w bliskości brzmiące, z rozmyślań pełnych melankolii go wyrwały. Stał, podniósł głowę, by zobaczyć, co się dzieje, i zadziwił się, widząc, że jest pośród piniowego lasu. Wtem ujrzał, jak z cierniowych zarośli, sterczących przed nim, wypadła cudownie piękna naga dziewczyna, z rozwianymi włosami i z ciałem przez gałęzie i kolce poszarpanym, pędząc ku niemu bez tchu prawie wśród głośniego płaczu i wołania o litość. Po obu jej bokach gnały niedostępne dwa rozjadłe kundle, co chwila zatapiając w jej ciele kły, gdzie tylko schwycić mogły, za nią zasię gnał rycerz na czarnym koniu i w czarnym ryszunku, z twarzą pałającą gniewem, ze szpadą w ręku, i straszliwymi, hańbiącymi słowy śmierć jej zapowiadał. Na ten widok Nastagia w pierwszej chwili przejęły podziwienie i trwoga, wnet jednak współczucie wzbudziło w nim żądę ocalenia nieszczęśliwej niewiasty od mąk takich i śmierci. Nie mając broni pod ręką, schwycił potężną gałąź i nią drogę psom i rycerzowi zagroził. Czarny rycerz, spostrzegłszy to, z daleka już na niego zawołał:

– Zaniechaj walki, Nastagio, i pozwól mnie i psom moim uczynić z tą niewiastą to, na co zasłużyła!

Przy tych słowach dwa kundle schwyciły z całej siły dziewczynę za biodra i osadziły ją na miejscu; rycerz zasię przypędził na koniu i skoczył z niego, podnosząc szpadę. Nim jednak mógł coś uczynić, Nastagio stanął przed nim i zawołał:

– Nie wiem, ktoś jest, choć mnie tak dobrze znać się zdajesz; tyle ci jednak powiedzieć mogę, że w wysokim stopniu haniebną jest rzeczą, gdy zbrojny rycerz nagą kobietę chce mordować i psami ją szczwa niby dzikie zwierzę, dlatego też bronić jej będę z wszystkich sił moich.

– Nastagio – odrzekł na to rycerz – pochodzę z tego samego co i ty miasta. Byłeś jeszcze małym dziecięciem, kiedym ja, zwany Gwidonem degli Anastagi, w tej oto dziewczynie zaiste o wiele goręcej się kochał aniżeli ty teraz w pannie Traversari. Aliści pycha jej i okrucieństwo wtrąciły mnie w taką rozpacz, że wreszcie tą szpadą, którą widzisz w moim ręku, nieszczęsne życie sobie odebrałem i za to na wieczyste męki skazany zostałem. Wkrótce potem umarła i ona, niezmiernie z śmierci mojej się radująca. Za okrucieństwo i za to, że cieszyła się z mąk moich, nie uważając tego nigdy za grzech, ale za zasługę, takż na wieczne męki piekielne skazana została. Gdy do piekła przybyła, obojgu nam za karę naznaczono: jej uciekać przede mną, mnie zasię, którym ją niegdyś tak gorąco miłował, za nią się uganiać, nie jako za przedmiotem miłości, ale jak za śmiertelną nieprzyjaciółką swoją. Ilekroć ją dopędzę, przesywam ją tą samą szpadą, którą się niegdyś zabiłem, otwieram, jak to zaraz obaczysz, jej pierś, wyrywam z niej twarde i zimne serce, do którego miłość ani litość przystępu znaleźć

nie mogły, i rzucam je psom moim na pożarcie. Po krótkim czasie jednak zmartwychwstaje ona znowu za Boga sprawiedliwym wyrokiem i wszechmocy jego władzą, jak gdyby nigdy zabitą nie była. Wówczas zaczyna się od nowa jej żałosna ucieczka i moja z psami wściekła pogoń za nią. Tak dzieje się w każdy piątek, o tej, co dzisiaj, godzinie i na tym samym miejscu. Dopadam jej i jak wnet ujrzysz, morduję, nie sądź jednak, że w inne dni spoczynek mamy; codziennie w tych wszystkich miejscach, gdzie jakieś okrutne myśli piastowała, prześląduję ją i ścigam. Ponieważ zasię z najczulszego kochanka wrogiem jej się stałem, tedy tyle lat muszę ją w ten sposób dręczyć, ile miesięcy ona się znęcała nade mną. Pozwól mi wyroku sprawiedliwości bożej dopełnić i nie próbuj sprzeciwiać się temu, czemu przeszkodzić nie jest w twojej mocy.

Na te słowa Nastagio osłupiał, a włosy ze strachu z jeżyły mu się na głowie. Odstąpiwszy kilka kroków, zwrócił oczy na nieszczęsną dziewczynę i czekał, drżący, na to, co dalej się stanie. Rycerz zasię, słowa te wyrzekłszy, skoczył na kształt rozjuszonego zwierzęcia ku dziewczynie, która przez dwa kundle trzymana, na klęczkach o litość błagała, i pchnął ją szpadą w piersi z taką siłą, że ostrze wyszło plecami. Z jękiem śmiertelnym zwała się nieszczęśnica od ciosu tego twarzą na ziemię, a wówczas rycerz chwycił sztylet, bok jej nim otworzył, wyrwał serce z innymi wnętrznościami i cisnął psom, które je z żarłocznością połknęły. Ledwo kilka chwil upłynęło, dziewczyna podniosła się, jak gdyby nic się nie stało, i jęła uciekać na nowo w kierunku morza; obok niej, jak pierwiej, gnały psy nie przestając jej szarpać. Rycerz, dosiadłszy z powrotem czarnego swego rumaka, ze szpadą w ręku szalonym pędem za nią podążył. Wkrótce tak się oddalili, że Nastagio stracił ich z oczu.

Nastagio, obaczywszy to wszystko, stał nieruchomo na miejscu, miotany litością i trwogą. Naraz jednak uderzyła go myśl, że to zdarzenie, powtarzając się co piątek, może mu się stać pomocne wielce. Oznaczył więc sobie dokładnie miejsce, a po powrocie do swych towarzyszy w Chiassi, gdy czas nadszedł, posłał po wielu krewnych swoich i przyjaciół do Rawenny.

– Długo staraliście się to na mnie wymóc – rzekł do nich – abym miłości mojej do owej okrutnicy się wyrzekł i szalonych wydatków zaprzestał. Otóż obecnie jestem gotów to uczynić, pod warunkiem jednakowoż, że pana Paola Traversari k’temu skłonicie, aby w towarzystwie żony, córki i wszystkich krewnych wraz z wami i damami, jakie wybrać zechcecie, w najbliższy piątek obiad tutaj u mnie spożyć zechcieli. Dlaczego zasię domagam się tego, wtedy się dowiecie.

Krewni i przyjaciele postanowili spełnić tę skromną prośbę Nastagia, powróciwszy tedy do Rawenny, we właściwym czasie wskazane im osoby zaprosili. Najtrudniej poszło z ukochaną przez Nastagia dziewczynką, ale i ta wreszcie zgodziła się wziąć udział w uczcie po społu z innymi. Nastagio z rozrzutnością królewską obiad przygotować kazał, stoły rozstawiono pod piniami wokół miejsca, gdzie nieczuła dziewica tak okrutnej karze podlegała. Po czym, wskazawszy wszystkim gościom ich miejsca, dla umiłowanej swojej takie miejsce przeznaczył, aby siedziała naprzeciw polany, gdzie jak sądził, przerażające zjawy się ukazały. Już ostatnią potrawę podano, gdy naraz krzyk ściganej dziewczicy do uszu wszystkich dobiegł. Obecni zarzżeli na ten głos przeraźliwy i jęli się pytać, skąd on pochodzić może; aliści nikt wyjaśnienia dać nie mógł. Wszyscy strwożeni podnieśli się i wyteżyli wzrok w stronę, skąd odgłos ten dobiegał. Nagle ujrzeli dziewczynę, rycerza i psy. Za chwilę pościg był już między nimi. Na ten widok z okrzykami oburzenia i gniewu jedni rzucili się naprzeciw rycerza i psów, a drudzy chcieli zasłonić sobą dziewczynę. Aliści rycerz obrócił się do nich z podobną mową, co pierwiej do Nastagia. Słowa jego nie tylko odjęły przytomnym chęć do obrony dziewczęcia, lecz przejęły ich zarazem osłupieniem i przerażeniem. Rycerz czynił to samo, co przed tygodniem. Pośród gości znajdowało się wiele dam spokrewnionych z nieszczęsną dziewczyną, a także i z rycerzem. Niejedna pamiętała dobrze śmierć jego; widząc, że wykonywa straszliwy wyrok na dziewczęce, uderzyły w płacz tak ogromny, jakby wyrok ów nad nimi samymi miał być dopełniony.

Gdy wszystko dobiegło końca i zjawy znikły wreszcie sprzed oczu przytomnych, nikt otrząsnąć się z wrażenia nie mógł. Długo o tym mówili. Największa jednak trwoga odmalowała się na twarzy ukochanej przez Nastagia panny, która wszystko dokładnie widziała i słyszała. Wspomniawszy bowiem na okrucieństwa, jakich się tylekroć względem tego młodzieńca dopuszczała, poczuła, że widowisko, którego przed chwilą naocznym świadkiem była, dla nikogo z obecnych straszniejszą nie jest przestrogą, jak dla niej; zdało się jej, że Nastagio gna już za nią przez lasy i że dwa spienione kundle kły w jej ciele zatapiają. Na tę myśl taka obawa ją zdjęła przed podobnym losem, że nagle nienawiść na miłość w jej sercu się przemieniła i chwili stosownej doczekać się nie mogła. Jeszcze tego wieczora przy zdarzonej sposobności tajemnie do Nastagia zaufaną służkę wysłała. Służka ta poprosiła go w imieniu pani o odwiedzenie jej i oświadczyła, że pani gotowa jest spełnić wszystko, czego Nastagio zapragnie. Nastagio odparł na to, że wieść ta przejmuje go radością niewysłowioną, aliści chce cel pragnień swoich osiągnąć czci jej na szwank nie przywodząc, lecz za prawą biorąc ją małżonkę. Młoda dama, świadoma dobrze, że od niej tylko zależało być już dawno żoną Nastagia, przychylną dała mu odpowiedź, za czym udała się do swoich rodziców i pierwsza oświadczyła im chęć wyjścia za niego. Rodzice, niezmiernie tym uradowani, następnej zaraz niedzieli odbyli uroczyste zaręczyny młodej pary. Po okazałym weselu, które wkrótce nastąpiło, młodzi małżonkowie przez długie lata szczęściem swoim się cieszyli. Straszna zjawia nie tylko ten jeden szczęśliwy skutek wywarła, wszystkie bowiem białogłowy w Rawennie tak się zastrachaly, że od tego czasu bardziej uległymi wobec mężczyzn się stały.»

Opowieść dziewiąta



SOKÓŁ

Federigo degli Alberighi miłuje bez wzajemności; po stracie całego mienia pozostaje mu jedynie sokół, którego, nic innego nie mając, poświęca na potrawę dla umiłowanej białogłowy, gdy ta don w gościnę przybywa. Uznawszy o tym dama zmienia postępowanie, wychodzi za niego za mąż i bogatym człowiekiem go czyni.

Gdy Filomena skończyła opowieść swoją, królowa, widząc, że krom Dionea, który miał osobny przywilej, ona tylko nie opowiadała jeszcze, z wesołą twarzą w te słowa zaczęła:

– Na mnie tedy kolej przychodzi i dlatego też chcę wywiązać się z mojego obowiązku powieścią, która wiele z poprzednią ma podobieństwa. Dowiedcie się z niej nie tylko o tym, jaką władzę wdzięki wasze nad szlachetnymi sercami sprawują, ale także nauczycie się nagrody stosownej z własnej woli udzielać, nie czekając na los, który dary swoje nieraz w dziwaczny i niesprawiedliwy sposób rozdziela.

Wiedźcie tedy, że niedawnymi czasy w mieście naszym Coppo di Borghese Domenichi¹⁴³ u wszystkich osobną czią się cieszył, a może jeszcze się cieszy, więcej dla cnót i szlachetnych obyczajów niżli dla starożytności rodu swego. Ów zacny człek, niezaćmionej pamięci go dzien, do lat sędziwych przyszedłszy lubił opowiadać sąsiadom i znajomym swoim o dawnych czasach i zdarzeniach. Umiał zaś mówić tak udatnie, językiem ozdobnym, i wspomnień miał tyle, że pod tym względem nikt z nim w paragon wchodzić nie mógł.

«Wśród innych pięknych gadek powracał do opowieści o młodym szlachcicu, zwanym Federigo degli Alberighi¹⁴⁴, synu Imć Filipa, który niegdyś żył we Florencji. Według jego słów, Federigo swoją rycerską biegłością i polerownymi obyczajami przed wszystkimi młodzieńcami we Florencji wziął przodek. Zakochał się on w pewnej szlachetnej damie, imieniem Monna Giovanna, uchodzącej podówczas za najpiękniejszą może we Florencji białogłową. Dla pozyskania jej względów na turniejach na najzuchwalsze hazardy się ważył, wyprawiał wspaniałe uczyty i podarunki czynił mnogie, na stan majątku swego wcale nie bacząc.

Aliści dama, równie uczciwa jak piękna, nie dbała ani o niego, ani o to, co na jej cześć urządał. Federigo siła pieniędzy ponad możność swą zmarnotrawiwszy, a nic nie zyskawszy, jak to łatwo się dzieje, popadł wkrótce w taką biedę, że z całej majątności nic mu nie pozostało, krom małej posiadłości, z której nędzny profit czerpał, i jednego wspaniałego sokoła.

Miłość jego przez tę biedę wcale się nie zmniejszyła, owszem, gorętszą jeszcze się stała; a ponieważ nie mógł w mieście już dłużej żyć tak okazale, jakby był tego pragnął, przeniósł się do owej posiadłości i tam, niczyjej pomocy nie prosząc, zajmował się polowaniem z sokołem i cierpliwie ubóstwo swoje znosił. Pod ten czas właśnie zdarzyło się, że małżonek Monny Giovanni ciężko zachorował. Czując się bliskim śmierci, spisał testament, mocą którego podrastającego synaczka swego zrobił dziedzicem wszystkich wielkich swoich bogactw; na przypadek bezpotomnej śmierci syna, Monna Giovanna, jako umiłowana żona, wszystko dziedziczyć miała. Po czym zmarł.

Po jego śmierci wdowa, jak to u naszych niewiast jest w obyczaju, udała się po społu z synkiem na całe lato do jednej z posiadłości swoich, położonej blisko siedziby Federiga. Zdarzyło się, że synek jej, który niezmiernie ptaki i psy lubił, wnet z Federigiem się zaprzyjaźnił. Widując często jego sokoła, tak niezmiernie sobie w nim upodobał, że jedynie żądzą posiadania go pałał; nie śmiał jednak Federiga o niego prosić wiedząc, jaką wartość doń przywiązuje. Po pewnym czasie chłopiec zachorował. Monna Giovanna, kochająca z całej duszy swego jedynaka, niewymownie chorobą jego się strapiła; po całych dniach nie odstępowała go, dawała mu otuchy i prosiła ustawicznie, ażeby jej powiedział, czy czego przypadkiem nie pragnie, bowiem w tym razie uczyniłaby wszystko, aby go tylko ukontentować. Wielokroć już go o to pytała. Wreszcie pewnego dnia chłopiec odrzekł:

– Matko, jeżeli zdołasz uzyskać dla mnie sokoła od Federiga, to wierzę, że wnet przyjdę do zdrowia.

Dama, usłyszawszy tę prośbę, przez długi czas rozważała w milczeniu, co ma uczynić. Wiedziała dobrze, że Federigo, miłując ją od dawna, nigdy jednego łaskawszego spojrzenia od niej nie otrzymał. Rzekła więc do siebie: „Jakże mogłabym się ośmielić posłać po tego sokoła do Federiga lub udać się do niego sama? Zresztą, jak słyszę, nigdy szlachetniejszy od tego sokoła ptak myśliwemu nie służył. Nadto, jak powiadają, sokół ów środek utrzymania dla swego pana stanowi. Nie mam, wierzę, sumienia odejmować szlachcicowi ostatniej jego radości.”

Tak rozważając, jakkolwiek pewna otrzymania natychmiast sokoła, skoroby tylko o niego poprosiła, nie wiedząc, co rzec, nie odpowiedziała nic synowi.

W końcu jednak miłość dziecka zwyciężyła wszystkie jej skrupuły. Monna Giovanna postanowiła, mimo wszystko, udać się sama do Federiga, aby o sokoła go poprosić.

Rzekła więc do chorego:

– Pociesz się, mój synaczku, i staraj się do zdrowia powrócić, a ja ci przyrzekam, że pójde jutro zaraz z rana i będziesz miał tego sokoła.

Dziecię tak się tymi słowami uradowało, że tegoż jeszcze dnia znaczną ulgę poczuło. Na drugi dzień rano udała się Monna Giovanna w towarzystwie drugiej damy do małego domku Federiga i zapytała o niego. Ponieważ nie był to czas łowów na ptaki, więc szlachcic znajdował się w ogrodzie, zajęty jakąś robotą. Federigo, uwiadomiony, kto o niego pyta u bramy, zadziwił się w najwyższym stopniu i z radością wybiegł naprzeciwko niej. Ona zasię widząc, że się zbliża, uprzejmie uklon mu oddawszy powstała z kobiecym wdziękiem i zwróciła się do niego:

– Dzień dobry, Federigo! Przychodzę tutaj, ażeby wynagrodzić cię za wszystko, coś z mojej winy wycierpiał. Miłowałeś mnie bowiem goręcej, aniżeli dla dobra twego należało. Nagroda na tym się zasadza, że chcę, abyś mnie wraz z tą damą dziś po przyjacielsku obiadem ugościł.

– Madonno – odparł na to Federigo z pokorą – nie wiem, o jakich przykrościach, których wy kiedykolwiek przyczyną być mieliście, mówicie. Tyle wiem jeno, że dobra nie mało od was wziętem i jeżeli cokolwiek wart kiedy byłem, to jedynie przymiotom waszym i miłości dla was to zawdzięczam. Dzisiejsze łaskawe odwiedziny wasze milsze mi są od wszystkich straconych dostatków. Przybyliście wszak w gościnę do nędzarza.

Tak mówiąc oprowadzał ją bojaźliwie po domku i ogrodzie. Nie mając jednak nikogo pod ręką, kto by mógł damy zabawiać, rzekł:

– Ponieważ nikogo innego tu nie ma, tedy niechaj ta poczciwa kobieta, żona człowieka obrabiającego moje pole, towarzystwa wam dotrzyma, dopokąd ja obiadu nie przysposobie.

To rzekłszy odszedł. Dotychczas, jakkolwiek wielkim był jego niedostatek, nie zauważył, ilu najniezbędniejszych rzeczy rozrzutność go pozbawiła. Teraz jednak, gdy przyszło zacie ugościć tę damę, dla miłości której niegdyś niezliczonych spraszał biesiadników, spostrzegł po raz pierwszy nędzę swoją. Srodze strapiony, ze ściśniętym sercem biegał po domu jak szalony i przeklinał los swój, nie mogąc znaleźć pieniędzy ani jakiej rzeczy, którą by w zastaw dać można było. Tymczasem zbliżyła się obiadowa godzina. Federigo, mimo gorącej chęci ugoszczenia damy, nie mógł nic w domu znaleźć, prosić zaś nikogo nie chciał, nawet pracującego u niego wieśniaka. Naraz wpadł mu w oczy dzielny sokół jego, siedzący w jadalnej komnacie na drążku; Federigo schwycił go, a widząc, że ptak jest tłusty, uznał to szlachetne stworzenie za potrawę godną damy. Nie namyślając się tedy długo, ukręcił mu łeb i rozkazał służebnej dziewczynie czym prędzej oskubać go, przyrządzić, na rożen nasadzić i troskliwie upiec. Po czym zasał stół śnieżystym obrusem, który mu się jeszcze zachował, i poszedł z wesołym obliczem zaprosić damę do obiadu, na jaki go stać. Dama z towarzyszką swoją przeszły z ogrodu do jadalni i obsługiwane starannie przez Federiga, zjadły wraz z nim dzielnego sokoła, nie wiedząc nawet, jaka to potrawa. Po wstaniu od stołu i po uprzejmej pogawędce, dama, sądząc, że nadeszła pora wyznać Federigowi, po co właściwie tu przybyła, zwróciła się doń uprzejmie i tak rzekła:

– Federigo, jeżeli masz w pamięci dawny stan swój i moją surowość obyczajów, którą zapewne za nieczułość i okrucieństwo poczytywałeś, to nie wątpię, że osłupiejesz na zuchwałą prośbę, z którą tu dzisiaj przybywam. Gdybyś miał jednak kiedykolwiek dzieci i mógł pojąć miłość, jaką się dla nich żywi, to pewna jestem, że chociaż w części dzisiejszy krok mój byś usprawiedliwił. Ty nie masz jednakże dzieci, ja zaś jedynaka posiadam, a nie mogąc praw macierzyńskiej miłości w sercu mym przewalczyć, wbrew chęci mojej, wbrew przyzwoitości i rozsądkowi, widzę się obecnie zmuszoną prosić cię o podarowanie mi rzeczy, która ci jest droga wielce. Tym przedmiotem jest twój sokół, który nie bez racji tak znaczną wartość dla ciebie posiada. Przeciwny los tylko tę radość i pociechę ci ostawił. A jednak prosić cię on muszę, syn mój bowiem tak niezmierną żądzą posiadania go zapłonął, iż drzę, ażeby choroba, której uległ, nie pogorszyła się lub śmiertelnego obrotu nie przybrała w wypadku, jeśli dziecię pożądanego przez siebie przedmiotu nie otrzyma. Zaklinam cię więc nie na miłość, którą dla mnie żywisz, ta cię bowiem do niczego względem mnie nie obliguje, ale na wielkoduszność, którą nad wszystkimi ludźmi górujesz, chciej mi podarować tego sokoła, a ja pamiętać zawsze będę, żeś dzięki temu darowi syna mi zachował, i wiecznej wdzięczności dla ciebie czuć nie przestanę.

Federigo, usłyszawszy żądanie damy i wiedząc, że mu zadosyć uczynić nie może, bo sokoła na potrawę dla niej już użył, począł w obecności jej gorzko płakać i ni słowa na odpowiedź znaleźć nie mógł. Na ten widok dama sądziła z początku, że łzy te wyciska mu bolesna myśl rozłączenia się z dzielnym sokolem i już powiedzieć chciała, że woli podarunku raczej nie otrzymać, wstrzymała się jednak i oczekiwała na odpowiedź Federiga, który, zapanowawszy wreszcie nad łzami swymi, tak się odezwał:

– Madonno, od kiedy się Bogu podobało, abym serce moje ku wam obrócił, niejedną miałem sposobność doświadczenia niełaski losu i nieraz się nań żaliłem; wszystko to jednak było rzeczą krotocwilną w porównaniu z krzywdą, którą mi obecnie los wyrządził. Jakże bowiem zdołam z dolą moją kiedykolwiek się pogodzić, jeżeli pomyślę, że właśnie w tej chwili, gdyście wy, tak obojętni niegdyś dla bogactw moich, zubożały mój dom odwiedzili, ja nie byłem w możności małego, a tak pożądanego podarunku wam ofiarować! Dlaczego zaś tego uczynić nie mogę, zaraz się dowiecie. Skorom usłyszał, że chcecie w łaskawości swojej obiad u mnie spożyć, zważywszy na dostojny ród wasz i przymioty, pomyślałem, że powinienem ugościć was najdroższą potrawą, na jaką mnie stać, różną od tych, jakimi innych ludzi czę-

stować się zwykło. Spojrzawszy na mego sokoła i zważywszy jego zalety, uznałem go za godną dla was potrawę. Kazałem go więc upiec i podać wam w przekonaniu, że tym sposobem najlepszy z niego użytek uczynię. Teraz jednak, gdy widzę, że żywego sokoła mieć byście pragnęli, boleść moja, stąd płynąca, iż waszego rozkazu spełnić nie mogę, jest tak silna, że nie wiem, zali się kiedykolwiek w życiu uspokoję.

Rzekłszy te słowa, pokazał jej na dowód pióra, szpony i dziób zabitego sokoła.

Dama na ten widok jęła naprzód ganić rycerza za to, że w celu ugoszczenia jej zabił tak szlachetnego sokoła, potem jednak podziwem się przejęła, zważywszy wielkość jego duszy, której sroga nędza nie zdołała dotąd osłabić ani złamać. Zbывszy się jednak wszelkiej nadziei posiadania sokoła, niespokojna o zdrowie syna, pożegnała Federiga ze smutkiem i wróciła z towarzyszką swoją do domu.

Syn Monny Giovanni (nie wiedzieć, czy wskutek strapienia z powodu nieotrzymania sokoła, czy też dlatego że choroba takie już przyrodzenie miała, że tylko śmiercią skończyć się mogła) w kilka dni potem rozstał się z tym światem. Matka po tej stracie długie dni we łzach i smutku trawiła. Ponieważ jednak młoda była jeszcze, a krom tego wielce bogata, tedy jej bracia naglili ją, aby wybór męża uczyniła. Monna Giovanna, mimo że najchętniej wdową byłaby została, uległa ich przedstawieniom i wspomniawszy na wspaniałomyślność i szczodrość Federiga, której dowód niedawno złożył w zdarzeniu z sokołem, odpowiedziała swoim braciom w te słowa:

– Najmilej by mi było, gdybyście mi pozwolili zostać przy wdowiej zasłonie, gdy jednak koniecznie pragniecie, bym w powtórne związki wstąpiła, to wyjdę tylko za Federiga degli Alberighi.

Na te słowa bracia drwić sobie z niej zaczęli mówiąc:

– Co mówisz, głupia? Jakże możesz chcieć wyjść za człowieka, który nic nie posiada?

– Wiem dobrze, panowie bracia, że prawdę powiadacie, wolę jednak męża bez majątku aniżeli majątek bez męża.

Bracia, upewniwszy się o niezachwianym jej postanowieniu, a przy tym przekonawszy się, że Federigo, mimo swego ubóstwa, jest wielce czcigodnym człowiekiem, oddali mu Giovannę wraz z całą jej fortuną. On zaś, pozyskawszy szlachetną i tak przez siebie umiłowaną białogłową, a nadto wielki majątek, pełen radości lepiej odtąd gospodarząc, doszedł do kresu lat swoich.

Opowieść dziesiąta



ZGODNY MĄŻ

Pietro di Vinciolo udaje się na wieczerzę do przyjaciół. Żona jego zaprasza wówczas do siebie pewnego młodzieńca. Gdy Pietro do domu powraca, dama ukrywa swego miłośnika pod kojcem. Pietro opowiada, że Ercolano, u którego bawił, znalazł w swym domu młodzieńca, ukrytego przez żonę. Żona Pietra gani surowo tamtą białogłową. Aliści na nieszczęście, osioł nastąpił na rękę młodzieńca ukrytego pod kojcem. Na krzyk Piętro wypada do sieni i poznaje widomie wiarołomstwo swojej żony, z którą jednak godzi się na koniec, jako człek nikczemny.

Gdy królowa skończyła opowieść swoją, wszyscy wysławiać jęli sprawiedliwość Boga, który Federiga godnie wynagrodził; po czym Dioneo, nie czekając obyczajem swoim na rozkaz, zaczął w te słowa:

– Zaiste, nie wiem, zali to jest przypadkowy niedostatek, ze skażenia obyczajów wynikły, czy też przyrodzone ludzi usposobienie, że więcej radujemy się i cieszymy z rzeczy złych niżli z czynów dobrych, zwłaszcza gdy nas to nie tyczy. Ponieważ trud mój, z którego już nieraz się wywiązywałem, jako i teraz wywiązać się zamierzam, ma jedynie na celu troskę od was odpędzić i do śmiechu a radości was pobudzić, opowiem wam tedy, najmilsze damy, pewną historię. Chocia materia w niej się zawierająca przystojnością zbytnią się nie odznacza, przecie sposobna będzie do przysporzenia wam uciechy. Słuchając jej, możecie postąpić tak, jak zwykle postępujecie wchodząc do ogrodu, gdzie miękką ręką zrywacie róże, kolców nie dotykając. Pozbawionego czci małżonka przy jego srożej hańbie pozostawcie, śmieJCie się z chytrych sztuczek jego żony, a gdy trzeba litością dla nieszczęść bliźniego się przejmijcie.

«W Perugii żył przed niedawnym czasem pewien bogaty człek, nazwiskiem Pietro di Vinciolo¹⁴⁵, który bardziej może dla zamydlenia oczu ludziom i pomniejszenia złej sławy, jakiej powszechnie u swych rodaków zażywał, niżli dla miłości żonę pojął. Na nieszczęście los obdarzył go żoną, która jego skłonnościom nieosobliwie odpowiadała. Była to bowiem krzepka rudowłosa dziewczucha, o krwi nader gorącej, której raczej dwóch mężów niż jeden by się zdało. Tymczasem dostała tylko jednego, i to mającego ochotę do całkiem innych rzeczy aniżeli małżeńskie pieszczoty. O tych jego skłonnościach aż nazbyt prędko się przekonała, widząc zasię, że jest piękną i świeżą, czując w sobie jedrność i siłę młodości, zrazu poczęła w

gniew wpadać i obrzucać męża obelżywymi słowami, w ciągłej z nim żyjąc kłótni.

Doszedłszy jednak do przekonania, że raczej sama zmarnieje, niżli niegodziwe nałogi męża swego zwycięży, rzekła do siebie: „Ten nędznik nie dba o mnie, ponieważ zachciewa mu się po suchym łądzie brodzić, muszę tedy postarać się o kogoś, co żegluje na wodzie wedle praw natury. Wzięłam go za męża i piękne wiano mu przyniosłam, sądziłam bowiem, że z mężczyzną żyć będę i że on tego pragnie, czego mężczyźni pragnąć przystoi. Gdybym była wiedziała, z kim mam do czynienia, nie poszłabym była nigdy za niego za męża! Po cóż mnie wziął za żonę, wiedząc, że kobietą jestem, jeżeli mu kobiety wstrętnymi były? Dłaboga, dłużej znosić tego nie podobna! Gdybym była chciała odejść od świata, do klasztoru bym wstąpiła. Jednakże przecie żyć pragnęłam! Mamże czekać, aż ten człek rozkoszą i ukontentowaniem mnie obdarzy?

Wierę, młodość strawię i pierwej zestarzeję się i osiwieję, nim się czegoś odeń doczekam. Wówczas za późno będzie jęczeć i żałować zmarnowanego czasu. Zresztą on sam daje mi najlepszą naukę, jak się pocieszać należy, bowiem szuka rozkoszy dla siebie tam, gdzie i ja ją znaleźć mogę. Jednakże to, co dla mnie chwalebne będzie, dla niego jest sromotne i niegodziwe. Ja tylko prawo obyczajności przekroczyć, podczas gdy on ludzkie, a zarazem, i przyrodzone prawo przestępuje.”

Rozważywszy to wszystko siła razy, dzielna białogłowa postanowiła zaspokoić swoje żądze i w tym celu zaprzyjaźniła się z pewną starą niewiastą, która równie pobożną się wydawała jak święta Verdiana, karmicielka węzów. Starucha chodziła bowiem na każdy odpust z różańcem w rękę i o niczym innym nie mówiła, jeno o żywotach świętych ojców Kościoła i o stygmatach świętego Franciszka. Na skutek tego sama już za świętą uchodziła. Dama, stosowną porę upatrzawszy, wyznała wszystko starsze, ta zaś rzekła:

– Bóg, wiedzący o wszystkim, wie także dobrze, że sprawiedliwie postąpić zamierzasz! Gdybyś nawet słusznej przyczyny po temu nie miała, winnaś czynić na podobieństwo innych młodych białogłów, aby młodości swej nie marnować. Wierę, nie masz dla rozumnego człeka większej boleści nad wspomnienie straconego na próżno czasu. Na cóż, u kata, przydać się możemy na świecie, gdy się już zestarzejemy? Chyba do pilnowania garnków na kominie! Inna by o tym tak otwarcie mówić nie mogła lub nie chciała, aliści ja, poznavszy teraz na starość, jak źle czasu użyłam, gdy żal mi dopieka, przestrzec innych za obowiązek swój poczytuję. Wprawdzie nie mogę powiedzieć, że całkiem młodość moją zmarnowałam, nie chcę bowiem, ażebyś sądziła, że wielce głupią ongiś byłam, po prawdzie jednak o wiele lepiej mogłam z niej skorzystać, aniżeli to uczyniła. Gdy spojrzę dzisiaj na siebie, na mój nędzny pozór, który już żadnego mężczyznę nie skusi, by ogień przyłożył do mej hubki, a do tego wspomnę, ile sposobności w życiu straciła, to sam Bóg wie najlepiej, jak srogi żal odczuwam. Z mężczyznami ma się rzecz inaczej. Od urodzenia już sposobni są do tysiąca rozmaitych rzeczy, nie tylko do tej jednej, i najczęściej starzy są więcej wari od młodych. Natomiast my, kobiety, rodzimy się jedynie po to, ażeby rzecz ona czynić i dzieci na świat wydawać. Dla tego tylko powodu znaczymy coś u ludzi, o czym choćby z tego jawnie przekonać się możesz, że kobiety w każdej chwili do zadania swego są gotowe, podczas gdy z mężczyznami całkiem inaczej się dzieje. Co więcej, jedna białogłowa może wielu mężczyzn siłą pozbawić, aliści wielu mężczyzn nie zdoła zmęczyć jednej kobiety. Widzisz tedy, żeśmy się po to urodziły. Powtarzam ci raz jeszcze, że bardzo słusznie uczynisz, jeżeli tą samą miarką mężowi swemu odmierzysz. Wówczas pod starość dusza twoja nie będzie miała nic do wyrzucenia ciała. Z świata tego każdy ma tyle, ile sam sobie weźmie. Ta prawda odnosi się szczególnie do nas, kobiet, my bowiem musimy ze sposobności nadarzającej się o wiele pilniej skorzystać aniżeli mężczyźni. Rozważ bowiem sama tylko, jak się to na świecie dzieje. Gdy się zestarzejemy, ani mąż, ani ktokolwiek inny widoku naszego znieść już nie może. Pędzą nas do kuchni i każą nam kotów pilnować albo garnki i łyżki liczyć. Ba! co okropniejsza, przedmiotem pośmiewiska się stajemy! Wokół nas słychać tylko: „młodej dukata, a starej łopata”, i

tym podobne śpiewki i żarty. Na cóż jednak tyle słów tracę? Dostyc na tym, jeżeli ci powiem, że nie mogłaś nikomu lepszemu ode mnie się zwierzyć i że nikt ci lepiej jak ja dopomóc nie zdoła, nie masz bowiem takiego franta, któremu bym nie odważyła się wszystkiego powiedzieć, co trza, ani tak nieokrzesanego gburą, ażebym go nie ugłaskała i woli mojej nie poddała. Powiedz mi więc tylko, kogo chcesz mieć, a resztę mnie już pozostaw. O jedno tylko muszę cię prosić, moja córko, nie zapomnij o tym, że jestem biedną kobietą. Za tę pamięć od dzisiaj będziesz miała udział w każdym otrzymanym przeze mnie odpuszczeniu i w każdym ojczenaszu, który odmówię, a dobry Bóg przyjmie tę część twoją zamiast lamp i świec i policzy duszom zmarłych twoich krewnych na rachunek zbawienia.

Tymi słowy zacna starucha zamknęła swoją mowę. Młoda białogłowa zawarła z nią umowę, aby gdy obaczy pewnego młodzieńca, przechodzącego często tą ulicą (wygląd jego szczegółowie starusze określiła), natychmiast wedle mniemania swego postąpiła. Po czym, obdarowawszy staruchę kawałem solonego mięsiwa, odesłała ją z Bogiem.

Zaledwie kilka dni od tej chwili minęło, gdy starucha wskazanego młodzieńca sekretnie wprowadziła do jej komnaty, po nim zaś wnet drugiego, w miarę jak młodej białogłowie do gustu przypadali. Mimo strachu przed mężem, z żadnej podobnej sposobności skorzystać nie omieszkła. Pewnego dnia zdarzyło się, że gdy mąż jej do jednego z przyjaciół swoich, nazwiskiem Ercolano, na wieczerzę się udał, białogłowa nasza poleciła dobrej staruszcze, ażeby ta przywiodła jej młodzieńca należącego do najurodziwszych w całej Perugii. Stało się wedle jej żądania. Zaledwie jednak z dzielnym młodzieńcem do stołu zasiadła, aby z nim wieczerzę spożyć, gdy Piętro do drzwi domu kołatać i nawoływać począł. Żona, poznaawszy jego głos, poleciła duszę swą Bogu; nie tracąc jednak przytomności, obejrzała się, gdzieby miłośnika ukryć. Po wahaniach, co począć, nie mogąc znaleźć lepszej kryjówki, schowała go pod kojec stojący w sieni, przylegającej do jadalnej komnaty. Gdy się już ukrył, rzuciła na kojec sienik, który właśnie dnia tego opróżniła, i co żywiej pobiegła, aby drzwi swojemu małżonkowi otworzyć.

– No! – zawołała, otwierając mu drzwi – diablo prędko przełknęliście tę wieczerzę!

– Nie spróbowaliśmy jej nawet – odparł Piętro.

– A to dlaczego? – spytała żona.

– Zaraz ci opowiem – rzekł Piętro. – Otóż, Ercolano, jego żona i ja siedzieliśmy już przy stole, gdy usłyszeliśmy nagle, że ktoś w pobliżu nas kichnął. Za pierwszym i drugim razem ledwośmy na to uwagę zwrócili, gdy jednak ów niewidzialny nos trzeci, czwarty raz, a potem nie wiedzieć ile razy jeszcze kichnął, mocnośmy się wszyscy zadziwili. Ercolano i tak już gniewny na żonę, że kazała nam długo przed drzwiami czekać, nie otwierając ich, teraz jeszcze bardziej się rozsierdził i zawołał: „Co to ma znaczyć? Kto tutaj tak kicha?”

Rzekłszy to i skoczywszy ze swego miejsca, pobiegł ku schodom, znajdującym się tuż koło komnaty. Pod tymi schodami była komórka z desek, przeznaczona, jak zwykle, na skład podręcznych rzeczy. Zdało mu się, że kichania w tej komórce się rozlegały. Zaledwo Ercolano drzwiczki otworzył, natychmiast wydobył się na zewnątrz nieznośny dym z siarki. Już przedtem, poczuwszy tę przykrą woń siarki, pytaliśmy o jej przyczynę, na co gospodyni nam odparła, że zasłony swoje bielila siarką, a później wystawiła pod schody kociołek, nad którym były rozwieszony, miały bowiem przejść dymem. Dlatego woń jeszcze stamtąd przenika. Jednocześnie, gdy Ercolano, poczekawszy nieco na rozejście się dymu, do komórki zajrzał, spostrzegł tam właściciela kichającego nosa, który dymem siarczanym gryziony, wciąż jeszcze kichał. Zaduch i dym w komórce tak go odurzyły, iż chwiały się na nogach. Gdybyśmy przyszli o kilka chwil później, niewątpliwie byłby duszę wykichał. Ercolano na ten widok zawołał: „Rozumiem teraz, wiarolomna niewiasto, dlaczego za przybyciem naszym tak długo nas przede drzwiami trzymałaś! Bodajbym już nigdy radości nie zaznał, jeżeli ci hojnie za to nie zapłacę!”

Na te słowa żona jego, nie wyrzekłszy nic na usprawiedliwienie swoje, widząc, jak oczywistą jest jej wina, uciekła od stołu i nie wiem, co się z nią potem stało. Ercolano zaś, nie

zwróciwszy na jej ucieczkę uwagi, wezwał po raz drugi kichającego człeka do wyjścia. Aliści ten był w takim stanie, że cokolwiek by mówić do niego, ruszyć się nie mógł. Wówczas Ercolano pochwycił go za nogę, wyciągnął z komórki i pobiegł po sztylet, ażeby go zamordować. Ja jednak, obawiając się, aby mnie o współwinę nie posądzono, stanąłem między nimi i nie dozwoliłem, aby Ercolano go zamordował albo coś złego mu uczynił. Owszem, broniłem na pół żywego kochanka jego żony i krzychałem tak głośno, że wreszcie zbiegli się sąsiedzi i zabrali ze sobą, nie wiem dokąd, młodzieńca, który się miał już za zgubionego. Takie oto zdarzenie przerwało naszą wieczerzę i sprawiło, że się nie tylko nie pożywił, ale jak ci to już powiedziałem, nawet nie skosztowałem niczego.

Białogłowa nasza, usłyszawszy opowieść swojego męża, poznała, że inne kobiety nie mniej od niej sprytu mają, że jednak nieszczęścia tu i owdzie czasami przytrafiać się mogą, toteż chociaż miała ochotę gorąco bronić żony Ercolana, pragnąc jednak przez zgromienie cudzego błędu podejrzenie od siebie lepiej oddalić, tak się odezwała:

– A to piękna historia! Kto by się był po tej świętoszce czegoś podobnego spodziewał? I jakże tu teraz pozorom uczciwości wierzyć? Wierę, spowiadać bym się do niej poszła, tak bardzo duchowną osobą się zdawała. Co gorsza, jest już dziś stara i piękny przykład daje młodym! Niechże przeklęta będzie godzina, w której na świat przyszła! Przeklęta niechaj będzie ona sama, że ciągle jeszcze żyje, przewrotna i ohydna niewiasta, wstydem i hańbą okrywająca wszystkie białogłowy tego miasta! Podeptała nogami uczciwość i obyczajność, a także cześć swoją i męża swego, złamała wiarę zaprzysiężoną małżonkowi, godnemu obywatelowi, który się z nią tak dobrze obchodził! O nikczemna! Nie wahała się dla jednego hultaja siebie samej i małżonka swego osławić. Niech mnie Bóg broni, abym dla podobnych kobiet kiedykolwiek litość odczuwała. Żywcem by w ogień należało je wrzucić i patrzeć spokojnie, jak się na popiół zmieniają.

Rzekłszy te słowa, wspomniła o swoim kochanku, pod kojcem w pobliżu ukrytym, i dlatego poczęła namawiać Pietra, ażeby poszedł spać, bowiem pora już późna była. Aliści Pietro miał więcej chęci do jedzenia niżli do spania, dlatego też zapytał jej, czy nie ma czego na wieczerzę.

– Na wieczerzę? – zawołała na to żona. – Cóż ci do głowy przychodzi? Tak jakbyś nie wiedział, że nie mam zwyczaju wieczerzy gotować, kiedy ciebie w domu nie ma. Nie jestem przecież żoną Ercolana! Idź już, idź i staraj się jak najprędzej zasnąć, aby o głodzie zapomnieć.

Traf zdarzył, że właśnie tego wieczora przybyło ze wsi kilku parobków Pietra z zapasami żywności. Postawili oni osły, nie napoiwszy ich uprzednio, w stajence, znajdującej się tuż obok sieni. Jeden osioł, niezmiernie pragnienie czując, odwiązał się od żłobu, znalazł drogę ze stajni do sieni i wszedłszy do niej, węszyć zaczął dokoła, czy gdzie wody przypadkiem nie ma. Tak wałęsając się potrafił o kojec, pod którym młodzieniec przycupnął na czworakach w ten sposób, że palce jednej ręki miał nieco na zewnątrz wysunięte. Na jego szczęście czy też nieszczęście, jak sami osądzicie potem, węszący osioł nadeptał mu na palce i taką przez to boleść sprawił, że nasz młodzieniec, na nic nie pomny, wrzasnął z całej siły. Pietro na ten wrzask niespodziany zadziwił się niepomału i podejrzenie powziął, że z wnętrza domu dobywać on się musi. Gdy zaś jęczenie nie ustawało (osioł bowiem nie ustąpił, ale gniótł coraz mocniej kopytem rękę nieszczęśliwego miłośnika), Pietro z okrzykiem: „Kto tam?”, do kojca przystąpił i podniósł go w górę. Na jego widok młodzieniec z bólu i trwogi zadrżał całym ciałem. Nie tylko dolegały mu palce, ale lękał się, by Pietro nie uczynił mu czegoś złego. Aliści Pietro, wpatrzywszy się w niego i poznawszy w nim jednego z młodzieńców, za którym, niegodziwym skłonnościom swoim hołdując, przez długi czas się uganiał, spytał z wielkim spokojem:

– Co tutaj robisz?

Młodzieniec nic nie odpowiedział na to, błagając tylko w imię miłości Boga, aby mu krzywdy nie czynił.

– Wstań – rzekł Pietro – i nie obawiaj się niczego, powiedz mi jeno, jak i po co tutaj wszedłeś?

Młodzieniec przyznał się do wszystkiego. Pietro zdawał się tylko cieszyć ze znalezienia go o tyle, o ile żona jego tym się martwiła. Wziął go za rękę, wprowadził do komnaty, gdzie żona z największą trwogą go oczekiwała, usiadł naprzeciw niej i rzekł:

– Przed niedawnym czasem przeklinałaś żonę Ercolana uważając, że należałoby ją spalić, jako zakalę niewieściego pogłowia. Przeczeż tego także i o sobie nie powiedziałaś? Jeśli zaś nie chciałaś mówić o sobie, jak mogłaś się odważyć przeklinać inną kobietę, wiedząc, że podobnie, jak ona, postępujesz? Wierę, tym tylko sobie wytłumaczyć wszystko można, że wszystkie jednak niegodziwe jesteście i że każda swój własny błąd cudzym zasłonić by pragnęła. Bodajby tedy ogień spadł z nieba i pochłoniął was wszystkie, o haniebne i niegodziwe plemie!

Żona Pietra, widząc, że pierwszy zapęd jego gniewu w słowach dostateczny upust swój znalazł i że mąż jej zdaje się nie posiadać się z radości, mając w swym ręku tak urodziwego młodzieńca, zdobyła się na odwagę i rzekła:

– Zaprawdę, wierzę, że pragnąłbyś, aby nas wszystkie ogień niebieski pochłoniął, wiem bowiem dobrze, że tak pogłowie nasze kochasz jak psy kij. Aliści, na święty krzyż Pański, i ja nie zmilczę! Jeśli się mamy wreszcie porachować, to chciałabym wiedzieć, jakie to masz prawo do skarżenia się na mnie? Porównywasz mnie z żoną Ercolana, z tą starą obłudnicą! Mąż nie zaniedbuje jej w niczym i obchodzi się z nią tak, jak z żoną należy się obchodzić. Ze mną rzecz się ma zgoła inaczej. Prawda, żem dobrze odziana i obuta, aliści sam wiesz najlepiej, jak się ma rzecz z innymi sprawami i ile czasu minęło, jakem cię w nocy obok siebie w łożu oglądała. Ja zasię wolałabym obdarta i bosa chodzić, a mieć za to prawdziwego mężczyzną przy sobie aniżeli posiadać to wszystko, co posiadam, a widzieć w tobie wroga płci mojej. Słuchaj tedy uważnie, Pietro, co ci powiem. Jestem kobietą, jak i inne, i te same mam pragnienia. Jeżeli tedy, przez ciebie zaniedbana, zaspokoić się je staram, winić mnie za to nie można. Dobrze, że tyle chociaż dbam o cześć twoją, iż nie zadaję się z hultajstwem ulicznym.

Pietro, widząc, że podobny spór całą noc mógłby się przeciągnąć, i nie czując chęci do kłótni z żoną, o którą dbał niewiele, rzekł:

– Dostyc na tym! Bądź spokojna, przyrzekam ci, że jakoś się to wszystko ułoży!... Teraz zaś najlepiej by było, gdybyś o jakiej wieczery pomyślała, zdaje mi się bowiem, że ten młodzieniec nie mniej ma apetytu ode mnie.

– W samej rzeczy – rzekła żona – nic jeszcze w ustach nie miał, bowiem właśnie kiedyśmy do stołu zasiadali, ciebie zło niespodziane przyniosło.

– Idź tedy – rzekł Pietro – i pomyśl o naszej wieczery, a potem ja już się postaram tak całą rzecz uładzić, abyś nie miała powodu na mnie się żalić.

Żona, widząc, że mąż jest udobruchany, pośpieszyła co prędzej przygotowanymi już potrawami stół zastawić. Potem zasiadła do niego wraz z nędznym mężem swoim i z młodzieńcem. Uczta odbyła się nader wesoło.

Po wieczery Pietro dla ukontentowania wszystkich trojga wymyślił pewien sposób, o którym już zapomniałem. Tyle wiem jeno, że nazajutrz z rana młodzieniec wracając, aż do samego rynku nie był pewny, z kim większą część nocy spędził: z mężem czy z żoną.”

– Dlatego, miłe damy, powiadam wam na zakończenie: „Ząb za ząb, oko za oko!” „Czyń drugiemu, co on tobie.” A jeśli nie zdołasz, miej to w myśli tak długo, aż ci się powiedzie. Gdy osioł łbem w mur tłucze, mur mu tyleż razy oddaje.

Gdy Dioneo skończył, damy, nie tyle z braku chęci do śmiechu, ile przez wstydlivość, od objawów wesołości się wstrzymały. Po czym królowa, widząc, że koniec jej rządów nadszedł, podniosła się z swego miejsca, zdjęła wieniec wawrzynowy ze skroni i włożyła go z wdziękiem na głowę Elizy mówiąc:

– Madonno, na ciebie teraz kolej rozkazywania przychodzi.

Eliza, przyjąwszy nadaną jej godność, postąpiła na wzór swych poprzedniczek. Wydała marszałkowi rozkazy na czas swoich rządów, a potem rzekła, poklask towarzystwa zyskując:

– Już wielokroć o tym słyszeliśmy, jak przez ciętą odpowiedź, trafny pomysł lub przytomność umysłu wielu ukąszeń złośliwości lub grożącego niebezpieczeństwa ludziom uniknąć się udało. Ponieważ przypadki te za wielce pożyteczny przykład służyć mogą, chcę tedy, ażeby z boską pomocą jutrzejsze opowieści nasze zajęły się ludźmi, którzy dzięki dowcipnemu rzezeniu, ciętej odpowiedzi lub też przez szybkie postanowienie – szkody, niebezpieczeństwa czy też cięższego strapienia uszli.

Materia ta ogólny poklask znalazła. Po czym królowa podniosła się i wszystkim swobodę aż do wieczery dała. Zaczyna kompania widząc, że królowa wstała, podniosła się również i utartym zwyczajem każdy zajął się tym, co najwięcej przyjemne mu było. Gdy koniki polne ćwierkać już przestały, zwołano wszystkich znowu i do stołu zasiedli. Przy końcu wesołej wieczery zaczęła się muzyka i śpiewy. Emilia na żądanie królowej zawiodła taniec, Dioneo wi zaśię śpiewać kazano.¹⁴⁶

Dioneo natychmiast zanucił: „Pani Altrudo, ogon w górę, pomyślną niosę ci nowinę!” Wszystkie damy wybuchnęły śmiechem, osobliwie zaśię królowa. Kazano mu inną pieśń wybrać. Dioneo odparł:

– Gdybym miał cymbałki, to bym wam zaśpiewał:

„Pani Lappo, podnieś szatki” albo: „Pod oliwką miękka trawa”, a może też tę: „Morska fala mnie kołysze, jak mi słabo, ledwo dyszę!”

Ponieważ jednak nie mam muzycznego instrumentu, wybierajcie więc same, co wam się podoba. Może chcecie: „Tylko przyjdź, ja cię okrzyszę, jak ogrodnik drzewo w maju.”

– Nie! – zawołała królowa – zaśpiewaj coś innego!

– A więc to może – odrzekł Dioneo – „Pani Simono, w beczkę lej!” – „Kiedy jeszcze nie październik!”

– Do kata! – zawołała, śmiejąc się królowa – zaśpiewajże coś obyczajniejszego!

– Dobrze, pani – rzekł Dioneo – tylko się nie gniewajcie, macie z czego wybierać, znam bowiem piosenek więcej niż tysiąc. Może chcecie tę: „Muszelecza moja mała” albo: „Tylko wolno, mój mężusiu”, lub tę wreszcie: „Koguta sobie kupiłam”?

Królowa rozsierdziła się wreszcie, chociaż inne się śmiały, i rzekła:

– Zaprzeżaj żartów, Dioneo, i zaśpiewaj nam jakąś miłą piosenkę, inaczej poznasz, że prawdziwie gniewną być umiem.

Dioneo usłyszawszy to, porzucił figliki i szybko śpiewać zaczął:

Amorze, boskie światło,
Co z oczu jej płomienną bije strugą,
Zrobiło mnie wraz jej i twoim sługą!
Z oczu jej płomień przeszedł w moje oczy.
Ledwie ją spostrzegł, ledwie rzucił okiem,
Jużem zgubiony!
Wiem, jakieś hojny, władny i uroczy,
Wiem – bo w obliczu jej żyjesz wcielony,
Patrzysz jej wzrokiem.
Widzisz więc, że się jej oddałem cały,
Jej tylko żądam na świecie szerokim
I ją jedynie posiąść chcę, zuchwały!
Tak jest... odniosłeś zwycięstwo nade mną,
O drogi panie, bądźże mi łaskawy!
Nagródź mnie za to!
Nie wiem, czy budzę w niej żądzę wzajemną,

Czy wreszcie mojej stanie się zapłata
Miłości prawej,
Lub czy... o Boże!... jakaż myśl straszliwa!
Nie zechce dręczyć dla płochej zabawy
Duszy, co do niej tęsknie się wrywa!
Błagam cię tedy, o najmilszy panie,
Odmaluj przed nią twogę mą i troski
I rzuć w jej łono
Część tych płomieni, co w wieczystej ranie
Mojego serca tak samotnie płoną
Z twojej woli boskiej.
Wiesz, ile cierpię! Lećże z mą żalobą
I z mą nadzieją posłem do jej wioski.
O jakże chętnie pobiegłbym za tobą!

Gdy Dioneo umilkł, królowa wezwała jeszcze i innych do śpiewania, największe pochwały jednak Dioneowi oddała. Tymczasem minęła już znaczna część nocy. Królowa czując, że chłód nocny coraz jest przenikliwszy, wszystkim na spoczynek do jutra udać się kazała.

Kończy się piąty dzień Dekameronu i zaczyna szósty, w którym pod przewodem Elizy opowiada się o tych, co trafnym powiedzeniem odparli przytyk w nich godzący albo ciętą odpowiedzią lub też nagłym postanowieniem uniknęli straty, niebezpieczeństwa czy wstydu.

PRZYPISY

Wymowa: Nie wchodząc w subtelności, ze względu na liczne imiona własne w tekście wskazać należy kilka najważniejszych zasad, określających stosunek pisowni włoskiej i wymowy:

- c przed a, o, u brzmi jak polskie k (Cane, Ercolano, Currado itp.),
- c przed e, i brzmi jak cz (Francesco, Ciappelletto),
- g przed e, i brzmi jak dż (Gentile, Giotto),
- ch brzmi jak k (Chichibio), gh jak g (Ghino),
- gl brzmi jak zmiękczone l, gn jak zmiękczone n (ń): Guglielmo, ogni,
- sc przed e, i brzmi jak sz (Musciatto), kiedy indziej jak sk (Scala),
- z brzmi jak dz (w nagłosie: Zima) lub jak c (Boccamazzo),
- v ma wartość w.

Tytuł: *Dekameron* – wyraz utworzony z elementów greckich (Dziesięć dni), na wzór głośnych w średniowieczu Heksameronów (rozprawiających o stworzeniu świata „ksiąg sześciu dni”) św. Ambrożego i in. W dawnych rękopisach tytułowi temu towarzyszyć zwykło określenie: „(księga) nazwana Księżę Galeotto”. Galeotto (starofranc. Gallehaut) – pośrednik między rycerzem Okrągłego Stołu, Lancelotem, a ukochaną przez niego żoną króla Artusa, wspomniany przez Dantego w słynnym epizodzie Franceski z Rimini (V pieśń Piekła). Obranie go za patrona zbioru stu nowel miało zapewne oznaczać, że autor ich podobnie oddaje się w służbę pań – co zresztą z naciskiem podkreślał, zwłaszcza w przedmowie do „dnia” czwartego.

Tytuły poszczególnych nowel nie pochodzą od autora.

¹ Według kronikarzy na skutek zarazy 1348 r. wyginęło trzy piąte ludności Florencji, wliczając w to najbliższą okolicę. Historycy późniejsi oceniają straty na 50 do 80 tysięcy osób.

² Eskulap – postać mityczna, wynalazca i bóg sztuki lekarskiej w starożytnej Grecji; Galen – głośny anatom grecki z II w. n. e.; Hipokrates – najslawniejszy lekarz starożytności (V w. p. n. e.).

³ Imiona osób opowiadających dobrane zostały rozmyślnie, są to więc imiona „mówiące”, często oparte o wyrazy greckie: Pampinea – bujna (jak pędy winogrodu); Fiammetta – płomyk: tradycja widziała w tej bohaterce młodzieńczych utworów Boccaccia Marię d’Aquino, rzekomą kochankę neapolitańską pisarza; Filomena – zapewne: miłośniczka śpiewu (słowik); Emilia – pełna słodyczy, schlebiająca (imię częste u Boccaccia); Lauretta – wspomnienie ukochanej Petrarcki; Neifile – młoda, świeża miłośnica; wreszcie Eliza jest imieniem Dydony (z Eneidy Wergilego), mającym określać kobietę namiętą. Z trzech młodzieńców (por. str. 36): Panfilo – całkiem, na wskroś ogarnięty miłością (występuje w powieści Boccaccia pt. Fiammetta); Filostrato – złamany miłością (od niego wziął tytuł jeden z młodzieńczych poematów Boccaccia, opowiadający o Troilusie zdradzonym przez Chryzejdę); Dioneo – nazwany tak od Diony, matki Wenus, bogini miłości; imię podkreślać ma zmysłowość mło-

dzieńca, wyraźnie zaznaczającą się w doborze tematów nowel, które opowiada, i ich ujęciu.

⁴ Starano się określić bliżej willę podmiejską, w której zbiera się Bokacjuszowa dziesiątka, i wymieniano Poggio Gherardi w pobliżu Fiesole. Dane, jakich dostarcza tekst, są jednak całkiem ogólnikowe i odnaleźć je można w innych, podobnych opisach.

⁵ O trzeciej... – wedle zwyczaju rzymskiego dzień, od wschodu do zachodu słońca, dzielono na cztery odcinki po trzy godziny (godzina trzecia, szósta, dziewiąta i *vespro* – zmierzch). Różnice, zachodzące w poszczególnych porach roku, utrudniają ustalenie ścisłych odpowiedników czasu według naszych obliczeń.

⁶ Musciatto Franzesi – postać historyczna: chłop toskański, który dorobił się bogactw jako kupiec i został następnie rycerzem, usłużnie pomagającym w mętnych sprawach Filipowi Pięknemu, królowi francuskiemu (1285–1314). Wróciwszy do Florencji w orszaku Karola Bez Ziemi (1301), brata króla Filipa, podburzył miasto przeciwko ówczesnemu rządowi Białych

⁷ Ser (skrótowe z *messere* – pan, podobnie jak polskie imię) – tytuł starodawny, nadawany między innymi notariuszom.

⁸ Cepparello – (lub Ciapperello) z Prato odnaleziony został w dokumentach z końca XIII w. jako poborca podatkowy. Francuski wyraz *chapelet*, dziś – różaniec, oznaczał ongiś wianek kwiatów i nakrycie głowy (por. *chapeau* – kapelusz). Nakrycie głowy oznacza też włoskie *cappello* (*ciappello*), a *cappelletto* (*ciappelletto*) jest zdrobnieniem tego wyrazu. *Cepparello* uważa Boccaccio za zdrobnienie od *ceppo* – (pień), podczas gdy idzie tu zapewne o zdrobnienie od *Ciapo* (*Jacopo*).

⁹ ...psów lombardzkich... – w średniowieczu określenie „lombardzki” przybierało często znaczenie „włoski”, w odniesieniu do Włoch nie tylko północnych, ale i środkowych, stając się też synonimem lichwiarza, w związku z procederem, uprawianym przez wielu przybyszów z Włoch (por. „lombard” w znaczeniu biura zastawniczego).

¹⁰ Saladyń (Salah ed-din, 1137–1193) – sułtan Egiptu i Syrii, zajął Jerozolimę w r. 1187. W całym ówczesnym świecie chrześcijańskim cieszył się sławą władcy hojnego i pełnego podziwu dla męstwa. Dokoła jego postaci narosły rychło legendy, mające odbicie w literaturze. Nie zapomniał też o nim Dante ani Petrarca. Spotkamy go jeszcze w noweli dziewiątej dziesiątego dnia. Nie jest ścisłą wiadomością Boccaccia, jakoby wyszedł „z nikczemnego stanu”. Przeciwnie, był synem dygnitarza dworskiego.

¹¹ Lunigiana – północno-zachodnia część Toskanii, na północ od Spezii.

¹² Markiz z Monferratu – Konrad, waleczny obrońca Konstantynopola i Tyru, uzyskał tytuł króla Jerozolimy, lecz rychło potem został zamordowany (1192). Filip August istotnie wyruszył na Wschód z Genui w chwili, gdy Konrad był już od kilku lat w Palestynie, ten jednak nie pozostawił żony w Monferracie, wyjechał bowiem z kraju jako wdowiec.

¹³ Filip Krzywooki – Filip II August (1165–1223). Wyprawa krzyżowa, o którą idzie, to tak zwana trzecia krucjata (1189–1192), w której wzięli też udział Fryderyk Barbarossa i Ryszard Lwie Serce, wywołana zajęciem Jerozolimy przez Saladyńa (wzmianki o niej również w innych nowelach Boccaccia: I, 9; V, 7; X, 9).

¹⁴ Inkwizytor – Boccaccio ma na myśli zapewne osławionego brata Mimo da S. Quirico, inkwizytora florenckiego w latach 1332–1334, przedmiot powszechnego zgorszenia.

¹⁵ *Cum gladiis et fustibus* (łac.) – przy pomocy mieczów i kijów.

¹⁶ Cane della Scala (1291–1329), zazwyczaj obdarzany przydomkiem wielkiego (Cangrande) – przywódca lombardzkiego obozu gibelinów, z rodziny Skaligerów, władców Werony, słynny ze szczodrości, udzielił gościny wygnańcowi Dantemu.

¹⁷ Bergamino – zapewne zawodowy recytator, bawiący opowieściami towarzystwo dworskie, może pochodzący z Bergamo autor łacińskiego *Dialogu stworzeń*.

¹⁸ Prymas – kanonik koloński, żył w pierwszej połowie XIII w. Wędrował wiele po świecie i

zyskał rozgłos jako zręczny improwizator, któremu – pod imieniem Goliasa – przypisuje się liczne pieśni goliardów, między innymi popularny spór wody i wina. Te kpiące strofy, o silnym zabarwieniu zmysłowym, ostrzem swym zwrócone przeciwko kurii papieskiej i hierarchii społecznej średniowiecza, przenika pragnienie swobody życia i myśli.

¹⁹ Cluny – słynne opactwo benedyktyńskie we Francji, jedno z najbogatszych w średniowieczu (por. X, 2). Stąd wyszedł szeroki ruch reformy życia zakonnego.

²⁰ Grimaldi byli jedną z najszlachetniejszych i najpotężniejszych patrycjuszowskich rodzin w Genui.

²¹ Wilhelm Borsiere (zm. ok. 1300), wspomniany przez sodoimitów przez Dantego (*Piekieło* XVI) – człowiek obyty na dworach, często w roli pośrednika przy zawieraniu paktów, małżeństw itp. Szereg pisarzy późniejszych przytacza nowelę Boccaccia jako relację o wydarzeniu autentycznym.

²² *Ex proposito* (łac.) – rozmyślnie, celowo.

²³ Za... pierwszego króla Cypru – pierwszym królem Cypru był w latach 1192–1194 Gwido, poprzednio król Jerozolimy, słynny z niedołęstwa.

²⁴ Gotfryd z Bouillon – książę Dolnej Lotaryngii, wódz pierwszej krucjaty, pierwszy król Jerozolimy, którą zdobyto w r. 1099.

²⁵ Mistrz Albert prawdopodobnie Albert Zancari, dektor filozofii i medycyny, profesor uniwersytetu bolońskiego (żył jeszcze w r. 1348), znany poza granicami Włoch jako Albertus Bononiensis.

²⁶ Madonna – pani.

²⁷ Otrók – chłopiec, młokos (staropolskie).

²⁸ Kancona – pieśń (o określonej budowie stroficznej), łącząca walory poetyckie z muzycznymi.

²⁹ Treviso – miasto na równinie weneckiej, osiągnęło znaczny poziom kultury w wieku XIII, gościło wówczas trubadurów (jak: największy z trubadurów włoskich Sordello i in.). Błogosławiony Henryk z Treviso zmarł w r. 1315. O jego śmierci i kulcie zmarłego te same szczegóły podają ówczesni kronikarze.

³⁰ Podesta – burmistrz stojący na czele gminy miejskiej we Włoszech.

³¹ Agolanti – rodzina szlachecka wygnana z Florencji w drugiej połowie XIII w. (por. dzień II, 3).

³² Św. Julian – patron gościnności; był niezwykle popularny w wiekach średnich i specjalną modlitwą podróżni starali się zapewnić sobie jego pomoc i opiekę. Rodzice świętego (por. str. 100) według legendy mieli być zabiści z winy syna, który dla odpokutowania grzechu został szpitalnikiem pielęgnującym trędowatego (por. znaną opowieść Flauberta).

³³ Markiz Azzo z Ferrary – zapewne Azzo VIII, zm. 1308.

³⁴ ...puszczam dwa soldy za dwadzieścia cztery denary – sold był dwudziestą częścią florena, denar dwunastą częścią solda; wyrażenie to znaczyć miało: łatwo się bez czegoś obywam.

³⁵ Pater noster – *Ojcze nasz*, Ave Maria – *Zdrowaś Mario*.

³⁶ *Dirupisti*, *Intemerata*, *De profundis* – łacińskie pieśni modlitewne *Dirupisti* („Rozdarłeś...”) – ustęp Psalmu 73, antyfona *Intemerata virgo* („Niepokalana...”) – popularna w średniowieczu prośba do Matki Boskiej, *De profundis* („Z głębokości...”) – śpiewany i dziś Psalm 129. W wymienieniu tych pieśni jest złośliwa aluzja mówiącego; zwłaszcza *De profundis* to pieśń pogrzebowa.

³⁷ Castel Guglielmo – mały gród między Ferrarą a Este.

³⁸ Lamberti – rodzina gibelińska, wygnana z Florencji w r. 1268. Inna jej gałąź związana była, jak rodzina Boccaccia, z domem bankowym Bardich.

³⁹ Wojna, którą ma na myśli Boccaccio, to dramatyczna walka Henryka II (1154–1189) z synem Henrykiem (zm. 1183) w latach 1173–1174, która silnym echem odbiła się w świecie

ówczesnym.

⁴⁰ B r u g g e (franc. Bruges) – miasto zachodniej Flandrii, słynne z zabytków artystycznych, jeden z wielkich niegdyś ośrodków handlu międzynarodowego.

⁴¹ Rufolo – Rodzina Rufolo w XIII i XIV wieku odgrywała dużą rolę w okolicach Neapolu i w Ravello, gdzie posiadała pałac o dwu wieżach. Jeden z jej członków, Lorenzo (zm. 1291), utracił łaskę króla, był korsarzem.

⁴² Archipelag – wyspy rozrzucone po Morzu Egejskim.

⁴³ Trani – miasto w Apulii, odgrywało znaczną rolę za Normanów i Hohensztaufów.

⁴⁴ Malpertugio – dosłownie: zła dziura, nazwa dzielnicy od przejścia (łuku) w murze, skracającego drogę do portu. Pod murami sąsiedniego Arsenału, wokół kupieckich kramów, zbierały się męty społeczne ówczesnego Neapolu. Niedaleko mieścił się również bank Bardich, gdzie pracował młody Boccaccio.

⁴⁵ Girgenti, dziś znów Agrigento (starożytne Agrigentum) – zabytkowe miasto na Sycylii.

⁴⁶ Król Karol – Karol II Andegaweński (zm. 1309). Fryderyk II Aragoński – jeden z trzech synów Piotra III i Konstancji, córki Manfreda, obwołany królem Sycylii w Katanii 1296 roku, rządził do 1337. Przez szereg lat walczył o tron z Andegawczykami i bratem własnym, Jakubem. Wojna Andegawczyków i Aragończyków wywołała liczną emigrację z Sycylii.

⁴⁷ Ruga – ulica, droga (por. franc. *rue*).

⁴⁸ Karaluch–Podpalacz – włoskie nazwanie: *Scarabone Buttafuoco* określa właściwie żołdaka, zbira, „ziejącego ogniem”.

⁴⁹ Arcybiskup Filippo Minutolo zmarł 24. X 1301 (co pozwala określić datę wydarzeń opowiedzianych). Grobowiec jego zachował się w katedrze neapolitańskiej.

⁵⁰ Znakomity badacz B. Croce w rozprawie z r. 1911 (pomieszczonej następnie w tomie *Storie e leggende napoletane*, 1926) na podstawie poszukiwań archiwalnych wydobyl z noweli o Andreucci liczne rysy realizmu, zarówno jeśli idzie o koloryt lokalny i ścisłość topograficzną, jak też i wierność historycznych szczegółów opowieści Boccaccia, tak silnie zżytego z środowiskiem neapolitańskim. Croce odnalazł nawet w rejestrze z r. 1341 Florę Sycylianę (bohaterka noweli używa pseudonimu Fiordaliso), zamieszkałą właśnie w dzielnicy Malpertugio i nie będącą wzorem cnotliwych obyczajów. W innym rejestrze widnieje też przybyły z Sycylii Francesco Buttafuoco, zapewne dawny żołnierz–zawadiaka, który pozostał wierny Andegawczykom.

Przypomniano też, że nowela Boccaccia stanowi wymowną ilustrację wskazań i ostrzeżeń, jakie krążyły w kołach kupieckich: „Miej się na baczności, by nie wychodzić z domu swego nocą, jeśli możesz tego uniknąć; a jeśli wypadnie ci wyjść, weź z sobą zaufaną kompanię i silne a dobre światło. Nie idź nigdy nocą do domu kobiety światowej lub podobnej, choćby posyłała po ciebie... gdyż wielu już w ten sposób nabrano, a zwłaszcza w miejscowościach portowych i cudzoziemskich.” (Paolo da Certaldo, *Libro di buoni costum*; przytacza V. Branca, I, 169.)

⁵¹ Capece – Konrad Capece, z wybitnej rodziny neapolitańskiej, był w r. 1266 naczelnym dowódcą wojsk Manfreda na Sycylii. Podburzył następnie Sycylię przeciw Karolowi II, za czym został oślepiiony i powieszony w Katanii. Arrighetto – zdrobnienie od Arrigo, Henryk.

⁵² Caracciola (wzgl. Caracciolo) – głośna rodzina neapolitańska.

⁵³ Bitwa pod Benewentem – 25. II 1266.

⁵⁴ Scacciato – dosł.: wypędzony, wygnany, używane, też jako imię.

⁵⁵ Currado (Konrad) II di Villafranca, zm. 1294, występuje w *Boskiej Komedii (Czyściec VIII)*. Epizod tu opowiedziany nie ma podłoża historycznego.

⁵⁶ Cavriuola – łania.

⁵⁷ Piotr III Aragoński interweniował na Sycylii w r. 1282 po słynnych Nieszporach.

⁵⁸ Lerici – port i zamek w pobliżu Spezii.

⁵⁹ Algarbia (z arabskiego *Al gharb* – zachód) – najbardziej południowa część Portugalii (dziś Algarvia), w średniowieczu sięgająca i do Afryki.

⁶⁰ Chiarenza w Romanii – idzie o port na Peloponezie. Romanią nazywano w ogóle cesarstwo wschodnie.

⁶¹ Konstantyn – syn cesarza Andronika (w pocz. XIV w.); Manuel – jego siostrzeniec. Te i inne imiona, przewijające się w tej noweli, utkwiły w pamięci Boccaccia zapewne za czasów neapolitańskich.

⁶² Osbech (Usbek) – chan Złotej Hordy (1313–1340), był w stosunkach dyplomatycznych z papieżami, Moskwą i Bizancjum, popierał handel wenecki, a zwłaszcza genueński na Morzu Czarnym.

⁶³ Aiguesmortes w pld. Francji, niegdyś port, z którego Ludwik IX wyprawiał się na Wschód.

⁶⁴ Cesarstwo rzymskie „przeszło do Niemców” z chwilą przejścia go przez Ottona I z dynastii saskiej (962).

⁶⁵ Perotto i Giannetta – imiona pochodzenia francuskiego (Pierrot, Jeannette)

⁶⁶ W wątku ósmej noweli dnia drugiego uchwytne jest echo głośnej sprawy Piotra de la Brosse, dworzanina króla francuskiego Filipa III. Oskarżony przez królowę, stracony został w r. 1278 (aluzja do tych wydarzeń w VI pieśni Dantejskiego *Czyśćca*).

⁶⁷ Lomellin, właśc. Lomellini – rodzina Lomellini należała do najznakomitszych w Genui. Działalność kupców genueńskich we Francji była bardzo żywa i przeciwstawiała się często aktywności Florentczyków.

⁶⁸ ...kupiec... z Piacenzy – wielu kupców z Piacenzy przewija się w tym okresie we Francji. Opowieść Boccaccia wydaje się w dużej mierze echem pogwarek kupców włoskich, bywających na Zachodzie.

⁶⁹ Encararch, właśc. En Cararch – nazwisko katalońskie z partykułą wskazującą szlacheckie pochodzenie (En). W XIII i XIV wieku Katalończycy często wchodzili w spółki z kupcami genueńskimi przeciw Wenecjanom.

⁷⁰ Albenga i Finale – miasteczka na Riwierze.

⁷¹ Acri – włoskie San Giovanni d’Acri, arabska Akka, portowe miasto Palestyny, ostatnie, które pozostało w rękach krzyżowców. Jego upadek (1291) wywołał silne wrażenie w społeczeństwach chrześcijańskich.

⁷² Zasadniczy wątek noweli II, 9 odnajdzie się w *Cymbelinie* Szekspira.

⁷³ Gualandi – jedna z najznamienitszych rodzin pizańskich, wspomniana też przez Dantego.

⁷⁴ ...tylko w Rawennie... – z powodu obfitości kościołów i świąt chłopcy z zapałem studiowali kalendarz, w nadziei wyczytania dni wolnych.

⁷⁵ Paganin da Mare – nazwisko wskazuje pochodzenie korsarza z wybitnej, szlacheckiej rodziny genueńskiej Da Mare (De Mari), co w tych latach, ze względów politycznych, nie było odosobnionym wyjątkiem. Imię Pagano (tu w formie zdrobniałej) pojawiało się dość często.

⁷⁶ Monaco było w tym czasie słynnym gniazdem korsarskim.

⁷⁷ Tradycja dość późna, bo osiemnastowieczna, pałac ten widziała w willi Schifanoia (Palmieri) na wzgórzu Camerata.

⁷⁸ ...godzina dziewiąta – około drugiej po południu (podobnie str. 246 i in.).

⁷⁹ Agilulf panował w latach 591–615. Tron zawdzięczał małżeństwu z Teodolindą, wdową po Autaryku (584–590). Tło „longobardzkie” noweli zaczerpnął Boccaccio z historyka VIII w. Pawła Diakona.

⁸⁰ San Brancazio (albo S. Pancrazio) – klasztor franciszkański we Florencji.

⁸¹ Don (z łac. dominus) – pan, tytuł honorowy, umieszczany często przed imionami osób duchownych i pochodzenia szlacheckiego.

⁸² Vergellesi (Vergiolesi) – znana rodzina w Pistoii, przewodziła Białym, a następnie Gibelinom.

-
- ⁸³ Strojniś – wł. *Zima* (tzn. *azzimato* – wystrojony).
- ⁸⁴ Messer – pan (tytuł staroświecki, dziś o odcieniu żartobliwym).
- ⁸⁵ Ricciardo Minutolo z rodu rycerskiego, dworzanin i doradca króla Roberta i królowej Joanny. W XIV wieku rodzina Minutolo posiadała jedną z łaźni w Neapolu.
- ⁸⁶ Filip Sighinolfi piastował różne godności na dworze królowej Joanny, wątpliwe jest jednak, by żona jego miała na imię Katarzyna.
- ⁸⁷ ...tę kondycję... – tu: ten warunek.
- ⁸⁸ Rodziny: Elisei oraz Palermi należały do starożytnych we Florencji. Pierwsza z nich była prawdopodobnie spokrewniona z rodziną Dantego.
- ⁸⁹ Signoria – najwyższy organ rządowy republik włoskich.
- ⁹⁰ Starzec z gór (*Lo Veglio della Montagna*) – postać legendarna, herszt zbójców, tajemniczy Hasan ibn as-Sabbah, który ze swej górskiej twierdzy wysyłał zagonny na całą Azję Przednią. Wieści o nim roznieśli krzyżowcy, a także głośny podróżnik Marco Polo.
- ⁹¹ Roussillon – hrabstwo w południowej Francji, u podnóża Pirenejów (por. str. 363).
- ⁹² Capsa (dziś Gafsa) – miasto w półn. Afryce (Tunis).
- ⁹³ Tebajda – okolica egipskich Teb, miejsce pobytu starożytnych pustelników.
- ⁹⁴ Rustico – imię mówiące: wiejski, nieobyty. Przybierane często przez pustelników.
- ⁹⁵ Rycerz Wilhelm – zapewne legendarny bohater walk z Saracenami (VIII – IX w.), Wilhelm z Orange, opiewany przez poetów francuskich. Dama z Vergi – aluzja do starofrancuskiej noweli wierszowanej z XIII w.; ta tragiczna historia miłosna, opowiadająca o śmierci dwojga kochanków, spowodowanej przez zazdrosną rywalkę, cieszyła się ogromnym powodzeniem w średniowieczu.
- ⁹⁶ ...nie dając im tytułu... – różnie interpretowano te słowa. Znaczą one zapewne, że przed puszczeniem w obieg całego zbioru zawarte w nim nowele nie miały wspólnego tytułu.
- ⁹⁷ Balducci – rodzina ze średniej warstwy florenckiego mieszczaństwa; pochodziło z niej wielu agentów Bardich.
- ⁹⁸ Góra Asinaro lub Senario – jej grotty były niegdyś miejscem zamieszkania pustelników.
- ⁹⁹ Guido Cavalcanti (ur. ok. 1255, zam. 1300) – poeta i filozof, przyjaciel Dantego, wyróżniający się niezależnością myśli, brał czynny udział w życiu politycznym i z tego powodu musiał opuścić Florencję. Postać pociągająca swą zagadkowością; Boccaccio wprowadził go do jednej z późniejszych nowel Dekameronu (VI, 9).
- ¹⁰⁰ Cino da Pistoia (ur. ok. 1270) – prawnik i poeta liryczny, należał do tej samej grupy pisarzy tokańskich i pozostawał w korespondencji literackiej z Dantem.
- ¹⁰¹ Imię Tankreda (jak i Guiskarda) nosili różni książęta normandzcy; nowela jednak – należąca do najbardziej popularnych i najczęściej naśladowanych opowieści Dekameronu – nie wprowadza postaci historycznych. Autor poprzestaje na odległych aluzjach do epoki normandzkiej w dziejach Włoch południowych.
- ¹⁰² Imola – miasto w pobliżu Bolonii.
- ¹⁰³ Quirino (wzgl. Quirini) – rodzina Quirini należała do patrycjatu weneckiego i posiadała w mieście kilka pałaców, m. in. nad Wielkim Kanałem.
- ¹⁰⁴ Rialto – główna spośród wysp, na których powstała Wenecja, centrum handlowe miasta. Największy z mostów w Wenecji wziął od niej nazwę.
- ¹⁰⁵ Wilhelm II, król Sycylii (1166–1189), był władcą o charakterze orientalnym. Ruggieri (Roger) i Konstancja nie byli jednak jego dziećmi, ale dziećmi jego dziada, Rogera II. Koloryt, jaki Boccaccio nadaje tej noweli, nie opiera się na ścisłych faktach historycznych.
- ¹⁰⁶ ...nie masz tu sokołów, więc i rękawic nie potrzeba... – aluzja do tresowanych sokołów, których w średniowieczu używano do polowania, wypuszczając je z ręki (odzianej dla ochrony w rękawicę) na upatrzoną zwierzynę.
- ¹⁰⁷ San Gimignano – miasto tokańskie, słynne ze swych średniowiecznych wież, które do

dziś wznoszą się nad murami. Jako ośrodek przemysłu włókienniczego, miało w XIII i XIV w swe przedstawicielstwo handlowe w Messynie.

¹⁰⁸ Pieśń, której dwa wiersze przytacza Boccaccio w zakończeniu noweli, dochowała się do naszych czasów i była ogłaszana parokrotnie (m. in. przez Carducciego, którego tekst przedrukowali w swych wydaniach *Dekameronu* L. Russo i V. Branca).

¹⁰⁹ San Galio – kościół klasztorny pod murami Florencji, zburzony w XVI wieku

¹¹⁰ Puccino – zdrobnienie od Jacopo (Jacopuccino).

¹¹¹ Szałwia z dawna ceniona była dla swej wartości leczniczej, m. in. przez głośną szkołę lekarską w Salerno.

¹¹² Stramba, Atticciato, Imbratta, Malagevole – właściwie przezwiska: Pokraka, Dragal, Niechluj, Okoń.

¹¹³ Sighieri – bogata rodzina kupców florenckich, mająca też posiadłości we Francji.

¹¹⁴ Wilhelm z Cabestanh (czytaj: Kabestan, także w pisowni: Cabestaing) – poeta prowansalski na przełomie XII i XIII wieku. Zachowało się po nim siedem pieśni lirycznych. Boccaccio oparł się na prowansalskiej biografii trubadura, która – bez uzasadnienia faktycznego – z realnymi postaciami historycznymi zespoliła legendarny motyw zjedzonego serca, pochodzenia zapewne celtyckiego. Rajmund (nie Wilhelm) z Roussillon zmarł ok. r. 1209.

¹¹⁵ Grabia Prowancji – według biografij prowansalskich miał to być Alfons, król Aragonii; ten jednak zmarł w r. 1196, przed małżeństwem pana z Roussillon z piękną Saurimondą, która zresztą przeżyła swego męża, jak stwierdzili niedyskretni badacze archiwów.

¹¹⁶ Salerno słynęło w wiekach średnich jako ośrodek studiów medycznych.

¹¹⁷ Mistrz Mazzeo della Montagna – Matteo Selvatico, autor obszernej encyklopedii lekarskiej, napisanej zapewne w latach 1319–1342 i jeszcze w półtora wieku później wydawanej drukiem.

¹¹⁸ Ruggieri d’Ajeroli – głośny w pierwszych latach panowania Joanny Neapolitańskiej przywódca zbójców, Roger Meli (lub Mele), mający główną kwaterę w Ageroli.

¹¹⁹ Cymon – zamiłowanie do etymologii, znamienne dla Boccaccia i wielu humanistów, z braku podstaw naukowych prowadziło często do nieuzasadnionych skojarzeń, tu może z greckim chimon – kozioł. Zgodnie z tłem noweli, imiona mają brzmienie greckie (Arystyppos, Galaisos in.).

¹²⁰ Suza – miasto na południe od Tunisu.

¹²¹ Mariabdela – zapewne zniekształcone Muli–abdela: Mulaj: mój pan, tytuł sułtanów oraz imię Abd Allah, które w tym okresie (1249–1309) nosiło dwu władców Tunisu.

¹²² Kronikarz florencki Jan Villani opowiada, że w r. 1299 władca Tatarów zwyciężył w bitwie wojska sułtana Egiptu, zastosowawszy sposób bardzo zbliżony do tego, który Martuccio doradza królowi Tunisu.

¹²³ W Rzymie... – Rzym był w upadku i wyludnił się w okresie przeniesienia stolicy papieskiej do Awinionu, w południowej Francji (1309–1377). Stąd nazwanie go nie głową, ale ogonem świata.

¹²⁴ Anagni – miasteczko na południe od Rzymu, ojczyzna papieża Bonifacego VIII, który chętnie w nim przebywał i tutaj doznał słynnej zniewagi za sprawą króla francuskiego, Filipa Pięknego, i rzymskiego rodu Colonnów (1303).

¹²⁵ na lewo się obrócił... – starano się ustalić topografię tej opowieści, wykazującej dbałość o odtworzenie tła rzymskiego, i wyrażono przypuszczenie, że las, w którym błądzili zakochani, to okolice Frascati.

¹²⁶ Źródła historyczne potwierdzają, że rzymski ród Boccamazza (mający parę linii) należał do stronników Orsinich.

¹²⁷ Campo di Fiore – plac w Rzymie (popularny dziś ośrodek handlu starzyzną); jedna z gałęzi Orsinich miała tu swe domostwa.

-
- ¹²⁸ Romania – prowincja Włoch, należąca niegdyś do Państwa Kościelnego, z miastem najznamienitszym Rawenną.
- ¹²⁹ Lizio da Valbona – gwelt osiadły w górskiej Valbonie, wspomniany przez Dantego.
- ¹³⁰ Faenza – miasto o 30 km od Rawenny, znane z wyrobów ceramicznych (stąd nazwa: fajans). Faenza była oblegana i zdobyta przez Fryderyka II w latach 1240–1241. Wypadki te wywołały bardzo silny oddźwięk w Toskanii. Bernabucci należą do starych rodów tego miasta.
- ¹³¹ Fryderyk II (1296–1337) – król aragoński. Epizod, przez siebie opowiedziany, umieszcza Boccaccio w początkach jego rządów.
- ¹³² Marino Bolgaro, znany Boccacciowi osobiście, żył na dworze króla Neapolu, Roberta, i biegłym był szczególnie w budowie okrętów.
- ¹³³ Cuba – słynny, istniejący do dziś zamek w Palermo.
- ¹³⁴ Przylądek Minerwa mieści się na skraju zatoki neapolitańskiej.
- ¹³⁵ Roger de Loria był admirałem Fryderyka II w latach 1296–1297.
- ¹³⁶ Giovanni (Jan) z Procidy – przeciwnik Karola Andegaweńskiego, w oparciu o króla aragońskiego i w porozumieniu z cesarzem bizantyńskim przygotował Nieszpory Sycylijskie. Otoczony legendą, cieszył się sympatią Boccaccia, mimo że ten związany był z dworem andegaweńskim.
- ¹³⁷ Wilhelm I rządził Sycylią w latach 1154–1166, jego syn Wilhelm II, zwany Dobrym, od 1166 do 1189 r.
- ¹³⁸ Rodzina Abbate przez długie lata dzierżyła władzę w mieście Trapani, odgrywając też dużą rolę w walkach Andegawczyków z Aragończykami.
- ¹³⁹ ...przejścia wojsk dotyczących... – idzie o trzecią wyprawę krzyżową.
- ¹⁴⁰ Laiazzo – morski ośrodek handlowy Małej Armenii, ściągający licznych kupców włoskich w średniowieczu.
- ¹⁴¹ Ród Onestich należał do najbardziej starożytnych w Rawennie. Paulo Traversari (zm. 1240) wspomniany jest w najdawniejszym zbiorze nowel włoskich jako „najszlachetniejszy mąż z całej Romanii”. Jego ojciec zyskał tytuł książe, a matka i żona opiewane były przez trubadurów prowansalskich. Z tymi przedstawicielami arystokracji feudalnej współzawodniczyli nieraz członkowie rodu Anastagi (por. str. 435).
- ¹⁴² Chiassi z łac. clossis – flota, gdyż w miejscu tym znajdował się niegdyś port rzymski.
- ¹⁴³ Coppo di Borghese Domenichi – poważny obywatel Florencji, zmarł w starości między r. 1348 a 1353.
- ¹⁴⁴ Alberighi – starożytna rodzina szlachecka we Florencji, wspominana też przez Dantego: już za czasów jego pradziada Cacciaguidy była w upadku (*Raj XVI*) i niebawem wygasła.
- ¹⁴⁵ Pietro di Viniciolo, (właśc. Vinicioli) pochodził ze znanej w Perugii rodziny, pełnił różne odpowiedzialne funkcje w latach 1280–1322.
- ¹⁴⁶ Z wymienionych przez Dionea swawolnych piosenek zachowała się tylko jedna: Canzone del nicchio (Pieśń o muszelce).

SPIS TREŚCI

O PRZEKŁADZIE
WSTĘP
PROLOG

DZIEŃ PIERWSZY

Opowieść pierwsza SPOWIEDŹ CIAPPELLETTA
Opowieść druga PODROŻ ABRAHAMA Z PARYŻA DO RZYMU
Opowieść trzecia TRZY PIERŚCIENIE
Opowieść czwarta CIĘŻKI GRZECH
Opowieść piąta KURY
Opowieść szósta STO ZA JEDNO
Opowieść siódma POSKROMIENIE SKĄPCA.
Opowieść ósma SKĄPIEC GRIMALDI
Opowieść dziewiąta PĄTNICZKA
Opowieść dziesiąta ZAKOCHANY STARZEC

DZIEŃ DRUGI

Opowieść pierwsza MARTELLINO–KALEKA
Opowieść druga MODLITWA DO ŚWIĘTEGO JULIANA
Opowieść trzecia DZIWNE MAŁŻEŃSTWO
Opowieść czwarta LANDOLFO RUFOLO
Opowieść piąta ANDREUCCIO Z PERUGII
Opowieść szósta ZNALEZIONE DZIECI
Opowieść siódma ALATIEL, NARZECZONA KRÓLA ALGARBII
Opowieść ósma PRZYPADKI GRABIEGO ANTWERPII
Opowieść dziewiąta NIESZCZĘŚCIA POCZCIWEJ BIAŁOGŁOWY
Opowieść dziesiąta KALENDARZ STARYCH MEŻÓW

DZIEŃ TRZECI

Opowieść pierwsza WILK W OW CZARNI
Opowieść druga KRÓL WŁOSY STRZYŻE
Opowieść trzecia SPOWIEDŹ
Opowieść czwarta DROGA DO RAJU
Opowieść piąta KOS I ŻONA
Opowieść szósta W MIŁOŚCI, JAK NA WOJNIE

Opowieść siódma PIELGRZYM
Opowieść ósma FERONDO W CZYŚĆCU
Opowieść dziewiąta GILETTA Z NARBONNY
Opowieść dziesiąta DIABEŁ I PIEKŁO

DZIEŃ CZWARTY

Opowieść pierwsza GHISMONDA I GUISCARDO
Opowieść druga MIŁOSTKI ARCHANIOŁA GABRIELA
Opowieść trzecia ZAZDROŚĆ
Opowieść czwarta NARZECZONA KRÓLA GRANADY, CZYLI NIESZCZĘŚNI
MIŁOŚNICY
Opowieść piąta LISABETTA Z MESSYNY
Opowieść szósta DWA SNY
Opowieść siódma DOWÓD NIEWINNOŚCI
Opowieść ósma OFIARY MIŁOŚCI
Opowieść dziewiąta OKRUTNY MAŻ
Opowieść dziesiąta CUDOWNE PRZYTRAFIENIE PEWNEGO NIEBOSZCZYKA

DZIEŃ PIĄTY

Opowieść pierwsza PODWÓJNE PORWANIE
Opowieść druga STRZAŁY MARTUCCIA
Opowieść trzecia NA WŁOS OD ŚMIERCI
Opowieść czwarta SŁOWIK
Opowieść piąta DWAJ RYWALE
Opowieść szósta SZCZĘŚLIWE SPOTKANIE
Opowieść siódma VIOLANTA
Opowieść ósma OKRUTNE ŁOWY
Opowieść dziewiąta SOKÓŁ
Opowieść dziesiąta ZGODNY MAŻ